



II TOM CYKLU  
„CZERWONY  
ŚWIT”

PIERCE  
BROWN

Pierce Brown

ZŁOTY SYN

Przełożyli  
Małgorzata Strzelec  
i Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2024

# Spis treści

O powstaniu Kolorów

Dramatis personæ

Wprowadzenie

Część I. Poniżenie

Rozdział 1. Gry wojenne

Rozdział 2. Wyłom

Rozdział 3. Krew i szczyny

Rozdział 4. Upadek

Rozdział 5. Porzucony

Rozdział 6. Ikar

Rozdział 7. Popiół

Rozdział 8. Berło i miecz

Rozdział 9. Ciemność

Rozdział 10. Złamany

Rozdział 11. Czerwony

Część II. Przełom

Rozdział 12. Krew za krew

Rozdział 13. Wściekłe psy

Rozdział 14. Suwerenka

Rozdział 15. Prawda

Rozdział 16. Gra

Rozdział 17. Co przynosi burza

Rozdział 18. Plamy krwi

Rozdział 19. Bocian

Rozdział 20. Piekłonurek

Rozdział 21. Plamy

Rozdział 22. Ognisty kwiat

Rozdział 23. Zaufanie

Rozdział 24. Jajka na bekonie

Część III. Podbój

Rozdział 25. Pretorzy

Rozdział 26. Władca marionetek

Rozdział 27. Żelki

Rozdział 28. Synowie burzy

Rozdział 29. Gniew starca

Rozdział 30. Burza nadciąga

Rozdział 31. Zamach stanu

Rozdział 32. Umieraj młodo

Rozdział 33. Taniec

Rozdział 34. Bracia krwi

Rozdział 35. Herbatka

Rozdział 36. Pan wojny

Rozdział 37. Wojna

Rozdział 38. Żelazny Deszcz

Rozdział 39. Na murach

#### Część IV. Ruina

Rozdział 40. Błoto

Rozdział 41. Achilles

Rozdział 42. Śmierć Złotego

Rozdział 43. Morze

Rozdział 44. Poeta

Rozdział 45. Podarki

Rozdział 46. Braterstwo

Rozdział 47. Wolny

Rozdział 48. Zarządca

Rozdział 49. Dlaczego śpiewamy

Rozdział 50. Głębina

Rozdział 51. Złoty syn

#### Podziękowania

#### Przypisy

Tytuł oryginału: Golden Son

Copyright © 2015 by Pierce Brown

Copyright for the Polish translation © 2024 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Alicja Laskowska

Korekta: Magdalena Górnicka, Bartosz Szpojda

Schematy: © 2015 Joel Daniel Phillips

Ilustracja na okładce: David G. Stevenson

Projekt okładki: Faceout Studio i David G. Stevenson

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński, Dark Crayon

ISBN 978-83-68069-80-8

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Matce, która nauczyła mnie mówić.



**ZŁOCI**

Wściekle inteligentni władcy ludzkości.

**SREBRNI**

Innowatorzy, finansiści i biznesmeni.

**BIALI**

Kapłani i kapłanki, którzy nadzorują rytuały Wspólnoty.

**MIEDZIANI**

Administratorzy, prawnicy, biurokraci.

**NIEBIESCY**

Piloci i astronawigatorzy wychowywani na członków załóg statków kosmicznych.

**ŻÓŁCI**

Ekspertci nauk humanistycznych i przyrodniczych. Lekarze, psychologowie i naukowcy.

**ZIELONI**

Programiści i twórcy nowych rozwiązań technicznych.

**FIOLETOWI**

Twórcy, artyści, muzycy i aktorzy.

**POMARAŃCZOWI**

Personel pomocniczy na statkach kosmicznych i wszędzie tam, gdzie są potrzebni mechanicy.

**SZARZY**

Personel wojskowy i policyjny.

**BRAZOWI**

Służący w domach, przedsiębiorstwach i instytucjach społecznych.

**OBSYDIANOWI**

Monstrualna rasa hodowana z myślą o wojnie.

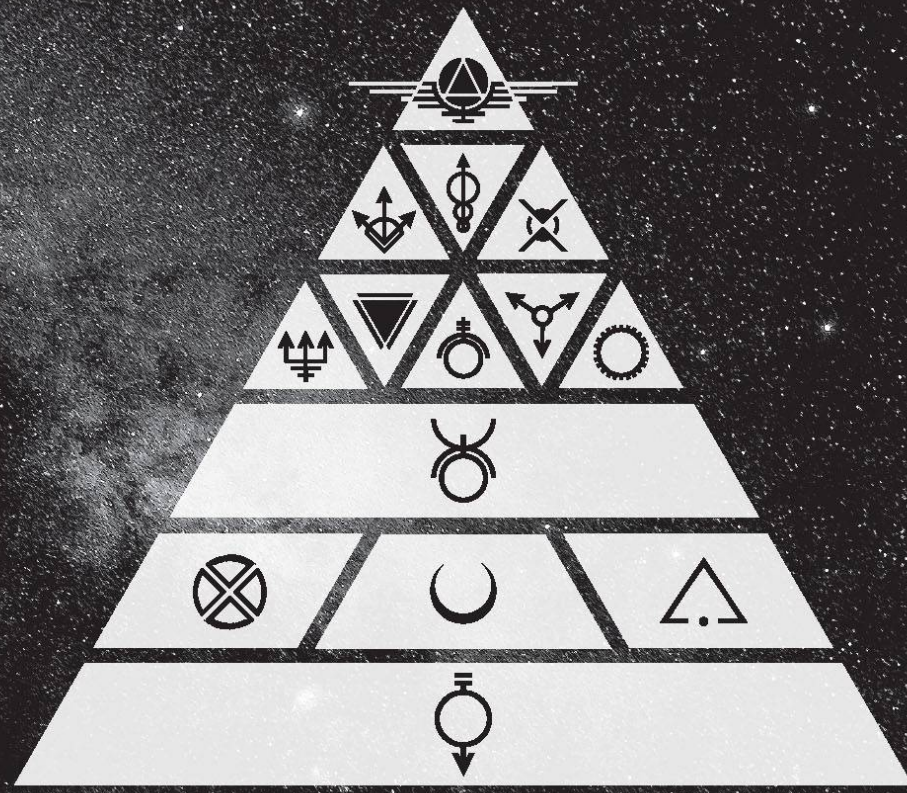
**RÓŻOWI**

Nieźrównani pod względem urody, szkoleni w sztuce dawania przyjemności zmysłowych.

**CZERWONI**

Niewykwalifikowana siła robocza przystosowana do życia w nieprzyjaznych środowiskach.





### **O POWSTANIU KOLORÓW**

Kiedy pierwsi koloniści wyruszyli z Ziemi, żeby zamieszkać na Księżycu, stworzyli hierarchię pracowników. Z czasem ją udoskonaili, podając swoich towarzyszy zabiegom chirurgicznym i manipulacjom na poziomie genetycznym. W efekcie powstała Wspólnota podzielona na Kolory, doskonała pod względem efektywności i zdominowana przez najdoskonalszą odmianę ludzi – Złotych.



# Dramatis personæ

## ***Ród Augustus i jego sprzymierzeńcy.***

Nero au Augustus – arcygubernator Marsa, głowa rodziny Augustus, ojciec Virginii i Adriusa

Virginia au Augustus/Mustang – córka Nero, siostra bliźniaczka Adriusa

Adrius au Augustus – syn arcygubernatora, dziedzic rodziny Augustus, brat bliźniak Virginii

Pliniusz au Velocitor – główny politikos rodziny Augustus

Darrow au Andromedus/Żniwiarz – arcyPrymus Instytutu Marsa, lansjer rodziny Augustus

Tactus au Rath – lansjer rodziny Augustus

Roque au Fabii – lansjer rodziny Augustus

Victra au Julii – lansjerka rodziny Augustus, przyrodnia siostra Antonii, córka Agrippiny

Kavax au Telemanus – głowa rodziny Telemanus, sprzymierzeniec rodu Augustus, ojciec Daxo i Paxa

Daxo au Telemanus – dziedzic i syn Kavaxa, brat Paxa

## ***Ród Bellona.***

Tiberius au Bellona – głowa rodziny Bellona

Cassius au Bellona – dziedzic rodziny Bellona, syn Tiberiusa, lansjer rodziny Bellona

Karnus au Bellona – syn Tiberiusa, starszy brat Cassiusa, lansjer rodziny Bellona

Kellan au Bellona – pretor, kuzyn Cassiusa, bratanek Tiberiusa

## ***Ważni Złoci.***

Octavia au Lune – aktualna Suwerenka Wspólnoty

Lysander au Lune – wnuk Octavii, dziedzic rodziny Lune

Aja au Grimmus – główny ochroniarz Suwerenki

Moira au Grimmus – główny politikos Suwerenki

Lorn au Arcos – były Rycerz Gniewu, głowa rodziny Arcos

Fitchner au Barca – były rewizor Domu Marsa, ojciec Sevro

Sevro au Barca/Goblin – dowódca Wyjśćców, syn Fitchnera

Agrippina au Julii – głowa rodziny Julii, matka Victry i Antonii

Antonia au Severus-Julii – była członkini Domu Marsa, przyrodnia siostra Victry, córka Agrippiny

***Synowie Aresa.***

Ares – przywódca terrorystów, Kolor nieznany

Dancer – przyboczny Aresa, Czerwony

Harmony – przyboczna Dancera, Czerwona

Mickey – Rzeźbiarz, Fioletowy

Evey – była niewolnica Mickeya, Różowa

Dawno temu mężczyzna przybył z nieba i zabił moją żonę. Teraz kroczę obok niego po zboczach góry, która unosi się nad naszym światem.

Pada śnieg. Mury obronne z białego kamienia i mieniające się szkło wynurzają się ze skały.

Wokół nas szaleje chaos chciwości. Wszyscy wielcy Złoci z Marsa pojawili się w Instytucie, żeby zgarnąć najlepszych, najbystrzejszych z naszego roku. Ich statki roją się na porannym niebie, przecinają powietrze nad światem śnieżnej bieli i dymiących zamków i mkną w stronę Olimpu, który zająłem szturmem kilka godzin temu.

– Spójrz po raz ostatni – mówi mi, gdy zbliżamy się do jego promu. – Wszystko, co wydarzyło się dotąd, to zaledwie sugestia naszego świata. Kiedy opuścisz tę górę, wszystkie więzy zostaną zerwane, wszystkie przysięgi obrócą się w proch. Nie jesteś na to przygotowany. Nikt nigdy nie jest.

Ponad tłumem widzę Cassiusa z ojcem i rodzeństwem zmierzających do promu. Ich spojrzenia palą nas ponad połacią bieli, a ja przypominam sobie dźwięk serca jego brata, gdy uderzyło po raz ostatni.

Szorstka dłoń o kościstych palcach zawłaszcza moje ramię, ściska je zaborczo. Augustus wpatruje się w swoich wrogów.

– Członkowie rodziny Bellona nie wybaczą i nie zapominają. Jest ich wielu. Nie mogą cię jednak skrzywdzić. – Jego zimny wzrok pada na mnie, jego świeżo zagarniętą zdobycz. – Ponieważ należysz do mnie, Darrow, a ja chronię to, co jest moje.

Tak samo jak ja.

Przez siedemset lat mój lud trwał w niewoli, pozbawiony głosu, pozbawiony nadziei. Teraz ja jestem ich mieczem. Nie wybaczam. Nie zapominam. Pozwalam więc, żeby zaprowadził mnie do promu. Pozwalam mu myśleć, że należę do niego. Pozwalam mu powitać mnie w swoim domu, abym potem mógł go spalić.

Wtedy jednak jego córka bierze mnie za rękę i czuję, że wszystkie kłamstwa zamieniają się w ciężar na moich ramionach. Mówi się, że rozdarte wewnętrznie królestwo nie przetrwa. Nie mówi się nic o rozdartym sercu.

## CZĘŚĆ I

### **Poniżenie**

Hic sunt leones. Tu są lwy.

Nero au Augustus



## Gry wojenne

Moje milczenie jest głośne jak grom. Stoję na mostku mojego okrętu ze złamaną ręką w żelGipsie, oparzenia od broni jonowej na szyi nadal mnie pieką. Jestem wycieńczony. Brzytwa owija mi się wokół zdrowej prawej ręki jak zimny metalowy wąż. Przede mną otwiera się kosmos, rozległy i przerażający. Maleńkie okruchy światła przecinają ciemność, przedwieczne cienie przesuwają się, żeby przesłonić gwiazdy na obrzeżach mojego pola widzenia. Asteroidy. Unoszą się powoli wokół mojego pancernika, Quietusa, kiedy wypatruję w czerni zwierzyny.

– Wygraj – rozkazał mi mój pan. – Wygraj, tak jak moje dzieci nie potrafią wygrać, i przynieś chwałę rodowi Augustus. Wygraj w Akademii, a otrzymasz flotę.

Lubi powtarzać frazy dla podkreślenia ich wymowy. Większość mężów stanu to lubi.

Chciałby, żebym wygrał dla niego, ale ja wygram dla Czerwonej dziewczyny, której marzenie daleko przerosło ją samą. Zatriumfuję, żeby on zginął, a jej przesłanie płonęło przez wieki. Łatwizna.

Mam dwadzieścia lat. Jestem wysoki i barczysty. Mój mundur, cały czarny, jest teraz pognieciony. Włosy mam długie, oczy Złote, ale przekrwione. Mustang powiedziała kiedyś, że mam ostre rysy, jakby moje policzki i nos wyrzeźbiono z rozgniewanego marmuru. Osobiście unikam luster. Lepiej zapomnieć o masce, którą noszę, masce z ukośną blizną Złotych, którzy władają światami od Merkurego po Plutona. Należę do Niezrównanych Naznaczonych. Najokrutniejszych i najbystrzejszych przedstawicieli rasy ludzkiej. Brakuje mi jednak najżyczliwszej z nich. Tej, która poprosiła, żebym został, gdy zegnałem się z nią i z Marsem na jej balkonie prawie rok temu. Mustang. Na pożegnanie podarowałem jej złoty sygnet z wizerunkiem konia, a ona dała mi brzytwę. Stosowny podarunek.

Smak jej łez starzeje się w mojej pamięci. Nie miałem od niej żadnych wieści, odkąd opuściłem Marsa. Gorzej, że nie miałem też żadnych wieści od Synów Aresa, odkąd zwyciężyłem w Instytucie Marsa ponad dwa lata temu. Dancer powiedział, że skontaktuje się ze mną, gdy ukończę Instytut, ale pozostawił mnie samego pośród morza Złotych twarzy.

Znajduję się niezwykle daleko od przyszłości, którą wyobrażałem sobie jako chłopiec. Daleko od przyszłości, jaką chciałem stworzyć dla mojego ludu, kiedy pozwoliłem Synom Aresa mnie rzeźbić. Myślałem, że zmienię światy. Jak każdy młody głupiec, prawda? Zamiast tego zostałem połknięty przez maszynę tego rozległego imperium, która niepowstrzymanie prze naprzód. W Instytucie trenowali nas, abyśmy przetrwali i podbijali. Tu, w Akademii, uczyli nas wojny. A teraz sprawdzają naszą biegłość. Kieruję flotą okrętów wojennych przeciwko innym Złotym. Stosujemy ślepą amunicję i atakujemy inne statki przez abordaż, tak jak Złoci prowadzą walki w kosmosie. Nie ma sensu niszczyć okrętu, który kosztował tyle, ile produkt brutto dwudziestu miast, kiedy można wysłać statek zwany pijawką wypełniony Obsydianowymi, Złotymi i Szarymi, żeby przejęli kontrolę nad kluczowymi organami jednostki i uczynili z niej twoją zdobycz wojenną.

Na lekcjach walki w kosmosie nasi nauczyciele wbijali nam do głów maksymy swojej rasy. Tylko najsilniejsi przetrwają. Tylko genialni rządzą. Potem zostawili nas, żebyśmy sami o sobie zadbali, przeskakując z asteroidy na asteroidę w poszukiwaniu zapasów i baz, polując na innych studentów, aż pozostały tylko dwie floty.

Nadal bawię się w gry. Tyle że ta jest bardziej niebezpieczna od poprzednich.

– To pułapka – mówi stojący obok mnie Roque.

Ma długie włosy, tak jak ja. Jego twarz jest miękka jak u kobiety i spokojna jak u filozofa. Zabijanie w kosmosie różni się od zabijania na lądzie. Roque ma do tego nadzwyczajny talent. Mówi, że kryje się w tym poezja. Poezja ruchu sfer i statków, które wśród nich żeglują. Jego twarz pasuje do twarzy Niebieskich, stanowiących załogi naszych okrętów – eterycznych mężczyzn i kobiet, którzy dryfują jak zbłąkane duchy wśród metalowych korytarzy, zawsze logiczni i przestrzegający ścisłego porządku.

– Nie jest to jednak tak elegancka pułapka, jak Karnus może sobie wyobrazać – kontynuuje. – Wie, że palimy się do zakończenia gry, więc będzie czekał po drugiej stronie. Wepchnie nas w wąskie gardło i wystrzeli pociski. Wypróbowana i skuteczna metoda, od zarania dziejów.

Roque precyzyjnie wskazuje przestrzeń między dwiema ogromnymi asteroidami, wąski korytarz, którym musimy przelecieć, jeśli chcemy podążyć za ranionym statkiem Karnusa.

– Tutaj wszystko jest cholerną pułapką. – Tactus au Rath, smukły i beztroski, ziewa. Wygląda groźnie, kiedy opiera się o iluminator i wpuszcza sobie dawkę stymulantu z pierścienia na palcu. Odrzuca pustą kapsułkę na

podłogę. – Karnus wie, że przegrał. Po prostu nas torturuje. Zmusza do pogoni, żebyśmy nie mogli się przespać. Egoistyczny kutas.

– Ale z ciebie mały Piks, wiecznie kłapiesz dziobem i marudzisz – szydzi z niego Victra au Julii ze swojego miejsca pod iluminatorem.

Postrzępione kosmyki jej włosów sięgają nieco poza ozdobione nefrytowymi kolczykami uszy. Jest porywcza i okrutna, ale bez przesady. Pogardza makijażem, zamiast tego woli blizny, których się dorobiła przez dwadzieścia siedem lat. Sporo ich nosi. Ma głęboko osadzone oczy pod ciężkimi powiekami i szerokie, zmysłowe usta, ukształtowane tak, żeby z pomrukiem rzucać obelgi. Bardziej przypomina swoją słynną matkę niż przyrodną siostrę Antonię, jednak w sztuce siania spustoszenia przewyższa je obie.

– Pułapki nie mają znaczenia – oznajmia. – Jego flota została zniszczona. Został mu tylko jeden okręt. My mamy siedem. Może po prostu rozkwasimy mu pysk?

– To Darrow ma siedem okrętów – przypomina jej Roque.

– Słucham? – pyta Victra, poirytowana tą uwagą.

– Zostało siedem statków Darrowa. Ty powiedziałaś, że są nasze. Nie są nasze. To on jest Prymusem.

– Pedantyczny poeta kontratakuje. Sens pozostaje taki sam, łaskawy panie.

– Że mamy postąpić pochopnie zamiast roztropnie? – pyta Roque.

– Siedem statków przeciwko jednemu. To byłoby żenujące, pozwolić mu dłużej to przeciągać. Zdepczmy tego łachudrę od Bellonów jak karalucha naszą potężną stopą, wracajmy do bazy, odbierzmy zasłużone nagrody od starego Augustusa i chodźmy się zabawić. – Dla podkreślenia słów Victra wbija piętę w pokład i obraca nią, jakby coś deptała.

– Dobrze mówi – popiera ją Tactus. – Królestwo za gram diabelskiego pyłu.

– To już twoja piąta dawka stymulantu dzisiaj? – pyta Roque.

– Tak! Miło, że zauważyłaś, kochana mamusiu! Mam jednak dość tej wojskowej amfy. Marzą mi się Perłowe Kluby i ogromne ilości porządnych narkotyków.

– Wypalisz się.

Tactus klaszcze dłonią w udo.

– Żyj szybko i umieraj młodo. Kiedy ty będziesz nudnym, zasuszonym rodzyńkiem, ja będę wspaniałym wspomnieniem lepszych czasów i dni dekadencji.

Roque kręci głową.

– Pewnego dnia, mój zbłąkany przyjacielu, znajdziesz kogoś, kogo pokochasz i kto sprawi, że będziesz się śmiał z niemądrej osoby, jaką kiedyś byłeś. Dorobisz się dzieci. Będziesz miał własną posiadłość. I jakimś cudem nauczysz się, że istnieją ważniejsze rzeczy niż narkotyki i Różowe.

– Wielkie nieba! – Tactus patrzy na niego z niekłamaną zgrozą. – To brzmi potwornie przygnębiająco.

Zerkam na ekran taktyczny, nie słuchając ich utarczek.

Zwierzyna, którą ścigamy, to Karnus au Bellona, starszy brat mojego dawnego przyjaciela Cassiusa au Bellona i chłopca, którego zabiłem podczas Próby, Juliana au Bellona. W tej rodzinie o kędzierzawych włosach Cassius jest faworytem rodziców. Julian był najzyczliwszym z synów. A Karnus? Moja złamana ręka mówi sama za siebie. To potwór, którego wypuszczają z piwnicy, żeby zabijał.

Od czasu Instytutu moja sława urosła. Kiedy więc do Fioletowego kręgu plotkarskiego dotarła wiadomość, że arcygubernator wreszcie wysyła mnie na dalszą naukę, Karnus au Bellona i paru precyzyjnie wybranych przez matkę Cassiusa kuzynów też rozpoczęło „studia”. Ta rodzina chce dostać moje serce na talerzu. Dosłownie. Tylko odznaka Augustusa ich powstrzymuje. Atak na mnie oznaczałby atak na niego.

Ostatecznie mam w najgłębszym poważaniu ich parszywą wendetę i krwawą waśń między moim panem a ich rodem. Pragnę zdobyć flotę, żeby wykorzystać ją dla sprawy Synów Aresa. Jakiego bałaganu mógłbym narobić! Studiowałem linie zaopatrzenia, stacje czujników, zgrupowania bojowe, węzły komunikacyjne – wszystkie wrażliwe punkty, które mogą sprawić, że Wspólnota zachwieje się w posadach.

– Darrow... – Roque podchodzi do mnie. – Strzeż się pychy. Pamiętaj o Paksie. Duma zabija.

– Chcę, żeby to była pułapka – odpowiadam mu. – Niech Karnus zawróci i stawi nam czoło.

Roque przekrzywia głowę.

– Zastawiłeś na niego własną pułapkę.

– Dlaczego tak uważasz?

– Mogłeś nam powiedzieć, mógłbym...

– Karnus dzisiaj przegra, bracie. To jest prosty fakt, jedyny, który się liczy.

– Oczywiście. Ja chcę tylko pomóc. Przecież wiesz.

– Wiem.

Tłumię ziewnięcie i obrzucam wzrokiem stanowiska na mostku z tyłu i przede mną. Niebiescy różnych odcieni mozolą się przy systemach, dzięki którym mój statek funkcjonuje. Mówią wolniej od wszystkich Kolorów (nie



licząc Obsydianowych), ponieważ wolą komunikację cyfrową. Są starsi ode mnie, wszyscy ukończyli Północną Szkołę. Za nimi, z tyłu mostku, stoi na warcie paru Szarych żołnierzy piechoty morskiej i kilku Obsydianowych. Klepię Roque'a po ramieniu.

– Już czas – mówię. – Marynarze! – wołam do Niebieskich. – Wzmóście czujność. To będzie ostatni gwóźdź do trumny Bellony. Poślijmy tego łajdaka w eter, a obiecuję wam najwspanialszy podarunek, jaki mogę wam zaoferować: tydzień snu bez przerwy. Zgadza się?

Paru Szarych na tyłach mostku parska śmiechem. Niebiescy tylko postukują knykciami w przyrządy. Oddałbym połowę mojego całkiem zasobnego – dzięki uprzejmości arcygubernatora – konta bankowego, żeby zobaczyć, jak jeden z tych bladych ptasich mózdków uśmiecha się chociaż półgębkiem.

– Dość czekania – oznajmiam. – Artylerzyści na stanowiska. Roque: skup niszczyciele. Victra: zajmij się celowaniem. Tactus: rozłokuj obronę. Zakończymy to wreszcie.

Zerkam na wątego sternika. Stoi przy środkowym stanowisku poniżej mojej platformy dowodzenia, pośród pięćdziesięciu innych Niebieskich. Cyfrowe tatuaże znaczą ich łyse głowy, patykowate ręce jarzą się subtelnym lazurem i srebrem, kiedy Niebiescy dostrajają się do komputerów statku. Ich oczy wpatrują się w dal, gdy nerwy wzrokowe przełączają się na świat cyfrowy. Odzywają się do nas tylko z grzeczności.

– Sternik: silniki do sześćdziesięciu procent mocy.

– Tak jest, dominus. – Zerka na ekran taktyczny, kuliste holo unosi się nad jego głową, jego głos brzmi mechanicznie. – Uwaga, skupiska metalu w asteroidach utrudniają ocenę odczytów spektralnych. Jesteśmy nieco ślepi. Po drugiej stronie może się ukrywać cała flota.

– On nie ma floty. Skaczymy w wyłom – mówię. Silniki statku dudnią. Kiwam głową do Roque'a i dodaję: – Hic sunt leones.

Słowa naszego pana, Nero au Augustusa, arcygubernatora Marsa, trzynastego jego imienia. Moi przybocznicy powtarzają za mną.

„Tu są lwy”.

## Wyłom

Na odczytach z ekranu taktycznego sześć zwinnych niszczycieli porusza się wokół mojego jedyne go pancernika. Upiorne milczenie zalega wśród Niebieskiej załogi, kiedy ta przechodzi w tryb walki. Na płaszczyźnie, na której teraz działają ich umysły, słowa są wolniejsze od gór lodowych. Moi przybocznicy monitorują moją flotę. W innej sytuacji przebywaliby na własnych niszczycielach albo dowodziliby oddziałami lecącymi w pijawkach, ale w chwili zwycięstwa chcę, żeby moi towarzysze byli blisko mnie. Jednakże nawet teraz, gdy stoją u mojego boku, czuję rozziw, głęboką przepaść między ich światem i moim.

– Sygnatury pocisków – oznajmia Niebieski łącznościowiec.

Nikt na mostku nie rzuca się do natychmiastowego działania. Nie zapalają się ostrzegawcze światła, które wywoływałyby panikę wśród załogi. Żadne krzyki nie przerywają bezruchu. Niebiescy to lodowato zimny gatunek, wychowywani od urodzenia we wspólnotach zwanych Sektami, które uczą ich logiki i działania z chłodną efektywnością. Często się mówi, że są bardziej komputerami niż ludźmi.

Ciemna przestrzeń za iluminatorem rozkwita gęstym welonem mikrowybuchów. Nasza artyleria przeciwrakietowa eksploduje wielką płachtą obłoków zgaszonej bieli. Nadlatujące pociski wybuchają, zdetonowane przedwcześnie. Jeden przedostaje się przez linię obrony i nasz niszczyciel na krańcu formacji faluje pod wpływem symulowanego wybuchu nuklearnego. Ludzie wysypaliby się z niego. Gazy ulotniłyby się w próżnię. Wybuchy mogłyby powyrywać dziury w metalowym kadłubie, a wtedy płonący tlen buchnąłby jak krew z wieloryba, połykany w okamgnieniu przez czerń. To jednak jest tylko gra wojenna i nie dają nam prawdziwych pocisków nuklearnych. Najbardziej śmiertelnością bronią są tutaj studenci.

Kolejny okręt pada ofiarą, kiedy salwa z działek elektromagnetycznych przebija się przez nasz ogień zaporowy.

– Darrow... – odzywa się z niepokojem Victra.

Stoję, w zamyśleniu dotykając kciukiem miejsca, gdzie kiedyś nosiłem obrączkę Eo.

Victra odwraca się do mnie.

– Darrow... nie wiem, czy zauważyłeś, ale on nas roznosi na strzępy.

– Pani ma rację, Żniwiarzu – wtrąca się Tactus z twarzą jarzącą się błękitem od światła padającego z ekranu taktycznego. – Cokolwiek trzymasz w odwodzie, nie wstydź się tego wykorzystać.

– Łączność, przekazać eskadrom Rozpruwacz i Szpon rozkaz do ataku.

Patrzę na ekran taktyczny, kiedy eskadry, które odesłałem pół godziny wcześniej, wylatują z obu stron zza asteroidów i uderzają w Karnusa z flanki. Nie da się ich zobaczyć z tej odległości gołym okiem, ale na ekranie taktycznym pulsują złotem.

– Moje gratulacje, przyjacielu – szepcze Roque, zanim nawet atak się zakończy. W jego głosie rozbrzmiewa przedziwny szacunek, a wcześniejsza frustracja zniknęła bez śladu. – To wszystko zmieni. – Dotyka mojego ramienia. – Wszystko.

Patrzę, jak zęby pułapki zaciskają się; rychle zwycięstwo sprawia, że napięcie uchodzi z moich ramion. Szarzy na mostku robią krok naprzód. Nawet Obsydianowi pochylają się, żeby popatrzeć na ekrany, kiedy okręt Karnusa spostrzega sygnatury moich eskadr. Próbuje czmychnąć, silniki buchają w nadziei na ucieczkę przed tym, co nadchodzi. Jednakże topografia pola walki działa przeciwko niemu. Moje eskadry strzelają, zanim Karnus zdąży uruchomić osłonę przeciwrakietową albo odpalić własne pociski. Trzydzieści symulowanych nuklearnych wybuchów niszczy jego ostatnią jednostkę. Na tym etapie gry zajmowanie jej nie ma już sensu, więc Niebiescy piloci mogą się nacieszyć tą lekką przesadą.

I tak po prostu wygrałem.

Mostek wybucha okrzykami Szarych i Pomarańczowych techników. Niebiescy energicznie stukają dłońmi w pulpity. Obsydianowi, którzy nie przepadają za nowoczesną techniką, nie odzywają się ani słowem. Moja osobista służąca, Theodora, uśmiecha się do swoich młodszych podopiecznych. Była Różą, kurtyzaną, ale najlepsze lata ma już dawno za sobą i usłyszała w swoim życiu niemało sekretów. Doradza mi w kwestiach towarzyskich.

Wszędzie na pokładzie, od maszynowni po kuchnię, na holoEkranach transmitowane jest nasze zwycięstwo. Nie tylko moje, bo w takim czy innym stopniu ma w nim udział każdy mężczyzna i każda kobieta. Tak działa Wspólnota. Aby prosperowała, twoi przełożeni muszą prosperować. Tak jak ja znalazłem patrona w osobie Augustusa, tak podKolory znajdują go we mnie. To rodzi konieczną lojalność wobec Złotych, jakiej system Kolorów sam z siebie nie zdołałby narzucić.

Teraz moja gwiazda wszędzie, a wraz nią wszędzie gwiazdy wszystkich obecnych na pokładzie. Władza i potencjał to rzeczy szczególnie cenione w tej kulturze. Nie tak dawno temu, kiedy arcygubernator ogłosił, że będzie sponsorował moje studia w Akademii, w programach w hP aż huczało od spekulacji. Czy ktoś tak młody, ktoś z tak żalosnej rodziny mógłby wygrać? Spójrzcie, czego dokonałem w Instytucie. Zniszczyłem grę. Pokonałem rewizorów, zabiłem jednego, a resztę związałem jak dzieci. Czy to był tylko pojedynczy rozbłysk pośród nocy? Teraz te szczebioczące łajdaki dostaną odpowiedź.

– Sternik, kurs na Akademię. Mamy wawrzyny do odebrania – oznajmiam, gdy rozlegają się wiwaty.

Wawrzyn. Samo to słowo niesie się echem poprzez moją przeszłość i czuję gorycz w ustach. Mimo uśmiechu nie cieszy mnie to zwycięstwo, mam tylko ponurą satysfakcję.

Jeszcze jeden krok, Eo. Jeszcze jeden krok naprzód.

– Pretor Darrow au Andromedus. – Tactus rozkoszuje się tym tytułem. – Ród Bellona po prostu się zesra. Zastanawiam się, czy mogę wykorzystać to, żeby zdobyć dowodzenie, czy może uważasz, że muszę dołączyć do twojej floty? Ciężko się rozeznąć. Ta przekłeta biurokracja jest piekielnie nużąca. Trzeba przekupić Miedzianych. Przekonać Złotych. Moi bracia będą chcieli, rzecz jasna, urządzić dla nas imprezę. – Szturcha mnie. – Na imprezie braci Rath nawet tobie może wreszcie uda się coś zaliczyć.

– Pod warunkiem, że chciałby tknąć kogoś z twoich przyjaciół. – Victra ściska mi rękę, zatrzymując dłoń chwilę dłużej, jakby nosiła właśnie suknię, a nie zbroję. – Chociaż stwierdzam to z prawdziwym bólem, Antonia miała co do ciebie rację.

Czuję, jak Roque się wzdraga, i przypominam sobie odgłos, jaki się rozległ, kiedy – jeszcze w Instytucie – Antonia poderżnęła gardło Lei, próbując mnie wywabić z kryjówki. Pozostałem wtedy w ukryciu i słyszałem, jak moja drobna przyjaciółka z głuchym, wilgotnym łoskotem upada na omszałą ziemię. Roque kochał ją na swój specyficzny sposób.

– Już ci mówiłem, żebyś nie wymieniała przy nas imienia swojej siostry – przypominam Victrze.

Ma skwaszoną minę z powodu mojej oschłej reakcji. Odwracam się do Roque'a.

– Uważam, że jako pretor mam prawo obsadzić swoją flotę tak, jak zechcę. Może powinniśmy ściągnąć paru starych znajomych? Sevro z Plutona, Wyjców stamtąd, gdzie ich, u diabła, wysłano, i może... Quinn z Ganimedesa?



Roque rumieni się na dźwięk jej imienia.

Osobiście najbardziej mi zależy na Sevro. Żaden z nas nie podtrzymuje szczególnie sumiennie kontaktów przez holoSieć, zwłaszcza ja, bo nie miałem do niej dostępu, odkąd zaczęła się Akademia. Tak czy inaczej, Sevro praktycznie ogranicza się do przesyłania mi hologramów z nadzwyczaj perwersyjnymi jednoróżcami i filmików, na których czyta mi żarty oparte na grach słów. Pobyt na Plutonie sprawił, że Sevro jeszcze bardziej zdziwaczał – o ile to możliwe. I pewnie stał się jeszcze bardziej samotny.

– Dominus. – Głos Niebieskiego sternika kieruje moją uwagę na ekran.

– Co jest?

Ma szkliste oczy. Patrzy w dal, podpięty do czujników statku, i widzi surowe dane z ekranu, na który się gapię.

– Dane niejednoznaczne, dominus. Zniekształcenie odczytów z czujników. Duplikacja.

Na wielkim głównym ekranie asteroidy są zaznaczone na niebiesko. My jesteśmy złoci. Wrogowie czerwoni. Nie powinien zostać żaden przeciwnik. A mimo to właśnie pulsuje tam czerwona kropka. Roque i Victra podchodzą do ekranu. Roque przesuwa ręką, żeby przerzucić dane na swój terminal. Mniejsza holograficzna kula unosi się teraz przed nim. Powiększa obraz i nakłada kolejno różne filtry analityczne.

– Promieniowanie? – ryzykuje stwierdzenie Victra. – Szczątki?

– Złoża na asteroidzie mogłyby spowodować drobne załamanie naszego sygnału – mówi Roque. – To nie może być kwestia oprogramowania... O, zniknęło.

Czerwona kropka zgasła, ale napięcie wypełniło mostek. Wszyscy wpatrują się w ekran. Nic. Nie ma tam nikogo innego poza moimi statkami i pokonanym okrętem flagowym Karnusa. Chyba że...

Roque odwraca się do mnie z przerażoną, ściągniętą twarzą.

– Uciekaj – zdąży jeszcze powiedzieć, kiedy czerwony sygnał znowu ożywa.

– Silniki, pełna moc! – ryczę. – Zwrot o trzydzieści stopni.

– Wystrzelić pozostałe pociski w powierzchnię asteroidy – rozkazuje Tactus.

Za późno.

Victra łapie gwałtownie powietrze, a ja widzę na własne oczy to, co nasze czujniki ledwie są w stanie wykryć. Jeden mroczny niszczyciel wynurza się z dziury w asteroidzie. Okręt, który – jak mi się wydawało – pokonaliśmy trzy dni temu. Miał wyłączone silniki, podczas gdy czekał w zasadzce. Jego

przednia część jest uszkodzona, rozerwana i czarna. Teraz jego silniki działają z całą mocą. A trajektoria prowadzi go prosto na nas.

Uderzy w nas jak taran.

– Skafandry i kapsuły ratunkowe! – krzyczę.

Ktoś woła, żebyśmy przygotowali się na wstrząs po uderzeniu. Pędzę do bocznej części mostku, gdzie znajduje się wbudowana w ścianę kapsuła ratunkowa dowódcy. Otwiera się na mój rozkaz. Tactus, Roque i Victra wpadają do środka. Czekam, krzykiem ponaglam Niebieskich, żeby odłączali się od systemów. Niby tacy logiczni, a gotowi są umrzeć za swój statek.

Miotam się po mostku, wrzeszczę, żeby aktywowali włącz ewakuacyjny. Robi to sternik: przyciska guzik i w podłodze pośród stanowisk rozwiera się otwór. Jeden po drugim Niebiescy odłączają się i dają się zassać przewodowi grawitacyjnemu do swoich kapsuł ratunkowych.

– Theodora! – wołam, widząc, jak szarpie się z młodym Niebieskim, który ze strachu nadal trzyma się swojego ekranu operacyjnego tak mocno, że kostki dłoni mu pobielają. – Wskakuj do przeklętej kapsuły!

Nie słucha. A Niebieski nie puszcza. Ruszam do nich, kiedy czujniki zbliżeniowe ryczą, wydając ostatnie ostrzeżenie.

Wszystko zwalnia.

Światła na mostku migoczą czerwienią.

Skaczę do Theodory i obejmuję ją rękami.

Niszczyciel taranuje mój pancernik, trafia go dokładnie w połowie długości.

Przyciskam ją do piersi, lecę trzydzieści metrów przez mostek i uderzam w metalową ścianę. Ból jak białe światło przenika moją lewą rękę wzdłuż zrastającego się złamania. Robi mi się ciemno przed oczami. Tańczą tam światełka, najpierw jak gwiazdy, a potem jak wijące się linie piasku poruszanego przez wiatr.

Czerwone światło przesącza się przez moje powieki. Ktoś delikatnie pociąga mnie za ubranie.

Otwieram oczy. Owinąłem się wokół wygiętego słupka z przewodami elektrycznymi. Statek dygoce i jęczy jak zdychająca pradawna bestia, która pogrąża się w głębinach. Słup trzęsie się gwałtownie przy moim brzuchu, kiedy niszczyciel kończy przedzieranie się przez środek naszego okrętu. Patroszy nas z nieśpiesznym okrucieństwem.

Ktoś wykrzykuje moje imię. Powracają dźwięki.

Światła zalewają mostek w zmiennych odcieniach morderczej czerwieni. Syreny alarmowe. Łabędzi śpiew okrętu. Delikatne stare ręce Theodory ciągną mnie, jakby ptak próbował przeciągnąć obalony posąg. Krwawię z czoła.

Mam złamany nos. Ocieram piekącą w oczy krew i obracam się na plecy. Potrzaskany ekran iskrzy obok mnie. Jest umazany moją krwią. Spadł na mnie? Obok leży metalowy pręt, a mój wzrok wędruje ku Theodorze. Podważyła ekran prętem, żeby go ze mnie zrzucić. Ale jest taka drobna. Ujmuje moją twarz w dłonie.

– Wstań. Jeśli chcesz żyć, dominus, musisz wstać. – Ręce starej kobiety trzęsą się ze strachu. – Wstań, proszę.

Podnoszę się z jękiem. Kapsuła ratunkowa dowódcy przepadła. Musiała zostać wystrzelona podczas zderzenia. Albo po prostu odlecieli, zostawiając mnie tutaj. Kapsuła Niebieskich także została wyrzucona za burtę. Z przestraszonego Niebieskiego została plama na ścianie. Theodora nie potrafi oderwać od niej oczu.

– W mojej kwaterze jest jeszcze jedna kapsuła – mruczę.

Wtedy zauważam, dlaczego Theodora się krzywi. Nie ze strachu, ale z bólu. Nogę ma strzaskaną, wygiętą w bok jak kawał mokrej połamanej kredy. Różowi nie są stworzeni do przeżywania tego typu sytuacji.

– Nie dojdę tam, dominus. Idź już.

Przyklękam i przerzucam ją sobie przez ramię zdrowej ręki. Skowyczy straszliwie, kiedy noga przesuwą się pod nią. Czuję, jak szczeka zębami. Biegnę. Przebiegam przez potrzaskany mostek w stronę rany, która zabija mój statek, i dalej, korytarzami na tym samym poziomie, prosto w serce chaosu. Na korytarzach roi się od ludzi, którzy porzucają swoje posterunki i zadania, żeby dobiec do kapsuł ratunkowych i transportowców w przednim hangarze. Ludzie, którzy dla mnie walczyli – elektrycy, woźni, żołnierze, kucharze, służba. Nie uda im się bezpiecznie uciec. Wielu zmienia kierunek na mój widok. Pędzą mi na spotkanie, opierają się o mnie, są spanikowani i szaleńczo szukają bezpiecznego miejsca. Szarpią mnie, krzyczą, błagają. Odpycham ich, tracąc małą część serca z każdym człowiekiem, którego zostawiam za sobą. Nie mogę ich uratować. Nie mogę. Pomarańczowy łapie Theodorę za zdrową nogę. Szara sierżant uderza go w czoło, a on pada na ziemię jak kamień.

– Z drogi! – grzmi potężnie zbudowana Szara.

Wyciąga miotacz z kabury i strzela w powietrze. Inny Szary opamiętuje się (a może uznaje, że jestem jego jedyną szansą na wydostanie się z tej śmiertelnej pułapki) i pomaga sierżant oczyścić nam drogę przez tłum. Wkrótce kolejnych dwóch, grożąc ludziom bronią, otwiera nam przejście.

Dzięki ich pomocy docieram do swojej kabiny. Drzwi otwierają się z sykiem, gdy ich dotykam, i odczytują moje DNA. Wchodzimy do środka. Szarzy idą za nami, celując z miotaczy w trzydziestkę desperatów, którzy

otaczają wejście kołem. Drzwi syczą, jakby miały się zamknąć, ale jakaś Obsydianowa przepycha się przez tłum i staje w nich, uniemożliwiając to. Dołącza do niej Pomarańczowy. I Niebieski niskiej rangi. Szara sierżant bez wahania strzela Obsydianowej w głowę. Jej towarzysze załatwiają Niebieskiego i Pomarańczowego, po czym odpychają ich, żeby drzwi mogły się zamknąć. Odrywam wzrok od krwi na ziemi i kładę Theodorę na jednej z kanap.

– Dominus, ile jest miejsc w kapsule ratunkowej? – pyta mnie Szara sierżant, kiedy podchodzę do zamka kapsuły.

Ma włosy przyszytych tuż przy skórze, po wojskowemu. Spod kołnierzyka wystaje tatuaż na opalanej skórze. Moje ręce przesuwają się nad pryzmatem kontrolnym, wprowadzam hasło serią gestów.

– Cztery. Dostaniecie dwa. Rozstrzygnijcie to między sobą.

Jest nas szóstka.

– Dwa? – pyta chłodno sierżant.

– Ale Różowa to niewolnica! – syczy jeden z Szarych.

– Gówna warta – dodaje drugi.

– To moja niewolnica – warczę. – Róbcie, co mówię.

– Walić to.

Ciszę, jaka wtedy zapada, w równym stopniu czuję na skórze, jak słyszę i wiem, że jeden z nich właśnie celuje do mnie ze swojej broni. Odwracam się powoli. Zwalisty stary Szary nie jest głupcem. Wycofał się poza mój zasięg. Nie mam zbroi, tylko brzytwę. Może zdołałbym go zabić. Pozostali pytają go, co, u diabła, wyprawia.

– Jestem wolnym człowiekiem, dominus. Powinienem dostać szansę – mówi Szary drżącym głosem. – Mam rodzinę. Mam prawo do tego miejsca. – Patrzy na towarzyszy skąpany w paskudnym czerwonym świetle alarmowym. – A to jest zwykła kurwa. Nadęta kurwa.

– Marcelu, odłóż broń – mówi ciemnoskóry kapral. Wpatruje się w przyjaciela. – Przypomnij sobie swoją przysięgę. Będziemy ciągnąć losy.

– To nie w porządku! Ona nawet nie może mieć dzieci!

– A co teraz pomyślałyby o tobie twoje dzieci? – pytam.

Oczy Marcela napęniają się łzami. Miotacz drży w jego potężnej dłoni. Potem rozlega się strzał. Jego ciało sztywnieje i zwala się bez życia na pokład, kiedy kula z miotacza sierżant przeszywa mu głowę i uderza w metalową ścianę.

– Załatwimy to zgodnie z rangą – oznajmia sierżant, chowając broń do kabury.

Gdybym nadal był człowiekiem, którego znała Eo, zamarłbym ze zgrozy. Jednak tamten człowiek przepadł. Codziennie opłakuję jego śmierć. Coraz bardziej zapominam, kim byłem, jakie miałem marzenia, co kochałem. Teraz mój smutek sprowadza się do odrętwienia. A ja trwam, mimo cienia, jaki na mnie rzuca.

Magnetyczny zatrask odsuwa się ze szczękiem i kapsuła ratunkowa otwiera się. Drzwi z sykiem unoszą się do góry. Podnoszę Theodorę z kanapy i przypinam ją pasami do jednego z siedzeń. Pasy są dla niej niemal za duże, pomyślane dla Złotych. A potem coś ryczy z wnętrzości mojego statku basowo i potwornie. Pół kilometra od nas wybuchają nasze zapasy torped.

Znika sztuczna grawitacja. Przepadły grodzie. To zdradzieckie wrażenie. Wszystko się kręci. Uderzam o podłogę kapsuły. A może o sufit? Nie wiem. Powietrze ucieka ze statku. Ktoś wymiotuje. Bardziej orientuję się po zapachu, niż to słyszę. Krzyczę do Szarych, żeby ładowali się do kapsuły. Jeden z nich zostaje – cichy, ze ściągniętą twarzą – podczas gdy sierżant i kapral wchodzą do środka. Przypinają się pasami naprzeciwko mnie. Aktywuję wyrzutnię i salutuję Szaremu, którego zostawiamy. Odpowiada salutem, dumny i wierny w swoim milczeniu, kiedy stawia czoło ostatnim chwilom swojego życia. Patrzy w dal i myśli o pierwszej miłości, niewybranych drogach, może zastanawia się, dlaczego nie urodził się Złoty.

Drzwi zamykają się i mężczyzna znika.

Ładuję ciężko w fotelu, kiedy kapsuła zostaje wystrzelona z umierającego pancernika. Przemyka wśród szczątków. A potem znowu znika ciężenie i oddalamy się od kłopotów, gdy włączają się tłumiki bezwładnościowe. Przez iluminator widzę, jak z mojego okrętu flagowego buchają języki niebieskiego i czerwonego płomienia. Przetworzony hel-3, który napędza oba statki, zapala się w pobliżu silników i rozpoczyna łańcuszek kolejnych wybuchów, które go rozrywają. Nagle dociera do mnie, że to, co obijało się o boki kapsuły ratunkowej, gdy opuszczałem statek, to nie były jego fragmenty. To byli ludzie. Moja załoga. Setki podKolorów, które wysypały się w przestrzeń kosmiczną.

Szarzy siedzą naprzeciwko mnie.

– Miał trzy córki – odzywa się ciemnoskóry kapral, drżąc, gdy spada mu poziom adrenaliny. – Jeszcze dwa lata i odszedłby na emeryturę. A ty strzeliłaś mu w głowę.

– Po moim raporcie ten tchórz nie uskrobałby nawet na rentę pośmiertną – warczy sierżant.

Kapral patrzy na nią zdumiony.

– Ale z ciebie zimna suka.

Ich rozmowa ucicha, przytłumiona przez szum krwi w moich uszach. To moja wina. Złamałem zasady w Instytucie. Zmieniłem paradygmat i myślałem, że nie zdołają się do tego zaadaptować. Że nie zmienią swojej strategii ze względu na mnie.

A teraz straciłem tak wielu ludzi. Możliwe, że nigdy nie dowiem się jak wielu.

Więcej ludzi zginęło w tej krótkiej chwili niż podczas całego roku w Instytucie; ich śmierć otwiera czarną dziurę w moim brzuchu.

Roque i Victra wywołują mnie przez system łączności. Śledzą sygnał z mojego terminala i wiedzą, że jestem bezpieczny. Ledwie ich słyszę. Wiruje we mnie gęsty i zgubny gniew; przez niego ręce mi się trzęsą i serce łomocze.

Jakimś cudem statek Karnusa nadal sunie przez przestrzeń kosmiczną po tym, jak przepołowił mój okręt; jest uszkodzony, ale wciąż funkcjonuje. Staję w kapsule, odpiawszy pasy. Na drugim jej końcu znajduje się wyrzutnia z załadowanym tam zawczasu astroPancerzem – zmechanizowanym kombinezonem, który zamienia człowieka w żywą torpedę. AstroPancerze zaprojektowano w taki sposób, żeby móc w nich wystrzeliwać Złoty na powierzchnię asteroid lub planet, bo kapsuła nie zniosłaby ponownego wejścia w atmosferę. Ja jednak wykorzystam go do zemsty. Wystrzelę się prosto na parszywy mostek tego skurczysyna z rodu Bellona.

Theodora jeszcze się nie obudziła. To dobrze.

Każę kapralowi pomóc mi założyć pancerz. Dwie minuty później siedzę już w metalowej skorupie. Potrzebuję kolejnych dwóch na sprzeczkę z komputerem na temat wyliczeń potrzebnych do wyznaczenia mojej trajektorii tak, żeby przecięła kurs Karnusa i żebym wpadł do środka jego okrętu przez okno na mostku. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zrobił coś takiego. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś choćby próbował. To szaleństwo. Ale Karnus zapłaci.

Zaczynam odliczanie.

Trzy... Okręt przeciwnika przelatuje arogancko sto kilometrów od nas. Czarny wąż z niebieskim koniuszkiem ogona i mostkiem zamiast ślepi. Między nami iskrzy się setka kapsuł ratunkowych jak garść rubinów rzuconych w słońce. Dwa... Modłę się, żebym znalazł się w Dolinie, jeśli tego nie przeżyję. Jeden. Mój układ sterowania wyłącza się i czerwone światło rozbłyskuje mi w hełmie. Rewizorzy obesзли mój komputer i wyłączyli mi sterowanie.

– NIE! – wyję, patrząc, jak statek Karnusa znika w ciemności.

## Krew i szczyny

Osiemset trzydzieści trzy osoby. Osiemset trzydzieści trzy osoby zostały zabite dla zabawy. Wolałbym nigdy nie poznać tej liczby. Powtarzam ją raz za razem, kiedy siedzę w części pasażerskiej na statku ratowniczym, który zabierze mnie z powrotem do Akademii. Moi przybocznicy boją się spojrzeć mi w oczy. Nawet Roque zostawia mnie w spokoju.

Instruktorzy unieruchomili mój astroPancerz, zanim zdołałem się wystrzelić. Mówią, że chcieli mi oszczędzić idiotycznego błędu. Zagrywka była pochopna, głupia, niegodna Złotego pretora. Patrzyłem na nich beznamietnie, kiedy odbierali mój raport przez holo.

Docieramy do Akademii w godzinach wieczornych cyklu dobowego na moim statku. Ogromny, okryty kopułą metalowy port na obrzeżach pola asteroid jest otoczony dokami dla niszczycieli i pancerników. Większość doków jest zapełniona. To siedziba Akademii i dowództwa wśród Sektora, Wspólnotowych sił wojskowych środkowych światów: Marsa, Jowisza i Neptuna, chociaż korzystają z tego miejsca także inne siły, kiedy położenie ich planet na orbicie sprawi, że znajdą się w pobliżu. Inni studenci oglądali to na żywo w swoich sypialniach. Podobnie jak wielu oficerów z Floty i Niezrównanych, którzy zjechali się tutaj na ostatnie tygodnie rozgrywki z myślą o przyjęciach i widokach.

Nikt nie wspomni o cenie krwi, jakiej wymagało zwycięstwo Karnusa. Jednak przegrana utrudni mi realizację misji. Synowie Aresa mają szpiegów. Mają hakerów i kurtyzany, którzy kradną sekrety. Nie mają za to floty. I teraz nie mają szansy na jej zdobycie.

Nikt nie wita mnie i moich przybocznych w porcie.

Czerwoni i Brązowi krzążą się pod kierownictwem dwóch Fioletowych i Miedzianego, przygotowując się do obchodów Zwycięstwa Karnusa w wielkiej antykamerze. Błękit i srebro domu Bellona zdobią przepastne metalowe korytarze. Herb z orłem jego rodu przyobleka ściany. Wysypali dla niego płatki białych róż. Czerwone są zarezerwowane dla Triumfów, prawdziwych zwycięstw, w których została przelana krew Złotych. Krew ośmiuset trzydziestu trzech podKolorów się nie liczy. To statystyka.



Moi przybocznicy spali, kiedy lecieliśmy z powrotem do Puszki. Ja nie. Tactus i Victra idą teraz przede mną. Potykają się i milczą, jakby wciąż się nie obudzili. Mimo brzemienia na ramionach nie marzę o śnie. Żal kryje się za moimi przekrwionymi oczami. Wiem, że gdybym zasnął, zobaczyłbym twarze tych, których zostawiłem na pewną śmierć w korytarzach statku. Wiem, że zobaczyłbym Eo. Nie jestem w stanie stawić jej dzisiaj czoła.

W Akademii pachnie kwiatami i środkami dezynfekującymi. Różane płatki leżą w stojących z boku pojemnikach. Biegnące górą przewody poddają recyklingowi nasze oddechy i oczyszczają powietrze. Szumią nieustannie. Blade jak siki jarzeniowe światło pada z sufitu, jakby miało nam przypominać, że nie jest to miejsce życzliwe dla dzieci i bajek. Jest surowe i zimne, tak jak tutejsi mężczyźni i kobiety.

Roque trzyma się mnie, gdy idziemy, chociaż z wyglądu przypomina śmierć. Mówię mu, żeby się trochę przespał. Zasłużył na to.

– A na co ty zasłużyłeś? – pyta. – Bo nie na dzień pretensji do siebie. Nie na dzień samobiczowania. Ze wszystkich lansjerów jesteś drugi. Drugi! Bracie, dlaczego nie czujesz z tego powodu dumy?

– Nie teraz, Roque.

– Daj spokój – nie ustępuje. – To nie zwycięstwo tworzy człowieka, ale jego porażki. Myślisz, że nasi przodkowie nigdy nie przegrali? Nie musisz psioczyć z tego powodu i zachowywać się jak jeden z tych oklepanych greckich bohaterów. Porzuć pychę. To była tylko gra.

– Myślisz, że przejmuję się grą? – Odwracam się do niego. – Zginęli ludzie.

– Sami wybrali służbę we flocie. Znali ryzyko i polegli dla sprawy.

– Jakiej sprawy?

– Zachowania silnej Wspólnoty.

Patrzę na niego. Czy mój przyjaciel, mój przyjaciel o dobrym sercu, może być aż tak ślepy? Jaki wybór mieli ci ludzie? Byli z poboru.

Kręcę głową.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– Oczywiście, że nie rozumiem. Ty nigdy nikomu nic nie mówisz. Ani mnie, ani Sevro. Popatrz, jak potraktowałeś Mustang. Odpychasz od siebie przyjaciół, jakby to byli wrogowie.

Gdyby tylko wiedział.

\*\*\*

Przekonuję się, że ogród jest pusty. Znajduje się na szczycie Puszeki – przestronny szklany hol z ziemią i zielenią, pomysłany jako odskocznia dla zmęczonych jarzeniówkami żołnierzy. Karłowate drzewka kołyszą się na symulowanym wiatyku. Zdejmuję buty i skarpetki i wzdycham, gdy czuję trawę między palcami stóp.

Lampy nad drzewami udają słońce. Leżę pod nimi, aż w końcu z jękiem podnoszę się i idę w stronę gorącego źródła pośrodku polany. Siniaki, w większości wyblakłe, plamą moje ciało jak małe sine i fioletowe stawy okolone żółtymi piaskami. Woda koi ból. Jestem chudszy, niż powinienem, ale ciało mam napięte jak struna. Gdyby nie złamana ręka, powiedziałbym, że jestem zdrowszy, niż byłem w Instytucie. Walka, kiedy karmią cię jajkami na bekonie, jest o niebo lepsza od walki z brzuchem pełnym na wpół surowej koźliny, jaką tam jadaliśmy.

Znajduję kwitnącego hemantusa obok sadzawki. Wyrósł tam, gdzie woda nie sięga. Pochodzi z Marsa tak jak ja, więc go nie zrywam. Pochowałem Eo w takim miejscu jak to. Pochowałem ją w sztucznym lesie nad kopalnią w Lykos, gdzie kochałem się z nią po raz ostatni. Byliśmy wtedy mizernymi, niewinnymi stworzeniami. Skąd w tak kruchej dziewczynie wziął się tak wielki zapal, takie marzenie o wolności, kiedy tak wiele silnych dusz mozoliło się i nie podnosiło głów ze strachu?

Nakrzyczałem na Roque’a, że nie obchodzi mnie porażka. Ale to nieprawda i mam wyrzuty sumienia, że przejmuję się przegraną, kiedy tak wiele straconych istnień domaga się ode mnie całego smutku. Jednak przed dzisiejszym dniem zwycięstwo mnie wzmacniało, bo z każdym kolejnym triumfem zbliżałem się do spełnienia marzenia Eo. Teraz porażka mnie z tego okradła. Zawiodłem dzisiaj Eo.

I jakby znał moje myśli, terminal łaskocze mnie w rękę. Połączenie od Augustusa. Zdejmuję cieniutki jak włos wyświetlacz i zamykam oczy.

Jego słowa odbijają się echem w mojej pamięci: „Nawet jeśli przegrasz, nawet jeśli nie zdołasz zagarnąć dla siebie zwycięstwa, nie pozwól zatriumfować domowi Bellona. Jeśli zyskają kontrolę nad jeszcze jedną flotą, to zakłóci równowagę sił”.

I to byłoby tyle. Unoszę się na wodzie, to przysypiam, to się wybudzam, aż palce mi się marszczą i zaczynam się nudzić. Nie jestem stworzony do takich cichych chwil. Wychodzę z wody, żeby się ubrać. Nie mogę kazać Augustusowi zbyt długo czekać. Czas stawić czoło staremu lwu. A potem może się prześpić. Będę musiał stać i oglądać cholerne Zwycięstwo urządzone dla Karnusa, ale potem wyniosę się z tego paskudnego miejsca, wrócę na Marsa i może do Mustang.

Kiedy jednak wychodzę z sadzawki, odkrywam, że ubranie zniknęło, podobnie jak moja brzytwa.

Wtedy ich wyczuwam.

Słyszę za sobą wojskowe buty. Głośnie, podekscytowane oddechy. Domyślam się, że jest ich czwórka. Podnoszę kamień z ziemi. Nie. Odwracam się i widzę, że siedmioro blokuje wejście do ogrodu. Sami Złoci z domu Bellona. Sami moi śmiertelni wrogowie.

Karnus podchodzi wraz z pozostałymi. Ma równie wymizеровaną twarz jak ja, ale i tak w barach jest co najmniej o połowę szerszy. Góruje nade mną – Obsydianowy pod każdym względem, z wyłączeniem pochodzenia i umysłu. Jego roześmiana gęba promieniuje nieprzeciętną inteligencją. Pociera dłonią podbródek z dołączkiem, a jego umięśnione przedramiona wyglądają jak wyrzeźbione z wygładzonego w rzece drewna. Jest coś przerażającego w obecności kogoś tak wielgachnego, że czujesz wibracje jego głosu w kościach.

– Wygląda na to, że przyłapaliśmy lwa Augustusa z dala od jego stada. Heja, Żniwiarzu.

– Cześć, Goliacie – mruczę, posługując się jego sygnałem wywoławczym.

Goliat niszczyciel. Goliat synobójca. Goliat dziki. Mustang powiedziała, że złamał kiedyś kręgosłup wymuskanemu Złotemu z Luny, przełożywszy go sobie przez kolano za to, że smarkacz ośmielił się wylać mu drinka w twarz w Perłowym Klubie. Jego matka przekupiła potem sędziego, żeby musiał uiścić tylko grzywnę.

Lista kar, jakie zapłacił za morderstwa, jest dłuższa od mojej ręki. Mordował Szarych, Różowych, zabił nawet jednego Fioletowego. Jednak najbardziej zasłynął zamordowaniem Claudiusa au Augustus, dziedzica i ulubionego syna arcygubernatora. Brata Mustang.

Kuzyni Karnusa krążą wokół niego. Wszyscy są z domu Bellona. Wszyscy urodzeni pod niebiesko-srebrnym herbem zwycięskiego orła. Bracia, siostry, kuzyni Cassiusa. Mają gęste kręcone włosy i piękne twarze. Ich wpływy przenikają całą Wspólnotę. Wszyscy słyną z umiejętności walki.

Jeden jest znacznie starszy ode mnie, niższy, ale potężniej zbudowany, jak pniak porośnięty mchem blond włosów. Ma około trzydziestki. Kellan, przypominam sobie teraz. Pełnoprawny legat, rycerz Wspólnoty. Przyszedł tu z braćmi i kuzynami ze względu na mnie. Ocieka arogancją. Ziewa na pokaz, bawiąc się w tę dziecinną grę.

Strach łomocze mi w piersi.

Z trudem oddycham. Mimo to uśmiecham się, a za plecami muskam włącznik systemu łączności na terminalu.

– Siódemka z domu Bellona! – śmieję się. – Po co ci aż siedmioro, Karnusie?

– Ty miałeś siedem statków przeciwko mojemu jednemu – odpowiada. – Przyszedłem podjąć naszą grę. – Przekrzywia głowę. – Myślałeś, że wystarczy mi zagłada twojego okrętu?

– Gra się skończyła – mówię. – Wygrałeś.

– Wygrałem, Żniwiarzu?

– Za cenę życia ośmiuset trzydziestu trzech ludzi.

– Jojczysz, bo przegrałeś? – pyta Cagney.

Jest najdrobniejsza spośród kuzynów, dwudziestoparoletnia lansjerka ojca Karnusa. To ona trzyma moją brzytwę – tę, którą dostałem od Mustang. Przecina nią ze świstem powietrze.

– Zatrzymam ją sobie – dodaje. – Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek widział, jak ją używasz. Nie krytykuję cię, rzecz jasna. Brzytwy są podstępne. Obawiam się, że takie są konsekwencje nędznego wychowania.

– Idź wsadzić pięść swojemu kuzynowi – szydę. – Nie bez powodu wszyscy macie te zasrane loczki i wyglądacie jak spod sztancy.

– Musimy słuchać, jak szczeka, Karnusie? – jęczy Cagney.

– Nauczyłem Juliana łowić ryby, Żniwiarzu – odzywa się nagle legat. – Jako dzieciak nie przepadał za tym, bo uważał, że to za bardzo boli rybę. Twierdził, że to okrutne. Ten chłopiec, którego twój pan kazał zabić. Oto miara jego okrucieństwa. Jak wspaniale się czujesz? Za jak odważnego się uważasz?

– Nie chciałem go zabić.

– Ale my chcemy zabić ciebie – dudni Karnus.

Kiwa głową na swoich kuzynów. Dwóch z nich odłamuje gałęzie i rzuca mu je. Mają brzytwy, ale najwyraźniej nie chcą tego załatwić zbyt szybko.

– Jeśli mnie zabijecie, będą konsekwencje – ostrzegam. – To nie jest legalny pojedynek, a ja jestem Niezrównany. Chroni mnie Porozumienie. To będzie morderstwo. Będą cię ścigać Olimpijscy Rycerze. Osądzą cię. I stracą.

– Kto powiedział cokolwiek o morderstwie? – pyta Karnus.

– Należysz do Cassiusa. – Na lisią twarz Cagney wypływa uśmiech.

– Dzisiaj chroni cię Augustus – mówi Karnus. – Jego wybraniec. Zabicie ciebie oznaczałoby wojnę. Nikt jednak nie zaczyna wojny z powodu małego lania.

Cagney oszczędza lewą nogę. Uszkodzone kolano. Jej kuzyn staje na piętach. Boi się mnie. Karnus, wielkolud, prostuje się przed mną, co oznacza, że ma w dupie wszelkie szkody, jakich mogę narobić. Kellan uśmiecha się i stoi rozluźniony. Nie cierpię tego typu facetów. Niełatwo ich osądzić.

Kalkuluję swoje szanse. Wtedy przypominam sobie o złamanej ręce, uszkodzonych żebrach i stłuczeniu nad prawym okiem i zmniejszam swoje szanse o połowę.

Boję się. Nie mogą mnie zabić, a ja nie mogę zabić żadnego z nich. Nie tutaj. Nie teraz. Wszyscy wiemy, jak zakończy się ten taniec. Mimo to musimy zatańczyć.

Karnus pstryka palcami i wszyscy rzucają się na mnie jednocześnie. Ciskam kamieniem w twarz Cagney. Pada. Atakuję Karnusa, wyjąc jak wściekły wilk, prześlizguję się pod jego pierwszym ciosem, wymierzam grad wściekłych uderzeń w jego centra nerwowe, wbijam łokieć w jego prawy biceps, rozrywając tkankę. Zatacza się do tyłu, a ja napieram, wykorzystując jego potężną budowę jak tarczę przed pozostałymi, uzbrojonymi w kije. Wyrwam oręż jednej z kuzynek, powalam ją ciosem w skroń. A potem obracam się i tą samą bronią mierzę w twarz Karnusa. On jednak blokuje uderzenie. Coś trafia mnie w potylicę. Drewno pęka. Drzazgi wbijają się w czaszkę. Nie potykam się. Do chwili, kiedy Karnus trafia mnie w twarz łokciem tak mocno, że łamie mi ząb.

Nie atakują mnie na zmianę, jedno po drugim. Otaczają mnie i karzą z całą skutecznością ich śmiertelnośnego stylu walki, kravat. Celują w nerwy, w ważne organy. Udaje mi się ustać na nogach, trafić kilku przeciwników, ale nie stoję zbyt długo. Ktoś wbija mi kij w skórę, trafiając w nerw podżebrowy. Padam na ziemię jak stopiony воск, a Karnus kopie mnie w głowę.

Prawie odgryzam sobie język.

Ciepło wypełnia mi usta.

Ziemia jest najmniejszą rzeczą, jaką czuję.

Dławię się solą.

Krew i powietrze tryskają mi z ust, kiedy Karnus wbija stopę w mój brzuch, a potem w gardło. Śmieje się.

– Jak to ujął Lorn au Arcos, jeśli musisz tylko zranić mężczyznę, to lepiej zabij jego dumę.

Z charkotem nabieram powietrza w płuca.

Cagney zastępuje Karnusa, siada mi na piersi, przyszpilając kolanami ręce. Z trudem łapię oddech. Uśmiecha się i patrzy na linię moich włosów. Usta ma rozdziawione z podniecenia, bo dominuje nad drugim człowiekiem. Jej gorący oddech pachnie miętą.

– Co my tu mamy? – pyta, ścigając mi terminal z ręki. – Do diabła. Wezwał ludzi Augustusa. Wolałabym nie walczyć z tą suką Julii bez pancerza.

– To przestań się ociągać – warczy Karnus. – Do roboty.

– Ćśśś – szepcze Cagney, kiedy próbuję się odezwać. Przesuwa nożem po moich ustach i wsuwa go między wargi, aż uderza o zęby. – O tak, grzeczna suczka.

Zaczyna mi odcinać włosy.

– Ładnie i po cichu. Dobry Żniwiarz. Grzeczny Żniwiarz.

Krew piecze mnie w oczy, kiedy Karnus spycha Cagney z mojej piersi, łapie mnie i podnosi z ziemi lewą ręką. Prawą rozluźnia, przeklinając z powodu uszkodzonego bicepsa. Nie może wziąć zamachu do ciosu, więc tylko szczyrzy do mnie zęby w uśmiechu i uderza z główki prosto w mostek. Świat mi się kołysze. Słyszać trzask. Jak gałazki w ogniu. Wydaję z siebie niehumanitarne rżenie. Karnus uderza mnie znowu głową i ciska na ziemię.

Czuję obryzgujące mnie ciepło i smród szczyn wypełnia mi nozdrza. Śmieją się, a Karnus szepcze mi do ucha:

– Matka kazała mi przekazać: żebrak nigdy nie zostanie księciem. Za każdym razem, kiedy spojrzysz w lustro, przypomnisz sobie, co ci zrobiliśmy. Przypomnisz sobie, że oddychasz tylko dlatego, że ci pozwoliliśmy. Przypomnisz sobie, że twoje serce pewnego dnia wyląduje na naszym stole. Wspiąłeś się tak wysoko, a leżysz w błocie.

## Upadek

Stoję przed swoim panem, ale on ma to w nosie.

Ściany gabinetu wyłożono boazerią, na podłodze leży zabytkowy dywan, który jego żelazny przodek zabrał z pałacu na Ziemi po upadku cesarstwa indyjskiego, jednego z ostatnich wielkich państw, jakie przeciwstawiły się Złotym. Jakież przerażenie musieli czuć naturalnie zrodzeni ludzie na widok Zdobywców spadających z nieba. Człowiek idealny, ale niosący kajdany zamiast nadziei.

Stoję przed biurkiem Augustusa, prostym meblem z drewna i żelaza, tuż przed mającą siedemset lat krwawą plamą w miejscu, gdzie głowa ostatniego cesarza indyjskiego została oddzielona od reszty ciała przez doskonałego Złotego zabójcę.

Nero au Augustus głaszcze leniwie lwa, który leży obok biurka. Wyglądają jak bliźniacze posągi. Za nimi rozciąga się kosmos. Iluminator wychodzi na czerń, gdzie statki armady Berło wiszą jak ogromne golemys pogrążone w strasliwym śnie. Mijamy je na ostatnim odcinku naszej trzytygodniowej podróży z Marsa.

Augustus zerka na biurko, na strumień danych przebiegający po drewnie.

Wydaje się, że minęło mnóstwo czasu, odkąd zabrał mnie na wycieczkę po Marsie, żeby pokazać nasze dominia: od latyfundiów, gdzie nadCzerwoni mozolą się przy uprawach, po wielkie obszary polarne, gdzie Obsydianowi żyją w izolacji i średniowiecznych warunkach. Faworyzował mnie wtedy, trzymał blisko siebie, uczył rzeczy, których nauczył go własny ojciec. Byłem jego ulubieńcem, ustępowałem tylko Leto. Teraz on jest obcym człowiekiem, a ja powodem do wstydu.

Minęły dwa miesiące, odkąd Karnus pobił mnie w Akademii. Chociaż włosy mi odrosły, a połamane kości się zrosły, nie odzyskałem dobrej reputacji. I dlatego mój staż u arcygubernatora jest w najlepszym wypadku niepewny. Z każdym dniem przybywa mi wrogów. Ci nowi jednak wolą szept od brzytwy.

Coraz bardziej wierzę, że Synowie Aresa wybrali niewłaściwego człowieka. Nie jestem stworzony do tej walki na zimno, do polityki. Nie jestem też stworzony do subtelności. Do diabła, w dowolnej chwili jestem

gotowy schować chłopaka w brzuchu zdechłego konia, ale nie potrafiłbym nikogo przekupić, nawet gdyby zależało od tego moje życie.

Łagodny, ciepły głos przyzwyczajony do głoszenia półprawd sący się przez gabinet arcygubernatora:

– Trzy rafinerie. Dwa nocne kluby. I dwa posterunki policyjne Szarych. Wszystkie wysadzono w powietrze, odkąd opuściliśmy Marsa. Siedem ataków, mój panie. Pięćdziesiąt dziewięć ofiar wśród Złotych.

Pliniusz. Smukły jak salamandra, o skórze gładkiej jak u Różowego. Politikos nie jest Niezrównanym Naznaczonym, nigdy nawet nie trafił do Instytutu. Spogląda błyszczącymi oczami spod rzęs, które sprawiłyby, że paw zawstydziłby się własnych piór. Przygaszona szminka pokrywa jego wąskie wargi. Włosy ma ułożone w pukle i wypachnione. Jego ciało jest szczupłe, ale muskularne w przyjemny dla oka, choć zupełnie zdawkowy sposób, okryte zbyt ciasną haftowaną tuniką z jedwabiu. Dziecko mogłoby sprać na kwaśne jabłko tego ślicznego kociaka w skórze mężczyzny. A jednak potrafi niszczyć całe rody, rzucając tu pogłoskę, tam żarcik. Dysponuje zupełnie innym rodzajem siły. O ile ja jestem ucieleśnieniem energii kinetycznej, o tyle on – potencjalnej.

Słyszałem, że jest także odpowiedzialny za zniszczenie mojej reputacji. Tactus zasugerował, że to Pliniusz mógł skłonić Karnusa do aktu przemocy w ogrodzie, albo przynajmniej zaaranżować, żeby holoKamery zarejestrowały te chwile mojego „triumfu”.

Obok Pliniusza stoi czwarta osoba w pokoju, Leto. To bystry lansjer, dziesięć lat ode mnie starszy. Nosi włosy zaplecione w warkocze i ma uśmiech jak sierp księżyca. Jest także poetą brzytwy, według niektórych młodszą wersją Lorna au Arcos. Najpewniej to on odziedziczył posiadłości Augustusa zamiast jego własnych potomków: Mustang i Szakala. Prawdę mówiąc, lubię tego gościa.

– Synowie Aresa robią się zbyt śmiali – mruczy Augustus.

– Tak, mój panie. – Pliniusz mruży oczy. – O ile to rzeczywiście oni stoją za tymi działaniami.

– A jaka jeszcze inna mrówka nas podgryza?

– O żadnej więcej nie wiemy, ale istnieją także pająki, kleszcze i szczury. Ataki bombowe są prostackie jak na robotę Aresa, mało wybiórcze, nietypowo dla niego brutalne. Nie pasują do wzorca obejmującego sabotaże techniczne i propagandę. Ares nie jest kapryśny, więc z trudem przychodzi mi uwierzyć, że to on stoi za tymi wydarzeniami.

Augustus marszczy brwi.

– Co zatem sugerujesz?



– Może istnieje inna grupa terrorystyczna, mój panie. Zważywszy że według cenzusu mamy osiemnaście miliardów ludzi, trudno uznać, że jeden człowiek ma monopol na wszystkie akcje terrorystyczne. Może to nawet organizacja przestępcza. Pracowałem nad bazą danych, którą mogę się podzielić...

Pliniusz ma rację. Ataki terrorystyczne, które dręczą ostatnio Marsa i inne planety, nie mają sensu. Dancer mówił o sprawiedliwości, nie o zemście. Te akcje są małostkowe i makabryczne: ataki bombowe w koszarach, w outletach odzieżowych, na bazarach, w kawiarniach dla nadKolorów, w restauracjach. Ares nigdy nie zgodziłby się na coś takiego. Przyciągają zbyt dużą uwagę, przynoszą zdecydowane za mało i prowokują Złotych do działania, do zniszczenia Synów Aresa.

Wysyłałem wiadomości do Dancera przez holoSkrzynkę. Nic. Tylko cisza. Czy to możliwe, że nie żyje? Czy też Ares porzucił mnie na rzecz nowej strategii ataków bombowych?

Pliniusz ziewa.

– Może Ares zmienił taktykę. To diabeł wcielony.

– O ile to w ogóle mężczyzna – odzywa się Leto.

– Ciekawe. – Augustus obraca się gwałtownie. – Uważasz, że nie?

– A dlaczego zakładamy, że Ares to mężczyzna? Może to kobieta. A równie dobrze może okazać się grupą jednostek, co wyjaśniałoby niespójność nowej strategii z poprzednią. – Leto odwraca się do mnie i patrzy zachęcająco. – A co ty myślisz, Darrow?

– Nie dręcz Darrowa skomplikowanymi pytaniami! – grucha Pliniusz obronnym tonem. – Niech to będą takie, na które wystarczy odpowiedzieć tak lub nie, żeby się nie pogubił. – Posyła mi najbardziej litościwy z uśmiechów i ściska mnie współczująco za ramię. – Za przyjemnymi uśmiechami kryje się proste, uczciwe stworzenie. Powinieneś o tym wiedzieć.

Stoję tam i przyjmuję te słowa.

Pliniusz odwraca się ode mnie.

– W każdym razie, Leto, zapominasz o tym, że zaprojektowaliśmy kulturę Czerwonych tak, żeby była wysoce patriarchalna. Ich tożsamość zbiorowa skupia się wokół gromadzenia zasobów koniecznych do wstępnego terraformowania Marsa. A żmudne fizyczne, wyczerpujące prace spadają na barki mężczyzn. Nie pozwalamy wykonywać ich kobietom, nawet kiedy są do tego zdolne, bo przestrzegamy Protokołu Stratyfikacyjnego. Widzisz więc, że to nie może być kobieta, bo żaden Rdzawy prostak nie podążyłby za kimś, kto nigdy nie pracował na świdroSzponie.

Leto uśmiecha się przebiegle.

– O ile Ares jest Czerwony.

Pliniusz i Augustus się śmieją.

– Może to obłąkany Fioletowy, który przeniósł się ze swoją grą na nową scenę – proponuje Pliniusz.

– Albo Miedziany makler, który zwariował od wypełniania prowincjonalnych zeznań podatkowych – dodaje Leto.

– Nie! Obsydianowy, który, śmiem zasugerować, wreszcie porzucił swój lęk przed techniką i nauczył się korzystać z holoKamery. – Pliniusz klepie się z uciechy w udo. – Oddałbym jedną z moich Róż, żeby tylko zobaczyć...

– Dość już, łaskawi panowie. – Augustus przerywa im, pukając palcem w blat biurka. Pliniusz i Leto uśmiechają się do siebie szeroko i odwracają się do arcygubernatora. – Co zalecasz, Pliniuszu?

– Tak, oczywiście. – Pliniusz odchrząkuje. – W przeciwieństwie do ich propagandy i cyberataków, na brutalne zamachy odpowiedź jest łatwa. Czy to Ares, czy też nie, trzeba zareagować. Nasze drużyny uderzeniowe są gotowe przeprowadzić taktyczne ataki na kilkanaście ośrodków treningowych terrorystów pod powierzchnią Marsa. Powinniśmy uderzyć już teraz. Jeśli zaczekamy, pretorianie Suwerenki wezmą sprawy w swoje ręce. Ludzie z Luny nie rozumieją Marsa. Wszystko zawala.

– Głupiec ciągnie za liście, brutal ścina drzewo. Mędrzec wykopuje korzenie. – Augustus milknie. – Powiedział to kiedyś mojemu ojcu Lorn au Arcos. Te słowa wyryto w Sali Ostrzy w Nowych Tebach. Uderzenie w ośrodki treningowe nie da nam nic poza ładnymi obrazkami wybuchów w holoSieci. Mam dość politycznych zagrywek. Nasza strategia musi się zmienić. Z każdym atakiem bombowym Suwerenka jest coraz bardziej znużona moją administracją.

– Zarządzasz Marsem – mówi Leto. – Nie Wenus, nie Ziemią. Nasza planeta nie należy do spokojnych. Czego ona się spodziewa?

– Efektów.

– O czym myślisz, mój panie? – pyta Pliniusz.

– Zamierzam zatruć korzenie tego drzewa, Synów Aresa. Chcę zamachowców-samobójców, nie Szarych. Znajdźcie najpodlejszych, najbrzydszych Czerwonych na Marsie, weźcie ich rodziny jako zakładników, zagroźcie, że zabijecie ich synów i córki, jeśli ojcowie nie zrobią tego, co im rozkażemy. Skupcie zamachowców-samobójców na powierzchni, gdzie jest dużo młodzieży, i w dwóch wybranych kopalniach. Żadnych kobiet. Chcę rozłamu w ich społeczeństwie. Kobiety przeciwko przemocy.

Jak niewiele jest warte tutaj życie. To raptem słowa na wietrze.

– Także w obszarach miejskich – kontynuuje arcygubernator. – Nie tylko Brązowi i Czerwoni górnicy i rolnicy. Chcę mieć martwe Niebieskie i Zielone dzieci w szkołach albo pasażach handlowych, a obok pozostawione symbole Aresa. A potem przekonamy się, czy inne Kolory nadal będą śpiewać przekłętą piosenkę tej dziewczyny.

Serce zamiera mi na chwilę. Eo nawet sobie nie wyobrażała, że jej pieśń tak się rozprzestrzeni: dotarła do holoSieci i przepłynęła przez cały Układ Słoneczny, udostępniona ponad miliard razy dzięki anarchistycznym grupom hakerskim. Raz za razem obawiam się, że ktoś mnie rozpozna. Może niektórzy Złoci przegrzebią się przez archiwa i odkryją, że mąż Eo nazywał się Darrow. Jednak nawet ja ledwie poznaję tego chudego jak szkielet, bladego chłopaka. A jeśli idzie o imiona? Nie ma w archiwach rzetelnych zapisów z imionami podCzerwonych. Miałem numer nadany mi przez jakiegoś nadgorliwego Miedzianego administratora. L17L6363. I L17L6363 został powieszony, umarł na sznurze, a potem jego ciało zostano wykradzione przez nieznanego sprawcę i prawdopodobnie pochowane głęboko w kopalni.

– Zamierzasz zrazić inne kolory do Czerwonych, a potem Czerwonych do Synów Aresa? – Pliniusz się uśmiecha. – Mój panie, czasem zastanawiam się, po co w ogóle potrzebujesz moich usług.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie, Pliniuszu. To poniżej godności nas obu. Pliniusz się kłania.

– W rzeczy samej. Proszę o wybaczenie, mój panie.

Augustus znowu patrzy na Leto.

– Wiercisz się jak szczeniak.

– Boję się, że to pogorszy sytuację. – Leto marszczy czoło do własnych myśli. – W tej chwili Synowie są uciążliwością, to fakt. Daleko im jednak do naszych najpoważniejszych problemów. Jeśli to zrobimy, możemy dolać oliwy do ognia. Co gorsza, będziemy wtedy równie winni jak oni sami. Staniemy się terrorystami.

– Nie ma żadnej winy. – Pliniusz zerka od niechcienia na płynące dane na swoim terminalu. – Nie, kiedy sam jesteś sędzią.

To nie uspokaja Leto.

– Mój panie, musimy rządzić, ponieważ jesteśmy najlepiej stworzeni do kierowania rodzajem ludzkim. Jesteśmy królami–filozofami Platona. Władamy w imię porządku. Zapewniamy stabilność. Synowie Aresa są anarchistami. Im chodzi o chaos. Powinniśmy to wykorzystać. To powinno być naszą bronią. Nie Szarzy atakujący nocą. Nie zamachowcy wśród dzieci.

– Powinniśmy dążyć do wyższych celów? – pyta Pliniusz.

– Tak! Może należałoby rozkręcić kampanię medialną przeciwko Synom. Darrow, nie zgodzisz się ze mną?

Znowu nie odpowiadam. Nie odezwę się, dopóki arcygubernator nie dostrzeże mojej obecności. Nie ceni sobie bezczelności ani niestosownego zachowania, o ile nie są dla niego korzystne.

– Idealizm. – Pliniusz wzdycha. – Godny podziwu u młodych ludzi, nawet jeśli chybiony.

– Uważaj sobie z tym protekcyjnym tonem, politikosie – warczy Leto, przyglądając się znaczącemu uśmieszkowi na twarzy Pliniusza, na której nie ma blizny Niezrównanego. – Twój plan powinien być mniej brutalny, arcygubernatorze. Tylko o to mi chodzi.

– Brutalność. – Augustus pozwala, żeby słowo zawisło w powietrzu. – Brutalność nie jest ani dobra, ani zła. To po prostu przymiot, cecha, w tym wypadku atrybut działania. Tymczasem musisz przeanalizować naturę samego działania. Czy powstrzymanie terrorystów przed zabijaniem niewinnych jest złe czy dobre?

– Dobrze. Chyba.

– Zatem jakie znaczenie mają nasze metody, dopóki skrzywdzimy mniej niewinnych, niż skrzywdziliby Synowie, gdybyśmy pozwolili im dalej istnieć? – Augustus splata dłonie o długich palcach. – Jednakże w gruncie rzeczy to nie jest kwestia filozoficzna, lecz polityczna. Synowie Aresa nie są zagrożeniem. W żadnym razie. To jedynie broń dla naszych politycznych przeciwników, przede wszystkim dla domu Bellona, którzy wykorzystają ich jako pretekst ku temu, żeby stwierdzić, że nie potrafię zapanować nad Marsem. Kędzierzawi już próbują pozbawić mnie funkcji gubernatora. Jak wiecie, tylko Suwerenka może to uczynić i nie potrzebuje do tego nawet głosowania w senacie. Jeśli zechce, może oddać Marsa innej rodzinie: Bellonie, naszym sprzymierzeńcom Julii, może nawet komuś spoza planety. Nikt z nich nie będzie zarządzał Marsem równie efektywnie jak ja. A kiedy Mars działa efektywnie, wszyscy na tym korzystają, i ci na dole, i ci na górze. Nie jestem despotą. Ojciec musi jednak trzepnąć dzieci po uszach, gdy próbują podpalić dom. Jeśli mam zabić parę tysięcy dla dobra większości, dla nieprzerwanego strumienia helu-3, dla obywateli tej planety, żeby mogli żyć w świecie, którego nie rozrywa wojna, to tak zrobię. A to sprowadza nas do kwestii Darrowa au Andromedus.

Teraz jego zimne oczy zatrzymują się na mnie, zaraz po tym, jak skazał na śmierć tysiąc niewinnych ludzi. Nie umiem powstrzymać wzdrygnięcia, kiedy narasta we mnie mroczna nienawiść. Pochylam głowę uprzejmie i z szacunkiem.

– Mój panie. Wezwałeś mnie?

– Owszem. I przedstawię powód krótko. Kiedy zabrałem cię z Instytutu i zatrudniłem u siebie, to była ryzykowna zagrywka. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak.

– Myślałem, że twoje zasługi wystarczą, i uznałem, że twoja rywalizacja z Cassiusem au Bellona jest zabawna na swój dziecinny sposób. Jednakże krwawa waśń między wami stała się... – Zerka na Pliniusza. – ...uciążliwa dla moich interesów, zarówno pod względem ekonomicznym, jak i politycznym. Utraciliśmy znaczące dochody z powodu wzrostu celi w handlu z Rdzeniem, gdzie Bellona ma swoich stronników. Rody wahają się, czy honorować umowy zawarte lata temu przy stołach negocjacyjnych. Zatem w ramach pojednawczego gestu wobec poszkodowanych stron postanowiłem sprzedać twój kontrakt innemu rodowi.

Wzdrygam się.

– Mój panie... – próbuję wtrącić. Nie może do tego dojść. Pozbawi mnie mojego miejsca, prawie trzy lata pracy pójdą na marne. – Gdybym mógł...

– Nie możesz. – Otwiera szufladę i nonszalanckim gestem rzuca swojemu lwu kawał mięsa. – Podjąłem tę decyzję miesiąc temu. Nie ma sensu się ze mną spierać. Nie jestem Żywym Srebrem negocjującym kontrakty terminowe na lit. Pliniuszu...

– Szczegóły są dość proste, Darrow, więc poradzisz sobie z ich zrozumieniem. – Pliniusz nie odrywa ode mnie wzroku. – Arcygubernator był nadzwyczaj uprzejmy, uprzedzając cię o rozwiązaniu umowy, zgodnie z twoim kontraktem.

– Mój kontrakt mówi, że powinien zostać poinformowany z minimum sześciomiesięcznym wyprzedzeniem.

– Jeśli przypomnisz sobie paragraf ósmy, ustęp C, klauzulę czwartą, to owszem, powinieneś zostać poinformowany z sześciomiesięcznym wyprzedzeniem, chyba że zachowasz się w sposób niegodny lansjera szanownego rodu Augustus.

– To jakiś żart? – Patrzę na Leto i Augustusa.

– A śmiejemy się? – pyta sztywno Pliniusz. – Nie? Nikt nawet nie prychnął ani nie parsknął?

– Wśród lansjerów zająłem drugie miejsce w klasyfikacji absolwentów Akademii! Ty nie zdołałeś nawet zaliczyć Instytutu.

– Nie, nie chodzi o to. Wykazałeś się... dostatecznie.

– O co w takim razie?

– O twoją nieustanną obecność w talk showach w hP.

– Nigdy nie brałem udziału w żadnym programie w hP! Ja tego nawet nie oglądam!

– Och, daruj sobie. Rozkoszujesz się swoją sławą. Chociaż kpią z ciebie, pławisz się w blasku reflektorów i okrywasz ten ród wstydem. Znamy historię wyszukiwania na twoim terminalu. Widzimy, jak mizdrzysz się przed swoimi wizerunkami w hP, jakby to było twoje osobiste lustro. Krążą historie na temat ciebie i córki arcygubernatora...

– Mustang jest na dworze na Lunie!

– Co najprawdopodobniej sam zaaranżowałeś. Poprosiłeś, żeby dołączyła do dworu Suwerenki? Czy to część twojego planu poróżnienia córki z ojcem?

– Pieprzysz od rzeczy.

– Kalasz wizerunek domu Augustus. Bijesz się z członkami rodziny Bellona w miejscu stworzonym z myślą o odpoczynku i kontemplacji. Nie możemy tego tolerować.

Nie wiem, co powiedzieć. Wszystko zmyśla. Fakty by wystarczyły, ale on kłamie, żeby mi dopiec, dowieść, że ma nade mną władzę.

– Zerwanie kontraktu nastąpi za trzy dni – dodaje.

– Trzy dni – powtarzam.

– W tym czasie udasz się z nami na powierzchnię Luni i pozostaniesz w rezydencji przygotowanej dla rodziny Augustus na okres Szczytu, ale od tej chwili nie jesteś już lansirerem tego rodu. Nie reprezentujesz arcygubernatora i nie możesz wykorzystywać jego nazwiska, żeby uzyskać dostęp do różnych obiektów, nadskakiwać młodym damom czy młodym mężczyznom, chwalić się nim, obiecywać ani grozić. Twój rodowy terminal zostanie skonfiskowany. Twoje kody identyfikacyjne lansirera już zdegradowano i w związku z tym zaprzestasz udziału we wszelkich projektach, do jakich wcześniej zostałeś przypisany.

– Brałem udział tylko w projektach budowlanych.

Na usta Pliniusza wypływa gadzi uśmiešek.

– Wobec tego zmiana będzie dla ciebie łatwa.

– Komu zostanie sprzedany? – udaje mi się wykrztusić pytanie.

Augustus nie patrzy mi w oczy, kiedy mnie porzuca. Głaszcze swojego lwa. Można by pomyśleć, że w ogóle nie ma mnie w tym pokoju. Leto wbija wzrok w podłogę, zawstydzony. Jest zbyt szlachetny na taką farsę, ale Augustus chciał, żeby był przy tym, żeby się uczył, jak należy amputować gnijącą kończynę.

– Nie zostaniesz sprzedany, Darrow. Spodziewałbym się, że mimo swojego urodzenia będziesz rozumiał swoje miejsce. Nie jesteśmy Różowymi czy

Obsydianowymi, żeby sprzedawać nas jak niewolników. Twoje usługi wystawiono na aukcję – odpowiada Pliniusz.

– Psiakrew, to jedno i to samo – warczę. – Porzucacie mnie. Ktokolwiek mnie kupi, moje usługi nie będą mnie chronić przed rodziną Bellona. Te kędzierzawe sukinsyny dopadną mnie i zabiją. Nie zrobili tego dwa miesiące temu tylko dlatego, że...

– Że byłeś przedstawicielem rodu Augustus? – pyta Pliniusz. – Ale arcygubernator nie jest ci nic winny. Tkwisz w tym błędnym przeświadczeniu? Przeciwnie: to ty masz wobec niego zobowiązania. Chronienie cię kosztowało nas dużo pieniędzy. Ceną były okazje, kontrakty, umowy handlowe. I te koszty okazały się za wysokie. Musimy sprawiać wrażenie, że szukamy pokoju z domem Bellona. Suwerenka życzy sobie pokoju. A ty? Ty jesteś źródłem tarć, przysłowiową solą w oku, narzędziem wojny. Teraz przetapiamy nasz miecz, żeby wykuć lemiesz.

– Ale najpierw zetniesz mi tym mieczem głowę.

– Darrow, nie skamlaj. – Pliniusz wzdycha. – Wykaż się odrobiną determinacji, młody człowieku. Twój czas minął, owszem, ale masz odwagę. Masz wigor typowy dla młodości. Wyprostuj ten swój kręgosłup i odejdz z godnością Złotego, który wie, że zrobił wszystko, co w jego mocy. – Jego oczy śmieją się ze mnie. – To oznacza, że masz wyjść z gabinetu. I to teraz, łaskawy panie, zanim Leto skopie ci ten nedorzecznie umięśniony tyłek.

Patrzę na arcygubernatora.

– Taką masz o mnie opinię, mój panie? Uważasz mnie za pochlipującego dzieciaka, którego można wysłać do kąta?

– Darrow, najlepiej będzie, jeśli... – zaczyna Leto.

– To ty nas zagoniłeś w kozi róg – odzywa się Pliniusz, kładąc rękę na moim ramieniu. – Jeśli boisz się, że nie otrzymasz odprawy, to niepotrzebnie. Dostaniesz dość pieniędzy...

– Kiedy ostatnim razem sługus arcygubernatora mnie dotknął, wbiłem mu nóż w mózdzek. Sześć razy. – Patrzę na jego rękę, a on szybko ją zabiera. Prostuję się. – Nie odpowiadam przed nienaznaczonym, smarkatym Piksem. Jestem Niezrównanym Naznaczonym. ArcyPrymusem pięćset czterdziestego drugiego rocznika Instytutu Marsjańskiego. Odpowiadam jedynie przed arcygubernatorem.

Robię krok w stronę Augustusa, więc Leto ustawia się tak, żeby móc go osłonić. Wszyscy pamiętają, jaki mam temperament.

– To ty wystawiłeś mi Juliana au Bellona w ramach Próby, mój panie. – Świdruję go wzrokiem. – Zabiłem go dla ciebie. Walczyłem z Karnusem dla ciebie. Milczałem i pilnowałem, żeby moi ludzie także milczeli po tym, jak

próbowałeś kupić swojemu synowi zwycięstwo w Instytucie. – Leto wzdraga się na te słowa. – Zmanipulowałem nagrania. Dowiodłem, że jestem lepszy od twoich własnym potomków. A teraz mówisz, mój panie, że jestem ci kulą u nogi.

– Jesteś Niezrównanym Naznaczonym – zgadza się arcygubernator, analizując dane na biurku – ale masz niewielkie znaczenie. Twoja rodzina nie żyje. Nie zostawiła ci żadnych ziem, żadnych zasobów czy ośrodków przemysłowych, żadnej pozycji w rządzie. Wszystko zostało im odebrane, żeby spłacić długi, wszystko włącznie z honorem. Ciesz się z wszelkich ochłapów, jakie dali ci lepsi od ciebie. Pamiętaj, jakie wyświadczono ci przysługi.

– Myślałem, że ważniejsze są dla ciebie czyny niż tytuły. Mój panie, Mustang cię opuściła. Nie popełniaj błędu, odcinając się także ode mnie.

Wreszcie podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć. Te oczy należą do czegoś, co wyrasta poza człowieka, czai się w nich odległa, bezwzględna kalkulacja napędzana przez monstrualną, nieludzką dumę. Ta duma wykracza poza niego i rozciąga się aż po pierwsze chwiejne kroki, jakie człowiek postawił w pustce kosmosu. To duma licznych pokoleń ojców i dziadków, sióstr i braci, wydestylowanych w pojedyncze, genialne, idealne naczynie, które nie zna porażki, nie znosi błędów.

– Moi wrogowie upokorzyli cię, a poprzez ciebie upokorzyli mnie. Powiedziałeś mi, że wygrasz. Ale przegrałeś. To wszystko zmienia.



## Porzucony

Niedługo umrę.

Tę myśl niosę ze sobą, kiedy nasz prom oddala się od okrętu flagowego Augustusa i śmiga przez armadę Berło. Siedzę wśród lansjerów, ale nie jestem jednym z nich. Oni to wiedzą. I dlatego nie rozmawiają ze mną. Nie ma znaczenia, czy nawiązały się jakieś więzi. Nie mam kapitału politycznego. Słyszałem, że Tactusowi zaproponowano zakład: jak długo wytrzymam bez ochrony Augustusa. Jeden z lansjerów mówi, że trzy dni. Tactus zaciekle oponuje, czym zdradza, jaką lojalność zaskarbiłem sobie u niego w Instytucie.

– Dziesięć dni – oznajmia. – Co najmniej dziesięć dni.

To on wystrzelił kapsułę ratunkową beze mnie. Zawsze wiedziałem, że jego przyjaźń nie jest bezwarunkowa. Mimo to rana jest głęboka i przenika mnie tak dojmującą samotnością, że nie potrafię tego wysłować. Zawsze czułem się samotny wśród Złotych, ale pozwoliłem sobie o tym zapomnieć, zwiódłem sam siebie. Nie jestem jednym z nich. Dlatego siedzę w milczeniu, wyglądając przez okno, gdy przelatujemy przez zebraną flotę, i czekam, aż pojawi się Luna.

Mój kontrakt kończy się ostatniego wieczoru Szczytu, podczas którego wszystkie rządzące rodziny zbierają się na Lunie, żeby zająć się palącymi kwestiami i niepoważnymi błahostkami. To trzy dni, w czasie których mogę poprawić swoje notowania, sprawić, że inni pomyślą, że arcygubernator mnie nie docenił i warto mnie zwerbować. Jednak bez względu na moją wartość jestem skalany. Ktoś mnie miał, a potem się mnie pozbył. Kto weźmie używaną rzecz?

Oto mój los. Mimo twarzy Złotego i talentów jestem towarem. Aż mam ochotę wydrzeć sobie te parszywe Pieczęcie. Jeśli mam być niewolnikiem, to przynajmniej niech wyglądam na niewolnika.

A żeby było jeszcze gorzej, wyznaczono cenę za moją głowę. Nieoficjalnie, rzecz jasna. To niezgodne z prawem, bo nie jestem wrogiem państwa. A jednak mój wróg jest znacznie gorszy. O wiele okrutniejszy od każdego rządu. To kobieta, która wysłała Karnusa i Cagney do Akademii.

Podobno co wieczór, odkąd pozbawiłem Juliana życia podczas Próby, jego matka, Julia au Bellona, siadała przy długim stole w głównej rodzinnej jadalni

na stokach Olympus Mons i podnosiła klosz na srebrnej tacy, którą przynosił Różowy służący. Co wieczór taca była pusta. Co wieczór Julia au Bellona wzdychała smutno, zerkając na siedzącą wokół stołu liczną rodzinę, i powtarzała te same mściwe słowa:

– To oczywiste, że nikt mnie nie kocha. Gdybym była kochana, leżałoby tu serce, które zaspokoiłoby mój głód zemsty. Gdybym była kochana, morderca mojego synka już by nie żył. Gdybym była kochana, moja rodzina uczciłaby pamięć swojego brata. Ale nie jestem kochana. Tak samo jak on. Czym zasłużyłam sobie na tak nienawistną rodzinę?

A potem wielka familia Bellona patrzyła, jak seniorka rodu wstaje z krzesła, wychudła z głodu, karmiąca się jedynie nienawiścią i myślą o zemście, i milczała, dopóki Julia – bardziej zjawa niż kobieta – nie opuściła sali.

Tym, co chroniło moje serce przed wylądowaniem na jej tacy, były ręce arcygubernatora, jego pieniądze, jego nazwisko. Polityka – obiekt mojej nienawiści – pozwalała mi dłużej oddychać. Jednakże za trzy dni ta tarcza stanie się tylko cieniem przeszłości, a chronić mnie będą wyłącznie lekcje, jakich udzielili mi moi nauczyciele.

– To będzie pojedynek – mówi jeden z lansjerów. – Nie może odmówić i zachować honoru – dodaje głośniejszy. – Zwłaszcza jeśli wyzwanie rzuci mu sam Cassius.

– Stary Żniwiarz ma parę asów w rękawie – odpowiada Tactus. – Nie było cię tam, ale nie zabił Apolla samym uśmiechem.

– Posłużyłeś się brzytwą, Darrow? – pyta inny lansjer kpiącym tonem. – Nie widziałem cię ostatnio na treningach fechtunku.

– Nigdy go tam nie widziałeś – dodaje inny. – Piksy unikają tego, w czym nie są dobre, prawda?

Roque wierci się rozeźlony obok mnie. Kładę rękę na jego przedramieniu i odwracam się powoli, żeby popatrzeć na kpiącego lansjera. Victra siedzi za nim, przyglądając się od niechcienia całej scenie.

– Nie fechtuję – mówię.

– Nie fechtujesz czy nie potrafisz fechtować? – pyta ktoś ze śmiechem.

– Zostaw go w spokoju. Mistrzowie brzytwy są drodzy – dodaje Tactus z cwany uśmiechem.

– Naprawdę, Tactusie? – pytam.

Krzywi się.

– Och, daj spokój. Tylko sobie żartuję. Psiakrew, taki jesteś poważny. Kiedyś miałeś więcej poczucia humoru.

Roque mówi coś, po czym Tactus krzywi się i odwraca, ale ja tego nie słyszę. Zapadam się we wspomnieniach, kiedy gra Złotych wydawała się taka łatwa. Co się zmieniło? Mustang.

– Jesteś czymś więcej – szepnęła, kiedy wyjeżdżałem do Akademii. Miała łzy w oczach, ale głos jej nie zadrżał. – Nie musisz być zabójcą. Nie musisz szukać wojny.

– A jaki mam inny wybór? – zapytałem.

– Mnie. Możesz wybrać mnie. Zostać dla mnie. Zostać z myślą o tym, co może zaistnieć. W Instytucie podbiłeś serce chłopców i dziewcząt, którzy nigdy wcześniej nie przekonali się, czym jest lojalność. Jeśli pójdziesz do Akademii, porzucisz to, żeby zostać watażką mojego ojca. Ale ty jesteś kimś innym. To nie jest mężczyzna, którego...

Nie odwróciła się, ale zmienił jej się wyraz twarzy, gdy urwała i zacisnęła usta w wąską kreskę.

„Pokochałam?” Czy właśnie miłość zbudowaliśmy w ciągu tego roku po Instytucie?

Jeśli tak, to kluczowe słowo ugrzęzło jej w gardle, ponieważ wiedziała, tak samo jak ja, że nie ofiarowałem jej całego siebie. Nie podzieliłem się z nią wszystkim, czym byłem. Chciwie zachowałem sobie sekrety. I jak ktoś taki jak ona, mający silne poczucie własnej wartości, miałby odsłonić się, obnażyć własne serce przed człowiekiem, który dawał w zamian tak niewiele? Dlatego zamknęła złote oczy, wepchnęła mi brzytwę w rękę i powiedziała, żebym jechał.

Nie mam do niej pretensji. Wybrała politykę, rząd. Wybrała pokój, bo myśli, że tego właśnie potrzebują jej ludzie. Ja wybrałem ostrze, bo tego potrzebują moi ludzie. Wypełnia mnie przedziwna pustka na myśl, że wystarczyłbym jej, podczas gdy nigdy nie wystarczałem Eo. Roque miał rację. Odepchnąłem ją.

Nie odepchnąłem zaś Sevro. Poprosiłem, żeby wysłano go tam, gdzie mnie, ale potem nagle został odesłany na Plutona, podobnie jak wielu innych Wyjwców. Przeniesiono ich, żeby chronili budowy na odludziu przed drobnymi pirackimi atakami. Teraz podejrzewam, że Pliniusz maczał w tym palce.

Moja ścieżka nigdy nie wydawała mi się równie samotna.

– Nie zostaniesz porzucony – mówi Roque, przysuwając się. – Inne rodziny będą cię chciały. Nie wierz słowom Tactusowi. Ród Bellona cię nie zaatakuje.

– Oczywiście, że nie zaatakuje – kłamię.

I tak wyczuwa mój strach.

– Przemoc jest zakazana w Cytadeli. Zwłaszcza krwawe waśnie. Nawet pojedynki są zabronione, o ile sama Suwerenka nie wyrazi na nie zgody.

Wystarczy, żebyś został na terenie Cytadeli, aż trafisz do nowej rodziny, i wszystko będzie dobrze. Poczekaj, zrób, co musisz, a za rok arcygubernator poczuje się jak głupiec, kiedy wybijesz się po skrzydłami kogoś innego. Istnieje więcej niż jedna droga na szczyt. Nigdy o tym nie zapominaj, bracie. – Ściska moje ramię. – Wiesz, że poprosiłbym rodziców, żeby zalicytowali twój kontrakt... ale oni nie przeciwstawiają się Augustusowi.

– Wiem.

Mogliby wydać miliony na kontrakt i nawet nie zauważyliby straty, ale matka Roque'a zasiada w senacie od dwudziestu lat nie z powodu swojego dobrego serca. Jej los jest związany z lobby Augustusa w senacie. Zawsze go popiera.

– Poradzę sobie. Masz rację – mówię, kiedy Luna pojawia się za oknem, uciszając obecnych i napełniając mnie przerażeniem. Zaludniony księżyc Ziemi. Satelity i różne instalacje otaczają go jak stalowa anielska aureola wokół bursztynowej kuli wystawionej do słońca. – Nic mi nie będzie.

## Ikar

Lądujemy w pobliżu Cytadeli. Lepki, zanieczyszczony wiatr wygina potężne drzewa w pobliżu naszego lądowiska. Pot szybko rosi mi szyję przy stojce. Już nie lubię tego paskudnego miejsca. Chociaż lądujemy na terenie należącym do Cytadeli, położonym daleko od nawet najbliższych miast i otoczonym przez lasy i jeziora, powietrze na Lunie oblepia mi płuca i przyprawia o mdłości.

Na horyzoncie, za iglicami zachodniej części Cytadeli, unosi się Ziemia, opuchła i niebieska. Przypomina mi, jak daleko znalazłem się od domu. Tutejsza grawitacja jest mniejsza od marsjańskiej, wynosi jedną szóstą ciężenia ziemskiego, przez co czuję się niepewny i niezręczny. Mam wrażenie, że szybuję, idąc. Mimo że szybko odzyskuję koordynację ruchową, moje ciało reaguje na swoją lekkość dziwnym wrażeniem klaustrofobii.

Kolejny statek ląduje na północ od nas.

– Wygląda na srebro Bellony – odzywa się cicho Roque, mrużąc oślepione słońcem oczy.

Śmieję się.

Zerka na mnie.

– Co?

– Wyobraź sobie tylko, mieć teraz rakietę impulsową.

– To po prostu... przeurocze z twojej strony. – Idzie przed siebie. Ruszam za nim, nie odrywając oczu od statku. – Naprawdę uwielbiam zachody słońca na Lunie. Jakbyśmy znaleźli się w świecie Homera. Niebo ma odcień świeżo wykutego brązu.

Nad nami obce metaliczne niebo przetapia się w noc wraz z powolnym zmierzchem. Przez dwa tygodnie światło słoneczne będzie znikać z tej części księżyca. Dwa tygodnie nocy. Luksusowe jachty płyną przez ten dziwny koniec dnia, a zwinne, pilotowane przez Niebieskich myśliwce patrolują przestrzeń jak nietoperze posklejane z potrzaskanych kawałków hebanu.

Jedna szóstą grawitacji pozwala mieszkańcom Luny budować, co tylko dusza zapagnie. Więc budują. Za terenami Cytadeli horyzont jeży się od wież i wieżowców. Wszędzie wiją się szczebłoSzlaki, po których obywatele mogą z łatwością podciągać się i przemieszczać w powietrzu. Sieć szczebli rozciąga

się między wysokimi wieżami niczym bluszcz, łącząc niebo z piekłem podDzielnic. Tysiące mężczyzn i kobiet pełzają po nich jak mrówki po pędach rośliny, podczas gdy patrolowe skify Szarych przelatują z szumem głównymi arteriami.

Rodzinie Augustus wyznaczono willę pośród trzydziestu akrów sosnowego lasu na terenie Cytadeli: ładny budynek pomiędzy wieloma ładnymi rzeczami w tym okazałym miejscu. Są tu ogrody, ścieżki, fontanny zdobione małymi kamiennymi chłopcami ze skrzydełkami. Wszelkiej maści głupstewka.

– Masz ochotę na sesję kravat? – pytam Roque’a i ruchem głowy wskazuję salę treningową obok willi. – Mój umysł dostaje już kręćka.

– Nie mogę. – Roque się krzywi, schodząc z drogi towarzyszącym nam lansjerom i ich przybocznym śpieszącym do willi. – Muszę wziąć udział w konferencji na temat kapitalizmu w Epoce Rządów.

– Jeśli chciałeś się zdrzemnąć, to na pewno mają łóżka w willi.

– Żartujesz? Regulus ag Sun wygłasza wykład inauguracyjny.

Aż gwizdzę przez zęby.

– Żywe Srebro we własnej osobie. Nauczysz się więc robić diamenty ze żwirku? Krążą plotki, że ma kontrakty dwóch Olimpijskich Rycerzy.

– To nie plotki. Przynajmniej według mojej matki. To mi przypomina, co Augustus powiedział Suwerence podczas jej koronacji: „Mężczyzna nigdy nie jest za młody, żeby zabić, za mądry ani za silny, ale może być za bogaty”.

– To powiedział Arcos.

– Jestem pewien, że Augustus.

Kręcę głową.

– Sprawdzaj fakty, bracie. Lorn au Arcos to powiedział, a Suwerenka odpowiedziała mu: „Zapominasz, Rycerzu Gniewu, że jestem kobietą”.

Arcos jest żywą legendą, przynajmniej dla mojego pokolenia. Teraz jest odludkiem, ale przez ponad sześćdziesiąt lat był Mieczem Marsa i Rycerzem Gniewu. Niezrównani Naznaczeni rycerze z całej Wspólnoty proponowali mu akty własności księżyców, gdyby tylko zechciał pouczyć ich przez tydzień swojej wersji kravat, Drogi Wierzby. To on przesłał mi nożoPierścień, którym zabiłem Apolla, a potem zaproponował mi miejsce w swoim domu. A ja odrzuciłem go na rzecz Augustusa.

– „Zapominasz, że jestem kobietą” – powtarza Roque. Hołubi te historie o ich imperium, tak jak ja hołubię opowieści o Dolinie i Żniwiarzu. – Porozmawiajmy, gdy wrócę. Ale na serio.

– Chcesz powiedzieć, że nie będziesz biadolił na temat swojej miłości z dzieciństwa, pił za dużo wina, rozpływał się nad uśmiechem Quinn i pięknem etruskich grobów, aż w końcu zasną?

Rumieni się, ale kładzie rękę na sercu.

– Przysięgam na swój honor.

– To przynieś butelkę tego idiotycznie drogiego wina i możemy porozmawiać.

– Przyniosę trzy.

Patrzę, jak odchodzi. Moje spojrzenie jest chłodniejsze niż mój uśmiech.

\*\*\*

Kilku innych lansjerów bierze udział w konferencji razem z Roque'em. Reszta rozgascza się, podczas gdy Szara ochrona przeczesuje teren. Obsydianowi ochroniarze chodzą krok w krok za Złotymi. Różowi z wdziękiem napływają do willi równym strumieniem, zamówieni z Ogrodu Cytadeli przez personel arcygubernatora, który znudził się podróżą i szuka odrobiny rozrywki.

Różowy steward z Cytadeli prowadzi mnie do mojego pokoju. Śmieję się, gdy docieramy na miejsce.

– Musiała zajść pomyłka – mówię, rozglądając się po klitce z łazienką i szafą. – Nie jestem szczotką.

– Nie rozu...

– Nie jest szczotką, więc nie zmieści się w schowku na szczotki – odzywa się Theodora, stając w progu za nami. – To niegodne jego pozycji. – Rozgląda się, wzgardliwie pociągając zadartym nosem. – To nie byłoby stosowne miejsce nawet dla moich ubrań na Marsie.

– To Cytadela. Nie Mars. – Steward obrzuca spojrzeniem różowych oczu zmarszczki na postarzałej twarzy Theodory. – Tu jest mniej miejsca na bezużyteczne rzeczy.

Theodora uśmiecha się słodko i wskazuje na broszkę w kształcie drzewka z różowego kwarcu przypiętą do jego piersi.

– Doprawdy! Czy to topola czarna z ogrodu Dryope?

– Domyślam się, że pierwszy raz ją widzisz – odpowiada steward wyniośle, po czym odwraca się do mnie. – Nie wiem, jak wychowuje się Różowych w Marsjańskich Ogrodach, dominus, ale na Lunie pańska niewolnica nie powinna obnosić się z taką afekcją.

– Oczywiście. Jakie to niegrzeczne z mojej strony – przeprasza Theodora. – Po prostu pomyślałam, że znasz matronę Carenę.

Steward zamiera bez ruchu.

– Matronę Carenę...

– Dorastałyśmy razem w Ogrodach. Powiedz jej, że Theodora pozdrawia ją i wpadnie do wizytą, jeśli czas pozwoli.

– Jesteś Różą. – Mężczyzna bladnie jak prześcieradło.

– Byłam. Wszystkie płatki więdną. Ale koniecznie wyjaw mi swoje imię. Chciałabym pochwalić cię za okazaną nam gościnność.

Różowy mamrocze coś niesłyszalnie i wychodzi, kłaniając się Theodorze niżej niż mnie.

– Dobrze się bawiłaś? – pytam.

– Zawsze miło rozruszać miesiąc czy dwa. Nawet kiedy cała reszta zaczyna ci opadać.

– Wygląda na to, że moja kariera kończy się tam, gdzie twoja zaczyna. – Śmieję się ponuro i podchodzę do holoEkranu koło łóżka.

– Nie radzę.

Zagryzam usta. To nasz sygnał ostrzegający przed urządzeniami szpiegowskimi.

– Oczywiście, to też, ale holoSieć... to nie jest miejsce, do którego chcesz teraz zaglądać.

– Co mówią na mój temat?

– Zastanawiają się, gdzie zostaniesz pochowany.

Nie mam czasu na reakcję, bo ktoś puka we framugę drzwi.

– Dominus, lady Julii prosi o pana.

\*\*\*

Idę za Różowym Victry na prywatny taras przy jej pokoju. Sama jej wanna jest większa od mojego łóżka.

– To niesprawiedliwe – rozlega się głos zza białego jak kość słoniowa pnia drzewa lawendowego. Odwracam się i widzę, że Victra bawi się cierniami jakiegoś krzewu. – Pozbywają się ciebie jak Szarego najemnika.

– Od kiedy przejmujesz się tym, co sprawiedliwe?

– Zawsze musisz pojedynkować się ze mną na słowa? Chodź, usiądź.

Mimo blizny, która odróżnia ją od siostry, jej smukła sylwetka i promienna twarz są nieskazitelne. Siada, paląc jakiegoś wyrafinowanego szluga, który pachnie jak zachód słońca nad wycinanym lasem. Jest mocniej zbudowana niż Antonia, wyższa. Sprawia wrażenie odlanej ze stopionego metalu, jakby była grotem włóczni, który stygnąc, przybrał kanciasty kształt. W jej oczach zapala się irytacja.



– Jestem tak daleko od bycia twoim wrogiem, jak to tylko możliwe, Darrow.

– Kim zatem jesteś? Przyjaciółką?

– Człowiekowi w twoim położeniu przydaliby się przyjaciele, co?

– Wolałbym raczej tuzin Splamionych ochroniarzy.

– Kogo na to stać? – odpowiada ze śmiechem.

Unoszę brew.

– Ciebie.

– Cóż, nie uchroniliby cię przed samym sobą.

– Trochę bardziej martwią mnie brzytwy domu Bellona.

– Martwią? To właśnie ujrzałam na twojej twarzy, gdy lądowaliśmy? – Wesole westchnienie wymyka jej się z ust. – Ciekawe. Widzisz, wydawało mi się, że to przerażenie. Zgroza. Takie naprawdę niepokojące odczucia. Bo wiesz, że ten księżyc stanie się twoim grobem.

– Myślałem, że skończyliśmy ze słowną szermierką.

– Masz rację. Po prostu wydajesz mi się bardzo dziwny. A przynajmniej to, jak dobierasz sobie przyjaciół, jest bardzo dziwne. – Siada przede mną na krawędzi fontanny. Drapie obcasem o stary kamień. – Zawsze trzymałeś mnie na odległość, a Tactusa i Roque’a dopuszczałeś bliżej. Rozumiem Roque’a, nawet jeśli jest miękki jak masło. Ale Tactus? To jak czyścić zęby żmiją zamiast nicią dentystyczną i spodziewać się, że cię nie ukąsi. To dlatego, że był twoim człowiekiem w Instytucie? Dlatego uważasz go za przyjaciela?

– Przyjaciela? – Śmieję się z jej słów. – Po tym, jak Tactus opowiedział mi, że jego bracia połamali mu ulubione skrzypce, kiedy był mały, kazałem Theodorze wydać połowę zasobów z mojego konta na stradivariusza z domu aukcyjnego Żywego Srebra. Tactus nawet nie podziękował. Jakbym dał mu kamień. Zapytał, po co mu to. „Żebyś miał na czym grać”, odpowiedziałem. Zapytał dlaczego. „Bo jesteśmy przyjaciółmi”. Popatrzył na skrzypce i odszedł. Dwa tygodnie później odkryłem, że je sprzedał i przepuścił pieniądze na Różowe i narkotyki. Nie jest moim przyjacielem.

– Jest tym, w co ukształtowali go bracia – stwierdza Victra i waha się, jakby nie wiedziała, czy podzielić się ze mną posiadaną informacją. – Jak myślisz, kiedy dostał cokolwiek od kogoś, kto nie oczekiwał od niego niczego w zamian? Poczuł się przez ciebie niezręcznie.

– A dlaczego myślisz, że się ciebie obawiam? – Pochylam się ku niej. – Bo ty zawsze czegoś chcesz, Victro. Tak jak twoja siostra.

– Ach, podejrzywałam, że może chodzić o Antonię. Ona zawsze wszystko psuje. Odkąd tylko ta wilczyca wygryzła sobie drogę wyjścia z łona matki i ukradła ludzkie ubranie. Dobrze, że ja urodziłam się pierwsza, bo inaczej

pewnie udusiłaby mnie w kołysce. Zresztą jesteśmy tylko przyrodnimi siostrami. Mamy różnych ojców. Matka nigdy nie widziała sensu w monogamii. Wiesz, Antonia nawet używa nazwiska Severus zamiast Julii, żeby dopieprzyć matce. Swarliwa smarkula. A ja ląduję z jej moralnym bagażem. Idiotyczne.

Bawi się licznymi pierścionkami z nefrytami. Dziwią mnie, kontrastują ze spartańską surowością jej pobliżnionej twarzy. Zawsze jednak była kobietą pełną kontrastów.

– Dlaczego ze mną rozmawiasz, Victro? Nie mogę nic dla ciebie zrobić. Nie mam pozycji. Nie dowodzę. Nie mam pieniędzy. I nie mam reputacji. Nie mam niczego, co sobie cenisz.

– Och... Cenię sobie też inne rzeczy, mój drogi. A swoją reputację masz, już ty się nie martw. Pliniusz o to zadbał.

– Czyli odegrał swoją rolę w tej plotce. Myślałem, że to Tactus rozpuścił jadaczkę.

– Rolę? Darrow, Pliniusz prowadził wojnę z tobą od chwili, kiedy przyklęknąłeś przed Augustusem. – Śmieje się. – A nawet wcześniej. Doradzał Augustusowi, żeby od razu cię zabił, a przynajmniej osądził za zamordowanie Apolla. Nie wiedziałeś? – Kręci głową, widząc moje puste spojrzenie. – Fakt, że dopiero teraz zdajesz sobie z tego sprawę, pokazuje, jak źle przygotowany jesteś do tej gry. I z tego powodu zginiesz. Dlatego z tobą rozmawiam. Wolałabym, żebyś znalazł alternatywne rozwiązanie, zamiast dąsać się w swojej paskudnej klitce. W przeciwnym wypadku Cassius au Bellona przyjdzie, weźmie nóż, wbije go dokładnie tutaj... – Gładzi moją pierś palcem o długim paznokciu, zakreślając obrys mojego serca. – ...i zafunduje swojej matce pierwszy prawdziwy posiłek od lat.

– Zatem co sugerujesz?

– Przestań zachowywać się jak zbity pies. – Uśmiecha się do mnie i podsuwa mi swój infoNośnik.

Niechętnie chwytam brzeg cieniutkiego kawałka metalu, ale ona nie puszcza, przyciągając mnie do fontanny, między swoje nogi. Rozchyła usta, przesuwając językiem po górnej wardze, obrzucając spojrzeniem moją twarz, patrząc mi w oczy, w których próbuje rozpalić ogień. Kiedy jednak żadnego ognia nie dostrzega, wzdycha jak kot i puszcza infoNośnik. Przeciągam go przez osobisty terminal. Wyświetla się reklama tawerny.

– To poza Cytadelą.

– No i?

– Jeśli opuszczę teren Cytadeli, zaczną na mnie polować.

– Więc nie rozgłaszaj tego, że go opuszczasz.

Cofam się o krok.

– Ile ci płacą?

– Myślisz, że to zasadzka!

– A nie?

– Nie.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

– Większości ludzi nie stać na prawdę. W przeciwieństwie do mnie.

– Och, racja. Zapomniałem. Ty nigdy nie kłamiesz.

– Jestem z gens Julii. – Podnosi się powoli, gniew rozwija się w niej niczym brzytwa. – Moja rodzina zarabia na handlu dość, żeby kupować całe kontynenty. Kogo byłoby stać na mój honor? Jeśli... jeśli pewnego dnia staniesz się moim wrogiem, powiem ci o tym. I powiem ci dlaczego.

– Każdy jest szczery, dopóki nie zostanie przyłapany na kłamstwie.

Śmieje się chrapliwie, a ja czuję się mały i dziecinny, gdy przypomina mi się, że jest ode mnie siedem lat starsza.

– Zostań więc, Żniwiarzu. Zaufaj losowi. Zaufaj przyjaciołom. Chowaj się tutaj, aż ktoś kupi twój kontrakt, i módl się, żeby nie zrobił tego tylko po to, aby przekazać cię rodzinie Bellona jak prosiaka na ubój.

Rozważam swoje szanse i wyciągam rękę, żeby pomóc jej wstać.

– Cóż, skoro tak to ujmujesz...

\*\*\*

– Pułkownik Valentin? – pyta Victra niższego z dwóch Szarych, którzy czekają na nas na rampie promu.

Ten prom to puszka do wożenia gówna – jeden z najbrzydszych statków, jaki kiedykolwiek widziałem. Przypomina łeb rekina młota. Zerkam nieufnie na wyższego Szarego.

– Tak, domina – odpowiada Valentin, kiwając głową jak pustak, ze sztywną precyzją człowieka, który dorastał wśród rang i stopni. – Na pewno nikt was nie śledził?

– To pewne jak śmierć.

– W takim razie powinniśmy szybko odlecieć.

Wchodzę za Victrą na pokład i rozglądam się po okolicy za naszymi plecami. Założyliśmy widmoPłaszcz, gdy tylko wyszliśmy z willi Augustusa. Kilkanaście ukrytych korytarzy i sześć starych graWind później pojawiliśmy się w zakurzonej, rzadko używanej części lądowisk Cytadeli. Tam rozstaliśmy

się z Theodorą. Chciała polecieć z nami, ale nie zabiorę jej tam, dokąd się wybieramy.

Szary skanuje Victrę i mnie, sprawdza, czy nie mamy pluskiew. Rampa zamyka się za nami. Dwunastu pobrużdżonych Szarych wypełnia ciasny przedział pasażerski. Nie są to olśniewający goście. Po prostu rzemieślnicy w brudnym fachu.

Chociaż różnice w obrębie Kolorów się uśredniają, to jednak nie zacierają się całkowicie z racji różnorodności ludzkich genów i różnaitości ekosystemów w całej Wspólnocie. Szarzy z Wenus są zwykle ciemniejsi i bardziej krzepcy od marsjańskich, lecz rodziny przenoszą się i mieszają. Poziom talentu w ramach każdego Koloru różni się jeszcze bardziej niż wygląd. Większości Szarych nie jest pisane nic więcej jak tylko patrolowanie centrów handlowych i miejskich ulic. Niektórzy trafiają do wojska. Inni do kopalni. Są jednak Szarzy, którzy wywodzą się ze specjalnej odmiany niegodziwców i spryciarzy, i tych szkoli się przez całe życie do polowania na Złoty ch wrogów ich Złoty ch panów. Tak jak tych, którzy siedzą z nami w promie. Nazwa się ich lurcherami na pamiątkę psów z Ziemi, mieszańców hodowanych ze względu na niezwykłą pojętność, szybkość i umiejętność skradania się, które służyły jednemu celowi: zabijaniu stworzeń większych od nich samych.

– Mam y lecieć do Straconego Miasta, a jest was tylko dwunastu? – pytam.

Wiem, że to wystarczy. Po prostu nie lubię Szarych. Dlatego ich prowokuję.

Patrzą na mnie z cichą rezerwą, z jaką rodzina patrzy na spotkanego na drodze nieznajomego. Valentin jest ojcem rodu: zbudowany jak kanciasty blok brudnego lodu ociosany zardzewiałym ostrzem, jego ogorzała od słońca twarz jest śniada i ożywiona bystrymi oczami. Jego przyboczna, Sun-hwa, pochyla się ku nam, twarda i sękata jak drzewo oliwkowe.

Oboje pochodzą z Ziemi, sądząc po ich specyficznych kontynentalnych rysach. Nie noszą trójkątnych odznak Legionu Wspólnoty na cywilnych ciuchach. Odsłużyli swoje obowiązkowe dwadzieścia lat.

– Mam y zadanie chronić cię, dominus – mówi Valentin, kiedy Sun-hwa ładuje egzotyczną okrągłą broń umieszczoną po wewnętrznej stronie nadgarstka. Wygląda jak coś plazmowego. – Moja drużyna przygotowała bezpieczną trasę. Szacowany czas podróży: dwadzieścia cztery minuty.

– Jeśli Pliniusz dowie się, dokąd się wybieram, albo jeśli ktoś z Bellony odkryje, że opuściłem Cytadelę...

– Lurcherzy znają sytuację – odzywa się Victra.

– Nie widzę Złotej odznaki. Najemnicy?

– To znaczy, że jesteśmy dość dobrzy, żeby pożyczyć tak długo, dominus – odpowiada beznamyślnie Valentin. – Przygotowaliśmy się na wszelkie ewentualności. Mamy plany awaryjne i zorganizowane wsparcie.

– Jak duże?

– Dostatecznie duże. My tylko odpowiadamy za transport, dominus. – Usta drgają mu w uśmiechu, więc wierzę mu na słowo. – Większym problemem niż Bellona są osoby trzecie, które mogą uznać, że właśnie nadarzyła się okazja. A tam, dokąd się udajemy, osób trzecich będzie od zajechania, dominus. A to może utrudnić nam odzyskanie zwrotu z inwestycji. Sun-hwa?

– Proszę to założyć. – Sun-hwa rzuca mi torbę ze zwyczajnym ubraniem. Mówi przeciągle i monotonnie. – Jest pan wysoki i gówny z tym zrobimy, ale możemy szybko przefarbować włosy dzięki temu i temu. – Rzuca Victrze kolejną torbę. – Dla pani. Szef uznał, że za elegancko się pani ubierze.

Victra reaguje śmiechem.

– Wyciągamy lufy, chłopcy – rzuca rozkaz Valentin, kiedy prom dygoce i wzbija się w powietrze. – Ostra amunicja.

Gromniki i miotacze przygotowywane przez wprawne ręce. Staccato szczęk stali o stal. Jakby ktoś wyłamywał metalowe kostki dłoni, kiedy magnetyczne pociski trafiają do komór. Lurcherzy chowają broń w ukrytych kaburach na obcisłych skarabSkórach. Trójka z nich nosi nielegalną broń nadgarstkową. Zerkam na nią, zakładając swoją skarabSkórę, której dziwna, podobna do źrenicy oka czerń pochłania całe światło: to bardziej brak wszelkiego koloru niż cokolwiek innego. SkarabSkóra jest lepsza niż duroZbroje, jakie mieliśmy w Instytucie, zatrzymuje różne ostrza i niekiedy pociski wystrzelone z takiej broni jak pospolity miotacz.

Prom dygoce, kiedy główny silnik zastępuje silniki manewrowe.

– Uwaga, Szpon i Minotaur. Ikar rusza – chrypie przez system łączności Valentin. – Powtarzam. Ikar rusza.

## Poplód

Na Lunie nigdy nie jest ciemno. W każdym razie nie tak naprawdę. Światła w milionie odcieni mieszają się, połyskują na nierównej, popękanej, stalowej skórze Luny, jaką stanowi miasto. Wijące się publiczne tramwaje i powietrzne arterie, rozbłyskujące centra komunikacyjne, rojne restauracje i surowe posterunki policyjne przenikają metalową powłokę miasta jak naczynia krwionośne, zakończenia nerwów, gruczoły potowe i mieszki włosów.

Oddalamy się od dzielnicy Żółtych, porzucając wyższe piętra miasta, gdzie dostojne promy i grawiButy przenoszą jej mieszkańców do oper na szczycie wysokich na kilometry wież. Dajemy nura przez zamożne dzielnice Srebrnych i Miedzianych, kluczymy wśród szczebłoSzlaków i powietrznych pociągów w śródDzielnicach Żółtych, Zielonych, Niebieskich i Fioletowych, mijamy podDzielnice, gdzie mieszkają Szarzy i Pomarańczowi.

Kierujemy się w dół, coraz niżej, do rynsztoków miasta, gdzie korzenie kolosalnej stalowej dżungli zagłębiają się w ziemi. Miriady podKolorów w transporcie publicznym wracają z fabryk do swoich pozbawionych okien mieszkań, z których niejedno ma nie więcej niż metr na trzy metry. Dość miejsca na jedno łóżko. Samochody wypływają spaliny na zakorkowanych, jasno oświetlonych bulwarach. Im bardziej się zagłębiamy, tym mniej jest światła, tym brudniejsze stają się budynki, tym dziwniejsze pałętają się zwierzęta i tym bardziej barwne jest graffiti. Dostrzegam Szarego policjanta stojącego nad aresztowanymi Brązowymi wandalami, którzy wymalowali na bloku mieszkalnym wizerunek powieszanej dziewczyny. Mojej żony. Wysoka na dziesięć pięter, z płonącymi włosami, namalowana farbą cyfrową. Piers mi się zaciska, gdy mijamy graffiti, pękają mury, które zbudowałem wokół wspomnienia o niej. Widziałem jej egzekucję już z tysiąc razy, w miarę jak jej męczeństwo rozlewa się po światach, od miasta do miasta. Jednak za każdym razem jest to dla mnie jak fizyczny cios, zakończenia nerwów drżą w mojej piersi, serce bije mi szybko, gardło zaciska się tuż poniżej szczęki. Jak okrutne jest życie, że widok mojej martwej żony oznacza nadzieję.

Bez względu na naszą reputację żaden wróg nie będzie nas tu szukał. Żadne uszy nie będą słuchać. Żadne oczy nie zobaczą. To jest miejsce, gdzie gangi mordują i walczą między sobą o wpływy, gdzie się kradnie i handluje

narkotykami. To, że mój nowy przyjaciel szuka tak ludzkiej prywatności, jakiej nie może zaoferować nawet pole zakłócające w Cytadeli i Wysokim Mieście, wiele znaczy. To mnie martwi. To oznacza, że zasady nie mają znaczenia. Jednak Victra ma rację, a Roque się myli. Cierpliwość niczego mi nie da. Muszę zaryzykować.

Drużyna lurcherów zabezpieczyła porzucony garaż. Ochroniają prom. Ekipa Valentina wyprowadza mnie na rojne brudne ulice. Śmieci i woda zamieniają zaułki w bagna. Parne powietrze jest gęste od słodkiego piżma zgnilizny i sadzy z płonących śmieci. Uliczni sprzedawcy nawołują z popękanych chodników zatłoczonych Czerwonymi, Brązowymi, Szarymi i Pomarańczowymi wszelkiego rodzaju: ulicznicy, inwalidzi, klasa pracująca, gangsterzy, ćpuny, matki, ojcowie, żebracy, kaleki, dzieci. Zagubieni.

Eo powiedziałaaby, że to piekło, na którym zbudowano niebo. I miałaby rację. Patrząc w górę, widzę ponad pół kilometra kamienic, zanim zanieczyszczone powietrze tworzy sufit nad tą ludzką dżunglą. Sznury na pranie i przewody elektryczne krzyżują się w górze jak pnącza. Beznadziejny widok. Co można tu zmienić, jeśli nie wszystko?

Mamy się spotkać w Straconej Melince, wysokiej tawernie z migoczącym czerwonym szyldem pokrytym zwiezłym graffiti. Piętnaście kondygnacji, wszystkie otwarte i wychodzące na centralną salę ze stołami i ławami, gdzie zasiada około dwustu klientów. Czuję smród moczu w metalowych wnękach ze stolikami, gdzie siedziska pozapadały się od używania. Pobrzękują butelki i podzwaniają kieliszki, ludzie żłopia gorzałę do dna. Światła w kolorze indygo i różowym migoczą na piętnastym poziomie, gdzie są tancerki i prywatne pokoje dla klientów. Przechodzę z Valentinem między dwoma wykidajłami z biomodyfikowanymi rękami: jeden to Obsydianowy o skórze bladej jak wybielony marmur i rękach grubszych od moich, a drugi – ciemnoskóry Szary z lufą miotacza wbudowaną w przedramię.

Reszta moich Szarych przesącza się za mną w nierównych odstępach. Niektórzy noszą szkła kontaktowe, udając inne Kolory. Jeden ma nawet dermoMaskę, żeby wyglądać ładnie jak Różowy. Nie sposób się zorientować, że to wizerunek cyfrowy, dopóki nie przysuniesz magnesu. Wyglądają, jakby byli u siebie. Wątpię, żebym i ja sprawiał takie wrażenie, chociaż dopiero co przefarbowali mi włosy, bym prezentował się jak Obsydianowy.

Pieczenie na dłoniach zasłonięto mi Obsydianowymi protezami. Włosy mam białe, oczy czarne, skórę rozjaśnioną kosmetykami. Jesteśmy z Victrą zbyt rośli, żeby udawać inne Kolory. Na szczęście Obsydianowi, chociaż są rzadsi od innych podKolorów, nie wywołują zdziwienia w takim miejscu. Idę za Valentinem do stolika we wnęce w głębi sali, gdzie młody mężczyzna

rozsiadł się wygodnie za grupą najemników i jednym Obsydianowym. Napętnia mnie głęboka cisza, kiedy patrzę, jak ten wstaje, żeby za chwilę usiąść przy sąsiednim stoliku. Inni klienci też mu się przyglądają, zanim opamiętają się i skierują wzrok na swoje drinki – jak ptactwo wodne na widok przepływającego krokodyla. Obsydianowy jest o stopę wyższy ode mnie. I ma wytatuowaną całą twarz tak, żeby przypominała czaszkę. Splamiony.

To tyle, jeśli idzie o zachowanie dyskrecji.

– Lepiej rządzić w piekle niż służyć w niebie? – pytam rozwalonego na krześle mężczyznę.

– Żniwiarz! Nawet Milton wiedział, że Lucyfer był ślicznym sukinsynem. – Uśmiecha się enigmatycznie i machnięciem ręki wskazuje krzesło naprzeciwko. – Nie stój tak nade mną.

Nawet nie nosi przebrania. Zerkam na Victrę.

– Myślałem, że to będzie nowy przyjaciel.

– Cóż, nigdy dotąd nie byliście przyjaciółmi, więc istotnie będzie to coś nowego. A teraz bawcie się dobrze, chłopcy.

– Nie zostajesz? – pytam.

– Pokazałam ci drzwi. Sam musisz przez nie przejść.

Ściska mi żartobliwie tyłek i odchodzi, kołyszac biodrami. Szakał patrzy za nią, pochylając się lekko, żeby mieć lepszy widok.

– Nie myślałem, że interesują cię kobiety.

– Mógłbym nie żyć i nadal bym ją docenił. Ale nie muszę ci tego mówić. Samotni w kosmosie przez całe miesiące. Cały statek dla siebie. Co innego człowiek ma do roboty?

Siadam naprzeciwko niego. Proponuje mi drinka z butelki zielonkawego alkoholu.

Kręcę głową.

– Piję, żeby zapomnieć o takich ludziach jak ty.

– Ha! Obelga autorstwa Arcosa, o ile się nie mylę. Jeden z najlepszych tekstów Lorna. A jest z czego wybierać. – Pochyla się ku mnie. Enigmatyczny w swojej szarzyźnie. Nie za ładna twarz. Oczy jak wygładzone, zużyte monety. Włosy w kolorze piasku pustyni. Jedną ręką obraca srebrny rylec z szybkością owada śmigającego po spalonej ziemi od szczeliny do szczeliny.

– Szakał Augustus i Żniwiarz z Marsa, znowu razem. Jakże nisko upadliśmy.

– Ty wybrałeś miejsce – mówię, kiedy wsuwa rylec za ucho i podnosi kurzą nóżkę z półmiska na stole. Odrywa skórę zębami.

– To cię niepokoi?

– Niby czemu? Obaj wiemy, jak bardzo lubisz ciemności.



Śmieje się niespodzianie. Przenikliwy krótki skowyt brzmi, jakby ktoś dźgnął psa nożem.

– Darrowie au Andromedus, ileż w tobie dumy. Cała rodzina nie żyje. Zhańbiona, bez grosza. Tak przeciętny, że twoi rodzice nie próbowali nawet wprowadzić cię do Wspólnoty. Żadnych starych przyjaciół. Nikogo, kto cię wcześniej znał, zanim zakradłeś się do Instytutu, jakże skromniutki. Dotarłeś jednak wysoko, gdy tylko dostałeś szansę.

– Przynajmniej wciąż lubisz gadać – mruczę.

– A ty nadal lubisz robić sobie wrogów.

– Każdy ma jakieś hobby. – Przyglądam się kikutowi w miejscu, gdzie powinna się znajdować jego prawa dłoń. – Aż tak bardzo chcesz zwracać uwagę? Jesteś jedynym żywym Złotym, który postanowił nie załatwić sobie nowej ręki.

– Zastanawiam się, czemu wciąż mnie prowokujesz, skoro straciłeś reputację, a twoje konta bankowe są puste.

Poprawiam się na krześle.

– Ależ tak – mówi dalej. – Nie wiedziałeś? Pliniusz jest skrupulatny, kiedy podcina człowiekowi ścięgna podkolanowe. Pozbawił cię wszelkich funduszy. Więc naprawdę prawie niczym nie dysponujesz. A jednak siedzisz tu, na dnie księżycy. Sam. Ze mną, z moimi ludźmi. I rzucasz obelgami.

– To twoi ludzie? – pytam, oglądając się na podłokole wokół nas. – Spodziewałbym się raczej, że budzą twój wstręt.

– Kto mówi, że trzeba lubić swoje dzieci? – pyta uprzejmie Szakal. – To produkty naszych Złotych lędźwi. – Gryzie udko i rozgryza kość, zanim ją odrzuci. – Wiesz, jak wykorzystałem swój czas?

– Waliłeś konia w krzakach?

– Niestety nie. Klęska, jaką mi zadałeś, sporo mnie kosztowała. Nie boję się tego powiedzieć. Zraniłeś mnie i zaszkodziłeś moim planom. Moja siostra także mnie zraniła. Sprzymierzyć się przeciwko mnie? Związać mnie nagiego i rzucić tobie do stóp? To zabolalo, zwłaszcza kiedy wszyscy wielcy panowie i damy z naszej kasty Niezrównanych mogli się zabawić moim kosztem.

– Obaj wiemy, że nie czujesz bólu, Adriusie.

– Och, mów mi Szakal. Słyszeć imię „Adrius” z twoich ust, to jak usłyszeć kota, który szczeka. – Dygoce, ale pochyla się zachwycony do przodu, kiedy Brązowa o grubych rękach i tatuażach na jasnej ospowatej skórze wychodzi z kuchni z trzema parującymi miskami. Stawia je przed nami. – Dziękuję! – mówi i bierze dwie miski dla siebie.

Przyglądam się podejrzliwie tej trzeciej.

– Nie jestem trucicielem – zapewnia mnie Szakal. – Mógłbym w każdej chwili otruć ojca, ale tego nie robię. Wiesz dlaczego?

– Bo nie otrzymałeś od niego tego, czego potrzebujesz.

– A mianowicie?

– Jego aprobaty.

Patrzy na mnie poprzez parę buchającą z miski.

– Owszem. Zaproponowano mi bardzo wiele staży. Zaproponowano je nazwisku mojego ojca, nie mnie. Gardzą mną, bo zjadałem uczniów. Co za hipokryzja. Cóż innego miałem zrobić? Każą nam wygrywać, robiłem, co w mojej mocy. A potem krytykują. Działaj szlachetnie. Tak jakby sami nie popełniali morderstw. Szaleństwo. – Kręci głową i wzdycha. – Tak, mogłem pójść do Akademii i studiować wojnę tak jak ty. Mogłem studiować politykę w szkole politikosów na Lunie. Mógłbym zostać przyzwoitym sędzią, gdybym zdołał zdzierżyć Wenus. Jednak ja wybiję się bez ich hipokryzji. Bez ich szkół.

– Słyszałem plotki. Coś z tego to prawda?

– Większość. – Nabiera makaronu z miski i polewa go ostrym sosem paprykowym. – Teraz jestem biznesmenem, Darrow. Kupuję różne rzeczy. Posiadam różne rzeczy. Oczywiście pretensjonalne Niezrównane dupki uważają mnie za zachłannego na pieniądze Srebrnego. Ja jednak nie jestem jednym ze słabnących lordów dwudziestowiecznej Europy. Rozumiem, że w pragmatyzmie kryje się siła, w posiadaniu ludzi, idei, infrastruktury. To o wiele ważniejsze od pieniędzy, znacznie bardziej podstępne niż... – wykonuje śmieszny ruch ręką – ...statki kosmiczne i brzytwy. Powiedz mi, czy statek ma znaczenie, jeśli nie możesz dostarczyć jedzenia dla załogi? Jak nikt inny rozumiem wagę pożywienia.

– To miejsce należy do ciebie, co? – pytam.

– W pewnym sensie. – Uśmiecha się, szczerząc za dużo zębów. – Mam wrażenie, że muszę powiedzieć ci to otwarcie. Mieliśmy prawie osiemnaście lat, kiedy opuściliśmy Instytut. Dziś mam dwadzieścia. Przez dwa lata przebywałem na wygnaniu i teraz chcę wrócić do domu.

– Żeby zadawać się z Niezrównanymi dupkami? – Śmieję się. – Jeśli chociaż trochę uważałeś, to wiesz, że nie mam posłuchu u twojego ojca.

– Czy uważałem... – Pochyliła się do przodu. – Żniwiarzu, ja jestem ucieleśnieniem uwagi. Masz pojęcie, ile procent przemysłu komunikacyjnego nabyłem?

– Nie.

– Świetnie. To znaczy, że robię to tak, jak należy. Kupiłem ponad dwadzieścia procent. Razem z moim cichym współnikiem mamy prawie

trzydzieści. Zastanawiasz się dlaczego? Pewne rodziny, takie jak ród Victry, nie uważają, że zajmowanie się interesami kła ich godność. W końcu ród Julii zajmował się handlem od wieków. Jednakże media to dla nas co innego, coś śliskiego, co trzeba zostawić Żywemu Srebru i jemu podobnym. Dlaczego więc ktoś z moim pochodzeniem miałby brudzić sobie ręce czymś takim? Chcę, żebyś wyobraził sobie, że media to rurociąg ciągnący się do miasta na pustyni. – Macha ręką wokół siebie. – Naszej metaforycznej pustyni. Mogę dostarczyć zaledwie trzydzieści procent zawartości tego rurociągu, ale w ten sposób mogę mieć wpływ na całe sto procent. Moja woda skazi resztę. Taka jest natura mediów. Czy chcę, żeby to miasto na pustyni halucynowało? Czy chcę, żeby jego mieszkańcy wili się z bólu? Czy chcę, żeby się wspięli na wyżyny? – Odkłada pałeczki. – Wszystko zaczyna się od tego, czego chcę.

– A czego chcesz?

– Twojej głowy.

Patrzmy sobie w oczy i to jest jak zderzenie dwóch żelaznych prętów – aż się czuje nieprzyjemny pogłos w całym ciele. Już samo przebywanie w pobliżu niego wywołuje namacalny dyskomfort, nie mówię o patrzeniu w te martwe złote gałki oczne. Jest taki młody... Mój rówieśnik, ale kryje się w nim coś dzieciennego, jakaś ciekawość sprzeczna ze starością w jego oczach, przez co sprawia wrażenie perwersyjnego. Nie chodzi o to, że wyczuwam bijące od niego okrucieństwo i zło. To uczucie, które ogarnęło mnie, kiedy Mustang powiedziała mi, że jako chłopiec zabił lewka, bo chciał zobaczyć, jak działają jego wnętrzności.

– Masz przedziwne poczucie humoru.

– Wiem. Ale ogromnie się cieszę, że rozumiesz moje żarty. Ostatnio Niezrównani zrobili się okropnie drażliwi. Pojedyunki! Honor! Krew! A wszystko z powodu nudy. Nie ma już z kim walczyć. Psiakrew, to takie nużące.

– Wydawało mi się, że chcesz przejść do rzeczy.

– A, tak. – Szakał przeczesuje dłonią ulizane włosy; zauważyłem, że podobnie robi jego ojciec. – Sprowadziłem cię tutaj, ponieważ Pliniusz jest moim wrogiem. Ogromnie utrudnił mi życie. Przeniknął nawet do mojego haremu. Wiesz, ilu jego szpiegów musiałem zabić? Wymieniłem mnóstwo służących. Nie chcę, żebyś zaczął mi współczuć – dodaje szybko.

– Już niewiele brakowało.

– Jednak najbardziej mi pomożesz, okazując zrozumienie dla mojego trudnego położenia. Od tej chwili to Pliniusz kontroluje, komu mój ojciec okazuje przychylność. Jak wąż syczący mu do ucha. Leto to jego projekt, wiedziałeś o tym?

Nie wiedziałem.

– Znalazł tego kochanego chłopca, wiedział, że ten podbije zimne serce mojego ojca, bo będzie mu przypominał mojego zmarłego brata, Claudiusa. Dlatego Pliniusz kształtował go, trenował i przekonał ojca, żeby go adoptował jako wychowanka z zamiślem uczynienia go swoim dziedzicem. A wtedy ty zjawiasz się w naszym życiu i niszczyś ten plan. Pliniusz potrzebował dwóch lat, żeby się ciebie pozbyć, ale cierpliwie nad tym pracował. Tak samo, jak załatwił mnie. Teraz Leto będzie spadkobiercą mojego ojca, a on zostanie panem Leto.

Jego słowa są dla mnie niczym cios. Wiedziałem, że Pliniusz jest niebezpieczny, ale chyba nigdy nie pojmowałem jak bardzo.

– To jaki masz plan? – Rozglądam się po sali. – Zamierzasz odzyskać przychyłność ojca z pomocą plebejuszy i wideł?

– Jak wie każdy Złoty, który ma przyzwoite wykształcenie, w Straconym Mieście działa pewien syndykat zbrodni. Rozległa przestępcza organizacja, która, jeśli prześledzisz jej zasięg aż do samych szczytów, znajduje się pod wpływem gabinetu Suwerenki naszej małej Wspólnoty. Octavia au Lune może sprawiać wrażenie ucieleśnienia Złotych cnót, ale ma słabość do brudów: zabójstw, organizowania strajków w domenach swoich arcygubernatorów, manipulowania awansami. Podobnie działa w Straconym Mieście. Ona i jej Furie osobiście wybrały przywódców przestępczej rodziny; te trzy osobniki to jej stworzenia. A teraz prawdziwie smakowity kąsek: znalazłem pewnych członków tej samej organizacji, którzy są... niespokojni.

Marszczę brwi.

– Nie lubią Lune?

– To uciążliwa suka. Suka, która splunęła w twarz mojemu ojcu i przymila się do rodu Bellona. Ale nie. Moi pupile nie myślą w taki sposób. To podKolory, Darrow. Pragną się dostać na szczyt tej hałdy gówna.

– Czemu Stracone Miasto? Jakie ma ono znaczenie?

– To tylko kawałek układanki. Zamierzam pomóc tym ambitnym podKolorom awansować, ale za pewną cenę. Kiedy zdobędą władzę, zniszczą zagrożenie, które trapi Wspólnotę: Aresa i jego Synów.

## Berło i miecz

Wnętrznosci ścinają mi się lodem.

– Synów Aresa? Nie wiedziałem, że stanowią tak poważne zagrożenie.

– Na razie nie, ale będą stanowić – odpowiada. – Suwerenka o tym wie. Tak samo jak mój ojciec, nawet jeśli mówienie o tym na głos nie jest w modzie. Wspólnota stawiała już czoło komórkom terrorystycznym. Skieruj przeciwko nim dostatecznie dużo lurcherów, a względnie łatwo i szybko można je załatwić. Jednakże Synowie Aresa to co innego. To nie są szczury prz gryzające nasze pięty, ale kolonia termitów, które powoli przeżerają fundamenty tak cicho, jak się da, aż narobią dość szkód, żeby nasz dom zaczął się wokół nas walić. Mój ojciec wyznaczył Pliniuszowi zadanie wyeliminowania Synów Aresa. Pliniusz jednak zawodził. I będzie zawodził, bo Synowie są sprytniejsi, a moje media uwielbiają poświęcać im uwagę. Kiedy jednak staną się rzeczą tak straszną dla Wspólnoty, Suwerenki i mojego ojca, że cała machina rządząca zatrzyma się ze zgrzytem, ja wyjdę i powiem: „Usunę tę chorobę w trzy tygodnie”. I zrobię to dzięki mediom, dzięki syndykato wi, który systematycznie będzie zabijał wszystkich Synów, i dzięki tobie, który w wielkiej chwale zetniesz głowę samemu Aresowi.

– Potrzebujesz figuranta.

– Nie mam twego wdzięku. Nie inspiruję tłumów. Ty jesteś jak jeden z dawnych Zdobywców. Charyzmatyczny i prawy. Kiedy spojrzą na ciebie, nie zobaczą miękkiej dekadencji naszych nędznych czasów, nie zobaczą politycznej trucizny, która przesiąkała Lunę, odkąd ród Lune zdobył władzę. Spojrzą na ciebie i zobaczą oczyszczający nóż, nowy świt Drugiej Złotej Ery.

Jaki ojciec, taki syn. Obaj w podobny sposób zwrócili się przeciwko Synom Aresa. Zimno mi się robi na myśl o wojnie, która rozpęta się między organizacją przestępczą i agentami Aresa. To zniszczy Synów.

– Synowe Aresa to tylko początek. Środek do wywarcia nacisku. Ty chcesz rządzić.

– A o co innego warto walczyć?

– Ale nie tylko na Marsie...

– To, że jestem drobny, nie znaczy, że moje marzenia muszą być równie niepozorne. Chcę wszystkiego. I żeby to zdobyć, jestem gotowy na wszystko.

Nawet mogę się podzielić władzą.

– Może nie wiesz o tym, co wydarzyło się dwa miesiące temu – mówię. – Zagadnij dowolnego Złotego, zapytaj. Powiedzą ci, co rodzina Bellona zrobiła ze Żniwiarzem z Marsa. Straciłem moją reputację. Jedyne, co obecnie wzbudzam w ludziach, to śmiech.

– Cassius został ośmieszony – odpowiada z irytacją Szakał. – Naszczali na niego. Pobili go w Instytucie. Upokorzyli. A teraz jest najbardziej śmiertelnośnym pojedyńkowiczem na Lunie. Walczył z każdym, kto podał w wątpliwość jego wartość. I teraz jest ulubionym pupilkiem Suwerenki. Wiedziałeś, że ta stara krowa robi z niego Olimpijskiego Rycerza? Lorn au Arcos i Venetia au Rein odeszli w tym roku na emeryturę. To oznacza, że zwolniły się stanowiska Rycerza Gniewu i Rycerza Poranka.

– Zrobi z niego jednego z dwunastu?

– Jest pionkiem na jej szachownicy. – Szakał pochyla się do przodu. – Ale ja mam już dość robienia za pionek w rękach starszych.

– To tak jak ja. Czuję się jak Różowy.

– Więc wespnijmy się obaj na szczyt. Ja będę berłem, a ty mieczem.

– Ty się nie podzielisz władzą. To nie leży w twojej naturze.

– Robię to, co muszę. Ani więcej, ani mniej. Potrzebuję wojownika. Ja będę Odyseuszem. Ty Achillesem.

– Achilles na końcu ginie.

– To ucz się na jego błędach.

– Dobry pomysł. – Milknę, widząc jak się uśmiecha. – Jest jeden kłopot. Jesteś socjopatą, Adriusie. Robisz nie tylko to, co musisz. Zakładasz taką twarz, jakiej potrzebujesz, przywdziewasz taką emocję, jakiej pragniesz, jakby to była rękawiczka. Jak mógłbym ci zaufać? Zabiłeś Paxa. – Pozwalam, żeby te słowa zawisły w powietrzu. – Zabiłeś mojego przyjaciela i obrońcę swojej siostry.

– Nigdy wcześniej nie spotkałem Paxa. Widziałem tylko przeszkodę na drodze. Oczywiście słyszałem o Telemachusach, ale po tym, jak mózg Claudiusa rozbryzgał się po całej okolicy, ojciec rozdzielił mnie i Mustang, żeby nas chronić. Mnie odizolował nawet bardziej niż ją. Byłem jego spadkobiercą. Nie miałem przyjaciół, tylko nauczycieli. Zniszczył moje dzieciństwo. A potem porzucił mnie tak samo, jak porzucił ciebie: bo przegraliśmy. My dwaj jesteśmy jak swoje lustrzane odbicia.

Na wyższej kondygnacji wybucha bójka. Ktoś strzela z miotacza, ochroniarze nadbiegają z bronią w rękach. Większość klientów siedzi niewzruszona.

– Co z twoją siostrą? – pytam z wahaniem, wiedząc w głębi duszy, że nie mam wyboru.

– Chcesz wiedzieć, jak jej się wiedzie? – pyta otwarcie. – Z kim dzieli łóżko? Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz. Mam oczy wszędzie.

– Nie chcę. – Kręcę głową, próbując przegnać mroczną myśl, że Mustang z kimś sypia. Że znalazła sobie kogoś innego, nawet jeśli na to zasługuje. A jeszcze dziwniejsza jest świadomość, że Szakał wie o takich rzeczach. – Bierze w tym udział?

– Nie – odpowiada z ponurym śmiechem. – Wiesz, że pracuje teraz dla Lune. To naprawdę przeżabawne. Kto by pomyślał, że z nas dwojga to ona okaże się dzieckiem marnotrawnym. W każdym razie tym bardziej marnotrawnym.

– Nic nie może się jej stać. Jeśli ją skrzywdzisz, zetnę ci głowę.

– To bardzo agresywne i jednoznaczne. Ale umowa stoi. Zatem jesteś ze mną.

– Jestem, odkąd wsiadłem na prom. Wiesz, że nie mam wyboru. A ja wiem, że nikt inny mnie nie wezwie. Zmienne mogły doprowadzić tylko do tego wyniku.

I czemu miałoby być inaczej?

Ja odebrałem mu rękę, on odebrał mi przyjaciela. Walczył pazurami i zębami, żeby przetrwać. Kiedy patrzę na niego teraz, tak małego i brzydkiego w świecie bogów, prawie wydaje mi się bohaterem szlachetnie walczącym z ojcem, który go odrzucił, przeciwko Wspólnocie, która wyśmiewa jego nikły wzrost, jego słabość, pogardza nim za kanibalizm, chociaż to właśnie ona kazała mu robić wszystko, byle wygrać. W pewien dziwny sposób rzeczywiście jest taki jak ja. Mógł sobie naprawić rękę, ale postanowił tego nie robić. Uważa, że to powód do dumy, a nie do wstydu.

Dlatego idę na ten układ. A pod koniec może go zabiję. Za Paxa.

Szakał uśmiecha się szeroko.

– Ogromnie się cieszę, Darrow. Ogromnie. I, szczerze mówiąc, trochę mi ulżyło.

– Ale co dalej? Na pewno potrzebujesz teraz czegoś ode mnie.

– Złoty imieniem Fencor au Drusilla dowiedział się o moich... układach z syndykatem. Próbuje mnie szantażować. Chcę, żebyś go zabił.

No jasne.

– Kiedy?

– Nie przez następny tydzień czy coś koło tego. Prawdziwym celem przyświecającym jego śmierci będzie zdobycie przychylności jednego

z kuzynów Suwerenki, którego Fencor znieważył. Po śmierci Fencora zyskasz... przychylność rzeczonego kuzyna.

Muszę zdławić śmiech.

– Chcesz, żeby odgrywał rolę męznego Piksa kręcącego się na dworze i sypiającego z damami? Mustang pomyśli, że robię jej na złość.

W oczach Szakała zapalają się szelmowskie ogniki.

– A kto tu mówi o damach?

– Ach tak... – Teraz do mnie dociera, co Szakał ma na myśli. – To... skomplikowane. Tactus lepiej by się do tego nadał...

Ku mojemu zaskoczeniu Szakał się śmieje.

– Na pewno świetnie sobie poradzisz. Ale to wszystko to zmartwienie na inny dzień. Na razie rozluźnij się. Wykupię twój kontrakt przez kogoś podstawionego, kiedy tylko zaczniesz się aukcja.

– Bellona także będzie próbowała to zrobić.

– Mam współnika. Przebijemy ich.

– To Victra?

– Nie. Ona jest raczej pośrednikiem. Musisz zrozumieć, jeśli idzie o Victre, że ona nie... jak to ująć... nie staje po niczyjej stronie. Ona po prostu uwielbia mieszać. A mojego współnika wkrótce poznasz.

– To nie przejdzie. Chcę go poznać już teraz. Nie jestem twoją marionetką. Mówię wszystko, co wiem ja, ty mówisz wszystko, co wiesz ty.

– Ja wiem znacznie, znacznie więcej. Ale w porządku. – Pochyliła się ku mnie. – Poznasz go dziś wieczorem. Nie chodzi o to, że ci nie ufam. Po prostu uważam, że wypada, aby sam się przedstawił.

– Dobrze. Ale chcę sprowadzić z powrotem Wyjce. I Sevro.

– Załatwione. Będziesz musiał też wybrać sobie mistrza szermierki, kogoś, kto nauczy cię walki brzytwą. W przyszłości będziesz musiał zabić paru ludzi publicznie.

– Potrafię posługiwać się brzytwą.

– Co innego słyszałem. Daj spokój, to żaden wstyd. Mam parę nazwisk w zanadru. Szkoda, że Arcos nie uczy. W tej chwili może miałbym dość funduszy na Kamiennobrzuchego i jego Drogę Wierzby...

Zawiesza głos i odrywa ode mnie wzrok, kiedy przyciąga go przemykająca chyłkiem kobieca postać, która przecina zadymione, ponure wnętrza gospody jak rozżarzony węgielek mgłą. Wyczuwam zapach migdałów na jej skórze i cytrusów na ustach, kiedy zbliża się do naszego stolika, wdzięczna i pobudzająca jak powietrze na Letnim Wybrzeżu Wenus. Ma kruche kości jak ptak. Nosi czarną luźną sukienkę, która zasłania jej całą skórę z wyjątkiem ramion.



Nasze spojrzenia krzyżują się i prawie spadam z krzesła. To strzał prosto w serce. Tętno mi się burzy. Dziewczyna ze skrzydłami, która nigdy nie mogła polecieć. Teraz jednak... najwyraźniej uciekła od Mickeya. Skrzydła przepadły, a ona sama stała się kobietą. Ale Evey to robi? Przysłali ją Synowie? Ledwie jestem w stanie zapanować nad sobą. Nie rozpoznała mnie.

– Nie wiedziałem, że Róże rosną tak głęboko wśród chwastów – mówi do niej Szakal.

Jej śmiech syczy jak trzepot motyli skrzydeł. Przesuwa palcem po dolnej krawędzi blatu stołu i ledwie zauważalnie wzrusza ramionami.

– Zwykłych mężczyzn nie stać na niezwykle rzeczy, ale moja pani słyszała, że w Straconym Mieście są niezwykli mężczyźni i przysłała mnie jako... ambasadorkę.

– Ach tak... – Szakal odchyła się, taksując ją wzrokiem. – Jesteś dziewczyną z syndykatu. Od Vebonny? – Evey kiwa głową, a Szakal patrzy na mnie i myli moje zaskoczenie z pożądaniem. – Zabierz ją na górę, Darrow. Ja stawiam. Powitalny prezent. Daj mi znać, czy chcesz ją kupić. Jutro porozmawiamy o interesach.

Na słowo „Darrow” Evey na ułamek sekundy traci nad sobą panowanie. Cofa się, słyszę, że szybciej oddycha. Kiedy patrzy mi twarz, wiem, że przenika przebranie Obsydianowego i dostrzega Czerwonego pod tymi wszystkimi kłamstwami. Jednak jej zaskoczenie oznacza, że nie przysłała tu ze względu na mnie. Jest tu dla Szakala, ale dlaczego? Pracuje dla Synów Aresa? Czy Mickey w końcu sprzedał swoje dzieło gangsterom?

– Nie biorę niewolników – mówi Evey do Szakala, wskazując moje Obsydianowe pieczęcie.

– Przekonasz się, że ten człowiek to ktoś więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

– Dominus, ale...

Szakal łapie ją za rękę i okrutnie wykręca jej najmniejszy palec.

– Zamknij się i rób, co ci każę, dziewczyno. Bo inaczej sam wezmę to, czego nie dasz.

Uśmiecha się szeroko i ją puszcza. Evey łapie się za rękę. Cała drży. Nie trzeba wiele, żeby skrzywdzić Różowego.

Wstaję.

– Myślę, że teraz już ja mogę się tym dalej zająć.

– Nie wątpię!

Zbynam gestem ochroniarzy, którzy chcą mi towarzyszyć.

Idę na górę za Evey, pniemy się po szczeblach, słysząc zachęcające porykiwania niektórych klientów. Dostrzegam kątem oka jedną z holoPuszek

nad barem. Obraz wybuchu faluje w trzech wymiarach. Wygląda to na kawiarnię. Kawiarnię dla Złotych. Wytrzeszczam oczy na widok rozmiarów zniszczenia. Czy to dzieło Synów Aresa?

Kolejny wybuch rozbłyskuje na innym wyświetlaczu. I jeszcze jeden. I jeszcze, aż dziesiątki eksplozji zalewają ekrany w całej gospodzie. Wszyscy odwracają się, żeby popatrzeć, cisza wypełnia rozległą przestrzeń. Evey mocniej zaciska dłoń na mojej ręce i już wiem, że to robota Synów. Przysłali ją. Ale czemu na Lunę? Czemu do Szakala? Dlaczego nie skontaktowali się ze mną?

– Pośpiesz się – mówi, kiedy docieramy na piętnasty poziom.

Ciągnie mnie przez różowe światło, obok tancerek i wygłodniałych klientów do ostatnich drzwi na końcu wąskiego korytarza. Wchodzę za nią do ciemnego pokoju i natychmiast czuję kwaśny zapach oleju do miotaczy. Powietrze drży obok mnie, podkrada się do nas mężczyzna w widmoPłaszczu. Muszę się bardzo postarać, żeby go nie zabić.

– To jeden z naszych – warczy Evey. Włącza światło. Sześciu Czerwonych w ciężkim wojskowym wyposażeniu wyłącza kamuflaż. Noszą demonoHełmy zaopatrzone w wysokiej jakości optykę. – Wezwijcie śmigacz.

– To nie jest Adrius au Augustus – warczy jeden z nich.

– To parszywy Obsydianowy.

– I to dziwny. – Jeden z Czerwonych odskakuje, celując we mnie z miotacza. – Ma kości gęste jak Złoty!

– Przestań! – krzyczy Evey. – To przyjaciel. Harmony go szuka.

Nie Ares ani Dancer?

– Tu nie chodzi o mnie – mówię, patrząc na ich broń. – Polujecie na kogoś, prawda?

Evey odwraca się w moją stronę.

– Później ci wyjaśnię, ale teraz musimy iść.

– Co zrobiłaś? – pytam, kiedy jeden z Czerwonych wyciąga palnik plazmowy i wycina dziurę w ścianie, przez którą do pokoju wpada smród miasta. Pomieszczenie zalewa wilgotne powietrze i światło, kiedy mały transportowiec zniża się i otwiera boczny właz przy prowizorycznym wyjściu.

– Darrow, nie ma czasu.

Łapię ją.

– Evey, co tu robisz?

Jej oczy płoną triumfalnie.

– Adrius au Augustus zamordował piętnaścioro naszych braci i sióstr. Wysłano mnie, żebym go pojmała albo zabiła. Wybrałam to drugie. Za dwadzieścia sekund zostanie z niego popiół.

Zrywam jednemu z Czerwonych terminal z ręki i włączam moje ukryte grawiButy. Evey krzyczy na mnie. Buty jęczą żałośnie, unosząc mnie w powietrze. Śmigam z powrotem tak jak przyszedliśmy, wypadam drzwiami, lecę przez korytarz jak nietoperz z piekła rodem. W pędzie wymijam tancerkę, zakręcam w przechyle nad dwoma Pomarańczowymi klientami i robię zakręt ostry jak cięcie brzytwą w dół ponad poręczą do stolika Szakala, który właśnie dopija drinka. Splamiony mnie dostrzega. Szarzy również. Są za wolni.

Na ekranach na tle wybuchów pojawiają się zakłócenia i krwistoczerwony hełm.

– Kto sieje wiatr, zbiera burzę – płynie głos Aresa z tuzina głośników.

Stolik topi się pod ręką Szakala, pożarty przez bombę, która podłożyła Evey. Splamiony odpycha go od mebla jak szmacianą lalkę i swoim ciałem giganta otula grzyb energii. Jego usta poruszają się w przedśmiertnym szepcie:

– Skirnir al fal njir.

## Ciemność

Energia tryskająca ze Splamionego wydaje się płynna, zamienia jego ciało w parę i rozlewa się po podłodze jak rtęć, po czym ciemnieje i zaczyna cofać się do źródła, zasysając ludzi, krzesła i butelki niczym czarna dziura, nim wybuchnie z basowym, koszmarnym rykiem. Łapię Szakala za kurtkę i wylatuję przez ścianę, którą rozbijam barkiem. Za nami wybuch rozdziera szkło, drewno, metal, bębniaki w uszach i samych ludzi.

Moje grawiButy zawodzą. Przelatujemy przez ulicę i uderzamy w budynek naprzeciwko, aż beton pęka. Upadamy na ziemię. Stracona Melinka zapada się w sobie jak winogrono, które zamienia się w rodzynek, który z kolei zamienia się w pył. Wydaje z siebie przedśmiertny jęk ognia i popiołu, a potem osuwa się w gruzy.

Pode mną leży nieprzytomny Szakal, ma potwornie poparzone nogi. Wymiotuję, gdy próbuję wstać, mój szkielet trzeszczy jak pień młodego drzewa po pierwszej ciężkiej zimowej wichurze. Podnoszę się i zaraz padam na ziemię, po raz drugi opróżniając żołądek. Ból w czaszce. Krew kapie mi z nosa. Leje się z uszu. Gałki oczne bołą mnie po eksplozji. Mam wybity bark. Podnoszę się na jedno kolano, zapieram barkiem o ścianę i wbijam ramię z powrotem w staw. Wypuszczam długo wstrzymywany oddech, kiedy wreszcie wskakuje na miejsce. Czuję igły w opuszkach palców. Ocieram wymiociny i wreszcie udaje mi się chwiejnie wstać. Podnoszę Szakala i patrzę w dym.

Niczego nie słyszę poza wyciem stereocylii. Pulsowanie, jakby wróble wrzeszczały mi w uchu wewnętrznym. Otrząsam się ze światełek tańczących w moim polu widzenia. Połyka mnie dym. Ludzie przelatują obok, jak woda opływająca skałę, pędzą, żeby pomóc uwięzionym. Znajdą tylko śmierć, sam popiół. Bomby soniczne przebijają noc. Wsparcie Szakala z rykiem spada z miasta w górze. Kiedy lądują, żeby go zabrać z tego piekła, wróble w moich uszach cichną, pożarte przez trzask ognia i krzyki rannych.

Stoję przed opuszczoną fabryką, cztery kilometry od Cytadeli, w głębi Starego Sektora Przemysłowego. Nowsze zakłady wybudowano na szczycie starych, zakopując je pod świeżą skórą przemysłu, jak wyjątkowo mocno wgłębiony węgier. Brud pokrywa tu wszystko. Mięsożerny mech. Pełna rdzy woda. Uznałbym, że to ślepy zaułek, gdybym nie znał tak dobrze swojej zwierzyny.

Terminal, który zabrałem Czerwonemu, przetrwał wybuch. Zostawiłem Szakala jego grupom wsparcia i przemknąłem dalej ulicą, gdzie ukradłem Szarym wóz policyjny. Odłączyłem moduł śledzący w terminalu i włamałem się do jego historii, szukając starych współrzędnych.

Pukam głośno do zamkniętych drzwi fabryki na głównym poziomie. Nic. Pewnie srają ze strachu. Klękam więc na ziemi z rękami za głową i czekam. Po kilku minutach drzwi uchylają się ze skrzypieniem. W środku panuje ciemność. W końcu wymyka się zza nich kilka postaci. Wiążą mi ręce, narzucają worek na głowę i popychają mnie do wnętrza.

Zwożą mnie starą hydrauliczną windą i prowadzą konsekwentnie w stronę muzyki. To drugi koncert fortepianowy Brahmsa. Komputery szumią. Palniki spawalnicze są na tyle jasne, żeby ich światło przebijało się przez materiał worka.

- Ej, puszczajcie go, brutale – warczy znajomy głos.
- Uważaj, błaznie – dudni jakiś Czerwony.
- Gadaj sobie, ile chcesz, ty zardzewiały pawianie, on jest wart więcej niż dziesięć tysięcy was, wy pokrzyżowane wsobnie skur...
- Dalo, wynoś się – odzywa się cicho Evey. – Natychmiast.
- Słysząc oddalające się ciężkie kroki.
- Mogę przestać udawać? – pytam.
- Koniecznie – odpowiada Mickey.

Rozrywam kajdanki, którymi spięto mi nadgarstki za plecami, i zdejmuję worek z głowy. Laboratorium z metalu i betonu jest czyste i ciche, jeśli nie liczyć sączącej się wokół kojącej muzyki. W powietrzu unosi się lekka mgiełka ze stojącej w kacie wodnej fajki Mickeya. Staję nad nim i Evey. Dziewczyna nie potrafi nad sobą zapanować.

Nie jest już uwodzicielską Różą z gospody – rzuca mi się na szyję jak mała dziewczynka na widok dawno utraconego wujka. Przez chwilę jeszcze obejmuje mnie w pasie, aż wreszcie odsuwa się i unosi swoje różowe oczy, żeby spojrzeć w moje – oczy Złotego. Mimo chichotu jest teraz uosobieniem zmysłowości i piękna – smukłe ręce, poufały uśmiech, który nie zdradza cienia żalu z powodu śmierci prawie dwustu ludzi, jaki powinna czuć. Skrzydlata dziewczyna stała się padlinożernym ptakiem i najwyraźniej nawet

tego nie zauważyła. Zastanawiam się, czy uśmiechałaby się tak szeroko, gdyby musiała zabić tych wszystkich ludzi nożem. Jak łatwo tworzymy masowych morderców.

– Wszędzie bym cię rozpoznała – mówi. – Kiedy zobaczyłam cię przy stoliku... serce mi na chwilę zamarło. Zwłaszcza w tym idiotycznym przebraniu Obsydianowego. Darrow, co się stało?

Krzyczy, kiedy podnoszę ją za przód kurtki i pcham na ścianę.

– Właśnie zabiłaś dwustu ludzi. – Kręcę głową, obolały i przygnieciony ciężarem tego, co się wydarzyło. – Jak mogłaś?

Potrząsam nią i znów widzę członków mojej załogi wysypujących się w kosmos. Widzę wszystkich zabitych, jakich zostawiłem na swojej drodze. Czuję, jak puls Juliana gaśnie i znika.

– Darrow, kochanie... – próbuje się wtrącić Mickey.

– Zamknij się, Mickey.

– Jasne. W porządku.

– Czerwoni. Różowi. PodKolory. Twoi ludzie. Jakby byli niczym. – Ręce mi się trzęsą.

– Wypełniałam rozkazy – odpowiada. – Adrius węszył. Trzeba było go załatwić.

Zatem mimo całej swojej przebiegłości został zauważony. Łzy napływają Evey do oczu. Nie wzdragam się na ich widok. Kto by się przejmował jej uczuciami po tym, co zrobiła? Puszczam ją jednak, pozwalając ześlizgnąć się żałością po ścianie. Mam nadzieję, że okaże cię żalu, abym mógł uznać, że te łzy są dla ludzi, których zabiła, a nie dla niej samej, bo się mnie przestraszyła.

– Planowałam, że to będzie inaczej wyglądać – mówi, ocierając oczy – kiedy mnie ponownie spotkasz.

Patrzę na nią skonsternowany.

– Co się z tobą stało?

– Miała innego nauczyciela niż ty – odpowiada Mickey. – Odebrałem jej skrzydła, a Harmony dała jej szpony.

Odwracam się do niego.

– Co tu, u diabła, jest grane?

– Potrzeba by roku, żeby ci to wyjaśnić. – Krzyżuje ręce na piersi i przygląda mi się. – Ale zacznijmy od tego, że brakowało nam ciebie, mój kochany królewiczu. Poza tym, nie łącz, proszę, mojej moralności z tą straconą duszą. Zgadza się. Evey to mały potwór. – Piorunuje wzrokiem Różową, która wstaje. – Może teraz dostrzeżesz, kim naprawdę jesteś. – Jego uśmiech gaśnie. Obrzuca mnie szybkim spojrzeniem od stóp do głów. – No i w końcu, wyglądasz bosko, mój chłopcze. Naprawdę bosko.

Jego wzrok tańczy po mojej twarzy. Mickey otwiera usta, zamyka, potyka się o własne słowa, tak wiele chce powiedzieć naraz. Ten mężczyzna o ostrych rysach twarzy i wybrylantynowanych włosach sunie do przodu jak ostrze po lodzie. Same kąty. Skóra opięta na smukłych kościach. Był aż tak chudy, kiedy ostatni raz go widziałem? Czy po prostu nie ma swoich kosmetyków? Nie. Mruga powoli. Ospale. Jest zmęczony. Starszy. I sprawia wrażenie pokonanego. Sposób, w jaki się garbi i strzela oczami na boki, zdradza przedziwną słabość, bezbronność. Jakby spodziewał się, że w każdej chwili może oberwać.

– Zadałem ci pytanie, Mickey – mówię.

– Nie mogę myśleć o lesie! Nadal badam drzewo! To zdumiewające, jak twoje ciało rozkwitło. Po prostu zdumiewające, mój drogi. Naprawdę jeszcze urosłeś. Jak się mają twoje receptory bólu? Czy mieszki włosowe kiedykolwiek zaczęły drażnić, tak jak się tego obawiałem? A co z kurczliwością mięśni? Uważasz, że jest ponadprzeciętna w porównaniu z rówieśnikami? Czy reakcje źrenic są dostatecznie szybkie? Miesiącami mówiono o tobie w hP. Nie mogli pokazać Instytutu, rzecz jasna. Jednakże pewne nagrania przeciekły do holoSieci. I to jakie! Jak zabijasz Niezrównanego Naznaczonego. Jak zajmujesz jakąś dziwną twierdzę niczym bohater z dawnych czasów!

Nawet oni chłoną mity o Zdobywcach, szlachetnych bohaterach z dawnych czasów. Łapie mnie desperacko za ramię. Jego ręka jest słabsza, niż to zapamiętałem.

– Opowiedz mi o swoim życiu. Jak jest w Akademii? Powiedz mi wszystko. Nadal jesteś kochankiem tej rozkosznej Virginii au Augustus? – Marszczy nagle brwi. – Och, oczywiście, że nie. Ona jest z...

– Mickey. – Łapię go. – Uspokój się.

Śmieje się tak bardzo, że zaczyna kaszleć. Odwraca się ode mnie, żeby otrzeć łzy.

– Po prostu tak dobrze jest zobaczyć przyjazną twarz. Nie pozwalają mi na miłe towarzystwo ostatnimi czasy. W ogóle. To naprawdę straszne.

– Zamknij się, Mickey – warczy Evey.

Zerka na nią. Dziewczyna stoi teraz poza moim zasięgiem, dotyka kabury miotacza na biodrze, jakby mógł ją przede mną ochronić.

– Co robicie na Lunie? Co się dzieje? – pytam. – Dołączyliście do Synów Aresa?

– Wiele się wydarzyło – mruczy Mickey. – Nie jestem tu z...

– Teraz Mickey pracuje dla nas – przerywa mu lodowatym tonem Evey. – Czy mu się to podoba, czy nie. Rozebraliśmy na części jego rzeźbiarską norę.

Wykorzystaliśmy fundusze, jakie zebrał ze sprzedaży ciał, żeby kupić transport tutaj i wyposażyć armię. Teraz uderzamy, Darrow. Wreszcie.

– Jedna Różowa terrorystka i garstka Czerwonych, którzy bawią się bronią – mówię, nawet na nią nie patrząc, – To jest twoja armia?

– Dzisiaj przelaliśmy krew Złotych, Darrow. Jeśli nie szanujesz mnie, to uszanuj chociaż ten fakt. Zabiłam syna arcygubernatora Marsa. A co ty zrobiłeś, żeby myśleć, że możesz tu przyjść i pluć na nasze dokonania?

– Nie zabiłaś go.

Patrzy na mnie tępo.

– Nie wygłupiaj się.

Patrzę na nią wściekły.

– Ale jak... bomba... – duka. – Kłamiesz.

– Zdążyłem go uratować.

– Dlaczego?

– Bo moja misja jest skomplikowana. Potrzebuję go. Gdzie jest Dancer? Kto tu dowodzi? Mickey...

– Ja – rozlega się inny głos rodem z mojej przeszłości.

Mówi z tym samym akcentem co moja żona, tyle że jest skażony i gorzki od gniewu.

Odwracam się i widzę Harmony w drzwiach. Połowę twarzy nadal ma zniekształconą straszliwą blizną. Druga połowa jest zimna i okrutna, starsza niż zapamiętałem.

– Harmony – mówię łagodnie. Lata w żaden sposób nie ociepliły stosunków między nami. – Miło cię ponownie widzieć. Muszę zdać raport. Mam wam wiele do przekazania. – Nie wiem nawet, od czego zacząć. Wtedy widzę, jak zerka na Evey. – Harmony, gdzie jest Dancer?

– Dancer nie żyje.

\*\*\*

Później Harmony siada ze mną przed biurkiem Mickeya w gabinecie wyposażonym w tanie, kanciaste meble i wypełnionym słojami z organami hybryd zatopionymi w gazie konserwującym. Mickey siedzi za biurkiem, bawiąc się swoją starą platońską kostką-układanką. Widzi, że patrzę na łamigłówkę i mruga do mnie porozumiewawczo. Jest już w niej lepszy. Dancer miał wobec mnie plany. Miał plan na to wszystko. Nie powinien był zginąć. Nie mógł zginąć.



– Ostatnim życzeniem Dancera było, żeby Mickey wyrzeźbił nam nową armię. Taką, która będzie mogła rywalizować ze Złotymi pod względem szybkości i siły. Wzięliśmy naszych najlepszych mężczyzn i kobiety i poddaliśmy ich rzeźbieniu. Nie mogli przeżyć takiej procedury przemiany w Złotego jak ty, ale część przeszła przez nowy program. – Machnięciem ręki wskazuje na szkło. Po drugiej stronie setka podobnych do trumien rur leży na podłodze. W każdej z nich jest nowego rodzaju Czerwony. – Niedługo będziemy mieli setkę żołnierzy, którzy zadadzą Złotym głębszą ranę niż kiedykolwiek dotąd.

Jakby setka miała wystarczyć, żeby stawić czoło maszynie wojennej Złotych. Moje Wyjce i ja pewnie zdołalibyśmy wspólnie roznieść tych terrorystów na strzępy. A daleko nam do najbardziej niebezpiecznych Złotych.

Wskazuje ich nową ręką, bo tę z ciała i kości straciła przez Obsydianowego, kiedy napadli na zbrojownię, żeby zdobyć wyposażenie. Teraz ma kończynę z metalu. Silną i poruszającą się płynnie, z nielegalnymi stawami z czarnego rynku, w których można ukryć broń. Dobre rzemiosło, ale i tak nic w porównaniu z rzeźbieniem Mickeya. Oczywiście, że nie pozwoliła mu pracować nad sobą.

– Więc Mickey jest więźniem? – pytam.

– Raczej niewolnikiem – mruczy ten z uśmiechem. – Nie dają mi nawet wina.

– Zamknij się – warczy Evey.

– Evey. – Harmony posyła młodej kobiecie wyrozumiałe spojrzenie, zanim popatrzy na Mickeya. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Trzymaj język za zębami.

Mickey wzdryga się i zerka na jej lewą rękę. Harmony ma pustą kaburę przy pasie, co najwyraźniej przeraża Mickeya. Dziewczyna zachowuje się grzecznie tylko ze względu na mnie.

– Boisz się, że mi powie, że go bijesz?

Wzrusza ramionami, zbywając tym gestem mój osąd.

– Mickey sprzedawał dziewczęta i chłopców. Nie można zniewolić sprzedawcy niewolników. Z mojego punktu widzenia ma parszywie dużo szczęścia, że nie skończył z kulą w głowie. Mogłabym wynająć Rzeźbiarza, żeby dorobił mu rogi, skrzydła i ogon. Wtedy wyglądałby na potwora, jakim naprawdę jest, ale nie zrobiłam tego. Prawda, Mickey?

– Prawda.

– Prawda?

– Prawda, domina.

To słowo sprawia, że wzdragam się z obrzydzeniem.

– Dancer zawsze go szanował – mówię. – Szanował mimo jego... ekscentryczności.

– On kupował ludzi. I ich sprzedawał – odzywa się Evey.

– Nikt nie jest bez grzechu – zauważam. – Ty również. Zwłaszcza teraz.

– Mówiłam, że będzie odgrywał parszywego świętoszka. Jakby nie sprzeniewierzał się swoim zasadom dzień w dzień. Wynajdując usprawiedliwienia dla takich popaprzanych łajdaków jak ten tu Mickey. – Harmony uśmiecha się znacząco do Evey, jakby dzieliły się prywatnym żarciem. – Takie zachowanie może uchodzić płazem tam na górze, Darrow, ale przekonasz się, że my już nie idziemy na kompromisy. To przeszłość.

– Czyli Dancer naprawdę nie żyje.

– Był dobrym człowiekiem. – Harmony milczy przez zbyt krótką chwilę, aby uznać to za przejaw szacunku. – Ale dobrzy ludzie zwykle umierają pierwsi. Pół roku temu wynajął ekipę Szarych najemników, żeby uderzyć w centrum komunikacyjne i wykraść dane. Powiedziałam, że powinniśmy zabić ich po robocie. Dancer odparł... Jak on to ujął? „Nie jesteśmy diabłami”. Ale Szary kapitan zaraz po tym, jak odebrał zapłatę, spieszył do lokalnej policji Wspólnoty i zaproponował, że zdradzi miejsce pobytu Dancera. Ekipa parszywych lurcherów w dwie minuty posłała do piachu jego i dwustu Synów Aresa. Nigdy więcej. Zabijemy setkę ich ludzi za każdego z naszych. Nie ufamy Szarym. Nie płacimy Fioletowym. Żyli z naszej pracy przez stulecia. Ufamy tylko Czerwonym.

Evey wierci się, wyraźnie skrepowana.

– W Instytucie był drugi Czerwony – odzywam się po chwili. – Titus. To jeden z waszych? – Zerkam w stronę Mickeya.

– Na mnie nie patrz – odpowiada Fioletowy.

– Jak się dowiedziałeś, że Titus był Czerwony? – pyta szybko Harmony. – Powiedział ci?

– Raczej... zdradził się. Drobnostka. Nikt nie zauważył.

– Więc odnaleźliście się? – pyta bez uśmiechu, ale wzdycha, pozbywając się ciężaru, który od dawna nosiła. – To był dobry chłopak. Na pewno zostaliście przyjaciółmi.

– Nie rozszyfrował mnie. Ty go rzeźbiłeś, Mickey?

Mając błogosławieństwo Harmony, odpowiada:

– Nie, mój drogi. Ty byłeś moim pierwszym. I jedynym. – Mruga porozumiewawczo. – Byłem konsultantem przy jego rzeźbieniu. Mój współpracownik przeprowadził procedurę w oparciu o twój i mój pionierski sukces.

– Dancer znalazł ciebie – mówi Harmony. – Ja znalazłam Titusa. Chociaż nazywał się Arlus, kiedy go wyciągnęliśmy z kopalni w Thebos. Nie zależało mu na zachowaniu imienia.

To brzmi sensownie, że Titus był znaleziskiem Harmony. Ciągnie swój do swojego.

– Co się z nim stało? – pyta Harmony. – Wiemy, że umarł.

Co się z nim stało? Psiajucha, pozwoliłem Złotemu posłać go do piachu.

Patrzę beznamietnie na ich trójkę, wdzięczny, że nie potrafią czytać w moich myślach. Nic nie wiedzą. Ledwie mogę ogarnąć, co muszą myśleć na mój temat. Mają tak wąty ogląd tego, co zrobiłem, czym się stałem. Myślałem, że istnieje plan, długofalowy, wielkoskalowy powód dla moich wysiłków. A nie ma niczego. Teraz już to widzę. Nawet Dancer po prostu czekał, co się stanie. I żywił nadzieję.

Spodziewałem się, że powitają mnie z otwartymi ramionami. Spodziewałem się, że zobaczą czekającą armię. Wielki plan. Aresa, który zdejmie swój niesławny hełm i olśni mnie swoim geniuszem, dowiedzie, że słusznie pokładałem w nim całą wiarę. Do diabła, chciałem ich ponownie znaleźć tylko po to, żeby nie czuć się samotnie. Jednak siedząc w tym betonowym pomieszczeniu z trójką bladych ludzi na rozchwierutanych plastikowych krzesłach, czuję się samotny jak nigdy dotąd.

– Złoty imieniem Cassius au Bellona go zabił.

– To była dobra śmierć?

– Do tej pory powinnaś już wiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak dobra śmierć.

– Cassius. Ten, z którym łączy cię krwawa waśń. To z tego powodu? – dopytuje się z zapalem Evey. – To dlatego Bellona chce cię zabić?

Przeczesauję włosy palcami.

– Nie. Zabiłem brata Cassiusa. To z tego powodu mnie nienawidzą.

– Krew za krew – mruczy Evey, jakby miała jakiekolwiek pojęcie o tym, co wygaduje.

– Dzisiaj mocno w nich uderzyliśmy, Darrow. Dwanaście zamachów na całej Lunie i Marsie. Dancer i Titus zostali pomszczeni – mówi Harmony. – A w nadchodzących dniach zaatakujemy jeszcze mocniej. Ta komórka jest tylko jedną z wielu.

Macha ręką nad biurkiem i holoEkran ożywa obrazami. Fioletowi presterzy wiadomości gędzą na temat masakry.

– To ma mi niby zaimponować? – pytam. – Jesteście równie potworni jak oni. Wiesz o tym, prawda? Pomijam już strategię. Pomijam fakt, że drażnicie

śpiącego smoka. Sama Evey zabiła dzisiaj ponad setkę podKolorów, raptem parę godzin temu.

– To nie byli Czerwoni – mówi Harmony, a po namyśle dodaje ze zdumiewającym wręcz brakiem szczerości: – Ani Różowi.

– Oczywiście, że byli!

– Więc ich ofiara zostanie zapamiętana – odpowiada z powagą Harmony.

– Vox clamantis in deserto! – wykrzykuję.

Mickey milczy, ale pozwala sobie na drobny uśmieszek.

– Próbujesz zaimponować nam eleganckimi gadkami Złotych? – pyta Harmony.

– On czuje się niczym głos wołający na pustyni. Krzyczący w próżnię – wyjaśnia Mickey. – To zwykła łacina.

– Więc wiesz, co jest grane – żacha się Harmony. – Stałeś się Złotym i nagle znasz wszystkie odpowiedzi.

– Nie po to właśnie miałem stać się Złotym? Żebyśmy zobaczyli, jak oni myślą?

– Nie. Po to, żeby umieścić cię w miejscu, z którego uderzysz w ich żyłę szyjną. – Zaciska pięść i uderza nią w drugą dłoń, tę metalową, dla podkreślenia wagi własnych słów. – Nie zachowuj się, jakbyś był lepiej urodzony ode mnie. Pamiętaj, ja wiem, kim jesteś w środku. Przestraszonym chłopakiem, który próbował się zabić, kiedy był za słaby, żeby uratować żonę przed powieszeniem.

Siedzę oniemiały.

– Harmony, on tylko próbuje pomóc – odzywa się łagodnie Evey. – Wiem, że to musi być trudne, Darrow. Spędziłeś z nimi lata. Ale musimy ich zranić. Widzisz, oni tylko to rozumieją. Ból. Poprzez ból kontrolują nas. – Mówi dalej, cedząc słowa: – Pierwszy dzień, kiedy służyłam Złotemu, był największą rozkoszą, jakiej zaznałam w swoim życiu. Jakbym spotkała Boga. Teraz wiem, że nie czułam przyjemności. To był po prostu brak bólu. Tak właśnie trenują Różowych, żeby żyli w niewoli. Hodują nas w Ogrodach z implantami w ciele, które napełniają nasze życie bólem. Nazywają to urządzenie Pocałunkiem Kupidyna: pieczenie wzdłuż kręgosłupa, ból głowy. To nigdy nie mija. Nawet kiedy zamkniesz oczy. Nawet kiedy płaczesz. Mija tylko wtedy, kiedy jesteś posłuszny. W końcu zabierają ci Pocałunek. Kiedy masz dwanaście lat. Ale... nie masz pojęcia, jakie to uczucie, ten lęk, że ból może powrócić. – Bawi się swoimi paznokciami. – Złoci muszą poczuć ból. Muszą się go bać. Muszą się nauczyć, że nie mogą nas krzywdzić bez ponoszenia konsekwencji. To właśnie ma na myśli Harmony.

A ja myślałem, że to Złoci są zepsuci. Wszyscy jesteście poranionymi duszami, desperacko próbującymi pozszywać się do kupy, mając nadzieję, że wypełnimy dziury, które w nas wyrwano. Eo uratowała mnie przed takim końcem. Bez niej byłbym taki jak oni. Zagubiony.

– Nie chodzi o zranienie ich, Evey – mówię. – Chodzi o ich pokonanie. Eo nauczyła mnie tego, Dancer też. Uderzamy w jabłka, kiedy powinniśmy wykopywać korzenie jabłoni. Co nam dadzą zamachy? Co wskórają zabójstwa? Musimy podkopać sens istnienia Wspólnoty jako całości, zniszczyć ich sposób życia.

– Straciłeś z oczu naszą misję – wtrąca Harmony.

– I ty mi to mówisz? Jak mogłabyś zrozumieć to, co ja widziałem?

– Właśnie: co ty widziałeś. Jadasz ze swoimi panami i zapominasz o niewolnikach. Stać cię na życie teoriami. A co z tym, co ja widziałam? Siedzimy w gównie po uszy. Umieramy. A co ty robisz? Filozofujesz. Żyjesz w luksusach. Sypiasz z Różowymi. Ja musiałam słuchać, jak Dancer umierał. Musiałam słuchać parszywych wrzasków przez system łączności, kiedy lurcherzy przyszli ich zabić. I nic nie mogłam zrobić, żeby ich uratować. Gdybyś coś takiego przeżył, wiedziałbyś, że ogień można zwalczyć tylko ogniem.

Wiem, dokąd te słowa prowadzą. To one zafundowały mi dziurę w brzuchu. Posłały mnie w błoto, gdzie leżałem, szlochając, a nade mną stał Cassius. Oto czym się kończą.

– Może i straciłaś całą miłość, Harmony, i jest mi przykro z tego powodu, ale moja rodzina nadal jest moja. Nie będą cierpieć z powodu twojego gniewu. Moja żona marzyła o lepszym świecie, a nie o świecie bardziej krwawym. – Wstaję. – A teraz chcę porozmawiać z Aresem.

W pokoju zapada przytłaczająca cisza.

– Dajcie nam chwilę.

Harmony patrzy na Mickeya i Evey. Fioletowy wstaje niechętnie. Waha się, jakby chciał coś powiedzieć, ale czując na sobie spojrzenie Harmony, zmienia zdanie.

– Powodzenia, mój drogi – mówi tylko i klepie mnie po ramieniu.

– Pozwól mi zostać – prosi Evey, przysuwając się do Harmony. – Mogę ci z nim pomóc.

Harmony dotyka jej biodra.

– Ares nie pozwoliłby na to.

– Po tym, co dzisiaj zrobiłam... nie ufasz mi? Nie jestem taka jak pozostali.

– Ufam ci tak samo jak każdemu Czerwonemu, ale pewnymi kwestiami nie mogę się z tobą dzielić. – Harmony delikatnie całuje Evey w usta. – Wyjdz.

Dziewczyna przystaje w drzwiach i ogląda się na mnie.

– Nie jesteśmy wrogami, Darrow. Musisz to wiedzieć.

Drzwi zamykają się za nią ze szcękaniem i zostajemy sami w gabinecie Mickeya.

– Ona wie? – pytam.

– Co takiego?

– Że wysłałaś ją na misję samobójczą.

– Nie. Nie jest taka jak my. Jest ufna.

– A ty poświęciłabyś ją?

– Poświęciłabym każdego z nas, żeby zabić Niezrównanego Naznaczonego. Dopadamy tylko nic niewarte Tombaki i Piksy. A ja chcę prawdziwych tyranów.

– Wykorzystujesz ją gorzej, niż kiedykolwiek robił to Mickey.

– Ma wybór – mamrocze Harmony.

– Ma?

– Dostateczny. – Siada i wskazuje, żebym zrobił to samo. – Dancer może i nie żyje, ale Ares ma wobec ciebie plany.

– Nie. Nie. Nie będę dłużej słuchał z cudzych ust, jakie są jego plany. Poświęciłem dla niego trzy lata życia. Chcę zobaczyć jego twarz.

– To niemożliwe.

– W takim razie to koniec.

– Niby jak? Siedzisz w pułapce. Psiajucha, doskonale wiesz, że nie możesz wrócić do Lykos, prawda? Istnieje tylko jedna droga wyjścia. Zapnij pasy i trzymaj kurs.

Jej słowa uderzają mocno. Nie mogę wrócić. Samotność z tym związana jest nie do wyobrażenia. Gdzie jest mój dom? Dokąd się udam, kiedy to wszystko się skończy i Złoci obrócą się w popiół?

– Nie spotkasz Aresa. Nawet ja nigdy nie widziałam jego twarzy, piekłonurku.

– Nie? Pracujesz dla niego prawie tak długo jak Dancer. Całe lata. Jakim cudem akurat taka osoba jak ty mu ufa?

– Bo pierwszy włożył broń do mojej ręki. Miał na sobie hełm i wepchnął mi w garść miotacz model IV z pełnym jonowym magazynkiem.

– Ares to mężczyzna?

– A kogo to obchodzi?

Wyciąga holoEkran. Elektrony wirują w powietrzu, aż łączą się w serię map. Rozpoznaję topografię. Mars. Wenus. Chyba Luna. Tuziny czerwonych kropek mrugają wśród planów miast, portów i wielu innych kluczowych ośrodków. Bomby, dociera do mnie. Harmony patrzy znużona na mapę.

– Oto plan Aresa. Czteryście eksplozji. Sześćset ataków na zbrojownię, ośrodki rządowe, elektrownie, sieci komunikacyjne. Oto podsumowanie działalności Synów Aresa. Lata planów. Lata pracowitego gromadzenia zasobów.

Nie miałem pojęcia, że możemy przeprowadzić taką akcję. Wpatruję się w mapę z podziwem.

– Dzisiejsze wybuchy miały sprowokować reakcję. Zdenerwować ich. Chcemy, żeby zaczęli mobilizować siły. Wtedy zaczną się gromadzić. Łatwiej spalić żmije jaskiniowe, kiedy się ciasno upakują.

– Kiedy to się wydarzy?

– Za trzy noce.

– Trzy noce – powtarzam. – Na zakończenie Szczytu. Nie może chcieć, żebym w t...

– Chce. Za trzy noce Szczyt zakończy się elegancką galą. Wino, Różowi, jedwabie i co tam jeszcze Złotogłowi lubią. Będą tam wszyscy parszywi gubernatorzy, senatorzy, pretorzy, imperatorzy, sędziowie z całej Wspólnoty. Potwory z całego Układu Słonecznego zebrane w jednym miejscu za sprawą Suwerenki. Minie kolejne dziesięć lat, zanim znowu zobaczymy coś takiego. Synowie Aresa za nic się tam nie dostaną, ale ty możesz wejść tam, gdzie my nie zdołamy. Możesz zadać cios, którego my zadać nie zdołamy.

Odbieram te słowa jak widok rozpędzonego pociągu w tunelu.

– Kiedy wszyscy zbiorą się ładnie i ciasniutko. Kiedy Suwerenka wstanie, żeby wygłosić mowę, zabijesz Złotogłowych łajdaków bombą radową, którą ukryjemy w twoim ciele. Mickey z ekipą zbudowali to ustrojstwo. Kiedy już zobaczymy przez infoRejestrator, który na tobie umieścimy, że bomba wybuchła, puścimy w ruch resztę maszyny i w całym układzie rozpęta się piekło. Wypalimy ich.

I to jest podsumowanie wszystkiego, czego dokonałem?

– Musi istnieć inny sposób.

– Zawsze były dwa plany, piekłonurku. Ten plan i ty. Ares i Dancer mówili, że jesteś naszą nadzieją, szansą na inną drogę. Przechwalali się jak chłopcy, że zdołasz zniszczyć Złotych od środka. Ty jednak zawiodłeś, tak jak przewidziałam. Twierdzisz, że Evey ma krew na rękach. Ty też.

– Nie masz nawet pojęcia, ile krwi jest na moich rękach, Harmony. Nie jestem jakimś parszywym świętym. Jednak atak Evey to była zbrodnia.

– Jedyną zbrodnią będzie nasza porażka.

Jestem zdruzgotany.

– W grę wchodzi więcej rzeczy, niż jesteś w stanie pojąć. Nie możemy stawić czoła Złotym. Bez względu na to, jaki zadamy cios, pozbędą się nas ot

tak. – Pstrykam palcami.

– Więc nie zrobisz tego.

– Nie zrobię.

– W takim razie wojna zacznie się bez twojej pomocy. Mieliśmy dwóch Synów Aresa gotowych wejść na galę. Nie są Złoci, więc istnieje większe ryzyko, że zostaną złapani i pocięci na kawałki w pretoriańskiej sali tortur przed ukończeniem misji. Co oznacza, że przywódcy Żółtych przeżyją i nasza mała szansa na zwycięstwo w piekle, jakie się rozpęta, maleje, bo ty nie ufasz Aresowi.

– Wali mnie to. Ares powinien był powiedzieć mi to osobiście, jeśli chciał mojej pomocy.

– Jak? Jest na Marsie, gdzie przygotowuje rewolucję. Nie ma jak się do ciebie odezwać. Oni wszystko monitorują. Jak mogłby skontaktować się z tobą, nie ujawniając cię? – Pochyliła się ku mnie, szczerząc drapieżnie dolne zęby. – Powiedz mi, Darrow, czy ty chociaż wiesz, ile oni ci ukradli?

Wyczuwam coś w jej tonie.

– Co masz na myśli?

– Oto, co mam na myśli. – Wbija serię poleceń do holoKostki i na ekranie pojawia się obraz z kopalni w Lykos. Krew ścina mi się lodem. – Nagranie śmierci Eo. To, które spiraciliśmy i nadaliśmy...

Serce podchodzi mi do gardła.

– ...nie było kompletne.

Harmony włącza odtwarzanie i pomieszczenie wokół nas zamienia się w kopalnię. Jesteśmy częścią trójwymiarowego hologramu. To nieobrobiony, surowy zapis w przeciwieństwie do nagrania z serwisów informacyjnych, które widziałem setki razy. Powieszeniu nie towarzyszy podkład muzyczny.

Słyszę swoje krzyki bólu, kiedy Szarzy biją chłopca, którym byłem. Szlochy w tłumie. Niezręczną ciszę nieprzemontowanego nagrania. Moja matka zwiesza głowę, stryj Narol spluwa w piach. Kieran, mój brat, zasłania dzieciom oczy. Ludzie szurają stopami. Dio, siostra Eo, podchodzi chwiejnie do metalowej szubienicy. Buty zgrzytają na rdzy. Płacz. A potem Dio pochyla się ku mojej żonie. Eo stoi drobna, strasznie blada i chuda, ledwie smużka dymu po dziewczynie, którą zapamiętałem. Porusza ustami. Znowu jej nie słyszę, tak jak nie słyszałem jej tamtego dnia. Nagle z piersi Dio wyrywa się niekontrolowany szloch i przywiera do Eo. Co takiego powiedziała?

– Posłusz się sprzętem. Po to tu jest, nie?

Zastanawiałem się nad tym tysiące razy, ale nigdy nie miałem dostępu do oryginalnego nagrania. Nie miałem pojęcia, jak do niego dotrzeć, nie wzbudzając podejrzeń. I sama myśl przerażała mnie, tak jak przeraża mnie



teraz: czy jestem dość silny, żeby usłyszeć? Co mogła znieść Dio, czego ja bym nie podźwignął?

Pirackie nagrania w serwisach w ogóle nie pokazują Dio. Jednak to, oryginalne, mogę przewijać. Robię to. Mogą nagłośnić dźwięk. Robię to. I patrzę, jak to znowu się rozgrywa: moja matka zwiesza głowę. Narol pluje. Kieran zakrywa dzieciom oczy. Stopy szurają, Dio idzie na szubienicę. Wszystkie odgłosy są wzmocnione. Wygaszam biały szum pokrętłami i słyszę, co moja żona powiedziała Dio:

– W naszej sypialni stoi kołyska, którą zrobiłam. Schowaj ją, zanim Darrow wróci.

– Kołyska... – mruczy Dio.

– Nie może się dowiedzieć. To by go złamało.

– Nie mów tego, Eo. Nie mów.

– Jestem w ciąży.

## Złamany

Zalamuję się.

Siedzę w pustce. Patrzę na swoje ręce. Ręce, które mogły ocalić moją żonę, moje dziecko. Miała rację. Nie byłem dostatecznie silny, żeby znieść prawdę na temat jej drugiej ofiary. Eo mogła przeżyć. Eo mogła dać nam dziecko, którego pragnęliśmy. Uznała jednak, że ta przyszłość nie jest warta jej milczenia. Ja nie byłem wart...

Czuję coś głęboko w piersi, pustkę, lodowaty ból. Jakby czarna jama otworzyła się w głębinach mojej duszy, chociaż moje ciało zaciska się i zwija wokół żalu. Ważę milion funtów. Garbię się. Ściska mnie w piersi. Splatam palce. To zabawne pomyśleć, że te ręce towarzyszyły mi przez cały czas. Dotykały jej ust. Ciągnęły ją za kostki. Pochowały ją. Jednak nie tylko ją pochowały, prawda?

Nie. Pochowały też drugie życie. Nienarodzone. Nasze dziecko, martwe, zanim zaczęło żyć. Nie wiedziałem. Oplakiwałem stratę nieświadomy największej niesprawiedliwości. Zawiodłem ich oboje. Nagłośnione nagranie się zapętla.

– Jestem w ciąży – mówi Eo na szubienicy. – Jestem w ciąży.

Odtwarzam to kilkanaście razy, czując, jak się kurczę w korytarzu żałoby.

Złoci nie zabili tylko jej. Zabili to, czym zawsze chciałem być: mężem i ojcem. Gdybym tylko ją powstrzymał. Gdybym nie dąsał się jak dzieciak, kiedy straciliśmy Wawrzyn, to nie pomyślałaby, żeby zabrać mnie do ogrodu. Gdybym miał dość siły, by udać, że utrata Wawrzynu w ogóle mnie nie boli.

Mogłem mieć całą rodzinę. Żonę. Synów. Córki. Wnuki. Zostali zabici, zanim zaistnieli. Eo nigdy nie weźmie na ręce naszej córki. Nigdy nie pocałuje naszego syna na dobranoc i nie uśmiechnie się do mnie, kiedy dziecko zaciśnie drobne rączki na moim palcu. Tylko ja zostałem z tej rodziny, która mogła powstać. Cień człowieka, którym miałem się stać.

Ogarnia mnie gniew. Mieliśmy szansę, ale przepadła. Wszystko, czego pragnąłem, przepadło. Przeze mnie i przez nich. Przez ich prawa. Ich niesprawiedliwość. Ich okrucieństwo. Kazali wybierać kobiecie między śmiercią własną i jej nienarodzonego dziecka a życiem w niewoli. A wszystko to dla władzy. Wszystko po to, żeby zachowali swój mały idealny świat.

– Nie byłeś wtedy dostatecznie silny – mówi Harmony. – A teraz jesteś, piekłonurku?

Patrzę na nią przez mgiełkę łez. Jej wzrok łagodnieje.

– Miałam kiedyś dzieci. Promieniowanie wyżarło im wnętrzności, a nie dano im nawet leków przeciwbólowych. Nie naprawiono nawet wycieku. Powiedzieli, że nie mają na to środków. Mój mąż po prostu siedział i patrzył, jak umierają. Ostatecznie zabił go ten sam wyciek. To był dobry człowiek. Ale dobrzy ludzie umierają. Żeby ich uwolnić, żeby ich chronić, musimy być brutalni. Daj mi więc zło. Daj mi ciemność. Zrób ze mnie parszywego diabła, jeśli tylko możemy im zapewnić choćby najmniejszy promyk światła.

Wstaję i obejmuję ją, gdy przypominam sobie, jak straszliwym rzeczom musi stawić czoło nasz rodzaj. Czy naprawdę zapomniałem? Jestem dzieckiem piekła, za dużo czasu spędziłem w ich niebie.

– Zrobię, cokolwiek Ares chce.

\*\*\*

– Pliniusz przysłał tę sukę – syczy Szakał, kiedy Żółty lekarz powoli usuwa poparzoną skórę z jego ręki, żeby nałożyć nowe kultury tkankowe. – To nie byli Synowie Aresa. Nie zabiliby tylu podKolorów. To do nich nie pasuje. To najprawdopodobniej Pliniusz. Albo pretorianie Suwerenki potrzebowali przykrywki.

Światła mijających nas statków rozbłyskują przez szybę. Szakał przeklina i krzyczy na służących, żeby przyciemnili okna. Szarzy sprowadzili mnie tutaj, do jego prywatnego drapacza chmur zamiast do Cytadeli, o co poprosiłem. Roi się tu od najemników. Szakał na ogół woli Szarych od Obsydianowych, jeśli pominąć tamtego jednego Splamionego. Jestem tu jedynym Żółtym poza nim, co dowodzi rozmiarów jego zaufania. Jego nazwisko z pewnością ściągnęłoby dość pieczeniarczy, żeby wypełnić całe miasto, ale jemu odpowiada izolacja. Tak jak i mnie.

– Czy to mogła być Victra? – pytam. – Nie została...

– Ona już dowiodła swojej lojalności. Nie posłużyłaby się bombą. I jest w tobie zakochana. To nie ona.

– Zakochana? – pytam zaskoczony.

– Jesteś ślepy jak Niebieski. – Szakał prycha, ale nie mówi nic więcej. – Nasze przymierze musi pozostać tajemnicą, dopóki nie opuścimy tego przekłętego księżyca, co oznacza, że nie było cię w gospodzie. Gdyby Pliniusz znał zasięg naszych planów, działałby bardziej skrupulatnie. Myślę, że tylko ja

byłem jego celem. Dlatego wrócisz do Cytadeli. Będziesz udawał, że nic się nie stało. Ja będę nadal realizował mój plan z szefami syndykatu, a potem pod koniec Szczytu wykupię twój kontrakt.

Kiedy cały ich świat się zmienia.

Odwracam się, żeby wyjść, ale w progu zatrzymuje mnie jego głos:

– Uratowałeś mi życie. Do tej pory tylko jedna osoba zrobiła coś takiego. Dziękuję ci.

– Każ swojej nowej skórze szybciej odrastać. Nie chcesz przegapić gali na zakończenie Szczytu.

\*\*\*

Następne trzy dni mijają jak we śnie. Cały czas myślę o Eo i o tym, co straciliśmy. Nie potrafię uciec przed smutkiem. Prześladowuje mnie, nawet kiedy zaharowuję się na śmierć na siłowni w posiadłości. Nie zawracam sobie głowy towarzyskimi pogaduszkami. Odsuwam się od przyjaciół. Żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia. Nie dla mnie. Życie blaknie wobec bólu. Theodora zauważyła to i stara się ze wszystkich sił poprawić mi humor, sugeruje nawet, żebym zabawił się z Różami z Ogrodu w Cytadeli.

– Lepiej, żebyś to był ty, dominus, niż jakiś brutal z Gazowych Olbrzymów – mówi.

Wieści o zamachach zalewają Cytadelę, dominują w dziennikach. Wspólnota dobrze to rozgrywa, nagłaśniając swoje operacje humanitarne. Wysyłają instrukcje, jak zająć się potencjalnymi kryzysami. Żółci psychologowie analizują na żywo Aresa, uznając, że ukryta seksualna trauma z młodości sprawia, że atakuje, aby odzyskać kontrolę nad swoim światem. Fioletowi aktorzy i artyści zbierają pieniądze dla rodzin, które straciły kogoś bliskiego. Sam Żywe Srebro przekazuje trzy procent z osobistej fortuny na pomoc ofiarom. Obsydianowi i Szarzy komandosi atakują bazy na asteroidach, gdzie Synowie Aresa „trenują”. Szarzy antyterroryści urządzają konferencję prasową i twierdzą, że pojmali odpowiedzialnych, najprawdopodobniej jakichś Czerwonych, których wyciągnęli z kopalni albo ze slumsów na Lunie.

To farsa, a Żłoci świetnie się w niej odnajdują. Chowają się przed kamerami, żeby wyglądało to jak walka wszystkich Kolorów z Czerwonymi terrorystami. To nie jest wyłącznie walka Żłotych. To sprawa całej Wspólnoty. Co więcej, Wspólnota wygrywa, bo nasze poświęcenie i posłuszeństwo pozwalają prosperować sprawiedliwym. Parszywe brednie.

A jednak trzeba kogoś obwinić. Dlatego arcygubernator zostaje wezwany na przesłuchanie, gdzie ma przedstawić, jak radzi sobie z sytuacją. Jakim sposobem Synowie Aresa rozprzestrzenili się z Marsa na Lunę? – zapytają. Uderzono w gniado Złotych szerszeni, tak ja przepowiedziałem, ale gala trwa. Patrzę, jak Złoci toczą swoje gierki, zabawę w intrygi, dyplomację, przemykając niepostrzeżenie na różne gale, konferencje i szczyty, nietknięci przez brudne zagrywki z terrorystami. Są chronieni, osłonięci przed zgrozą.

Wcześniej to by mnie dręczyło, ale teraz są dla mnie tylko cieniami. Jakby naprawdę stali się dla mnie odległym wspomnieniem.

Z żalem dotykam bomby na mojej piersi. To robota Mickeya. Kopia pegaza, którego nosiłem w Instytucie, tego z włosem Eo. Teraz tamten leży ukryty razem z moimi innymi rzeczami osobistymi. A temu muszę tylko ukręcić głowę i stanie się bombą. Pierścień, który mi dali, aktywuje ją.

Odsuwam się od przyjaciół, od Victry. Pytała Roque'a, co jest ze mną nie tak. Wiem, że ten powie, że jestem jak wiatr, kapryśny i zmienny. Albo coś w tym stylu. Zbliża się do mnie, odwiedza, kiedy się kładę, próbuje ćwiczyć ze mną na siłowni. Nie potrafię jednak uśmiechać się razem z nim, słuchać jego cichego głosu, gdy czyta poezję, rozprawiać o filozofii ani nawet żartować. Nie mogę zacząć mu współczuć, bo wiem, że niedługo umrze. Staram się zabić go w swoim sercu, zanim zabiję go naprawdę.

Czy mogę go dodać do listy tych, których już wysłałem do grobu?

Wreszcie znajduję odpowiedź w wieczór gali, kiedy Theodora przynosi mi moje wyprasowane ubranie z pralni. Nie mówi niczego, co przypominałoby mi Roque'a. Nie dzieli się żadną mądrością. Robi za to coś, czego nigdy dotąd u niej nie widziałem. Popełnia błąd. Kładąc mój biały mundur na krześle, przewraca kieliszek wina stojący na stoliku obok. Wino ochlapuje rękaw. Na widok tego, co rozbłyskuje w jej oczach, robi mi się zimno. To przerażenie, takie jakie mogłoby pojawić się w oczach sarny na widok nadlatującego pojazdu. Wyrzuca z siebie strumień przeprosin, jakbym w przeciwnym wypadku mógł ją uderzyć. Potrzebuje chwili, żeby wziąć się w garść, zapanować nad falą paniki. Kiedy wreszcie się uspokaja, siada na podłodze i zaczyna w milczeniu czyścić mój strój.

Nie wiem, co zrobić. Stoję niezręcznie przez chwilę, zanim położę rękę na jej ramieniu i powiem, że nic się nie stało. Wtedy zaczyna płakać, szloch wstrząsa potężnie jej ramionami. Wzdraga się pod moim dotykiem i bierze się w garść. Tłumaczy mi, że muszę założyć czarny mundur zamiast białego. Może nie wiedzieć, co ma się wydarzyć, ale wyczuwa to we mnie, w powietrzu.

Kiedy inni lansjerzy bawią się w swoim towarzystwie, biorą kąpiele mikrołuszczące i konsultują się ze swoimi stylistami z myślą o nadchodzącej gali, ja drżącymi palcami sznuruję ciężkie wojskowe buty. Nigdy nie byłem dobry w ratowaniu przyjaciół. Mam wrażenie, że zawsze pakowałem ich w kłopoty. Myślę, że Sevro wciąż żyje tylko dzięki temu, że znajduje się daleko ode mnie. Fitchner zawsze się bał, że zabiję jego syna. Powiedział, że nic mojego życia jest tak mocna, że strzepi nici wszystkich wokół. Teraz, widząc Theodore w takim stanie... przypominam sobie, jacy krusi i skomplikowani jesteśmy w rzeczywistości. Nie wiem, dlaczego płakała. Dręczy ją jakieś trudne przeżycie z przeszłości? Wyczuwa jakoś to, co ma nadejść? Niewiedza przypomina mi o głębi tkwiącej w ludziach, którzy mnie otaczają. Ja stoję zimny, odbiera mi mowę, ale Roque ma w sobie tyle ciepła... wiedziałby, co należy powiedzieć.

Pukam do jego drzwi na kilka minut przed tym, jak świta Augustusa wyruszy z willi na galę. Nikt nie odpowiada. Otwieram i widzę, że mój przyjaciel siedzi na łóżku i delikatnie trzyma za grzbiet wiekową książkę. Uśmiecha się na mój widok.

– Myślałem, że to Tactus przyszedł błagać, żebym strzelił sobie z nim parę stymów przed galą. Zawsze uważa, że skoro czytam, to nic nie robię. Nie ma gorszej zmory dla introwertyka niż ekstrawertyk. Zwłaszcza taka bestia jak on. Pewnego dnia sam siebie zajeździ.

Zmuszam się do śmiechu.

– Przynajmniej jest szczery w swoich słabościach.

– Poznałeś już jego braci? – pyta Roque. Kręcę głową. – Przy nich Tactus sprawia wrażenie jagniątko.

– Psiakrew – przeklinam i opieram się o framugę. – Aż tak źle?

– Bracia Rath? Są potworni. Potwornie bogaci. Potwornie utalentowani. A ich główna cnota to umiejętność grzeszenia. Są w tym genialni. – Roque uśmiecha się konspiracyjnie. – Jeśli wierzyć plotkom, a ja uwielbiam plotki... przypomnij mi, żebym ci powiedział o Byronie i Wildzie... bracia Tactusa otworzyli burdel w Agei, kiedy mieli czternaście lat. Szykowny lokal, dopóki nie zaczęli zapewniać bardziej... wyspecjalizowanych usług.

– A potem co się stało?

– Zhańbione córki, synowie. Obelgi. Pojedynki. Martwi spadkobiercy. Długi. Trucizna. – Wzrusza ramionami. – Taka jest rodzina Rath. Czego spodziewać się po tych szubrawcach? To dlatego wszyscy byli zaskoczeni, że Tactus zaprzyjaźnił się z takim Żelaznym Złotym jak ty – wyjaśnia. – Wiesz, że jego bracia kpią z niego, że jest twoim cieniem? To dlatego zawsze jest taki sarkastyczny. Chce być taki jak ty, ale nie może. Dlatego sięga po swoje

zwykle mechanizmy obronne. – Marszczy brwi. – Czasem mam wrażenie, że rozumiesz nas wszystkich lepiej niż my sami, a czasem, że jesteśmy ci całkowicie obojętni.

Przechyliła głowę, kiedy nie odzywam się ani słowem.

– Co jest?

– Nic.

– W twoim wypadku to nigdy nie jest nic. – Kładzie książkę na piersi i klepie brzeg łóżka, wciągając mnie do pokoju. – Usiądź, proszę.

– Przyszedłem, bo chciałem cię przeprosić – mówię bardzo powoli, siadając na brzegu łóżka. – Zachowywałem dystans przez ostatnie miesiące, szczególnie w ostatnich dniach. Nie uważam, żeby to było w porządku wobec ciebie. Zwłaszcza że byłeś moim najlojalniejszym przyjacielem. Ty i Sevro, ale on nie przestaje mi przysyłać dziwnych obrazków.

– Znowu jednorożce?

Śmieję się.

– Myślę, że ma jakiś problem.

Roque klepie mnie po rękę.

– Dziękuję, ale jesteś jak ogar, który przeprosza za merdanie ogonem. Zawsze byłeś zdystansowany, Darrow. Nie musisz przeproszać za to, jaki jesteś. Nie mnie.

– Może trochę bardziej zdystansowany niż zwykle?

– Może – zgadza się. – Wszyscy mamy swoje wewnętrzne przypływy i odpływy. Nadchodzą. Odchodzą. – Wzrusza ramionami. – Nie panujemy nad tym, nie tak naprawdę. Rzeczy, ludzie, którzy wokół nas krążą, mają nad tym kontrolę, może większą, niż chcielibyśmy przyznać. – Przygląda mi się przez chwilę i marszczy czoło w zamyśleniu. – Chodzi o Mustang? Wiem, że było ci ciężko ją opuścić, bez względu na to, co wtedy mówiłeś. Powinieneś jej poszukać, póki tu jesteśmy. Wiem, że ci jej brakowało. Przyznaj to.

– Nie brakowało.

– Kłamiesz, aż się kurzy.

– Powiedziałem ci setkę razy, że nie będziemy o niej rozmawiać.

– W porządku. To o co się martwisz? O aukcję? – Urywa, uśmiecha się i znowu mi się przygląda. – Niepotrzebnie. Załatwiłem tę sprawę. Wykupię twój kontrakt.

– Roque, nie masz pieniędzy.

– Wiesz, ile zapłaci Piks, żeby Niezrównany z moim pochodzeniem i znajomościami miał u niego dług? Miliony. Mógłbym nawet zwrócić się do Żywego Srebra, gdybym potrzebował. Cały czas udziela pożyczek Złotym. Rzecz w tym, że będę miał pieniądze, nawet jeśli rodzice mi nie pomogą.

Więc się nie martw, bracie. – Szturcha mnie stopą. – Dom Marsa coś znaczy, he?

– Dziękuję – mówię, jękając się. Nie jestem w stanie naprawdę ogarnąć, co właśnie zrobił. I dlaczego. Nadstawia karku. Ściąga zagrożenie na siebie, naraża się rodzicom. – Nikt inny nawet nie wspomniał mi o aukcji.

– Obawiają się, że twój pech jest zaraźliwy. Wiesz, jak jest. – Zawiesza głos i czeka, bo dobrze mnie zna. – Jest coś jeszcze, prawda?

Kręcę głową.

– Czy ty... – Słowa mnie zawodzą. – Czujesz się czasem zagubiony?

To pytanie zawisa między nami, osobiste i niezręczne tylko dla mnie. Roque nie pryca, jakby to zrobił Tactus czy Fitchner, nie drapie się po kroczu jak Sevro, nie rechoce, czego spodziewałbym się po Cassiusie, nie mruczy jak Victra. Nie jestem pewien, co zrobiłaby Mustang. Roque jednak mimo swojego Koloru i wszystkiego, co go odróżnia, powoli wsuwa zakładkę do książki, odkłada ją na nocny stolik obok łóżka z kolumnkami, nie śpieszy się. Czeką, żeby odpowiedź ewoluowała między nami. Jego ruchy są przemyślane i płynne, jak u Dancera za życia. Jest w nich ogromny i majestatyczny spokój, taki sam, jaki pamiętam u mojego ojca.

– Quinn opowiedziała mi kiedyś pewną historię. – Czeką, aż jęknę niechętnie na tę wzmiankę, ale kiedy tego nie robię, podejmuje swoją opowieść, poważniejszy niż jeszcze przed chwilą. – Pewnego razu, dawno temu na Starej Ziemi żyły dwa gołębie, które ogromnie się kochały. W tamtych czasach hodowano je do przenoszenia wiadomości na duże odległości. Te dwa urodziły się w tej samej klatce, były hodowane przez tego samego człowieka i sprzedane tego samego dnia różnym ludziom w przededniu wojny. Gołębie cierpiały z powodu rozłąki, czuły się niekompletne bez ukochanego. Ich nowi panowie zabrali je w dwa odległe miejsca i ptaki bały się, że już nigdy się nie odnajdą, bo zaczęły widzieć, jak ogromny jest świat i jak straszliwe rzeczy się w nim dzieją. Przez wiele miesięcy przenosiły wiadomości swoich panów, przelatując nad liniami frontu, ponad ludźmi, którzy zabijali się na ziemi. Kiedy wojna się skończyła, właściciele wypuścili gołębie na wolność. Żaden jednak nie wiedział, dokąd lecieć, co robić, więc wróciły do domu. I tak się odnalazły, jakby pisany im był powrót i odkrycie przyszłości zamiast przeszłości.

Składa ręce łagodnym gestem, jak nauczyciel przechodzący do sedna sprawy.

– Czy więc czuję się zagubiony? Nieustannie. Kiedy Lea zginęła w Instytucie... – usta wyginają mu się delikatnie w podkówkę – ...byłem w ciemnym lesie, ślepy i zagubiony jak Dante przed Wergiliuszem. Jednakże



Quinn mi pomogła. Jej głos przywołał mnie, wydobywając ze smutku. Stała się moim domem. Jak to ona ujmuje: „Dom nie jest tam, skąd pochodzisz, ale tam, gdzie znajdujesz światło, gdy nadchodzi ciemność”. – Dotyka grzbietu mojej dłoni. – Znajdź dom, Darrow. Może wcale nie ma go w przeszłości. Znajdź go jednak, a już nigdy więcej nie będziesz zagubiony.

Zawsze uważałem Lykos za dom. Uważałem Eo za swój dom. Może tam właśnie teraz zmierzam. Zobaczyć ją. Umrzeć i odnaleźć ponownie dom w Dolinie, wraz z moją żoną. Jeśli to jednak jest prawda, to czemu nie czuję się kompletny? Dlaczego pustka rośnie we mnie tym wyraźniej, im bardziej się do niej zbliżam?

– Czas iść – odzywam się, wstając z łóżka.

– Otrząśniesz się z tego. To równie pewne jak to, że jestem twoim przyjacielem. – Roque też zaczyna się podnosić. – Nie jesteśmy pozycją, jaką zajmujemy w życiu. Jesteśmy sobą, sumą tego, czego dokonaliśmy, czego chcemy dokonać, ludźmi, których trzymamy blisko siebie. Jesteś moim najdroższym przyjacielem, Darrow. Pamiętaj o tym. Bez względu na to, co się wydarzy, będę cię chronił tak samo, jak ty chroniłbyś mnie, gdybym tylko tego potrzebował.

Zaskakuję go, ściskając mu rękę i trzymając ją tak przez chwilę.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Roque. Zdecydowanie za dobrym jak na swój Kolor.

– Dziękuję. – Zerka na mnie, mrużąc oczy, kiedy puszczam jego rękę i obciążam mundur. – Ale co masz właściwie na myśli?

– Myślę, że moglibyśmy być braćmi – mówię. – W innym życiu.

– A po co nam inne życie?

Wtedy zauważa automatyczną strzykawkę w mojej lewej dłoni. Jego ręce są za wolne, żeby mnie powstrzymać, ale oczy dość szybkie, żeby rozszerzyć się w ufny lęk, jak u wiernego psa, kiedy jest powoli usypiany na kolanach swojego pana. Nie rozumie, ale wie, że jest ku temu powód; mimo to boi się, a poczucie zdrady rozbija mu serce na tysiąc kawałeczków.

Strzykawka wbija się w jego szyję, Roque osuwa się powoli na łóżko, oczy mu się zamykają. Kiedy się obudzi, wszyscy, z którymi pracował przez ostatnie dwa lata, będą już martwi. Będzie pamiętał, co mu zrobiłem po tym, jak powiedział, że jestem jego najbliższym przyjacielem. Zorientuje się, że wiedziałem, co wydarzy się na gali. Nawet jeśli nie umrę tego wieczoru, nawet jeśli nie odkryją w inny sposób, że to ja byłem zamachowcem, uratowanie życia Roque'owi oznacza, że zostanę zdemaskowany. Nie ma już odwrotu.

## Czerwony

Dziś wieczorem zabiję dwa tysiące najpotężniejszych przedstawicieli ludzkości. Mimo to idę teraz razem z nimi, obojętny na ich dekadencję i protekcjonalność jak nigdy dotąd. Arogancja Pliniusza nie burzy we mnie krwi. Nieskromna sukienka Victry nie niepokoi mnie, nawet kiedy dziewczyna bierze mnie za rękę, chociaż Tactus podsuwa jej swoją dłoń. Szepcze mi do ucha, jaka jest niemądra, bo zapomniała założyć bieliznę. Śmieję się z tego, jak z wesołego żartu, próbując zamaskować chłód, jaki mnie oblewa.

To wszystko tylko szum.

– Pewnie należy mu się jakaś pociecha przed odejściem – mówi o mnie Tactus z westchnieniem. – Widziałeś Roque’a, łaskawy panie?

– Powiedział, że się źle czuje.

– Jakie to dla niego typowe. Pewnie zwinął się w kłębek z książką. Powinienem pójść po niego.

– Gdyby chciał przyjść, to by przyszedł – zauważam.

– Ale ja chcę, żeby tu był – odpowiada Tactus. Wzrusza ramionami na innych lansjerów, którzy przepychają się zaciekle, żeby być jak najbliżej naszego pana.

– Skoro tak bardzo go potrzebujesz, to idź po niego – odpowiadam przebiegle.

Wzdryga się.

– Nikogo nie potrzebuję, ale gdybym nie znał cię lepiej, uznałbym, że nadal masz żal z powodu tej sprawy z kapsułą ratunkową.

– Masz na myśli to, że wystartowałeś bez niego? – pyta Victra. – Dlaczego to miałooby mu przeszkadzać?

Nawet teraz ta zdrada mnie boli.

– Myślałem, że nie żyje! To była prosta kalkulacja. – Szturcha mnie pięścią w ramię i kiwa głową na Victrę. – Rozumiesz. Musiałem zadbać o tę damę.

– To rzeczywiście delikatny kwiatusek – odpowiadam, odciągając ją na bok.

– „Biada bogu morza samotnemu” – nuci melodyjnie Tactus. – „Jak i ja przez przyjaciół porzuconemu!”

Victra poprawia złoty naramiennik, z którego wzdłuż ręki opada ciąg złotych segmentów.

– Ten kochany chłopak jest tak próżny, że uznałby, że burza nadciąga z jego powodu. – mówi i zauważa, że w ogóle się nie przejmuję. – Aukcja zacznie się dopiero po gali. – Ruchem głowy wskazuje lądującą limuzynę. – Proszę, proszę, a już się zastanawiałam, czy się pokaże.

Szakał wysiada z pojazdu. Na skórze ma ledwie widoczne różowe ślady. Jego Żółci naprawdę się wykazali. Kłania się lekko ojcu, ignorując pomruki jego przybocznych.

– Ojczy – odzywa się – pomyślałem, że wypada, by na gali pojawiło się przynajmniej jedno z twoich dzieci. W końcu rodzina Augustus powinna przedstawiać zjednoczony front.

– Adriusie. – Augustus taksuje go wzrokiem, szukając jakiegokolwiek powodu do krytyki. – Nie zdawałem sobie sprawy, że polubiłeś ostatnio bankiety. Nie jestem pewien, czy ten przypadek ci do gustu.

Szakał śmieje się teatralnie.

– Może dlatego zaproszenie do mnie nie dotarło! A może to z powodu poruszenia wywołanego atakami terrorystycznymi? Nieważne. Jestem tu teraz, jak zawsze chętny, żeby stanąć u twego boku.

Szakał równa krok z ojcem, uśmiechając się do wszystkich szeroko, wiedząc, że Augustus za żadne skarby nie wda się w rodzinną kłótnię w miejscu publicznym. Mnie posyła szczególnie złowieszczy uśmieszek, na widok którego inni kulą się i odsuwają. Teatr w każdym calu.

– Idziemy? – pyta.

Pilnuję się i niewiele odzywam, idąc z Victrą na końcu długiej procesji, która wije się przez labirynt marmurowych korytarzy prowadzących z naszej willi do odległych o jakieś dwa kilometry Ogrodów Cytadeli. Wieża Suwerenki wyrasta tam z poziomu ziemi jak wspaniały, długi na dwa kilometry miecz przeszywający wypiełgnowany ogród z różanymi drzewami i strumieniami.

Woda płynie przezeń tysiącem wijących się ścieżek. Szemrzące ruczaje z barwnymi rybkami prowadzą do spokojnych lagun, gdzie wyrzeźbione Różowe syreny pływają pod kwitnącymi drzewami pełnymi kotomałpek. Smukłe tygrysy wylegają się w trawie. Fioletowi wędrują po tych barwnych lasach, pojawiając się wśród drzew jak letnie ćmy, dźwięki ich skrzypiec składają się na niesamowity koncert. To obraz z nocnych ogrodów Bachusa bez obscenicznej seksualności, która tak bawiła Greków – Piksy obśmiałyby się ze sprośności, ale nie Niezrównani. W każdym razie nie publicznie.

Migają nam inne pochody między drzewami. Widzimy ich sztandary, ogromne, migoczące konstrukcje z tkaniny i metalu. Nasz czerwono-złoty lew w herbie ryczy w bezgłośnym wyzwaniu. Kruk na srebrnym polu sygnalizuje przejście rodu Falthe przez brukowany most. Przyglądamy się czujnie ich lordowi i jego lansjerom. Oczywiście wszyscy noszą brzytwy, ale inne wytwory techniki są zakazane – terminale, grawiButy, pancerze. To przyjęcie w klasycznym stylu.

Wieża wznosi się nad nami. Fioletowe, czerwone i zielone mchy wspinają się po podstawie ogromnej budowli pnączami o tysiącu odcieni, zaciskając się na szkłe i kamieniu jak palce chciwych kawalerów na nadgarstku bogatej wdowy. Sześć wielkich wind niesie rodziny w niebo, na szczyt.

Windę obsługują piękni Różowi służący i Brązowi lokaje, wszyscy ubrani na białe. Złote trójkąty Wspólnoty zdobią ich liberie.

Winda jest płaską marmurową platformą wyposażoną w grawiSilniki. Znajduje się pośrodku polany, gdzie zielona trawa kołysze się na wietrze. Kilkoro Miedzianych podchodzi pośpiesznie, żeby porozmawiać z Pliniuszem, który, jako politikos, przemawia w imieniu arcygubernatora. Wygląda na to, że wynikło jakieś zamieszanie. Rodzina Falthe wypełnia windę przed nami.

– To pułapka towarzyska – mruczy Augustus do swojego ulubionego wychowanka. Leto przysuwa się do niego. – Głupcy. Popatrz, jak udają, że to wypadek. Wkrótce powiedzą nam, że musimy skorzystać z windy razem z rodem Falthe, chociaż to oni powinni błagać, żebyśmy my skorzystali z niej przed nimi.

– Czy to nie może być przypadek? – pyta Leto.

– Nie na Lunie. – Augustus krzyżuje ręce na piersi. – Tu wszystko jest polityką.

– Wiatry zmieniają kierunek.

– Zmieniały już od jakiegoś czasu – mruczy Augustus.

Zwraca twarz o ostrych rysach ku swoim przybocznym, jakby liczył, iloma brzytwami dysponuje. Niektórzy noszą je zwinięte przy bokach, inny wokół przedramion, tak jak ja nosiłem swoje pożyczone ostrze. Tactus i Victra przepasali się nimi jak szarfami.

– Chcę, żeby w każdej chwili przy arcygubernatorze byli trzej lansjerzy – mówi cicho Leto. Kiwamy głowami, zacieśniając szyk. – I żadnego picia.

Tactus protestuje głośnie jękiem.

Szakał patrzy beznamietnie na Leto wydającego rozkazy.

Pliniusz wraca po rozmowie z obsługą Cytadeli. I oczywiście okazuje się, że musimy pojechać windą razem z rodziną Falthe. Powietrze gęstnieje jednak od grozy. Mamy zostawić na dole naszych Obsydianowych i Szarych.

– Wszystkie rodziny mają wziąć udział w gali bez świty – wyjaśnia Pliniusz. – Żadnych ochroniarzy.

Pomruk niesie się przez nasze szeregi.

– W takim razie nie pójdziemy – zapowiada Szakal.

– Nie bądź głupcem – odpowiada Augustus.

– Twój syn ma rację – odzywa się Leto. – Nero, niebezpieczeństwo...

– Niektóre zaproszenia bardziej niebezpiecznie jest odrzucić niż przyjąć. Alfrún, Jopho.

Augustus zdecydowanym gestem przecina powietrze, zwracając się do swoich Splamionych. Dwaj mężczyźni w milczeniu kiwają głowami i dołączają do pozostałych, którzy już stoją z boku. Prawdziwa emocja – niepokój – wypełnia ich upiorne oczy, kiedy dołączamy do rodziny Falthe w windzie i wznosimy się. Głowa rodu Falthe uśmiecha się. Jego pozycja się poprawia.

Gala na dachu wieży Suwerenki nawiązuje do motywu baśniowej krainy zimy. Śnieg pada z niewidzialnych chmur. Obsypuje podobne do włócznie sosny w stworzonym ludzką ręką lesie i przyprósza mi włosy płatkami, który mają smak cynamonu i pomarańczy. Oddech bucha mi z ust obłokiem pary.

Przybycie arcygubernatora zostaje odnotowane dźwiękiem trąbek. Tactus i paru młodszych lansjerów zachodzą drogę rodzinie Falthe, żeby Augustus mógł pierwszy wkroczyć na galę. Jak jedno ciało z bladego złota i krwistej czerwieni zagłębiamy się w imponujący wiecznozielony krajobraz. Otacza nas śmietanka Złotych, straszliwe morze twarzy, które widziały rzeczy, o jakich pierwsi ludzie mogli tylko marzyć. Można spostrzec przebłyski naszej wspólnej przeszłości w Instytucie. Eleganci od Apolla. Zabójcy od Marsa. Piękności od Wenus.

Poniżej rozpościera się Cytadela, a za jej terenem błyszczą miasta z milionem światełek. Człowiek nigdy nie domyśliłby się, że pod tym morzem migotliwych klejnotów rozciąga się drugie miasto, brudne i biedne. Światy wewnątrz światów.

– Postaraj się nie stracić głowy – szepcze do mnie Victra, przeczesując pazurastą dłonią moje włosy, a potem odchodzi, żeby porozmawiać ze swoimi przyjaciółmi z Ziemi.

Zbliżam się do naszego stolika. Ogromne żyrandole wiszą na małych grawiSilnikach. Światło się skrzy. Suknie opływają jak ciecz idealne ludzkie sylwetki. Różowi serwują smakołyki i alkohole na talerzykach i w kielichach z lodu i szkła.

Setki długich stołów rozstawiono koncentrycznie wokół zmarzniętego jeziora pośrodku zimowego krajobrazu. Różowi jeżdżą tu na łyżwach, żeby

obsługiwać gości. Pod lodem poruszają się kształty. Żadne seksualne perwersje, jakimi zabawiałyby się Piksy albo podKolory, ale mistyczne stworzenia o długich ogonach i łuskach błyszczących jak gwiazdy. W innym życiu marzeniem Mickeya byłoby otrzymać zamówienie na stworzenie istoty na taką ucztę. Uśmiecham się do siebie. W pewnym sensie już jedną taką stworzył.

Stoły nie są podpisane ani ponumerowane. Rozpoznajemy swoje miejsce po wielkim, niemal całkowicie nieruchomym lwie siedzącym na środku naszego. Stół każdej rodziny został oznaczonych jej herbem. Widać gryfy i orły, lodowe pięści i ogromne żelazne miecze. Lew pomrukuje z zadowoleniem, kiedy Tactus podkrada Różowemu tacę z przekąskami i stawia ją między potężnymi łapami zwierzęcia.

– Jedz, zwierzu, jedz! – krzyczy.

Znajduje mnie Pliniusz. Ma włosy związane na plecach w ścisły, skomplikowany warkocz. Jego strój choć raz jest równie surowy jak jego szpiczasty nos, jakby chciał zaimponować Niezrównanym swoimi ptasimi rysami i prostotą dodatków.

– Później przedstawię cię paru zainteresowanym kontrahentom. Kiedy dam sygnał, oczekuję, że do mnie dołączysz. – Rozgląda się rozkojarzony, szukając ważnych osób dla własnych korzyści. – Do tego czasu nie rób kłopotów i zachowuj się jak należy.

– Żadnych kłopotów. – Biorę do ręki wisiorek z pegazem. – Przysięgam na honor rodziny.

– Tak – odpowiada Pliniusz, nie patrząc. – Bo jakże szlachetny to ród.

Rozglądam się po gali. Już setki ludzi rozmawiają, a z każdą minutą przybywają następni. Jak długo powinienem czekać? Trudno utrzymać gniew, który pozwolił mi podjąć tę decyzję. Zabili moją żonę. Zabili moje dziecko. Jednak bez względu na wzburzenie, jakie przywołuję poprzez powrót do wspomnień, nie potrafię otrząsnąć się z obawy, że kieruję rebelię w stronę przepaści.

To się nie przysłuży marzeniu Eo. Zrobię to dla satysfakcji tych, którzy żyją. Zaspokoję ich żądzę zemsty, zamiast uczcić tych, którzy już poświęcili wszystko. To będzie nieodwracalne. Jednak taki właśnie kierunek obraliśmy.

Tak wiele wątpliwości... Czy jestem tchórzem? Racjonalizuję swoją bierność?

Za dużo myślę. To cecha złego żołnierza. A tym właśnie jestem. Żołnierzem Aresa. On dał mi to ciało. Powinienem mu teraz zaufać. Biorę więc pegaza i przyczepiam od spodu do stołu Augustusa, blisko końca.

– Toast? – proponuje ktoś.

Odwracam się i staję twarzą w twarz z Antonią. Nie widziałem jej od czasu Instytutu, kiedy Sevro ściągnął ją z krzyża, do którego przybił ją Szakal. Odsuwam się ze wzdrygnięciem, przypominam sobie noc, kiedy poderżnęła Lei gardło, żeby wywabić mnie z ciemności.

– Myślałem, że jesteś na Wenus i studiujesz politykę – przyznaję.

– Szkoła się skończyła. Naprawdę podobał mi się twój chrzest. Oglądałam go kilka razy z przyjaciółmi. Straszny smród, uryna. – Obwachuje mnie. – Trudno się go pozbyć.

Natura była okrutna, czyniąc ją tak potwornie piękną. Pełne usta, nogi prawie tak długie jak moje, skóra gładka jak rzeczny otoczek, włosy niczym złote nici z opowieści o księżniczkach i popielnikach. Wszystko to maskuje przeklętą istotę.

– Widzę, że stęskniłeś się za mną. – Wręcza mi puchar z winem. – Wznieśmy więc toast za ponowne i jakże szczęśliwe spotkanie.

Nie widzę za grosz sensu w tym, że żyjemy w świecie, w którym ona może stać i tkać swoje złowrogie sieci, podczas gdy moja żona nie żyje, a dobrych Złotych takich jak Lea i Pax zmielono na proch i wystrzelono w słońce.

– Fitchner powiedział mi kiedyś pewną rzecz. Mam wrażenie, że pasuje do tej chwili. – Wznoszę kielich w uprzejmym toaście.

– Och, Fitchner – wzdycha Antonia, a jej piersi unoszą się agresywnie w za ciasnej złotej sukni. – Tombakowy gryzoń wyrobił sobie tu nazwisko. Co takiego powiedział?

– „Mężczyzna nigdy nie zatęskni za francą”. – Wylewam jej wino pod nogi i odchodzę.

Łapie mnie za rękę i przyciąga z powrotem do siebie tak blisko, że czuję żar jej oddechu.

– Oni nadchodzą – mówi. – Ród Bellona idzie po ciebie. Powinieneś uciekać. – Patrzy na moją brzytwę. – Chyba że uważasz, że jesteś dość dobry, by pokonać Cassiusa w pojedynku? – Puszcza mnie. – Powodzenia, Darrow. Będzie mi brakowało mały na balu. W każdym razie mnie bardziej niż Mustang.

Nie wracam uwagi na jej słowa i odchodzę. Chciałbym, żeby zjawilo się już więcej rodów na gali. Wtedy mógłbym to zakończyć. Zastępy pretorów, kwestorów, sędziów, gubernatorów, senatorów, głów rodzin, przywódców rodów, handlarzy, dwóch olimpijskich rycerzy i tysiące innych przyszło życzyć mojemu panu miłego wieczoru. Ci starsi mężczyźni rozmawiają o atakach Grasantów na Urana i Ariela, niemądrej plotce, że nowy Rycerz Gniewu już zdobył zbroję, tajemniczych bazach Synów Aresa na Trytonie

i odradzającej się pladze na jednym z ciemnych kontynentów Ziemi. Niezobowiązujące pogaduszki.

Wielu innych odciąga mojego pana na bok, jakby setka oczu wcale nie obserwowała każdego ich ruchu, i głosami słodkimi jak ulepek mówią mu o szeptach pośród nocy, o zmieniających się wiatrach i niebezpiecznych prądach. Metafory się mieszają. Sens jest ten sam. Augustus popadł u Suwerenki w niełaskę tak samo jak ja u niego.

Statki przelatują po nocnym niebie, równie odległe od tych rozmów jak ja. Moja uwaga skupia się na samej Suwerence. Jakie to dziwne uczucie zobaczyć tę kobietę tutaj, tuż za parkietem do tańca, na podwyższeniu, rozmawiającą z lordami z innych rodów i ludźmi, którzy rządzą życiem miliardów. Znajduje się tak blisko, taka ludzka i krucha.

Octavii au Lune towarzyszy trójka Furii, sióstr, którym ufa jak nikomu innemu. Ona sama jest raczej kobietą przystojną niż piękną, twarz ma beznamietną jak górskie zbocze. Milczenie jest jej siłą. Rzadko widzę, żeby mówiła, ale dużo słucha; zawsze słucha słów, tak jak góra słucha szepcików i krzyków wiatru wśród grani i wokół szczytów.

Widzę mężczyznę stojącego samotnie w pobliżu jednego z drzew. Jest prawie równie szeroki jak pień. W jego dłoniach puchar wydaje się malutki; nosi znak miecza ze skrzydłami, to pretor z własną flotą. Podchodzę do niego. Na mój widok uśmiecha się.

– Darrow au Andromedus – warczy Karnus.

Pstrykam palcami na przechodzącego Różowego. Biorę dwa puchary z winem z jego lodowej tacy i podaję jeden Karnusowi.

– Pomyślałem, że zanim przyjdiesz mnie zabić, równie dobrze możemy się napić.

– Potrafisz przegrywać. – Karnus dopija swojego drinka i bierze kieliszek, który mu podaję. Zerka na mnie ponad jego krawędzią. – Nie jesteś chyba truciścielem, co?

– Nie jestem aż tak subtelny.

– W takim razie witamy w klubie. Wszystkie te żmije... – Szcherzy zęby jak krokodyl, wodząc za kobietami i mężczyznami ciemnymi oczami Złotego. Wino znika w okamgnieniu. – Przedziwnie dekadentcki jest ten wieczór.

– Podobno to Żywe Srebro urządził przyjęcie – mówię.

– Tylko na Lunie pozwoliliby Srebrnemu udawać, że jest Złoty – burczy Karnus. – Nienawidzę tego księżycy. – Zdejmuje przysmak z mijającej go tacy. – Jedzenie jest za ciężkie. Wszystko inne za lekkie. Chociaż podobno szóste danie to będzie coś, za co warto umrzeć.



Zauważam jego dziwny ton. Krzyżuję ręce na piersi i przyglądam się przyjęciu. To przedziwna pociecha stać obok tego nienawistnego człowieka. Żaden z nas nie musi udawać, że lubi drugiego. Nie ma tu masek, a w każdym razie jest ich mniej niż zwykle.

Karnus śmieje się basem.

– Julianowi spodobałaby się taka elegancka impreza. To było mizdrzące się, plugawe dziecko.

Odwracam się, żeby przyjrzeć się zabójcy.

– Cassius zawsze mówił o nim same dobre rzeczy.

– Cassius. – Prycha i brzmi to trochę jak śmiech. – Cassius postrzelił raz ptaka z procy. Przybiegł do mnie z płaczem, bo wiedział, że musi go zabić, żeby się nie męczył, ale nie potrafił tego zrobić. Wyręczyłem go, spuściłem na ptaka kamień. Tak samo jak ty. – Uśmiecha się znacząco. – Powinienem ci podziękować za usunięcie genetycznych plew.

– Człowieku, Julian był twoim bratem.

– Sikał w łóżko jako dzieciak. Moczył się! Zawsze próbował to ukryć, sam oddając prześcieradła praczkom. Jakbyśmy nie mieli ich w kieszeni. Był chłopakiem, który nie zasługiwał na przychyłność matki i nazwisko ojca. – Łapie kolejny kieliszek z tacy przechodzącego Różowego. – Próbują zrobić z tego tragedię, ale to żadna tragedia. To prawo natury.

– Julian był mężczyzną w większym stopniu niż ty.

Karnus śmieje się z zachwyty.

– Ach, proszę, oświeć mnie w tym temacie.

– W świecie zabójców trudniej już być dobrym człowiekiem niż nikczemnym. Mężczyźni tacy jak ty czy ja... my po prostu zabijamy czas, zanim śmierć sięgnie i po nas.

– Co w twoim wypadku nastąpi już niedługo. – Ruchem głowy wskazuje moją brzytwę. – Szkoda, że nie dorastałeś w naszym domu. Uczymy się walki brzytwą, zanim zaczniemy naukę czytania. Ojciec kazał nam samodzielnie zrobić sobie ostrza, nazwać je i spać z nimi. Wtedy może miałbyś szansę.

– Ciekawe, czym ty byłbyś, gdyby nauczono cię czegoś innego.

– Jestem, czym jestem – odpowiada Karnus, biorąc kolejnego drinka. – I nasłali mnie na ciebie, ze wszystkich synów i córek wybrali właśnie mnie, bo jestem najlepszy w tym, czym jestem.

Przyglądam mu się chwilę.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Masz wszystko, Karnusie. Bogactwo. Władzę. Siedmioro braci i sióstr. Ilu kuzynów? Bratanków, siostrzenice? Ojca i matkę, którzy cię kochają,

a jednak... jesteś tutaj, pijesz samotnie, zabijasz moich przyjaciół. Za cel swojego życia obierasz zabicie mnie. Dlaczego?

– Bo skrzywdziłeś moją rodzinę. Nikt, kto skrzywdzi ród Bellona, nie ujdzie z życiem.

– Więc to duma.

– Zawsze.

– Duma to tylko krzyk na wietrze.

Karnus kręci głową i zniża głos:

– Ja umrę. Ty umrzesz. Wszyscy umrzemy, a wszechświat będzie trwał dalej niewzruszony. Wszystko, co mamy, to ten krzyk na wietrze. To, jak żyjemy. Jak trwamy. Jak stoimy przed upadkiem. – Pochyliła się ku mnie. – Widzisz, jest tylko duma. – Przestaje patrzeć na mnie i rozgląda się po sali. – Duma i kobiety.

Patrzę w tym samym kierunku co on i widzę ją.

Ubrana na czarno pośród morza złota, bieli i czerwieni. Jak czarne widmo sunie od strony windy do skraju sztucznego lasu. Przewraca błyszczącymi oczami, uśmiecha się znacząco na widok głów, które obracają się w jej kierunku, żeby zagapić się na jej żałobną suknię. Czerń. Kolor okazujący pogardę wszystkim otaczającym ją wesołym Złotym. Czerń to barwa wojskowego munduru, który mam teraz na sobie. Przypomina mi się ciepło jej ciała, szelmowski ton głosu, zapach jej karku, dobroć serca. Wpatruję się w nią tak mocno, że prawie przegapiam tego, który jej towarzyszy.

I żałuję, że jednak go nie przegapiłem.

To Cassius.

On z tymi swoimi parszywymi złotymi kędziorkami towarzyszy dziewczynie, która pielęgnowała mnie zimą, aż odzyskałem zdrowie; która pomogła mi przypomnieć sobie marzenie Eo. Obejmuje ją w tali. Szepcze jej do ucha. Tak samo jak wbił mi miecz w żołądek, tak teraz Cassius au Bellona wbija sztylet w moje serce.

Jego włosy są gęste i błyszczące. Podbródek gładko ogolony, ręce pewne. Ramiona silne, stworzone do wojny, twarz – stworzona do podboju serc. Nosi wschodzące słońce Rycerza Poranka. Plotki okazały się prawdziwe. Wśród zebranych niesie się szmer. Suwerenka uczyniła go jednym z dwunastu. Chociaż wygrałem w Instytucie, on wzniósł się wyżej, przedarł się przez Turniej Pojedynkowy Luny niczym opętany. Oglądałem go w hP, widziałem, jak krążył po Krwawym Kręgu, gdzie kolejny Złoty leżał o krok od śmierci.

Jednak tu i teraz jest olśniewający, czarujący. Śnieżnobiały uśmiech wypływa mu na usta. W swoim Złotym ciele ma wszystko to co ja – i jeszcze więcej. Jest szybszy ode mnie. Równie wysoki. Przystojniejszy. Bogatszy.

Ładniej się śmieje i ludzie uważają go za miłszego. A jednak nie dźwiga żadnego z moich ciężarów. Dlaczego zasłużył też na dziewczynę, przy której bledną wszystkie oprócz Eo? Czy ona nie dostrzega jego małostkowości? Nie widzi, jak okrutne potrafi być jego serce?

Nie mogę do niej podejść, nawet kiedy zbliża się na tyle, że słyszę jej śmiech. Gdyby mnie zauważyła, chyba bym się rozpadł na kawałki. Czy dostrzegłbym poczucie winy w jej oczach? Skrępowanie? Czy kładę się cieniem na jej szczęściu? Czy w ogóle przejęłaby się tym, że widzę ją w jego towarzystwie? Czy może uznałaby, że jestem żalosny, bo ją zagaduję?

To boli. Nie podejrzewam jednak, żeby to małostkowość kazała Mustang wybrać mojego wroga, ponieważ wiem, że nie jest małostkowa. Jeśli jest z Cassiusem, to dlatego, że jej na nim zależy. To rani mnie głębiej, niż bym się spodziewał.

– Jak więc widzisz... – ręka Karnusa opada ciężko na moje ramię – ...nikt za tobą nie zatęskni.

Ściska mnie w piersi, kiedy przepycham się do wyjścia. Zjeżdżam małą windą, jak najdalej od ludzi, którzy potrafią tylko ranić. Idę w las, gdzie znajduję mostek nad bystrym strumieniem. Pochylam się nad wypolerowaną poręczą, łapiąc gwałtownie powietrze. Każdy mój oddech jest oświadczeniem.

Nie potrzebuję Mustang.

Nie potrzebuję żadnego z tych chciwych stworzeń.

Mam dość ich rozgrywek o władzę.

Mam dość walki w pojedynkę.

Nie byłem dość dobry, żeby zostać mężem.

Nie byłem dość dobry, żeby moja żona pozwoliła mi zostać ojcem.

Nie byłem dość dobry, żeby zostać Złotym.

Nie jestem nawet dość dobry dla Mustang.

Zawiodłem, nie wykonałem zadania, z którym mnie wysłano.

Nie zdołałem się wzbić.

Nie zawiodę teraz. Nie teraz.

Biorę pierścień, który dali mi Synowie Aresa. Ręka mi drży. Nerwy płoną w panice. Szarpie mną odruch wymiotny, tyle rzeczy jest we mnie nie tak jak trzeba. Przysuwam zimny pierścień do ust. Wypowiedz słowa i całe to zepsucie zniknie. Wypowiedz słowa „Zerwijcie okowy”, a Victra zniknie. Cassius wyparuje. Augustus się stopi. Karnus rozpadnie. Mustang umrze. W całym Układzie Słonecznym wybuchną bomby i Czerwoni powstaną ku niepewnej przyszłości. Zaufaj Aresowi. Zaufaj, że wie, co robi.

Zerwijcie okowy.

Staram się wypowiedzieć frazę, ostatnie słowa Eo przed powieszeniem. Nie chcą jednak przejść mi przez gardło. Zmusz się. Do diabła. Niech moje usta zaczną działać. Nic z tego. Nie wypowiem tych słów, bo w duchu wiem, że to złe. Nie chodzi o przemoc. Nie chodzi o współczucie dla ludzi, których bym zabił. Chodzi o gniew.

Zabicie ich niczego nie dowiedzie. Niczego nie rozwiąże.

Jakim cudem miałyby to być plan Aresa?

Eo powiedziała, że jeśli ja powstanę, inni pójdą za mną. Ja jednak jeszcze nie wzbiłem się do lotu. Nie powstałem. Nie dokonałem niczego, o co mnie poprosiła. Nie jestem przykładem. Jestem zabójcą. Nie mam żadnego pretekstu, żeby się poddać. Żeby oddać jej marzenie innym. Ares nie spotkał Eo, nie dostrzegł w niej iskry. A ja owszem. Zanim wezmę ostatni wdech, muszę zbudować świat, w którym chciałaby wychować nasze dziecko. To było jej marzenie. Dlatego poświęciła się, żeby inni nie musieli. Nie pozwolę, żeby inni decydowali o moim losie. Nie teraz. Nie ufam Aresowi, jeśli to oznacza, że muszę odrzucić Eo.

Nie, jeśli miałbym poświęcić zaufanie do samego siebie.

Ocieram łzy, determinacja zastępuje we mnie gniew. Musi istnieć inny sposób. Lepszy. Widziałem szczeliny we Wspólnocie i wiem, co muszę zrobić. Wiem, czego Złoci najbardziej się boją. I to nie ma nic wspólnego z powstaniem Czerwonych. To nie ma nic wspólnego z bombami, spiskami i rewolucją. To, co przeraża Żółtych, jest proste, okrutne i stare jak sam rodzaj ludzki.

Wojna domowa.

## CZĘŚĆ II

### **Przełom**

Jeśli jesteś lisem, udawaj zająca.  
Jeśli jesteś zającem, udawaj lisa.

Lorn au Arcos

## Krew za krew

Wracam na galę.

Złoci zajęli swoje miejsca i wreszcie faktycznie zaczęła się część oficjalna. Nie jestem subtelny, kiedy daję nura pod stół i szukam mojego wisiora z pegazem. Chowam go do kieszeni. Obciążam kurtkę od munduru. Ignoruję pytające spojrzenia i oddalam się śmiało do stołu Augustusa w stronę obiektu mojego zainteresowania. Pliniusz z sykiem wypowiada moje imię. Mijam go. Nie ma pojęcia, co chowam w zanadrzu.

Kluczę między stolikami szlacheckich rodów, ściągając spojrzenia jak kamień toczący się po zboczu zbiera śnieg. Czuje, jak zwiększają mój pęd. Mój krok staje się niefrasobliwy, ręce napinają mi się niebezpiecznie, wszystkie mięśnie są gotowe do uderzenia jak żmija jaskiniowa. Tysiące mnie obserwują. Szepty tworzą za mną pelerynę, kiedy do gości dociera, kto jest moim celem. Siedzi przy długim stole w otoczeniu członków swojej rodziny: idealny Złoty mężczyzna uważnie słuchający przemowy swojej Suwerenki. Ona mówi o jedności. Porządek i tradycja to kwestie nadrzędne. Nikt nie wstaje, żeby rzucić mi wyzwanie. Może nie rozumieją. A może wyczuwają teraz moją siłę i nie mają odwagi wstać.

Ród Bellona zauważa mnie. Zaczynają szeptać. Odwracają się niemal jak jeden mąż – a jest ich z pięćdziesięcioro – żeby spojrzeć na mnie, wojownika odzianego w czerń. Młodego, który jeszcze nie sprawdził się w wojnie. Nie przelał krwi poza korytarzami Instytutu i asteroidami Akademii. Niektórzy uznali mnie za szalonego. Niektórzy nazywali mnie odważnym. Tej nocy jestem jednym i drugim. Brzemie zniknęło. Cały ciężar, który mnie przytłaczał, kiedy martwiłem się oczekiwaniami i ostrożnie kluczyłem wokół decyzji, przepadł bez śladu. Teraz jest tylko rozpęd, mówię sobie. Nie możesz znieruchomieć. Nie zatrzymuj się. Nigdy.

Przemowa Suwerenki zaczyna się rwać.

Za późno, żeby się wycofać. Rzucam się naprzód.

Uśmiecham się.

I na gali zapada śmiertelna cisza, kiedy w niskim ciężeniu jednym skokiem przesadzam trzydzieści stóp i ląduję ciężko na stole Bellony. Naczynia się tłuką. Służba się rozbiega. Członkowie rodu się odsuwają. Niektórzy na mnie

krzyczą. Inni nawet nie drgną, chociaż ich wino się rozlewa. Suwerenka patrzy, ogarnięta ciekawością, Furie wiercą się obok niej. Pliniusz wygląda, jakby miał zaraz umrzeć. Spanikowany, zaciska dłonie na kolanach. Obok niego siedzi Szakal, dziwny i nieodgadniony jak samotne pustynne stworzenie.

Nie założyłem dzisiaj eleganckich butów. Moje ciężkie, grube buciory miażdżą porcelanę, kiedy idę przez stół, niszczą naczynia z puddingami, depczą delikatne steki. Krew dudni mi w żyłach. To upajające. Podnoszę głos.

– Proszę o uwagę. – Rozgarniam stopą talerz z groszkiem. – Możecie mnie znać.

Rozlega się nerwowy śmiech. Oczywiście, że mnie znają. Znają wszystkich, którzy coś znaczą, chociaż moja wartość opiera się bardziej na pogłoskach niż konkretach. Furie szepczą do Suwerenki. Tactus szczyrzy zęby od ucha do ucha. Karnus pochyla się do przodu niespokojnie. Victra uśmiecha się do Szakala. Nawet Antonia szturcha wysoką, spokojną Złotą postać. Staram się nie patrzeć na Mustang. Pliniusz bełkocze coś do ucha Augustusa, który unosi rękę, żeby go uciszyć.

– Czy słuchacie mnie uważnie? – pytam.

Tak. Słuchają.

– Siadaj, chłopcze! – krzyczy ktoś.

– Zmuś go! – odpowiada pijany Tactus. – Nie? Tak właśnie przypuszczałem.

– Tym, którzy mnie nie znają, wyjaśniam, że jestem lansjerem rodu Augustus. Jeszcze przez jakąś godzinę albo coś koło tego. – Śmieją się. – To mnie nazywają Żniwiarzem z Marsa. To ja pokonałem pełnoprawnego Niezrównanego rycerza, zdobyłem Olimp i wziąłem do niewoli swoich rewizorów. Nazywam się Darrow au Andromedus i zostałem potraktowany niesprawiedliwie. My, Niezrównani Naznaczeni, wywodzimy się od Złotych przodków. Od zdobywców o żelaznych kręgosłupach. Honorowych mężczyzn, honorowych kobiet. Jednakże dzisiaj przed wami widzę rodzinę pozbawioną honoru. Rodzinę, której kręgosłup jest zrobiony z kredy. Zepsuty, fałszywy ród kłamców i tchórzy, którzy nielegalnie spiskują, żeby ukraść mojemu panu pozycję gubernatora.

Miażdżę pod butem kolejnych kilka talerzy. Kto wie, czy naprawdę spiskowali, żeby to osiągnąć, czy nie? Brzmi to dobrze. Wyglądają, jakby spiskowali. I taką właśnie maskę chcę, żeby nosili. Karnus pięknie reaguje: dobywa brzytwy i rusza na mnie. Jego ojciec, imperator, macha na niego, żeby siadał. Pretor Kellan ma minę, jakby chciał złapać mnie za nogi i ściągnąć ze stołu, gdzie Cagney niewątpliwie poderżnęłaby mi gardło moją własną

brzytwą. Młodsze dziewczyny z rodziny uważają mnie za demona. Demona, który zabił ich kuzyna, ich brata. Nie mają pojęcia, czym naprawdę jestem. Może tylko lady Bellona wie. Wymizerowana z powodu żałoby siedzi otoczona przez swoje młode niczym stara lwica. Liczą się z nią w równym stopniu, co z jej mężem. Ostatnia rzecz, jaką zauważam, to drżenie jej smukłej prawej dłoni, jakby chciała złapać za nóż i mnie pociąć.

– Dwa razy ta rodzina źle mnie potraktowała. Raz w błocie Instytutu. Drugi raz zostałem pokrzywdzony przez tego... i tego... i tego.

Wskazuję wszystkich, którzy pobili mnie w ogrodzie. Widzę teraz Cassiusa blisko szczytu stołu, tuż obok matki i ojca. Mustang siedzi obok niego. Jej twarz wygląda jak maska. Jest rozczarowana? Zdenerwowana? Znudzona? Kiedy unosi brew, spoglądając na mnie, patrzę jej w oczy i idę ku niej. Zatrzymuję stopę tuż przy stojącej przed Cassiusem karafce z winem. Wszystkie spojrzenia skupiają się jak światło wpadające do czarnej dziury. Czas staje, przestrzeń zakrzywia się do przodu. Wszyscy wstrzymują oddech.

– Wszystkie sądy Złotego prawa pozwalają mężczyźnie bronić honoru w obliczu siły, która niesłusznie go skalała. Od starych lądów Ziemi po lodowe wnętrzości Plutona prawo pozwala każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie rzucić wyzwanie. Nazywam się, szlachetni panowie i panie, Darrow au Andromedus. Naszczano na mój honor. Żądam satysfakcji.

Przewracam karafkę. Wino ląduje na kolanach Cassiusa.

Rzuca się na mnie. Wszędzie dookoła Złoci zrywają się z miejsc, podnosi się potężny zgiełk. Tactus wstaje od stołu razem z Leto, Victrą, wszystkimi przybocznymi i hołdownikami mojego arcygubernatora: rodzina Corvo, Julii, Volox, ogromni członkowie rodu Telemachus – krewni Paxa. Brzytwy prostują się w rękach. Przekleństwa tną zimowe powietrze. Aja, największa i najmroczniejsza z Furii, pochyla się nad stołem Suwerenki i ryczy:

– Powstrzymajcie to szaleństwo!

A to dopiero początek.

\*\*\*

Ręce mi się trzęsą tak jak kiedyś w kopalni. Teraz – tak samo jak wtedy – otaczają mnie żmije.

Żmij jaskiniowych nie słyszeć. Rzadko udaje się je zobaczyć. Czarne jak żrenica oka pełzną w cieniach, dopóki nie uderzą. Kiedy jednak się zbliżą, przychodzi strach. Strach niezależny od łomotu świda, niezależny od dudniącego, przyprawiającego o mdłości żaru, który narasta ci w jajach, kiedy



przerzynasz się przez miliony ton skały, a od wywołanego tarciem ciepła masz w środku skafandra bagno szczyń i potu. To strach przed nadchodzącą śmiercią. Jakby cień przesuwiał ci się po duszy.

Ten strach przepełnia mnie teraz, kiedy Niezrównani stają wokół mnie. Masa złotych żmij. Szepczą. Syczą. I są śmiertelnie groźne.

Śnieg na ziemi skrzypi mi pod ciężkimi butami. Pochylam się, kiedy Suwerenka przemawia. Mówi o honorze i tradycji. Że pojedynki świadczą o wspaniałości naszej rasy, więc uczyni dzisiaj wyjątek. Możemy pojedynkować się na terenach łowieckich. Ta krwawa waśń musi zakończyć się tu i teraz, na oczach znakomitości naszej rasy. Taka jest pewna swojego najnowszego Olimpijskiego Rycerza. Czemu miałyby nie być? Już raz mnie przecież zabił.

– W przeciwieństwie do tchórzy z dawnych czasów my rozstrzygamy spory ciało w ciało. Kość przy kości. Krew za krew. Wendetom kładzie się kres w Krwawym Kręgu virtute et armis – recytuje Suwerenka.

Odwagą i bronią. Bez wątpienia już rozmawiała ze swoimi doradcami. Powiedzieli jej, że nie mam szansy; że Cassius lepiej fechtuje. Sytuacja nigdy nie zaszłaby tak daleko, gdyby nie była pewna korzystnego zakończenia.

– Tak jak to czynili nasi przodkowie, tak i dziś walka będzie na śmierć i życie – oznajmia. – Ktoś się sprzeciwia?

Taką miałem nadzieję.

Ani Cassius, ani ja nie odzywamy się żadnym słowem. Mustang chce się sprzeciwić, ale Furia powstrzymuje ją przeczącym ruchem głowy.

– Zatem dzisiaj res, non verba.

Czyny, nie słowa.

Rozmawiam z moim panem, zanim wyjdę na środek kręgu, który zaczyna powstawać, gdy Brązowi odciągają stoły z ośnieżonej równiny. Pliniusz też kręci się koło Augustusa. Podobnie jak Leto, Tactus, Victra i wielcy pretorzy Marsa. Tak wiele znanych twarzy, tak wielu wojowników i polityków. Szakał stoi dalej, niższy od reszty, beznamiętny, z nikim nie rozmawia. Zastanawiam się, co by mi powiedział, gdyby mniej uszu mogło to usłyszeć. Nie robi wrażenia rozgniewanego. Może nauczył się ufać moim planom. Kiwa głową, jakby czytał mi w myślach. Nadal jesteście sprzymierzeńcami.

– To dla mnie to przedstawienie? Robisz to z próżności? Z miłości? – pyta Augustus, kiedy staje przed nim.

Świdruje mnie wzrokiem, próbując zrozumieć. Wbrew sobie zerkam na Mustang. Nawet teraz odciąga mnie od zadania.

– Jesteś taki młody – niemal szepcze Augustus. – To, co piszą w książkach, jest kłamstwem. Miłość nie przetrwa wszystkiego. W każdym razie nie miłość

mojej córki. – Urywa. Zastanawia się. – Ma duszę jak jej matka.

– Nie robię tego z miłości, mój panie.

– Nie?

– Nie. – Pochylam głowę i przypominam sobie naukę wysokiej mowy u Matteo. – Obowiązkiem syna jest chwała ojca. Nieprawdaż?

Przyklękam na jednym kolanie.

– Nie jesteś moim synem.

– Nie. Ród Bellona zabił twojego syna. Ukradł ci go. Twój pierworodny, Claudius, był wszystkim, czego mężczyzna może oczekiwać. Był synem lepszym i mądrzejszym od własnego ojca. Pozwól więc, że sprezentuję ci głowę ich ulubionego syna. Dość zabawy w słowa. Dość polityki. Krew za krew.

– Mój panie, Julian to jedno, ale Cassius... – próbuje się wtrącić Pliniusz.

Augustus go ignoruje.

– Dopraszam się twego błogosławieństwa – naciskam. – Jak długo utrzymasz przychylność Suwerenki? Miesiąc? Rok? Dwa? Wkrótce zastąpi cię kimś z rodu Bellona. Spójrz, jak już faworyzuje Cassiusa. Patrz, jak podkrada ci jedno dziecko. Przyjrzyj się, jak drugie zamienia się w Srebrnego. Tracisz spadkobierców. Twój czas na stanowisku arcygubernatora się kończy. Nie jesteś człowiekiem, który jest godzien zaledwie pozycji arcygubernatora na Marsie. Jesteś godzien być królem.

Oczy mu rozbłyskują.

– My nie mamy królów.

– Bo nikt nie odważył się do tej pory wykuć sobie korony. Niech to będzie pierwszy krok. Spluń Suwerence w twarz. Pozwól mi stać się mieczem twojej rodziny.

Wyciągam nóż z buta i szybko rozcinam sobie skórę pod okiem. Krew spływa jak łzy. To stare błogosławieństwo, pamiątka po żelaznych przodkach, Zdobywcach. I zmraża jak lód tych, którzy to widzą – relikwint minionych czasów, cięższych czasów. To błogosławieństwo Marsa. Z krwi i żelaza. Błogosławieństwo szalejących statków, które spaliły słynną Brytyjską Armadę nad biegunem północnym Ziemi i zniszczyły szybkołódców Wschodzącego Słońca w pasie asteroid.

Oczy mojego pana zapalają się jak przygaszone węgielki, w które ktoś dmuchnął: najpierw powoli, potem gwałtownie.

Mam go.

– Daję ci moje błogosławieństwo. To, co czynisz, czynisz w moim imieniu.

– Pochyla się ku mnie. – Powstań, urodzony ze złota. Powstań, stworzony

z żelaza. – Dotyka palcem krwi na moim policzku i odciska jej ślad pod własnym okiem. – Powstań, Mężu z Marsa, i wyrzyj mój gniew.

Wstaję pośród szeptów. To już nie jest zwykła bójka między chłopcami. To walka o honor rodów. Czempion przeciwko czempionowi.

– Hic sunt leones – mówi Augustus, przekrzywiając głowę.

To po części wyzwanie, po części błogosławieństwo. Co za próżny wieprz. Wie, jak desperacko nie chcę stracić jego przychylności. Wie, że bawi się zapalkami, stojąc na beczce z prochem. A jednak oczy błyszczą mu żądzą, głodem krwi i obietnicy władzy, której pragnie tak, jak ja pragnę powietrza.

– Hic sunt leones – powtarzam.

Wracam na środek kręgu. Kiwam głową Tactusowi i Victrze. Dotykają rękojeści brzytw, podobnie jak inni przybocznicy Augustusa. Nasz instynkt stadny jest wyostrzony.

– Powodzenia – mówi Tactus.

Wysoko w górze statki płyną cicho przez przeciągającą się noc. Drzewa kołyszą się na lekkim wietrze. Miasta migoczą w oddali. Ziemia unosi się jak spuchnięty księżyc, kiedy rozwijam brzytwę z przedramienia.

Mustang podchodzi do mnie, gdy matka całuje Cassiusa w czoło.

– Teraz więc jesteś pionkiem? – pyta szybko.

– A ty trofeum?

Wzdryga się, zanim lekko wykrzywi usta w szyderczym grymasie.

– Mnie to mówisz? Ja cię nawet nie poznaję.

– Ani ja ciebie, Virginio. Służysz teraz Suwerence?

Jednak ją rozpoznaję, mimo dzielącej nas straszliwej przepaści, przez którą bardziej wydaje się nieznajomą niż przyjaciółką. To właśnie przez nią ściska mnie w piersi. To ona odpowiada za niezręczne napięcie w rękach, które tęsknią, żeby jej dotknąć, objąć ją; żebym mógł jej powiedzieć, że to wszystko to tylko przebranie. Nie jestem pionkiem jej ojca. Jestem czymś więcej. To wszystko służy dobru. Tyle że nie ich dobru.

– „Virginio”. – Przekrzywia głowę, patrząc na mnie, uśmiecha się smutno i zerka na dwa tysiące czekających Niezrównanych. – Wiesz, zastanawiałam się przez ostatnie lata... Pewnie powinnam była zastanawiać się od początku, ale jesteś nadzwyczaj nietypową osobą i to mnie rozpraszało. Ale teraz zapytam. – Obrzuca mnie spojrzeniem bystrych oczu, które taksują, osądzają. – Oszalałeś?

Zerkam na Cassiusa.

– A ty?

– Zazdrosny? A to dobre. – Pochyla się i szepcze ostrym tonem: – Szkoda, że nie szanujesz mnie na tyle, by pomyśleć, że mam własne plany. Myślisz, że

jestem tutaj, bo pragnienie w łędźwiach pchnęło mnie w ramiona Bellony. Błagam. Nie jestem suką w rui. Chronię rodzinę wszelkimi koniecznymi środkami. A kogo ty chronisz poza sobą?

– Zdradzasz rodzinę, będąc z nim. – Nie mam fałszywej odpowiedzi, która była choć trochę równoległa do prawdy. Muszę znieść to, że widzi we mnie złoćwincę. Nie mogę jednak spojrzeć jej w oczy. – Cassius to nikczemny człowiek.

– Dorośnij, Darrow. – Wygląda, jakby chciała powiedzieć coś głębszego, ale kręci głową i odwracając się ode mnie, dodaje: – On cię zabije. Spróbuję przekonać Octavię, żeby przerwała pojedynek. – Słowa zawodzą ją w pierwszej chwili. – Żałuję, że przyleciałeś na ten księżyc.

Odchodzi, ściska Cassiusa za rękę i dołącza do świty Suwerenki na podwyższeniu.

– Nareszcie sami, stary przyjacielu – mówi Cassius, tnąc mnie swoim uśmiechem.

Kiedyś byliśmy jak bracia. Dzieliliśmy się jedzeniem, ścigaliśmy się pierwszego dnia w Instytucie. Razem napadaliśmy na Dom Minerwy. Jak on się śmiał, kiedy ja ukradłem im kucharkę, a Sevro sztandar... Galopowaliśmy tamtej nocy przez równiny w świetle dwóch księżyców. Pamiętam żal w jego oczach, gdy złapali Quinn. Kiedy mój pobratymiec, Titus, pobił go i obsikał. Czułem wtedy wzbierające łzy. Byliśmy braćmi, zanim to wszystko się rozpadło.

Śnieg o cynamonowo-pomarańczowym smaku wciąż pada. Osiada na jego kręconych włosach. Szerokich ramionach. Właśnie w śniegu poprzedni raz ze mną walczył. Wraził mi zardzewiałą stal w brzuch i zostawił, żebym umierał we własnym brudzie. Nie zapomniałem, jak przekręcił ostrze, żeby rana na pewno się nie zamknęła.

Teraz jego klinga wygląda jak heban.

Rozwija się przed nim. Kiedy tężeje, zamienia się w wąski miecz, długi na ponad metr. Gdy Cassius zmieni ustawienie na rękojeści, chemiczny impuls skierowany w molekularną strukturę brzytwy przekształci ją w ponad dwumetrowy bicz. Złoci znaczą swoje ostrza, aby mówiły o ich pochodzeniu. O ich podbojach. O Triumfach urządzonych na ich cześć. Starzy, aroganccy, potężni. Moje ostrze jest nagie, pozbawione ozdób.

– Zatem wziąłem to, co twoje – mówi, podchodząc. Skinieniem głowy wskazuje Mustang.

Śmieję się.

– Ona nigdy nie była moja. I z pewnością nie jest twoja.

Nadchodzi Biały odziany w powłóczyście szaty. Jest łysy. Zgarbiony.

– Ale ja ją mam tak, jak ty jej nie miałeś. – Zniża głos, żebyśmy tylko my dwaj słyszeli kolejne słowa: – Zastanawiam się, czy leżysz samotnie w nocy, myśląc o rozkoszach, które jej dajesz? Złości cię, że wiem, jak ona całuje? Jak wzdycha, kiedy dotykam jej szyi?

Nie odpowiadam.

– Że z jękiem wypowiada moje imię, a nie twoje? – Nie śmieje się. Może gardzić tym, co mówi, ale powie wszystko, byle mnie zranić. Pod wieloma względami nie jest złym człowiekiem. Jest po prostu moim złym człowiekiem.

– Jęczała, kiedy rano w nią wszedłem.

– Co by powiedział Julian, gdyby teraz cię zobaczył?

– Powtórzyłby słowa matki i błagałby, żebym cię zabił.

– Czy może zapłakałby, widząc, jakim diabłem się stałeś?

Rozwija brzytwę i włącza egidę. Moja brzeczy, kiedy ją aktywuję – przezroczysta, jonowo-niebieska tarcza energetyczna, która wygina się delikatnie na zewnątrz z mojej lewej rękawicy, długa na stopę i na dwie szeroka. Śnieg topi się, kiedy przesuwam nią blisko ziemi. Mglista aureola tworzy się wokół niebieskiego światła.

– Wszyscy jesteśmy diabłami. – Jego nagły śmiech unosi się jak jedwabna wstążka na wietrze. – To zawsze był nasz problem, Darrow. Masz wygórowane mniemanie na swój temat. Myślisz, że masz gdzieś ukryty jakiś zasób moralności. Myślisz, że jesteś lepszy od nas, kiedy tak naprawdę jesteś gorszy. Wiecznie rozgrywasz gierki, których nie jesteś w stanie opanować, z ludźmi, którym nie dorównujesz.

– Julianowi dorównałem.

– Łajdak!

Krzywi się i rzuca na mnie z nieartykułowanym rykiem. Obala mnie, zanim Biały zdąży udzielić nam błogosławieństwa. Krzyczą, żebyśmy przestali, ale kiedy brzytwy wrzeszczą, nawoływania cichną i wszyscy wytrzeszczają oczy. Zabójczy metal skowycze wśród proszącego śniegu. Cassius stosuje zasady kravatu. Cztery sekundy dokładnie wymierzonej, błyskawicznej przemocy i odwrót. Ocena sytuacji. Zwarcie.

Jesteśmy jedynym źródłem dźwięku w tym dziwnym miejscu. Osobliwe, przenikliwe zawrodożenie wyginającego się bicia. Brzęk wibrującego ostrza. Trzask egidy na lewym ręku, skrzących się białem, kiedy uderza w nie brzytwa. Skrzypienie śniegu i trzeszczenie wyprawionej skóry.

Mimo gniewu Cassius walczy doskonale. Starannie przesuwając stopy, nie krzyżując ich ani przez moment. Obraca biodra, kiedy wyprowadza związane salwy ciosów. Oddycha miarowo, spokojnie. Uderza biczem do przodu zamasyście, a potem utwardza brzytwę w ostrze i wyprowadza cios w górę,

celując w moją pachwinę. Jego ruchy są błyskawiczne. Wytrenowane. Udoskonalone przez mistrzów szermierki i Miecze Wspólnoty. Doskonale widać, dlaczego niszczył przeciwników od dziecka; dlaczego wypatroszył mnie w Instytucie. Bo jego przeciwnicy walczą tak jak on, tylko wolniej. Ale ja nie walczę jak oni. Przyswoilem sobie swoją lekcję.

A teraz on dostanie swoją.

– Ćwiczyłeś. Poradzisz sobie z sześcioma ciosami w serii – zauważa. Cofa się, a potem śmiga do przodu. Robi wysoką fintę i szerokim gestem uderza w dół, w moje kostki. – Ale nadal jesteś nowicjuszem.

Atakuje mnie błyskawicznym gradem siedmiu cięć, prawie przeszywając mi prawe ramię. Rozpoznaję ten wzór, ale nadal mam zaledwie ułamek szybkości Cassiusa. Ledwie udaje mi się uciec, w ostatniej chwili uskakuję przed jego pchnięciem. Kolejne dwie serie po siedem nadchodzą jedna po drugiej. Ledwie wymykam się przed tą drugą, opadam na jedno kolano, zadyszany rozglądam się po zgromadzanych gościach.

– Słyszysz? – pyta. Nie słyszę niczego poza wiatrem i biciem własnego serca. – To dźwięk samotnej śmierci. Nikt nie zapłacze. Nikt się nie przejmie.

– Arcos się przejmie – szepczę.

Cassius sztywnieje.

– Coś ty powiedział?

– Lorn au Arcos przejmie się, jeśli jego uczeń umrze – odpowiadam.

Przestaję udawać, że się zadyszałem, prostuję się dumnie. Cassius gapi się na mnie, jakby zobaczył ducha. Waha się. Tak samo jak ci, którzy usłyszeli moje słowa.

– Kiedy ty jadłeś, ja trenowałem. Kiedy ty piłeś, ja trenowałem. Kiedy ty szukałeś przyjemności, ja trenowałem. Zacząłem w tydzień po Instytucie, skończyłem na kilka dni przed Akademią.

– Lorn au Arcos nie przyjmuje uczniów – warczy Cassius. – Od trzydziestu lat.

– Zrobił wyjątek.

– Kłamiesz.

– Tak? – Śmieję się. – Myślisz, że przyszedłem tu, żeby dać się zabić? Myślałeś, że masz prawo do mojego życia? Nie, Cassiusie. Przyszedłem, żeby cię zabić na oczach twoich rodziców.

Zamiera, cofa się, zerkając na ojca, na Karnusa. Przechyla głowę, patrząc na niego.

– Daj spokój, bracie. Nie chcesz się przekonać, jak dobrze naprawdę walczę?

Zamiera, a ja atakuję go jak nocny drapieżnik, przygarbiony w prymitywnej ekonomii ruchów, cichy jak sama ciemność.

Przypominam sobie słowa Lorna: „Głupiec ciągnie za liście. Brutal ścina drzewo. Mędrzec wykopuje korzenie”. Dlatego zmuszam go do rozsunięcia nóg, wymierzając w niego jedną serię cięć za drugą. Nie przez cztery sekundy, jak uczą Złoci. Przez siedem. A potem sześć, na zmianę, i znów zmieniam wzór. Dwanaście ciosów w serii.

Jego obrona jest precyzyjna. I gdybym walczył tak, jak mnie Cassius uczył, zginąłbym z jego ręki. Tyle że mnie poruszać się uczył mój stryj – a zabijać uczyła mnie legenda. Szaleję i wiruję, wyskakuję w powietrze i tnę z góry, uderzam w niego jak potężny huragan, młóczę, walę, siekam. A kiedy on atakuje, robię uniki, do chwili, gdy sam mogę przejść do ataku, jak uczył mnie Lorn au Arcos. Krąż. Nie cofaj się. Kiedy człowiek daje się spychać, nie trafia mu się żadna szansa ataku. Wykorzystuj siłę przeciwnika, żeby stworzyć sobie nowy kąt uderzenia. Opływaj go. To Droga Wierzby. Ładna i płynna jak wiosenna piosenka w obronie, a potem straszliwa i tnąca jak gałęzie wierzby płaczącej w środku zimy, kiedy zawodzący lodowaty wiatr spada z gór.

Wewnątrz mnie Czerwień spotyka Złoto.

Moja brzytwa błyskawicznie zmienia się z bicia w zakrzywiony sierpak. Uderza w miecz Cassiusa. Egida na jego lewej ręce trzeszczy od siły moich ciosów. Cassius słabnie. To mistrz walki, któremu spuszcza cięgi awanturnik z ciemnego zaułka.

Śmieję się. Śmieję się jak szalony, a zszokowany tłum wokół nas wiwatuje. Niektórzy krzyczą, kiedy uderzam w egidę Cassiusa z taką siłą, że dochodzi do przeciążenia. Skry tryskają z sykiem z przypiętego do ręki modułu tarczy. Ranię go – w łokieć, w kolano, w kostkę. Obracam ostrze, tnę z dołu do góry i rozcinam mu twarz. Zatrzymuję się i cofam płynnie, pozując z biczem, który zastyga w sierpak. Ci, którzy patrzą, nigdy tego nie zapomną.

Kobiety krzyczą na widok Cassiusa. Kochanki z jego młodości patrzą teraz, jak mężczyznę, przy którym dorastały, który z nimi sypiał, który zostawił je z fałszywymi obietnicami i kazał im myśleć, że właśnie straciły najsilniejszego człowieka ich pokolenia... jak tego mężczyznę przeciwnik zamienia w pulsującą krwawą masę.

Zawstydzam go. Jednak mam ku temu powód. Wszystko to ma posłużyć temu, by wzbierająca powoli nienawiść między rodami Bellona i Augustus zagotowała się i przerodziła w otwartą wojnę.

Krążę po okręgu jak lew w klatce, aż zatrzymuję się przed imperatorem.

– Twój syn zginie – oznajmiam brutalnie, stanąwszy o krok od niego.

Jest mocno zbudowany, ma kanciastą szczękę, życzliwą twarz, szpiczastą brodę. Jego oczy szklą się obietnicą łez. Nic nie mówi. To szlachetny człowiek i wybierze honorową ścieżkę, nawet jeśli oznaczałaby ona przyglądanie się temu, jak umiera jego ulubiony syn.

Pośród swojego gniewu czuję wstyd. Ogarnia mnie zgroza wynikająca z faktu, że jestem człowiekiem, który wynurza się z ciemności, żeby zniszczyć rodzinę.

– Będziecie tylko patrzeć? – wrzeszczę na nich.

Żona imperatora nie jest tak szlachetna jak on. Gotuje się, zerka oskarżycielsko na Suwerenkę. Widzę, czego chce.

Wracam do Cassiusa. Będą patrzeć i nic nie zrobią, tak jak ja patrzyłem na śmierć Eo.

– Lady Bellona, jesteś aż tak szlachetna, że będziesz patrzeć jak twój Cassius umiera? Jak znika z tego świata?

Krzywi się. Szepcze do Karnusa, do Cagney.

– To cała siła domu Bellona? – pytam. – Przyglądacie się jak owce, kiedy do stada przychodzi wilk?

Odstawiam pyszne przedstawienie, gram narwańca. Cassius próbuje walczyć. Potyka się, gdy tnę go w kolano, pada na śnieg, desperacko wstaje. Jego krew maluje się cieniem na białym puchu. W taki powolny sposób zabił Titusa. Panikuje, zerka na bliskich, wie, że widzi ich po raz ostatni. Oni nie mają Doliny. To życie to ich niebo. Mimo wszystko jest to smutny widok i robi mi się go żal.

Cagney, podjudzona przez lady Bellonę, już robi krok naprzód; wściekłość wykrzywia jej ładną, wyrazistą twarz. Muszę tylko trochę mocniej skrzywdzić jej kuzyna Cassiusa. Jednak imperator Bellona odciąga ją stanowczą ręką. Zerka ponuro na Augustusa, a potem patrzy po zgromadzonych.

– Nikt z rodziny Bellona nie będzie interweniował. Klnę się na honor.

A jednak jego żona się na to nie zgadza. Znowu patrzy wymownie na Suwerenkę, która unosi rękę.

– Stać! – woła. – Stój, Andromedus!

Jestem autentycznie zaskoczony, że mi przerywa. Patrzę na nią. Cassius dyszy. Nie może być aż tak głupia, prawda? Przerywając mi, potwierdza plotki nie tylko wobec mnie, ale wobec wszystkich. Zdradza się z tym, kogo faworyzuje. Wybrała ród Bellona. To oni zajmą miejsce Augustusa na Marsie. Cassius był ważny dla jej planów. A teraz, ponieważ źle oceniła sytuację, znalazł się o krok od śmierci i jej parszywy plan diabli wezmą. Mimo to nie pomyślałbym, że robi to, co właśnie zamierza. To takie głupie. Takie krótkowzroczne. Duma sprawiła, że wyszła na idiotkę.



– Wprowadzam uzupełnienie zasad. Ponieważ Biały nie zdążył wygłosić tradycyjnego błogosławieństwa, pojedynek będzie trwał, aż jedna ze stron umrze lub się podda – oznajmia i zerka na matkę Cassiusa. – Oto ograniczenia nałożone na ten pojedynek. Wiele cennych dzieci ginie w naszych szkołach. Nie ma powodu marnować tych wspaniałych młodzieńców z powodu szkolnych psikusów.

– Moja Suwerenko! – woła Augustus, żądny krwawej nagrody. – Prawo jest jasne. Kiedy pojedynek się rozpocznie, nikt nie może zmieniać reguł.

– Cytujesz prawo. Akurat ty, Nero. Co za rozkoszna ironia.

W tłumie niosą się szydercze śmiechy, co oznacza, że plotki o jego próbach manipulowania regułami Instytutu na rzecz Szakala są bardzo szeroko rozpowszechnione.

– Moja Suwerenko, popieramy Augustusa w tej kwestii – rozlega się dudniący głos.

Daxo Telemachus wychodzi naprzód. Starszy brat Paxa, wysoki jak mój przyjaciel, ale miłszy dla oka. Bardziej przypomina potężną sosnę niż chodzącą górę. Tak jak jego ojciec, Kavax, ma ogoloną głowę, zdobioną Złotymi aniołami. Szelmowska iskierka tańczy w jego sennych oczach pod krzaczastymi brwiami.

– To żadna niespodzianka – warczy matka Cassiusa.

– Perfidia! – ryczy Kavax, ojciec Daxo. Na przemian głaszcze rozdwojoną rudą brodę i wielkiego lisa, pupilka, którego nosi na lewej ręce. – To cuchnie perfidią i faworyzmem. Niełatwo wpadam w gniew, ale czuję, że się mnie tu obraża. Obraża!

– Ostrożnie, Kavax – rzuca lodowato Octavia. – Pewnych słów nie da się cofnąć.

– A po co innego by je wypowiadał? – pyta Daxo, zerkając po przybyszach z Gazowych Olbrzymów, wśród których wie, że znajdzie sojuszników. – Myślę jednak, że pouczyłby cię, Suwerenko, że nawet ty nie możesz zmieniać prawa. Twój ojciec przekonał się o tym za twoją sprawą, prawda?

Furie Suwerenki występują groźnie do przodu. Ona sama pozwala sobie na najbardziej powściągliwy z uśmieszków.

– Zapominasz jednak, młody Telemachusie, że to moje słowo jest prawem.

Takich rzeczy się nie robi. Złoci mogą rządzić innymi Złotymi, ale gdy oznajmiasz, że rządzisz, robisz to na własną odpowiedzialność. Suwerenka tak długo siedziała na Tronie Poranka, że zapomniała o tym. Jej słowa nie są prawem. A teraz stały się wyzwaniem.

Które przyjmuję z otwartymi ramionami.

Dociera do niej, że te słowa były błędem, kiedy napotyka moje spojrzenie i oboje zdajemy sobie sprawę, że jest jedna rzecz, którą mogę zrobić, a ona nie może się jej przeciwstawić.

– Nie ukradniesz tego, co moje – warczę.

I odwracam się do Cassiusa. Unosi ostrze. Nie pozwolił mi się poddać, gdy leżałem w błocie Instytutu. Wie, że teraz ja nie pozwolę się poddać jemu. Błędnie, gdy atakuję. Myśli o wszystkim, co zaraz straci. O tym, jak cenne jest jego życie. Do końca jest Złotym. Inni krzyczą, żebym się zatrzymał, wrzeszczą, że to niesprawiedliwe.

Oto ich definicja sprawiedliwości.

Mnie pozwoliliby umrzeć.

Rzuca mi się do gardła. To finta. Strzela biczem w dół, żeby owinać go wokół moich nóg. Spodziewa się, że się wzdrygnę. Ja szarżuję prosto na niego, wchodzę w jego zasięg, dzięki niskiej grawitacji z łatwością przeskakuję nad jego głową, a potem strzelam biczem w tył, nawet nie patrząc. Owija się wokół jego wyciągniętej prawej ręki. Przyciskam guzik, dzięki czemu brzytwa skraca się i z trzaskiem, jakby pękła zamrożona gałąź drzewa zimą, odbieram Cassiusowi au Bellona prawicę.

Krzyki i cisza wypełniają salę po połowie. Nie odwracam się przez długą chwilę. Kiedy już to robię, mój przeciwnik nadal stoi, choć chwieje się, nie zostało mu już dużo czasu. Nikt się nie rusza, gdy Cassius pada. Jego ojciec wbija wzrok w ziemię, milczy.

– Powiedziałam: stój! – wrzeszczy Suwerenka.

Dwie Furie zeskakują z podwyższenia, lądują z ostrzami w dłoniach.

– Dokończ to – rozkazuje Augustus.

Podchodzę do Cassiusa. Pluje na mnie, wargi mu drżą. Nawet teraz traktuje mnie pogardliwie. Biorę zamach. I wtedy ktoś łapie mnie za nadgarstek. To nie jest żelazny uścisk. Przeciwnie: miękki. Ciepły. Delikatny.

– Wygrałeś – mówi cicho Mustang, stając przede mną i patrząc mi w oczy. Furie zatrzymują się na zewnątrz kręgu. – Nie zatrać się.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić Eo obserwującej mnie z Doliny. W tym piekle straciłem wiarę. Mustang przynosi mi ją z powrotem. Eo może na mnie patrzy, a może nie. Jedno jest pewnie – Mustang patrzy na mnie teraz i to, co widzę w jej oczach, wystarcza, żeby moja ręka opadła. Wtedy się uśmiecha, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy od lat.

– O to chodzi.

– Zabić go! – drze się matka Cassiusa. – Zabijcie go!

– Nie! – ryczy imperator Bellona.

Za późno.

Mustang wytrzeszcza oczy.

Zdążam się obrócić w samą porę, żeby zobaczyć, jak krąg się rozpada, rozsypuje do wewnątrz, jakby był zrobiony z piasku. Nie atakują wszyscy naraz, są ostrożni. Najpierw jeden z Bellonów biegnie do mnie w milczeniu, nisko, ze śmiertelnościami zamiarem. Za nim drugi. Wtedy Tactus odrywa się od grupy Augustusa. I drugi lansjer. Słyszę wojenne wycie mojego przyjaciela. Zaraz rozlega się kolejne. Jest tu więcej Żółtych z mojej dawnej armii.

Cagney au Bellona pierwsza do mnie dopada. Moja skradziona brzytwa ze zgrzytem sunie ku mojej szyi. Uchylam się, ale straciłbym głowę, gdyby Mustang nie uniosła swojego ostrza, żeby zablokować cios. Iskry pieką mnie w twarz, a Tactus załatwia Cagney z boku, przecinając ją równo na pół.

Wrzaski.

Krwawy Krąg całkowicie się rozpada. Złoci z rodów Bellona i Augustus rzucają się swoim w sukurs. Inni uciekają. Karnus atakuje Tactus – to za dużo dla mojego przyjaciela. Pędzę mu na ratunek i pomagam, dopóki Victra i inni nie staną między Karnusem i nami. Mustang przepada w ogólnej wrzawie. Rozglądam się za nią szaleńczo. Błyska ostrze wymierzone w moją głowę.

Wnętrze dudni echem krzyków. Suwerenka nawołuje do zachowania spokoju, ale sytuacja ją przerosła. Jakaś kobieta krzyczy na widok zniszczonego ciała Cagney. Dziesiątki uzbrojonych mężczyzn i kobiet walczą między sobą. Tactus rzuca mi brzytwę, którą Cagney mi ukradła, a potem inne ostrze przeszywa mu ramię, gdy znowu mnie broni. Odwracam się, żeby go wesprzeć, i odcinam rękę członkowi rodziny Bellona, kiedy wyciąga swoje ostrze z zadanej Tactusowi rany. Pociągam przyjaciela ku sobie. Wyrąbuję nam ścieżkę w tłumie. Czyjaś brzytwa tnę mnie w przedramię. Dostrzegam Mustang wśród chaosu, zasłania ranne ciało Cassiusa. Nie wiem, czy rodzina Bellona ją zabije. Pozwolili jej usiąść przy swoim stole. Mimo to nie wiem. Pędzę do niej, napieram całym ciężarem ciała. Tactus mi pomaga.

Wpadam na jakąś kobietę. To Antonia. Oczy jej rozbłyskują, gdy kieruje nóż w stronę mego brzucha, ale Victra, jej siostra, uderza ją pięścią w twarz, a Tactus zaczyna ją kopać w głowę, gdy tylko upada. Victra uśmiecha się do mnie szeroko, dopóki Karnus nie szarpie jej w dół, ciągnąc za włosy. Zostaje odparty, kiedy do walki wkracza Leto, przechylając szale zwycięstwa precyzyjnymi ciosami tęczowej brzytwy. Dołącza do niego rodzina Telemanus, ojciec i syn dziesiątkują Żółtych, którzy stanęli przed nimi, za pomocą brzytw, które są długości połowy mojego ciała.

– Tactus, do mnie! – wołam.

Tactus krwawi, ale podnosi się i wyje wściekle, jakby nadal walczył u boku Sevra. Razem skaczemy wysoko, w tutejszym ciężeniu to łatwe. Wie, że idę

po Mustang. Jednakże Bellonów jest zbyt dużo, a brzytwy są śmiercionośne.

– Mustang! – krzyczę.

Odpieram atak dwóch ludzi Bellony. Jednemu rozcinam twarz, a drugiego uderzam w szyję egidą. Kolejny do nich dołącza. I jeszcze jeden, aż gruba zaporą z członków rodu Bellona blokuje mi drogę.

– Chroń arcygubernatora! – krzyczy do mnie Mustang, spokojniejszym głosem niż mój własny.

Czuję się jak idiota opętany ideą rycerskości. Oczywiście, że nie potrzebuje, żebym ją ratował.

– Chroń mojego ojca!

I chociaż nie widzę jej już w tłumie, wypełniam rozkaz.

Daję się Tactusowi odciągnąć za kołnierz w stronę naszego wycofującego się szyku. Atakują nas z boku. Ktoś ryczy do nas, żebyśmy chronili Augustusa. Kolejny krzyk każe chronić imperatora Bellonę i Cassiusa. Wielu lordów zostało wyniesionych przez uzbrojonych oficerów z ich rodów, którzy wycofują się z chaosu z bronią w pogotowiu. Uciekają z wieży, korzystając z wind, bo grawiButy zostały wszak zabronione. Już prawie nikogo tu nie ma. Pretorianie Suwerenki – odziani w purpurę i czerń Obsydianowi i Złoci – gromadzą się wokół niej i odlatują razem z nią z gali. Brzytwy i ostrza impulsowe trafiają do stwardniałych, zaprawionych w boju dłoni. Nadchodzą Szarzy, którymi dowodzą Złoci w barwach pretorianów, żeby nas rozdzielić. Mają broń używaną w czasie rozruchów, miotacze neuroPocisków i generatory fal dyspersyjnych rozrzucają Złotych na wszystkie strony jak muchy.

– AUGUSTUS! – wykrzykuje potężny Karnus.

Pędzi od strony szyków Bellony przez fale dyspersyjne jak wariat. Przewraca kogoś ramieniem, egidą roztrzaskuje twarz lansjerowi i szarżuje prosto na Augustusa, mając nadzieję jednym ciosem zabić głowę konkurencyjnego rodu.

– AUGUSTUS!

Leto, nasz najlepszy fechmistrz i wychowanek Augustusa, wychodzi mu naprzeciw. Zasłania arcygubernatora.

– Hic sunt leones! – woła w niebo.

Porusza się jak morze, z płynną i straszliwą gracją. Odpiera Karnusa i już ma mu rozciąć brzuch, kiedy nagle waha się. Zamiera w pół ciosu. Karnus zatacza się do tyłu, a potem prostuje, być może zdumiony tym, że wciąż żyje. Przechyla głowę, patrząc na Leto, który dotyka uda jak użądłony.

Leto osuwa się powoli na kolano, ręce mu wiotczeją, długie włosy opadają na twarz. Nagle całkowicie nieruchomieje pośród chaosu. W smutnych oczach

jarzy się ogień silników przelatującego statku, który sunie spokojnie ku horyzontowi. Jest piękny w tej chwili, zanim Karnus obetnie mu głowę.

– Leto! – ryczy Augustus.

Oczy wychodzą mu z orbit. Szarpie się w ramionach ludzi z rodziny Telemachus, którzy go odciągają. Dostrzegam Szakala, który chowa srebrny rylec w rękawie – ten sam, który obracał w palcach, gdy zaproponował nam sekretny sojusz.

Patrzymy sobie w oczy.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

I już wiem, że zawarłem pakt z diabłem.

## Wściekłe psy

Uciekamy ze szczytu iglicy. Musiałem zostawić Mustang. Dziewczyna wie, co robi. Jakimś cudem zdołałem o tym zapomnieć. Psiajucha, ona zawsze wie, co robi.

– Nie skrzywdzą jej – zapewnia mnie Augustus.

Chyba pierwszy raz widzę emocje malujące się na jego twarzy. Nie. Drugi raz. Kiedy krzyczał do Leto, wyglądał, jakby stracił syna. Teraz też ma taką minę, twarz obwisłą i postarzałą o dwadzieścia lat. Stracił najstarszego syna. Stracił drugą żonę, matkę swoich dzieci. A teraz traci mężczyznę, którego adoptował, żeby zastąpił mu syna, i jest pełen obaw o kobietę, która przypomina mu utraconą żonę.

Jeśli ją skrzywdzą, to będzie to wyłącznie moja wina.

To ja uruchomiłem ten bieg wypadków. Chociaż raz udało mi się naprawdę wysmienicie. Krew ścieka mi z dłoni, rozciąga się błonką między palcami, zbiera na skórkach paznokci czerwonymi podkówkami. Stawy mam białe w miejscach jej pozbawionych. To budzi moje obrzydzenie, ale do tego właśnie stworzono moje ręce.

Uciekamy z miejsca wypelnionego zimą i drzewami, zalawszy je szkarłatem. Wielu niesie rannych, jest ich prawie tuzin. Siedmioro zginęło. Ledwie dwadzieścia osób z całej świty wyszło z walki bez szwanku. Kilkorga brakuje. Niezrównany Leto przepadł, przyboczny Pliniusza został rozplątany na dwoje, jedna z naszych pretorek oberwała nożem w szyję od Kellana au Bellona.

Niosę ją na rękach i próbuję zatamować krwawienie, kiedy zjeżdżamy windą. Marne szanse. Victra przyciska kawałek swojej sukienki do rany.

Dałbym wszystko za grawiButy. Zwieramy szyk wokół arcygubernatora. Trzymamy w rękach brzytwy. Krew przesiąka mi rękaw aż po łokieć, pot ścieka po twarzy i żebrach. Czerwone krople rozbryzgują się u stóp naszego oddziału na podłodze windy; skapują z dłoni, z ran, z ostrzy. A jednak wokół mnie rozbłyskują śnieżnobiałe uśmiechy.

Jest mi gorąco w mundurze, więc rozpinam guziki. Tactus obok mnie krwawi. Ma ranę na wylot w lewym ramieniu. Czyste pchnięcie.

– To tylko krew – mówi Victrze, która się o niego martwi.

– Masz dziurę w ciele.

– To nic nadzwyczajnego. – Uśmiecha się, patrząc poniżej jej pasa. – Psiakrew, ty masz w sobie dziurę i nie słyszysz, żebyś narzekała. Auuuuu! – wyje, kiedy dziewczyna przykładając opatrunek ze swojej sukienki do jego rany. Mimo bólu śmieje się jeszcze przez sekundę, a potem patrzy na mnie i kręci głową. Wzrok ma szalony i rozradowany. – Trening u Lorna au Arcos! Ty podstępny dupku.

Uratował mnie przed Cagney. Kiwam głową i przybijamy żółwika zakrwawionymi pięściami. Dawne obelgi i zakłady chwilowo idą w niepamięć.

Wielu innych Złotych – w szczególności pretorzy i rycerze, wojownicy i wojowniczek, których mamy więcej w porównaniu z politikosami i ekonomistami niż większość rodów – ociera czoła, znacząc je rdzawymi smugami. To jest ten typ człowieka, który powie ci, że całe nieszczęście w byciu Złotym polega na tym, że wszystko już zostało podbite. Nie ma nikogo, z kim warto walczyć. Nie ma przeciwko komu wykorzystać szkolenia i siły. Cóż, właśnie dałem im posmakować walki. I chociaż zginął wychowanek ich arcygubernatora, chociaż główny pretor krwawi mi na ramię, a Mustang jest w rękach wroga, chcą bawić się dalej. A produkowanie trupów to najpyszniejsza zabawa.

Starzy i młodzi patrzą na mnie wygłodniałym wzrokiem. Czekają, żeby ich nakarmić.

To właśnie oznacza bycie alfa, Prymusem. Inni spoglądają na ciebie w oczekiwaniu wskazówek. Wyczuwają na tobie cierpki zapach krwi, zanim ta zdąży popłynąć. Wiek nie ma znaczenia. Doświadczenie nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że dostarczyłem tym chorym skurwysynom świeżych ofiar.

Rozlega się płacz dzieci, co mnie zaskakuje. Takie kruche istoty w taki wieczór jak ten? Synowie i córki najmłodszej siostry Augustusa. Ojciec głaszcze je po głowach, żeby je uspokoić. Jego żona prychnęła i pochyliła się, policzkując każdą buzię po kolei, aż przestają zawodzić.

– Bądźcie dzielne.

Nasi Obsydianowi i Szarzy nie czekają na nas na dole. Gdzieś ich zabrano. Nie nadlatują też Obsydianowi ani Złoci Suwerenki – a to oznacza, że jeszcze nie zdecydowała, co robić. Tak jak się tego spodziewałem. Nie może nas wymordować. Co innego, jeśli jeden ród wybije drugi, a całkiem co innego, gdy zrobi to wielka przywódczyni, dysponująca władzą i funduszami powierzonymi jej przez senat. Już raz do tego doszło i za to Suweren został ścięty przez własną córkę. Córkę, która teraz sama zajmuje tron.

Ach, jak ona musi mnie za to nienawidzić.

Poniżej windy światła jarzą się wzdłuż wybrukowanych ścieżek, które prowadzą przez rozległy las kwitnących drzew. Muzycy już nie grają. Zamiast tego słyszymy na przemian wrzaski i przeciągające się chwile przerażającej ciszy. Pod nami Złoci biegną do kamiennych korytarzy za lasem, skąd mogą dostać się na swoje statki i odlecieć do domu. Niektórzy jednak nie uciekają. Polują.

Wydarzyło się coś, czego się nie spodziewałem. Także inne rodziny wyrównują dziś między sobą rachunki. Tak samo było w Instytucie, kiedy pozostali uczniowie zdali sobie sprawę, że to nie jest gra; że żadne zasady ich nie obowiązują. Upiorne uczucie, myśl, że nie ludzie, lecz diabły przemierzają tereny Cytadeli. Kto wie, co teraz zrobią inni, gdy reguły przestały obowiązywać?

W oddali widać czterech myśliwych. Trzech mężczyzn i jedna młoda kobieta pędzą bezgłośnie przez las. Przeskakują strumyk. Biegną z energią głodnych ludzi. Młodzieńcza ambicja. Wygląda na to, że są z rodu Falthe. Rozpoznaję Lilath o oczach jak rodzynki, dziewczynę, którą Szakał wysłał, żeby dostarczyła Cassiusowi nagranie holo, na którym zabijam Juliana. Towarzyszy jej Cipio, krępy młodzieniec, który pomagał kiedyś Antonii w sypialni i poza nią.

Obserwujemy ich w milczeniu, kiedy nasza winda opada. Niosąc ze sobą śmierć, mkną wśród drzew w stronę idących gęsiego, niczego niepokojących członków rodu Thorne w czerwono-białych mundurach. Za późno rzucają się jak szaleni w stronę kamiennych korytarzy. Na ich sztandarze widnieje róża. Sztandar upada, kiedy zabójcy wyskakują spomiędzy drzew. Rodzina umiera. To przerażające, jak szybko i cicho zostało to załatwione za pomocą brzytw. Nie przypominało to mojego pojedynku. Ja się nie śpieszyłem. Oni tak. Widzę, jak rozcinają na dwoje dziesięcioletniego chłopca. Nie ma litości dla Złotych dzieci. Nie uważa się ich za niewinne. To nasiona wroga. Trzeba je zniszczyć – albo za kilka lat przyjdzie z nimi walczyć. Kobieta w sukni balowej atakuje i udaje jej się zabić jedno z rodu Falthe, zanim sama padnie. Dwoje dzieci ucieka. Jedno zostaje złapane, drugiemu – dziewczynce – udaje się wymknąć. Ona jedna uszła z życiem.

I wtedy lansjerzy Falthe zaczynają tańczyć. Stawiają przesadnie wielkie kroki. Obracają się w różne strony, wbijając palce stóp w ciemną ziemię. Tyle że oni nie tańczą.

– Psiakrew – przeklina Tactus i pociera twarz.

– Dzieci... – szepcze Victra.

Augustus nie odzywa się, twarz ma jak wykutą z kamienia.



– Rodzina Thorne miała piętnaścioro dzieci. – Victra ma łzy w oczach. Jestem zaskoczony.

– Potwory – szepcze Szakal i aż mnie ciarki przechodzą, tak doskonale to odgrywa. Przecież ma ich śmierć w głębokim poważaniu.

Dzieci. Czy Eo zaśpiewałaby swoją pieśń, gdyby wiedziała, że tak brzmi refren? Każdy niesie swoje brzemie. I kiedy zabójcy oddalają się od zamordowanej rodziny, wiem, że pewnego dnia załamie się pod swoim ciężarem. Ale nie dzisiaj.

– Uruchomili zakłócacz danych – mówi Daxo au Telemarus. Pokazuje mi terminal na nadgarstku. – Terminale zdechły. Nie chcą, żebyśmy skontaktowali się z naszymi statkami na orbitach.

Augustus patrzy beznamiętnie na swój terminal i mówi, że prędzej czy później pozostałe rodziny zaczną wzywać swoich Obsydianowych, Złotych i Szarych. Musimy opuścić Lunę i zająć mocną pozycję, zanim sytuacja obróci się na naszą niekorzyść.

– Ty rozpętałeś ten chaos, Darrow. Wyprowadź mnie z niego. – Pochyliła się ku mnie i sprawdza puls pretorki, którą niosę. – Pozbądź się jej. Za minutę będzie martwa. – Ociera ręce. – Dzieci już i tak dostatecznie nas spowalniają.

Pretorka mruczy coś do mnie, gdy odkładam ją na podłogę windy. Nie wiem, co mówi. Kiedy ja umrę, nie powiem nic, bo wiem, że po drugiej stronie czeka Dolina. A co czeka na tę wojowniczkę? Tylko ciemność. Nie rozumiem nawet jej ostatnich słów; porzucamy ją jak złamany miecz. Zamykam jej oczy zakrwawionymi palcami, zostawiając długie, blednące smugi na powiekach. Victra ściska mnie za ramię, zauważywszy ten gest pożegnania.

Wstaję i wydaję rozkazy naszym lansjerom i pozostałym wojownikom. Mamy piętnastu, których uznałbym za dobrych zabójców. Niektórzy są w moim wieku, inni już się zestarzelili. Mimo to nikt się nie przeciwstawia. Nawet Pliniusz. Przedstawiciele rodziny Telemarus szczególnie ochoczo przyjmują moje dowodzenie. Każdy patrzy mi w twarz nieco dłużej, niż to konieczne, kiwając głową mocniej, niż wystarczyłoby, żeby dopełnić formalności.

– Mam nadzieję, że nikt się nie znudził. – Śmieją się. – Będziemy mieli towarzystwo, jeśli jakaś inna rodzina uzna, że może przypochlebić się Bellonie albo Suwerence poprzez pozbawienie arcygubernatora głowy – mówię. – Musimy zabić to towarzystwo i wyrąbać sobie drogę do hangarów. Telemarus, ty i twój syn jesteście od tej pory cieniami arcygubernatora. Nie zajmujcie się niczym innym. Rozumiecie? – Kiwają potężnymi głowami. – Hic sunt leones.

– Hic sunt leones.

Kiedy winda zatrzymuje się na ziemi, czeka na nas czterdzieścioro mężczyzn i kobiet. Ród Norvo z Trytona i ród Codovan z księżyców Jowisza.

– Będzie ciężko – wzdycha Tactus.

– Codovan i Norvo są nasi – odpowiada Augustus. – Kupieni i opłaceni.

– Szubrawcu! Codovan, ty szubrawcu! – dudni Kavax. – Myślałem, że jesteś człowiekiem rodziny Bellona!

– Ród Bellona też tak myślał! – Augustus spodziewał się czegoś takiego.

Przejmuję dowodzenie nad nowymi Złotymi. Znowu myślałem, że ktoś się sprzeciwi, a oni tylko stoją i patrzą, czekając na rozkazy – pretorzy, politycy, żyłaści wojownicy i wojowniczeki. Zduszam śmiech. To zdumiewające, jaką masz władzę, kiedy jesteś uwalany we krwi po łokcie i ani jedna jej kropla nie należy do ciebie.

Wyprowadzamy arcygubernatora z lasu w eskorcie. Trzy razy ktoś nas atakuje, ale każę Tactusowi założyć pelerynę Augustusa i zafundować części przeciwników gonitwę za wiatrem w polu. Różane płatki w tysiącu odcieni spadają z drzew, kiedy Złoci walczą pod nimi. Ostatecznie wszystkie stają się czerwone.

Trójka z domu Falthe próbuje złapać Tactusa w zasadzkę, kiedy wraca do naszych głównych sił. Zwodzi ich i atakuje. Z niewielką pomocą załatwia wszystkich z wyjątkiem Lilath. Ona czmycha, gdy Tactus zabija Cipio i traktuje jego trupa.

– Zabójcy dzieci! – pluje raz za razem.

Victra go odciąga. Rozglądam się za Szakalem. W każdej chwili spodziewam się, że poczuję strzałkę w plecach i umrę jak Leto. Jednak Szakal tylko podąża za mną, tak samo jak jego ojciec. Nikt nie widział, co zrobił. A jeśli nawet ktoś zauważył, to milczy. Boi się.

Kiedy docieramy do kamiennych korytarzy za lasem i wreszcie przechodzimy po moście z białego wapienia, wracają zasady obowiązujące we Wspólnocie. PodKolory czmychają nam z drogi. Jest nas teraz siedemdziesięcioro, gdy wpadamy do hangaru. Nasz statek zniknął. Statki wszystkich rodzin zniknęły. Myśliwce Wspólnoty patrolują niebo.

Przesłuchujemy roztrzęsionego Pomarańczowego. Tactus trzyma go za kołnierz. Mężczyzna dygoce, gdy patrzy na nas – siedemdziesiąt zakrwawionych dusz. Nigdy wcześniej nie rozmawiał ze Złotym, już nie wspominając o kimś takim jak my. Victra strąca rękę Tactusa i rozmawia cicho z Pomarańczowym.

– Mówi, że statki miały wrócić do domu dwie godziny temu.

– Najpierw nie pozwalają nam wprowadzić Obsydianowych na galę, a teraz to – mruczy Tactus.

– To znaczy, że Suwerenka coś zaplanowała – mówi Szakal. – Coś, co nie zdążyło rozkwitnąć. Zabrała naszych Obsydianowych i nasze statki, że odciąć rody od źródła ich siły – wyjaśnia, przyglądając się czujnie Telemansom. – Jesteśmy jak rozbitkowie. Jak myślisz, jakiego asa miała w rękawie, ojcze?

Augustus ignoruje syna, patrząc w górę.

– Dobrze nieba – wyrywa się Vitrze.

– Do broni! – ryczy na swoich ludzi Kavax.

– Psiakrew. – Tactus obok mnie blednie. – Ja cię sunę...

Podnoszę wzrok i widzę nadchodzący koniec.

– Pretorianie!

Rozwija się siedemdziesiąt brzytew. Rozpraszamy się na wypadek, gdyby mieli broń energetyczną.

– Darrow. Idziesz ze mną – mówi Augustus.

Wróg to zaledwie czarne kropki na nocnym niebie, ale my mamy bystre oczy. Ciemni szubrawcy spadają z nocnych chmur i uderzają o ziemię jak upadłe diabły. Zawsze trójkami.

Bach-bach-bach. Bach-bach-bach. Bach-bach-bach.

Łądują między drzewami na trawie, blokując nam powrót do Cytadeli. Obsydianowi pretorianie i Złoci rycerze-kapitanowie. Obsydianowi są jak tytani, jak golemi wydarte ze skalistej góry. O wiele bardziej okrutni od tych, których używaliśmy w Akademii. We wszystkich światach nie ma takich zbroi jak te, które oni noszą. Ciemny fiolet inkrustowany czernią obrasta ich gigantyczne ciała niczym koral. Ustawiają się w ciasnym szyku, lojalni i związani ze sobą, tak jak są związani ze swoją wiarą.

Bach-bach-bach, aż jest ich dziewięćdziesięciu dziewięciu. Bach. Ich Złoty dowódca ląduje ostatni, w przykłęku na jedno kolano. Prostuje się. Jego wysoki hełm ma kształt śmiejącej się wilczej czaszki. Jego złota peleryna ozdobiona piramidą Wspólnoty faluje na wiejącym z boku wietrze. Rycerz Olimpijski. Jest ich dwunastu w Układzie Słonecznym. Przysięgli strzec Porozumienia Wspólnoty przed wszystkimi, którzy je naruszają. To Rycerz Gniewu. Tę pozycję zajmował przez sześćdziesiąt lat Lorn, dopóki nie poleciał na Europę. Rycerze mają reprezentować główne motywy związane z człowiekiem, tak jak pojmują je Złoci – podobnie jak nasze domy w Instytucie. Zbroję nosi mężczyzna drobniejszy ode mnie. Zatem Suwerenka już przekazała komuś pozycję Lorna.

– Przedstaw się, rycerzu! – wołam.

Rycerz pozwala, żeby hełm wtopił się w zbroję. Jasne jak len włosy opadają na brzydką, wąską twarz. Jest mokra od potu, pożłobiona wiekiem i stresem. Parskam śmiechem, kiedy uśmiecha się krzywo. Przyciągam spojrzenia. Pomyślą tylko, że jeszcze bardziej zwariowałem. Rycerz Gniewu spada z nieba, a ja śmieję mu się prosto w twarz.

On też rechoce.

– Nie rozpoznajesz mnie, wypierdku?

– Fitchner, wyglądasz paskudniej, niż cię zapamiętałem!

– Fitchner? – Tactus parska. – Aż nostalgia człowieka chwyta.

– Cześć, młody. – Fitchner śmieje się na widok Tactusa w pelerynie arcygubernatora. – Ładne wdzianko, ale żaden z ciebie arcygubernator Augustus. – Cmoka i łapie się pod boki. – Arcygubernatorze! Arcygubernatorze! Kochanie, gdzie, u diabła, jesteś?

Arcygubernator przewraca oczami i wychodzi zza moich pleców.

– Rewizorze Marsa.

– Tu jesteś, kochanie! To trochę starawy tytuł, nie uważasz?

– Widzę, że masz nowy hełm.

– Ładniutki, co? Robi furorę wśród dam. Nie pamiętam, kiedy miałem takie wzięcie u Złoty. – Fitchner porusza sugestywnie biodrami. – Ale musiałem się trochę narobić, żeby go dostać. Już myślałem, że nie będzie końca pojedyńkom i próbom! Robiliśmy to na oczach Suwerenki, młody. Każdy mężczyzna, każda kobieta musieli przedstawić swoją sprawę. Każdy, kto uważał, że to stanowisko powinno należeć do niego. Raz za razem. Ale szczęście sprzyja paskudnym!

– Jak... – zastanawiam się na głos. – Pokonałeś wszystkich?

– Wykluczone – sztydzi mój arcygubernator. – To godność przeznaczona dla wielkich wojowników. – Gromi Fitchnera wzrokiem. – Którym ty nie jesteś. Co obiecałeś Suwerence za swój nowy hełm? Cena na pewno była wysoka.

– Och, wykorzystałem gwiazdę Darrowa, kiedy pokonał twojego syna. Cześć, Szakał, smarkaczu jeden. A potem był ten przeklęty konkurs i cóż... Możecie zapytać najstarszego brata Tactusa i rektora Jowisza o szczegóły. – Przyjmuje teatralną pozę. – Jestem czymś więcej, niż wydaję się na pierwszy rzut oka, he?

– Nie dostałeś więc nowego pana razem z nowym hełmem? – pyta Augustus.

– Pana? Phi! – Fitchner wypina komicznie pierś. – Olimpijscy Rycerze nie mają panów, tylko sumienie. Bronimy Porozumienia Wspólnoty i to nasz jedyny obowiązek.

– Kiedyś tak było. Teraz jesteście sługami Suwerenki – oznajmia Daxo.

– Jak my wszyscy, drogi Telemanusie – odpowiada Fitchner. – Nawiasem mówiąc, byłem ogromnym wielbicielem twojego brata i twojej rodziny. Miałeś wspaniały młot bojowy na turnieju w Thebos. Psiakrew, naprawdę przerażający ród. Zawsze chciałem zapytać: wasi przodkowie dymali nosorożce?

Daxo unosi brwi, lekko urażony. Kavax gdera tak, jak mógłby zareagować Pax.

– Wybaczcie. To może niedźwiedzie grizzly? – Fitchner znowu się śmieje.

– Żart. Cięty? Wszyscy jesteśmy sługami, czyż nie? Przeklętymi niewolnikami tego, kto trzyma berło.

– Zakładam więc, że twoja lojalność wobec Marsa wygasła i nie może... powrócić? – pyta Augustus. – Skoro komuś służysz.

Fitchner składa obleczone w rękawice dłonie.

– Mars? Mars? Czym jest Mars, jeśli nie przeklętym kawałkiem skały? Nic dla mnie nie zrobił.

– Mars to dom, Fitchner. – Augustus macha ręką, obejmując tym gestem wszystkich dookoła. – Suwerenka kazała ci nas znaleźć. Oto jesteśmy, rodacy z twojej planety. Staniesz po naszej stronie? Czy nas zdradzisz?

– Ale z ciebie żartowniś, Augustus! Pierwszorzędny żartowniś. Ja jestem wierny tylko Porozumieniu i samemu sobie, tak jak ty, mój panie. Nie jesteś przywiązany do skały. Ani do rzekomych krewnych. Nie marnuj oddechu. Kazano mi pojmać ciebie i twoich biskich i zamknąć was w areszcie domowym. Pamiętasz, że wyznaczyliśmy ci pierwszorzędną willę? Byłoby cudnie, gdybyś zechciał potruczać tam z powrotem. Ciesz się naszą gościnnością. Suwerenka nalega.

– Zapominasz się – warczy Augustus.

– Zapominam wiele. Gdzie położyłem spodnie. Kogo całowałem. Kogo zabiłem. – Fitchner dotyka rąk, brzucha, twarzy. – Ale siebie? Nigdy! – Wskazuje na Obsydianowych, którzy go otaczają. – A z pewnością nie zapomniałem o moich psach.

– A gdzie są moje? Gdzie jest Alfrún?

– Zabiłem twoje Splamione kundle. Oba. – Fitchner się uśmiecha. – Szczękały, Augustusie. Szczękały strasznie głośno.

Wściekłość płonie na twarzy arcygubernatora.

– Mam nadzieję, że nie były drogie, młody – dodaje z uśmiechem Fitchner.

– Odzywasz się, jakbyśmy byli kompanami, Tombaku.

– Ależ jesteśmy kompanami.

– Jakbyśmy byli sobie równi. A nie jesteśmy. Ja jestem potomkiem Zdobywców, Żelaznych Złotych! Jestem panem planety. A czym ty jesteś?

Ty...

– Jestem człowiekiem, który ma energoPięść. – Fitchner strzela w pierś Augustusa. Arcygubernator upada do tyłu. Jego pretorom zapiera dech w piersi. – To go nauczy, żeby nie nosić zbroi na przyjęciach. No dobrze! – Fitchner się uśmiecha. – Z kim tu mogę rozsądnie porozmawiać?

– Ze mną. – Szakał wychodzi naprzód. – Jestem dziedzicem rodu.

– Hmm... Nie, dziękuję. Jesteś upiorny.

Strzela Szakałowi z energoPięści w pierś.

– Bzdury! Dość tych bzdur! – Kavax występuje naprzód, odpychając syna.

– Porozmawiaj ze mną albo Darrowem. Twoje intencje są dostatecznie oczywiste.

– W rzeczy samej. Darrow. Pójdiesz ze mną.

– Diabła tam pójdzie – warczy Victra i staje przede mną.

Fitchner przewraca oczami.

– Telemanusie, ty i twój syn zabierzecie arcygubernatora do jego willi, a potem wróćcie do swojej. Trzeba wyjaśnić różne kwestie. – Patrzy spokojnie na łysego Złotego. Teraz jego słowa brzmią jak zgrzyt gołego żelaza o kamień. – To nie jest prośba, Telemanusie.

Telemanus patrzy na mnie.

– Mój syn mu ufał. Więc ja też mu zaufam.

– Potrzebuję twojego zapewnienia, że moim przyjaciołom nic się nie stanie – mówię do Fitchnera.

Patrzy na Victrę.

– Nic im nie będzie.

– Przekonaj mnie.

Wzdycha znudzony.

– Psiakrew, Suwerenka nie może skazać na śmierć całego rodu bez oskarżenia o zdradę i procesu. Prawda? To byłoby pogwałcenie Porozumienia. A wiesz, co czujemy w związku z tym my, Rycerze Olimpijscy, że nie wspomnę już o innych rodach. Pamiętaj, jak skończył jej ojciec. Jeśli jednak stawicie opór, to sytuacja zmieni się diametralnie. – Fitchner wrzuca pasek gumy do ust. – Stawiacie opór?

– Nie dzisiaj – odpowiadam.

## Suwerenka

– Dawno temu żyła sobie rodzina o silnej woli – mówi głosem miarowym i powolnym jak wahadło. – Jej członkowie nie kochali się wzajemnie, jednakże wspólnie nadzorowali farmę. Na tej farmie były ogary, suki, mleczne krowy, kury, koguty, owce, muły i konie. Rodzina trzymała zwierzęta w ryzach. Dzięki zwierzętom byli bogaci, tłuści i szczęśliwi. A one były posłuszne, bo wiedziały, że rodzina jest silna, a nieposłuszeństwo oznaczałoby jej zjednoczony gniew. Jednakże pewnego dnia jeden brat uderzył drugiego i podbił mu oko, a kogut zagadnął kurę: „Droga, szanowna kwoko, co naprawdę by się stało, gdybyś przestała znosić dla nich jajka?”.

Suwerenka świdruje mnie wzrokiem. Żadne z nas nie odwraca oczu. W skąpo urządzonym pomieszczeniu zalega cisza i słychać tylko deszcz uderzający w okna wieżowca. Znajdujemy się wśród chmur. Statki przelatują we mgle na zewnątrz jak ciche, jarzące się rekiny. Wyprawiona skóra trzeszczy, kiedy pochyla się do przodu i styka dłonie końcami długich, pomalowanych na czerwono palców – to jedyny widoczny tu kolor. Wykrzywia protekcyjnie usta, akcentując każdą sylabę, jakbym był małym ulicznikiem z Agei, który dopiero uczy się jej języka.

– Pod wieloma względami przypominasz mi mojego ojca.

Któremu ścięła głowę.

Wtedy posyła mi chyba najbardziej enigmatyczny uśmiech, jaki w życiu widziałem. Szelmowska iskra tańczy w jej oczach, stłumiona i cicha pośród zimnych oznak władzy. Gdzieś w jej wnętrzu kryje się dziewięciolatka, niesławna z powodu zamieszek, jakie rozpętała, rozrzucając diamenty z powietrznej limuzyny.

Stoję przed nią. Ona siedzi na kanapie przy ogniu. Wszystko jest tu urządzone po spartańsku. Twarde. Zimne. Złota kobieta z żelaza i kamienia. Jakby ponurość tego miejsca miała mówić, że Suwerenka nie potrzebuje luksusów ani bogactwa, a jedynie władzy.

Jej twarz jest pomarszczona, ale nie zwiędła z upływem czasu. Ma ponoć sto lat, a nie załamała się pod presją urzędu. Co najwyżej presja ją przemieniła, upodobniła do tych diamentów, które rozrzucała. Suwerenka stała się niezniszczalna. Wieczna. I pozostanie wiecznie młoda jeszcze przez jakiś

czas, jeśli Rzeźbiarze będą kontynuowali jej odmładzającą terapię komórkową.

Na tym polega problem. Zbyt długo trzyma się władzy. Król rządzi, a potem umiera. Tak to działa. W ten sposób młodzi usprawiedliwiają to, że słuchają starszych – bo wiedzą, że pewnego dnia przyjdzie ich kolej. A jeśli starsi nie odchodzą? Jeżeli Suwerenka rządzi przez czterdzieści lat i może rządzić przez kolejne sto? Co wtedy?

Sama jest odpowiedzią na to pytanie. To nie jest kobieta, która odziedziczyła Tron Poranka. Ta kobieta odebrała go władcy, który nie raczył, jak każe uprzejmość, umrzeć we właściwym czasie. Przez czterdzieści lat inni próbowali go jej odebrać. A jednak siedzi tu nadal. Ponadczasowa jak te legendarne diamenty.

– Dlaczego mnie nie posłuchałeś? – pyta.

– Ponieważ mogłem to zrobić.

– Wyjaśnij to.

– Nepotyzm wędnie, wywleczony na światło dzienne. Kiedy zmieniłaś zdanie, żeby chronić Cassiusa, tłum odrzucił twój autorytet moralny i prawny. Nie wspominając już o tym, że sama sobie zaprzeczyłaś. To jest słabością per se. Wykorzystałem ją, bo wiedziałem, że mogę dostać to, czego chcę, nie ponosząc konsekwencji.

Aja, ulubiona zabójczyni Suwerenki, siedząca dumnie na krześle koło okna – kobieta jak potężna pantera o skórze ciemniejszej niż skóra jej sióstr i o oczach ze źrenicami jak szparki. Jest jednym z Olimpijskich Rycerzy, konkretnie Rycerzem Zmiany. Była ostatnią uczennicą Lorna przede mną. Chociaż nie nauczył jej wszystkiego. Nosi złoto-ciemnoniebieską zbroję, na której wiją się morskie węże.

Młody chłopiec wchodzi cicho z sąsiedniego pokoju i siada obok Ai. Natychmiast go rozpoznaje. To wnuk Suwerenki, Lysander. Ma nie więcej niż osiem lat, ale jest bardzo opanowany. Królewski w swoim milczeniu, chudy jak szczapa. Ale te oczy... Są więcej niż złote. Wyglądają prawie jak żółte kryształy, tak jasne, że prawie można by powiedzieć, że się świecą. Aja patrzy, jak taksuję chłopca wzrokiem. Bierze go obronnym gestem na kolana i szczerzy zęby, które mocno odcinają się bielą od ciemnej skóry. Jakby wielki kot swawolnie mówił „cześć”. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, odwracam wzrok od zagrożenia. Wstyd płonie we mnie gorąco i gwałtownie. Równie dobrze mógłbym przed nią uklęknąć.

– Zawsze jednak są konsekwencje – mówi Suwerenka. – Jestem ciekawa: co chciałeś uzyskać z tego pojedynku?

– To samo co Cassius au Bellona. Serce wroga.



– Aż tak go nienawidzisz?

– Nie. Ale mój instynkt samozachowawczy... daje o sobie znać. Cassius, jeśli o mnie chodzi, jest głupim dzieciakiem okaleczonym przez wychowanie. Jego rodzaj ma swoje ograniczenia. Mówi o honorze, ale zniża się do haniebnych czynów.

– Nie chodziło więc o Virginie? Nie chciałeś zdobyć jej ręki albo ukoić swojej zazdrości?

– Jestem rozeźlony, ale nie małostkowy – warczę. – Poza tym Virginia nie należy do kobiet, które zniosłyby takie zachowanie. Gdybym zrobił to dla niej, straciłbym ją.

– Już ją straciłeś – burczy spod okna Aja.

– Tak, wiem, że ma nowy dom. Łatwo to zauważyć.

– Warczysz na mnie, mój łaskawy panie? – Aja dotyka brzytwy.

– Moja łaskawa pani, ja zawsze warczę. – Posyłam jej leniwy uśmiech.

– Wypatroszy cię jak świniaka, młody – wtrąca się szybko Fitch-ner. – W nosie mam, czy Lorn nauczył cię podcierać tyłek. Zastanów się dwa razy, zanim ją tu obrazisz. Prawdziwe klingi Wspólnoty nie pojedynkują się dla sportu. Pilnuj przekłętego języka.

Dotykam brzytwy.

Fitchner prycha.

– Gdybyś stanowił zagrożenie, myślisz, że pozwolono by ci ją zatrzymać?

Kiwam Ai głową.

– Może innym razem. – Odwracam się z powrotem do Suwerenki, prostując się. – Może powinniśmy porozmawiać, dlaczego trzymasz mój dom pod strażą. Zostaliśmy aresztowani? Ja jestem aresztowany?

– A widzisz gdzieś jakieś kajdany?

Patrzę na Aję.

– Owszem.

Suwerenka się śmieje.

– Jesteś tu, bo tego sobie życzę.

Nagle nachodzi mnie pewna myśl. Staram się powstrzymać uśmiech.

– Moja pani, chciałbym przeprosić – mówię głośno.

Czekają, co powiem dalej.

– Moje maniery zawsze były... prowincjonalne. I dlatego mój sposób podejmowania działań niemal zawsze odwraca uwagę od ich celu. Zasadniczy fakt jest taki, że Cassius zasłużył na coś gorszego, niż dostał ode mnie. To, że sprzeciwiłem się tobie, nie miało być obelgą z mojej strony ani ze strony arcygubernatora. Gdyby Augustus nie stracił przytomności przez twojego

psa... – zerkam na Fitchnera – ...założę się, że zrobiłby to, co należy, żeby odpokutować.

– Odpokutować – powtarza Suwerenka. – A za co?

– Za zakłócenie porządku.

Spogląda na Aję.

– On mówi „zakłócenie porządku”. Upuszczenie talerza to zakłócenie porządku, Andromedus. Poczęstowanie się cudzą żoną to zakłócenie porządku. Zabicie moich gości i odcięcie ręki jednemu z Olimpijskich Rycerzy to nie jest zakłócenie porządku. Wiesz, co to jest?

– Pyszna zabawa, moja pani?

Pochyla się ku mnie.

– Zdrada.

– A wiesz, jak traktujemy zdrajców – dodaje Aja. – Mój ojciec nauczył tego moje siostry i mnie.

Jej ojciec, Pan Popiołów, który spalił Reę. Lorn nim pogardza.

– Twoje przeprosiny nie wystarczają – mówi Suwerenka.

– Przeprosiny?

Mój ton ją zaskakuje.

– Powiedziałem, że chciałbym przeprosić, ale kłopot w tym, że nie mogę, ponieważ to ty powinnaś przeprosić mnie.

Cisza.

– Ty szczeniaku – mówi Aja, wstając powoli.

Suwerenka powstrzymuje ją; jej słowa rozbrzmiewają chłodno i wyraźnie:

– Nie przepraszałam mojego ojca, kiedy odjęłam mu głowę. Nie przepraszałam mojego wnuka, kiedy statek jego matki został zniszczony przez Grasantów. Nie przepraszałam, kiedy spaliłam księżyc. Dlaczego więc miałabym przepraszać ciebie?

– Bo złamałaś prawo.

– Może nie słuchałeś. Ja jestem prawem.

– Nie, nie jesteś.

– Czyli jednak jesteś uczniem Lorna. Powiedział ci, dlaczego porzucił swoje stanowisko? Swój obowiązek? – Zerka na Lysandra. – Dlaczego porzucił swojego wnuka?

Nie wiedziałem, że chłopiec jest wnukiem Lorna. Przejście na emeryturę mojego nauczyciela nagle nabiera sensu. Zawsze mówił o gasnącej chwale Wspólnoty. O tym, jak ludzie zapomnieli, że są śmiertelnikami.

– Ponieważ zobaczył, czym się stałaś, moja pani. Nie jesteś cesarzową. To nie jest cesarstwo, chociaż możesz tak myśleć. Jesteśmy Wspólnotą. Wiąże nas prawo, hierarchia. Nie osoba stojąca na szczycie piramidy. – Patrzę na jej

zabójców. – Fitchner, Aja: chronicie Wspólnotę. Zapewniacie pokój. Żeglujecie na najdalsze krańce Układu, żeby wykorzenić chwasty chaosu. Jednakże nade wszystko, jaki jest sens istnienia dwunastu Rycerzy Olimpijskich?

– Mów – odzywa się Aja do Fitchnera. – Zagraj w jego teatrzyku. Ja nie zamierzam.

– Ochrona Porozumienia – odpowiada Fitchner, przeciągając zgłoski.

– Ochrona Porozumienia – powtarzam. – A Porozumienie głosi: „Pojedynek, gdy raz się zacznie, nie może zakończyć się, dopóki nie zostaną całkowicie spełnione jego warunki”. A warunki mówiły o śmierci. Cassius jednak żyje. Ręka nie wystarczy. Szanuję żelaznych przodków i moich praw nie można pogwałcić. Oddaj mi więc to, co do mnie należy. Oddaj mi przeklętą głowę Cassiusa au Bellona. Albo odrzuć spuściznę swojego ludu.

– Nie.

– Zatem nie mamy o czym dłużej rozmawiać. Znajdziesz mnie na Marsie.

Odwracam się na pięcie i idę w stronę drzwi.

– Lew słabnie – woła Suwerenka. – Znajdź sobie nowy dom. Tutaj.

Zatrzymuję się w pół kroku. Ci ludzie są tak parszywie przewidywalni. Wszyscy chcą tego, czego nie mogą mieć.

– Dlaczego? – pytam, nie odwracając się.

– Bo mogę ci zapewnić zasoby, jakich Augustus nie ma. Bo Virginia już sama się przekonała, że to prawda. Chcesz być z nią, prawda?

– Po co ci człowiek, który tak łatwo łamię przysięgę wierności? – Odwracam się i patrzę Fitchnerowi w oczy. – Taki człowiek to niewiele więcej niż zwyczajna dziwka.

– Augustus porzucił cię, zanim ty porzuciłeś jego – mówi Suwerenka. – Jego córka to spostrzegła, nawet jeśli ty nie. Ja zaś ciebie nie porzucę. Zapytaj moje Furie. Zapytaj ich ojca. Zapytaj Fitchnera. Daję szansę tym, którzy się wyróżniają. Dołącz do mnie. Poprowadź moje legiony, a uczynię cię Olimpijskim Rycerzem.

– Jestem Aureusem. – Spluwam na ziemię. – Nie trofeum.

Odchodzę.

– Jeśli ja nie mogę cię mieć, nikt nie będzie cię miał.

I wtedy nadchodzą. Trzech Splamionych wypełnia drzwi. Każdy o stopę wyższy ode mnie. Wszyscy ubrani w fiolet i czerń, uzbrojeni w topory i ostrza impulsowe. Skrywają twarze za maskami przypominającymi kości. Patrzą na mnie oczy zabójców wychowanych na biegunach arktycznych Ziemi i Marsa, lśniące i czarne jak plamy oleju. Wyciągam brzytwę i przyjmuję pozycję. Spod masek dobiega gardłowa pieśń bojowa. Brzmi jak elegia na śmierć boga.

– Śmiało. Śpiewajcie do swoich bogów. – Obracam brzytwę. – Pośle was do nich.

– Żniwiarzu, przestań, proszę – woła głośno Lysander.

Odwracam się i widzę, że idzie do mnie, rozkładając prosząco ręce. Nosi prosty czarny płaszcz. Jest połowy mojego wzrostu.

Jego głos syczy w powietrzu. Drży jak u delikatnego ptaka.

– Oglądałem wszystkie twoje nagrania, Żniwiarzu. Sześć, może siedem razy. Nawet te z Akademii. Moi nauczyciele uważają, że jesteś najbliższym Żelaznemu Złotemu człowiekiem od czasów Lorna au Arcosa, Kamiennobrzuchego.

Wtedy dociera do mnie, dlaczego dzieciak tak się denerwuje. Prawie wybucham śmiechem. Jestem bohaterem z dzieciństwa tego małego nicponia.

– Nie musimy oglądać dzisiaj twojej śmierci. Nie możesz znaleźć tutaj domu, tak jak znalazłeś go z Sevro? Z Roque'em, Tactusem i Paxem, z Wyjcami, ze wszystkimi swoimi wspaniałymi wojownikami? My też mamy wojowników. Szlachetnych. Mógłbyś im przewodzić. Ale... – Cofa się. – Jeśli będziesz walczył, zginiesz, bo popełniasz błąd, jeśli myślisz, że słusność stawia cię poza zasięgiem władzy mojej babki.

– Bo tak jest – odpowiadam.

– Żniwiarzu, nie ma miejsca, gdzie nie sięga jej władza.

Oto jak to się toczy. Dają im bohaterów. Wychowują ich na kłamstwach i przemocy, a potem pozwalają im wyrosnąć na potwory. Czym byłby ten chłopak bez kierujących nim rąk?

– Chciał cię zobaczyć – wyjaśnia Suwerenka. – Powiedziałam mu, że legenda nigdy nie pasuje do faktów. Lepiej nie spotykać swoich bohaterów.

– A co ty o tym myślisz? – pytam małego Lysandra.

– To zależy od twojego następnego wyboru – odpowiada ostrożnie.

– Dołącz do nas – odzywa się Fitchner. Znów rozwleka słowa. – To jest teraz miejsce dla ciebie. Augustus jest skończony.

Uśmiecham się w duchu. Rozluźniam brzytwę. Lysander zaciska radośnie pięść. Idę razem z nim z powrotem do jego babki, grając swoją rolę, ale nie ogłaszam swojej decyzji.

– Zawsze każesz mi się ugiąć – mówię do Fitchnera, kiedy go mijam.

Wzrusza ramionami.

– Nie chcę, żebyś się złamał, młody.

– Lysandrze, przynieś mi pudełko – poleca wnukowi Suwerenka.

Wniebowzięty chłopiec wybiega z pokoju, kiedy ja siadam naprzeciwko jego babki.

– Obawiam się, że Instytut udzielił ci niewłaściwej lekcji: że możesz przezwyciężyć wszystko, jeśli tylko się postarasz. To nie jest prawda. W prawdziwym świecie musisz się dostosować. Musisz współpracować i iść na kompromisy. Nie możesz naginać światów do swoich zasad moralnych.

– A zauważyłabyś mnie, gdybym nie spróbował tego zrobić?

Uśmiecha się lekko.

– Najprawdopodobniej nie.

Lysander wraca chwilę potem z małym drewnianym pudełkiem. Podaje je swojej babce i czeka cierpliwie obok niej, zając tartę, która dała mu Aja. Suwerenka stawia pudełko na stoliku.

– Cenisz sobie zaufanie. Tak samo jak ja. Zagrajmy bez broni i bez zbroi. Bez pretorianów. Bez kłamstw. Bez fałszywości. Tylko my i naga prawda.

– Dlaczego?

– Jeśli wygrasz, możesz poprosić mnie o wszystko. Jeśli ja wygram, dostanę to samo.

– A jeśli poproszę o głowę Cassiusa?

– Osobiście tego dopilnuję. A teraz otwórz pudełko.

Pochylam się do przodu. Krzesło skrzypi. Deszcz łomocze w okna. Lysander się uśmiecha. Aja obserwuje moje ręce. A Fitchner, tak jak ja, nie ma pojęcia, co jest w tym parszywym pudełku.

Otwieram je.

## Prawda

Potrzebuję całej siły woli, żeby nie uciec. To, co wychodzi z sykiem z pudełka, jest jak wyjęte żywcem z koszmaru. Tak idealnie ucieleśnia lęki z głębin mojej podświadomości, że prawie myślę, iż Suwerenka wie, skąd pochodzę. Skąd naprawdę pochodzę.

– To gra w pytania – wyjaśnia. – Lysandrze, czyń honory, proszę.

Podaje wnukowi nóż. Chłopiec rozcina mi rękaw munduru aż do łokcia i podwija go, odsłaniając przedramię. Ma delikatne ręce. Uśmiecha się do mnie przepraszająco.

– Nie bój się – mówi. – Nic złego się nie stanie, dopóki nie skłamiesz.

Wyrzeźbione stworzenia z pudełka – są dwa – gapią się na mnie trzema ślepymi oczami każde. To po części skorpiony. Po części żmije jaskiniowe. Po części pareczniki. Poruszają się jak płynne szkło, organy i szkielet są widoczne przez skórę, chitynowe otwory gębowe szczękają i syczą jednocześnie, kiedy jedno ze stworzeń pełźnie po stole.

– Żadnych kłamstw. – Zmuszam się do śmiechu. – Śmiały rozkaz, kiedy jest się dzieckiem.

– On nigdy nie kłamie – odpowiada z dumą Aja. – Żadne z nas nie kłamie. Kłamstwo to rdza na żelazie. To skaza na władzy.

Władzy, którą są tak pijani, że nie pamiętają nawet, na ilu kłamstwach stoją. Powiedz moim ludziom, że nie kłamiesz, ty zwyrodniała suko, a zobaczymy, co ci zrobią.

– Nazywam je wyroczniami – mówi Suwerenka. Jeden z jej pierścieni faluje jak płyn, formuje skorupę na jej palcu i zamienia się w szpon, na końcu którego rośnie powoli igła. Tą igłą nakłuwa mi nadgarstek i wypowiada słowa: – Prawda ponad wszystko.

Jedna wyrocznia sunie do przodu, wbiega mi na rękę i owija się wokół nadgarstka. Dziwnym otworem gębowym szuka krwi i przysysa się do niej jak pijawka. Ogon skorpiona wygina się na cztery cale do góry i porusza w przód i w tył jak pałka wodna na wietrze. Suwerenka kłuje się w nadgarstek, powtarza przysięgę i druga wyrocznia wypęła z pudełka.

– Zanzibar Rzeźbiarz zaprojektował je specjalnie dla mnie w swoich himalajskich laboratoriach – wyjaśnia. – Trucizna cię nie zabije. Mam jednak

cele pełne mężczyzn, którzy zagrali w moją grę i przegrali. Jeśli istnieje piekło, to jad, który kryje się w tych żądlach, jest tak jemu bliski, jak tylko nauka na to pozwala.

Puls mi przyśpiesza, gdy patrzę na kołyszący się ogon.

– Sześćdziesiąt pięć – ocenia mój puls Aja. – W spoczynku miał dwadzieścia dziewięć.

Suwerenka podnosi wtedy głowę.

– Tylko dwadzieścia dziewięć?

– A czy kiedykolwiek moje uszy się myliły?

– Uspokój się, Andromedus – mówi Suwerenka. – Wyrocznia została zaprojektowana do oceny prawdy. A ta kryje się we fluktuacjach temperatury, poziomu związków chemicznych we krwi, bicia serca.

– Nie musisz grać, jeśli nie chcesz – mruczy Aja. – Możesz wybrać prostszą drogę, tę z pretorianami. Śmierć nie jest taka straszna.

Piorunuję wzrokiem Suwerenkę.

– Zagrajmy.

– Zabiłbyś mnie dziś wieczorem, gdybyś mógł?

– Nie.

Oboje patrzymy na wyrocznię. Nawet ja. Nic się nie dzieje. Z ulgą przełykam ślinę. Suwerenka się uśmiecha.

– Ta gra nie ma końca – mruczę pod nosem. – Jak mogę wygrać?

– Zmusz mnie do kłamstwa.

– Ile razy grałeś w tę grę? – pytam.

– Siedemdziesiąt jeden. Ostatecznie zaufałam tylko jednemu przeciwnikowi. Gdzie Augustus ukrywa swoją niezarejestrowaną broń elektromagnetyczną?

– W magazynach na asteroidach i w ukrytych zbrojowniach w marsjańskich miastach. – Podaję szczegóły. – I w podwyższeniu w swojej sali audiencyjnej.

– To je zaskakuje. – A gdzie ty chowasz swoją?

Suwerenka szybko wymienia sześćdziesiąt różnych lokalizacji. Podaje wszystkie, bo nigdy nie przegrała. Nigdy nie musiała się martwić, że informacje wyciekną za drzwi. Co za pewność siebie.

– Co znaczy dla ciebie ten wisiołek z pegazem? – pyta. – Dostałeś go od ojca?

Patrzę na wisiołek. Wysunął się spod koszuli.

– Oznacza nadzieję. To część spuścizny mojego ojca. Pomogłaś Karnusowi w Akademii?

– Tak. Dałam mu statek, którym cię staranował. Naprawdę zamierzałeś wystrzelić się na jego mostek?

- Tak. Dlaczego wprowadziłaś Virginie do swojego kręgu zaufanych?
- Z tego samego powodu, dla którego ty się w niej zakochałeś.

Mój puls przyspiesza. Aja uśmiecha się, gdy to słyszy.

– Virginia jest wyjątkowa. Obie wywodzimy się od ojców, którym... wiele brakowało do ideału. Kiedy byłam dziewczynką, dałabym wszystko, żeby należeć do innej rodziny. Byłam jednak córką Suwerena. Dałam Virginii to, czego nikt nie mógł dać mnie. Widzisz, kolekcjonuję ludzi, których towarzystwo mnie cieszy. Cieszy mnie Fitchner. Wielu mogłoby go uznać za odrażającego. Mogłoby uznać jego pochodzenie za niestosowne, ale podobnie jak ty jest bardzo utalentowany. Kiedy poprosiłam, żeby zagrał ze mną w tę grę, zanim został jednym z Olimpijskich Rycerzy, wiesz, co powiedział?

– Wyobrażam sobie.

– Fitchner...?

Wzrusza zgarbionymi ramionami.

– Powiedziałem ci, żebyś wsadziła sobie to pudełko w dupę. Nie jestem idiotą.

– Myślę, że to były nawet bardziej prostackie słowa – warczy Aja.

– Moja kolej. – Suwerenka przygląda się swojemu Rycerzowi Gniewu. – Czy Fitchner pogwałcił swoją przysięgę rewizora i oszukiwał w Instytucie Marsjańskim, jak mówią plotki?

– Tak – odpowiadam, patrząc na wyrocznie zamiast na mojego dawnego rewizora. – Oszukiwał tak samo jak inni.

Wiem, że Fitchner nie zdobyłby tego stanowiska, gdyby Suwerenka nie była pewna, że jest wierny jej, a nie Augustusowi. To zaś oznacza, że Fitchner powiedział prawdę i przedstawił jej szczegóły nielegalnych knowań Augustusa. Zerkam na niego.

– Chociaż nie wiem, czy zapłacili mu tak samo jak innym – dodaję.

– Nie zapłacili. I to był ich błąd – odpowiada Suwerenka. – Dostarczył nam dowodów. Nagrania wideo. Audio. Wyciągi bankowe. Użyteczne informacje na temat każdego z rewizorów.

Sevro musiał dać ojcu nagranie, kiedy kazałem mu przy nim pomajstrować. Przebiegły mały szubrawiec. Jednak naprawdę troszczy się o swego staruszka. Augustus kazałby ich obu zabić, gdyby wiedział o tej dwulicowości.

Chcę wypytać Suwerenkę o placówki wojskowe. O linie zaopatrzenia. O imperatywy operacyjne i środki bezpieczeństwa. Wiem jednak, że to wydałoby się dziwne. Sama wtedy zaczęłaby zadawać dziwne pytania. Wyrocznia zaciska się lekko na mojej ręce, wysysając tylko maleńkie drobinki krwi za każdym razem. Nie wiem, jak dobrze to stworzenie potrafi spostrzec fałsz. Co jednak zrobię, kiedy Suwerenka zapyta mnie, gdzie się urodziłem?



Kim był mój ojciec? Dlaczego rozcieram ziemię w palcach przed walką? Cholera. Mogłaby po prostu zapytać, czy jestem Czerwony. Jednak jak miałyby kiedykolwiek pomyśleć o tym, jeśli nie dam jej do zrozumienia, że jest we mnie coś... dziwnego?

– Czy w moim najbliższym kręgu są jacyś twoi szpiedzy? – pytam.

– Bardzo sprytne. Nie. Dokąd wybrałeś się z Victrą au Julii trzy dni temu? Co robiliście? – pyta Suwerenka.

– Do Straconego Miasta. – W jakiś sposób wyrocznia wyczuwa, że nie mówię wszystkiego. Żądło drży jej z podniecenia. – Żeby spotkać się z Szakalem, synem Augustusa. – Wyrocznia zaciska się mocniej. – Żeby się z nim sprzymierzyć. – Pot spływa mi na kołnierz, a wyrocznia rozluźnia się, odpowiedź jest wystarczająca. – Dlaczego nazywają Lorna Kamiennobrzuchym?

– Nie powiedział ci? Nie dlatego, że jest twardy jak kamień, jak twierdzą wszyscy. To z powodu kampanii podczas Księżycowej Rebelii, kiedy zasłynął z tego, że potrafił zjeść wszystko. Któregoś dnia pewien Szary założył się z nim, że nie da rady zjeść kamieni. Lorn podjął to wyzwanie. Kiedy Lorn cię uczył?

– Każdego ranka przed świtem w okresie między ukończeniem Instytutu a wstąpieniem do Akademii.

– To niesamowite, że nikt się o tym nie dowiedział.

– Ilu jest Niezrównanych Naznaczonych? – pytam. – Trudno dotrzeć do takich danych w spisach ludności.

Komisja Kontroli Jakości jest straszna, jeśli idzie o zazdrosne gromadzenie poufnych danych.

– Jest ich sto trzydzieści dwa tysiące sześciuset osiemdziesięciu dziewięciu na prawie czterdzieści milionów Złotych. Dlaczego Lorn wziął cię na ucznia?

– Bo uważa, że jesteśmy tym samym rodzajem ludzi. Jakie są dwie twoje największe obawy?

– Octavio... – ostrzega ją Aja.

– Zamknij się, Aja. Nie ma niewłaściwych pytań. – Suwerenka patrzy na Lysandra i uśmiecha się. – Najbardziej boję się, że mój wnuk wyrośnie na takiego samego człowieka jak mój ojciec. Drugi lęk to nieuchronność starzenia się. Dlaczego płakałeś, kiedy zabiłeś Juliana au Bellona?

– Bo był lepszym człowiekiem, niż świat mu na to pozwalał. Czy to ty zaaranżowałaś związek Virginii i Cassiusa?

– Nie, to był jej pomysł.

Czepiałem się nadziei, że to coś zaaranżowanego, coś, do czego ją zmuszono.

– Dlaczego w Instytucie śpiewałaś Virginii „Czerwoną balladę”?

– Bo zapomniała słów, a myślę, że to najsmutniejsza pieśń, jaką kiedykolwiek zaśpiewano.

Milknę przed następnym pytaniem.

– Chcesz znowu zapytać o Virginie, co? – Kąciki ust drgają jej z przyjemności, kiedy bawi się moim bólem. – Chcesz wiedzieć, czy ci ją dam, jeśli do mnie dołączysz. To jest możliwe.

– Ona nie jest rzeczą, którą możesz dawać.

Śmieje się, rozbawiona moją niewinnością.

– Skoro tak mówisz...

– Gdzie znajdują się trzy Centra Dowodzenia w Głębokim Kosmosie? – pytam brawurowo.

Bez mrugnięcia okiem podaje mi koordynaty.

– Skąd znałaś słowa Żniwnej Pieśni?

– Słyszałem je jako chłopiec. Niewiele zapominam.

– Gdzie?

– To nie twoja kolej – przypominam jej. – Dlaczego zadajesz mi te pytania?

– Bo jedna z moich Furii podejrzewa, że Synowie Aresa mogą być czymś innym, niż sobie wyobrażaliśmy. Czymś bardziej niebezpiecznym. Kim jest Ares?

Serce bije mi gwałtownie.

– Nie wiem. – Patrzę na ogon wyroczni. Nie rusza się. – A jak ty myślisz, kim on jest?

– Twoim panem.

– Trzydzieści dziewięć, czterdzieści dwa, pięćdziesiąt sześć... – mówi Aja.

Suwerenka grozi mi długim palcem.

– Dziwne. Twoje serce cię zdradza.

Oczyszczam umysł. Pozwalam, żeby wszystko inne przyblakło. Wyobrażam sobie kopalnie. Przypominam sobie wiatr w korytarzach. Przypominam sobie jej ręce w moich, gdy szliśmy boso po zimnej ziemi do miejsca, gdzie pierwszy raz położyliśmy się razem w niecce po opuszczonym miasteczku. Jej szept. Jak śpiewała kołysankę, którą moja matka śpiewała mnie i mojemu rodzeństwu.

– Pięćdziesiąt pięć, czterdzieści dwa, trzydzieści dziewięć – mówi Aja.

– Czy Augustus to Ares?

Zalewa mnie fala ulgi.

– Nie. Nie jest Aresem.

Drzwi otwierają się za mną z hukiem. Odwracamy się i widzimy Mustang idącą przez pokój w złoto-białym mundurze rodu Lune, z herbem rodzinnym

przedstawiającym sierp księżyca. Terminal lśni na jej nadgarstku. Kłania się przed Suwerenką.

– Moja pani.

– Virginio, nadal znajdujesz się w opłakanym stanie.

– To wina tego tępego sukinsyna. – Mustang kiwa na mnie głową. – Siedemdziesiąt trzy osoby nie żyją. Dwie rodziny z Ziemi zostały całkowicie unicestwione, a żadna z nich nie miała nic wspólnego z rodami Bellona i Augustus. Ponad dwustu ludzi jest rannych. – Kręci głową. – Uziemiam wszystkie statki, tak jak prosiłaś, Octavio. Dowództwo pretorianów ustanowiło na orbicie strefę zamkniętą dla statków. Wszystkim okrętom wojennym należącym do rodów cofnięto pozwolenia, w tej chwili są wypychane poza Boje Rubikonu. Decyzja obowiązuje do odwołania. Cassius żyje. Jest z Żółtymi. Rzeźbiarze z Cytadeli przygotowują plany zastąpienia utraconej ręki.

Suwerenka dziękuje jej i prosi, żeby usiadła.

– Darrow i ja właśnie poznajemy się lepiej. Czy są jakieś pytania, które uważasz, że powinnam mu zadać?

Mustang siada obok Suwerenki.

– Chcesz znać moją radę, pani? Nie próbuj rozwiązać zagadki Darrowa. To łamigłówka, w której brakuje niektórych kawałków.

– To dość obraźliwe – odpowiadam żartobliwie, ale jej słowa mnie zaboląły.

– Więc nie uważasz, że powinniśmy go zatrzymać?

– Cassius i jego matka... – zaczyna Mustang.

– Co takiego robią? – przerywa jej Suwerenka. – Mianowałam Cassiusa Olimpijskim Rycerzem. Będzie wdzięczny i będzie ćwiczył walkę brzytwą, żeby coś takiego więcej się nie powtórzyło. – Jej twarz łagodnieje, jej dłoń dotyka kolana Mustang. – Nic ci nie jest, moja droga?

– Oczywiście. Wygląda na to, że przerwałam wam grę.

Nie potrafię się zorientować, która z nich z którą pogrywa, jednakże pomny słów Karnusa na gali i bogatszy w wiedzę, że statki zostały uziemione, zanim jeszcze rozpętałem potyczkę, wiem już, że Suwerenka miała jakieś plany. A teraz myślę, że jestem w stanie poskładać elementy i zobaczyć całość.

– Ostatnie pytanie. Zachowałam je na koniec.

– Pytaj, chłopcze. Nie mamy tu żadnych sekretów, ale to musi być ostatnie pytanie. Agrippina au Julii już zbyt długo czekała.

Aja otwiera pudełko, żeby wyrocznie mogły wrócić do środka.

– Dziś wieczorem, na gali, czy zamierzałaś w czasie szóstego dania pozwolić rodzinie Bellona zamordować arcygubernatora Augustusa

i wszystkich, którzy siedzieli z nim przy stole?

Aja zamiera. Mustang odwraca się powoli, żeby spojrzeć na Suwrenkę, której twarz nie zdradza ani śladu nieszczerości. Kobieta oddycha spokojnie i z delikatnym uśmiechem kłamie w żywe oczy:

– Nie. Nie zamierzałam.

Opatrzony zadziornym żądło wyroczni wbija się w jej ciało.

## Gra

Brzytwa Fitchnera ożywa z brzękiem i odcina ogon szybciej, niż uderzają skrzydła pszczoły. Ten spada na podłogę, z przezroczystego żądła wylewa się jad. Stworzenie na przedramieniu Suwerenki wrzeszczy. Zawodzi i wije się jak zdychający kot. Kobieta zrywa je z ręki i ciska nim o ścianę. Moja wyrocznia rozwija się powoli, jakby była powiązana z tą drugą. Miauczy żałośnie i wycofuje się w ciemność pudełka. Ocieram blady krwawy ślad na moim lewym przedramieniu.

– Więc jednak kłamiesz – mówię z szelmowskim uśmiechem.

Suwerenka wzdycha przeciągle.

Mustang wstaje, rozwścieczona.

– Obiecałaś, że ich nie skrzywdzisz. Kłamałaś.

– Tak. – Octavia pociera skronie. – To było konieczne.

– Powiedziałaś, że tu nie ma kłamstw – warczy Mustang. – Że to warunek konieczny mojego przymierza z tobą. To jedyna rzecz, o jaką poprosiłam, a ty zamierzałaś zrobić to na moich oczach?

– Siadaj. – Suwerenka staje z nią oko w oko. – Siadaj!

Mustang oddycha ciężko i siada. Nie patrzy na mnie ani na Suwerenkę. Otacza ją zdrada. Suwerenka zauważa to, obmyśla nową strategię, podczas gdy Mustang wyjmuje złoty pierścień z kieszeni i obraca go kompulsywnie w palcach.

– Wiesz, dlaczego potrzebuję, by twoja rodzina przepadła? – pyta ją Octavia.

Mustang nie odpowiada.

– Zadałam ci pytanie, Virginio. Odłóż na bok dąsy i odpowiedz.

– Arcygubernator stanowi zagrożenie dla pokoju – odpowiada beznamietnie Mustang, wsuwając pierścień na palec. – Lekceważy twoje rozkazy. Nie przestrzega dyrektyw finansowych. Opóźnia dostawy helu-3 z powodów politycznych.

– A gdybym spróbowała odsunąć go od władzy, co by się stało?

Mustang podnosi na nią wzrok.

– Zbuntowałby się.

– Co więc mam zrobić? Jeśli zbuntuje się, przebywając na Marsie, Mars stanie się jego fortecą. Koszty, jakie musiałabym ponieść, żeby wyrwać mu planetę, znaleźć go, zamordować, zaprowadzić ponownie porządek... byłyby niesłychane. Okręty. Ludzie. Jedzenie. Amunicja. Handel. Niedobór helu-3. Po czyś takim Wspólnota przez lata nie doszłaby do siebie. Nie stać nas na takiego wroga jak on. Nie stać nas też na sojusz z kimś, kto tak publicznie nas obraża. Co byłoby, gdyby gubernatorzy Gazowych Olbrzymów uznali, że nie muszą słuchać moich rozkazów, bo pobłażliwie traktujemy twojego ojca? Bo pozwalamy mu manipulować cenami helu albo ignorować dyrektywy Suwerenki? Czterdzieści lat temu, w pierwszym roku moich rządów, księżyc Saturna zbuntowały się. Wojna skończyła się dopiero, kiedy zniszczyłam cały księżyc. Reę. Pięćdziesiąt milionów ofiar. Oto jak uparta jest nasza rasa. Wiedzą, jak trudno mi sięgnąć miliardy kilometrów poza Rdzeń. Mimo to się boją. Znaczna część władzy to tylko wytwór ludzkiej wyobraźni. Moja siła nie leży w statkach. Nie leży w pretorianach. Moją siłą jest ich strach. Trzeba im jednak o tym przypominać.

– Więc moja rodzina ma być takim przypomnieniem?

– Tak. Powiedz mi, że to nie ma sensu.

Mustang milczy przez długą chwilę.

– To politycznie logiczny ruch. Ale on jest moim ojcem...

– I dlatego nic ci nie powiedziałam. Rozważ to.

Suwerenka macha ręką. Holo rozświecła się na podłodze, unosi i wypełnia pół pokoju. Zamieszki. Kłębiący się dym. Szarzy koszą ludzi bronią impulsową. Suwerenka zmienia obraz. Tuzin kolejnych obrazów tańczy w pokoju. Jakaś kobieta pada przede mną martwa. Ma dziurę w czaszce. Z dziury sączy się dym.

Patrzę na to przerażony.

– To Mars? – pytam, pełen obaw o moją rodzinę.

– Można by tak pomyśleć, prawda? – Suwerenka przesuwając palcem przez lufę karabinu impulsowego. – Ale nie. To Wenus.

– Wenus? – szepcze Mustang. – Na Wenus nie ma Synów Aresa.

– I po dzisiejszym wieczorze na pewno już nie będzie. Płomień sięga aż do Rdzenia. Dwie godziny temu liczne wybuchy bombowe wstrząsnęły Wspólnotą. Moi politikosowie, pretorzy i różni członkowie wyżej postawionego personelu w całym imperium inicjowali Rozkaz Zero. Żadne media nie będą tego relacjonowały. Gdziekolwiek są płomienie, my ogłaszamy kwarantannę. Zdławimy ich. Twój ojciec tego nie zrobił, Virginio. Więcej: pozwolił Synom Aresa rozkwitnąć, rozprzestrzenić się aż tutaj.

Ostrzegałem Harmony. Mam tylko nadzieję, że nie wszyscy Synowie przepadli.

Suwerenka kuca przed Mustang.

– Twój ojciec musi umrzeć. Powiesił kobietę, którą Synowie Aresa posłużyli się, żeby to wszystko zacząć. Jego twarz płonie jasno w ich wszystkich materiałach propagandowych. Jeśli on odejdzie, a my w nich uderzymy, zgasną. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Zaaranżujemy przekazanie władzy rodzinie Bellona, a na Marsie zapanuje pokój po raz pierwszy za czasów moich rządów. Za cenę życia zaledwie pięćdziesięciu ludzi. Wiem, że to twój ojciec, ale przyszedł do mnie nie bez powodu.

Patrzac na Mustang, rozumiem teraz ten powód. I serce mi się kraje.

Mustang wstaje powoli, podchodzi do okna, jakby w ten sposób uciekała przed decyzją. Patrzy na statek przelatujący w odległej mgle.

– Kiedy moja matka żyła, jeździł ze mną konno po lesie. Zatrzymywaliśmy się na polanach porośniętych polnymi kwiatami, leżeliśmy wśród czerwonych kwiatów z rozłożonymi rękami i udawaliśmy, że jesteśmy aniołami. Tamten człowiek nie żyje. Z tym nowym możesz zrobić, co tylko zechcesz.

## Co przynosi burza

Obsydianowi odprowadzają mnie do nowej kwatery. Fitchner kroczy za nimi wesoło po marmurowych posadzkach. Kiedy dochodzimy do drzwi, łapie mnie za rękę.

– Dobrze to rozegrałeś, młody. Rozgryzłeś ją, zorientowałeś się, że chce tego, czego nie może mieć. Psiakrew, to było cwane. Aż mi się robi ciepło na sercu, kiedy widzę, że grasz i wygrywasz, ty szczylu. – Uderza mnie w ramię. – Jutro pójdziemy na targ i kupimy ci służących. Różowych. Niebieskich. Twoich własnych Obsydianowych. A na razie... zostawiłem ci prezent. – Wskazuje wewnątrz mojego pokoju, gdzie na łóżku leży gibka Różowa. – Miłej zabawy.

– Ty w ogóle mnie nie znasz, co?

Fitchner wzdycha i pochyla się do przodu.

– Takie karty dało ci życie. Nie są najgorsze. Wyobraź sobie, ile możesz dokonać jako osobisty emisariusz Suwerenki. Przy niej twój gubernator wyda ci się małomiasteczkowym szefem slumsów. Masz swoją dziewczynę. Masz szansę. Ciesz się nowym życiem.

Drzwi się zatrząskują.

Nowe życie, ale czy warte swojej ceny? Nie wiem, co się dzieje z Synami Aresa. To coś, na co nie mam wpływu. Czy Fitchner spodziewa się, że dam Roque'owi umrzeć? Że pozwolę, aby Tactus, Victra i Theodora zginęli przed plutonem egzekucyjnym pretorianów?

Obchodzę swoje pokoje, ignorując Różową. Nocne chmury Luny ciągną się tak daleko, jak oko sięga za ogromnymi oknami, które tworzą północną ścianę apartamentu. Budynki przebijają chmury niczym lśniące włócznie.

Siedzę w pułapce luksusu.

Ulewa nie ustaje. Burze na Lunie to zagadkowe stworzenia. Dla człowieka z Marsa to ledwie leniwy deszczyk. Letargiczny. Jakby krople były zmęczone spadaniem w tutejszym niskim ciśnieniu. Za to wiatr, który nadchodzi wraz z deszczem, to prawdziwy huragan. Nie ma szczelin w oknach Cytadeli, w których mógłby gwizdać. Brakuje mi jego zawodzenia, które pamiętam z mojego dawnego zamku na Marsie. Brakuje mi lamentów z głębin kopalni. Tych chwil, kiedy wiertło stygło, a ja siedziałem, dotykałem obrączki pod



piekarnikiem i myślałem o tym, że już niedługo poczuję usta Eo na swoich ustach, jej dłonie na moim pasie, jej ciało przesuwające się nad moim lekko jak pył.

Nie mogę jednak myśleć tylko o Czerwonej dziewczynie. Kiedy widzę księżyc, myślę o słońcu – Mustang płonie w moich myślach. O ile Eo pachniała rdzą i ziemią, o tyle Złota dziewczyna jest ogniem i jesiennymi liśćmi.

Częstka mnie żałuje, że nie pamiętam tylko samej Eo. Wolałbym, żeby mój umysł należał tylko do niej i żebym dzięki temu mógł być jak rycerze z legend: mężczyzną, który tak kochał utraconą ukochaną, że zamknął serce przed wszystkimi innymi. Ja jednak nie jestem legendą. Pod wieloma względami nadal jestem zagubionym i przestraszonym chłopcem, szukającym ciepła i miłości. Kiedy biorę ziemię do ręki, czczę Eo. Na widok ognia przypominam sobie ciepło i błysk płomieni na skórze Mustang, gdy leżeliśmy w naszej komnacie z lodu i śniegu.

Rozglądam się po pustym pokoju, w którym nie pachnie ani liśćmi, ani ziemią, tylko kardamonem. Jest zbyt przestronny jak na mój gust. Za bogaty. Ściany zdobione kością słoniową. Sauna. Gabinet masażu przylegający do Komnaty Rozkoszy. Stanowisko łączności, łóżko, mały basen. Oto mój apartament. Widzę w infoPliku, że dostałem pięćdziesiąt milionów kredytów uposażenia, żebym wybrał sobie personel. Dodatkowe dziesięć milionów dali mi na wypełnienie haremu. Oto cena, jaką mi płacą za zdradę przyjaciół. To za mało.

Mój wzrok pada na Różową, która leży na moim łóżku. Naga, okryta tylko kocem. Zarzuciłem go na nią, żeby zasłonić jej postać. Na jej widok od razu pomyślałem o biednej Evey. Jednak im dłużej teraz na nią patrzę, tym trudniej mi przypomnieć sobie Evey, pamiętać o Eo czy Mustang. Od tego są Różowi – pomagają ci zapomnieć. Tak skutecznie, że zapominasz nawet o ich własnym trudnym położeniu. Kiedy się zestarzeje, zostanie sprzedana z Cytadeli do jakiegoś luksusowego burdelu. Po pojawieniu się kilku następnych zmarszczek trafi do innego, gorszego miejsca i będzie się tak osuwać na drabinie społecznej, aż nie zostanie jej już nic, co mogłaby zaoferować. Taki los Różowych kobiet. Taki los Różowych mężczyzn. I zaczyna do mnie docierać, że to samo dotyczy Złotych.

Różowa prosi, żebym do niej dołączył. Żebym pozwolił jej ukoić ból, który mnie trapi. Siadam na parapecie i ugniatam rękami uda. Czekam. Nie mam swojej brzytwy. Na korytarzu stoją Obsydianowi strażnicy. Szyby w oknie nie da się wybić w żaden sposób, a przynajmniej ja go nie znam, ale nie martwię się tym. Siedzę i patrzę na burzę, czując, jak kolejna rozpętuje się we mnie.

Drzwi otwierają się z sykiem. Odwracam się i uśmiech od razu wypływa mi na usta.

– Mustang...

Przez szparę wsuwa się skromny mały Różowy o białych włosach i oczach, które złamałyby tysiąc serc w Lykos. A teraz łamie moje. Ponieważ się myliłem.

– Kim jesteś? – pytam.

On kładzie małe onyksowe pudełko na moim łóżku przed Różową.

– Od kogo to? – dopytuję się.

– Przekonasz się, dominus – odpowiada chłopiec.

Z gracją wyciąga rękę do Różowej, która skonsternowana bierze jego dłoń i wychodzi za nim z pokoju. Drzwi się zamykają. Jestem równie zdumiony jak ona. Podbiegam do pudełka, otwieram je i widzę małą holoKostkę. Aktywuję ją.

Pojawia się twarz Mustang.

– Schowaj się za czymś – mówi.

Wyłącza się całe zasilanie i zamki w drzwiach zamykają się automatycznie. Pokój tonie w ciemności. Błyskawica przecina chmury na zewnątrz. Przewala się grom. Coś słyszę. Wycie. Ale to nie wiatr.

Kolejny rozbłysk i pojawia się on, unosi się na porywistym wietrze jak najbrzydszy anioł, jakiego kiedykolwiek wysrało niebo. Zwieszająca mu się z ramion wilcza skóra łopocze na wietrze. Hełm z czarnego metalu ma kształt wilczego łba. Jest uzbrojony po zęby.

Sevro przybył i sprowadził przyjaciół.

Kolejna błyskawica tym razem oświeśla krzywy uśmiech i ósemkę unoszących się za nim w powietrzu zabójców. W sumie dziewięcioro Wyjców. Małych, okrutnych diabełków, czekających w ciemności. Ich sylwetki rysują się na tle elektrycznych wyładowań burzy. Jest też tam długonoga Quinn.

Uskakuję do sauny, kiedy Sevro dotyka szyby pięścią impulsową, po tym jak ustawił pole zakłócające, żeby pochłonęło dźwięk. Szkło wybucha do środka. Zniekształcony łoskot burzy wpada za nimi, kiedy lądują na przykrytej dywanami marmurowej podłodze. Wiatr szarpie pościelą i gobelinami. Jedno po drugim klękają – pulchna Pestka, okrutna Harpia, patykowaty Błazen o szczerej twarzy, pozostali.

– Wstańcie, przyjaciele! – wykrzykuję. – I bez tego jesteście dość niscy.

Śmieją się i wstają. Pestka i Błazen biegną zaspawać metalowe drzwi plazmowymi palnikami.

Woda ścieka z haczykowego nosa Sevro, kiedy kiwa mi głową. Zbroja wchłonęła jego hełm. Ma włosy przycięte do skóry tak, żeby układały się

w kształt smoków. Nie wypowiada słowa, za to wprost ocieka drwiną; w drugiej ręce dźwiga wielką, ciężką torbę. Kiedy podchodzi, porusza się z pogardą dla niskiego ciężenia. Jakby to była rzecz stworzona dla mięczaków i głupców.

– Lordzie Żniwiarzu, wyglądasz jak ciotowaty Piks w tym buduarze. – Kłania się teatralnie i stawia mi torbę pod nogami. – Może dlatego Mustang uznała, że tak cholernie potrzebujesz tej przeklętej paczki.

– Sprowadziła cię z Obrzeża?

– Nas wszystkich – mówi Quinn. – Czekaliśmy tu w pogotowiu od kilku tygodni. Potrzebowała ludzi, których zna i o których wiedziała, że nie będą wierni Suwerence.

Zabezpieczenie. Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek w nią zwątpiłem.

Nie istnieje świat, w którym Mustang pomogłaby zabić swojego ojca. Zdałem sobie z tego sprawę podczas mojej rozmowy z Suwerenką, że właśnie dlatego tu się znalazła: żeby przeniknąć do jej rodziny, tak jak ja przeniknąłem do Żółtych. Kiedy weszła do pokojów Suwerenki, przypomniałem sobie, jak przed pojedynkiem wspomniała, że ma własne plany. Teraz wreszcie wszystko składa się w całość. Obie prowadziły swoją grę, ale ja pomogłem ujawnić karty Suwerenki.

Octavia nie martwiła się tym, że czegokolwiek się dowiem, bo jakby inaczej zagrała w tę grę? Ledwie jednak Mustang weszła do pokoju, paradygmat się zmienił. Suwerenka powinna była wtedy od razu zakończyć nasze zmagania, ale dała się ponieść dumie.

A jeśli idzie o Mustang, to wiedziałem, że jest po mojej stronie, kiedy tylko wyjęła z kieszeni złoty pierścień, który jej dałem, i założyła go na palec. Serce zabiło mi wtedy mocniej i wiedziałem, że znajdzie sposób, żeby mnie z tego wyciągnąć.

– Sevro. – Uśmiecham się, ściskając jego dłoń. – Nasz arcygubernator...

– Wiem. Mustang nas poinformowała.

– Chodź tu, ty wielgachny diable.

Quinn wymija pozostałych, obejmuje mnie w pasie szczupłymi rękami, całuje w policzek. Pachnie jak dom. Brakowało mi tych ludzi. Wiatr zawodzi, wpadając do pokoju przez pole zakłócające. Bioniczne oko Sevro błyszczy nienaturalnie. Quinn przyniosła mi grawiButy w hebanowym kolorze. Wkładam je.

– Może i Mustang sprowadziła nas z Obrzeża, ale nie przylecieliśmy tu dla niej. Ani dla Augustusa. Przylecieliśmy po ciebie, Żniwiarzu – warczy Sevro. Quinn marszczy brwi, gdy Sevro pluje na ładny dywan. – Widzieliśmy, co zrobiłeś Cassiusowi. I chcemy tego, co próbujesz osiągnąć.

– A mianowicie? – pytam bardziej niż tylko trochę skonsternowany.  
– Tego, czego zawsze pragną kiepscy zabójcy. Wojny! I wszystkich łupów.  
– A co z twoim ojcem? Zajmuje tu teraz wysoką pozycję.  
– Fitchner to wypierdek – burczy Sevro. – Sam sobie pościelił to łóżko. To arcygubernator ma armię.

Quinn kiwa głową.

– Roque jest na dole. I Tactus.

– Tactus – mruczy Sevro, chociaż wiem, że krzywi się z powodu Roque’a. Obserwuje Quinn, w jego oczach pojawia się przelotnie smutek, ale on tylko poprawia zbroję.

– To jaki mamy plan? – pytam, biorąc brzytwę, którą podaje mi Pestka.

Sevro i Quinn patrzą po sobie i wybuchają śmiechem.

– Mustang załatwia statek. Powiedziała, że resztę sam rozgryziesz – odpowiada Quinn.

Kiedy drzwi za mną zaczynają dygotać i jarzyć się rozszerzającą się żrenicą rozgrzanego do czerwoności metalu, zauważam coś. Torba, którą rzucił mi Sevro. Ona się rusza.

Sevro uśmiecha się do mnie. Znam ten uśmiech.

– Sevro?

– Żniwiarzu.

– Coś ty zrobił?

– Mustang przyniosła nam paczkę. Powiedzmy tylko... – Quinn uśmiecha się od ucha do ucha ponad moim ramieniem. – ...że to nie jest ich kucharka.

Otwieram torbę i wytrzeszczam oczy.

– Oszalałeś?

Sevro tylko wyje w odpowiedzi.

## Plamy krwi

Ojciec powiedział mi kiedyś, że piekłonurek nigdy nie może się zatrzymać. Jeśli przerwiesz pracę, wiertło może się zaciąć. Paliwo za szybko się spala. Możesz nie wyrobić normy. Nigdy nie przestajesz, tylko przesuwasz wiertło, jeśli tarcie staje się za duże i robi się za gorąco. Ostrożność jest na drugim miejscu. Wykorzystaj bezwładność, wykorzystaj pęd. Dlatego tańczymy. Przekładamy jeden ruch na drugi. Stryj Narol zawsze mi mówił, że mam się zatrzymać. Mylił się. Przez niego zniszczyłem trochę świdrów.

Z drugiej strony – Narol pożył dłużej od ojca, więc może miał rację.

Moje Wyjce wyskakują ze mną przez okno. Bez wahania dajemy nura w czarną burzę. Lecimy swobodnie przez chmury, nie korzystając z grawiButów, jak czarny deszcz padający z krzykiem na ziemię. Jestem pierwszy. Czuję, jak lecą za mną. Moje Wyjce. Początkowo tlenu jest za mało. Wstrzymuję oddech. Oczy mi prawie zamarzają w oczodołach. Łzy płyną strugą. Moje ciało dygoce, chłostane zimnym wiatrem.

W końcu odpalamy grawiButy, żeby przemknąć przez teren Cytadeli. Okrążamy chmury, żeby nas nie widziano. W dole widać wille. Budynki, ogrody i parki. Koszary i place z posągami. Myśliwiec przecina niebo. Chowamy się za iglicą i czepiamy się jej jak pająki, aż czujniki powiedzą nam, że się oddalił. Drzę wśród moich odzianych w zbroje przyjaciół. Potem znowu opadamy. Kilometr od willi. Chwast niesie prezent od Sevro. Przewieszona przez plecy torba trochę go spowalnia.

Ląduję na murze, który otacza willę i oddziela ją od pozostałych posiadłości, gdzie inne znane rodziny kulą się ze strachu przed tym, co może przynieść noc.

Teraz, gdy znajdujemy się niżej, robi się cieplej. Wyjce lądują wokół mnie i wyglądają jak gargulce na murze. Ciemność pochłania tereny willi.

– Może jesteśmy za wcześnie? – zastanawiam się.

Nigdzie nie ma śladu walk. Jednak światła są pogaszone.

– Albo za późno – odpowiada Sevro – jeśli zamordowano ich we śnie.

– To ma wyglądać jak masakra urządzona przez rodzinę Bellona. Suwerenka nie chce być w to wplątana.

Jednak co to właściwie znaczy? Rodzina Bellona przyszłaby z Szarymi, Obsydianowymi, Złotymi i mimo całego swojego okrzyczanego honoru, unicestwiłaby wszystkich bez wyjątku, każdą kobietę i każde dziecko wszelkimi dostępnymi im środkami. Nie pozostajesz tak potężnym rodem jak oni przez setki lat, jeśli w ostatniej chwili zdejmujesz stopę z gardła wroga.

Załatwiliby to jednak po cichu. Suwerenka może kontrolować Cytadelę, ale chaos przyciągnąłby niemile widziane spojrzenia, niemile widziane zmienne i obnażyłby jej słabość. Lepiej, żeby sprawa została załatwiona przez kogoś innego. Lepiej powiedzieć, że zrobiła to rodzina Bellona i do diabła z tym, co wszyscy sobie pomyślą. Kiedy ród Augustus wymrze, jaki sens będzie go opłakiwać? Tak właśnie myślą Złoci. Gdyby jednak jego rodzina przeżyła i uciekła przed zabójcami, sytuacja diametralnie by się zmieniła.

– Quinn?

Pochylam się, żeby słyszeć jej szept, kiedy odpowiada:

– Teren jest za bardzo odsłonięty, jeśli mają noktoWizję, zobaczą nas na murze. – Wskazuje dach. Słyszę niepokój w jej głosie. – Możemy wtargnąć tamtędy. Przeczesać poziom po poziomie.

– Znajdziemy Roque’a – zapewniam ją. – Obiecuję. – Klepię ją po ręce. – Sevro, ile mamy czasu do promu?

– Mustang jest dziesięć minut stąd.

Rozluźniam szyję, aż mi kręgi strzelają, i rozcieram deszcz w palcach.

– Per aspera ad astra.

– Przez ciernie do gwiazd – szydzi Sevro. – Ty elokwentny wypierdku. Omnis vir lupus.

Każdy to wilk. Wyjce uśmiechają się do siebie i odrywamy się od muru.

Łądujemy na dachu. Jest cicho i ciemno. Chwast zostaje na murze z wiercącym się w torbie prezentem od Mustang. Jak drapieżniki idziemy po glinianych dachówkach i wchodzimy przez okno na szóstym piętrze willi po dwie osoby naraz. To skomplikowany budynek. Dziesiątki pokoi. Siedem kondygnacji. Fontanny. Łaźnie. Piwnica. Sauny. Zatem podczerwień im nie pomoże. Za dużo ciepłej wody płynie rurami. Cicho tu jak w grobie.

Przekradamy się, sprawdzając po kolei sypialnie. Przemykamy obok siebie jak woda opływająca kamienie, tak jak to robiliśmy w Instytucie. Sevro i Oset skradają się przodem, robią zwiad. Wylączamy grawiButy, więc nie słyszą szumu. Nigdzie nie widać żywej duszy. Pokoje są puste, łóżka nieposłane, włącznie z tym w sypialni arcygubernatora. Nigdzie nie ma nikogo z rodziny Augustus. Gdzie się wszyscy podziali?

Nigdzie nie widać żadnego uzbrojenia wojskowego poza paroma zbrojami, brzytwami i kilkoma pięściami impulsowymi. Ochroniarzy sprzątnięto, zanim

w ogóle wrócili do willi. Augustus i jego świta nie mogli przejść przez mury. Może odlecieli w grawiButach? Mogliby jednak zostać zauważeni. Zestrzeleni. My się przemknęliśmy tylko dzięki temu, że nikt się nas nie spodziewał.

– Złapali ich? – sugeruje Sevro.

Nie. Tej nocy dla pretorianów jedyni dobrzy Augustusowie to martwi Augustusowie.

Pstryk.

Patrzymy po sobie. Właśnie ktoś postawił pole zakłócające. I to duże. Jesteśmy w jego wnętrzu. Najprawdopodobniej obejmuje całą posiadłość, razem z willą. Zaraz coś się wydarzy. Wyglądam przez okno i widzę cień poruszający się po trawniku w ogrodzie. Trzy cienie w deszczu. Chowam się i daję sygnał Sevro. Pretorianie. WidmoPłaszcz. Serce tłucze mi się w piersi.

Sevro podchodzi do okna i już zamierza wyskoczyć, żeby spróbować ich zabić. Odciągam go.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? – szepczę.

Krzywi się.

– Chcę kogoś zabić.

– Jeszcze nie, kurna. Nie jesteśmy oddziałem wojskowym.

Na szóstym piętrze nikogo nie ma. Schodzimy kręconymi marmurowymi schodami. Naoliwione broje skrzypią cichutko, dźwięk niesie się echem w przepaścistej klatce schodowej. Widać marmur na parterze ponad sto stóp niżej, ale żadnego ruchu. Pierwszą krew znajdujemy na piątym piętrze. Sący się z sauny. Otwieram drzwi, gotowy ujrzyć okaleczone ciała Złotych. Serce podchodzi mi do gardła. Widok okazuje się znacznie smutniejszy.

Ponad dwudziestu Różowych, Brązowych i Fioletowych pomyślało, że schowa się w tym pomieszczeniu. Ludzie Bellony i pretorianie znaleźli ich tutaj. Zabili wszystkich. To dziwaczny widok. Każda śmierć jest taka czysta. Rana kluta w czaszce. Od razu widać, jak małe szanse mieli ci biedni służący. Złoci zabili ich jak bydło. Rozglądam się nerwowo, mając nadzieję, że jej nie znajdę. Modlę się. Nie mam jej tutaj. Theodora musi być razem z pozostałymi.

Napełnia mnie zimna furia. Czuję, jak przesącza się ode mnie w Wyjców.

Pierwszego martwego Złotego znajdujemy na schodach na czwarte piętro. Stary rycerz z mojego domu. Jego śmierć nie była ładna. Następnego znajdujemy dalej, przy graWindzie. Padł, jakby jej bronił, podczas gdy inni nią zjeżdżali.

Przez okno dostrzegam lansjerkę Augustusa, która raptem dzień wcześniej kpiła z moich umiejętności walki brzytwą. Wybiega z domu do ogrodu. Druga sylwetka wynurza się z ciemności: to Złoty pretorianin w czarnej zbroi

obręzionej na fioletowo. Dwóch Obsydianowych od Bellony zachodzi lansjerkę z boków i zmusza ją, żeby odwróciła się w stronę tego, który ją ściga. Ten zabija ją jednym ciosem. Nic nie da się na to poradzić. Jej śmierć jest taka szybka. W jednej chwili dyszy, boi się, ucieka. W drugiej obie jej części spadają na ziemię.

– Ci pretorianie nie bawią się jedzeniem – mruczy Sevro.

Quinn patrzy na mnie, wodzi wzrokiem po moim ciele pozbawionym zbroi i hełmu. Proponuje mi własne. Ignoruję ją.

– Darrow, nie po to zaszliśmy tak daleko, żebym patrzyła, jak umierasz po ciosie w głowę.

– Opuść sobie – odpowiadam. – Roque napisze setkę krwawych wierszy, jeśli ktoś ci nabije choćby guza.

– Zostaw sobie hełm, Q – prosi Sevro. – Choćby dlatego, że nie cierpię poezji.

Pożyczona brzytwa zsuwa mi się do ręki. Ruszamy przez następne piętro. Przy drzwiach do każdego pokoju serce bije mi szybciej. Spodziewam się znaleźć trupa Roque’a. Spodziewam się zobaczyć pokiereszowane ciało Victry.

Przy schodach na trzecie piętro Sevro przywołuje mnie ruchem ręki. Podkradamy się do niego razem z Quinn. Zerkam w dół. Kurz wzbija się w górę klatki schodowej. Na parterze poruszają się cienie. Nie słychać żadnego hałasu. Sevro pochyla się i kładzie odłamek muru na brzegu poręczy. Gestem każe mi patrzeć. Wyjce gromadzą się wokół nas, a ja zamieram. Chociaż niczego nie słychać, odprysk lekko drży.

Budynek wibruje.

Zanim Sevro i pozostali zdążą mnie powstrzymać, przeskakuję nad poręczą i śmigam w dół klatką schodową dziesięć razy szybciej, niż pozwala na to księżycowa grawitacja. Pstryk. Wchodzę w obręb następnego pola zakłócającego i zalewają mnie odgłosy walki. Wstrząsy wystrzałów, wrzaski, pociski wylatujące z sykiem z miotaczy, broń impulsowa zawodząca jak oszalałe duchy. W ostatniej chwili przed lądowaniem zmieniam ustawienie grawiButów i zatrzymuję się gwałtownie. Uderzam o marmur i brzytwą zataczam okrąg wokół głowy. Czterech Szarych pretorianów ginie. Osiem głuchych uderzeń o podłogę. Ich widmoPłaszcz rozpadają się jak cieniutki szron na szybie pod wpływem gorącego oddechu.

Ciała na korytarzach. Gruz. ogień. Szarzy i Obsydianowi ścigają Złotych od Augustusa. Sześciu Szarych załatwia dwóch Złotych za pomocą karabinów elektromagnetycznych; magnetyczna amunicja z jazgotem ostrzeliwuje egidy, aż dochodzi do ich przeciążenia, tarcze deformują się, wyginają do tyłu



i pozerają lewe ręce Złotych. Pociski uderzają w tarcze impulsowe na ich ciałach i znowu obwody ulegają przeciążeniu. Szarzy suną do przodu z wytrenowaną precyzją i strzelają z bliska w osłonięte hełmami głowy Złotych. Najlepsze zbroje w Układzie Słonecznym odkształcają się do wewnątrz i dwoje Złotych ginie. Szarzy odwracają się do mnie, podnoszą karabiny, a wtedy wokół mnie opada kaskada Wyjców. Czarne egidy pulsują wokół zarękawi na ich lewych przedramionach. Blokują ostrzał. Sevro wymyka się z szyku, za nim idzie Quinn. Włączają widmoPłaszcz i na przemian to pojawiają się, to znikają, płynąc jak dwie smugi dymu. Jakimś cudem lądują pomiędzy Szarymi, a potem znowu są przy mnie, zanim jeszcze Szarzy upadną na podłogę.

Kolejna salwa uderza w naszą grupę, prawie zostaje trafiony w nieosłoniętą głowę. Chowam się za towarzyszami. Ogarnia mnie zgroza. Jakiś Szary wyskakuje na korytarz i strzela do nas mikroSalwą. Trzydzieści małych bomb rozprzestrzenia się jak rój szerszeni. Oset i Mursz pięściami impulsowymi rozwalają chmarę ładunków. Płachta niebieskiego ognia wydyma się i wypełnia korytarz. Drugi rój bomb nadlatuje z wyciem tuż za pierwszym. Quinn przełącza moc grawiPięści i odbija mrowie pocisków, zanim w nas uderzą. Zmieniają kurs, wracają tam, skąd przybyły. Eksplodują w zetknięciu z oddziałem Szarych.

Nie utrzymamy się tutaj. Nikt by się tu nie utrzymał, uznaję, kiedy trzech Obsydianowych od Bellony nadbiega sprężystym krokiem. Jest z nimi Karnus. Niektórzy z moich przyjaciół zginą na tym piętrze, jeśli będziemy walczyć ze wszystkimi, którzy na nas wyskoczą. Jest lepszy sposób. Mądrzejszy.

– Sevro, zrób dziurę! – krzyczę, wskazując w górę studni klatki schodowej.

Sevro strzela z pięści impulsowej we wskazanym kierunku. Odłamki kamienia osypują się wokół nas, odepchnięte przez grawiPięść Quinn. Sevro strzela ponownie. Woda leje się przez dziurę i opływa stworzony przez Quinn bąbel grawitacyjny. Staję i krzyczę:

– Do mnie!

Wylatujemy z tego chaosu, zanim pretorianie nas dopadną. Zatrzymuję się dwieście metrów nad willą. Wiatr nas smaga. Nie miałem żadnego planu, kiedy zeskoczyłem na parter. Myślałem tylko o przyjaciółach. Teraz już wiem, że ja i Wyjce zginieemy, jeśli będziemy walczyć. Pozwalam, żeby brzytwa owinęła mi się spokojnie wokół ręki. Każę Wyjcom zrobić to samo. Ryczę w ciemność:

– AJA!

Wyjce nerwowo zacieśniają szyk wokół mnie, bo unosimy się nad willą zupełnie odsłonięci. Burza wali w nas płachtami wody.

– AJA!

Niedaleko gorących źródeł i laguny, gdzie podczerwień wariuje z powody gorącej wody, horda pretorianów wyłącza widmoPłascze. Dwóch z nich wzbija się w powietrze i pędzi wśród sosen. Jeden jest Splamiony. Podlatuje bliżej, celując w moją głowę z jonoPięści.

– Zabierz to przekłete ustrojstwo sprzed mojej twarzy, Splamiony szczeniaku. Nie poznajesz lepszych od siebie?

Dołącza do niego Złota pretorianka. Nie rozpoznaję jej. Jej węzowy hełm cofa się i stapia z czarno-fioletową zbroją, elegantszą od tej, którą noszą Obsydianowi. Ma ostre rysy i bezwzględna twarz – jak głowica topora.

– Varga, do nogi – warczy.

Splamiony opuszcza broń. Jego hełm także wtapia się w pretoriański pancerz. Teraz widzę, że Varga jest kobietą, Obsydianową, niższą ode mnie o głowę, z bladą twarzą pokrytą plemiennymi tatuażami. Wiatr targa jej białe włosy. Ma więcej blizn na twarzy niż ja na całym ciele.

– Hebanowy pies – warczy Sevro. – Zastrzelę ją, jeśli raz jeszcze warknie.

– To wy byliście na klatce schodowej? – Złota taksuje nas spojrzeniem, nie bardzo wiedząc, co myśleć o mnie i o moich Wyjcach. – Zabiliście moich Szarych.

– Nie oplakuj Szarych – mówię. – Podnieśli na mnie rękę.

– Co tu robisz? – Ociera deszcz z twarzy. – Suwerenka zamknęła cię na noc w pokoju. Ty jesteś odpowiedzialny za odcięcie zasilania?

– Działam w imieniu Suwerenki.

Pretorianka nie może pozwolić sobie na to, żeby mi nie wierzyć. Waha się chwilę, a do mnie dociera, że ma wszczep optyczny w oku. Sprawdza bazę danych.

– Kłamiesz.

Splamiona znowu podnosi broń.

– Wiesz, kim jestem, pretorianko – mówię z całym przekonaniem, jakie potrafię przywołać. – Wiesz też, że nie jestem na twojej liście do zabicia. Mam immunitet.

– Został odwołany.

– Więc zabierz mnie do Ai.

– Ai tu nie ma.

– Nie okłamuj mnie.

Optyka migocze w jej źrenicach, kiedy otrzymuje cyfrowy rozkaz.

– Za mną.

Łądujemy na białych kamieniach i idziemy za pretorianką przez las w stronę laguny, do której uchodzi woda z gorących źródeł.

– Co robisz? – szepcze mi do ucha Sevro, przyglądając się Vardze. Pokazuje kobiecie krzyżyk środkowym palcem zagiętym na wskazujący.

– Wykorzystuję naszą kartę przetargową.

Aja stoi w ogrodzie w otoczeniu ludzi z rodu Bellona – dwóch jest Złotych, reszta to Obsydianowi. Tylko Varga jest Splamiona. Nad laguną unoszą się smużki pary, oplatają ramiona Rycerza Zmian. Aja patrzy na wodę beznamietnie jak dziecko wpatrujące się w ogień i czekające, aż polano spłonie.

– Darrow? – mruczy, nie odwracając się do mnie. – Nie jesteś w swoim pokoju. – Mierzy wzrokiem Wyjców. Rozpoznaje ich. – I zabiłeś moich ludzi. Fitchner mylił się co do ciebie.

– Mam coś, czego będziesz chciała – rzucam ostro. – Ale odwołaj swoje psy.

– Próbowali uciec przed naszym nadejściem, mimo że skonfiskowano im grawiButy. Głupia próba. Usiłowali skontaktować się z domem Julii, ale go kupiliśmy.

– Victra? – pytam.

Zdradziła nas.

– Żyje. Tak jak reszta. Zostanie oszczędzona, jej matka jest gotowa pójść na współpracę. Dwa statki Augustusa próbowały przebić się przez blokadę na orbicie. Zestrzeliliśmy je. Dom Augustus jest jak zapędzone w kozi róg borsuki.

– Lwy – przypominam jej.

Strzepuje krew z brzytwy.

– Nie całkiem.

– Czy ktoś jeszcze żyje? – Staram się, żeby mój głos nie zdradzał paniki. Oglądam się na wille.

– Ci cenni owszem.

Oddycham z ulgą.

Wypuszcza brzytwę w dłoń. Ostrze sztywnieje i Aja odwraca się do mnie. Szparki jej żrenic łapczywie piją światło.

– Twoi przyjaciele siedzą w lagunie. Schowali się tam, bo nasza podczerwień nie działa z powodu ciepłej wody. Desperacka ostatnia próba. Systemy filtracji powietrza w ich hełmach zostały wyłączone po zwarcii wywołanym impulsem elektromagnetycznym. Zostało im tylko powietrze, które się w nich znajdowało. A nie ma go dużo. Nie wytrzymają nawet kwadransa. A ci bez hełmów... mają może z sześć minut. – Uśmiecha się uprzejmie. – Zostawiam ich Karnusowi. Jest w środku, załatwia niedobitki. Patrzeć na niego to wielka przyjemność, prawda?

Gorący deszcz łaskocze z brzękiem o nasze zbroje. To jedyny dźwięk, jaki słyszeć.

– Co tu robisz, Andromedus? Czemu nie jesteś w swoim pokoju? – Aja bawi się brzytwą, przecinając krople deszczu na pół. – Suwerenka wyraziła się bardzo jasno.

– Mam coś, czego będziesz chciała – powtarzam.

– Wiesz czego chcę? Żebyś słuchał grzecznie Octavii. Wracaj do swoich apartamentów, chłopcze, weź prysznic i zabaw się z Różową, którą zostawiliśmy ci w łóżku. Przelej w nią swój gniew, czy co tam czujesz. Nie łam przysięgi. Nie podnoś na mnie palca. Zabiłeś tylko Szarych. O czymś takim łatwo zapomnieć, prawda? Wracaj, a Suwerenka pomyśli, że to tylko kaprys młodości. Zostań, a dodamy do stosu ciał trupa twojego i tych twoich zaprzyjaźnionych Tombaków.

Wyjce jeżą się za moimi plecami.

– Tak jak zabiliście służących? – pytam wściekły. – Jak było poprowadzone na rzeź.

Aja odwraca się do basenu.

– Czas, żebyś stąd zmykał, Żniwiarzu.

– Jesteś obrzydliwa. – Robię krok w jej stronę. – Masz taką władzę i do tego jej używasz? Do mordowania całych rodzin w środku nocy, psiakrew. Zasadnicza prawda jest taka, że jesteś ucieleśnieniem hańby. Mam nadzieję, że będziesz pamiętać ból, jaki sprawiłaś innym, kiedy stanę nad twoim trupem.

Odwraca się do mnie rozwścieczona. Jej brzytwa prostuje się gwałtownie. Oczy jej błyszczą. Ale nie tyka mnie. Nie teraz. Nie tej nocy.

– Darrow – woła nagle Sevro dziwnie przyjemnym głosem.

– Tak, Sevro?

– Skoro już tyle mówimy o pamiętaniu, nie zapomniałeś o czymś?

– Chyba zapomniał – przytakuje mu Quinn. – Nasz mądry...

– ...ale zapominałski Żniwiarz – kończy Błazen nader frywolnym tonem.

– Hmm, wybacz, Aju. Zapomniałem, o czym przyszedłem ci powiedzieć.

Stoję i rozglądam się skołowany.

Quinn wzdycha.

– Torba.

– A, tak! Dzięki, że mi przypomniałeś, Sevro! – wykrzykuję teatralnie.

Aja nie ma pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

– Powiedz Chwastowi, żeby tu przyleciał – mówię.

Sevro daje znać przez system łączności. Chwilę potem Chwast wyłącza swój widmoPłaszcz i sfruwa z odległego o kilometr muru. Patrzymy, jak się zbliża. Pestka pogwizduje wesoło, wywołując tym grymas Harpii i śmiech

Sevro, który też zaczyna pogwizdywać. Pretorianie myślą, że Wyjce powariowały. Te wilcze skóry na ramionach. Czarne, zrobione na zamówienie zbroje. Wilcze hełmy. I żaden nie ma więcej niż dwa metry wzrostu – poza mną i Quinn. Jak wędrowny cyrk Fioletowych.

– Co zamierzasz? – dopytuje się Aja.

– Nikt jeszcze z tobą nie handlował? – pytam, zaskoczony. – Wielka szkoda.

Chwast łąduje przede mną i wręcza mi torbę od Sevro niczym prezent. Aja pyta, co jest w środku.

– Rozkaż ludziom w willi zaprzestać zabijania, to ci powiem.

– Nie negocjuję z chłopcami – mówi Aja.

Szturcham lekko torbę butem, pokazując jej, że cokolwiek jest w środku, żyje. Aja marszczy brwi, może zaczyna rozumieć. Łączy się ze swoimi ludźmi i każe im przerwać działania.

– Co jest w tej przeklętej torbie?

Otwieram ją i wyciągam ze środka następcę Tronu Poranka jak świeżo złapanego królika. Lysander ma stopy i ręce delikatnie związane, a na ustach jedwabną apaszkę, żeby nie hałasował. Rozwiązuję ją.

– Cześć, Aja – mówi chłopiec.

Aja rzuca się ku niemu. Cofam się, nie wypuszczając go z ręki.

– Ejże, ejże! – Przykładam mu brzytwę do szyi.

Owija się wokół niej równie czule, jak wyrocznia owinęła się wokół mojego nadgarstka.

Aja zamiera. Jej pretorianie obserwują scenę w milczeniu. Przez te czarne hełmy i fioletowe peleryny wyglądają jak cienie. Paru ludzi od Bellony robi krok naprzód. Aja daje im znać, żeby się cofnęli.

– Następną osobę, która się ruszy, zabiję. Jak cię złapali, Lysandrze? Twoi strażnicy...

– To Mustang – odpowiada. – Przyszła się przywitać. Rozcięła moje okno i oddała mnie Wyjcom.

– Coś ci się stało?

– Skończyła się twoja kolej na pytania, Aju – przerywam im. – Pozwolisz członkom mojego domu wynurzyć się z basenu. Pozwolisz im wejść na pokład promu, który zaraz tu przyleci. Każesz myśliwcom w atmosferze i w przestrzeni kosmicznej wokół Luny przepuścić nas. Albo ja każę Wyjcom zabić chłopca.

– Przysięgłeś chronić Suwerenkę – szepcze Aja. – A robisz... coś takiego? To chłopiec. Jest bezbronny.

– To część gry – odzywa się bardzo poważnie Lysander. – Ty też w nią grasz, Aju. Wszyscy stoimy na planszy.

– Widzisz, jest mniej bezbronny niż ci służący, których wyrznięliście dziś w nocy – wtrąca się Quinn. – Mniej niż ci, których spalił twój ojciec na Rei. Tyle że jest jednym z twoich. Dlatego się przejmujesz.

– Wybiłabyś całą rodzinę, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojej Suwerence – mówię lodowatym głosem. – A ja zabiję dziecko, żeby zapewnić bezpieczeństwo moim przyjaciółom. Odezwij się raz jeszcze, a odetnę mu lewą rękę.

Ona wie, że bym go zabił.

A ja wiem, że bym tego nie zrobił. Nie jestem Karnusem. Nie jestem ani Evey, ani Harmony, bez względu na to, co kazałem myśleć tym Złotym. Nawet gdyby uznali, że blefuję, zawahałbym się. W każdym razie w chwili, w której go zabiję, oni zabiją wszystkich, których znam. Moje morderstwo poszłoby na marne.

Dlatego właśnie pracowałem na swoją reputację zabójcy – żeby mieć przewagę w takich chwilach jak ta. Gdyby znali moje serce, zgładziliby moich przyjaciół jednego po drugim. To ryzykowna chwila.

Stawiam wszystko na dwie karty. Po pierwsze obstawiam, że Suwerenka nie pozwoliłaby mi zabić jedyne go wnuka, którego szykowała od dzieciństwa, żeby w swoim czasie zajął jej miejsce. Po drugie myślę, że w głębi ducha uważa, że jeśli Augustus i jego rodzina uciekną dzisiaj, nie będzie to dla niej wielka strata. Ma wolę i środki, żeby ścigać nas po granice Układu Słonecznego. Po co zmuszać mnie do odkrycia kart i ryzykować śmierć wnuka? Wydedukowałem to ze sposobu, w jaki zabiła swojego ojca – nie natychmiast, ale dopiero kiedy zyskała poparcie wszystkich jego dawnych popleczników, a oni ją poprosili, żeby powstała przeciwko wielkiemu tyranowi i przejęła władzę z jego rąk.

Taka kobieta jest cierpliwa. Gdyby mi powiedziała, że bym zrobił najgorsze, na co mnie stać, gdyby krzyknęła, że bym zabił chłopca i poniósł tego czynu konsekwencje, byłoby to lekkomyślne. Byłaby to otwarta, brutalna demonstracja władzy, jakby chciała powiedzieć: „Weź mojego wnuka, mnie nie możesz skrzywdzić”. Nie, zamiast tego uda słabość, da mi to małe zwycięstwo, a potem zniszczy mnie i moich ludzi.

Niech tak będzie. Tę partię rozegramy innego dnia.

Nad nami grzmi statek. Bocian – zbudowany do przewożenia ludzi w astroPancerzach do punktów zrzutu, ale powolniejszy niż płynąca pod górę melasa. Wrota ładowni otwierają się dwieście metrów nad ziemią, tak jak

polecilem. Dopóki mamy chłopca, szybkość statku nie ma najmniejszego znaczenia. Oczywiście Mustang tak to właśnie zaplanowała.

– Zabierzemy teraz naszych ludzi, Aju. Daj znać swoim, żeby w żaden sposób nam tego nie utrudniali.

Aja tylko na mnie patrzy, gapi się jak rozdrażniona pantera w zoo. Jej spojrzenie jest nieme, straszliwe, jakby siłą woli chciała anihilować dzielące nas pręty klatki.

– Sevro, Oset, sprawdźcie willę. Może komuś udało się tam przeżyć.

Natychmiast odlatują.

– Quinn, pilnuj chłopca. Pozostali, zabierzcie arcygubernatora i jego świtę z basenu. Powinnaś odwołać myśliwce – mówię do Ai. Jej statki migoczą w mroku kilometry nad naszymi głowami. – Jeśli robi się za dużo hałasu, cała ta sprawa obróci się w jeden wielki koszmar dla nas wszystkich. Suwerenka, która zmasakrowała cały ród... ale ten ród ucieka! Co za nikczemne świadectwo jej zachłanności i zarazem impotencji. Jakże wielkie fiasko może za sobą pociągnąć... – Uśmiecham się znacząco. – Rety, obawiam się, że niektóre inne rody mogłyby się sprzymierzyć wokół obrażonej rodziny, pełne obaw, że również zostaną zgaszone jak świece w nocy. Co by się wtedy stało z biednym Pax Solaris?

Quinn zostaje ze mną. Palce jej drgają przy broni, kiedy Aja podporządkowuje się moim poleceniom. Ja nie puszczam chłopca. Pozostałe Wyjce wchodzi z pluskiem do wody i wynoszą z niej członków rodu Augustus, którzy trzymają się ich kurczowo, przemoczeni i zachłystujący się powietrzem. Niektórzy mają na sobie wieczorowe stroje, inni zbroje, większość nie ma hełmów. Wygląda na to, że dzielili się zapasami tlenu.

Augustus wczepił się w plecy Harpii. Szakał trzyma Błazna za rękę. Pliniusz chwycił się jego stóp. Gdzie są moi przyjaciele?

Wyjce odstawiają uratowanych do ładowni unoszącego się wysoko w powietrzu bociana i wracają po kolejnych. Następna zostaje wyciągnięta Victra. Nie ma hełmu, jest ranna w szyję. Czepia się jednak swojej brzytwy, jakby to ona unosiła ją w powietrze. Piorunuje gniewnym wzrokiem zgromadzonych pretorianów, a kiedy dostrzega mnie, jej oczy skrzą się jak krzemienie. Gniew znika na chwilę i widzę radosny uśmiech. Ten zaraz jednak znika, kiedy Victra krzyczy:

– Zapamiętam was z wielką radością! – Śmieje się jak szalona. – Poczynając od ciebie, Aju au Grimmus. Zrobię sobie płaszcz z twojej skóry.

Znika w brzuchu pojazdu nad nami. Następny jest Roque, razem z nim Theodora. Odmawiam niemy pacierz z wdzięczności. Quinn dotyka mojego ramienia i macha do Roque'a. Na jej widok na jego szczupłą twarz wpływa

uśmiech. Mnie nawet nie zauważa. Zaraz znika w ładowni statku. Oset wkrótce wraca z willi i dołącza do nas, pomagając paru ocalonym, między innymi Telemanusom i Tactusowi, który krwawi z tuzina dziur w złotej zbroi. Walczył jak szatan.

– Darrow? – krzyczy. – Ty szalony sukinsynu! – Potem widzi wnuka Suwerenki i rechoce radośnie. – O, to jest piękne. Naprawdę piękne. Wiszę ci drinka, mój łaskawy panie...

Jego głos cichnie, gdy unosi się w powietrze, ale udało mu się jeszcze ułożyć palce w krzyżyk i pokazać go Ai.

– Tactus – szepcze Lysander. – Jest wyższy niż na nagraniach.

– To już ostatni – mówi do mnie Sevro.

– Powiedz swojej pani, że my z Marsa nie kłaniamy się tak łatwo – mówię do Ai.

Deszcz pada między nami. Ścieka po jej ciemnej twarzy. Jej upiorne oczy płoną pośród nocy. Przerywa milczenie, które jej narzuciłem.

– To samo powiedział gubernator Rei, kiedy mój Pan Popiołów przybył zakończyć rebelię – mówi nieswoim głosem. Jakby ktoś inny przez nią przemawiał. – Spojrzał na chudego mężczyznę, którego wysłałam na czele armady, roześmiał się i zapytał, dlaczego miałby się przede mną kłaniać, ojcobójczynią, która zasiadła na miejscu martwego tyrana.

Suwerenka szepcze jej do ucha przez system łączności. Aja powtarza jej słowa. Krew ścina mi się lodem.

– Gubernator Rei zasiadał na swoim Lodowym Tronie w słynnym Szklanym Pałacu i zapytał jednego z moich sług: „Kim jesteś, żeby napęlić strachem takiego mężczyznę jak ja? Wywodzę się z rodziny, która stworzyła niebo w miejscu, gdzie istniało tylko lodowo-kamienne piekło. Kim jesteś, żebym miał ci się kłaniać?”. A potem podbił oko Panu Popiołów swoim berłem. „Wracaj do domu na Lunę. Wracaj do Rdzenia. Obrzeże jest dla ludzi, którzy mają mocniejszy kręgosłup”. Gubernator Rei się nie pokłonił. A teraz z jego księżycy został popiół. Z jego rodziny został popiół. Więc uciekaj, Darrowie au Andromedus. Uciekaj do domu na Marsa, bo moje legiony będą cię ścigać po kres wszechświata.

– Mam nadzieję – odpowiadam.

– Masz jedna kartę przetargową – przypomina mi Suwerenka poprzez Aję.

– Mój wnuk zapewni ci bezpieczny przelot. Jeśli umrze, zmiotę twój statek z nieba. Posłusz się nim mądrze.

Dlaczego mówi mi coś, co już wiem?

– Czas lecieć, Darrow.



Quinn pochyła się ku mnie. Kładzie rękę na moim krzyżu, jakby chciała mi przypomnieć, że nie jestem sam. Kiwam do niej głową. Osłania mnie, kiedy wzbijam się w powietrze z chłopcem i brzytwą owiniętą wokół jego szyi.

Quinn obserwuje czujnie pretorianów i rusza za mną.

Mam jedną kartę przetargową. Co Suwerenka miała na myśli? Przypominała mi, że mogę się nią posłużyć tylko raz? Że mogę zabić Lysandra tylko wtedy, gdy zostanę przyparty do muru? I wtedy widzę, jak Aja patrzy na wzbijającą się z ziemi Quinn – jak kot na myszkę.

– Aja, nie! – wrzeszczy Lysander.

– Quinn! – krzyczę.

W okamgnieniu Aja rzuca się do przodu, szybsza niż jakikolwiek prawdziwy kot. Łapie Quinn za włosy. Ta unosi brzytwę w szaleńczym geście, żeby obronić się przed ogromną kobietą. Jest jednak zbyt wolna. Aja lewą ręką uderza jej głową o ziemię. Uderza w skroń, ręka w pancernej rękawicy trafia w kość cztery razy, zanim zdążę choć mrugnąć powieką. Nogi Quinn wierzgają konwulsyjnie, a potem zwija się cała jak zdychający pajak. Aja cofa się i patrzy na mnie z uśmiechem.

## Bocian

Wiedzą, że jestem pochozny. Quinn to przynęta. Aja to haczyk. Zabiorą mi Lysandra, jeśli złapię się na przynętę i zaatakuję. Wykorzystają ułamek sekundy, kiedy moja brzytwa zniknie z szyi chłopaka, żeby mnie ogłuszyć albo zabić. Słyszę, jak za moimi plecami celują we mnie z broni, więc nie cofam brzytwy z gardła dzieciaka. Wzrok rozmazuje mi się od łez, kiedy bezsilny lecę dalej. Potrząsam głową, ból we mnie narasta. Nie mogę jej zostawić. Zmieniam kierunek napędu w butach i wracam, żeby zabrać ją z ziemi. Zanim jednak do niej dolecę, inny Złoty sfruwa obok mnie z góry. Jest bez zbroi. Porywa ją z ziemi i unosi w powietrze.

Szakał.

Odlatuję w deszczu do wrót ładowni i ląduję wewnątrz bociana. Moje buty uderzają z brzękiem o metalowy pokład, klękam i popycham Lysandra w głąb ładowni, w stronę Sevro. Chłopiec przewraca się na kolana. Kilkudziesięciu członków rodziny Augustus wpatruje się we mnie. Potem patrzą na chłopca. Nadlatuje Szakał, niezgrabnie trzymając Quinn jedną ręką.

Statek wzbija się wyżej, wrota zamykają się za nami z sykiem. Roque przepycha się przez tłum, by mnie zobaczyć, a potem jego wzrok pada na Szakała, na Quinn i z każdą sekundą coraz bardziej opuszczają go siły. Szakał delikatnie kładzie ciało na ziemi i zrzuca niedopasowane grawiButy, które pożyczył od jednego z Wyjców. Roque porusza ustami. Nie pada z nich żaden dźwięk.

– Czy ona... – udaje mu się w końcu wykrztusić.

– Czy są jacyś Żółci na pokładzie? – pyta mnie Szakał.

Patrzę na Harpię. Wskazuję jej drogę do głównych kabin.

– Poszukaj Mustang. Zapytaj ją.

Dziewczyna puszcza się biegiem.

– Apteczka! – woła Szakał, badając puls Quinn. Sprawdza jej źrenice. Nie reagują. – Natychmiast!

Roque chwiejnym krokiem idzie szukać apteczki. Pestka zrywa ją ze ściany i rzuca mu. Roque przynosi ją Szakałowi. Moją głowę wypełnia tylko biały szum, gdy patrzę na Quinn – kolejne konwulsyjne skurcze szarpią jej ciało i niehumaniczny dźwięk wydobywa się z jej nosa i ust. Roque'owi odpłynęła cała

krw z twarzy. Wyciąga bezradnie ręce do dziewczyny, którą kocha, jakby samą siłą woli mógł naprawić to, co zostało zniszczone. Jednak w głębi ducha wie, że jest bezradny. Osuwa się na kolana.

Szakał otwiera apteczkę i przeszukuje jej zawartość.

Jedyną ręką bardzo sprawnie przerzuca kolejne urządzenia, aż natrafia na srebrną sztabkę nie większą od mojego palca wskazującego. Porywa ją i włącza. Urządzenie brzęczy cicho, emitując słabe niebieskie światło.

– Potrzebuję czyjegoś terminala. Mój został usmażony przez impuls elektromagnetyczny. – Nikt nawet nie drgnie. – Dziewczyna umrze. Dajcie mi tu przeklęty terminal. Migiem.

Podaję mu swój. Nie podnosi na mnie wzroku, ale zamiera na sekundę, widząc moje charakterystyczne ręce.

– Dziękuję za ratunek, Żniwiarzu – mówi pośpiesznie.

– Dziękuj swojej siostrze.

Lysander wstaje i podchodzi do mnie. Patrzy w milczeniu, w jego oczach nie ma łez. Pestka i Błazen kucają. Nikt nie dotyka Roque’a, chociaż zerkają na niego, zaciskają ręce na kolanach albo brzytwach, szepczą takie modlitwy, jakie Złoci wznoszą po cichu do dobrego losu.

Szakał przesuwając srebrnym magnetycznym rejestratorem rezonansowym nad głową Quinn i ogląda hologram na moim terminalu. Przeklina.

– Co się stało? – pyta Roque.

Szakał się waha.

– Ma obrzęk mózgu. Jeśli nie obniżymy ciśnienia śródczaszkowego, będziemy mieli problem. – Grzebie w sprzęcie medycznym i rozwija jakiś przyrząd z przezroczystym przewodem. – Podwyższone ciśnienie uniemożliwi prawidłowy przepływ krwi. Komórki mózgowe zaczną umierać z głodu, kiedy naczynia krwionośne będą się zwężać pod wpływem obrzęku.

– Umrze? – pytam.

– Nie z powodu obrzęku – mówi Szakał. – Nie, jeśli uda mi się odciągnąć płyn i obniżyć ciśnienie. Ale musimy odchylić jej głowę, żeby krew mogła swobodnie płynąć przez żyły i tętnice szyjne. Trzeba pilnować ciśnienia krwi. Zapewnić nieprzerwany transport tlenu. – Podnosi wzrok. Jest tak chudy i mokry, że wziąłbym go za Czerwonego zamiast Złotego, gdyby nie jego piaskowe włosy. – Ty jesteś Pestka, zgadza się? Znajdź dla niej tlen. Może być maska tlenowa, o ile nie będzie sięgać wyżej niż na czoło.

Pestka wymyka się z ładowni.

Kolejny skurcz targa ciałem Quinn. Patrzę bezradnie i kładę rękę na ramieniu Roque’a. Wzdryga się pod moim dotykiem.

Wraca Harpia.

- Nie ma ani jednego przeklętego Żółtego.
  - Niech to szlag – przeklina Błazen. – Szlag, szlag, szlag.
- Kopie w ścianę.

Szakał zamiera, zerka na Roque'a i działa dalej. Wskazuje Błazna, Harpię i paru członków domu.

– Potrzebuję po jednej osobie na każdą jej kończynę i na głowę. Będzie miała kolejne ataki, a ja się spodziewam, że czeka nas wyboista jazda. Przeniesiemy ją z tej przeklętej ładowni i będziemy trzymać w trakcie zabiegu. – Związuje włosy Quinn w kucyk, prosi, żebym je przytrzymał i wyciąga mały jonizator z apteczki. Ścisza go w zębach ponad swoją dłoń i krzywi się, kiedy urządzenie niszczy bakterie i suche mieszki włosowe. – Błazen, usuń jej włosy. Wszystkie.

Wstaje i rzuca jonizator Błaznowi, który pochyla się nad Quinn, żeby zająć się jej złotymi włosami, kiedy Roque wyjmuje przyrząd z jego rąk. Zawisa nad Quinn, niezdolny się ruszyć.

– Jak ona ma na imię? – pyta go Szakał.

– Quinn.

– Mów do niej. Opowiedz jej bajkę.

Drżąc nieco, Roque pociąga nosem i zaczyna mówić cicho do Quinn:

– Pewnego razu, dawno temu na Starej Ziemi żyły dwa gołębie, które ogromnie się kochały...

Włącza jonizator i przesuwając ręką. Jest coś intymnego w jego gestach, jakby ją kapał. Jakby byli tylko we dwoje w jakimś odległym miejscu. Dawno temu, zanim Quinn zaczęła opowiadać historie przy ognisku w Instytucie. Na długo przed tym horrorem.

Czuję woń palonych włosów. Szakał podchodzi do mnie.

– Co się stało tam na dole? – pyta. – To była pięść impulsowa?

Patrzę na niego zaskoczony.

– Nie widziałeś? Aja użyła własnych rąk.

– Psiakrew. – Zaciska zęby. Obrzuca całą scenę spojrzeniem zmętniałych oczu. – Jak myśmy w tym wszystkim się znaleźli?

– Octavia dawno temu obrała tę drogę – wyjaśniam cicho. – Jeszcze zanim przylecieliśmy na Lunę, zamierzała oddać arcygubernatorstwo rodzinie Bellona. Gala była pułapką.

– Kiedy to odkryłeś? Przed pojedyńkiem czy po?

– Przed – kłamię.

– Świetnie rozegrane. Dzięki temu wyszliśmy na ofiarę. Widzę, że Mustang nie udało się wykonać jej zadania.

– Ojciec wysłał ją, żeby przeniknęła na dwór Octavii?

- Nie. Przypuszczam, że to był jej własny pomysł. Zbliżyć się do smoka...
- Rodzina Julii stanęła przeciwko nam.

Kiwa głową w zadumie.

– To ma sens. Politikos próbował odebrać nam Victrę, zanim przyszli Karnus i Aja.

– Nie wyglądasz na zaniepokojonego.

– Victra to ukochana córka matki. – Kręci głową, coś sobie najwyraźniej przypomina. – Ale ona załatwiła dla mnie trzech Obsydianowych. Trzech. Jest z nami ciałem i umysłem.

Patrzę, jak Roque kończy usuwać włosy Quinn.

– Ona przeżyje? – pytam cicho.

– Ma kawałki kości w tkance mózgowej. Nawet jeśli powstrzymamy obrzęk, to i tak mamy krwotok. Potężny.

Patrzymy na Quinn, która jest teraz ogolona na łyso. Ma spokojną twarz. Tylko drobne stłuczenie na skroni. Nigdy byś nie pomyślał, że w środku umiera. Roque bardzo delikatnie gładzi jej czoło, szepcząc coś czule.

– Zdołasz ją uratować? – Odwracam się do Szakala. – Jest na to szansa?

– Nie tutaj. Gdybyśmy dysponowali ambulatorium, to owszem, mielibyśmy sporą szansę.

Roque śpiewa cicho Quinn, kiedy przenoszą ją do innego pomieszczenia. To piosenka, którą ułożył przy ognisku, gdy na wyżynach moja armia jadła z dala od zamku. Quinn była wtedy z Cassiusem. Można by pomyśleć, że wszystkim kobietom przydarzyło się to w takim czy innym momencie życia. Jednak nawet wtedy zauważyłem, że ich spojrzenia – Roque’a i Quinn – krzyżowały się. To gołębie pocztowe z opowieści, mijające się raz za razem na niebie. Tak się cieszył na myśl, że znowu się spotkają.

Pękam w środku. Nadal mogę ją uratować. Wciąż mogę to naprawić.

Suwerenka ma rację. Źle rozumiałem swoją siłę w tej sytuacji. Co mogłem zrobić? Zabić jej wnuka, gdyby Aja zabiła Quinn? A gdyby zgładziła Sevro, Mustang, Roque’a? Mam szczęście, że nie skrzywdziła nikogo więcej.

Odwracam się do Sevro.

Stoi bez słowa, odziany w zbroję, i patrzy na nas, patrzy, jak Roque trzyma dziewczynę, którą on kocha, ale nigdy jej tego nie wyznał; dziewczynę, której nigdy nie mógłby mieć. Przejmujący ból maluje się w rysach jego wyrazistej twarzy. Nieczuły Sevro, odporny na cierpienia, na smutek, który stracił oko przez przyboczną Szakala, Lilath; teraz świat wali mu się na głowę. Quinn nigdy nie nazywała go Goblinem jak my wszyscy.

Victra kładzie mu rękę na ramieniu, zauważając jego cierpienie, nawet jeśli nie rozumie jego powodów. Sevro spycha jej dłoń.

– Nie znam cię – warczy.

Victra się wycofuje.

– Przepraszam.

– Na co czekasz, Żniwiarzu? – dopytuje się Sevro ostrym tonem. – Jeszcze nie odlecieliśmy z tej skały.

Kiwa głową. Idę za nim, prosząc Victrę, żeby przyprowadziła wnuka Suwerenki.

Wspinamy się z Sevro po drabinie i spotykamy Tactusa w wąskim korytarzu, który prowadzi do pomieszczenia dla pasażerów i kabiny pilota.

– Ej, łaskawy panie – woła Tactus. Oszczędza zranione ramię. Mokre włosy opadają mu na roześmiane oczy. Mówi głośno, nieświadomy stanu Quinn. – Następnym razem, jak będziesz planował coś dramatycznego, to powiedz nam, że przybędziesz, żebyśmy nie szczali w majtki.

Przepycham się obok niego.

– Nie teraz, Tactus.

– Wieczny nudziarz. – Patrzy na Sevro. – Proszę, proszę, Goblin. Nie wiem, czy to możliwe, ale chyba jeszcze bardziej się skurczyłeś, mój łaskawy panie.

Sevro się nie uśmiecha.

Wchodzimy do przedziału pasażerskiego, gdzie ludzie Augustusa i Wyjce przypięli się pasami do kubelkowych foteli, szykując się do wyjścia z atmosfery. Tactus depta nam po piętach.

– Cześć, świry! – woła do Wyjców. – Miło ponownie ujrzeć wasze drobne postaci. Zwłaszcza twoją, Pestka.

– Wal się – odpowiada Pestka, podnosząc wzrok znad fotela, do którego właśnie przypina pasami jednego z młodziutkich siostrzeńców Augustusa.

Tactus przysuwa się do mnie, kiedy mijamy cześć pasażerską.

– Dobrzy przyjaciele przybyli ci na ratunek. Mimo że byli rozrzućeni po całym Obrzeżu.

– Byli – wtrąca z naciskiem Sevro.

– Co was ściągnęło z powrotem? – pyta Tactus. – Pogoda?

Sevro nie odpowiada.

Tactus śmieje się, niepomny licznych dziur w zbroi.

– Dokładnie tak jak lubisz, co, Darrow? Przyjaciele, którzy ryzykują życiem albo zdrowiem, żeby zawsze być w twoim cieniu?

Szturcza mnie, trochę zbyt żartobliwie, zostawiając na mnie nikły ślad własnej krwi. Dochodzimy do zamkniętych drzwi kabiny pilota. Tactus krzywi się, uderzając w grodz ramieniem. Sevro idzie za nami.

– Jak twoje ramię? – pytam.

– Lepiej niż głowa tamtej dziewczyny. Nazywa się Quinn, tak? To ta szybka z Domu Marsa. Aja nieźle jej dowaliła. Szkoda. Chętnie wziąłbym ją na...

Sevro kopie go od tyłu w klejnoty rodowe. Jego stopa trafia między nogi Tactusa z siłą zdolną giąć metal. Sevro przywala mu dodatkowo łokciem w skroń i podcina go szybkim ruchem zapożyczonym z kravatu. Jeszcze trzy ciosy w ucho i Tactus ląduje na ziemi. Sevro przykładą kolano do jego rany na ramieniu, przedramię opiera mu na gardle, a drugie kolano na kroczu. Wolną ręką przystawia mu nóż do oka.

– Powiedz raz jeszcze coś na temat Quinn, a odetnę ci jaja i wepchnę do oczodołów.

– Brat zawsze mi mówił... żeby nie spuszczać oka... z jaj – udaje się wykrztusić Tactusowi.

Metalowe drzwi kabiny otwierają się z sykiem. Augustus staje w progu i obrzuca całą scenę wzrokiem w tej samej chwili, gdy Victra przyprowadza Lysandra.

– Prawie skończyli, mój panie – mówię.

Przechodzę nad Tactusem i Sevro, żeby dołączyć do arcygubernatora w kabinie. Victra robi to samo, ale po drodze przydeptuje Tactusowi obcasami.

– Pierwszorzędna robota – mówi do Sevro.

– Wal się, krowo.

– Kim jest ten kurdupel? – pyta mnie Victra, kiedy wchodzimy do kokpitu i zamykamy za sobą drzwi.

Wyjaśniam jej.

– Syn Rycerza Gniewu? Paskudny karzełek. Chyba mnie nie lubi.

– Nie bierz tego do siebie.

Kabina pilotów jest większa niż mój pokój w Cytadeli. Szeregi świateł otaczają pierwszego i drugiego pilota. Mustang siedzi po lewej, Niebieska pilotka po prawej. Jest wpięta w systemy statku. Niebieskie światło jarzy się pod skórą jej lewej skroni. Mustang leci, trzymając prawą rękę na holograficznym pryzmacie sterującym, i rozmawia z pilotką. Szybko wymieniają słowa. Za zakrzywionym iluminatorem unosi się Ziemia. Za plecami Mustang Augustus, Pliniusz i komicznie zgarbiony Kavax au Telemachus omawiają dalsze możliwości działania.

Panuje spokój.

– Dobra robota, Darrow – mówi Augustus, nie patrząc na mnie. – Chociaż mogłeś wybrać lepszy statek...

Mustang wchodzi mu w słowo:

– Co się dzieje tam z tyłu? Podobno ktoś jest ranny.

– Quinn umiera – odpowiadam. – Musimy ją zabrać do ambulatorium, i to błyskawicznie.

– Nawet kiedy znajdziemy się na orbicie, będziemy mieli trzydzieści minut do naszej floty – odpowiada Mustang.

– Leć szybciej.

Statek trzęsie się, kiedy Mustang i Niebieska próbują zmusić go do przyspieszenia.

– To był dobry plan – rozpromienia się Kavax. – To był dobry plan, Virginio, żeby przeniknąć do kręgu Suwerenki. Tak jak kiedy byłeś dzieckiem i razem z Paxem chowaliście się w krzakach i podsłuchiwaliście narady swojego ojca. Tyle że Pax był większy od krzaków! – Zanoszę się śmiechem.

Niebieska prawie podskakuje zaskoczona tym dźwiękiem.

Mustang ściska rękę Kavaxa. Ma dłoń mniejszą od jego łokcia. On jest dumny jak ogar z bażantem w pysku, rozgląda się, sprawdza, czy wszyscy zauważyliśmy jej uznanie dla niego. Ta dziewczyna umie podejść facetów większych od niedźwiedzi.

Miłość na twarzy Kavaxa sprawia, że obojętność Augustusa wydaje się wręcz monstrualna. Na myśl, że Szakał zabił syna Telemansusa, robi mi się niedobrze.

Mustang ledwie zerka w moją stronę. Włosy ma związane z tyłu głowy, wspomnienie uśmiechu nadal unosi jej kąciki ust, a ja czuję się, jakby ktoś dźgnął mnie prosto w serce. Nie do mnie się uśmiecha. A pierścień z koniem już nie zdobi jej palca.

Na dłuższą chwilę zapada milczenie. Augustus odwraca się do mnie.

– Zakładam, że Octavia próbowała i ciebie przeciągnąć na swoją stronę?

– Próbowała.

– Niech się wali. Założę się, że powiedziałaś jej, żeby się waliła, co, chłopcze? – dudni Kavax. Poklepuje mnie po ramieniu i aż wpadam na Victre.

– Wybacz. – Garbi się jak drzewo w szklarni, zbyt wysokie pod jej niskim dachem. Woda ścieka mu z rozdwojonej rudej brody. – Wybacz – powtarza do Victry.

– Właściwie to uznałem jej ofertę za kuszącą, lordzie Telemansusie. Udaje jej się traktować swoich lansjerów z szacunkiem. Nie każdy to potrafi.

Augustus nie traci czasu na przekomarzanki.

– Zrekompensujemy ci to. Mam u ciebie dług, Darrow. Pod warunkiem, że dotrzemy do floty.

– Masz w równym stopniu dług u Mustang i Wyjców, mój panie – mówię.

– Co to jest Wyjec?

– To moi przyjaciele w czarnych zbrojach. Sevro jest ich przywódcą.



– Sevro. To paskudne małe stworzenie, które usiadło na moim lansjerze? – Arcygubernator unosi brew. – Tak mi się wydawało, że go rozpoznaję. Syn Fitchnera. – Jego ton nieszczególnie mi się podoba. – Ten, który zabił tego bachora Priama podczas Próby.

– Stoi po naszej stronie, mój panie. Równie wierny jak moje własne ręce.

Drzwi otwierają się z sykiem i dołączają do nas Sevro i Tactus. Wszyscy odwracamy się, żeby na nich popatrzeć. Sevro wzdraga się lekko.

– No co? – rzuca wyzywająco.

Tactus szybko usuwa się w bok, z dala od niego.

– Jesteś lojalny wobec mnie, czy swojego ojca, Sevro? – pyta go Augustus.

– Jakiego ojca? Jestem bękartem bękarta. – Sevro obrzuca arcygubernatora sceptycznym spojrzeniem od stóp do głów. – I z całym szacunkiem, mój panie, przejmuję się tobą w takim samym stopniu co zeszłorocznymi kocimi szczynami. Pańska córka sprowadziła mnie z Obrzeża. Jestem wierny jej. A nade wszystko jestem wierny Żniwiarzowi. To wszystko.

– Zachowuj się, szczeniaku – warczy Kavax.

– Pan musi być ojcem Paxa. Przykro mi, że odszedł. To człowiek, za którego mógłbym umrzeć. Ale widzę, że urodę odziedziczył po matce.

Kavax nie jest do końca pewien, czy właśnie go obrażono.

Augustus ich obserwuje.

– Darrow, jestem ci winien przeprosiny. Miałeś rację. Lojalność, najwyraźniej, trwa nawet po opuszczeniu Instytutu. A teraz... Lysandrze. – Augustus zerka przez iluminatory promu. Cały czas się wznosimy. Klęka, żeby porozmawiać z chłopcem. – Słyszałem, że jesteś nadzwyczajnym chłopcem.

– Jestem, mój panie – odpowiada Lysander tak stanowczo, jak tylko potrafi.

– Regularnie jestem poddawany próbom i studiuję najróżniejsze dziedziny. Rzadko przegrywam w szachy. A kiedy mi się to zdarza, uczę się, tak jak należy.

– Doprawdy? Miałem kiedyś takiego syna jak ty, Lysandrze. Na pewno o tym wiesz.

– Adrius au Augustus – odpowiada malec; zna ród arcygubernatora.

– Nie. – Augustus kręci głową. – Nie. Mój najmłodszy syn w niczym cię nie przypomina.

Chłopiec marszczy czoło.

– W takim razie starszy. Claudius au Augustus?

Mustang ogląda się do tyłu.

– Tak. – Augustus kiwa głową. – Dobry, nadzwyczajny chłopak o lwim sercu. Lepszy ode mnie. Życzliwszy. Urodzony władca. – Posyła mi dziwne,

znaczące spojrzenie. – Bylibyście przyjaciółmi.

Lysander stara się zachowywać godnie.

– Co się z nim stało?

– Pominęli ten szczegół, co? Młody olbrzym z domu Bellona, imieniem Karnus, zachował się cokolwiek swobodnie wobec pewnej młodej kobiety, o której względy mój syn zabiegał. Claudius poczuł się urażony i wyzwiał Karnusa na pojedynek. Ostatecznie, kiedy mój syn leżał połamany i krwawił, Karnus ukląkł, ujął jego głowę w dłonie... – Augustus kładzie jedną rękę na głowie Lysandra – ...i walił nią o bruk, aż pękła i cała jego nadzwyczajność wyciekła. – Poklepuje chłopca po policzku. – Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał oglądać czegoś takiego.

– Taki masz plan wobec mnie, mój panie? – pyta dzielnie Lysander.

– Jestem potworem tylko wtedy, gdy jest to praktyczne. – Augustus się uśmiecha. – Nie sądzę, żebym tym razem musiał nim zostać. Widzisz, próbujemy wrócić do domu. Dopóki twoja babka nam w tym nie przeszkadza, nic ci nie będzie.

– Babcia mówi, że jesteś kłamcą.

– Co za ironia. Mam nadzieję, że powiesz jej, że dobrze cię potraktowaliśmy.

– O ile zostanę dobrze potraktowany.

– W porządku. – Augustus dotyka ramienia chłopca i wstaje. – Victro, zabierz go do przedziału pasażerskiego.

Victra piorunuje go wzrokiem. Oczywiście wybrał jedyną kobietę poza Mustang. Tactus zauważa jej reakcję i robi krok naprzód.

– Mogę ja się tym zająć, mój panie? Nie widziałem braci od pewnego czasu. I chętnie porozmawiałbym z chłopcem.

Augustus kiwa głową, jakby dawał do zrozumienia, że nic go to nie obchodzi. Victra dziękuje Tactusowi, zaskoczona tym gestem. On mruga do niej porozumiewawczo, szturcha mnie w ramię i poklepuje szorstko Lysandra po głowie, prawie go przewracając. Nie chciałbym poznać jego braci.

– Chodź, mały. Powiedz, byłeś kiedyś w Perłowym Klubie? – zagaduje go, wyprowadzając z kabiny. – Tamtejsze dziewczęta i chłopcy są spektakularni...

Ocieęzały bocian wznosi się coraz wyżej. Za dwie minuty dotrzemy do obrzeży atmosfery.

– Próbowali mnie zabić we śnie – mruczy Augustus. – Ona wie, że nigdy tego nie wybaczę.

– Przybędzie na Marsa – mówię.

– Nie da jej się jakoś tego zrekompensować? – pyta Pliniusz.

– Zrekompensować? – warczy Mustang. – Chcesz rekompensować coś kobiecie, która spopieliliła księżyc? Jesteś idiotą?

– Pokój zapewni trwanie twojemu rodowi, mój panie. Bardziej niż wojna. Jeśli wystąpisz przeciwko Suwerence, jaką będziesz miał nadzieję? – Pliniusz wie, jak posłużyć się retoryką. – Ma ogromną flotę. Nieskończone zasoby pieniędzy. Twoje nazwisko, honor, bez względu na to, jak są wielkie, nie wytrzymają naporu Wspólnoty. Mój panie, postawiłeś mnie u swego boku ze względu na moją wartość. Ponieważ ufasz moim radom. Bez ciebie jestem niczym. Twoja opieka to wszystko, na czym mi zależy. Zatem posłuchaj mojej rady, jeśli nadal ją szanujesz, i nie pozwól, żeby ta rana w stosunkach z Suwerenką zaczęła się jężyć. Nie pozwól, żeby doprowadziła do wojny. Pamiętaj o Rei, owszem, o tym, jak została spalona. Wszelkimi sposobami uchronij swoją rodzinę poprzez pokój.

Augustus podnosi głos:

– Kiedy Suwerenka naciskała, uginałem się, jak przystało Złotemu, z wdziękiem, z godnością. Teraz jednak, gdy próbuje mnie ciąć, pod moją gracją, pod aplombem jej nóż napotka żelazo. Lecimy na Marsa i lecimy na wojnę.

– Docieramy do obrzeży atmosfery – mówi Mustang. – Trzymajcie się.

– Co to za światło? – pyta Sevro. – To mrugające nad wysokościomierzem?

Niebieska odpowiada natychmiast:

– Otwierają się wrota ładowni, dominus.

– Ładowni... – Marszczy brwi. – Możesz przejść na ręczne sterowanie i je zamknąć?

– Nie, dominus. Zostałam odcięta.

Dlaczego ktoś miałby otwierać ładownię...?

– Zgłosił się na ochotnika – odzywa się spanikowana Mustang. – Tactus zgłosił się na ochotnika.

– Nie! – warczę. Wszyscy oprócz mnie i Mustang są zaskoczeni. Domyśliliśmy się w tej samej chwili. – Sevro, Victra, za mną!

Obracam się i biegnę do drzwi kabiny z pochyloną głową, pędzę najszybciej, jak się da na rufę.

– Przygotujcie się na manewr wymijający – słyszę jeszcze głos Mustang.

– Co się dzieje? – jęczy Pliniusz.

– TACTUS! – gramię.

Victra i Sevro biegną tuż za mną. Pozostałe Wyjce i członkowie domu wołają do mnie skonsternowani, kiedy przebiegam przez przedział dla pasażerów.

Brzydal odpina pasy.

– Przeszedł tędy z chłopcem.

– Siadać! – wołam, popychając go z powrotem na fotel. – Niech nikt nie wstaje!

Tactus nie mógłby tego zrobić. Nie mógłby. Ale właściwie czemu nie? Dlaczego miałbym kiedykolwiek zakładać, że nie robi tego, co najlepsze dla niego? To leży w jego naturze.

Zsuwamy się po poręczach na poziom magazynowy, mijamy pokój, gdzie Szakal operuje Quinn. Otwieram drzwi do ładowni i wita mnie zawrodozenie wiatru. Otwarty właz ukazuje ciemność przetykaną światłami miasta daleko w dole. Błazen i lansjer Augustusa leżą nieprzytomni, krwawią. Zsuwają się w stronę otwartych wrót zewnętrznych. Tactus jest zaledwie odległą kropką w ciemności. Nie widzę go wyraźnie, ale wiem, co zabrał: Lysandra.

– Sevro. – Łapię przyjaciela za ramię. – Stój!

Aż się cały gotuje. Wygląda, jakby chciał wyskoczyć ze statku i polecieć za Tactusem. Za późno. Zamiast tego łapiemy dwóch nieprzytomnych Złotych, zanim zsuną się po rampie. Victra uderza w panel sterowniczy. Drzwi zamykają się z sykiem.

– Nie ma żadnego sprzętu komunikacyjnego – mówi zadyszana. – Wszystko usmażyli nam impulsem elektromagnetycznym.

– Nie potrzebuje sprzętu. – Sevro wskazuje nagie stropy Błazna. – Łajdak ma grawiButy. Kiedy tylko wychwycą go skanery myśliwców, ktoś go przechwyci.

Przeprowadzam w myślach obliczenia.

– Mamy dwie minuty, zanim wyślą grupy abordażowe.

## Piekłonurek

Powinienem był przewidzieć, co Tactus robi. Jeszcze w Instytucie zabił swojego Prymusa, Tamarę. Zawsze trzymał z najsilniejszymi. Zawsze szukał tylko zwycięstwa. Wiedziałem, że jest potworem, ale myślałem, że jest moim potworem. Myślałem, że mogę mu zaufać. Nie – myślałem, że mogę go zmienić. Przeklinam się w duchu. Arogancki głupiec.

Wracam do kokpitu, gdzie Augustus zwraca się do Niebieskiej pilotki:

– Zdołasz nas stąd wyprowadzić?

– Nie, dominus. Modele prognostyczne nie uwzględniają prawdopodobieństwa ucieczki.

Jej reakcja jest typowa dla Niebieskiej: beznamiętna, racjonalna, oznajmująca. Ona sama jest szczupła, przypomina sylwetki ptaka. Jakby zrobiono ją z gałązek: długa szyja, nieco mniejsza łysa głowa. Wielkie oczy zdumiewająco lazuruowe, tak samo jak tatuaże zdobiące jej czaszkę. Porusza się, jakby była zanurzona w wodzie. Urodziła się na asteroidzie, sądząc po jej bezbarwnym akcencie.

– Jaki scenariusz jest najbardziej prawdopodobny?

– Zniszczą nasze silniki ostrzałem z myśliwców. Następnie przebicie powłoki, które zabije wszystkich na pokładzie. Druga możliwość: atak pijawkami i pojmanie żywcem wszystkich pasażerów.

– Albo po prostu zestrzelą nas z tego przekłętego nieba – dodaje Sevro.

– Niebieska, odstaw mnie na mój statek, a w nagrodę dostaniesz dowództwo fregaty – proponuje jej Augustus.

– Wolałabym krążownik.

– Wobec tego dowództwo krążownika.

– Doskonale. – Niebieska przekręca kilka gałek. – Polecę, jak się da najlepiej, ale trzeba zmienić paradygmat, zanim zaatakują nasz statek, jeśli mamy przeżyć.

Bocian wspina się ku obrzeżom atmosfery Luni. To bestia o wielkim brzuchu. Ma ogromne magazyny, bo takie statki mają wypływać żołnierzy z wyrzutni w swoich trzewiach. Ludzie tacy jak ja rozniesliby go na strzepy w swoich myśliwcach. Posługiwaliśmy się takimi statkami w Akademii, żeby wystrzeliwać ludzi w astroPancerzach do wrogich baz na asteroidach.

Ogień spowodowany tarciem spowija statek.

– Gdyby powłoka została uszkodzona, wstrzymajcie oddech, dominii – poucza nas pilotka. – Nie mamy dostatecznie dużo hełmów na pokładzie.

Victra marszczy brwi.

– Wtedy płuca nam eksplodują.

– Więc wypuście z nich powietrze – odpowiada Niebieska – i będziecie mieli trzydzieści sekund życia, w czasie których eksplodują wam bębniaki w uszach, a naczynia krwionośne nadmą się jak balony. Ja wolę wstrzymać oddech.

Sevro patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nienawidzę kosmosu.

– Ty wszystkiego nienawidzisz.

Wyskakujemy z atmosfery Luny. Ogień gaśnie, wymykamy się w otwartą przestrzeń, gdzie okręty wojenne armady suną jak behemoty z głębokich mórz Europy. Wieżyczki z działami obrastają ich skóry niczym pąkle, lądowiska znaczą im podbrzusza jak skrzela. Statki handlowe suną powoli po szlakach żeglugowych. Myśliwce i osy patrolują przestrzeń. Nikt nie zwraca na nas uwagi, z wyjątkiem tych, którzy eskortują nas z Luny. Suwerenka nie będzie chciała rozgłosu. Czas nagli.

Nie mamy dokąd uciekać. Póki mieliśmy Lysandra, myśleliśmy, że po prostu przemkniemy się pod działami armady Berło. Teraz musimy uciekać wąskim gardłem.

Nasza pilotka jest niewzruszona jak głaz.

Powiedziała, że trzeba zmienić paradygmat.

Co mogę zrobić? Myśl. Myśl.

– Nawiażemy kontakt z jednym ze statków – mówi Augustus. – Przekupimy ich, żeby zapewnili nam ochronę. Każdy człowiek ma swoją cenę.

– Zagłuszają nas. Nie możemy niczego nadać – przypomina mu Mustang.

Umrzemy. Wszyscy to wiemy. Augustus nie panikuje ani się nie poddaje. Nie wiem, czego się po nim spodziewałem w obliczu śmierci. Może miałem nadzieję, że będzie jęczał i pobleśnie. On jednak mimo wszystkich swoich wad pozostaje niezłomny. Po chwili kładzie kościstą rękę na ramieniu Mustang. Dziewczyna wzdryga się, zaskoczona.

– Czy to będzie pocisk, czy statek abordażowy, umrzyjcie jak Złoci – mówi do nas z powagą Augustus.

Nie dlatego, że chce, abyśmy uważali go za silnego w ostatnich chwilach, ale dlatego, że wierzy w to, czym jest: ponadprzeciętną istotą, która panuje

nad swoimi ludzkimi słabościami. Ludzie skomlą, umierając. Czepiają się życia, nawet kiedy nie ma nadziei. Ale nie on. Śmierć nie przerasta jego dumy.

Złoci pod wieloma względami są tacy sami jak Czerwoni. Piekłonurkowie idą na śmierć dla swoich rodzin, dla dumy klanu. Nie skomlą, kiedy kopalnia się wali albo z półmroku wynurzają się żmije jaskiniowe. Umierają, a przyjaciele ich opłakują, a potem odsuwają ich ciała na bok. My jednak możemy oczekiwać Doliny, a co mają Złoci? Kiedy umrą, ich ciała rozpadają się, a ich imiona i czyny trwają, dopóki czas ich nie zmiecie. I to wszystko. Jeśli ktokolwiek powinien czepiać się teraz kurczowo życia, to właśnie Aureusowie.

Ja czepiam się życia, bo walczę o coś większego, co nie może umrzeć; o coś, co musi trwać. Dlatego łapię Sevro za ramię i z upiornym śmiechem każę pilotce zbliżyć się do najbardziej śmiertelnośnego okrętu na orbicie, który sam już zmienia kurs, żeby przeciąć nam drogę.

– Zbliż nas do Awangardy – powtarzam Niebieskiej.

– Wtedy nasze szanse przetrwania spadną do...

– Nigdy nie mów mi o szansach, po prostu zrób to – rozkazuję.

Wszyscy patrzą na mnie. Nie dlatego, że powiedziałem coś dziwnego, ale dlatego, że czekali na tę chwilę, kiedy się do mnie odwróca. Modlili się w duchu, żebym obmyślił jakiś plan. Wszyscy. Nawet Augustus.

Eo powiedziała, że ludzie zawsze będą szukać u mnie pomocy. Wierzyła, że mam jakąś cechę, jakąś esencję, która daje innym nadzieję. Sam rzadko to czuję. Teraz nie czuję niczego. Tylko zgrozę. Czuję się jak dzieciak: wściekły, marudny, egoistyczny, winny, smutny, samotny. A mimo to oni liczą na mnie. Prawie załamuję się pod ich spojrzeniem, prawie słabnę i prawie proszę, żeby ktoś inny przejął cugle. Nie dam rady, jestem mały. Jestem kłamcą w wyrzeźbionym ciele. Jednak to marzenie nie może zgasnąć.

Dlatego działałam, a oni patrzą.

– Odwaliło ci? – pyta Victra. – Kiedy zdadzą sobie sprawę, że nie mamy chłopca...

– Kurs na mostek Awangardy – poleca Niebieskiej Mustang.

Augustus kiwa krótko głową, domyślając się, co planuję.

– Hic sunt leones.

– Hic sunt leones – powtarzam, ostatnie spojrzenie posyłając Mustang, a nie człowiekowi, który powiesił moją żonę.

Ona tego nie zauważa. Wybiegamy z Sevro z mostku. Coś trafia w nasz statek. Cały drży. Wiedzą, że nie mamy Lysandra.

– Wyjcie! Wstawać! – krzyczę.

Harpia rozkłada ręce.

– Przecież powiedziałeś...

– WSTAWAĆ! – ryczę.

Czerwone światła awaryjne zalewają strefę wyrzutową krwawym blaskiem, kiedy razem z Sevro ładujemy się do naszych zimnych astroPancerzy. Każdy z nas potrzebuje dwóch Wyjców do pomocy, żeby zapakować się do zrobotyzowanych skorup. Leżę w pancerzu, kiedy Harpia wsuwa moje stopy do strzemion i zamyka ciężkie nogawice na moim ciele. Wyjce poruszają się szybko, chociaż statkiem szarpie, gdy o włos unika kolejnego trafienia. Wyje syrena, sygnalizując przebicie kadłuba. Staram się uspokoić oddech, kiedy Victra wsuwa mi głowę do hełmu astroPancerza.

– Powodzenia – mówi.

Pochyla się nisko. Zanim zdążę ją powstrzymać, przyciska usta do moich ust. Nie wzdragam się, nie teraz, kiedy śmierć jest tak blisko. Pozwalam, żeby jej wargi się rozchyliły i przywarły ciepłe, pocieszające, do moich. A potem ta chwila człowieczeństwa mija, Victra odsuwa się i opuszcza potężną osłonę hełmu. Moje Wyjce skowyczą i pokrzykują na ten widok. Wbrew sobie żałuję, że to nie Mustang zamyka mnie w tej blaszanej puszce i nie ona całuje mnie na pożegnanie. Potem jednak cyfrowy ekran wypełnia mi pole widzenia i znikam w metalowej rurze wyrzutni. Jestem sam. Przerażony.

Skup się.

Leżę na brzuchu w kokonie wyrzutni. Większość ludzi posikałaby się, oddzielona od przyjaciół, od ciepła życia. W wyrzutni nie ma grawitacji. Nie ma ciśnienia. Nie cierpię tej nieważkości.

Nie mogę spoglądać w górę, bo kark mi pęknie przy wystrzeleniu. Nie mogę poruszać się na boki. Mój astroPancerz jest podczepiony do tysiąca zębokształtnych haków magnetycznych. Wpinają się we właściwe miejsca jak małe świergoczące owady.

Zaraz wystrzelą mnie w kosmos. Oddycham chrapliwie. Serce mi się tłucze o mostek. Chłonę przerażenie wypełniające moje ciało i uśmiecham się. W Akademii powiedzieli, że to samobójstwo, kiedy chciałem się wystrzelić. Może mieli rację.

Jednak po to właśnie mnie stworzono. Żebym nurkował w piekle.

Jestem człowiekiem-żukiem w metalowej skorupie, wyposażonym w broń i silniki, które kosztują więcej niż przeciętny statek kosmiczny. Mam działko impulsowe na prawej ręce. Kiedy będzie mi potrzebne, rozkwitnie jak kwiat hemantusa.

Myślę o tym, jak Eo położyła hemantus przed drzwiami mojego domu, o tym, jak zerwałem taki sam kwiat ze skalnej ściany w tamten wieczór, kiedy



miałem zdobyć Wawrzyn. Jakże odległe wydają się tamte ciepłe dni od tego zimnego miejsca, gdzie płatki kwiatu są metalowe, a nie miękkie jak jedwab.

– Przyszpilają nas. Spodziewamy się abordażu – dobiega nas głos Mustang.  
– Przygotowujemy wasze wystrzelenie.

Statek jęczy, kiedy kolejny pocisk prawie nas załatwia. Nasze osłony padły. Tylko goły rozchwierutany kadłub trzyma wszystko w kupie.

– Celuj precyzyjnie – mówię.

– Zawsze. Darrow... – Jej milczenie wyraża tysiąc rzeczy.

– Przykro mi – mówię jej.

– Powodzenia.

– To nie jest zabawne – jęczy Sevro.

System hydrauliczny statku syczy, metalowe zęby szarpią mną do przodu w przewodzie i ładują do komory. Kilka cali nad moją głową magnetyczny strumień działa elektromagnetycznego brzęczy straszliwie, prowokując do zerknięcia w jego stronę.

Mówi się, że wielu Złotych nie może tego znieść, że nawet Niezrównani potrafią spanikować, że wrzeszczą i płaczą w wyrzutni. Wierzę. Piks dostałby teraz zawału serca. Niektórzy nie są w stanie nawet latać małymi statkami kosmicznymi z obawy przed ciasnymi przestrzeniami i rozległością kosmosu. Głupie mięczaki. Ja urodziłem się w domu mniejszym od ładowni tego statku. Zarabiałem na życie na końcu świdroSzponu, przy którym ta rura wygląda jak zabawka dla dzieci, pocąc się przy tym i wysikując własną duszę w piekarniku poskładanym z okrawków.

Mimo to czuję przerażenie.

– Patrz, synu, jak uderza żmija jaskiniowa – powiedział kiedyś mój ojciec, łapiąc mnie za nadgarstek i zmuszając do tej zabawy. – Patrz, jak unosi się w górę, aż do samego końca. Nie ruszaj się wcześniej. Nie atakuj sierpakiem. Bo wtedy żmija cię dopadnie. Zabije cię. Rusz się dopiero, kiedy zacznie opadać. Tak samo postępuj, gdy ogarnia cię przerażenie. Nie działaj, dopóki nie przerazisz się tak bardzo, że bardziej się nie da, i dopiero wtedy...

Pstryknął palcami.

Dochodzę do tego momentu, kiedy zagarnia mnie muzyka maszyn. Szczękanie i pstrykanie, syki i szумы, wibracje w kadłubie. Zaczyna się odliczanie.

– Goblin, jesteś gotowy? – pytam Sevro przez system łączności.

– Cacatne ursus in silvis?

Czy niedźwiedź sra w lesie?

Statek obraca się i dygoce. Kolejne syreny zaczynają wyć.

– Łacina? Teraz?

– Audentes fortuna juvat – rechoce Sevro.

– Szczęście sprzyja śmiałym? Zaslugujesz na śmierć, jeśli to naprawdę ma być ostatni tekst, jaki wypowiesz w swoim życiu.

– Tak? Wiesz, możesz pocałować mnie w...

Serce bije mi w rytm odliczania.

Metalowe zęby szarpią mną do przodu i wpychają mnie w strumień magnetyczny wyrzutni. I lecę. Mimo pancerza przeciążenie wali we mnie jak cios na odlew wymierzony przez boga burzy, w którego wierzą Obsydianowi. Robi mi się ciemno przed oczami. Żołądek podchodzi do gardła. Płuca się zaciskają. Krew zwalnia bieg w żyłach. Śmigam do przodu. Światło migocze mi w oczach. Nie widzę ścian wyrzutni, z której wylatuję. Nie widzę nawet statku, który mnie tu przywiózł. Widzę twarz Eo w ciemności. Tracę przytomność. Ciało nie jest w stanie tego wytrzymać. Wszystko dzieje się za szybko.

Ciemność.

A potem w ciemności pojawiają się dziury.

Gwiazdy.

Nie ma niczego pomiędzy. W jednej sekundzie jestem na statku, w drugiej pędzę przez głęboki kosmos z szybkością dziesięciokrotnie większą niż prędkość dźwięku.

Wielu w takim momencie sra w pancerz. Nie ze strachu. To biologia i fizyka. Ludzkie ciało ma ograniczoną wytrzymałość. Mickey Rzeźbiarz zadbał o to, żeby moje mogło znieść odrobinę więcej. Mam nadzieję, że Sevro też da radę.

Sunę bezdźwięcznie w przestrzeni. Ufam, że mój druh leci koło mnie. Nie widzę go nawet na czujnikach. Wszystko dzieje się za szybko. Pędzimy w stronę największego okrętu armady Berło – tego, którego powinniśmy unikać. Wszystko rozgrywa się w sześć sekund. Pociski śmigają obok nas. Artylerzyści właśnie nas zobaczyli. Wiedzą, co się dzieje, ale nie korzystamy z silników manewrowych, więc nie mogą nas namierzyć. Pociski nie są w stanie odpalić się w tak krótkim czasie. Nieuzbrojone przelatują obok nas, jeden prawie mnie zahacza. Nasza pilotka wystrzeliła idealnie.

Nieprzyjacielskie działka EM pudłują. Pociski nas omijają. W słuchawkach słyszę wycie Sevro. Wcześniej opuścili osłony. Nie zdążą ich podnieść, na to trzeba czasu. Opalizujący błękit migocze na kadłubie, kiedy zostają aktywowane tarcze impulsowe. Za późno, sukinsyny.

Zdecydowanie za późno, parszywe sukinsyny.

Nie mogę myśleć. Wrzeszczę w duchu. Mój śmiech jest jak płomień pożogi. Śmieję się, bo wiem, że ci logiczni wojownicy nie potrafią walczyć

z moim szaleństwem.

Mostek jest blisko. Zerkam w górę. Widzę w środku wrzeszczących na siebie Żółtych. Pędzą do kapsuł ratunkowych albo skafandrów ewakuacyjnych. Gapią się na nas, gdy nadlatujemy, tak jak gapiła się Mustang, kiedy moje konie z Domu Marsa wpadły na nią i Paxa na błotnistym polu. Nasza wściekłość to coś jedyne w swoim rodzaju. To coś, czego ludzie urodzeni na Lunie nie rozumieją.

Niebiescy się rozbiegają. Obsydianowi wyciągają broń. Dwóch Żółtych zakłada maski tlenowe i rozwija brzytwy, szykują się do zabijania. W ostatniej sekundzie przed uderzeniem strzelam z działka impulsowego. Trafiam w grube szkło. Strzelam raz za razem. A potem zwijam się w kłębek i wpadam przez grubą szybę iluminatora na mostku z całą prędkością nadaną mi przy wystrzeleniu i wspartą ciągiem odrzutowych butów, które włączam w ostatniej chwili.

Z gardła wyrywa mi się wrzask szaleńca.

## Plamy

Walę w mostek jak ołowiana kula wystrzelona w sklep ze szkłem i porcelaną. Wpadam na ekrany i stanowiska strategiczne, przebijam wzmocnione metalem ściany mostku i korytarzy, w końcu uderzam w gródź, jestem oszołomiony. Nie mogę znaleźć Sevro. Wzywam go przez system łączności. Jęczy coś na temat swojego tyłka. Może się obsrał.

W hełmach tego nie słyszać, ale cały statek wypełnia wycie, gdy próżnia kosmiczna zasysa załogę na pewną śmierć. Tak naprawdę nie tyle wysysa ich przez strzaskane okna, co raczej wewnętrzne ciśnienie wypycha ich na zewnątrz. Tak czy inaczej, Niebiescy, Pomarańczowi i Złoci lecą z wrzaskiem w kosmos. Obsydianowi odchodzą w milczeniu. To bez znaczenia. W kosmosie nikt nie słyszy twojego krzyku.

Sypię iskrami z lewej ręki. Działko impulsowe jest zniszczone. Wewnątrz pancerza ręka boli mnie jak diabli. Mam wstrząśnienie mózgu. Wymiotuję do hełmu, gorzki smród gryzie mnie w nozdrza. Trzymam się jednak w pionie. A moja prawa ręka działa dostatecznie dobrze. Mam popękaną osłonę hełmu. Potykam się, kiedy mnie też zaczyna zasysać próżnia.

Czołgam się z powrotem przez dziury, które wybiłem w ścianach. Na mostku zastaję chaos. Załoga chwytą się czego może, żeby nie dać się wypchnąć w zimną ciemność. Złota dziewczyna przelatuje obok mnie i wypada przez otwór. Wreszcie zapalają się czerwone światła. W tej części statku opadają awaryjne przegrody, żeby odciąć miejsce, skąd wycieka powietrze. Jedna z nich zaczyna właśnie się za mną zamykać, wzmacniając ścianę, którą przebiłem. Przytrzymuję ją, widząc, że zbliża się Sevro. Daje nura pod nią w ostatniej chwili i przegroda zamyka się z hukiem. Mostek jest odcięty od reszty okrętu, a my jesteśmy na mostku. Doskonale.

Wiatr wywołany różnicą ciśnień umiera, kiedy duroStalowe listwy nasuwają się na zniszczone iluminatory. Oficerowie i załoga podnoszą się z podłogi, próbują nabrać powietrza w płuca – ale tu nie ma powietrza. Tlen dopiero jest pompowany do środka, ciśnienie powoli rośnie. Zatem ci z maskami tlenowymi – Złoci, Obsydianowi i Niebiescy – patrzą spokojnie, jak paru Różowych służących i Pomarańczowych techników miota się na mostku niczym ryby na lądzie, jak dyszą, usiłując nabrać powietrza – bez

powodzenia. Jeden Różowy wymiotuje krwią, gdy płuca eksplodują mu w piersi, bo próbował wstrzymać oddech. Niebiescy patrzą na umierających ze zgrozą. Nigdy nie widzieli niczyjej śmierci. Przywykli do widoku pulsujących i znikających punktów na czujnikach. Może widzieli wybuch odległego statku albo strumienie ognia, gdy Obsydianowi i Szarzy dokonywali abordażu. Właśnie zmienia się ich rozumienie śmiertelnej powłoki.

Obsydianowi i Złoci nie reagują na ten widok. Paru Szarych próbuje pomóc, ale jest już za późno. Zanim poziom tlenu i ciśnienie wróćą do normy, podKolory będą już martwe. Nigdy nie zapomnę tych twarzy. Zginęli przeze mnie. Ile rodzin będzie płakać z powodu tego, co tu zrobiłem?

W gniewie uderzam metalowym butem o stalowy pokład. Trzy razy. I ci, którzy nie zrobili nic, żeby pomóc swoim umierającym sprzymierzeńcom, odwracają się, żeby zobaczyć mnie i Sevro w naszych morderczych pancerzach.

No, wreszcie widzę jakieś emocje na twarzach Złotych i Obsydianowych.

Obsydianowy atakuje nas piką siłową. Sevro uderza go tylko raz i miażdży olbrzyma metalową pięścią. Pozostała czwórka łączy siły i atakuje razem, zawodząc jedną ze swoich ohydnych pieśni bojowych. Sevro wychodzi im na spotkanie, zachwycony tym, że wreszcie jest największy w pomieszczeniu. Ja zajmuję się oddziałem Szarych, którzy nieudolnie sięgają po broń.

I tak to leci. Ludzie z metalu walczą z pozbawionymi dowództwa ludźmi z ciała. Jesteśmy jak stalowe pięści, które wbijają się w środek arbuza. Jeszcze nigdy nie zabijałem tak machinalnie. Przeraża mnie to, jak łatwo przychodzi mi to w czasie wojny. Nie ma tu żadnych dwuznaczności. Żadnego łamania zasad moralnych. Ci ludzie to wojenne Kolory. Albo oni zabijają mnie, albo ja ich. To łatwiejsze niż Próba. Łatwiejsze, bo ich nie znam, bo nie znam ich braci i sióstr, bo przepycham ich przez ciemne drzwi śmierci za pomocą metalu, a nie własnego ciała.

Jestem w tym dobry, o niebo lepszy niż Sevro, i to mnie przeraża jak nic innego.

Jestem Żniwiarzem. Wszelkie wątpliwości, jakie miałem na swój temat, znikają i czuję, jak plama rozlewa się na mojej duszy.

Robimy, co w naszej mocy, żeby uratować Niebieskich. Mostek jest duży, ale nie ma na nim wielu Obsydianowych lub Szarych z bronią zwykłą lub energetyczną. Nie ma powodu, żeby tu przebywali. Jeszcze nikt nigdy nie wszedł na mostek przez iluminator. Dwie Złote z brzytwami stanowią prawdziwe zagrożenie. Jedna jest wysoka i barczysta. Druga ma bystrą twarz, którą krzywi w grymasie desperacji, kiedy rzuca się na nas. Brzytwami są w stanie przeciąć na pół nawet nasze pancerze, więc Sevro z odległości strzela

w nie z działka impulsowego, doprowadza do przeciążenia ich egid i obryzguje energią ich tarcze impulsowe, które też ulegają przeciążeniu, wgryzają się w zbroje i topią ciała. To dlatego Złoci kontrolują przepływ wytworów techniki. Ludzie bez względu na ich Kolor są delikatni jak gołąbki w obliczu maszynki do mięsa, jaką jest wojna.

Moi wrogowie nie żyją, więc zwracam się do Niebieskich na stanowiskach.

– Jest tu kapitan?

W pancerzu jestem prawie o metr od nich wyższy. Wciąż jeszcze wpatrują się w urządzoną przez nas jatkę. Muszę być dla nich chodzącym koszmarem. Z ręki sypią mi się iskry, pancerz mam w połowie zniszczony. W dłoni trzymam straszną brzytwę.

– Nie mam całego dnia, żeby wygrażać wam i tupać. Jesteście uczonymi ludźmi. To nie jest wasz statek. Po prostu kierujecie nim dla Złotych, którzy nim dowodzą. A teraz ja nim dowodzę. Zatem czy jest tu Niebieski kapitan?

Kapitan przeżył. To łagodny, schludny mężczyzna, więcej w nim kończyn niż torsu. Na twarzy ma świeżą ranę, która przysparza mu wielkiego bólu. Drży i pociąga nosem, trzymając się za ranę, jakby twarz miała mu się rozpaść, gdyby zabrał ręce. Matka nazwałaby go zasranym mięczakiem. Eo inaczej by do niego podeszła, więc staję nad nim i mówię cicho:

– Jesteś bezpieczny. Nie próbuj niczego lekkomyślnego.

Zdejmuję hełm. Wyciekają zeń wymiociny. Każę kapitanowi iść do kąta i zerwać gwiazdzistą odznakę rangi. Drży. Nie zdąży wypełnić rozkazu, bo Sevro rzuca się do przodu, zabiera mu odznakę, podnosi go i przestawia jak lalkę.

Kobieta o pociągłej twarzy, dumnie wyprostowanych ramionach i oliwkowej skórze prychna na widok tej degradacji. Ma wyjątkowo przenikliwy wzrok jak na Niebieską. Jest łysa, tak jak pozostali, ma cyfrowe niebieskie tatuaże nie tylko na ciemieniu i skroniach, ale także na rękach i szyi.

Sevro doskakuje do mnie z powrotem.

– Sevro, przestań się wydurniać.

– Podoba mi się bycie dużym.

– Ja nadal jestem większy.

Próbuje pokazać mi krzyżyk, ale mechaniczne palce nie są dość zręczne.

Wydaję rozkaz Niebieskim przy stanowiskach technicznych, żeby nasi przyjaciele w bocianie uzyskali dostęp do hangaru. Kiedy już Niebiescy usadowią się na swoich miejscach, wypełniają polecenia. Wszyscy tutaj są lojalni, bo mam nad nimi władzę. Kto jednak może wiedzieć, co się dzieje w pozostałych częściach statku? Załoga może być wierna Suwerence – albo

tylko człowiekowi, który tutaj dowodzi. Głupotą byłoby zakładać, że wszyscy wierzą w to samo. Jednak ja ich do tego zmuszę.

Obserwuję na ekranie, jak bocian wsuwa się do hangaru. Ledwie się trzyma, dosłownie na ostatnich śrubkach. Jest przystrojony w dwie pijawki. Moje Wyjce będą musiały walczyć ze szwadronami śmierci, które na nich przybyły. Może im się udać, ale jeśli Obsydianowi i Szarzy z Awangardy urzadzą im oblężenie w hangarze, to będzie po wszystkim.

Zza grodzi oddzielającej mostek od reszty statku słychać dźwięk. Przenikliwy syk. Drzwi jarzą się czerwienią z gorąca – mała źrenica pośrodku grubej szarej duroStali. Obsydianowi i Szarzy żołnierze piechoty morskiej niewątpliwie pod dowództwem jakiegoś Złotego próbują odbić okręt. To powinno im chwilę zająć.

– W korytarzu jest holoKamera? – pytam Niebieskich.

Wahają się.

– Na czarną otchłań kosmosu, wy tępe dudy! – przeklina ich Niebieska kobieta, którą zauważyłem wcześniej.

Odpycha na bok jednego Niebieskiego i synchronizuje swoje tatuaże z konsolą. Na jednym z ekranów wyświetla się holo, które potwierdza moje obawy. Złoci prowadzą oddział, który próbuje dostać się na mostek.

– Pokaż mi maszynownię, węzły systemów podtrzymywania życia i hangar – rozkazuję.

Kobieta wypełnia polecenia. Znowu Złoci dowodzą oddziałami Szarych żołnierzy i Obsydianowych niewolnych rycerzy, chcą zabezpieczyć kluczowe systemy na statku. Spróbują odebrać mi kontrolę nad nim. Gorzej, że mogą spróbować wejść na pokład bociana albo go zniszczyć, zabić albo pojmać Mustang i moich przyjaciół.

– Kto z was chce dostać ten statek? – pytam poważnie.

Idę po podwyższeniu dla dowództwa, odrzucam kopniakiem na bok czyjeś ciało i patrzę z góry na Niebieskich łącznościowców. Unikają mojego wzroku. To dwie kobiety w moim wieku. Mają blade twarze, świeże jak poranny śnieg, teraz poplamione łzami i brudem. Wielkie lazurowe oczy są przekrwione i okolone czerwonymi obwódkami. Widziały dzisiaj, jak umierają ich przyjaciele, a ja tu sobie egoistycznie szaleję, jakby to był mój wielki triumf. Jakże łatwo jest się zatracić.

Nigdy nie zapomnij, kim jesteś – mówię sobie. Nigdy nie zapomnij.

Wywołuje nas tuzin statków i naziemne dowództwo w Cytadeli. Chcą wiedzieć, co się stało. Dewastatory i niszczyciele podlatują do nas ostrożnie. Otwieram kanał łączności wewnętrznej i zwracam się do wszystkich na pokładzie:

– Uwaga, załogo okrętu znanego dotychczas jako Awangarda, który od teraz zostaje przemianowany na Paxa.

Robię dramatyczną pauzę, wiedząc, że każda dobra piosenka, każdy dobry taniec to zabawa z napięciem, które prowadzi do punktu kulminacyjnego w brzmieniu i ruchu.

Sevro nie przestaje uśmiechać się do mnie chłopięco. Wygląda jak chochlik w ogromnym skafandrze; ma taką maleńką główkę, kiedy zdjął hełm. Wykonuje szerokie gesty rękami, próbując mnie rozśmieszyć. Kręć głową. To nie jest dobra chwila.

– Nazywam się Darrow au Andromedus, jestem lansjerem marsjańskiego domu Augustus i właśnie przejąłem ten okręt jako łup wojenny. Jest mój. A to oznacza, że zgodnie z obowiązującymi we Wspólnocie regułami wojny w kosmosie wasz los zależy teraz ode mnie. Przykro mi z tego powodu, ponieważ to oznacza, że najpewniej umrzecie. Poświęciliście życie takiemu czy innemu powołaniu: elektronice, astronawigacji, artylerii, sprzętaniu, oświetleniu, naprawom, walce. Moim powołaniem jest podbój. Tego uczą nas w szkołach. I właśnie w szkole nauczono mnie prawidłowych metod ataku, zajęcia i przejęcia wrogiej jednostki. Kiedy już wejdzie się na mostek nieprzyjacielskiego okrętu, dalsza procedura jest prosta: należy go rozhermetyzować.

Sevro aktywuje ukrytą konsolę na tyłach ekranu nawigacyjnego, do której dostęp mają tylko Złoci. Niebiescy wzdragają się, zaskoczeni. To jak wejść do kuchni jakiegoś człowieka i pokazać mu bombę nuklearną schowaną pod zlewem. Konsola skanuje złotą Pieczęć Sevro i rozbłyskuje złotym światłem. Wystarczy, że mój towarzysz wprowadzi kod i cały statek otworzy się na pustkę kosmiczną. Zginie dwadzieścia tysięcy mężczyzn i kobiet.

– Zbudowaliśmy te statki w taki sposób, żeby móc je opróżnić z powietrza. Dlaczego? Nie chodzi o to, że nie wierzymy w waszą lojalność. Przeciwnie: polegamy na niej. Rzecz w tym, że na pokładzie nadal... – zerkam na listę, którą podsuwa mi jeden z Niebieskich – ...przebywa sześćdziesięciu jeden Złotych. Są wierni Suwerence. A ja jestem jej wrogiem. Nie będą mnie słuchać. Będą sabotować statek, spróbują przejąć mostek. Będą was podburzać, nadużywać waszej lojalności, poprowadzą was na pewną śmierć. Z ich powodu, z powodu ich nienawiści, nigdy więcej nie zobaczycie tych, których kochacie. Istnieje jeszcze jedna komplikacja. Suwerenka właśnie zastanawia się, co tu się stało. Wkrótce zorientuje się, że perła jej armady już do niej nie należy. Jest moja. Okręty jej pretorów zaczną wyrzygiwać eskadry pijawek z legionami Obsydianowych i Szarych żołnierzy piechoty morskiej na pokładach. Będą nimi dowodzili Złoci rycerze, którzy pragną mojej głowy,



zdeteminowani, żeby zabić wszystko, co stanie na ich drodze. Jeśli wyrzucę was w przestrzeń, nie będzie nikogo, kto powstrzyma ich przed zabiciem mnie. Widzicie więc: wy jesteście moim ratunkiem, a ja jestem waszym. Nie poświęcę dwudziestu tysięcy ludzi, żeby zabić sześćdziesięciu jeden wrogów. Wybrałem ten statek nade wszystko z powodu jego załogi. To najlepsi ludzie, jakich ma Wspólnota. Dla mnie nie jesteście kimś, kogo można spisać na straty. Zatem proszę was: wybierzcie mnie na swojego dowódcę i obezwładnijcie tych Żółtych, których uważacie, że można spisać na straty. Macie moje pozwolenie, żeby pojmać lub zabić dla mnie wszystkich Żółtych dowódców, wsparte mocą urzędu arcygubernatora Marsa, Nero au Augustusa. Odbierzcie im broń i obezwładnijcie ich, a potem zabezpieczcie okręt przed najeźdźcami, którzy przyjdą nas zniszczyć. Zróbcie to teraz, bo jeśli będziecie zwlekać, oni was zabiją! Będę wiedział, który mężczyzna i która kobieta pierwsi powstali. Jako wasz nowy pan nagrodzę was. Arcygubernator was nagrodzi. Zróbcie to teraz! Bo właśnie otworzyłem wszystkie zbrojownie na całym statku. Łapcie za broń i zneutralizujcie tyranów.

Zapada ciężkie milczenie. Pierwsze iskry rewolucji zostały skrzesane.

Sevro podchodzi do mnie.

– To było mocne.

– Za bardzo demokratyczne? – pytam szeptem.

– Myślę, że autokratyczna demokracja się nie liczy. – Marszczy nos. – W końcu zagroziłeś im, że wyrzucisz ich w kosmos.

– Zagroziłem? Myślałem, że raczej zasugerowałem to bardzo subtelnie.

– To było subtelne jak uderzenie łopata, palancie. – Sevro śmieje się odrobinę zbyt entuzjastycznie i klepie się mechaniczną ręką po udzie. Wgniała metal. Krzywi się i patrzy na mnie nieco zażenowany. – Wal się.

Drzwi za nami zaczynają syczeć. Odwracam się, żeby spojrzeć na jarzącą się przegrodę. Wrogowie przynieśli świder, żeby mnie zaatakować. Ręce mi się trzęsą od adrenaliny. Czuję na sobie ciężar dziesiątek niebieskich oczu. Czerwień na drzwiach pogłębia się, rozszerza. Nie mamy dużo czasu.

Moja brzytwa przybiera kształt przeznaczony do zabijania, jest długa i straszna.

– Zaraz będziemy mieli towarzystwo – zapowiadam.

Zerkam na Sevro, który zagapił się na jeden z holoEkranów. Rozkazuję Niebieskim się pochować.

– Oni naprawdę to robią – mruczy Sevro. – Psiakrew, Darrow, chodź zobaczyć.

Przełącza po kolei obrazy z kamer. Pomarańczowi i Niebiescy plądrują zbrojownie. Pomaga im paru Szarych. Inni stoją, nie bardzo wiedząc, co

powinni robić, chociaż są tacy, którzy strzelają do napierających towarzyszy. Jednak żadne pociski nie zatrzymają tej fali. Ludzie biorą broń, niezgrabnie biegną korytarzami, jest ich coraz więcej. Dowodzą nimi najtwardsi: nie Niebiescy, tylko Pomarańczowi pracownicy hangarów i mechanicy, razem z Szarymi... Wśród których jest ktoś, kogo rozpoznaję. Kapral w średnim wieku z mojego statku w Akademii, ten, który uciekł razem z nami. Kieruje dwudziestkę ludzi do prywatnej kajuty Złotego. Obezwładniają go z szacunkiem. Takie pokojowe podejście nie jest powszechne.

Trzy potężne oddziały Złotych dowodzących Obsydianowymi i Szarymi zbierają się w centrum podtrzymywania życia, w odległej o pięć kilometrów maszynowni przy rufie, oraz tuż za drzwiami mostku. Ta grupa składa się z czterech Złotych i sześciu Obsydianowych. Za ich plecami dziesięciu Szarych ładuje broń.

– Mimo to będziemy mieli towarzystwo – mówię.

W każdej chwili mogą przebić się przez drzwi. Iskry syją się z ich wewnętrznej strony, wiertło termiczne powoli przechodzi przez stal. Metal topi się, spływa do środka, skwierczy na podłodze. Niebiescy drżą z przerażenia, Sevro i ja przygotowujemy się, zakładamy hełmy, szykujemy się na nową jatkę. Znowu smród wymiocin wypełnia mi nozdrza. Każę Niebieskim schować się w przedziale łącznościowym. Tam będą bezpieczni.

Nagle na konsoli obok mnie rozbłyskuje światło. Wiadomość przychodząca. Odruchowo otwieram kanał. Głos jak grom sprawia, że czuję dygot aż w kościach. Nie ma łączności wizualnej.

– **Słyszysz mnie?**

– Słyszę.

Zerkam na Sevro. Ktokolwiek nas wywołuje, posługuje się wzmacniaczem głosu, który brzmi jak przewalający się pod niebem grzmot. Sevro wzrusza ramionami, jakby nie miał pojęcia, kto to jest.

– Kto mówi?

– **Jesteś bogiem?**

Bogiem? Ogarnia mnie upiorna cisza. To nie jest wzmacniacz głosu. Powinienem był się domyślić, słysząc lodowaty, niemrawy akcent. Dobieram słowa ostrożnie, pamiętając, czego mnie uczono.

– Jestem Darrow au Andromedus Zrodzony ze Słońca.

– **Zdobyłeś statek, a nie jesteś jeszcze pretorem? Jak?**

– Wleciałem przez mostek.

– **Sam z Otchłani?**

– Z towarzyszem.

– **Przyjdę poznać ciebie i twojego towarzysza, boże dziecko.**

Niebiescy patrzą po sobie ze zgrozą. Mówią coś bezgłośnie, poruszając tylko ustami. Splamiony. Ciężar strachu osiada mi na ramionach. Rozglądamy się z Sevro po mostku, jakby bestia chowała się gdzieś w cieniu. Kolejne kawałki drzwi odpadają, ściekają do środka jak jarzący się czerwono gnijący owoc.

Jeden z Niebieskich robi gwałtowny wdech. Zerkamy na ekran hP i widzimy, że kamery w korytarzu rejestrują sceny rodem z horroru. Bestia – człowiek – atakuje od tyłu oddział, który szykuje się do wejścia na mostek. To Obsydianowy, ale w życiu nie wiedziałem takiego olbrzyma. Jednak nie tylko jego rozmiary robią wrażenie, także sposób, w jaki się porusza. To przerażające stworzenie pozszywane z cienia, mięśni i zbroi. On płynie, nie biegnie. To jest nie do pojęcia, jakby patrzeć na klingę albo inną broń zrobioną z ciała. Przed tą istotą psy by uciekały. Na jej widok koty by prychały. Nie powinna istnieć w innym miejscu niż pierwszy krąg piekieł.

Uderza od tyłu dwoma pulsującymi białymi ostrzami jonowymi, które wysuwają się z jego naręczaków. Mają po trzy stopy długości. Przez Szarych po prostu przebiega, miażdżąc ich o ściany, łamiąc im kości. A potem zaczyna zabijać na serio. Widok jest tak straszliwy, że odwracam wzrok.

Wiertło termiczne nadal topi drzwi. Pośrodku pojawia się dziurka. Widzę przez nią umierających ludzi. Krew skwierczy na przegrzonym metalu.

Kiedy Splamiony kończy, krwawi z tuzina ran i na drodze został mu tylko jeden Złoty, kobieta. Dźga go brzytwą, przebijając ciemną zbroję na wysokości napierśnika. On obraca się do niej, blokując ostrze, a potem chwytając ją, kiedy kobieta zamienia je w bicz. Łapie ją za hełm. Jej złota zbroja lśni w światłach na korytarzu. Kobieta próbuje uciec, wyrwać się, ale Splamiony jest jak lew, który złapał w pysk hienę: po prostu ściska. Kiedy już jest po Złotej, kładzie ją delikatnie na ziemi, łagodny teraz, kiedy ofiarował jej dobrą śmierć. Sevro odruchowo cofa się od drzwi.

– O, mammo...

Splamiony staje po drugiej stronie. Drzwi powoli topią się między nami. Kiedy dziura jest wielkości jego torsu, zdejmuje hełm. Bezwłosa blada twarz wpatruje się we mnie. Ma czarne oczy, ogorzałe od wiatru i stwardniałe jak policzki nosorożca. Jest łysy, jeśli pominąć długie na metr pasmo białych włosów z tyłu, opadające mu do połowy pleców.

Patrzymy sobie w oczy, kiedy się do mnie zwraca:

– **Boże dziecko Andromedus, jestem Ragnar Volarus, Splamiony, pierworodny mojej matki, Alii Śnieżnej Wróblicy z Iglic Walkirii na północ od Smoczego Grzbietu, na południe od Upadłego Miasta, gdzie**

**lata Skrzydlata Zgroza, brat Sefi Milczącej, niszczycielki Tanosa, który stał niegdyś nad wodą, i oferuję ci moje plamy.**

Rozkłada ogromne zakrwawione ręce, a potem sięga przez dziurę i podaje mi prawą dłoń. Ostrze jonowe cofa się, znika w zbroi. Brzytwa nadal sterczy mu z żeber.

A ja sikam w pancerz.

– Ja piórkuję – mruczy Sevro. – Zrób to, Darrow, zanim to coś zmieni zdanie.

Zdejmuję hełm i robię krok naprzód. Chcę tego gościa.

– Ragnarze Volarus, miło cię poznać. Widzę, że nie nosisz odznaki. Masz pana?

– **Noszę znak Pana Popiołów i miałem zostać sprezentowany razem z tym wielkim statkiem rodzinie Julii. Jednak ty zagarnąłeś okręt, zatem i mnie.**

Rodzinie Julii? Bez wątpienia prezent za zdradzenie Augustusa.

Chwileczkę, czy on właśnie wykorzystał biurokratyczny kruczek, żeby usprawiedliwić zabicie ludzi swojego pana? Jeśli w jego głosie kryje się ironia, to nie umiem jej wyczuć. Dlaczego jednak miałby to zrobić? Czy te czarne ślepie mnie znają? Splamieni nie mogą korzystać z wytworów techniki innych niż wyposażenie wojskowe. Nie mógł mnie nigdy wcześniej widzieć, a jednak wyciąga rękę, czekając na mój uścisk.

– Dlaczego to robisz? – pytam. – Z powodu Julii?

– **Handlują moim ludem.**

Zapomniałem. To statki rodu Julii przewożą Obsydianowych niewolników przez otchłań. Jego ludzie nauczyli się bać herbu Victry – przebitego włócznią słońca.

Ragnar nie ma wprawy w ukrywaniu nienawiści. Jest zimna jak lód, w którym się urodził.

– **Czy przyjmiesz te plamy, boże dziecko?** – pyta, pochylając się do przodu prosząco; dziwna troska krzywi mu kąćki ust.

Złoci zrobili to po Mrocznej Rewolcie, jedynym powstaniu, jakie kiedykolwiek zagroziło ich rządowi. Odebraliśmy im ich historię, ich technikę, wybiliśmy całe pokolenie, a potem daliśmy im rasie bieguny planet i religię wikingów i powiedzieliśmy im, że jesteśmy ich bogami. Kilkaset lat później stoję przed jednym z najbardziej przerażających ich synów i zastanawiam się, jak może uważać mnie za boga.

– Przyjmuję te plamy, Ragnarze Volarus. – Przerażony wyciągam rękę.

Ściskamy sobie dłonie w dziurze z rozgrzanego do czerwoności metalu. Są prawie tak samo duże, tyle że moja jest zamknięta w metalowym pancerzu.

Krew, która brudzi mi dłoń, ocieram o swoje odsłonięte czoło.

– Przyjmuję ich brzemię i ich ciężar.

– **Dziękuję, Zrodzony ze Słońca. Dziękuję. Będę ci służył na cześć mojej matki i matki mojej matki.**

– Mam przyjaciół na pokładzie bociana w hangarze numer trzy. Uratuj ich, Ragnarze, a będę twoim dłużnikiem.

Odsłania żółte zęby w uśmiechu i z jego ust płynie wojenny zaśpiew dudniący głębiej niż sztorm. Wypełnia korytarze zgrozą. Mnie napęnia radością, strachem i pierwotną ciekawością. Co właśnie zyskałem?

## Ognisty kwiat

Trzęsę się na całym ciele po odejściu olbrzyma.

Uspokajam się, odwracam do Niebieskich, którzy stoją jak zahipnotyzowani, nie bardzo wiedząc, czy patrzeć na mnie, czy na ekrany hP, czy na skanery, na których widać, że otaczają nas okręty Suwerenki.

– Nie macie czego się bać – uspokajam ich. – Kapitan statku został zdegradowany, ponieważ zostawił otwarte iluminatory. To było niemądre. Ranga nie usprawiedliwia błędów. Chcę mieć nowego kapitana. Nie mamy wiele czasu. Podejmę decyzję w sześćdziesiąt sekund.

Dumnie wyprostowana Niebieska wychodzi przed swoich towarzyszy. W pierwszej chwili myślałem, że tatuaże na jej rękach to kwieciste wzory, potem zauważam ciąg równań matematycznych: wzór Larmora. Równania Maxwella dla zakrzywionej czasoprzestrzeni. Teoria absorberowa Wheelera-Feynmana. I setka innych, których nawet nie rozpoznaję.

– Daj mi tę odznakę, a wyrąbię ci drogę z powrotem na Marsa, chłopcze. – Mówi beznamiętnie. Bez żadnej modulacji. Precyzyjnie i zarazem leniwie. Emocje wyciekają ze słów, zostają tylko litery i dźwięki jak równanie w powietrzu. – Przysięgam na własne życie.

– „Chłopcze?” – powtarzam.

– Jesteś ode mnie dwa razy młodszy. Mam cię nazywać „paniczem”? Czy cię tym urażę?

Sevro unosi brew, skołowany beznamiętną bezczelnością Niebieskiej.

– Proszę jej wybaczyć, dominus – odzywa się inny Niebieski. – To chorąży z...

Uciszam go gestem podniesionej ręki.

– Jak się nazywasz, Niebieska?

– Orion xe Aquarii.

– To męskie imię – wtrąca Sevro.

– Tak? Nie zauważyłam. – Niebiescy potrafią być sarkastyczni? – Moja sekta planowała, że będę mężczyzną. Zaskoczyłam ich.

– Jaka Sekta? – pyta Sevro.

– Ona nie ma Sekty. Została zawłaszczona przez Sektę Kopernikańską, ale wkrótce ją odprawiono z oczywistych powodów – znowu wtrąca się

nadgorliwy Niebieski. – Jest dokerką.

Orion się wzdyga. Odwraca się do Niebieskiego. Nie podnosi głosu.

– A czym ty jesteś, jeśli nie pedantycznym małym wypierdkiem, Pelusie? Hmm?

– Sami widzicie – wyjaśnia spokojnie Pelus. – To dokerka. Emocjonalne wskaźniki nie do przyjęcia. To nie jej wina. Jest produktem swojego środowiska.

– Pieprzyć to – mówi Orion i podchodzi do niego szybkim krokiem.

Wymierza mu cios w twarz. Pelus wyje i przewraca się do tyłu, jakby nigdy wcześniej nikt go nie uderzył. Najpewniej tak właśnie było. Dlaczego jeden Niebieski miałby uderzyć drugiego? Oni zajmują się testami, matematyką, mapami gwiazdowymi. Nie walczą.

– Podoba mi się ta niegrzeczna panienka – mówi Sevro.

– Dominus, chwileczkę! Ja chcę ten statek! – Kolejny Niebieski wychodzi naprzód, patrząc na Pelusa na ziemi. – Ja... zasługuję na to. Orion to... niedołęga. Opanowała astrofizykę w stopniu dalekim od ideału, już nie wspominając o jej rozumieniu pozaplanetarnej kinetyki masy. Nie uczęszczała nawet do Obserwatorium!

Kolejny Niebieski przepycha się naprzód.

– Proszę zapomnieć o Arnusie! To astrofizyczny tuman, a założenia, jakie przyjmuje w rachunku teoretycznym, są w najlepszym razie nierozważne! Byłem zastępcą kapitana na tym statku przez sześć miesięcy za kadencji Pana Popiołów. Służyłem na nim, kiedy jeszcze stał w suchym doku. Logika potwierdza mój wybór na kapitana, dominus.

Okręty armady wciąż nas wywołują. Pancerniki są coraz bliżej. Wewnątrz nich dzielni mężczyźni i kobiety zakładają broje. Wejdą na pokłady pijawek i zostaną wystrzeleni, żeby przyczepić się do mojego kadłuba, a potem przegryźć się do środka. Będą się modlić, żeby wrócić potem do domu na posiłek przygotowany przez matkę albo małżonka. A w tym czasie moi Niebiescy przepychają się, żeby pokierować moim statkiem, obrzucając się obelgami i krytykując swoje zdolności matematyczne i uczciwość akademicką.

– Proszę nie słuchać żadnego z nich, dominus! – wykrzykuje jakaś kobieta z przeciągłym, leniwym akcentem. Pada na kolana. – Nazywam się Virga xe Sedierta. Studiowałam fizykę astrodryfu w Północnej Szkole, o wiele lepszej od Obserwatorium. Mam między innymi doktorat z ciemnej materii i soczewkowania grawitacyjnego. Pozwól, żebym pokierowała twoim statkiem, dominus. Wybranie kogoś innego byłoby zwodnicze, a co gorsza nielogiczne!

Ci Niebiescy powinni posłużyć się swoją logiką i zauważyć, że patrzę tylko na kobietę, która w odróżnieniu od innych nie klęczy. Orion, która odezwała się pierwsza, nadal stoi wyprostowana, wyciąga dumnie długą szyję. Mówi ostrzejszym dialektem, zdradzającym pospolite urodzenie i bliższym rzeczywistości niż marzycielski język tych akademików. Pewnie pochodzi z miasta portowego na Fobosie albo ze Sznura Portów w pobliżu Puszek Akademii. Jeśli naprawdę jest dokerką, która nie uczęszczała do Obserwatorium albo Północnej Szkoły, to zastanawiam się, jak w ogóle trafiła na mostek.

– O co chodzi z tym hałasem? – pytam ją, wskazując Niebieskich.

– Ściemniają, dominus. – Puka się smukłym palcem w skroń. – Ja nie. – Uśmiecha się i ruchem głowy wskazuje ekrany, na których widać powoli zbliżające się dewastatory. – A tobie czas ucieka.

Zerkam na stanowiska z czujnikami, gdzie alarmy sygnalizują ukradkowe wystrzelenie dwóch pijawek z pobliskiego pancernika i krążowników Suwerenki.

– Wiem, że sobie poradzę – ciągnie Orion. – Inaczej bym się nie odzywała. Daj mi szansę.

Kiwam głową Sevro, który rzuca jej kapitańską gwiazdkę ze skrzydłami.

– Doprowadź nas do naszej floty.

– Zasady w ewentualnym starciu? – pyta mnie.

– Minimum ofiar – mówię. – My jesteśmy ci dobrzy. Suwerenka jest tyranem. Tak musimy to rozegrać.

– Tak jest, dominus.

Patrzymy z Sevro, jak Orion przejmuje dowodzenie moim okrętem i wydaje rozkazy mające doprowadzić nas do spotkania ze statkami Augustusa za Bojami Rubikonu. Kłótnie ucichają, kiedy tylko wyznaczam ją na kapitana. Pozostali wiedzą, że stracili swoją szansę, więc gładko wracają do swoich ról, jakby nigdy nie chcieli ich zmienić. Niebieskie Pieczęcie na ich przedramionach w przyćmionym świetle przypominają trójzęby.

Niebieskich cechuje przedziwne zdystansowanie. To wyspiarze pośród otchłani kosmosu, zaprojektowani tak, żeby znosić długie podróże z Luny bez buntowania się. Dlatego dzielą się ze sobą – dzielą się tlenem, jedzeniem, łózkami, rutyną, stanowiskami, dowódcami, kochankami, Sektami i ambicjami, żeby precyzyjnie wykonywać swoje obowiązki i awansować stosownie do umiejętności na chwałę swojej Sekty.

Otwieram kanał łączności z resztą floty i satelitami Luny. Nie mogą zagłuszyć mojego sygnału. Nie z tego statku. Mamy najbardziej wyrafinowany system nadawczo-odbiorczy w całej flocie Suwerenki.



– Synowie i córki Wspólnoty. Mówi Darrow au Andromedus z domu Augustus. Mam straszliwe wieści. Dziś wieczorem nasza Suwerenka złamała Porozumienie Wspólnoty. Kiedy mój pan, arcygubernator Nero au Augustus, spał pod jej ochroną, dokonała zamachu na jego życie, a także życie jego rodziny, pretorów i przybocznych. Wraz z rodem Bellona próbowała dokonać nielegalnego i niemoralnego mordu na ponad trzydziestu Niezrównanych Naznaczonych. Nie udało jej się. W odwecie zająłem jeden z jej okrętów flagowych. Jestem teraz obłączony, moje życie, tak samo jak życie mojego pana i jego rodziny jest w niebezpieczeństwie. Jeśli nie podejmiemy walki, zginiemy. Jeśli się poddamy, zginiemy. Nie rozhermetyzowałem statku. Personel na pokładzie dostrzegł wartość mojej sprawy i sprzymierzył się z rodziną, która przeciwstawi się żadnej władzy tyrance, Octavii au Lune. – Prawie nie mijam się z prawdą. – Kilka godzin temu Suwerenka kazała mi zdradzić mój dom. Złamać moje śluby. Tak jak wcześniej jej ojciec, jest pijana władzą i teraz uważa się za cesarzową. Kazała nam się pokłonić. Jesteście świadkami naszej odpowiedzi.

Wyłączam nadawanie.

– Panie Pelus, proszę działać wedle uznania – oznajmia Orion. – Niech łajdaki oberwą, jeśli się zbliżą.

Aktywuje swoje tatuaże i przechodzi na cyfrową komunikację z resztą załogi.

Na mostku robi się cicho. Mija jedna sekunda, druga. Oglądam w hP, jak trzech Szarych zabija Złotego strzałem w głowę. W hangarze Pomarańczowi kulą się w kącie, a Złoci prowadzą wojenne Kolory przeciwko posadzonemu bocianowi.

A potem pojawia się Ragnar. Gromadzą się wokół niego Pomarańczowi, podobnie jak uzbrojeni Czerwoni, którzy nadbiegli za nim. Wielu ginie. Jakaś furia ogarnia te Kolory. I chociaż umierają, wyczuwam iskrę rebelii, kiedy pozwalam im zrobić to, czego pragnęli przez całe życie. Kryje się tam, nawet jeśli nigdy nie ujawnia się do końca, iskierka indywidualności, wolności. Drzwi bociana otwierają się. Ze środka wybiega Mustang z moimi Wyjcam, żeby pomóc podKolorom i Ragnarowi, chociaż nawet Telemansowie nie zbliżają się do monstrualnego Obsydianowego.

Na zewnątrz mojego okrętu statki przeciwnika wreszcie okazują swoją wrogość. Czujniki wzbierają czerwienią. Nieprzyjacielem – pijawką świeżo wypłute z brzuchów otaczającej nas armady – pędzą przez kosmos, żeby dopaść do naszego kadłuba. Zamierzają wziąć nas szturmem.

Orion oddaje salwę burtową.

– Jakie to piękne – mruczy Sevro.

Stoję w milczeniu. Ładunki z dział elektromagnetycznych trafiają w pijawki, rozdzierają metal i ludzi i lecą dalej, by roztrzaskać osłony i kadłuby pancerników, z których przybyły pijawki.

Moja nowo mianowana pani kapitan krąży po podwyższeniu dla dowództwa z rękami skrzyżowanymi na piersi. Mój długi na pięć kilometrów okręt zaczyna się obracać, kolejne baterie dział EM ciskają śmierć w twarz floty Suwerenki. Orion zerka na mnie z ukosa, uśmiechając się znacząco, tak żeby wszyscy widzieli.

– A teraz zaczniemy wyrąbywać nam ścieżkę, dominus.

Rozkazuje maszynowni odpalić czarną Materię. Śmigamy naprzód przez szczątki dwóch pancerników.

Na mostku jest cicho, słyszać tylko szmer zwiezłych rozkazów. Pociski rozbłyskują w zgodnym rytmie przed naszym kadłubem. Aktywujemy osłonę przeciwraketową, podobnie jak wróg, więc pociski stały się bezużyteczne. Aureola światła otacza nas jak pas ziemi niczyjej. Artyleria elektromagnetyczna wali w nasz kadłub, ale nie czujemy wibracji na mostku. Nasz sprzęt nie iskrzy. Kable nie spadają nam na głowy ze schowków pod sufitem. Ten statek to ukoronowanie siedmiuset lat prac projektowych.

Sevro mnie szturcha.

– Psiakrew, może nam się udać.

Armada wokół nas jest ogromna. Więcej niż ogromna. Została tu sprowadzona, żeby lordowie zebrani ze swoimi flotami po drugiej stronie Boi Rubikonu zadrżeli, a przecież to wciąż nie jest nawet połowa sił Suwerenki. Teraz jednak ta właśnie potężna armada trzęsie się od środka jak korpulentne cielsko, gdy jakiś obcy wygryza się przez wnętrzości na zewnątrz.

Błyskawicznie się jej wymykamy.

Nie ścigają nas za Boje Rubikonu, gdzie dołącza do nas nasza mała flota, a także siły rodów Codovan, Telemarus i Norvo. Mam nadzieję, że kolejni napłyną pod nasz sztandar po dzisiejszej najnowszej niespodziance.

Oglądam się na ślad, jaki za sobą zostawiamy. Pobojowisko. Ciała mężczyzn i kobiet unoszą się w próżni za naszą rufą. Wypadli z popękanych i przebitych jednostek. Niektórzy nadal żyją, ale wkrótce zamarzną albo się uduszą. Kolejni zabici na mojej ścieżce. Ilu jeszcze będzie musiało zginąć?

Zostawiam Orion na mostku. Znajdujemy z Sevro drogę do maszynowni, gdzie Pomarańczowi wycinają nas z pociętych pancerzy. Wybiegamy stamtąd do hangaru, rozległego metalowego składu pełnego porzucanych statków, różnego sprzętu, a teraz także poranionych ludzi. Żółci uwijają się przy nich i przewożą ich do ambulatorium. Szarzy i Pomarańczowi pomagają przy transporcie.

Chwast szturcha brzytwą paru nieuzbrojonych Żółtych. Pestka i Harpia pomagają Żółtym. Rozglądam się gorączkowo za Mustang. Znajduję ją pod jednym z poobijanych skrzydeł bociana, gdzie rozmawia z ojcem. Ma długą ranę na lewej ręce. Nie wspominam o niej. Przyczepiła się do nich jedna pijawka, drugą udało im się strząsnąć przy wejściu do hangaru.

– Zostawiamy większość floty Suwerenki za nami – mówię Augustusowi.

– Gdzie Quinn? – pyta ostro Sevro. – Zabrali ją już do ambulatorium?

Mustang nie odpowiada. Zamiast tego patrzy na rampę bociana, po której schodzi Roque, niosąc Quinn na rękach. Jest blada. Długa. I bez życia. Sevro się nie porusza. Milczy. Nozdrza mu się rozduymają, oddech więźnie mu w gardle i żalosny szloch zostaje zdławiony w piersi chłopca, który nigdy nie płacze. Jest odrętwiały. Przypomina ducha. Wyciągam do niego rękę, ale odsuwa się, nie z gniewu, lecz z konsternacji, jakby ktoś kiedyś przepowiedział mu przyszłość i rzeczywistość okazała się inna, niż mu obiecano. Zatacza się do tyłu, z dala od ciała, rozgląda się, a potem odwraca się i ucieka z hangaru.

Roque przechodzi obok mnie. Ma przywiedłą, zmęczoną twarz. Chce powiedzieć coś gorzkiego, ale gryzie się w język i tylko kręci głową, patrząc na mnie. Nadal nie wie, dlaczego zaatakowałem go w jego pokoju przed galą. A teraz jeszcze to. Nigdy nie widziałem go tak złamanego.

– Spójrz na nią – mówi. – Darrow, spójrz na swoją przyjaciółkę.

Patrzę na Quinn i czuję, że wszystko milknie. Oto ona, tak spokojna po śmierci. Dlaczego nie możemy przywrócić jej życia? Dlaczego nie możemy po prostu zacząć od nowa tego dnia? Zrobić wszystkiego jak należy. Uratować wszystkich, których kochamy.

Roque odchodzi z Quinn w stronę przezroczystego pola impulsowego hangaru, które wychodzi na otwarty kosmos. Jest zgarbiony i złamany, kiedy idzie ku gwiazdom, żeby posłać między nie utraconą dziewczynę.

Łapię Szakala, który wychodzi z bociana, i dopytuję się, co się stało. Umarła, odpowiada mi. Tak po prostu. Jest zmęczony jak my wszyscy. Opuszcza rękawy.

– Nie będę przepraszał. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

– Oczywiście – odpowiadam. Trzęsę się. – Oczywiście.

Pyta mnie, gdzie moja kamera z hełmu. Patrzę na niego osłupiały.

– Nagranie – mówi. – Czy ty w ogóle rozumiesz, co właśnie zrobiłeś? – Macha ręką wokół siebie. – Dwóch ludzi zajęło największy okręt, jaki kiedykolwiek istniał. Złoci będą walić tłumnie pod nasze sztandary. Potrzebną są tylko media i twoja historia.

Odpowiadam mu z roztargnieniem. Prawie zapomniałem o infoRejestratorze, który Synowie Aresa włożyli mi do zęba, żebym nagrał wybuch bomby. Aktywuje się go, zaciskając zęby trzonowe. Zacisnąłem je, gdy tylko usiadłem w gabinecie Suwerenki. Sięgam do ust i delikatnie wydramgam go z dziąsła. Jest mniejszy od włosa.

Szakałowi oczy się świecą.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Kupiłem na czarnym rynku. Suwerenka sama się załatwiła. Wykorzystaj to nagranie. Niech ta wojna stanie się uczciwą walką.

Odchodzę od Szakała i już mam zostawić sprzątanie pozostałym, gdy zauważam, że Pomarańczowi i inne podKolory mnie obserwują. Nie mogę tylko dowodzić podczas walki. Dołączam więc do Pestki i Harpii i pomagam w przenoszeniu rannych do ambulatorium. Reszta Wyjców też nam pomaga. Mustang również. Ostatecznie nawet Victra.

Kiedy ostatni Szary zostaje załadowany na nosze, zostaję w pustym hangarze. Augustus poszedł na mostek. Szakał unika Telemanusów, którzy towarzyszą arcygubernatorowi, więc idzie do centrum łączności. Zostaję sam. Roque zniknął. Nie wiem, co robić, dokąd pójść.

Pokład jest brudny od krwi. Osmolony. Patrzę na swoje ręce. Oto konsekwencje moich działań. Czuję się taki samotny. Opieram głowę o chłodną metalową ścianę.

Zachodzi mnie od tyłu. Chyba nawet nie wypowiada mojego imienia, nie jestem pewien. Czuję zapach jej wilgotnych włosów, kiedy mnie obejmuje. Ścisną mocno.

– Wiem, że jesteś zmęczony – mówi cicho Mustang – ale Sevro cię potrzebuje.

– A Roque?

Odwracam się do niej. Tak wiele niewypowiedzianych rzeczy zalega między nami. Tyle pytań bez odpowiedzi. Tyle niewybaczonych zbrodni. Tyle gniewu i może wciąż wciąga isierka czegoś więcej. Czuję to, gdy kładzie mi dłoń na karku i użycza mi nieco swojej siły.

– Nie teraz – mówi.

Roque ma do mnie pretensje. I słusznie. Wszyscy powinni mnie winić. A będzie jeszcze gorzej.

## Zaufanie

Znajduję go we wspólnej łazience. Zasłużył na jedną z prywatnych kajut, które inni zajęli na czas drogi powrotnej na Marsa, ale on nie myśli w taki sposób. Nadal jest chłopcem, który schował się w truchle konia.

Nie, poprawiam się w myślach, już nie jest chłopcem.

– Zależało jej na tobie, Sevro.

Krzyżuje chude, piegowate ręce na piersi. Jednym ręcznikiem owinał się w pasie, drugi zwiesza mu się z ramion. Złoci nie przejmują się nagością, ale Sevro jest inny. Zyskał tatuaż, odkąd ostatni raz go widziałem. Na plecach ma ogromnego czarno-szarego wilka. Wyjce są dla niego wszystkim. Kiedyś byli dla mnie tylko narzędziem, teraz stali się czymś więcej. Jak to o mnie świadczy, że mimo to po prostu się nimi posługuję? Sevro patrzy na wodę uciekającą w odpływ pod prysznicem. Wiruje i spływa, wiruje i spływa.

– Myślę, że ostatecznie polubię wojnę – mówi. – Muszę trochę wzmocnić kręgosłup. Zdobyć parę odcisków na dłoniach. Łajdaki wmawiają nam, że to same róże i chwała. – Podnosi wzrok. – Nie czujesz zapachu tych róż, Żniwiarzu?

Siadam obok niego na ławce.

– Słyszałeś, co powiedziałem?

– Pewnie, psiakrew, że cię słyszałem. Straciłem oko, a nie ucho. – Puka się w bioniczne oko kościstym palcem. – Wiem, że jej zależało. Ale nigdy w taki sposób, jak chciałem. Zasługiwała na życie. Jeśli któryś z nas, ohydnych małych wypierdków, na to zasługiwał, to właśnie ona. Nie miała w sobie ani krztyny okrucieństwa. Ani krztyny. Ale to nie miało znaczenia. Nieważne, czy jesteście dobrzy, czy źli. To wszystko kwestia przypadku.

– To przypadek sprawił, że w ogóle ją poznałeś. Przypadek sprawił, że trafiła do Domu Marsa.

– Nie. To była robota mojego ojca – odpowiada Sevro. – Zwierbował ją, dogadał się z Junoną, żeby ją dostać. – Kręci głową. – Uważał, że Quinn nas ułagodzi, zapanuje nad naszym gniewem. Gdyby jej nie wybrał, nie poznalibyśmy jej i nadal by żyła.

– Może i tak – odpowiadam, myśląc o Eo. – Ale sama postanowiła tu przylecieć. Sama zdecydowała, że będzie za mną podążać. Za tobą.

– Tak jak Pax.

Kiwam głową, dotykając pegaza.

– To wszystko gówno, prawda? – mówi Sevro. – Nieważne, jak ładnie to przystroją. Nadal tkwimy w grze. Zawsze będziemy w tej przeklętej grze. Ale ja pluje na ich imperium. Pluję na całe to gówno. Przyleciałem tu dla ciebie, bo powiedział mi, czym jesteś.

Patrzę na niego. Nie rozumiem.

– Co masz na myśli? – pytam z nerwowym śmiechem.

– Włącz je – odpowiada. – Wiem, że je przyniosłeś. Jesteś skrupulatny, Żniwiarzu. Zawsze skrupulatny.

– Dlaczego zachowujesz się tak...

– Zamknij się i włączaj.

Kiwam głową i aktywuję urządzenie, które mam w kieszeni. Otacza nas pole zakłócające. Nie jestem aż tak pyszny jak Suwerenka, żeby wierzyć, że nikt nas nie podsłucha.

Sevro wpatruje się we mnie, aż zaczynam się wiercić skrępowany.

– Więc czym jestem? – pytam.

– Nawet teraz? – Kręci głową. – Jaki ty jesteś spięty... Podaj imię osoby, która mnie przysłała.

– Mustang cię przysłała. Powiedziałeś mi, że ściągnęła cię z Obrzeża. Razem z resztą Wyjców.

– Zgadza się, zrobiła to. Potrzeba było sześciu miesięcy, żeby dotrzeć tu z Plutona. Ale zgadnij, kto do mnie przyszedł w czasie postoju na Trytonie. No śmiało, Żniwiarzu. Zgadnij.

– Lorn?

Sevro krzywi się pogardliwie.

– Fitchner?

Pluje mi w twarz, pod oko.

– Spudłuj raz jeszcze, a zostawię cię, o tak. – Pstryka palcami. – I nie wrócę. Nie pomogę ci. Nie będę za ciebie krwawił. Nie będę poświęcał moich przyjaciół za człowieka, który ma mnie tak bardzo w dupie, że nawet raz nie nadstawi karku. Zaufanie działa w obie strony, Darrow. Tym razem to ty musisz zaryzykować.

On nie blefuje. Wiem, co chcę powiedzieć. Ale jak to możliwe? Sevro jest Złotym. Jest parszywym Złotym. Słyszał, jak powiedziałem „parszywy” do Apolla. Zatuszował to. Prawda? Czy może to był błąd? I wciąga mnie teraz w pułapkę? Nie. Nie, gdyby to była prawda, gra już by się zakończyła. Marzenie Eo przepadłoby. Kto jest mi bliższy niż on? Kto kocha mnie bardziej niż ten dziwny, paskudny wyrzutek? Nikt.

Patrzę więc w jego mętne złote oczy.

– Ares cię przysłał.

Zapada między nami cisza.

Potworne pięć sekund. Sześć. Siedem. Sevro wstaje i zamyka drzwi, zanim wyjmie mały czarny kryształ z kieszeni pogniecionych spodni.

– Tylko dla twojego oddechu.

– SzeptoKryształ...

Biorę go ostrożnie do ręki. Wiem, jak wiele kosztował. Dmucham na jego powierzchnię. Pod wpływem mojego oddechu kryształ drży, faluje, rozpada się. Maleńkie drobinki czerni unoszą się, wzlatują jak świetliki z trawy o zmierzchu u schyłku lata. Łączą się. W powietrzu pomiędzy mną a Sevro zawisa toporny hologram. Kolczasty hełm Aresa.

– Synu – rozlega się zniekształcony głos. – Przykro mi. Harmony zdradziła mnie i zainicjowała kampanię niezgodną z naszymi zasadami. Za późno odkryłem, że zamierza się tobą posłużyć. Ty jednak byłeś mądry. Dlatego właśnie cię wybrałem. Podjęto kroki, żeby pohamować jej wysiłki. Ty podążaj dalej swoją drogą. Napuść Augustusa na ród Bellona i doprowadź do rozłamu w Pax Solaris.

Chcę zadać pytanie, ale to tylko nagranie. Przygotowane jakiś czas po gali.

– Zdaję sobie sprawę, że to musi być trudne. Już i tak poprosiłem cię o zbyt wiele. Musisz jednak kontynuować. Siej chaos. Osłab ich. Masz wiele powodów, żeby we mnie zwątpić. Nie kontaktowaliśmy się z tobą aż do tej pory, bo byłeś obserwowany przez Pliniusza, Szakala, szpiegów Suwerenki. Wichrzyciele przyciągają uwagę. Jednak ja też cię obserwowałem i jestem z ciebie dumny. Wiem, że Eo także byłaby dumna. Na wypadek gdybyś wątpił w prawdziwość tej wiadomości, przyjaciel chce się przywitać.

Hełm Aresa znika i uśmiecha się do mnie Dancer.

– Darrow, chcę, żebyś wiedział, że jesteśmy z tobą. Twoja rodzina żyje i ma się dobrze. Koniec jest bliski, przyjacielu. Wkrótce będziesz z nami. Do tego czasu ufaj człowiekowi, którego przysłał Ares. Osobiście go zwerbowałem. Zerwij okowy.

Obraz rozpada się, czarniawe światło rozprasza się w powietrzu. A ja siedzę i gapię się w podłogę prysznic.

– Dobrze wyglądasz po tych wszystkich operacjach – zauważa Sevro. Uśmiecha się mniej paskudnie niż zwykle. – Ares przysłał do mnie tego kalekę. Tego, który wysłał cię do Instytutu. Dancera.

Nie może powiedzieć nic więcej, bo obejmuję go i płaczę. Łkam i trzymam go, trzęsąc się. Przerażam go. Nie porusza się – poza tym, że poklepuje mnie po głowie. Całe brzemie spada mi z ramion. Ktoś wie. On wie i jest tutaj. Wie

i przybył, żeby mi pomóc. Żeby mi pomóc. Nie mogę przestać się trząść i dziękować. Eo miała rację. Ja miałem rację.

– Jesteś moim przyjacielem.

Trzęsę się jak dziecko. Sevro prawie sam płacze, widząc mnie w takim stanie.

Prawdziwy przyjaciel.

– Pewnie – mówi łamiącym się głosem. – Ale tylko jeśli przestaniesz się mazać. Nadal jesteśmy Złotymi.

Odsuwam się od niego zawstydzony, ocieram twarz rękawem. Mamrocze chyba coś na kształt przeprosin. Obraz przed oczami mi się rozmazuje. Pociągam nosem. Sevro podaje mi ręcznik, w który wysmarkuję nos. Krzywi się.

– Co?

– Miałeś tym wytrzeć oczy.

Śmiejemy się razem i siadamy zakłopotani. Po pewnym czasie pytam, od jak dawna wiedział. Mówi, że podejrzewał mnie od czasu Instytutu, kiedy usłyszał, jak powiedziałem „parszywe” do Apolla. Głos miałem wtedy taki zachrypły, zardzewiały. A potem Dancer pokazał mu, jak mnie rzeźbili.

– Jakimś cudem wiedzieli, że możesz mi zaufać, nawet jeśli ty sam tego nie wiedziałeś, dupku. Zawsze tak było. Zawsze będzie.

– To ci... nie przeszkadza? – pytam. – To, czym jestem?

– „Przeszkadza”. Malutkie słowo jak na tak potwornie wielką przeklętą rzecz. – Sevro drapie się po ogolonej głowie. – Wysypka w kroczu mi przeszkadza. Zepsuta ryba mi przeszkadza. Roszczeniowe kutasy mi przeszkadzają. A to... – Wzrusza ramionami. – Szczuć na to. Akceptujesz moje podejście jak żaden inny fiut na tym świecie. Uznałem, że odwzajemnię przysługę, nawet jeśli w rzeczywistości jestem większy od twojego rdzawego tyłka.

Śmieję się. Faktycznie, moja Czerwona wersja wyglądałaby przy nim skromnie.

– Musisz wiedzieć, po co tu jestem. Nie chodzi o infiltrację. Chodzi o upadek Wspólnoty.

– Wspiąłeś się zbyt wysoko i leżysz w błocie.

– I to wszystko? – pytam z niedowierzaniem. – Tak po prostu w to wchodzisz?

Sevro prychnął.

– Spędziłem sześć miesięcy na dewastatorze, żeby do ciebie dotrzeć. Trzy miesiące lotu z Trytona po tym, jak Dancer pokazał mi prawdę. Czy byłem skonsternowany? Jak diabli. Mimo to wsiadłem na statek i miałem trzy



miesiące na zmianę zdania. A mimo to jestem tutaj. Myślę więc, że czas powątpiewania w moje zaangażowanie minął. Poza tym moi Złoci „bracia” próbowali mnie zabić, odkąd się urodziłem. – Rozgląda się, wciąż zakłopotany, mimo wszystkiego, co sobie powiedzieliśmy. Mimo pola zakłócającego. – Jedyni ludzie, którzy kiedykolwiek traktują mnie przyzwoicie, to ci, którzy nie mają ku temu powodu. PodKolory. Ty. Myślę, że czas się odwzajemnić.

– A co z pozostałymi? – naciskam. – Pestka? Błazen?

– To nie mój sekret, żeby się nim dzielić. Quinn by zrozumiała – mówi powoli, walcząc z czymś w sobie. – Reszta może by to jakoś przełknęła. Ale nie Oset. I nie Roque. Nawet za milion lat. Są za bardzo zakochani we własnym gatunku. Nie wiem, co myśleć o tej wysokiej, aroganckiej.

– O Victrze. A Mustang?

– Nie udzielam porad sercowych, dupku. – Wstaje. – Słuchaj, to, że jestem rewolucjonistą, nie znaczy, że nie mogę pójść na masaż do Różowej, prawda? Bo to by było chujowe.

– Nie wiem – odpowiadam ze śmiechem. – Szczerze mówiąc, sam się wciąż nad tym zastanawiam.

– Walić to. Idę na masaż. Mam wrażenie, że połamano mnie w krzyżu. – Odsłania krzywe zęby w uśmiechu. – Miłe uczucie. Dzięki temu wiem, że to jest dobre, Żniwiarzu. Mimo całego tego gówna. Tu czuję, że to jest dobre. – Puka się w wątlą pierś. – Czuję się... jak ty to mówisz... parszywie dobrze.

\*\*\*

Victra znajduje mnie, gdy już pożegnałem się z Sevro.

– Augustus mnie przysłał. Mam ci powiedzieć, że prywatna kabina Pana Popiołów należy do ciebie.

– Augustus daje mi największy pokój?

– Twój statek, twój łup, powiedział. Wiesz, jaką wagę przywiązuje do porządku.

– Mam nadzieję, że znasz drogę. Ja już się zgubiłem.

Kiwa ręką, żebym szedł za nią. W milczeniu przemierzamy korytarze. Nadal jestem zmęczony, ale szczęśliwy, bo wiem, że Sevro jest ze mną, Ares nadal we mnie wierzy, a Dancer wciąż gdzieś żyje. To balsam na duszę po bólu, jaki wywołała śmierć Quinn.

– Pewnie wiesz, że moja rodzina zdradziła arcygubernatora – odzywa się Victra.

– Słyszałem. Ale ty nadal jesteś z nami.

– Jak już powiedziałam: robię to, co chcę. Matka nie kontroluje ani mnie, ani moich kont, tak jak to robi z Antonią. – Uśmiecha się, przyglądając mi się z ukosa. – Lubię, kiedy jesteś taki.

– To znaczy jaki? – Śmieję się wbrew sobie. – Co masz na myśli?

– Nie wiem. Sprawiasz wrażenie spokojnego. Rozluźnionego. Mimo tego wszystkiego, co się stało.

– A ty sprawiasz wrażenie szczególnie miłej.

– Miłej? Osobliwa ułuda. Oboje wiemy, że daleko mi do miłej.

W milczeniu docieramy pod drzwi mojej kajuty. Oglądam się i widzę Ragnara idącego korytarzem za nami. Gdyby nie bandaż na jego ciele, w ogóle bym go nie zauważył. Daję mu znać, że może odejść.

W drzwiach spoglądam w wyniosłe oczy Victry.

– Mogłaś przysłać jakiś podKolor, żeby mi powiedział, że mam zająć tę kajutę.

– Wtedy bym cię nie zobaczyła.

– To jedyny powód?

Uśmiecha się szelmowsko.

– Myślę, że zachowam swoje sekrety. – Po chwili patrzy mi w twarz. – Ale martwię się o ciebie.

– O mnie? – Przewracam oczami. – W co ty pogrywasz?

– W nic – odpowiada urażona. – Ale z ciebie hipokryta.

– Ze mnie?

– Pamiętasz, jak Tactus odrzucił twoje skrzypce, bo nabrał podejrzeń, że chcesz czegoś od niego? Teraz ty traktujesz mnie tak samo. Tak jak wtedy, kiedy przyszedłam do ciebie w ogrodach na Lunie. Czy to takie trudne uwierzyć, że jestem twoją przyjaciółką i zależy mi na tobie? – Marszczy nos. – Przez ciebie robię się cikliwa, a nienawidzę tego.

– Przepraszam. Po prostu... – Próbuje znaleźć słowa odpowiednie dla tej wysokiej kobiety. Niewiele ich jest. W końcu wzruszam ramionami i mówię. – To trudne, kiedy wiem, że jesteś siostrą Antonii. Taka prawda.

– Ale ja nie jestem nią.

– Zdaję sobie z tego spra...

– Tak?

Dotyka mojej twarzy. Rozchyła pytająco usta. Przypominam sobie, jakie to było uczucie, poczuć jej wargi na swoich, zanim zostałem wystrzelony z wyrzutni. Dałem się jej wtedy pocałować. Nawet jeśli jest zimną kobietą, w sercu coś do mnie czuje. Coś innego niż Eo. Niż Mustang.

Odsuwam się delikatnie od jej ręki i kręcę głową.

– Dziwny z ciebie człowiek – mówi z lekkim westchnieniem.

Nie ma w niej już ani cienia słabości. Powraca szpon. Opiera się plecami i ugiętą w kolanie nogą o ścianę naprzeciwko mnie. Oczy jej się śmieją. Oto Victra, którą znam.

– Kochasz kobiety, ale nie cieszysz się naszym towarzystwem.

Rozchyła lekko usta, w ich kącikach pojawiają się zmarszczki od uśmiechu. Wbrew sobie wodzę wzrokiem po jej smukłej szyi, silnych, choć szczupłych ramionach, po wzniesieniu jej piersi. Świdruje mnie wzrokiem.

– A my możemy dać wiele radości – dodaje. – Masz pojęcie, jak miękka jest moja skóra?

Parskam śmiechem.

– Kpisz sobie ze mnie.

– Jak zawsze.

Victra jest przebiegła. Taka jej natura. Jednak na chwilę się odsłoniła. A ten widok... wszystko zmienił. Zabijam napięcie seksualne między nami w najlepszy znany mi sposób.

– Dobranoc, siostro – mówię i całuję ją w czoło.

– Siostro? Siostro? – Śmieje się lekceważąco, kiedy odchodzę. Potrzebuje chwili, ale woła jeszcze do mnie: – To dlatego, że uważasz mnie za nikczemną?

Odwracam się do niej.

– Nikczemną?

– To dlatego nigdy mnie nie chciałeś? – Urywa, dobierając ostrożnie słowa.

– Bo patrzysz na mnie z góry?

– Dlaczego tak myślisz? – pytam łagodnie.

Wzrusza ramionami i rozgląda się po korytarzu, nagle dziwnie niepewna.

– Nie... – Załamuje ręce, szukając właściwych słowa. Wskazuje na siebie.

– To mój sposób na przetrwanie, rozumiesz? Tego nauczyła mnie matka. To działa.

– A co powiesz na to, żebyśmy spróbowali czegoś nowego? – proponuję, podchodząc do niej z powrotem. Podaję jej rękę. – Jestem Darrow. W przeciwieństwie do tego, co powszechnie się uważa, nie jem szkła. Kocham muzykę, taniec i bardzo lubię świeże owoce, w szczególności truskawki.

Parska śmiechem.

– To takie głupie. Przedstawiamy się sobie na nowo?

– Bez zbroi. Po prostu dwoje ludzi. Czekam – odpowiadam żartobliwie.

Przewraca oczami, robi krok naprzód, rozgląda się po korytarzu. Podnosi rękę, walczy z dziecinnym uśmieszkiem.

– Victra. Lubię zapach kamieni po deszczu. – Krzywi się i czerwieni. – I... nie śmieję się. Naprawdę nienawidzę złotego koloru. Zielony lepiej współgra z moją cerą.

\*\*\*

Nie mogę spać. Ciała tych, których zostawiłem za sobą, unoszą się ze mną w ciemności. Budzę się kilkanaście razy, rozbłyśki bomb, ciosy mieczy wdzierają się do moich snów. Zasłużyłem na te bezsenne noce. Wiem to i przez to jest mi jeszcze trudniej.

Wstaję i krążę po mojej nowej kwaterze, zdumiewając się jej przestronnością. Sześć pokoiów. Mała sala gimnastyczna. Ogromna łazienka. Gabinet. Wszystko należało do człowieka, który spalił księżyc. Do ojca Furii. Jak mógłbym spać w takim pokoju? Wyjmuję z kieszeni wisioerek z pegazem, prawie zapominając, że to bomba radowa.

Wędrując jak duch po korytarzach statku, oglądam się za siebie, ciekaw, czy Ragnar chodzi za mną. Kazałem mu iść spać, ale nie znam jego nastrojów, nie wiem, jak myśli, co robi nocami. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Przechodzę korytarzami wśród przygaszonych świateł, mijam Pomarańczowych techników i Niebieskich operatorów systemów, którzy cichną i pochylają się na mój widok. Zmierzam do trzewi statku, gdzie Złoci nigdy się nie zapuszczają. Sufity są tu niższe, przeznaczone dla Czerwonych robotników i Brązowych woźnych. Ten statek to miasto. Wyspa. Są tu obecne wszystkie Kolory. Przypominam sobie listę. Tysiące stanowisk. Miliony ruchomych części. Przyglądam się panelowi konserwacyjnemu. A gdyby tak pracujący tu Pomarańczowi doprowadzili do jego przeciążenia? Co by się stało? Nie wiem. Założę się, że niewielu Złotych to wie. Zapamiętuję to sobie.

Idę dalej, głód kieruje mnie do stołówki. Jedzenie spokojnie dostarczono by mi do kajuty, ale jeszcze nie mam służącego. Poza tym nie cierpię, gdy ktoś mi służy. W stołówce widzę, że ktoś jeszcze nie może spać tak jak ja i siedzi przy długim, metalowym stole.

Mustang.

## Jajka na bekonie

Siadam naprzeciwko niej.

– Nie możesz spać? – pytam.

Stuka się kostkami dłoni w skroń.

– Strasznie dużo rzeczy się tam tłucze. – Kiwa głową w kierunku kuchni. Słysząc brzęk patelni. – Kucharz wychodzi z siebie. Myśli, że potrzebuję uczty. Powiedziałam mu, że chcę tylko jajka na bekonie, ale jestem prawie pewna, że całkowicie to zlekceważył. Mamrotał coś na temat bażanta. Ma ziemski akcent. Trudno go zrozumieć.

Chwilę potem Brązowy kucharz wychodzi chwiejnie z kuchni. Niesie tacę nie tylko z jajkami i bekonem, ale także dyniowymi goframi, peklowaną szynką, serem, kielbaskami, owocami i tuzinem innych naczyń. Bażanta nie ma. Widząc mnie, zerka na stos gofrów. Przeprasza za coś, odstawia tacę i znika, żeby wrócić po chwili z jeszcze większą ilością jedzenia.

– Jak myślisz, ile my jemy? – pytam go.

On tylko na mnie patrzy.

– Dziękujemy – mówi Mustang.

Kucharz mamrocze coś niesłyszalnie i cofa się w ukłonach.

– Pan Popiołów chyba trochę się od nas różnił – zauważam. Mustang podsuwa mi owoce. – Myślałem, że nie lubisz bekonu – dodaje.

Wzrusza ramionami.

– Codziennie rano jadłam go na Lunie. – Delikatnie smaruje masłem gofry.

– Przypominał mi o tobie. – Stara się nie patrzeć mi w oczy. – Dlaczego nie możesz spać?

– Nie jestem w tym dobry.

– Nigdy nie byłeś. Chyba że masz dziurę w brzuchu. Wtedy śpisz jak dziecko.

Śmieję się.

– Śpiączka się raczej nie liczy.

Rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o tym, o czym powinniśmy. Niewinni i cisi, jak dwie ćmy tańczące wokół tego samego płomienia.

– To niesamowite, jak wielkie są łóżka nawet na statkach kosmicznych – mówi Mustang. – Moje jest olbrzymie. Za duże, tak naprawdę.

– No właśnie! Nareszcie ktoś się ze mną zgadza. Przez połowę czasu śpię na podłodze.

– Ty też? – Kręci głową. – Czasem słyszę hałasy i śpię w szafie, bo myślę, że jeśli ktoś po mnie przyjdzie, to tam nie zajrzy.

– Też tak robiłem. Naprawdę pomaga.

– Chyba że szafa jest tak duża, że rodzina Obsydianowych by się w niej zmieściła. Wtedy nadal jest źle. – Marszczy nagle brwi. – Ciekawe, czy Obsydianowi się tulą.

– Nie.

Unosi brwi.

– Sprawdzaleś?

Dojadam garść truskawek i wzruszam ramionami, kiedy Mustang marszczy brwi na widok moich manier.

– Obsydianowi uznają trzy rodzaje dotyku. Dotyk Wiosny. Dotyk Lata. Dotyk Zimy. Po Mrocznej Rewolcie, kiedy zbuntowali się przeciwko żelaznym przodkom, Komisja Kontroli Jakości rozważała, czy nie zniszczyć całego ich Koloru. Jak wiesz, dali im religię i ukradli technikę. Jednakże przede wszystkim chcieli zabić niewiarygodną więź łączącą Obsydianowych. Dlatego pouczyli przekupionych szamanów plemiennych, że mają ostrzegać przed dotykiem, twierdząc, że osłabia ducha. Teraz Obsydianowi dotykają się podczas seksu. Dotykają się, żeby zapobiec śmierci. I żeby zabić. Nie ma przytulania. – Widzę, że patrzy na mnie z uśmieszkiem. – Ale ty, rzecz jasna, już to wiedziałas.

– Wiedziałam. – Uśmiecha się. – Ale czasem miło przypomnieć sobie, ile różnych rzeczy kłębi się w tobie.

– Aha. – Odwracam wzrok, kiedy próbuje spojrzeć mi w oczy.

– Zapomniałam, że potrafisz się rumienić! – Obserwuje mnie przez chwilę. – Pewnie tego nie wiesz, ale jedna z moich rozpraw na Lunie skupiała się na błędach w socjologicznej manipulacji teorematami, jakimi posługuje się Komisja Kontroli Jakości. – Kroj ostrożnie kiełbaskę. – Uważam je za krótkowzroczne. Na przykład chemiczna sterylizacja gatunku Różowych doprowadziła do dramatycznie wysokiej liczby samobójstw w Ogrodach.

Dramatycznie. Większość powiedziałyby, że to przejaw niekompetencji, a nie dramat.

– Prawa konserwujące hierarchię są tak surowe i sztywne, że pewnego dnia to wszystko popęka. Za pięćdziesiąt lat? Za sto? Kto wie? Studiowaliśmy pewien przypadek: Złota zakochała się w Obsydianowym. Kazali czarnorynkowemu Rzeźbiarzowi przekształcić ich organy rozrodcze tak, żeby jego nasienie było kompatybilne z jej jajeczkami. Znalezione ich i skazano,

a ich Rzeźbiarzy zabito. Jednakże podobne rzeczy się zdarzają, w przeszłości zdarzyły się już sto razy. Tysiąc. Po prostu są usuwane z zapisków.

– To potworne.

– I piękne.

– Piękne? – pytam z odrazą.

– Nikt nie wie o tych ludziach. Nikt poza garstką Złotych, którzy mają dostęp do tych informacji. Ludzki duch raz za razem próbuje się wyrwać na wolność, i to nie z nienawiści, jak w czasie Mrocznej Rewolty, ale dla miłości. Nie naśladują innych. Nie inspirują ich ci, którzy byli przed nimi. Każde z nich jest gotowe z własnej woli zaryzykować, myśląc, że jest pierwsze. To odwaga. I ta odwaga jest częścią tego, co czyni nas ludźmi.

Odwaga. Czy powiedziałaaby tak, gdyby wiedziała, że jeden z takich właśnie ludzi siedzi naprzeciwko niej? Czy żyje w świecie teorii, o którym mówiła Harmony? Czy może naprawdę potrafiłaby zrozumieć...

– Zastanawiam się więc, ile czasu minie – ciągnie – zanim taka grupa jak Synowie Aresa znajdzie te zapiski i je nagłośni? Zrobili to w przypadku Persefony. Dziewczyny, która śpiewała. To tylko kwestia czasu. – Urywa, mrużąc oczy, kiedy odruchowo reaguję na wzmiankę o Eo. – Co się stało?

Nie mogę jej powiedzieć, o czym myślę, więc kłamię:

– Rozprawy. Socjologia. Ty i ja specjalizujemy się w różnych rzeczach. Zawsze zastanawiałem się, jak wygląda twoje życie na Lunie.

Przygląda mi się z rozbawieniem.

– O, to jednak myślałeś o mnie?

– Być może.

– Dniem i nocą? Co Mustang ma na sobie? O czym marzy? Jakiego chłopca całuje... – Krzywi się przy tym ostatnim zdaniu. – Darrow, chcę ci coś wyjaśnić.

– Nie musisz. – Zbywam ją gestem.

– Z Cassiusem...

– Mustang, nie jesteś mi nic winna. Nie byłaś moja. Nie jesteś moja. Możesz robić, co zechcesz, kiedy zechcesz i z kim zechcesz. – Zawieszam głos. – Nawet jeśli to jest jakiś przeklęty dupek.

Parska śmiechem, ale jej wesołość gaśnie równie szybko, jak nadeszła. W jej oczach widzę ból. W rozchyłonych ustach. Widelec i nóż zatrzymują się nad zapomnianym talerzem. Spuszcza wzrok i kręci głową.

– Chciałam, żeby było inaczej – mruczy. – Przecież wiesz.

– Mustang...

Kładę rękę na jej nadgarstku. Mimo jej siły wydaje się kruchy w moich rękach. Kruchy jak tej drugiej dziewczyny, kiedy trzymałem ją za rękę

w kopalni. Tamtej nie zdołałem pomóc. Teraz mam wrażenie, że tej również nie mogę. Gdyby tylko moje ręce zostały stworzone do budowania. Wiedziałbym, co powiedzieć. Co zrobić. Może w innym życiu byłbym takim człowiekiem. W tym jednak moje słowa są takie jak moje ręce – niezręczne. Potrafią tylko ranić. Tylko niszczyć.

– Chyba wiem, co czujesz...

Zabiera gwałtownie rękę.

– Co czuję?

– Nie miałem na myśli... – Urywam, słysząc hałas.

Podnosimy wzrok, a tam stoi kucharz z kolejną tacą. Podchodzi na paluszkach, stawia ją i wychodzi z pomieszczenia tyłem, niezręcznie.

– Darrow. Zamknij się i posłuchaj. – Mustang wpatruje się we mnie żarliwie przez pasma włosów, która opadły jej na twarz. – Chcesz wiedzieć, jak się czuję? To ci to powiem głośno i wyraźnie. Przez całe życie uczono mnie, żeby stawiać rodzinę ponad wszystko inne. To, co się wydarzyło z moim bratem w Instytucie... kiedy oddałam go tobie... przekreśliłam wtedy całe swoje wychowanie. Myślałam jednak, że ty... – bierze głęboki wdech, pod koniec którego pojawia się drżenie – ...jesteś osobą, która zapracowała na moją wierność. I myślałam, że to będzie o wiele ważniejsze, gdy ofiaruję ją w tamtej chwili tobie, a nie Adriusowi, który nigdy dla mnie nawet palcem nie kiwnął. Wiedziałam, że postępuję słusznie, ale to oznaczało odrzucenie mojego ojca i wszystkiego, czego mnie nauczył. Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy? Łamał całe rody z taką łatwością, z jaką inni ludzie łamią patyczki. Ma niewyobrażalną władzę. Ale to nie koniec. To człowiek, który nauczył mnie jeździć konno, czytać wiersze, a nie tylko historie wojskowe. To on stał przy mnie i pozwalał mi samej się podnieść, gdy upadałam. To on nie mógł na mnie spojrzeć przez trzy lata po śmierci mojej matki. Tego człowieka odrzuciłam dla ciebie. Nie – poprawia się. – Nie dla ciebie. Dla innego życia. Dla życia, w którym chodzi o coś więcej, coś więcej niż duma. W Instytucie oboje postanowiliśmy złamać reguły, być przyzwoitymi ludźmi w przerażającym miejscu. Stworzyliśmy więc armię lojalnych przyjaciół zamiast niewolników. Zdecydowaliśmy się być lepsi. A potem splunąłeś temu wszystkiemu w twarz, kiedy wyjechałeś, żeby zostać jednym z zabójców w służbie mojego ojca. – Ucisza moje protesty, unosząc wyprostowany palec. – Nie. Nic nie mów. To nie jest twoja kolej tylko dlatego, że zrobiłam pauzę.

Bez pośpiechu zbiera myśli. Odsuwa talerz.

– Teraz jestem pewna, że rozumiesz, że czułam się zagubiona. Po pierwsze, myślałam, że znalazłam w tobie kogoś wyjątkowego. Po drugie, czułam, że porzucasz ideę, która pozwoliła nam podbić Olimp. Powiedzmy, że poczułam



się bezbronna. Samotna. I że być może wpadłam do łóżka Cassiusa, bo byłam zraniona i szukałam balsamu na mój ból. Możesz to sobie wyobrazić? Teraz możesz odpowiedzieć.

Wiercę się na poduszce.

– Chyba tak.

– Dobrze. A teraz wsadź sobie to wyobrażenie w dupę. – Zaciska usta w linię. – Nie jestem pierwszą lepszą puszczałką w falbankach. Jestem geniuszem. Mówię to, bo takie są fakty. Jestem bystrzejsza od każdej osoby, jaką kiedykolwiek spotkasz, z wyjątkiem mojego brata bliźniaka. Moje serce nie sprawia, że mózg mi się wyłącza. Szukałam związku z Cassiusem z tego samego powodu, dla którego pozwoliłam Suwerence myśleć, że zwraca mnie przeciwko mojemu ojcu: żeby chronić moją rodzinę. – Spuszcza wzrok na jedzenie. – Zawsze potrafiłam manipulować ludźmi. Mężczyznami, kobietami, żadna różnica. Cassius był chodzącą raną, Darrow, otwartą i krwawiącą, chociaż minęły dwa lata, odkąd zabiłeś Juliana. Natychmiast to w nim dostrzegłam i wiedziałam, co muszę zrobić, żeby mnie pokochał. Dałam mu kogoś, kto go wysłucha; kto wypełni pustkę.

Surowość jej twarzy łagodnieje. Rozgląda się, jakby mogła uciec przed rozmową, którą zaczęła. Byłbym szczęśliwszy, gdy zamilkła.

– Przeze mnie zaczął myśleć, że nie może beze mnie żyć. Wiedziałam, że to jedyne, co może zapewnić bezpieczeństwo reszcie mojego domu, najlepsza broń, jaką mam w tej grze. Mimo to... czułam się taka zimna. Taka potworna. Jakbym była okrutną wiedźmą, która zastawiła sidła na Odyseusza, sprawiła, że się zakochał, i trzymała go dla własnych egoistycznych celów. To wydawało się takie logiczne. A kiedy mnie obejmował, miałam wrażenie, że tonę. Jakbym gubiła się, dusiła pod ciężarem wszystkiego, co zrobiłam, wiedząc, że czeka mnie życie z kimś, kogo ja nie kocham. Tyle że chodziło o moją rodzinę. O ludzi, których kocham bardziej, niż na to zasługują. Wielu poświęciło znacznie więcej. Ja mogłam poświęcić chociaż tyle. – Kręci głową, łzy, które napływają jej do oczu, są lustrzanym odbiciem tych, które stają w moich. I płyną, kiedy mówi dalej: – A potem ty wszedłeś na galę... i odniosłam wrażenie, że ziemia rozwarła się pode mną i mnie połknęła. Czułam się jak oszustka. Występna dziewczyna, która dorabia usprawiedliwienia do czegoś głupiego. – Próbuje otrzeć łzy. – Nie rozumiesz, dlaczego to zrobiłam? Nie chciałam, żebyś umarł. Nie chcę, żebyś umarł. Jak mój brat, Claudius. Jak Pax. Zrobiłabym wszystko, żeby temu zapobiec.

– Ja mogę temu zapobiec.

– Nie jesteś niezwyciężony, Darrow. Wiem, wydaje ci się, że jesteś. Jednak pewnego dnia przekonasz się, że nie jesteś tak silny, jak myślisz, i zostanę

sama.

Milknie, kiedy wszystko, co tłumiła w sobie, w końcu wyrywa się na wolność. Nie szlocha. Ale łzy płyną. Należy do kobiet, które łzy wprawiają w zakłopotanie.

Boli mnie ten widok.

– Nie jesteś niegodziwa. – Biorę ją za rękę. – Nie jesteś okrutna.

Kręci głową, próbując zabrać rękę. Ujmuję ją za szczękę palcami prawej dłoni i odchylam jej głowę tak, żeby spojrzała mi w oczy.

– A to, co robisz dla ludzi, których kochasz, nie podlega osądowi. Rozumiesz? Rozumiesz? – Powtarzam z naciskiem.

Kiwa głową.

Nie powinno tak być. Złoci mają wszystko, a jednak żądają ofiar nawet od swoich. To miejsce jest chore. To imperium się rozpada. Pożera własnych królów i królowe z takim samym głodem jak nędzarzy, którzy obrabiają jego ziemię. Nie oddam mu jednak tej kobiety, tak jak oddałem dziewczynę, którą potem pochowałem. Nie pozwolę mu jej pożreć. Nie pozwolę, żeby pożarło moją rodzinę w Lykos. Zniszczę je, choćby za cenę własnego życia.

Kciukiem ocieram jej łzy. Jest inna od swoich pobratymców. A gdy próbuje postępować jak oni, to łamie jej serce do żywego. Kiedy patrzę na nią, wiem, że się myliłem. Nie jest czymś, co rozprasza moją uwagę. Nie stanowi zagrożenia dla mojej misji. Jest jej celem. Nie mogę jednak jej pocałować. Nie teraz, gdy muszę złamać jej serce po to, by zniszczyć imperium. To byłoby nie w porządku. Zakochałem się w niej, ale ona zna tylko moje kłamstwa.

– Nie możesz mu ufać – odzywa się cicho.

– Komu? – pytam zaskoczony.

– Mojemu bratu – szepcze, jakby Szakal chował się za rogiem. – Nie jest takim człowiekiem jak ty. Jest inny. Kiedy patrzy na nas, kiedy patrzy na ludzi, widzi worki kości i mięsa. Nie istniejemy dla niego naprawdę. – Marszczy brwi, ściskając mi rękę. – Darrow, posłuchaj mnie, to potwór, o którym ludzie nie wiedzą, jak pisać historie. Nie możesz mu ufać.

Mówi to w taki sposób, że dociera do mnie, że rozumie nasz pakt.

– Nie ufam mu, ale go potrzebuję.

– Możemy wygrać tę wojnę bez niego.

– A myślałem, że według ciebie nie jestem dość silny.

– Bo nie jesteś. – Uśmiecha się. – Nie sam. – przywdziewa na twarz ten swój charakterystyczny, krzywy uśmieszek. – Potrzebujesz mnie.

Gdyby to było takie proste.

\*\*\*

Niewiele później zostawiam ją i wracam do siebie. Na korytarzu jest cicho, czuję się jak cień szybujący w metalowym królestwie. Nie wiem, jak przyjąć jej pomoc ani jak sobie z nią poradzić. Jej widok z Cassiusem zranił mnie bardziej, niż kiedykolwiek to przyznam, i częśćka mnie wie, że nie wszystko z tego mogło być manipulacją. Cassius nigdy nie był potworem, a jeśli się nim stanie, to wiem, że z mojej winy.

\*\*\*

Drzwi do mojej kajuty otwierają się z sykiem. Czyjaś dłoń ląduje na moim ramieniu. Odwracam się i widzę pierś Ragnara. Nawet go nie słyszałem.

– **W środku ktoś oddycha.**

– Pewnie Theodora. To moja Różowa zarządczyni. Polubisz ją.

– **To Żółty oddech.**

Kiwam głową. Nie pytam, skąd wie. Zdejmuję z ręki brzytwę, która z szeptem zamienia się w miecz, gdy wchodzę do wewnątrz. Światła są włączone, ale przygaszone. Przeszukujemy z Ragnarem pokoje. Znajduję Szakala w moim salonie z kieliszkiem sherry w ręce. Śmieje się na widok naszej broni.

– Przyznaję, że prezentuję się dość groźnie.

Ma na sobie szlafrok i kapcie.

Odsyłam Ragnara. Z racji ran powinien odpoczywać. Wychodzi, choć niechętnie.

– Wygląda na to, że nikt nie śpi na tym statku – mówię, siadając na kanapie obok Szakala. – Chyba powinniśmy trochę przekształcić naszą umowę.

– Lubisz niedopowiedzenia, co? – Wypija łyczek sherry i wzdycha. – Myślałem, że utonę w tej przeklętej lagunie. Zawsze myślałem, że zgine wielką, wspaniałą śmiercią. Wystrzelony w słońce. Ścięty przez politycznego wroga. A gdy przyszło co do czego... – Wzdraga się, sprawia wrażenie bardzo chłopięcego i kruchego. – To był obojętny chłód. Jak w Instytucie, w tamtej kopalni, gdy kamienie spadały wokół mnie.

Ma rację, nie ma ciepła w śmierci. Płakałem jak dziecko, kiedy myślałem, że umieram po tym, jak dźgnął mnie Cassius.

– Oczywiście nasza strategia się zmienia, ale nie uważam, żeby konieczne były zmiany w naszym przymierzu.

– Zgadza się – potakuję. – Będziemy potrzebowali twoich szpiegów bardziej niż dotąd. Pliniusz nie przełknie gładko mojego awansu. Ty ugrzęźłeś na dworze ojca. Politikos spróbuje usunąć nas obu.

Nie wspominam o Synach Aresa. Tak jak się domyślałem, poszli w zapomnienie, kiedy tylko rozlałem wino na kolana Cassiusa.

– Pliniusz będzie musiał odejść. Jednak my dwaj powinniśmy zachować dystans, żeby nie uznał, iż zjednoczyliśmy się przeciwko niemu. Lepiej, żeby nie orientował się w naszych osobistych zasobach.

– I żeby Telemanusowie nadal ze mną rozmawiali – dodaję.

– Racja. Chcą mojej śmierci.

– I słusznie.

– Nie mam im tego za złe, to po prostu cholernie niewygodne. – Podaje mi holoKamerę wyjętą z kieszeni. – Są zsynchronizowane. Wezwę swoje statki, żeby wyleciały nam na spotkanie. Podejrzewam, że ty zostaniesz tutaj ze swoją nową zdobyczą. Nie miałyby to sensu, gdyby promy latały w tę i z powrotem.

Chcę go zapytać o Leto. Dlaczego go zabił. Ale po co pokazywać diabłu, że znasz jego siłę? Wtedy stanę się dla niego tylko zagrożeniem. A widziałem już, co robi z zagrożeniami. Lepiej udawać ignoranta i pilnować, żebym był dla niego użyteczny.

– Wojna przedstawia sobą wiele okazji – zauważam. – Zależnie od tego, jak daleko chcemy, żeby sięgnęła...

– Chyba rozumiem, co masz na myśli.

– Pozostali będą próbowali zdławić płomienie i zachować to, co mamy. Zwłaszcza Pliniusz i twoja siostra.

– Musimy więc być sprytniejsi.

– Jej nie może stać się krzywda. Ta część naszej umowy pozostaje niezmienna.

– Jeśli kiedykolwiek zostanie zraniona, to myślę, że przez ciebie, a nie przeze mnie. – Może mieć rację. – Zgadza się jednak: trzeba podsycać płomienie. Rozdmuchać wojnę. Wygrać ją. I zagarnąć łupy.

– A ja chyba wiem, jak to zrobić. Co twoi informatorzy mogą mi powiedzieć na temat stoczni na Ganimesie?

## CZĘŚĆ III

### **Podbój**

Kiedy pada Żelazny Deszcz, bądź dzielny. Bądź dzielny.

Lorn au Arcos

## Pretorzy

– Jesteśmy skończeni. Oto co powiedział arcygubernator Kallisto. – Arcygubernator Nero au Augustus rozgląda się wokół stołu, żeby przekonać się, czy rozumiemy powagę jego słów. Światło w sali narad na statku wydobywa orle rysy jego twarzy, podkreśla zapadnięte policzki. Wygląda przez to jak sokół patrzący na nas z góry. – I czemu miałoby być inaczej? Rdzeń gromadzi siły przeciwko nam. Neptun jest daleko na swojej orbicie, statki Vespasiana będą potrzebowały sześciu miesięcy, żeby dotrzeć do nas ze wsparciem. A tymczasem moi hołdownicy chowają się za tarczami w swoich miastach na Marsie, wysyłając nam na pomoc drugich i trzecich synów. – Patrzy na dwóch uczestników spotkania siedzących przy końcu stołu. – Ich słabość nas hamuje. A ja siedzę teraz na naradzie z moimi pretorami i zbrojnymi i jaki wielki plan mi przedstawiają?

Ucieczkę. To właśnie doradzają. Miesiąc temu uciekliśmy z Luny i od tamtej pory nie przestajemy uciekać, bo Suwerenka była przebiegła i jej siły uprzedziły nas w drodze na Marsa.

Nie tego się spodziewałem. Z drugiej strony – w żaden sposób nie jest to moja wina. Arcygubernatora otaczają parszywi ostrożni głupcy, Złoci, którzy za bardzo obawiają się utraty przychylności i bogactwa, jakie zdobyli w przeszłości, żeby podjąć teraz jakiekolwiek ryzyko. Gorzej, że próbują mnie wypchnąć. Formują przeciwko mnie sojusze. Widać to w ich oczach, w ich ramionach. Mój zysk to ich strata. Nawet ci, którzy szli za mną na Lunie. Nawet ci, których uratowałem przed pewną śmiercią. To samo robią z Szakalem i uważają, że to zwycięstwo, bo nie siedzi w tej sali i nie wyklóca się z nimi. Ich błąd.

Siedzę dziesięć miejsc od mojego pana przy potężnym dębowym stole w sali narad wojennych na jego okręcie flagowym, sześciokilometrowym drednocie Invictus. Sufit znajduje się czterdzieści metrów nad nami. Sala jest przesadnie wspaniała i olśniewająca. Płaskorzeźba lwa gromi nas wzrokiem ze środka stołu. Czterdzieści miejsc jest wolnych. Zaufani doradcy przepadli, porzucili Augustusa jak szczury tonący okręt. Zostali z nami Pliniusz, pretor Kavax, jego syn Daxo, pięćdziesięciu najpotężniejszych pretorów Augustusa, legatów i hołdowników. Oni nie piorunują mnie wzrokiem, nie bawią się

w taką dziecinadę. Ci Złoci rządzą ponad miliardem dusz. Dlatego zwyczajnie mnie ignorują i podsycają zwątpienie w moje pomysły.

– Zgadza się więc z arcygubernatorem Kallisto? Jesteśmy skończeni? – dopytuje się Augustus.

Zanim ktokolwiek odpowie, wielkie drzwi otwierają się z sykiem, ich skrzydła wsuwają się w głąb marmurowych ścian. Wchodzi Mustang. Podrzuca jabłko w dłoń.

– Przepraszam za spóźnienie! – Uśmiecha się promiennie do ojca, podchodzi do niego i cokolwiek ostentacyjnie całuje go w sygnet z lwią głową.

– Wysłałem wiadomość ponad godzinę temu – mówi Augustus.

– Tak? – Mustang zerka na Pliniusza. – Musiałam to przegapić. Dowiedziałam się, że tu jesteś, tylko dzięki temu, że poszłam szukać brata, żeby zagrać z nim w szachy.

Śmieje się ze swojego żartu. Tylko Telemanusowie go rozumieją. Mustang wzdycha i przechodzi na przeciwległy kraniec stołu, ściskając po drodze ramiona Kavaxa i Daxo. Kavax wita ją dudniącymi, ciepłymi słowami. Mustang siada i kładzie wojskowe buty na blacie.

– Przegapiłam coś? Oczywiście, że nie. Jak zwykle się wahacie?

Jej ojcu drga nerwowo policzek.

– To nie stajnia.

Patrzy na jej buty. Mustang z westchnieniem spuszcza nogi i poleruje jabłko o czarny rękaw.

Jest jedną z nielicznych kobiet w sali. Agrippina au Julii powinna tu być, ale to jej zdrada pozbawiła flotę Augustusa okrętów koniecznych do szybkiego zajęcia Marsa. To jej zdrada sprawiła, że kazał ludziom pilnować Victry i upewnić się, że naprawdę jest mu wierna. Musiałem wykorzystać prawie cały swój wpływ na niego, żeby nie wtrącił jej do aresztu.

Przepędzili nas ze światów Rdzenia tutaj, daleko poza orbitę Marsa. Nasze kopalnie w pasie asteroid zostały przejęte, aktywa Augustusa zamrożone. W jego miastach ci, którzy jeszcze się nie poddali Suwerence, przeżywają oblężenie. Nie wspominając już o nagrodach wyznaczonych za ich głowy. Staruszkom nie podoba się to, że nagroda za moją głowę jest druga co do wielkości, zaraz po Augustusie.

– Zanim nam przerwano – podejmuje arcygubernator – ktoś chyba uzasadniał właśnie swoje stano...

Chrup.

To Mustang wgryza się głośno w jabłko. Augustus urywa w pół zdania. Dziewczyna rozgląda się po rozniewanych twarzach. Z trudem powstrzymuje

śmiech.

– Mój panie. – Pliniusz pochyla się do przodu. – Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia jak kontynuować nasz strategiczny odwrót. Jeśli taka sytuacja będzie się przeciągać, przegramy. A ty, mój panie, będziesz sądzony za...

Chrup.

Wzdryga się, zanim dokończy:

– Zdradę. – Patrzy po swoich przekupionych sprzymierzeńcach. – To jedyna ścieżka, jaka nam została.

– Uciekać z naszą flotą, dopóki nie przybędą z Neptuna posiłki Vespasiana – mruczy Augustus. – Za sześć miesięcy.

Politikos kiwa głową.

– Albo się poddać.

– Szkoda, że nie zabiłeś Octavii, kiedy miałeś okazję – mówi Kavax.

– Wtedy wszyscy tutaj byliby martwi – odpowiadam.

Daxo kiwa głową.

– Ojciec nie miał niczego złego na myśli, po prostu się rozmarzył.

– Dlaczego właściwie jej nie zabiłeś? – Pliniusz mruży oczy, patrząc na mnie sceptycznie.

– Nie mogłem. Siedziałem w pokoju z Ają au Grimmus. Może gdybyś ty tam był, lepiej byś się sprawił, ale ja jestem zwykłym śmiertelnikiem.

Pretorzy, którzy znają się na rzeczy, śmieją się w głos.

– Nawet Lorn au Arcos nie ośmieliłby się tego zrobić – mruczy Augustus. – A widziałem na własne oczy, jak zabił Splamionego brzytwą. Darrow zrobił, co mógł. – Skupia uwagę na mnie. – Ty też uważasz, że powinniśmy uciekać?

– Ucieczka sprawi, że wyjdiesz na słabego.

– Jesteśmy słabi – odpowiada Pliniusz – ale dzięki ucieczce wydamy się mądrzy.

– Mądrzy ludzie czytają książki historyczne, Pliniuszu. Ale to silni je piszą.

– Przestań cytować Lorna au Arcos! – warczy Pliniusz.

– Myślałem, że będziesz otwarty na wszelką wiedzę.

– Twoje długie lata życia bez wątpienia uczyniły cię autorytetem w wielu kwestiach – odpowiada melodyjnie. – Powtórz więcej maksym starych wojowników, abyśmy mogli poznać lepiej życie i mądrość.

– Tu nie chodzi o mnie, kochany Pliniuszu, więc odpuść sobie te wszystkie argumentum ad hominem. – Wskazuję arcygubernatora. – Tu chodzi o naszego pana. O jego los.

– Jakże teatralnym gestem nam o tym przypominasz. – Augustus pociera oczy, zmęczony naszymi sporami.



– Młodzi nic na to nie poradzą, że rwą się do działania – mówi Pliniusz – ale musimy pamiętać, że nie ma wstydu w rozwadze. Sześciomiesięczna zwłoka to niewygórowana cena za zwycięstwo. – Rozkłada dłonie o długich palcach. – Powiem więcej: czas pracuje dla nas. Octavii nie stać na szukanie nas w całym Układzie Słonecznym. Nie teraz, kiedy ma w domu podzielony senat. Jej zachłanna dłoń będzie niczym z żelaza. Będzie orać po grzbietach innych arcygubernatorów i wkrótce ci, którzy początkowo ją popierali, zaczną się burzyć przeciw jej rozkazom. Przekonają się, dlaczego z nią walczymy: ponieważ nie jest naszą reprezentantką, ale naszą cesarzową. To nam zapewni konieczny czas. A on z kolei da nam siłę. Dzięki temu będziemy mogli domagać się jakże pożądanego dla nas pokoju.

Pretor Kavax wali pięścią w stół.

– Szczuć na to.

To tytan, nie człowiek, bardziej wyrzeźbiony ze skały niż z ciała. Szyję ma tak grubą, że nie zdołałbym objąć jej obiema dłońmi. W przeciwieństwie do większości Złotych goli głowę i zapuszcza brodę, która jest gęsta i ufarbowana na krwistoczerwono. W słabym świetle jarzy się jak piętno pośród nocy. Kavax ma tylko trzy place u lewej ręki. Mówi się, że to jego syn, Daxo, odgryzł mu je jako dziecko. Tyle że Daxo zawsze się uśmiecha, a jego łagodny głos sugeruje, że to raczej sprawka jego młodszego brata, Paxa. Telemanusowie to jedyni pretorzy na sali, którzy nie są w taki czy inny sposób dłużnikami Pliniusza. Lubię Kavaxa.

– Klejnoty mi się kurczą. Klejnoty mi się kurczą, od tej gadaniny Piksów – szydzi Kavax. – Nie powinniśmy znajdować się w takiej pozycji. Odpraw mnie, panie, a zbiorę tysiąc moich ludzi, żeby porozmawiać z tchórzami, którzy nie odpowiedzieli na twoje wezwanie. Wybacz, kochaniutki – szepcze do swojego ulubionego lisa, Sofoklesa.

Rudo-złote stworzenie o spiczastych uszach wzdryga się na dźwięk donośnego głosu swojego pana. Sofokles zajada małe żelki z potężnej dłoni ręki Kavaxa.

Czekamy, aż Kavax wróci do przerwanej kwestii.

– Co mówiłeś, Kavaksie? – ciągnie go za język Augustus, posyłając mu uśmiech zarezerwowany dla swoich ulubieńców.

– Ojczy. – Daxo szturcha wielkoluda.

Zaskoczony Kavax podnosi wzrok.

– A, tak. A kiedy już urwę im jaja i powieszę im je na uszach, pozostali przypomną sobie, że jesteś władcą Marsa i będą prosić, żeby mogli przyjść ci z pomocą, Nero.

Usatysfakcjonowany wraca do karmienia Sofoklesa żelkami.

– I będę wiedzieli, że my nieliczni okazaliśmy się naprawdę wierni – dodaje szybko Daxo.

Wskazuje siedzących przy stole Złotych, którzy kiwają z wdzięcznością głowami. Daxo ssie kawałek cynamonu. Uśmiecha się nawet częściej od Paxa, chociaż o połowę mniej wytwornie i dwa razy bardziej szelmowsko. Jedyne raz, kiedy widziałem, jak pochmurnieje, to gdy zobaczył Szakala na gali.

Ta uraza nigdy nie osłabnie. I nie powinna. Szakał odebrał im Paxa. W odpowiedzi Telemanusowie zażądali jego głowy. Augustus przegnał więc Szakala z Marsa. Teraz jednak wojna wniosła nowe komplikacje, nowe okoliczności i potrzeby. I wygląda na to, że ojciec wybaczył Szakalowi, nawet jeśli Telemanusowie tego nie zrobili. Obserwuję ich uważnie. Nie są głupi, mimo pozorów, jakie wokół roztaczają. Mam tylko nadzieję, że nie dowiedzą się o moim sojuszu z zabójcą ich syna i brata.

– Wszystkim powinno się przypomnieć, że raz złożony hołd obowiązuje i nie można odrzucić go lekką ręką – kończy Daxo zdumiewająco serdecznym głosem. – Wizyta mojego ojca lub siostry przypomniałaby pozostałym hołdownikom o ich obowiązkach w czasie wojny. – Przechyliła żartobliwie głowę, pozwalając nam podziwiać wspaniałe rzemiosło w postaci złotych aniołów wygrawerowanych na jego czaszce. – Telemanusowie z natury rzeczy robią wrażenie. Może to powiększy nasze szeregi.

– Moi gromowładni lordowie. – Augustus się uśmiecha. – Jak zawsze rwiecie się do przemocy. – Przesuwa palcami prawej dłoni po grzbiecie lewej. – Ale nie, to przypomnienie musi poczekać. Karę można wymierzać tylko po zwycięstwie. Teraz wyglądałoby to małostkowo, jak żałosne miotanie się tonącego, zważywszy że moja flota jest rozproszona, a moje legiony uwięzione za tarczami w miastach.

Patrzy na Pliniusza i pyta, jak się miewa reszta naszych współników. Ukradkiem zerkam na Mustang. Zauważa to i unosi brew. Ona też się zastanawia, kiedy powinniśmy zacząć.

– Wszyscy nasi politikosowie zostali przyjęci – odpowiada powoli Pliniusz. Dzisiaj umalował usta bardzo poważną czarną szminką. – Jak wiesz, moi politikosowie i ja naradziliśmy się po ucieczce z Luny. I opracowaliśmy dość zaawansowaną analizę teoretyczną potencjalnych przesunięć w sojuszach...

– Za pomocą komputerów? – pyta Kavax i śmieje się, aż dudni.

– Za pomocą komputerów – kontynuuje poirytowany Pliniusz. – Symulację przeprowadzili moi Zieloni analitycy. Z księżyców Galileusza: Io, Kallisto, Ganimedesa i Europy nikt się z nami nie zwiąże. Ani w ramach symulacji, ani w rzeczywistości.

– To niezbyt zaskakujące – mruczy podobny do sokoła pretor. – Takie same wyniki mieliśmy z księżycami Saturna.

– Naturalnie obawiają się reperkusji, jeśli staną po niewłaściwej stronie – ciągnie Pliniusz. – Gubernatorowie Saturna to na razie przegrana sprawa. Codziennie widzą na niebie trupa Rei. W sektorze Galileusza obecność Lorna au Arcos na Europie stanowi problem. Jego... skłonność do izolacjonistycznej polityki okazała się zaraźliwa i skaziła arcygubernatorów księżyców Jowisza. Zwłaszcza że jego prywatna armia jest dwa razy większa od armii każdego z nich.

– Izolacja? To raczej emerytura. – Augustus wzdycha. – Może wie, co robi.

– Oszalałbyś, ojcie – odzywa się z końca stołu Mustang. – Żadnych spisków, zmów, strategii. Tylko rodzina i mnóstwo czasu, żeby go spędzać z Adriusem i ze mną.

Uśmiech Augustusa jest powściągliwy, nieodgadniony.

– Jak dobrze zna mnie własna córka...

– To, co naprawdę mnie martwi – odzywa się znowu Pliniusz – to fakt, że księżyce Galileuszowe na swój sposób powątpiewają w słuszność naszej sprawy.

– Bo nie ma żadnej naszej sprawy – jęczę, pomny swojej roli. – W każdym razie takiej, która kogokolwiek by obchodziła.

– Wyjaśnij to – żąda arcygubernator.

– Właśnie zaczął to robić, ojcie – odzywa się Mustang. – Darrow lubi teatr. Rozglądam się ostentacyjnie po sali.

– Mogę chyba spokojnie powiedzieć, że zasiadający tutaj szlachetni Złoci rozumieją ludzką naturę. Tak? A nawet jeśli nie, to co nas motywuje? Sprawa? Nie. Żaden z nas nie walczy o sprawę. Wolność? Swobody obywatelskie? Sprawiedliwość? – Przewracam oczami. – Nic z tych rzeczy. Co nas obchodzi, że Suwerenka zachowuje się jak cesarzowa? Co nas obchodzi Porozumienie i swobody, jakie zapewnia Złotym? Nic. Chodzi o władzę. Zawsze chodzi o władzę. Walczymy, bo podłączamy się do gwiazdy, do arcygubernatora. Kiedy jednak gwiazda spada, gaśnie...

Kavax wstaje z krzesła.

– Nie obrażaj naszego pana, jakby...

– Jakby co? Był głupcem? Nie jest, więc odpuść sobie. Bellona weźmie Marsa. Dostaną kontrakty, pozycje w rządzie. Zostaniemy zepchnięci na peryferie, martwi i nieistotni. – Bawię się głosem ze słuchaczami. – Władza to jedyna rzecz, która jest coś warta w tym świecie. Rozważcie Tactusę au Ratha, mojego lojalnego sprzymierzeńca przez ostatnie trzy lata. Gdy tylko moja gwiazda zaczęła przygasać, okradł mnie i uciekł tylnymi drzwiami. Jak

złodziej nocą. Ile pustych miejsc w tej sali było zapełnionych przed Luną? Wielu ludzi chciało przelać własną krew za Augustusa. Wielu oddałoby za niego własne oko, póki siedział na podwyższeniu w Agei. A teraz... – Otrzeputuję ręce. – Przegrywamy. Jeśli uciekniemy, zwiędniemy i umrzemy. Jeżeli chcemy znowu się podnieść, musimy przyciągnąć księżyc Galileuszowe do naszej sprawy, zwerbować gubernatorów z Saturna pod nasz sztandar, a potem pokazać im, że nie jesteśmy bezsilni. Pokazać, że wprost oczekamy siłą, władzą. Że to my jesteśmy arbitrami życia i śmierci; że to my, nie Bellona, jesteśmy domem Marsa.

Pliniusz chce coś powiedzieć, ale Augustus ucisza go gestem.

– Co proponujesz?

– Rodziny Galileuszowe mają słabość do Luny z jednego powodu. Handlu. Ganimedes ma stocznię. Kallisto to właściwie fabryka Szarych i Obsydianowych dla armii Wspólnoty. Europa to oceaniczny świat banków, podmorskich kopalni i domów wypoczynkowych. Io stanowi spichlerz dla wszystkich światów na orbicie Jowisza. Za bardzo zależą od handlu z Rdzeniem, żeby przejść na naszą stronę. I nawet najdurniejsze dziecko wie, co się stało, kiedy Pan Popiołów zjawił się na Rei. – Pretorzy kiwają głowami. – Musimy więc im zaimponować. Musimy ich przerazić tak bardzo, by zrozumieli, że nasza siła może ich dotknąć w każdej chwili; że nie mogą pozwolić sobie na to, żeby się od nas odwrócić.

– Jak? – pyta Augustus.

Teraz już wszyscy złapali się na haczyk.

Kładę brzytwę na stole, żeby wiedzieli, co im proponuję.

– Zabierzemy ich statki. Zabierzemy ich dzieci. Weźmiemy je jako sojusznicy, tak jak Spartanie brali sobie żony. Siłą. Nocą.

Zapada cisza. A potem podnosi się rwetes. Pliniusz pozwala, żeby jego pretorzy zarznęli ten pomysł. Całą energię wkłada w szeptanie Augustusowi do ucha. Zerkam na Mustang, ale ona patrzy na innych, ocenia.

– Przechwałki. – Augustus ucisza zebranych i znowu zwraca się do mnie: – Nie słyszałem planu.

– Jeden plan. Dwie części.

Dotykam terminala i nad stołem pojawia się holo dostarczone mi przez agentów Szakala. Przedstawia Ganimesesa. Księżyc świeci jasno, niebieski i zielony od oceanów i lasów, barwny na tle marmurowej bieli i oranżu gazowej powierzchni Jowisza. Okalają go szare stocznie. Powiększam obraz tak, żeby rozciągnęły się w poprzek stołu. Wymieniam po kolei zarejestrowane statki, podświetlając jeden z szczególności.

– Ganimedes ma Niszczyciela Księżyców.

Wokół stołu rozlegają się gwizdy.

– Niszczyciel Księżyców? – ktoś powtarza szeptem.

– Czy to pewna informacja? – pyta Augustus.

Kiwam głową.

– Nawet bardzo.

Poruszam palcami, obracam obraz stoczni. W cieniu orbitalnych doków unosi się statek podobny do mojego Paxa, ale nowszy, większy, czarny jak noc. Ma osiem kilometrów długości.

– Suwerenka osobiście zamówiła go jako prezent dla swojego wnuka.

Kavax prawie się ślini na widok monstrualnego okrętu.

– Jaka kochająca kobieta.

– Zakładając, że to prawda. – Pliniusz przygląda się holo. – Jak zdobyłeś tę informację?

– Małe ptaszki mnie też czasem coś szepczą do ucha.

– Nie bądź taki wstydlivy. To ważne.

– Ja mam swoje źródła, Pliniuszu, a ty swoje. I niech tak zostanie.

– Czyli chcesz ukraść z Ganimedesa Niszczyciela Księżyców? – pyta Pliniusz. – To akt wojenny.

Śmieję się.

– Nie. Źle mnie zrozumiałeś. Chcę im ukraść wszystkie statki.

## Władca marionetek

Pliniusz zerka zaniepokojony na Augustusa.

– Jeśli to zrobisz, wojna nie skończy się, dopóki jedna ze stron nie obróci się w popiół.

– Już tak jest... – zaczyna Kavax.

– To co innego! – krzyczy Pliniusz. – To zupełnie inna skala.

– Mój ojciec ma rację – oznajmia Daxo. – To już jest otwarty bunt.

Pliniusz uderza dłonią w blat.

– To co innego. To oznacza wojnę ze Wspólnotą, nie z rodziną Bellona, nie z Suwerenką jako jedną osobą. Ganimedes nie wyrządził nam żadnej krzywdy. W ten sposób wszystko się rozpadnie.

Augustus siada w milczeniu, zimnym wzrokiem wpatruje się w holo Niszczyciela Księżyców. Nie patrząc na mnie, pyta:

– Mówiłeś, że ten plan ma dwie części. Jaka jest druga?

Przełączam obraz. Akademia zastępuje stocznię. Statki okalają szarą powierzchnię. W tle wirują asteroidy.

– Te jednostki są potwornie stare – odzywa się łysiejący pretor imieniem Licenus, zanim cokolwiek powiem. – Na nic się nie przydadzą w walce. Je też zamierzasz ukraść?

– Nie, pretorze. Zamierzam wykraść uczniów.

Znów przełączam holo. Do Akademii dołącza Instytut Marsa. I drugi Instytut, na Wenus. A potem dwa Instytuty z Ziemi. Instytut Galileuszowy i ten na Saturnie. W końcu prawie tuzin obrazów unosi się w powietrzu.

– Chcę wykraść wszystkich uczniów. Nie do walki. Dla okupu.

– Psiakrew. – Mustang wybucha śmiechem. – Oszalałeś?

Augustus marszczy brwi.

– Virginio, panuj nad sobą.

– Panuję, ojcie. To twój bojowy pies się zapędził.

– Zapominasz, gdzie twoje miejsce.

– A ty zapominasz, jak wyglądał Claudius, gdy leżał martwy na ziemi. Leto też. Tego życzysz nam wszystkim? – Mustang żałuje swoich słów, gdy tylko opuszczają jej usta.

– Zamknij się, dziewczyno. – Augustus aż trzęsie się z gniewu. Ścisną kościstymi palcami brzeg stołu, aż ten zaczyna trzeszczeć. – Pomieszało ci się w głowie, odkąd wpuściłaś między nogi tego chłopaka od Bellony. Wchodzisz tu jak ostatnia Piksa. Zjadasz jabłko jak smarkula. Przestań zachowywać się jak cyrkowa dziwka i dorośnij do swojego nazwiska.

– Tak jak twój drugi syn?

Augustus nabiera powoli powietrza w płuca, żeby się uspokoić.

– Zamilknieś albo stąd wyjdiesz.

Mustang zgrzyta zębami, ale milczy, co bardzo do niej nie pasuje. Pliniusz wykrzywia usta w ciepłym uśmiechu.

– Nie wińcie jej, moi łaskawi panowie, jeśli już zmęczyła się wojną – mówi, delikatnie wbijając nóż w rannego wroga. – Po tylu nocnych szczytach w ramach horyzontalnych zabiegów dyplomatycznych z rodem Bellona jej wytrzymałość nie jest już taka jak kiedyś.

Kavax rzuca się na Pliniusza. Daxo odciąga go w ostatniej chwili. Jednak to Mustang pierwsza przekrzykuje powstały rwetes.

– Sama mogę bronić swojego honoru, łaskawy panie, ale po Pliniuszu należy spodziewać się podobnych obelg. Ja też byłabym zgorzkniała, gdyby moja żona robiła wszystko, co w jej mocy, żeby nasi młodzi najemnicy nauczyli się, jak należy wsuwać miecz do pochwy.

Pliniusz patrzy na nią gniewnie. Mustang wstaje i mówi dalej:

– Opuściłam Marsa, żeby szukać wiedzy na dworze Suwerenki. Nie porzuciłam rodziny, jak wielu z was sugerowało. I nie żałuję, że ominęły mnie takie rozmowy jak ta. Bo wy, łaskawi panowie, nadajecie się tylko do kłótni. Szybko się jednak pogodziliście, kiedy to ja stałam się tematem kpin. Ciekawe. Czyżby dlatego, że uważacie mnie za zagrożenie dla swoich wpływów? Czy po prostu przeszkadza wam to, że jestem kobietą? – Zerka na nieliczne kobiety przy stole. – Bo w takim wypadku zapominacie się. Wspólnota została stworzona zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, a znaczenie miała tylko ich wartość. Drogi politikos Pliniusz ma jednak rację: wolałabym uniknąć tej wojny. I to właśnie próbowałam osiągnąć. Jak myślicie, dlaczego pozwoliłam, żeby Cassius au Bellona o mnie zabiegał? Mimo to wojna nadeszła. A ja będę chronić rodzinę przed wszelkim zagrożeniem zarówno zewnętrznym, jak i wewnętrznym.

Augustus posyła jej najdrobniejszy z możliwych uśmieszków, bliźniacze odbicie wcześniejszego. Nigdy w życiu nie widziałem równie warunkowej miłości. Bardzo szybko gotowy jest wyzwać córkę od dziwek, a potem uśmiecha się, kiedy ta odzyskuje panowanie na sali. Nagle znowu się z nią liczą.

– Zatem co myślisz o moim planie? – pytam.

– Myślę, że jest niebezpieczny. Rozdmucha wojnę, nie zapewniając nam korzyści. Jest niemoralny i stanowi niebezpieczny precedens, tyle że wojna jest z natury niemoralna. Musimy więc zwyczajnie zdecydować, jak daleko chcemy się posunąć.

– Znasz Octavię lepiej niż ja – przypominam. – Jak daleko ona się posunie? Mustang przez chwilę milczy.

– Jeśli zwyciężymy – odzywa się w końcu – i zażądamy zawarcia pokoju, czy to z pozycji siły, czy z pozycji słabości, przystanie na propozycję rozmów...

– Widzisz! – Pliniusz się rozpromienia.

Mustang jednak nie skończyła.

– Zaproponuje neutralne miejsce. I w dniu, kiedy zjawimy się tam, by zaprowadzić pokój, zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby nas zabić.

Pliniusz patrzy to na nią, to na mnie, gdy dociera do niego, jak łatwo dał sobą pogrywać.

– Czyli nie ma odwrotu? Zwycięstwo albo śmierć? – pytam beznamiętnie.

– W rzeczy samej, Darrow – odpowiada z uśmiechem Mustang. – Zwycięstwo albo śmierć.

– Wygląda na to, że daleś się wymanewrować, Pliniuszu. Realizujemy plan Darrowa. – Augustus wstaje. – Jutro pretor Licenus przejmie dowodzenie tym okrętem i całą jego flotą. Odciągnie siły Suwerenki. Ja tymczasem zabiorę małą grupę uderzeniową korwet i fregat do Gazowych Olbrzymów. I razem z nimi najadę na stocznie Ganimedesa.

– Polecę z tobą, mój panie! – dudni Kavax.

Jego lis zeskakuje mu z kolan. Wystraszony hałasem trzęsie się pod stołem.

– Nie.

Kavaxowi rzędzie mina.

– Nie? Ale Nero... tamtejsze systemy obronne... stanowiska bojowe, niszczyciele, dewastatory, to wszystko rozniesie twoje korwety na strzępy... – Rozkłada błagalnie ręce. – Pozwól, że zrobimy to dla ciebie.

– Zapominasz, kim jestem, przyjacielu.

– Wybacz, nie chciałem...

Augustus zbywa przeprosiny machnięciem ręki i odwraca się do Mustang.

– Cóрко, ty weźmiesz taką część floty, jakiej potrzebujesz do wypełnienia drugiej części planu Darrowa.

Patrzeć teraz na Pliniusza, to jak patrzeć na dziecko, które próbuje utrzymać garść piasku. Nie rozumie, jak diametralnie zmieniła się sytuacja.



Nie jest jednak na tyle głupi, żeby wykonać ruch w tej chwili. Przyczai się w trawie, jak przystało na węża, którym jest.

Arcygubernator zwraca się do mnie:

– Darrow, co mi powiedziałeś, zanim przelałeś krew Cassiusa?

– Że powinienem być królem Marsa, mój panie.

– Przyjaciele. – Augustus kładzie chudą rękę na stole. Palce ma sztywne. – Darrow zademonstrował działanie mocy, jakich nie ma żaden z was. Przewiduje moje życzenia. Chcę być królem. Sprawcie, by tak się stało. Możecie odejść.

Sala pustoszeje. Zostaję z Augustusem. Chce porozmawiać ze mną na osobności.

Mustang prawie ociera się o mnie, kiedy przechodzi. Mruga żartobliwie.

– Ładna mowa – mruczę.

– Ładny plan.

Ściska mi rękę i już jej nie ma.

– Znowu sprzymierzeni – zauważa Augustus.

Daje mi znać, żebym zamknął drzwi. Siadam koło niego. Twarde linie jego twarzy pogłębiają się, kiedy patrzy mi w oczy. Z daleka te zmarszczki nie są widoczne, z bliska natomiast tworzą tę twarz. To strata obdarza mężczyznę takimi zmarszczkami; przypominają mi, że to nie jest człowiek, którego chce się prowokować do wybuchu gniewu. To nie jest człowiek, u którego chcesz mieć dług.

– Możesz darować sobie słuszne oburzenie, zanim jeszcze znajdzie się na czubku twojego języka. – Styka dłonie czubkami palców i przygląda się zadbanym skórkom przy paznokciach. – Pytanie jest proste i odpowiesz mi na nie: czy jesteś demokratą?

Nie spodziewałem się tego. Staram się nie rozglądać nerwowo.

– Nie, mój panie. Nie jestem demokratą.

– Ani Reformatorem? Nie jesteś kimś, kto chce zmienić nasze Porozumienie i stworzyć sprawiedliwsze, bardziej przyzwoite społeczeństwo?

– Ludzie są dostatecznie dobrze zorganizowani już teraz. – Zawieszam głos. – Z wyjątkiem paru wybitnych wyjątków.

– Pliniusz?

– Pliniusz.

– Każdy z was ma swoje talenty. Nie radzę ci kwestionować powodów, dla których trzymam go przy sobie.

– Tak, mój panie, ale nie jestem demokratą bardziej niż ty mieszkańcem Luny.

Nie uśmiecha się, choć miałem na to nadzieję. Zamiast tego przyciska guzik i z głośników płynie moja przemowa, którą przeciągnąłem załogę Paxa na swoją stronę. Holo w hP pokazuje różne Kolory.

– Patrz na ich twarze – poleca mi. Sam obserwuje moją, kiedy odtwarza kolejne nagrania z różnych części statku, na których załoga słucha mowy, jaką wygłosiłem, żeby podburzyć ich przeciwko Złotym dowódcom. – Widzisz to? O tu, właśnie. Tę iskrę? Widzisz?

– Widzę.

– To jest nadzieja. – Mężczyzna, który zabił moją żonę, czeka, aż moja twarz mnie zdradzi. Powodzenia. – Nadzieja.

– Chcesz powiedzieć, mój panie, że popełniłem błąd?

Przywołuje stare słowa:

– W równej mam nienawiści z Hadem obłudnika, w którym chytrze odbiega serce od języka <sup>1</sup>.

– Moje serce jest zawsze widoczne jak na dłoni.

– Tak twierdzisz. – Rozchyła lekko usta i następne słowa wymykają się z nich z sykiem: – Ale kiedy terroryści rozsiewają kłamstwa w sieci, kiedy zamachy bombowe wstrząsają naszymi miastami, kiedy podKolory burzą się niezadowolone, kiedy zaczynamy wojnę, nie bacząc na termyty żerujące w naszych fundamentach, ty mówisz coś takiego.

– Każdy chaos...

– Zamknij się. Wiesz, co by się stało, gdyby któryś z innych gubernatorów uznał nas za Reformatorów? Gdyby którykolwiek inny ród uznał mój dom za bastion równości i demokracji? – Wskazuje szklankę. – Oto nasi potencjalni sojusznicy. – Zrzuca szklankę ze stołu. Szklanka się tłucze. Augustus wskazuje następną. – Nasze życie. – Ta też spada i się roztrzaskuje. – Wystarczy, że moja córka dawała posłuch blokowi Reformatorów na Lunie. Ty nie możesz robić wrażenia zaangażowanego politycznie. Pozostań wojownikiem. Pozostań prosty. Rozumiesz?

A gdyby podKolory zgromadziły się wokół nas? – chcę zapytać, ale wtedy Augustus kazałby swoim Obsydianowym zabić mnie na miejscu.

– Rozumiem.

Augustus patrzy na swoje dłonie, obraca pierścień na palcu. Ogarnia go wahanie.

– Czy mogę ci zaufać?

– W jakim sensie?

Pogardliwy śmiech wyrwa mu się z ust.

– Większość ludzi odpowiedziałaby „tak” bez zastanowienia.

– Większość ludzi to kłamcy.

– Czy mogę ci powierzyć władzę niezależną od mojej? – Leniwie drapie się po brodzie. – Właśnie w takiej sytuacji wielu podwładnych porzuca swoich lordów. Właśnie wtedy ich oczy wypełnia głód. Rzymianie uczyli się tego raz za razem. Dlatego nie pozwalali generałom bez zezwolenia senatu przekraczać Rubikonu razem z armią. Dowódcy wojskowi szybko zaczęli sobie uświadamiać, jacy są silni. I zawsze wiedzieli, że tej konkretnej siły nie będą mieli wiecznie. Trzeba było wykorzystać ją pośpiesznie, zanim armia ich opuści. Jednakże pochopne decyzje mogą niszczyć imperia. Mój syn, na przykład, nigdy nie może uzyskać takiej władzy.

– Ma swoje własne interesy.

– To powolna siła. To sprytne z jego strony, nawet jeśli niestosowne dla mojego nazwiska. Powolna siła może zemleć na proszek wroga tkwiącego w zastoju. Jednakże szybka siła, taka, która może ci towarzyszyć i robić to, co chcesz, skutecznie jak młotek uderzający w gwóźdź... Taka siła ścina głowy i kradnie korony. Mogę ci ją powierzyć?

– Musisz. Jestem jedynym człowiekiem, który może zwrócić się do Lorna.

Jego oczy błyskają zaskoczeniem. Nie przywykł do tego, żeby odgadywano jego machinacje. Szybko ukrywa zdumienie, nie ma chęci wyrażać uznania, nawet kiedy na nie zasłużyłem.

– Już wiesz.

– Chcesz, żebym zwrócił się do Lorna i poprosił go o pomoc, bo nauczył mnie walczyć brzytwą.

– I ponieważ cię kocha.

Mrugam tępo powiekami.

– Nie jestem pewien, czy użyłbym tego słowa.

– Miał czterech synów. Trzech zginęło na jego oczach. Ostatni, ojciec Lysandra, zginął, jak wiesz, w wypadku. Myślę, że mu ich przypominasz, chociaż w gruncie rzeczy jesteś zdolniejszy i mniej moralny, co tylko działa na twoją korzyść. Jednakże równie mocno, jak kocha ciebie, nienawidzi mnie.

– Jeszcze bardziej nienawidzi Octavii, mój panie.

– Mimo wszystko... Nie będzie łatwo go przekonać, żeby do nas dołączył.

– Wobec tego nie pozostawię mu wyboru.

## Żelki

Telemanusowie czekają na mnie w korytarzu. Kavax ściska mnie tak, że aż plecy mi trzeszczą. Daxo kiwa głową. Stoję oszołomiony między nimi dwoma. Pierwszy raz rozmawiam z nimi w innej sytuacji niż przed walką. Prawdę mówiąc, unikałem ich dotąd, zawstydzony tym, co stało się z Paxem.

– Mój syn przegrał tylko z tobą – mówi Kavax. – Mały Pax. Jeśli musiał ukłęknać, to żaden wstyd klęknąć przed przyjacielem. Żałuję tylko, że nie zajął Olimpu razem z tobą. To byłby widok.

– Chciałbym zobaczyć, jak odbiera zbroję rektorowi Jowisza.

Daxo uśmiecha się szeroko.

– Sam byłem w domu Jowisza. Byłem Prymusem, dopóki nie przegrałem z Karnusem au Bellona.

– Zatem mamy wspólnego wroga.

– Poza tym małym spiskującym łajdakiem, który zabił mojego młodszego brata? – pyta cicho Daxo. – Mamy wielu wspólnych wrogów, Andromedusie.

Kavax podnosi lisa. Zwierzę liże go po szyi i zerka na mnie dziko, zanim wtuli się w gęstą, rudą brodę. Ma białą pierś, czarne łapy i ciemne, rudobrunatne futro na reszcie ciała. Jest bardziej krępy i twardszy niż normalny lis, waży prawie trzydzieści pięć kilogramów i prawdę mówiąc, bardziej przypomina wilka.

– Lisy to piękne stworzenia – mówi Kavax, głaszcząc Sofoklesa.

Daxo kiwa głową.

– Psotne. Wszystkożerne. Odporne na kłusownictwo. Monogamiczne, nadzwyczajne i zdolne poszerzyć tereny łowieckie tak, że zachodzą nawet na terytoria wilków. – Patrzy na mnie ponuro. – Ale z powodu przeklętego dziwactwa natury źle sobie radzą z szakalami. Poprosiliśmy Augustusa, żeby wygnał Adriusa. Na pewien czas się zgodził, ale teraz Szakal wraca do naszej floty.

– To zbrodnia – mówię.

Kiwają głowami.

Daxo kładzie mi rękę na ramieniu.

– Dziewczeta, to znaczy moje siostry i matka, chciałyby, żebyś wiedział, że nie jesteś w naszym odczuciu odpowiedzialny za śmierć Paxa. Kochaliśmy

tego chłopaka i wiemy, że zawsze życzyłeś mu jak najlepiej. Wiemy, że nazwałeś statek na jego cześć. Nie zapomnimy tego. Raz nawiązana przyjaźń trwa zawsze. Tak to wygląda w naszej rodzinie.

Kavax przytakuje każdemu słowu jedyne go syna, jaki mu został. Rzuca lisowi garść żelek.

– Dlatego jeśli będziesz nas potrzebował – sugeruje Daxo, kiwając głową ku sali narad – wystarczy poprosić, a dom Telemachus przychyli się do twojej sprawy.

– Mówicie serio?

– To ucieszyłoby Paxa – dudni starszy Kavax.

Ściskam mu rękę i postanawiam zaryzykować.

– Wybaczcie mi moje maniery, ale potrzebuję was teraz.

Krzaczaste brwi unoszą się, kiedy dwa behemoty patrzą po sobie zdumione.

– Szukaj, Sofoklesie! Szukaj! – rzuca podekscytowany Kavax.

Wielgachny lis u jego stóp podkrada się do mnie ostrożnie, żeby obwąchać mi kolana, zerka na moje buty i dłonie. Przemyka mi między nogami. Szuka. A potem skacze na mnie, opiera przednie łapy na moich biodrach i wsuwa mi pysk do kieszeni. Wyciąga z niej dwie żelki i przeżuwa je z zadowoleniem.

– Magia! – dudni Kavax, poklepując mnie po ramieniu. – Za sprawą magii Sofokles odkrył znak aprobaty! Co za pomyślna wróżba! Daxo, mój synu. Wezwij siostry i matkę. Żniwiarz wzywa. Dom Telemachus musi odpowiedzieć.

– Dziewczęta są z wizytą na Neptunie, ojcze. Nie zjawią się jeszcze przez kilka miesięcy.

– W takim razie my musimy odpowiedzieć.

– Nie mógłbym bardziej się z tobą zgodzić, ojcze.

– W ciągu godziny przekażę wam instrukcje – zapowiadam.

– Będziemy wyczekiwać! – Kavax odchodzi, tupiąc ciężko. – Będziemy wyczekiwać z wielką niecierpliwością!

Porykuje pochwalnie do mijających go Pomarańczowych, przerażając ich swoją serdeczną aprobatą.

Daxo i ja patrzymy za nim.

– On naprawdę wierzy w magię? – pytam.

– Mówi, że nocami gnomy wykradają mu wosk z uszu. Mama uważa, że za dużo razy oberwał po głowie. – Daxo rusza za ojcem. Nie potrafi ukryć cwanego uśmieszku, kiedy wrzuca żelkę do ust i już wiem, skąd się wzięły tamte dwie w mojej kieszeni. – Mówię tylko, że żyje w o wiele

zabawniejszym świecie niż my. Nie zwlekaj z wezwaniem nas, Żniwiarzu. Ojciec pali się do działania.

\*\*\*

Po spotkaniu przy holo z Szakalem, kiedy przedstawiam mu mój plan i dopracowuję szczegóły w oparciu o jego wskazówki, każe Orion wyznaczyć kurs na Europę. Podróż zajmie dwa tygodnie. Roque dołącza do mnie na mostku, obserwując minimalną załogę Niebieskich przy pracy. Nie odzywa się, ale pierwszy raz mnie poszukał, odkąd opuściliśmy Lunę. To ciężar wiszący mi nad głową.

– Przep... – zaczynam.

– Nie chcę rozmawiać o Quinn – przerywa mi cicho. – Wiem, że chciałeś tej wojny. Sprowokowałeś ją, zamiast zaufać mi, że wykupię twój kontrakt i cię ochronię. Nie wiem tylko, dlaczego mnie uśpiłeś.

– Chciałem cię chronić. Wiedziałem, że będę cię potrzebował po gali, a nie chciałem cię narażać.

– A co z moimi potrzebami? Nie masz prawa podejmować decyzji za mnie, kiedy obawiasz się, że mogę przeszkodzić ci w realizacji planów. Przyjaciele tak nie postępują.

– Masz rację. Źle postąpiłem. – Kiwam powoli głową. Nie kłamię.

– Źle postąpiłeś, wbijając mi igłę w szyję?

– Więcej niż źle. Wiedz jednak, że miałem dobre intencje, nawet jeśli pomysł i wykonanie były tak głupie, jak to tylko możliwe. Jeśli mam paść na kolana...

– To dopiero byłby obrazek.

Wiem, że żartuje, ale nie śmieje się ani nawet nie uśmiecha, tylko odwraca się i odchodzi.

## Synowie burzy

– Przybywasz do mnie na skrzydłach burzy – mówi mój przyjaciel. Wiatr odwiewa mu na bok siwą brodę, kiedy patrzy na fale daleko w dole. – Wiesz, że mieszkają na tym oceanicznym świecie chłopcy, którzy wypływają skifami podczas wichur gorszych niż ta? Chłopcy z samego dna społeczności Szarych, Czerwonych i nawet Brązowych. Ich odwaga jest szalona, niebezpieczna. – Ciężkim palcem wskazuje kotłującą się czarną wodę poniżej balkonu. Fale sięgają dziesięciu metrów wysokości. – Nazywa się ich synami burzy.

Tutejsze ciążenie doprowadza do szału. Wszystko się unosi. Przy 0,136 ziemskiej grawitacji każdy krok musi być precyzyjnie odmierzony, kontrolowany, bo inaczej wyskoczę w górę na piętnaście stóp i będę musiał czekać, aż opadnę z powrotem. Walka tutaj byłaby jak podwodny balet. Noszę gawiButy tylko po to, żeby swobodniej się poruszać.

Stary mężczyzna obserwuje oceaniczny świat poruszający się wokół jego wyspy. Jest taki, jakim zawsze radził mi się stać: jak skała pośród wody, mokra, ale nie ulegająca kotłowaninie, która ją otacza. Słona woda z niesionej przez wiatr mgły cieknie mu z brody. Błyszczące złote oczy mrugają, chłostane porywistym sztormowym wiatrem.

– Kiedy jesteś na morzu, masz wrażenie, że każdy podmuch to koniec świata. Każda kolejna fala jest większa od poprzedniej. Ci chłopcy ujeżdżają sztormy zachwyceni własną wspaniałością. Od czasu do czasu nadciąga jednak prawdziwy sztorm. Roztrzaskuje im maszty i wyrывa włosy z głowy. Nie trwa to długo, nim morze połknie ich w całości. Jednakże ich matki opłakały ich śmierć już dawno temu, tak jak ja opłakałem twoją pierwszego dnia, ledwie się poznaliśmy.

Wpatruje się we mnie bacznie, zaciskając ukryte w gęstej brodzie usta.

– Nigdy ci nie mówiłem, że nie wychowałem się w pałacu ani w mieście jak wielu innych Niezrównanych, których znasz. Mój ojciec uważał, że istnieją dwa zła na świecie. Technologia i kultura. Był twardym człowiekiem. Zabójcą, jak reszta jemu podobnych. Tyle że jego twardość objawiała się nie w tym, co robił, ale w tym, czego nigdy by nie zrobił: w jego opanowaniu. W przyjemnościach, jakich odmawiał sobie i swoim synom. Dożył stu sześćdziesięciu trzech lat bez odmładzania komórkowego. Jakimś sposobem

przeżył osiem Żelaznych Deszczów. Mimo to nie cenił życia, bo za często je odbierał. Nie był człowiekiem stworzonym do szczęścia.

Obserwuję byłego Rycerza Gniewu, Lorna au Arcos, jak wychyla się z balkonu swojego zamku, wapiennej fortecy pośród morza głębokiego na dziewięćdziesiąt kilometrów. To budowla o nowoczesnych liniach, nie ma w sobie nic ze średniowiecza, szkło i stal łączą się pod ostrymi kątami ze skalistą wyspą, a gmach łączy w sobie przeszłość i przyszłość – tak jak mężczyzna, którego cenię bardziej niż wszystkich Żółtych w jego pokoleniu.

Podobnie jak on, ten zamek jest surowym miejscem podczas sztormów. Kiedy jednak sztorm mija, zalewa go słońce wpadające przez szklane ściany, błyszczące na stalowych podporach. Dzieci biegają wzdłuż budowli długiej na dziesięć kilometrów, przez ogrody, po murach, aż do portu w dole. Wiatr rozwiewa im włosy. Lorn w swojej bibliotece słyszy tylko krzyki mew, huk morza i śmiech wnuków i ich matek, których strzeże w zastępstwie swoich nieżyjących synów. Jedynym, kogo tu brakuje, jest Lysander.

Gdyby wszyscy Żłoci byli tacy jak on, Czerwoni nadal mozoliliby się pod ziemią, ale Lorn sprawiłby, że znalazłby cel swoich działań. To nie czyni go dobrym, na pewno uczciwym.

Jest barczysty, mocno zbudowany, niższy ode mnie. Wypuszcza z ręki pustą szklankę od whisky, wiatr porywa ją w bok. Spada i zostaje połknięta przez morze.

– Mówi się, że wiatr niesie okrzyki radości martwych synów burzy – mruczy. – Ja twierdzę, że to płacz ich matek.

– Dworskie sztormy potrafią ściągać ludzi z powrotem – odpowiadam.

Śmieje się szyderczo, wyrażając pogardę dla myśli, że mógłbym wiedzieć cokolwiek o dworskich sztormach i wiejących tam wiatrach.

Przyleciałem w tajemnicy, jednym statkiem, moim niszczycielem Pax. Uprzedziłem mojego pana, że Lorn nam nie pomoże, ale trzymałem się nadziei, że zechce pomóc mnie. Teraz jednak, gdy znowu widzę Lorna au Arcos w jego własnej żylastej osobie, przypominam sobie, jaką ma naturę, i zaczynam się martwić. Wie, że moi kapitanowie i przybocznicy słuchają nas przez system łączności: kiedy złożyłem mu wyrazy uszanowania, od razu pokazałem przekaźnik, który noszę w uchu, żeby nie myślał, że rozmawiamy prywatnie.

– Po ponad stu latach życia moje ciało wciąż mnie nie zdradziło.

Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że jest facetem po sześćdziesiątce. Tylko blizny naprawdę go postarzają. Tę na szyi, która ma kształt uśmiechu, zafundował mu Splamiony podczas Rebelii Księżycowych Królów czterdzieści lat temu, kiedy gubernatorzy księżyców Jowisza myśleli,



że stworzą własne królestwo po tym, jak Octavia pozbyła się swojego ojca, Suwerena. Tę, która przecina mu nos, zostawił mu Pan Popiołów, kiedy pojedynkowali się w młodości.

– Znasz takie powiedzenie: „Obowiązkiem syna jest chwała ojca”? – pyta.

– Sam je wypowiedziałem.

Odchrząkuje.

– A ja zgodnie z nim żyłem. Wielu zapłaciło życiem za moją chwałę. Celowo kierowałem swój statek prosto w sztorm. Za każdym razem szły za mną kobiety i dzieci. – Przez chwilę daje przemawiać tylko falom. Roztrzaskują się o skały i cofają z głośnym chlupotem, wciągając za sobą różne rzeczy do morza, które nazwano Discordia. – Myślę, że nie powinno się żyć tak długo. Dziś w nocy urodziła mi się prawnuczka. Nadal czuję zapach krwi na palcach. – Unosi je. Są jak korzenie, sękaty, pokrzywione, stwardniałe od trzymania broni. Leciutko drżą. – To one wyciągnęły ją z ciemności ku światłu, z ciepła na zimno i same przecięły pępownię. To byłby piękny świat, gdyby to było ostatnie ciało, jakie przecięły.

Rozluźnia dłonie i kładzie je na zimnym kamieniu. Zastanawiam się, co Mustang powiedziałaaby temu człowiekowi. Obserwowanie ich spotkania twarzą w twarz byłoby jak patrzenie na ogień, który próbuje zająć kamień. Wzdragła się przed moim planem publicznie, ale to była część naszej rozgrywki. Plan wewnątrz planu wewnątrz planu.

– Pomyśleć o tym, co czują ręce... – mruczy Lorn. – Te czuły krew moich synów, gdy ich serca wypompowywały ją z ich ciał. Czuły chłód rękojeści brzytwy, kiedy kradła marzenia młodości. Czuły miłość dziewczyny i kobiety, a potem czuły, jak ich serca milkną na zawsze. Wszystko dla mojej chwały. Bo chciałem ujeżdżać morze. Bo nie umieram równie łatwo jak inni. – Marszczy czoło. – Myślę, że dłonie nie powinny aż tak wiele czuć.

– Moje poczuły więcej, niżbym chciał – odpowiadam.

Czuję w nich trzask pękającego kręgosłupa wieszanej Eo. Fakturę jej włosów. Pamiętam ciepło krwi Paxa. Chłód bladej twarzy Lei w zimny poranek po tym, jak Antonia ją zarznęła. Ziarnistą plamę kwiatów hemantusa. Nagie biodro Mustang, gdy leżeliśmy przy ogniu.

– Wciąż jesteś młody. Kiedy osiwiejesz, będziesz miał jeszcze więcej takich wspomnień.

– Niektórzy mężczyźni się nie starzeją.

Na przykład piekłonurkowie.

– Owszem, niektórzy się nie starzeją. – Szturcha odznakę lwa na moim ciemnym mundurze. – A lwy nie żyją tak długo jak gryfy. Widzisz, my możemy odlecieć od pewnych rzeczy. – Pokazuje swój rodzinny sygnet

i macha niemądrze rękami, wywołując tym mój uśmiech. Nosi go razem z pierścieniem domu Marsa. – Ty kiedyś byłeś pegazem, prawda?

– To był symbol... to jest symbol rodziny Andromedus.

Mojej fałszywej Złotej rodziny. Ale przypomina mi Eo. Przed śmiercią pokazała mi galaktykę Andromedy. To znaczyło tak wiele i tak mało zarazem.

– Jest coś honorowego w pozostaniu tym, czym się było – mówi Lorn.

– Czasem trzeba się zmienić. Nie wszyscy urodzili się bogaci tak jak ty.

– Poszukajmy Ikara w lesie. – Często wspominał na Marsie o swoim pupilu, ale ja nigdy go nie widziałem. – Carolina i Vincent spiskowali, żeby zrobić dla niego nową zabawkę. Myślę, że to docenisz.

– Gdzie są twoje dzieci? Chciałbym je znowu zobaczyć.

– Do twojego odlotu pozostaną we wschodnim skrzydle.

– Jestem aż tak niebezpieczny?

Nie odpowiada.

Wychodzę za moim przyjacielem z balkonu w tej samej chwili, gdy jedna z chmur pęka i błękitna błyskawica przecina ciemne niebo Europy. Ocean burzy się i kołysze, ogromne fale ślizgają się i przelewają wzdłuż białych ścian, jakby wodny świat spiskował, zamierzając połknąć stworzoną przez człowieka wyspę. Mimo tego wszystkiego zamek i szalejąca burza nadal wydają się bardzo małe, kiedy widzę, jak za chmurami Jowisz pożera nocne niebo – gazowy olbrzym patrzy na nas z góry niczym głowa jakiegoś wielkiego marmurowego boga.

Kiedy idziemy przez kamienną willę, Lorn z radością wita wszystkich mijanych służących. Widzi ludzi, nie Kolory. Większość służy mu od lat. Powinienem był uczyć się u niego, tylko że wtedy wylądowałbym tutaj i stałbym się człowiekiem lepszym, ale niezdolnym cokolwiek zmienić, bo całe miesiące podróży dzieliłyby mnie od Rdzenia.

Dziecięce zabawki zaśmiecają korytarze. Jest tu rodzina Korna – dziesiątki kochanych ludzi, których zgromadził, kiedy wycofał się z życia publicznego. Większość mieszka w pobliżu równika, na południowych archipelagach, gdzie woda jest cieplejsza. W tym miesiącu huragany zmusiły ich do przeniesienia się na północ i schronienia się u dziadka. Wygląda na to, że sztorm podążył za nimi.

Popycha wielką szklaną bramę i wprowadza mnie do centrum cytadeli. Ma tutaj las, rozległy na kilka akrów i rosnący pod otwartym niebem. Otaczają go mury, chroniąc przed brutalnymi falami. Sztandary Lorna łopoczą na wietrze – ryczący purpurowy gryf na śnieżnobiałym polu. Pada deszcz, krople syczą wśród igieł na drzewach, dopóki starzec nie włączy pola impulsowego. Wtedy deszcz skwierczy na kopule i tworzy gęste chmury. Lorn idzie przodem, a ja

zwlekam, wyjmując małe czarne kolce, nie dłuższe od paznokcia, z ukrytej kieszonki w rękawie. Rozrzucam je na mchu tuż przy drzwiach.

– Przyleciałeś do mnie skradzionym okrętem wojennym, żeby poprosić o moje statki i ludzi. Dlaczego? – pyta mnie, oglądając się z zaciekawieniem.

Przyśpieszam i upuszczam jeszcze kilka kolców, kiedy znowu się odwraca. Czekam, aż wspomni Lysandra.

– Bo pół Marsa nadal jest pod władzą sił lojalnych rodzinie Bellona i Suwerence. Żeby uwolnić od nich planetę, potrzebujemy twoich statków i ludzi. Kiedy już będziemy je mieli, Władcy Księżyców i arcygubernatorzy Obrzeża przybędą nam z pomocą w walce z Rdzeniem.

– Potrzebujesz więc, żeby dopomógł ci w twojej zdradzie?

– Czy to zdrada, kiedy pies gryzie rękę pana, bo pan próbuje go zabić?

– Potworna metafora. – Przystaje, rozgląda się po lesie, szuka czegoś. – O, tam.

Znowu ruszamy.

– Rzecz w tym, że potrzebuję twojej pomocy.

Spluwa na omszałą ziemię i daje znać, żebym zaczął wspinać się za nim po zboczu. Pod butami pęka mi rozmoczona w wodzie kłoda.

– Dlaczego mam się tobą przejmować?

– Bo mnie wyszkoliłeś.

– Szkoliłem też Aję au Grimmus.

– Z jakiegoś powodu myślę, że lubisz mnie bardziej niż ją.

– A to niby czemu?

– Bo ja mam poczucie humoru.

Lorn się śmieje.

– Aja potrafi być zabawna.

– Na pewno żartujesz.

– Spotykasz mężczyznę i go znasz. Spotykasz kobietę i ona zna ciebie. – Śmieje się do siebie z powodu jakiegoś wspomnienia. – Może łatwiej uważać ją za nocny koszmar, ale to kobieta z krwi i kości. Ma przyjaciół. Ma rodzinę. I uważa, że jesteś dla nich zagrożeniem.

– A jednak to ona zabiła moją przyjaciółkę.

– Tak, słyszałem. Zabrałeś dzieciaka. Cwane zagranie. – Ogląda się, zerkając spod zmrużonych powiek na brzytwę owiniętą wokół mojej ręki. – Wszyscy teraz noszą brzytwy jak skończeni głupcy?

– Taka moda.

– Powinna być owinięta wokół bioder. Inaczej obetniesz sobie niechcący rękę. – Wzdycha. – To wasze pokolenie... takie aroganckie. Zmienia rzeczy bez powodu. Zastanawiam się, arogancki chłopcze, czy pomyślałeś, że jeśli

przylecisz tu swoim kradzionym statkiem, to ja, człowiek, który ma prawie sto lat, pójdę za tobą do walki? Narażę wszystkich swoich służących, rodzinę, wszystko, co kocham, dla ciebie? Dla kogoś, kto mnie odrzucił, gdy poprosiłem, żeby dołączył do mojego domu?

Ignoruję jego rozgoryczenie.

– Opuściłeś Wspólnotę nie bez powodu. Pamiętasz jeszcze dlaczego?

– Żeby unikać hałaśliwych głupców.

– Myślę, że opuściłeś Wspólnotę, bo uważasz ją za chorą. Bo nie jest już warta poświęcania się.

– Przestań na mnie czekać, szczeniaku.

– Czyli mam rację.

– Nie. Nie masz racji. – Odwraca się gniewnie. – Opuściłem Wspólnotę nie z powodu toczącej ją choroby, tylko dlatego, że umarła. Została stworzona, żeby zaprowadzić porządek. Zmuszono ludzi do poświęcenia dla przetrwania ludzkości. Przypisano im Kolory, ograniczone i uporządkowane życie, żebyśmy mogli zniszczyć odwieczny cykl rządzący naszą rasą: od dobrobytu, przez chciwość, do wojny. Złoci mieli być pasterzami innych Kolorów, a nie ich pożerać. Teraz znowu tkwimy w tym cyklu, dokładnie w tym, czego postanowiliśmy uniknąć. Pytasz o Wspólnotę, tak? Piękne podsumowanie całego ludzkiego doświadczenia? Jest martwa i gnieje od kilkuset lat, a ci, którzy o nią walczą, to tylko sępy i larwy.

– Więc nie chodziło o śmierć Brutusa. – Mówię o jego najmłodszym synu, który poślubił zmarłą córkę Octavii au Lune.

– To był wypadek.

– Wygodny wypadek. Krążą plotki, że córka Octavii organizowała przewrót przeciwko matce.

– Nie zawracam sobie głowy plotkami – odpowiada ponuro.

– Jeśli mi pomożesz, mogę ci zwrócić wnuka.

– Trucizna od tak dawna sączy się do ucha Lysandera, że teraz jest już w jego krwi. Nie jest moim krewniakiem.

– Nie jesteś aż tak zimny, Lornie, a ja poznałem tego chłopca. Bardziej przypomina ciebie niż ją. Nie jest nikczemny. Walcz o niego.

Lorn patrzy cicho na deszcz bębniący o tarczę.

– Walczysz z jednym tyranem, żeby zastąpić go drugim – mówi zmęczonym tonem. – To ta sama gra, którą widzę od stu lat. Wiesz chociaż, komu służysz?

– Mam przecucie, że zaraz mi powiesz.

– Przestałem cię uczyć, bo przestałeś słuchać. Siadaj. Nie chcę denerwować Ikara tą przekłętą historią.

Siada na dużym głazie i każe mi zająć miejsce naprzeciwko. Robię to. Pochyla się ku mnie i bawi się grubym sygnetem Domu Marsa na palcu.

– Dom Augustus był zawsze silny, na pewno to wiesz. Nawet kiedy Mars był ledwie kopalnią helu-3. Łapówkami i morderstwami doprowadzili do tego, że posiadali większość rządowych kontraktów. W miarę jak puchły im kieszenie, wzrastały ich wpływy. Stali się panami Marsa, wraz z kilkoma innymi rodzinami, w tym rodem Bellona i moim własnym. Istniała jednak jeszcze jedna rodzina posiadająca wielką władzę, nazywała się Cylus. Kontrolowali pozycję arcygubernatora i byli faworyzowani przez senat i ówczesnego Suwerena. Kiedy twój pan, a wtedy po prostu Nero, miał siedem lat, jego ojciec wdał się w spór z Juliusem au Bellona, dziadkiem Cassiusa. Ojciec Nero próbował skłonić Brązowych, którzy usługiwali rodowi Bellona, do podania trucizny całej rodzinie podczas kolacji. Plan zawiódł. Wybuchła wojna między domami. Ojciec Nero wezwał swoich hołdowników i poprowadził ich przeciwko rodzinie Bellona i arcygubernatorowi Cylusowi, który opowiedział się po stronie Juliusa au Bellona. Urzędujący wówczas Suweren nie wtrącał się, tylko pozwolił rodzinom zacząć wojnę. Ostatecznie ojciec Nero wylądował w obleganej Agei, kiedy jego flota została zniszczona i przejęta w okolicy Fobosa. Cylus skazał dom Augustus na śmierć, oszczędził tylko małego Nero. Pozwolono mu żyć, żeby stara rodzina, która brała udział w Podboju, nie zniknęła z kart historii. Podobno arcygubernator Cylus dał małemu Nero winogrona, żeby ugasił pragnienie, bo w płonącym mieście zabrakło wody. Potem wychowywał go na swoim dworze. Dwadzieścia lat później Nero, którego zawsze uważano za honorowego i uczciwego człowieka, zupełnie niepodobnego do swojego nikczemnego ojca, poprosił o rękę Ionę au Bellona. Była najmłodszą i ulubioną córką starego Juliusa.

Lorn patrzy w górę na krople spadające z igieł wiecznie zielonych drzew.

– Dobrze ją znałem. Moi synowie bawili się z nią w dzieciństwie. Znałem też Nero. Lubilem go, chociaż jako dziecko był trochę oziębły. W nadziei, że to wyleczy stare rany, wzmocni i zjednoczy Marsa, arcygubernator Cylus się zgodził. Bellona wyszła za Augustusa. To był piękny ślub. Brałem w nim udział, reprezentowałem Suwerena jako Rycerz Gniewu. I wspaniale się bawiłem. Nigdy nie widziałem Iony równie szczęśliwej, jak w ramionach tego surowego młodego człowieka. Jednakże tej samej nocy, kiedy rodzina Bellona wróciła do swojej posiadłości, przyniesiono paczkę. Wewnątrz stary Julius znalazł głowę córki. Do ust Iony włożono winogrona razem z dwoma obrączkami. Wezwał swoje dzieci, w tym ojca Cassiusa, i polecił do Cytadeli, żeby domagać się sprawiedliwości u arcygubernatora Cylusa, tak jak to zrobił dwadzieścia lat wcześniej, gdy ród Augustus pierwszy raz zaatakował.

Jednakże zamiast starego przyjaciela na tronie arcygubernatora zastał młodego Nero, wspieranego przez pretorianów i dwóch Olimpijskich Rycerzy. Byłem wśród nich, bo Suweren powiedział mi, że Cylus stanowi zagrożenie dla Wspólnoty. Zrobiłem to, co mi rozkazano. Ród Cylusa został zmieciony z powierzchni ziemi i wykreślony z zapisów historycznych. Dowiedziałem się później, że Nero zawarł umowę z córką urzędującego Suwerena. Znasz ją jako Octavię au Lune. Była wtedy młodsza. Przekonała ojca, żeby oddał Nero tron na Marsie i pozwolił mu się zemścić. W zamian zyskała jego poparcie, kiedy pięć lat później poprowadziła frakcję, która obaliła i zabiła jej ojca. To jest człowiek, dla którego zacząłeś tę wojnę.

– Nie wiedziałem – odpowiadam cicho.

– Historię piszą zwycięzcy. – Lorn patrzy na mnie i zmarszczki na jego twarzy wydają się głębsze. – Nie chcę iść na wojnę, Darrow. Na własne oczy widziałem płonący księżyc, bo jeden człowiek nie potrafił pokłonić się drugiemu. Poprowadziłem milion wojowników wystrzelonych z okrętów wojennych, żeby dokonali inwazji na planetę. Nie jesteś w stanie nawet ogarnąć zgrozy tego wszystkiego. Myślisz tylko o tym, jakie to będzie piękne. To są jednak ludzie. Mężczyźni. Kobiety. Mają rodziny. I zginą ich tysiące. A ty nie będziesz w stanie ochronić nawet swoich najlepszych przyjaciół. Ach!

– Wskazuje w górę wzgórza. – Oto Ikar.

Krople spadają z sosen, kiedy przechodzimy wśród niskich gałęzi, żeby znaleźć Ikara, gryfa Lorna, śpiącego na legowisku z mchu na wysokim wzniesieniu pośrodku małego lasu. Stwór podkurczył łapy pod siebie. Skrzydła otulają go, gdy śpi, opalizujące i lśniące od kropel deszczu. Jego orla głowa jest niemal większa ode mnie, samo oko ma wielkość mojej czaszki. Rzeźbiarze pięknie się spisali.

– Wygląda tak spokojnie, kiedy śpi – mówi Lorn.

– Jest większy od wszystkich, jakie widziałem – odpowiadam, nie potrafiąc ukryć podziwu w głosie.

– Więc nie byłeś na biegunach Marsa ani Ziemi.

– Nie. Gdzie go kupiłeś?

– Marsjańscy Rzeźbiarze zrobili go dla mojej rodziny. Niech piekło pochłonie tego modnego przygłupa Zanzibara. Ikar jest z tego samego gatunku, co stworzenia żyjące w wysokich gniazdach na północnym biegunie Marsa. Te, które tak przeraziły Obsydianowych, że ci uwierzyli w magię. – Głaszczę śpiącego olbrzyma. – Nadal kochasz córkę arcygubernatora? – Zerka na mnie z nadzieją. – Dlatego to robisz? Słyszałem o niej i Bellonie.

– Nie chodzi o to, co wydarzyło się między nią a Cassiusem.

– Nie? – Wzdycha. – To przynajmniej potrafiłbym zrozumieć. Powinieneś wiedzieć, że to była niechlujna robota. Manewrem Irenicusa załatwiłbyś go w trzech ruchach.

– Nie byłem niechlujny. Urządziłem przedstawienie.

– Niechlujny. Od przedstawień są Fioletowi. Trenowałem cię na aktora?

Omijam go, żeby pogłaskać Ikara.

– Czyli jednak trochę ci na mnie zależy.

Nie odpowiada od razu, a ja już wiem, że nadeszła chwila, której najbardziej się obawiałem.

– W innym życiu byłbyś jednym z moich synów, Darrow. Znalazłbym cię wcześniej, zanim wydarzyło się to, co wypełniło cię gniewem. Nie wychowałbym cię na wielkiego człowieka, ludzie wielcy nie zaznają spokoju. Byłbyś człowiekiem przyzwoitym. Dałbym ci spokojną siłę, żebyś mógł zestarzeć się przy kobiecie, którą kochasz. A teraz mogę ci tylko dać szansę. Ikar! – woła.

Gryf porusza się przy nim, w bursztynowych oczach widzę swoje odbicie. Ziemia się trzęsie, kiedy olbrzymi stwór wstaje i wyłamuje drzewo z korzeniami z taką łatwością, z jaką ja wyrwałbym włos.

Odsuwam się od niego, niepewny intencji Lorna.

– Co to znaczy? – pytam go.

– Spójrz na swój statek.

Wskazuje w górę, w noc. Przez przerwę w chmurach widzę mój długi okręt błyszczący na orbicie. Nie jest już sam. Dziesięć dewastatorów podlatuje do Paxa, wykorzystując osłonę, jaką zapewnia równik Europy, żeby go przechwycić.

– W moim domu czeka na ciebie pretoriański pluton egzekucyjny. Dowodzi nimi Aja au Grimmus. Złapią cię, skują i sprowadzą przed oblicze Suwerenki.

– Zdradziłeś mnie?

– Nie. Przybyli wiele dni temu. Grozili. Co mogłem zrobić? Ich flotą dowodzi Kellan au Bellona. Zniszczy albo zajmie twój statek. Nie mogę temu zapobiec. Nie chcę jednak, żebyś zginął. Dlatego Ikar zabierze cię na wyspę, gdzie ukryłem statek dla ciebie. Posłuchaj się nim, żeby uciec.

– Skrzywdzą twoją rodzinę, jeśli ucieknę?

– Mogą tego spróbować – warczy. – To konsekwencja mojej i twojej decyzji. – Odwraca się plecami do morza. – Chcę dożyć reszty moich dni w pokoju. Proszę więc, odejść i nie wracać.

Wskazuje Ikara, a ja zauważam siodło – nową zabawkę, o której wspomniał. Nie muszę jednak uciekać. Kręcę głową z powodu tego, co zaraz się wydarzy.

– Przykro mi, przyjacielu. Nie mogę na to pozwolić.  
– Pozwolić? – pyta, odwracając się.  
– Dołączysz do nas w tej wojnie. – Rozwijam brzytwę. – Czy ci się to podoba, czy nie.

Łączę się z Wyjcami i każę im przygotować się do wynurzenia, a Tytanom zawrócić statki.

Krew odpływa mu z twarzy, kiedy patrzy na zwierzę na mojej kurtce od munduru.

– Zatem jednak lew.



## Gniew starca

Przygotowałem pułapkę, zanim jeszcze opuściłem flotę. Wszystkie sekrety trafiają szeptem do ucha Pliniusza, a on niczego tak nie pragnie, jak mojej rychłej śmierci, zwłaszcza odkąd sprowokowałem go na naradzie arcygubernatora. Zrobił więc swoje. Spiskował i knuł, znalazł sobie sprzymierzeńca przeciwko wielkiemu złemu Darrowowi au Andromedus w osobie samej Suwerenki, którym to faktem z radością podzielę się przy najbliższej okazji z Augustusem.

Okręty Suwerenki ukryły się wśród szczątków stacji kosmicznej, którą w przeszłości, podczas terraformowania, wykorzystywano jako bazę operacyjną. Kellan au Bellona był sprytny, ale przewidywalny.

Druga – większa – część moich sił, złożona z jednostek odkomenderowanych z floty rodu Telemachus i ukryta za innym, mniejszym księżycem za sześćdziesiąt sekund zaskoczy siły Bellony. Okręty wyskoczą zza księżyca, wykorzystując jego pole grawitacyjne do rozpędzenia się. Roque dowodzi. Przed końcem dnia będę mógł dodać dziesięć okrętów Bellony do swojej prywatnej floty.

– Wiedziałeś – rzuca cicho, oskarżycielsko Lorn.

Łapie mnie za mundur przy szyi i mną potrząsa. Wie, co to dla niego znaczy. To nie jest po prostu moje zwycięstwo. To jego porażka. W taki czy inny sposób, musi się z kimś sprzymierzyć. Ja ułatwiłem mu wybór strony.

– „Jeśli jesteś lisem, udawaj zająca”. Nie tego mnie uczyłeś? Będzie jednak wydawało się, jakbyś wiedział, że zastawiłem na nią pułapkę. Jakbyś przekazał mi informację o potrzasku Suwerenki. – Dotykam jego ramienia, kiedy mnie puszcza. – Przepraszam, przyjacielu. Naprawdę. Jesteś jednak częścią tej wojny.

Zgrzyta zębami, ale nic nie mówi.

– Suwerenka ponownie przyśle swoich pretorianów na Europę, kiedy już odlece – ciągnę. – Tyle że tym razem przylecą po ciebie i twoich bliskich. Jej czarno-fioletowe okręty ostrzelają was z orbity. Wasze wyspy i miasta na archipelagach, kontynentach i w górach na południu zamienią się w szkło i zostaną połknięte przez morze. Wody będą oplakiwać twoje strzaskane wieże

i twój dom. Pozostaną z nich tylko grobowce w głębinach. Chyba że wygramy.

Wpatruje się we mnie, szukając czegoś, co da mu czas. Zamiast tego widzi to, co sprawiło, że wziął mnie pod swoje skrzydła – samego siebie. Większość mężczyzn oddałaby wszystko, żeby to zobaczyć, ale tu i teraz Lorn wolałby zobaczyć cokolwiek innego.

– Naraziłem rodzinę, żeby pomóc ci uciec. Przyjąłem cię, uczyłem. A ty zdradzasz mnie tak jak inni. Jak Aja.

– Oczekujesz litości? Pozwoliłeś mi tu przylecieć. Skazałbyś moich przyjaciół na tortury i może nawet śmierć, dając mi szansę ucieczki. Ale nie, moi przyjaciele nie będą więźniami. – Wskazuję w górę na ogniste smugi na nocnym niebie, kiedy moja druga flota oblatuje Europę. – Możesz mnie nienawidzić, ale walcz u mego boku. Tylko wtedy twoja rodzina przetrwa.

Wyciągam rękę do mego dawnego nauczyciela. On wyjmuję brzytwę.

– Powinienem cię zabić.

– Mogę przyjść i zastrzelić starucha? – pyta przez system łączności Sevro.

– Poczekaj – odpowiadam mu.

– Zapominasz, chłopcze. – Lorn wyciąga terminal z kieszeni. – Mógłbym kazać mojej flocie zniszczyć twoją.

– Ale najpierw moja flota zniszczy flotę Suwerenki.

– Wtedy jednak Suwerenka wiedziałaby, po której stronie opowiedział się ród Arcos. Wiedziała, że mnie zwiodłeś. Że moja rodzina nie bierze w tym udziału.

– W takim razie zrób to – mówię. – Wystrzel swoje statki, jeśli myślisz, że moja sprawa jest zła. Zabij mnie, jeżeli uważasz mnie za potwora. – Pochodzę o krok i stoję blisko Lorna. – Znasz jednak serce, które bije w tej piersi. Wybierz mnie. Albo wybierz ciemność.

Kiwam głową w dół wzniesienia w miniaturowym lesie, w stronę miejsca, przez które tu weszliśmy. Dwunastu Obsydianowych pretorianów przechodzi gęsiego przez te same szklane drzwi, z których skorzystaliśmy wcześniej: ogromni mężczyźni i kobiety w czarno-fioletowych zbrojach i hełmach udających czaszki. Tylko jeden z nich jest Splamiony, chudszy od pozostałych, wygląda jak lodowa żmija, spięta do ataku. Ma białą zbroję obryzganą kolorami jak krwią.

Znajdują się niecałe pięćdziesiąt metrów od nas. Razem z nimi idzie niższa od pozostałych, ale bardziej olśniewająca Aja w złotej zbroi – Rycerz Zmian. Jej brzytwa jarzy się kolorami mgławicy, jej zbroja kłębi się jak fale, które łomoczą o białe urwiska wyspy Lorna. Zerka na nocne niebo, widzi rozgrywającą się na jej oczach moją zasadzkę. Stapia hełm z resztą zbroi.

– A więc zdrajców było dwóch! – woła. – Dom Arcos również dopuścił się zdrady. Stoisz po stronie lwów, Lornie?

– Dom Arcos zachowuje neutralność – odkrzykuje Lorn.

– Neutralność? – Zabójczyni Quinn marszczy brwi i przechyla głowę, więc widzę blizny po pojedynkach po prawej stronie jej szyi. Rozgląda się kocimi oczami, szukając śladu pułapki. – Nie ma czegoś takiego.

– Zostałem oszukany tak samo jak ty, Aju! – woła Lorn. – Darrow wiedział, że tu będziesz. Nie wiem, kto mu powiedział. Nie jestem jednak twoim wrogiem. Chcę tylko, żebyście zostawili mnie w spokoju.

– To nigdy nie wchodziło w grę! – odkrzykuje Aja. – Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny. Albo jesteś z nami, albo przeciwko nam.

– Aju... Nie. Nie biorę w tym udziału. Żadnego!

– „Silni zawsze biorą udział” – mruczę.

– Nie dam się do niczego zmusić. – Arcos rzuca mi gniewne spojrzenie. – Nie walczę z żadnym z was. Jestem teraz człowiekiem pokoju.

– To czemu trzymasz w ręce brzytwę? – Aja się uśmiecha – Rób to, na czym się znasz. Zejdź do nas, nauczycielu. Porozmawiajmy. Nie powinniśmy krzyczeć! Nie tak mi mówiłeś, kiedy podnosiłam głos w gniewie?

Przygląda się gryfowi, który teraz warczy obok nas. Jest większy od czterech koni razem wziętych. Zastanawiam się, co jego szpony zrobiłyby z pancerzami tamtych.

– Straciła statki – szepczę do Lorna. – Co kazałaby jej zrobić Octavia?

– Zabić nas. Z mściwości.

Zniżam głos:

– Zatem nie masz wyboru.

– Na to wygląda.

Aja patrzy, jak klękam i nabieram garść ziemi. Studiowała mnie. Wie, co to musi znaczyć. I musi się zastanawiać, co zaplanowałem. Dlaczego przybyłem sam. Jeśli naprawdę przygotowałem zasadzkę na niebie, to czy nie przygotowałbym drugiej tu, na ziemi? Już mam coś do niej krzyknąć, kiedy kolejna postać wychodzi przez bramę. Smukła. Bardziej śniada ode mnie. Ze znaczącym uśmiechem na znudzonej patrycjuszowskiej twarzy. Tactus. W pretoriańskiej zbroi. Przemyka do przodu, cień w fiolecie i czerni, przyglądając się z lękiem niebu, zanim pośle mi krzywy uśmiech.

– O zdrajcach mowa! – wołam. – Cześć, Tactus. Ładna zbroja.

– Żniwiarzu, mój łaskawy panie! – woła Tactus i pokazuje mi krzyżyk. – Gdzie Sevro?

Pochyla się do Ai. Coś do niej mówi. Ona prostuje się i znowu rozgląda po drzewach. Jej ludzie zacieśniają szyk obronny. Tactus ostrzega ją przed moimi

sztuczkami. Wie, że coś się kroi. Aktywują egidy, widzę lśnienie wokół ich przedramion.

Lorn zamyka oczy i unosi lewą rękę. Wieje porywisty wiatr.

– Zostaw Aję mnie. Lepiej poradzisz sobie ze Splamionym.

– Nie. Wszyscy są moi. Sevro, w górę.

Wyjce wynurzają się z morza pod zamkiem. Ociekają wodą, lecąc bezgłośnie nad wysokimi na sto metrów murami w zbrojach błyszczących jak czarne pancerze żuków. Na każdym napierśniku namalowano złotego lwa. Złoto migocze w świetle błyskawic. Lądują bezgłośnie wokół nas.

– Moi synowie burzy – wyjaśniam Lornowi.

Przybyło nam dwudziestu nowych rekrutów z rodzin Wyjców i rodu Telemanus. Sevro urządził sprawdzian kwalifikacyjny. Podobno była wporzo impreza. Nie zabrakło węży, alkoholu i grzybków. Więcej nie chcieli mi powiedzieć.

– Goblin! Dlaczego zawsze się chowasz? – woła Tactus. Niby żartuje, ale znowu zerka niespokojnie na niebo. – Przynajmniej tym razem to nie był koński brzuch.

Sevro wyciąga nóż do skórowania, którym posługiwał się przed laty, zbierając z Harpią skalpy. Ten z zakrzywionym ostrzem. Puka się nim po kroczu i wskazuje Tactusa. A potem spogląda na Aję.

– Zabiłaś Wyjca, Aju – mówi. – To była zła zagrywka.

Tak jak się spodziewałem, pojawienie się Wyjców uspokaja Aję i Tactusa. Wreszcie sytuacja nabiera dla nich sensu: miałem ukrytych żołnierzy. A teraz nie mam. Walka na śmierć i życie. Honor. Duma. Jedna siła przeciwko drugiej. Obsydianowi pretorianie zaczynają zawodzić swoją potworną gardłową pieśń. Wszystkim im marzy się chwalebna śmierć. Z mieczem w ręku dołączają do swoich krewnych w roześmianych salach Walhalli. Na rozkaz Ai robią krok naprzód. Najbardziej niebezpieczni mężczyźni i kobiety w Układzie Słonecznym, wśród nich Splamiony.

A ja biorę przykład z Evey.

Upewniam się, że Aja jest poza zasięgiem wybuchu, i detonuję miny – kolce, które rozrzuciłem na ziemi, kiedy wchodziliśmy z Lornem do lasu. Tylko Tactus jest dostatecznie szybki. Łapie Aję od tyłu i pociąga ją wstecz tak mocno, że w tutejszej niskiej grawitacji oboje wypadają przez drzwi w tej samej chwili, kiedy pierwsza eksplozja rozrywa ziemię.

Miny wybuchają falami. Pierwsza unieszkodliwia tarcze impulsowe i wyrzuca pretorianów w powietrze. Potem aktywuje się grawiStudnia, która ściąga ich z powrotem do źródła eksplozji jak odkurzacz zasysający muchy. Wtedy rozlega się trzeci wybuch: czysta fala energii kinetycznej niszczy

zbroje, kości i ciało, wyrzuca wojowników w powietrze i w skromnym ciężeniu rozrzuca ich szczątki jak rozproszone dmuchnięciem nasionka dmuchawca. Rozszarpane członki opadają powoli. Kropelki krwi ochlapują ziemię. Eksplozja niszczy kopułę nad nami i znowu deszcz wpada do ogrodu, gasi ogień i rozcieńcza posokę, która ścieka do dwóch tuzinów lejów jak po bombach. Tylko trzech pretorianów ocalało. Są w kiepskim stanie.

– Nie daj jej uciec – rozlega się w moim uchu głos Roque’a.

Ze statku w górze śledzi mój przekaz holograficzny.

Wyjcie jeszcze nie ruszyły.

Lorn jest na mnie wściekły, mówi coś o honorze.

– Co? – rzucam szyderczo. – Myślałeś, że walczę uczciwie?

– Darrow... – syczy Sevro.

Zwlekam z rozkazem.

– Darrow...

– Czekaj.

– Ona ucieka! – Głos Roque’a mnie przeraża. Ocieka mściwością, jakiej nigdy bym się po nim nie spodziewał. – Darrow!

Warczę na niego, żeby skupił się na swojej części walki.

– Darrow... – prosi Sevro. – Wystarczy.

Lorn patrzy. Może zaczyna rozumieć.

Pstrykam palcami.

– Teraz.

Wyjcie rzucają się naprzód jak spuszczone z uwięzi wilki, żeby dokończyć to, co zaczęła bomba. Dobijają ocalałych pretorianów. Sevro wykrzykuje imię Tactusa pośród wycia, kiedy wpadają do zamku, szukając jego i Ai.

– Darrow, w co ty pogrywasz? – pyta mnie Roque przez system łączności. Czekam, aż jego twarz pojawi się w narożniku wyświetlacza w moich hełmie. Mięśnie szczęki mu drgają. – Jeśli zabójczyni Quinn ucieknie...

– Dokończ swoje zadanie – mówię do niego. Z raportu wynika, że jeden z naszych dewastatorów został poważnie uszkodzony. Roque jest rozkojarzony. – Ludzie tam umierają. Skup się na swojej robocie.

Przerywam połączenie.

Na moim wyświetlaczu pojawia się Harpia.

– Konik morski wskoczył do wody.

– Świetnie. A Tactus?

– Bez śladu.

– Zrozumiałem.

Wyłączam się.

– Aja uciekła do morza, ale nie ma śladu Tactusa – mówi mi parę minut później Sevro, kiedy Wyjce przeszukują zamek pokój za pokojem. – Ukrywa się. Chyba że się teleportował. – Spluwa, wypowiadając te słowa rodem z science-fiction. – Zapytaj dziadka, gdzie są.

Mroczny niepokój rozkwita w moim umyśle. Odwracam się do Lorna.

– Co Lune kazałaby im zrobić, gdyby nie mogli zabić ciebie i mnie? Gdyby uznała kogoś za zbędnego, jakie byłyby jej rozkazy?

Lorn stoi przez chwilę w deszczu. Blednie.

– Dzieci... – Przepycha się obok mnie, biegnie, mija jatkę w ogrodzie, dopada do szklanych drzwi. – Pozabijają moje wnuki! – krzyczy.

– Gdzie dzieci? – pytam Sevro.

– Jakie dzieci? Nie znaleźliśmy żadnych dzieci.

Klnę i pędzę za Arcosem.

– Ukryłem je – rzuca do mnie przez ramię, biegnąc korytarzem w zamku.

Jest szybki jak na staruszkę, ale wąta grawitacja spowalnia nas, aż w końcu zaczynamy odpychać się rękami od ścian i sufitu i wspomagać się grawiButami. Pokonujemy kolejne zakręty. Kiedy Lorn dotyka głowy kamiennego gryfa i stalowa ściana cofa się, odsłaniając ukryte przejście, wyczuwam zapach krwi. Po drugiej stronie przejścia leżą dwa trupy: Szary i Obsydianowy. Przepycham się obok Arcosa i lecę przodem, spływam wzdłuż schodów korzystając z uchwytów dla dłoni w suficie, aż docieram do dwojga drzwi. Otwieram jedno z nich. Magazyn. Otwieram drugie i brzytwa zsuwa mi się do ręki.

– Tactus – cedzę.

Stoi plecami do mnie. Trzy Obsydianowe ciała leżą wokół niego, ich krew rozlewa się kałużą wokół jego stóp. Brzytwa rozwija mu się w ręce, sztywnieje. W pokoju jest pełno dzieci i kobiet. Krew ścieka po ostrzu.

Kiedy przybyłem, Arcos ukrył tu dzieci – Złote, trochę Srebrnych, Różowych i Brązowych. Tactus nadal może połowę z nich zabić leniwym ruchem brzytwy, zanim go dopadnę.

– Tactusie, przypomnij sobie swoich braci – mówię do niego, patrząc na dzieci.

– Moi bracia to gnojki. – Śmieje się chrapliwie. Ma dziwny głos. – Powiedzieli, że powinienem wyjść z twojego cienia. Matka nazywa mnie Potężnym Sługą. Wiedziałaś o tym?

Dzieci szlochają w kącie. Jedno wtula twarz w kolana matki. Kobiety nie są uzbrojone. To nie są wojowniczkę takie jak Victra i Mustang. Brązowa niańka zasłania oczy Złotemu dziecku. W tunelu za plecami słyszę zbliżającego się Arcosa.

– Rozkazy Lune są złe – mówię do Tactusa.

– Zapytała, czy potrafiłbym zająć twoje miejsce, Żniwiarzu – odpowiada cicho. – Powiedziała, że w to powątpiewa; od tak dawna tkwię w twoim cieniu, że wątpi, abym był w stanie stać się czymś więcej niż twoim echem. Odpowiedziałem jej, że potrafię robić wszystko to, co ty.

– Tactusie, to jest zła kobieta.

– Poważnie? – Spluwa krwią na ziemię, nadal na mnie nie patrząc. – Oni to samo mówią o tobie. Zastanawiają się, za kogo się uważasz, żeby robić to, co robisz; żeby rzucać wyzwania tym, którym rzucasz. Zastanawiają się, jakie masz do tego prawo.

– Wszyscy mamy prawo rzucać wyzwania. W tym cały sens.

– Sens. To miało jakiś sens? Nikt mi nigdy nie powiedział. Nie doceniałeś mnie. Nigdy nic mi nie mówiłeś.

Roque'owi też teraz nie mówię.

– Zawsze szeptałeś z innymi – ciągnie Tactus. – Lekceważyłeś mnie jak głupca. Jesteś taki sam jak ona...

– Twoja matka?

Nie odpowiada. Arcos podkrada się za mną. Daję mu znać, żeby się zatrzymał.

– Zabiłbyś ich, gdyby Augustus ci rozkazał? – pyta mnie Tactus, odwracając się lekko.

– Nie. Wolałbym zginąć.

– Tak sądziłem. Miała rację. Jestem Potężnym Sługą.

Rozkładał rękę.

– Nie wiem, co mam teraz zrobić, Tactusie.

– To u ciebie coś nowego. – Śmieje się gorzko, lekko bełkoce.

– Nieprawda. Nie wiedziałem, co zrobić, kiedy cię wychłostałem. W Instytucie. Nie chciałem cię stracić z powodu twoich talentów. Ale nie mogłem cię nie ukarać.

– Talentów. Talentów. Talentów. Zatem na tym polega różnica między nami. – Ma coraz bardziej zachrypły głos. – Bo gdyby wtedy to była moja armia, po prostu bym cię zabił, ty arogancki gnoju.

Odwraca się nieco bardziej i widzę na jego twarzy ślady po wybuchu.

– Wiesz, co się stanie, jeśli zabijesz którekolwiek z nich?

Kiwa głową najpierw na mnie, a potem na Rycerza Gniewu, jakby sugerował, że jeden z nas go zabije.

– Wiesz co, nie żałuję, że zabrałem Lysandra.

– Wątpię, żebyś kiedykolwiek czegoś naprawdę żałował.

– Dlatego nie żałuję. – Śmieje się i zanurza palec stopy w otaczającej go krwi. – Ale uważam, że nie powinienem był tego robić. W Instytucie poddałem cię próbie, chciałem się przekonać, co zrobisz. Czy warto za tobą podążać.

– I było warto?

– Znasz odpowiedź.

– Nadal warto?

Kiwa głową.

– Zawsze – mówi to tak żalonym tonem, że serce podchodzi mi do gardła.

Jest zdrajcą, kłamcą, oszustem. A jednak widzę w nim przyjaciela. Chcę go naprawić. Co ja wyprawiam. Muszę go zabić. Ale wcześniej tak właśnie zrobiłem z Titusem. Ten cykl nas niszczy. Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć i tak dalej.

– A gdybym pozwolił ci żyć? – pytam nagle, czym wywołuję u niego skonsternowane, szaleńcze spojrzenie. No jasne: nie rozumie idei wybaczenia.

– Gdybym pozwolił ci wrócić?

– Jak to?

– Gdybym ci wybaczył?

– Kłamiesz. – Odwraca się do nas.

Teraz widzę dobrze, co zrobiła mu bomba. Ma przekrzywiony nos. Złamany. Reszta twarzy wygląda jak wiśnia obdarta ze skórki. Mój przyjaciel...

– Nie kłamię.

Dawniej nie wierzyłem w Tactusa i przez to go straciłem. Teraz uwierzę. Zaryzykuję i mu zaufam, tak jak i od niego oczekuję zaufania. Robię krok do przodu.

– Wiem, że jest w tobie dobro. Widziałem twoją twarz, kiedy zabito tamte dzieci na gali. Nie jesteś potworem. Wróć do mnie. Będiesz znowu jednym z moich przybocznych. Dam ci legion, którym będziesz dowodził, gdy pójdziemy odbić Marsa. Będziesz niósł jeden z moich sztandarów. Ale nie możesz nosić tej paskudnej zbroi.

– Jest niewygodna. – Oddycha ze świstem, uśmiechając się leciutko. – Ale Sevro, Roque, Victra...

– Tęsknię za tobą – kłamię. – Rzuć brzytwę i wróć do mojej armii. Obiecuję ci, że będziesz bezpieczny.

Brzytwa wypada mu z ręki. Jedno z dzieci uśmiecha się do młodszego rodzeństwa z nadzieją.

– Zostaw te dzieci w spokoju, a wszystko zostanie wybaczone. – Mówię szczerze. Z głębi serca.



– Wszyscy popełniamy błędy – mówi.

– Wszyscy popełniamy błędy. Po prostu wróć. Nie skrzywdzę cię. – Wypuszczam brzytwę. – Arcos też nie.

Patrzę na ogorzałą twarz Lorna. Kiwa głową. Zgadza się.

– Chcę wrócić do domu – mruczy cicho Tactus, z bólem w głosie. – Chcę wrócić do domu.

– To wracajmy.

Brzytwa Tactus'a uderza z brzękiem o podłogę, a on osuwa się przede mną na jedno kolano. Chrypi z bólu. Fala ulgi zagarnia całe pomieszczenie. Dzieci znowu płaczą; powrót od śmierci do życia potrafi być straszny. Opiekunki obejmują podopiecznych, łzy żłobią linie na ich twarzach. Podchodzę do Tactus'a i daję mu znać, żeby złapał mnie za rękę i wstał. Obejmuje mnie w szaleńczym uścisku i wtulony we mnie płacze. Trzęsie się na całym ciele, jego zakrwawiona twarz brudzi mi zbroję.

– Przepraszam – powtarza w kółko.

Płacze rozdzierająco w moje ramię, ściskając mnie mocno. Ma zniszczoną twarz. Obejmuję go. Przepełnia mnie znużenie. Smutek Tactus'a ciąży mi jak namacalny ciężar i też niemal doprowadza mnie do łez. Podnosi mnie jednak na duchu dziwne uczucie towarzyszące temu, że go odzyskałem, że stoi tu teraz ze mną i mnie ściska. Świadomość, że ktoś nie może bez ciebie żyć i mimo zdrady pragnie twojego wybaczenia, rodzi pokorę. Kiedy więc zaciska ręce na moich plecach, ja też go obejmuję, niezręcznie, bo jego zbroja przeszkadza, i staram się nie płakać. Nawet okrutni czują ból. Nawet okrutni mogą się zmienić. Mam nadzieję, że to go zmieni. Mógłby bardzo wiele osiągnąć, gdyby tylko zaczął się uczyć.

Pod wieloma względami Tactus jest ucieleśnieniem swojej rasy. Jeśli więc on może się zmienić, Złoci także mogą. Muszą zostać złamani, ale trzeba dać im szansę. Myślę, że ostatecznie tego właśnie chciałyby Eo.

Kiedy w końcu płacz ucicha i Tactus odsuwa się ode mnie, żeby stanąć obok, jest lojalny jak szczeniak. Spogląda na mnie wyczekująco, szuka przejawów uczucia. Ręce trzęsą mu się z bólu spowodowanego ranami, a jednak patrzy w milczeniu razem z Arcosem i ze mną, jak dzieci, te szlachetnie urodzone i te pospolitsze, wychodzą gęsiego z ukrycia razem z opiekunami. Pestka schodzi do nas i wesołym głosem informuje mnie, że Roque kończy już potyczkę w kosmosie. Na widok ran Tactus'a blednie. Każe jej przyprowadzić jakiegoś Żółtego.

Wkrótce Lorn, Tactus i ja zostajemy sami w piwnicy.

Starzec patrzy na nas.

– Teraz, kiedy już nie ma dzieci... konsekwencje.

Jego ręka jest szybsza od skrzydeł kolibra. JonoSztylet pojawia się i cztery razy dźga Tactusa w pachę, gdzie zbroja jest najsłabsza. Rzucam się, żeby go powstrzymać, ale on już zrobił swoje. Obraca rękę, jakby wyżywał ręcznik, i przecina tętnicę. Starzec zabija młodzieńca. Zniszczona twarz Tactusa krzywi się z bólu. Łapie gwałtownie powietrze, jakby wiedział, że wreszcie dopadnie go sprawiedliwość.

Lorn wychodzi. A ja trzymam w ramionach przyjaciela, gdy umiera ze wzrokiem utkwionym w jakieś odległe miejsce, w którym, być może, wreszcie odnajdzie spokój, jakiego zawsze życzył mu Roque.

## Burza nadciągająca

– Ile mamy czasu do spotkania? – pytam Orion.

Stoimy na platformie dowodzenia. Pomijając naszych przybocznych, jesteśmy sami przed iluminatorami Paxa i patrzymy na rozrzucone w kosmosie moje jednostki. Najnowsze dodatki do naszej uciekającej armady są pomalowane na białą i ozdobione wizerunkiem wściekłego purpurowego gryfa Lorna. Razem z nimi lecą czarno-niebiesko-srebrne okręty wojenne Kellana au Bellona, przejęte przez nas nad Europą. Pomarańczowi i Czerwoni pełzają po zewnętrznych powłokach bestii, naprawiają dziury wybite przez pijawki i przygotowują okręty na oblężenie Marsa.

– Trzy dni do Stacji Hilda. Pozostałe statki nas uprzedzą, dominus.

Podchodzą do nas Kavax i Daxo. Odwracam się do nich i wskazuję przez naprawione okno dziesięć okrętów Kellana au Bellona.

– Dziękuję za prezenty.

– Twój plan, twoje łupy – odpowiada Kavax.

– Oczywiście weźmiemy sobie działkę – dodaje Daxo, jak zawsze gładki w obyciu. Unosi krzaczaste złote brwi. – Pięćdziesiąt procent znaleźnego. No dobrze – mityguje się, widząc moje rozbawienie. – Niech będzie trzydzieści, bo Pax cię lubił.

– Dziesięć! – dudni Kavax.

Przechylam głowę.

– Kiepski z pana negocjator, pretorze.

Wzrusza przyjaźnie ramionami i wesołym gestem wskazuje żelki na podłodze. Odstawia Sofoklesa na ziemię, zachęcając go do ich pożarcia.

– Dwadzieścia. – Daxo rozkłada ręce. Jego gesty zawsze wydają się lepiej pasować do chudszy człowieka, bardziej w typie mola książkowego. – To uczciwe, prawda? Straciliśmy stu sześćdziesięciu Szarych i trzynastu Obsydianowych.

– Więc trzydzieści procent wam to wynagrodzi. W końcu jesteśmy przyjaciółmi.

– Trzy statki! Co za targi! – oznajmia Kavax. – Co za targi! Czasem człowiek potrzebuje porządnie się potargować. – Klepie mnie w plecy, aż mi

wszystkie stawy trzeszczą. – Szkoda tylko, że nie złapaliśmy Ai. To dopiero byłby łup do podziału!

– Niestety uciekła do morza. – Wskazuję Ragnara, który stoi na obrzeżach mostku. – Słyszałem, że dobrze się sprawił.

Blady, wysoki, patrzy na mnie zza brody i runicznych tatuaży. Sprawia wrażenie tak samo pozbawionego emocji, jak Kavax i Daxo są nimi przepełnieni.

– Dowódca jego oddziału abordażowego został zabity. Podobnie jak jego przyboczni. Mnóstwo głów zostało zmiażdżonych. Wpadli na przyjaciół Kellana. – Skwaszony Kavax przeszukuje kieszenie z myślą o niecierpliwym lisie, który już drapie go w nogę, domagając się przysmaków. – Nie mam więcej, mój mały książę. – Uśmiecha się do mnie z nadzieją. – A ty?

– Nie, przykro mi.

– Ragnar przejął dowodzenie. Świetnie się sprawił – wyjaśnia Daxo.

– Przejął dowodzenie?

– Natknęli się na oddział Niezrównanych – wyjaśnia Kavax. – Pół tuzina mistrzów fechtunku z rodziny Bellona, prawdziwi arystokraci. Wypatroszyli wszystkich naszych Złotych i większość Obsydianowych. A ten Splamiony zebrał Szarych, którzy przeżyli, paru Obsydianowych, i zdobył tamten statek.

– Czy któryś z tych geniuszów szermierki przeżył?

– **Nie.**

Ragnar znowu wbija wzrok w ziemię, jakby spodziewał się reprimendy.

– Świetna robota, łaskawy panie – mówię.

Kavax i Daxo mrużą oczy, słysząc tak poufały ton. Warto było go użyć, żeby zobaczyć, jak Ragnar zaskakuje mnie uśmiechem, szerokim, żółtożółtym uśmiechem.

– Myślicie, że mogłby bardziej się wykazać? – pytam.

Daxo się waha.

– Co masz na myśli?

– Czy mogłby dowodzić samodzielnie, bez Złotego?

Daxo i Kavax patrzą po sobie zaniepokojeni.

– A jaka z tego korzyść? – dziwi się Daxo.

– Mogłbym go posłać w miejsca, w które nie mogę posłać Złotych.

– Nie ma takich miejsc. – Kavax krzyżuje ręce na piersi.

Za daleko się posunąłem.

Uśmiecham się, żeby ich udobruchać.

– Naturalnie. Tak tylko teoretyzuję. Czasem umysł zapędza się za daleko.

Poklepuję Kavaxa po ramieniu i obaj odchodzą, żeby polecieć na swój statek.

– Przesadziłeś – mówi Orion.

– Co proszę?

– Masz uszy.

Patrzę w dół, przyglądam się bladoniebieskim tatuażom na jej ciemnej skórze, jakby matematyka ukrywała klucz do zrozumienia jej umysłu.

– Spostrzegawcza jesteś, jak na Niebieską.

– Bo wiem, jak działa świat poza moim cyfrowym łączem ze statkiem? To dlatego, że pracowałam w dokach, dominus. Kiedy jest się na dnie, zauważa się wszystko.

– W których dokach? – pytam.

– Na Fobosie. Ojciec był dokerem, urodził się poza Sektą. Umarł, kiedy byłam mała. Dziewczynka musi być ostrożna, jeśli chce dorastać w portowych miastach Ula. Tylko w taki sposób można pokonać potwory.

– Nie tylko.

– Nie? – pyta zaskoczona.

– Zawsze można samemu zostać jednym z nich.

Odwraca się od iluminatora, żeby spojrzeć na mnie. Jej arktyczne oczy pałają groźną inteligencją.

– Jest jeszcze piękno przestrzeni. Miliard ścieżek do wyboru.

Nie muszę odpowiadać, bo właśnie Niebieski łącznościowiec woła ze swojego stanowiska:

– Dominus, zbliża się prom desantowy. To Virginia au Augustus.

## Zamach stanu

– Złapali ojca – mówi, zbiegając po rampie dymiącego statku.

Otacza ją kilku Obsydianowych ochroniarzy w zniszczonych w walce zbrojach. Tuzin Szarych wysiada za nimi. Na czele idzie Sun-hwa z Luny. To sami najemnicy, lurcherzy, prości i niebezpieczni. Łowcy od Szakala. Sevro przygląda im się nieufnie.

Wokół nas stoją zaparkowane w hangarze setki myśliwców i tuzin bocianów. Pomieszczenie jest dostatecznie duże, żeby połknąć całe Błonia i miasteczko Lykos. Pomarańczowi kręcą się przy statku, sprawdzają jego stan przed ewentualną inwazją na Marsa.

Wychodzę Mustang na spotkanie razem z moją ekipą: Lornem, Sevro, Wyjcami, Victrą i Ragnarem. Roque nie odpowiedział na moje wezwanie. Chcę podbiec i objąć Mustang, ale jest wściekła. Ślina pryska jej z ust. Ma ciemne sińce pod gniewnymi oczami. Krzywi się ze zmęczenia.

– Pliniusz przeprowadza zamach stanu. Aresztował mojego brata. Moja ciotka nie żyje, jej dzieci zostały zamordowane, podobnie jak szóstka naszych pretorów. Ponad dwudziestu hołdowników mojego ojca złożyło nowe przysięgi lenne. Poza tym straciliśmy kontrolę nad flotą.

Pytam, czy jest ranna.

– Ranna? – Prycha szyderczo. – Jakby to miało znaczenie. Zabili moich ludzi. Ukradkiem zbliżyliśmy się do Akademii i kiedy tylko wystrzeliłam pijawki w stronę stacji kosmicznej i statków treningowych, zza asteroidy wypadła flota domu Bellona. Zniszczyli wszystkie moje pijawki, co do jednej. Zginęło dziesięć tysięcy ludzi. Nie musieli tego robić. Wycelowali w nas dość armat, żebyśmy nie mieli innego wyjścia, jak tylko się poddać. To było bezlitosne.

– Wygląda mi to na Karnusa – domyślam się.

Kiwa głową.

– I Pliniusza. Dom Bellona nie musiał długo szukać. Został doprowadzony prosto do mnie.

– Dlaczego Pliniusz cię nie zabił? – pyta Sevro.

– Ludzie tacy jak Pliniusz są przywiązani do idei legalności – odzywa się stojący obok mnie Lorn. Kiwa Mustang głową na powitanie. Jeśli dziewczyna

jest zdziwiona jego obecnością, to nie daje tego po sobie poznać. – To leży w jego naturze. Przyszedł do ciebie wcześniej, prawda?

Mustang rzuca mojemu mentorowi zdeglustowane spojrzenie.

– Ten Piks postawił straż pod moimi kwaterami, kiedy poprowadził przejętą ode mnie flotę w stronę planetoid Hildy. Podczas podróży przyszedł do mnie i pokazał mi holo z nieudanego najazdu mojego ojca na Ganimesa. – Dygocze z gniewu. – Powiedział, że wprawdzie mój dom popadł w ruinę, ale on nie pozwoli, żeby nasza krew wygasła. Doszli z Suverenką do porozumienia. On zapewni jej pokój, a ona jemu odpowiednią pozycję, legalność i nagrodę, którą sam sobie wybierze. Zatrzepotał więc tymi swoimi ślicznymi rękami, kiedy na holo płonęły okręty mojego ojca, i zapowiedział, że rozwiedzie się ze swoją żoną, a następnie uczyni mi wielki zaszczyt, biorąc ze mną ślub.

Nic nie mówię. Wyjce burczą z niezadowoleniem.

– Twoja odpowiedź? – pyta Victra.

Mustang udaje, że jej nie słyszy.

– Powiedział, że zawsze miał na mnie oko. – Sięga do kieszeni, wyciąga z niej coś i upuszcza na podłogę. – Więc je sobie wzięłam.

Sevro i Harpia rechocą. Lorn pomrukuje z dezaprobatą. Tak jakby mógł patrzeć z wyższością na jakiekolwiek okrucieństwo.

– Miło znowu cię widzieć, Rycerzu Gniewu – zwraca się do niego Mustang. – Przykro mi, że zostałeś w to wciągnięty. Potrzebujemy cię jednak bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

– Zaczynam to dostrzegać.

– Gdzie twój brat? – pytam, odrywając wzrok od leżącego na podłodze oka.

– W niewoli. Mam ci więcej do powiedzenia. – Zerka na Pomarańczowych i Szarych. – Na osobności.

– Oczywiście. Porozmawiamy w sali narad... – zaczynam.

– W swoim czasie, Darrow. – Dziadkowa troska rozlewa się na twarzy Lorna, kiedy znowu patrzy na Mustang. – Moja pani, wiele przesłaś, może powinnaś odpocząć. Potem moglibyśmy...

Wyjce i ja odsuwamy się od niego.

– Odpocząć? – Mustang podnosi głos. – Dlaczego miałabym potrzebować odpoczynku?

– Mój błąd – mityguje się uprzejmie Lorn.

– Theodora? – wołam.

Różowa wychodzi naprzód.

– Kawa, stymulanty i jedzenie do sali narad. Dla dziesięciu osób. – Przypominam sobie o Telemachusach. – Albo dla dwudziestu.

Mimowolnie parska śmiechem.

– Tak, dominus.

Odchodzi na bok i wzywa swój personel.

Mustang skinieniem głowy wskazuje swój statek.

– Ma tak tam stać?

– Szefie! – wołam do Pomarańczowego zawiadującego hangarem. Na brodzie ma plamy od smaru. Podchodzi nieśpiesznie, ocierając silne ręce w pomarańczowe spodnie. – Wyrzuć ten statek przez śluzę.

– Da się go jeszcze uratować.

Patrzę na Mustang.

– Uciekłaś, czy pozwolili ci uciec?

– Nie wiem. Mój brat był jednym z tych, którzy mnie uratowali. Jego własny statek złapali, kiedy próbował pomóc mi w ucieczce.

Szakał jest pełen niespodzianek.

– A jeśli na pokładzie jest bomba? – pyta z niepokojem Sevro.

– To nie będzie bomba – zapewniam go.

– Pliniusz nadal chce mnie dopaść, tak jak chce oddać Darrowa Suwerence. Ale przede wszystkim chce twojej floty, Żniwiarzu. Kiedy twoje jednostki nie pojawią się przy Stacji Hilda, zda sobie sprawę, że zostałeś ostrzeżony albo czekałeś na kod potwierdzający, którego on nie znał.

– I dojdzie do wniosku, że jeśli ktoś ma wiedzieć, gdzie jestem, to na pewno ty.

– I namierzając mnie, znajdzie tę flotę – potwierdza Mustang.

Lorn patrzy po nas dwojgu.

– Kiedy to omówiliście?

– W tej chwili – odpowiada Mustang skonsternowana jego pytaniem.

Sevro klepie Lorna po ramieniu.

– Nie martw się. To jeszcze nie jest starczy uwiad. Oni są po prostu dziwni.

Lorn wpatruj się w jego brudną dłoń. Jego rękawiczka bez palców jest umazana puree ziemniaczanym i sosem. Szeroki uśmiech Sevro rzadnie, chłopak z zakłopotaniem cofa rękę.

Odwracam się do Pomarańczowego.

– Wyrzuć statek przez śluzę. Natychmiast.

Nadal się waha. Kołysze się na piętach.

– Chyba że masz lepszy pomysł?

Drapie się po głowie. Spojrzenia tych wszystkich Złotych wprawiają go w zakłopotanie. Pracownicy pokładowi ukradkiem obserwują naszą rozmowę.

– Wyduś to z siebie – warczy Sevro.



– Oczywiście. Mogłbym wypchnąć statek przez służę, dominus. Albo mogłbym na przykład poszukać skanerów i namierzyć materiały promieniotwórcze, jeśli wybrali tę opcję. Mamy swoje sposoby. Jeśli znajdziemy materiał promieniotwórczy, możemy umieścić go na jakimś stateczku zwiadowczym dalekiego zasięgu. To żaden problem. I niech ogary Pliniusza szukają wiatru w polu, nie?

– Jak się nazywasz i skąd jesteś? – pytam.

– Dominus... ehm. – Mruga ciężko powiekami. – Cyther mnie zwał. Z Luny. Trzy córki. Żona pracuje w Centrum Rozwoju Motoryzacyjnego, więc...

– Załatw to jak należy, a sprowadzimy je wszystkie na Marsa i zatrudnimy w Cytadeli – wchodzę mu w słowo. – Masz dziesięć minut.

– Tak jest! – Odwraca się podekscytowany do swoich ludzi.

Prowadzę Mustang i moją klikę w stronę wind.

– Pliniusz powiedział, że cię zabił – szepcze Mustang.

– Aja czekała na nas z flotą Bellony, tak jak się spodziewaliśmy. – Uśmiecham się do niej z ukosa. Wyciągam terminal. – Orion, przejmij dowodzenie flotą. Chcę, żebyśmy znaleźli się z dala od tego sektora, zanim pojawi się towarzystwo. Sevro, wezwij Telemanusów. Chcę, żeby byli... Sevro? – Rozglądam się za nim.

Został jakieś dwadzieścia metrów za nami, przy leżącym na podłodze oku Pliniusza. Kiedy się do niego odwracamy, przestępuje skrzepowany z nogi na nogę.

– Mogę...? – Wskazuje oko.

– Co? – pyta Mustang.

– Mogę je sobie wziąć?

Dziewczyna mruży oczy.

– Należy do ciebie.

Porywa oko z podłogi i chowa do kieszeni, szczerząc zęby w okrutnym grymasie. Podbiega do nas.

– Mam nadzieję, że zbiorę komplecik.

## Umieraj młodo

Mustang nalega, żeby zobaczyć Tactusa przed naradą. Theodora nas prowadzi. Roque jest przy jego ciele w okrętowym ambulatorium. Kiedy tak siedzi ze złożonymi rękami, można by pomyśleć, że Tactus wciąż ma szansę przeżyć. Może w jakimś innym świecie, gdzie mężczyźni tacy jak Lorn nie istnieją.

– Siedzi tu od Europy – mówi cicho Theodora.

– Nie powiedziałaś mi o tym – odzywam się.

– Prosił, żebym nie mówiła.

– Jesteś moją służącą, Theodoro.

– A on twoim przyjacielem, dominus.

Mustang mnie szturcha.

– Przestań być dupkiem, nie widzisz, że jest równie wycieńczona jak on?

Patrzę na Theodorę. Mustang ma rację.

– Powinnaś się trochę przespać – mówię do Różowej.

– Pierwszorzędny pomysł, dominus. Zawsze miło cię zobaczyć, domina – rzuca do Mustang, zanim spojrzy na mnie krzywo. – Pan był dość humorzasty podczas pani nieobecności.

Mustang odprowadza wzrokiem Theodorę, która oddala się płynnym krokiem.

– Poszczyściło ci się z nią.

Delikatnie dotyka ramienia Roque'a. Chłopak otwiera oczy, trzepocząc powiekami.

– Virginia.

Zbliżyli się do siebie w ciągu tego roku, który spędzili razem w Cytadeli.

Żadne z nich nigdy nie mogło mnie namówić, żebym poszedł z nimi do opery. Nie chodzi o to, że nie lubię muzyki. Po prostu Lorn zabierał mi mnóstwo czasu.

Mustang ściska go za rękę.

– Jak się masz?

– Lepiej niż Tactus.

Roque zerka na mnie. Założę się, że powiedziałby więcej, gdyby mnie tu nie było. Widzi, w jakim stanie jest Mustang, i z troską marszczy brwi.

– Co się stało?

Kiedy już mu wyjaśnimy, przeczesuje delikatnie dłonią falujące włosy.

– To fatalnie. Nigdy nie spodziewałbym się, że Pliniusz okaże tyle odwagi.

– Spotkamy się na naradzie za dziesięć minut – mówię.

Roque udaje, że mnie nie słyszy.

– Przykro mi z powodu twojego ojca i brata, Virginio.

– Nadal żyją. Mam nadzieję. – Mustang zerka na leżące obok ciało i twarz jej tężeje. – Przykro mi z powodu Tactusa.

– Odszedł tak, jak żył – odpowiada Roque. – Szkoda tylko, że nie pożył dłużej.

– Myślisz, że by się zmienił?

– Zawsze był naszym przyjacielem. Naszym obowiązkiem było mu pomóc. Nawet jeśli byłoby to jak przytulanie płomienia. – Roque zerka na mnie przelotnie.

– Wiesz, że nie chciałem jego śmierci – mówię. – Chciałem, żeby do nas wrócił.

– Tak jak chciałeś złapać Aję? – Roque prychnął, widząc moją minę.

– Powiedziałem ci, dlaczego to zrobiłem.

– Jasne. Ona zabiła naszą przyjaciółkę. Zabiła Quinn, ale pozwalamy jej odejść, bo mamy większy plan. Wszystko ma swoją cenę, Darrow. Może w końcu się zmęczysz zmuszaniem przyjaciół, żeby płacili ją za ciebie.

– To nie w porządku – wtrąca się szybko Mustang. – Wiesz przecież.

– Wiem tylko, że kończą nam się przyjaciele – odpowiada Roque. – Nie wszyscy z nas są tak twardzi jak sławny Żniwiarz. Nie każdy chce być wojownikiem.

On oczywiście uważa, że sam wybrałem sobie takie życie. Jego dzieciństwo było wypełnione wypoczynkiem i lekturą, spędził je, krążąc pomiędzy rodzinną posiadłością w Nowych Tebach a wyżynami Marsa. Jego rodzice nie uznawali transferów wspomagających jako formy nauki, więc zatrudnili Fioletowych i Białych, żeby uczyli go metodą pedagogiczną – spacerując z nim i rozmawiając na spokojnych pastwiskach i nad nieruchomymi jeziorami.

– Tactus nie sprzedał skrzypiec – mówi po chwili Roque.

– Tych, które podarował mu Darrow?

– Tak. Stradivarius. Wystawił je na sprzedaż, ale potem miał takie wyrzuty sumienia, że nie sfinalizował transakcji w domu aukcyjnym. Kazał ją anulować. Ćwiczył po kryjomu, szlifował umiejętności. Powiedział, że chce cię zaskoczyć sonatą, Darrow.

Ciążące mi brzemię tylko rośnie. Tactus zawsze był moim przyjacielem. Po prostu zagubił się, próbując być takim człowiekiem, jakiego życzyła sobie

jego rodzina, podczas gdy wszyscy jego przyjaciele kochali go takim, jakim już był. Mustang kładzie mi rękę na plecach, wiedząc, co myślę. Roque pochyla się, żeby pocałować Tactusa w policzek i pobłogosławić.

– Lepiej odejść do innego świata w pełnej chwale namiętności niż zgasnąć i zwiędnąć z wiekiem. Żyj szybko i umieraj młodo, mój zbłąkany przyjacielu.

Roque wychodzi. Mustang i ja zostajemy sami z Tactusem.

– Musisz to naprawić – mówi Mustang, mając na myśli Roque’a. – Zanim go stracisz.

– Wiem. Zaraz po tym, jak naprawię setkę innych rzeczy.

\*\*\*

Siedzimy w pełnym składzie w sali narad wojennych wokół wielkiego drewnianego stołu. Błat jest zawałony kubkami z kawą i tacami z jedzeniem. Mustang siedzi obok mnie, jak zawsze opiera buty na stole. Wyjaśnia nam, co poszło nie tak w misji jej ojca. Kavax pochyla się do przodu, niebezpiecznie balansując na krześle, przerażony myślą, że Augustus poniósł klęskę. Załamuje nerwowo ręce; jest tak zdenerwowany, że Daxo zabiera Sofoklesa z jego kolan i podaje go skrępowanej Victrze. Głos Mustang wypełnia salę, holo, które dostała od Pliniusza, ożywa nad stołem. Eskadra korwet sunie cicho przez kosmos w stronę słynnych stoczni Ganimedesa, otaczających kręgiem przemysłowy księżyc w zielone i niebieskie łaty przetykane skłębioną bielą.

– Ojciec wysłał oddział Szarych lurcherów ukrytych w brzuchu dwóch tankowców. Rozbroili trzy reaktory nuklearne platformy obronnej. Potem wyprowadził myśliwce i korwety. Zaatakowały w typowy dla niego sposób: idąc pełną mocą, rzuciły pociski, po czym natychmiast zawróciły. Zdobycz była istic królewska: siedemnaście niszczycieli i cztery drednoty w suchych dokach, w większości gotowe albo prawie gotowe do działania. Spodziewał się, że mają zaledwie szkieletową obsadę, dlatego kazał wkroczyć na pokład wszystkich jednocześnie. Osobiście dowodził pijawką, która przystąpiła do abordażu Niszczyciela Księżyców. Zabrał swoich dwóch Splamionych. Tyle że obsada okrętów wcale nie była minimalna. Zamiast zwykłych załóg zastali na nich oddziały pretorianów i Szarych lurcherów. Z Olimpijskimi Rycerzami na dokładkę.

– Więc... się poddał? – pyta spanikowany Kavax.

Mustang się śmieje.

– Mój ojciec? Prawie wyrąbał sobie drogę ucieczki. Zabił Rycerza Paleniska, a potem wpadł na paru naszych starych przyjaciół.

Na holo widać Augustusa, który przebija się przez dwunastu Szarych jakby brodził w wysokiej suchej trawie. Jego brzytwa śpiewa i wrzeszczy, krzesze iskry, uderza o ściany, tnie ludzi i pancerze – do czasu, gdy napotyka mężczyznę w zbroi w kolorze ognia. Rycerz Paleniska. Następuje seria krótkich wypadów i pchnięć, tryska czerwona mgiełka. Głowa spada na ziemię. Pojawia się dwóch kolejnych mężczyzn: jeden ma hełm ze słońcem, drugim jest Fitchner w wilczym hełmie. Razem zabijają Splamionego i powalają na ziemię krwawiącego Augustusa.

Lorn patrzy na mnie.

– Lady... Mustang, kim był mężczyzna w zbroi ozdobionej słońcem?

Ona milczy.

– To zbroja Rycerza Poranka – odpowiadam. – Cassius. Musieli naprawić mu rękę. Albo dali mu nową.

– Były tam także statki rodziny Julii – odzywa się Mustang. Zerka na Victrę. – Dobily siły mojego ojca.

Sevro zerka na Victrę i bierze od niej Sofoklesa, jakby nie można było jej powierzyć lisa.

– Czujesz się zakłopotana? Bo powinnaś.

– Już to przerabialiśmy – mówi znudzona oskarżeniami Victra. – Suwerenka zagroziła mojej matce. Matka nie jest politykiem. Interesują ją pieniądze i niewiele poza tym.

– Czyli co, ma w nosie lojalność? – pyta Mustang. – Ciekawe.

– Też coś! Agrippina to występna suka – burczy Kavax. – Zawsze taką była.

– Uważaj, wielkoludzie – ostrzega go Victra. – To wciąż moja matka.

Kavax krzyżuje potężne ręce na piersi.

– Przykro mi, że masz taką matkę.

– Skąd mamy wiedzieć, że z nimi nie współpracujesz? – pyta cicho Daxo, zwracając się do Victry. – Może jesteś szpiegiem? Może na coś czekasz. Jak możesz jej ufać, Darrow? Mogła z łatwością wysłać wiadomość...

Mustang patrzy na mnie.

– Sama się nad tym zastanawiam.

– Dlaczego ufam tobie, Daxo, albo tobie, Kavaksie? – pytam. – Obaj wyszlibyście na tym znakomicie, zostalibyście ułaskawieni, dostali nowe terytoria i duże pieniądze, gdybyście dostarczyli moją głowę Suwerence.

– A serce matce Cassiusa – przypomina mi Sevro.

– Dzięki, Sevro.

– Zawsze gotowy pomóc!

Porywa udko kurczaka ze stołu i karmi Sofoklesa. Po chwili zastanowienia sam odgryza kawałek i mówi coś cicho do lisa.

– Ufam Victrze z tego samego powodu co wam – wyjaśniam. Z trudem udaje mi się oderwać wzrok od Sevro. – Dlatego, że łączy nas przyjaźń.

– Przyjaźń. Ha. – Mustang odstawia głośno kubek z kawą. – Powiem otwarcie. Nie ufam rodzinie Julii za grosz.

– To dlatego, że cię onieśmielałam, brzdącu.

Mustang prostuje się na krześle.

– Brzdącu?

– Jestem dziesięć lat starsza od ciebie. Pewnego dnia wspomnisz siebie i się roześmiesz. Czy naprawdę byłam taka niemądra, taka prosta? W dodatku nie jesteś za wysoka. Więc nazywam cię „brzdącem”.

– Nie bawię się w pyskówki – odpowiada chłodno Mustang. – Nie ufam ci, bo cię nie znam. Wiem tylko, że twoja matka nie słynie ze swojej apolityczności. To intrygantka. Skłonna do przekupstwa. Mój ojciec to wiedział. Ja to wiem. Ty to wiesz.

– Tak, do pewnego stopnia moja matka jest intrygantką. Tak samo jak ja i tak samo jak ty, ale jednej rzeczy z pewnością nie można mi zarzucić. Nie kłamię. Nigdy nie skłamałam i nigdy nie skłamię. Nie o każdym można to powiedzieć.

Victra unosi brwi, żeby było jasne, co ma na myśli.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni, Darrow – ostrzega mnie Daxo. – Odsuń na bok swoje uczucia. Wychowała ją niebezpieczna kobieta. Nie ma powodu, żeby ją źle traktować, ale nie może być obecna na tej naradzie. Radziłbym zatrzymać ją w jej kajucie do czasu zakończenia sprawy.

– Tak – Kavax bębni w stół kostkami pięści. – Zgadza się. To złe jabłko.

– Nie mogę uwierzyć, że wciągnąłeś mnie w taki bałagan, Darrow – mruczy Lorn. Zupełnie tutaj nie pasuje. Jest za stary, zbyt siwy, żeby brać udział w tych sprzeczkach. – Nie można nawet ufać własnej radzie.

– Zrędzisz. Może to zbyt niski poziom cukru? – Sevro rzuca mu nadgryzione udko.

Lorn nie próbuje go złapać. Mięso ląduje na stole. Lorn nie jest zachwycony.

– Chętnie wysłuchamy twoich mądrych rad – mówi z szacunkiem Kavax.

– Na twoim miejscu posłuchałbym własnych doradców, Darrow. – Lorn wyłamuje kostki rąk. – Mam bliźny starsze od nich, ale nie są całkiem naiwni. Lepiej dmuchać na zimne. Zamknij Victrę w jej kabinie.

– W ogóle mnie nie znasz, Arcos! – protestuje Victra, wreszcie podrywając się z krzesła. Teraz widać w niej wojowniczkę, przebija się spod gładkiej warstewki spokoju. – To mnie obraża. Walczyłam po stronie Darrowa, kiedy ty chowałeś się w swoim pływającym zamku, udając, że nadal mamy średniowiecze.

– Czas nie dowodzi niczyjej wierności – prychna Lorn i przesuwając palcem po bliźnie na przedramieniu. – Blizny owszem.

– Zarobiłeś je, walcząc dla Suwerenki. Byłeś jej mieczem. Ile krwi dla niej przelałeś? Ilu ludzi spłonęło na twoich oczach, gdy stałeś obok Pana Popiołów?

– Nie mów mi o Rei, dziewczyno.

Zęby Victry błyskają w okrutnym uśmiechu.

– Więc jednak pod tymi zmarszczkami i przeżartymi przez mole szmatami kryje się Rycerz Gniewu.

Lorn przygląda jej się, widzi w niej gniew młodości, a potem zerka na mnie, jakby się zastanawiał, jaki Złoty przyciąga do siebie takich ludzi jak Tactus i Victra. Czy on mnie w ogóle zna? – pytają jego oczy. Dociera do niego, że nie. Oczywiście, że nie.

– Honor na pierwszym miejscu, honor do końca. To motto mojego rodu. Natomiast twój ród... Młoda damo, nazwisko Julii nie inspiruje nikogo do szlachetnych zrywów, prawda? Jesteście po prostu handlarzami.

– Moje nazwisko nie ma nic wspólnego z tym, kim jestem.

– Węże rodzą węże – odpowiada Lorn, teraz już nawet na nią nie patrząc. – Twoja matka była żmiją. Urodziła cię. Zatem i ty jesteś żmiją. A co robią żmije? Pełzają. Czekają w trawie, zimnokrwiste i okrutne, a potem kąsają.

– Moglibyśmy zażądać za nią okupu – proponuje Sevro. – Zagrozić, że ją zabijemy, o ile Agrippina nie dołączy do nas albo nie przestanie szczać na nasze plany.

– Jesteś złowieszczym gnojem, wiesz? – mówi Victra.

– Jestem Złotym, suko. Czego się spodziewałaś? Ciepłego mleka i ciasteczek, bo mam kieszonkowe rozmiary?

Roque odchrząkuje, czym przyciąga wszystkie spojrzenia.

– Wygląda na to, że nasze zachowanie jest niesprawiedliwe, trąci wręcz hipokryzją. Wszyscy obecni tu wiedzą, że moja rodzina jest pełna polityków. Niektórzy z was mogą nawet uważać, że pochodzę ze szlachetnej krwi, szlachetnego nasienia. Jednakże my, Fabii, jesteśmy nieszczerzy. Moja matka jest senatorką, która napycha sobie kieszenie funduszami na rolnictwo i subsydiami na pomoc medyczną dla podKolorów, żeby mieszkać w większej liczbie domów, niż mieszkała jej matka. Mój dziadek ze strony ojca otrul

własnego bratanka z powodu Fioletowej gwiazdki cztery razy od niego młodszej, która ostatecznie zadźgała go i oślepiła siebie, kiedy odkryła, że zabił swojego bratanka, a jej kochanka. Jednak to wszystko nic w porównaniu z moim stryjecznym pradziadkiem, który karmił służącymi lamparty, bo przeczytał, że cesarz Tyberiusz tak robił jako pierwszy. A jednak siedzę tutaj, owoc tego grzechu, i nikt nie kwestionuje mojej lojalności. Dlaczego więc wątpicie w lojalność Victry? Trzymała się wiernie Darrowa od czasu Akademii. Nikogo z was tam nie było. Żadne z was nic o tym nie wie, więc nalegam, żebyście się przymknęli. Nawet kiedy jej matka naciskała, żeby Victra porzuciła Darrowa i Augustusa, ona trwała przy nich. Nawet kiedy pretorianie przyszli nas zabić na Lunie, została. A teraz siedzi tutaj, wśród tej obszarpanej koalicji bandytów, a wy kwestionujecie jej lojalność. Brzydzicie mnie. Smutno mi siedzieć wśród tych sporów. Jeśli więc jeszcze jedna osoba poda jej lojalność w wątpliwość, stracę wiarę w tę kompanię. I odejdę.

Uśmiech, jaki posyła mu Victra, jest jak wschód słońca, powolny, a potem oślepiająco jasny. I znika wolniej, niżbym się spodziewał. Serdeczność jej reakcji zaskakuje nawet samego Roque'a, na którego jasne policzki szybko wpływa rumieniec.

– Nie jestem moją matką – oznajmia Victra. – Ani siostrą. Moje okręty należą tylko do mnie. Podobnie jak moi ludzie. – Jej szeroko rozstawione oczy są chłodne, niemal senne, ale rozbłyskują, kiedy się pochyla. – Zaufajcie mi, a na tym zyskacie. Chociaż ostatecznie i tak liczy się tylko zdanie Darrowa.

Wszyscy spoglądają na mnie w milczeniu. Prawdę mówiąc, nie myślałem o Victrze, tylko o Tactusie. Zastanawiałem się nad tym, z jaką łatwością spostrzegł, że trzymam go na dystans. Kiedy początkowo okazałem mu miłość, a on odrzucił darowane przeze mnie skrzypce, zawstydziłem się i poczułem zraniony. Dlatego się od niego odsunąłem. Byłoby lepiej, gdybym pozostał szczery w swoich uczuciach i trzymał się raz obranej drogi. Wtedy jego mur by runął. Tactus nie odszedłby ode mnie. Wciąż mógłby tu być. Nie popełnię takiego samego błędu po raz drugi, na pewno nie w wypadku Victry. Wyciągnąłem do niej rękę wcześniej, na korytarzu, i to samo zrobię teraz, w obecności innych.

– Przypadek sprawił, że jesteśmy Złoci – mówię. – Moglibyśmy urodzić się w innym Kolorze. Przypadek sprawił, że trafiliśmy do naszych rodzin. Natomiast przyjaciół wybieramy sami. Victra wybiera mnie. A ja wybieram ją, tak jak wybrałem was wszystkich. A jeśli nie możemy ufać przyjacielom... – patrzę prosząco na Roque'a, szukając w jego oczach wybaczenia – ...to jaki sens jest dłużej oddychać?



Spoglądam na Victrę. Jej oczy mówią tysiąc rzeczy naraz, a mnie przypominają się słowa Szakala, kiedy leżał w łóżku poparzony po wybuchu bomby. Victra mnie kocha. Czy to może być aż tak proste? Robi to wszystko nie wiedzioną chęcią zysku typową dla Julii, ale z powodu zwyczajnych ludzkich uczuć. Zastanawiam się, czy mógłbym ją pokochać? Nie. Nie, w innym świecie Mustang nigdy nie została wojowniczką, nigdy nie byłaby okrutna. W innym świecie Victra zawsze byłaby taka, jaka jest teraz. Zawsze byłaby wojowniczką. Tak jak Eo, w gruncie rzeczy, nazbyt dzika i przepełniona ogniem, żeby znaleźć spokój.

Mustang zauważyła, że coś przemknęło pomiędzy mną a Victrą.

– Zatem ustalone – mówi. – Wracajmy do spraw bieżących. Pliniusz czeka na czele głównej floty. Ściągnął wszystkich hołdowników mojego ojca, żeby spisać oficjalny akt kapitulacji przed Suwerenką i zmiany struktury władzy na Marsie. O ile dobrze rozumiem, taka umowa sprawi, że zostanie głową własnego rodu. Wraz z rodzinami Julii i Bellona będą władać Marsem. Kiedy już zostanie podpisany pokój, przypieczętuje go egzekucja mojego ojca na dziedzińcu naszej Cytadeli w Agei. – Rozgląda się po siedzących wokół stołu. Czekaj, aż jej słowa nabiorą właściwej wagi. – Jeśli go nie uratujemy, wojna będzie skończona. Władcy Księżyców nie przyjdą nam z pomocą. Ba, wyślą swoje okręty przeciwko nam. Siły Vespasiana z Neptuna zawrócą. Zostaniemy sami naprzeciw całej Wspólnoty. I zginiemy.

– Świetnie. To upraszcza sprawę – mówię. – Dlatego najpierw odbierzemy naszą flotę, a potem Marsa. Jakies pomysły?

## Taniec

W nocy nachodzi mnie sen z przeszłości. Moja dłoń zaplątana w pasma jej włosów. Wokół nas dolina śpi w ciszy. Nawet dzieci jeszcze się nie wiercą. Ptaki siedzą na sękatych konarach pobliskiej sosny, a ja słyszę tylko jej oddech i trzaskanie starego ognia. Łóżko nią pachnie. Nie kwiatami ani perfumami, ale ziemistym piżmem jej skóry, olejkami jej włosów wokół moich rąk, gorącym oddechem, który grzeje mi policzek. Jej włosy były naszą planetą. Były nieposkromione jak moje, brudne jak moje, rude jak moje. Ptak na zewnątrz śpiewa głośno. Głośniej. I jeszcze głośniej.

Budzę się, słysząc kogoś za drzwiami.

Zrzucam spocone okrycia i siadam na brzegu materaca.

– Podgląd.

Pojawia się holo Mustang na korytarzu. Odruchowo wstaję, żeby ją wpuścić, ale kiedy podchodzę do drzwi, zamieram. Mamy plan. Nie pozostało nic do omówienia o tej porze. Nic, z czego wynikłoby cokolwiek dobrego.

Patrzę na jej holo. Przestępuje z nogi na nogę, trzyma coś w rękach. Jeśli ją wpuszczę... to ostatecznie oboje zapłacimy za to wysoką cenę. Już zraniłem Roque'a. Zabiłem Quinn, Tactusa i Paxa. Jeśli pozwolę jej się do siebie zbliżyć, będzie to egoistyczne. W najlepszym razie przeżyje wojnę i dowie się prawdy na mój temat. Cofam się od drzwi.

– Darrow, nie bądź dupkiem i wpuść mnie.

Ręka decyduje za mnie.

Ma mokre rozpuszczone włosy, zamiast munduru nosi czarne kimono. Sprawia wrażenie bardzo kruchej przy Ragnarze, który czai się obok niej w korytarzu.

– A nie mówiłam? – rzuca do niego. I do mnie: – Wiedziałam, że nie będziesz spał. Ragnar strasznie się upierał. Powiedział, że potrzebujesz snu. I nie chciał wziąć jedzenia, które mu przyniosłam.

– Potrzebujesz czegoś? – pytam chłodniej, niż zamierzałem.

Przestępuje teatralnie z nogi na nogę.

– Wiesz... boję się ciemności.

Przepycha się obok mnie do środka. Ragnar wszystko obserwuje. Jego oczy niczego nie zdradzają.

– Kazałem ci iść do łóżka, Ragnarze.

Nie rusza się.

– Ragnarze, jeśli tutaj nie jestem bezpieczny, to nigdzie nie jestem. Idź do łóżka.

– **Śpię z otwartymi oczami**, dominus.

– Serio?

– **Tak.**

– To rób to w swoim łóżku, Splamiony. To rozkaz.

Nienawidząc swojego władczego tonu.

Ragnar niechętnie kiwa głową i odchodzi bezgłośnie. Patrząc za nim, kiedy drzwi zamykają się z sykiem. Odwracam się i widzę, że Mustang rozgląda się po pokoju. Więcej tu drewna i kamienia niż metalu, ściany są ozdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi leśne scenki. Dziwne, ile wysiłku wkładają ci ludzie, żeby poczuć się częścią historii, a nie przyszłości.

– Sevro musi być wkurzony, że to już nie on czai się za tobą.

– Trochę dorósł, odkąd ostatnio go widziałas. Nawet sypia już w łózkach.

Śmieje się.

– Ragnar okropnie się upierał, żebym sobie poszła. Aż zaczęłam myśleć, że masz towarzystwo.

– Wiesz, że nie wykorzystuję Różowych.

– Duży – mówi o moim apartamencie. – Sześć pokoi? Trochę to dziwne jak na ciebie. Nie proponujesz mi czegoś do picia?

– Masz ochotę...

– Nie, dziękuję. – Każe panelowi sterowniczemu włączyć muzykę. Mozart.

– Ale ty nie lubisz muzyki, prawda? Nie tak naprawdę.

– Nie tego rodzaju. Jest... sztywna.

– Sztywna? Mozart był buntownikiem, prawdziwym geniuszem-rewolucjonistą! Przełamywał wszystko, co sztywne.

Wzruszam ramionami.

– Może. Ale potem sztywniacy go dopadli.

– Czasem bywasz takim prostakiem. Myślałam, że Theodora zdołała wpoić ci trochę kultury. To co lubisz? – Przesuwa rękami po płaskorzeźbie przedstawiającej łosia prowadzącego stado. – Mam nadzieję, że nie to elektroniczne szaleństwo, które Wyjce puszczają sobie, żeby im dudniło w głowach. Nie dziwi mnie, że wymyślili to Zieloni... Zupełnie jakby się słuchało robota, który dostał szału.

– Dużo masz doświadczeń z robotami? – pytam.

Podziwia Zbroję Zwycięstwa w pokoju odchodzącym w bok do wejściowego holu. Suwerenka podarowała ją Panu Popiołów, kiedy spalił Reę.

Mustang przesuwając palcami po metalu o kolorze szronu.

– Pomarańczowi i Zieloni ojca mieli trochę robotów w swoich laboratoriach inżynierskich. Stare, zardzewiałe graty, które ojciec odnowił i wstawił do muzeów. – Śmieje się do siebie. – Zabierał mnie tam, kiedy jeszcze nosiłam sukienki i mama wciąż żyła. Szczerze nie znosił robotów. Pamiętam, jak matka się śmiała z jego paranoi, zwłaszcza kiedy Adrius próbował uruchomić taki jeden model bojowy z Eurazji. Ojciec był przekonany, że roboty obaląby świat ludzi i rządziłyby teraz Układem Słonecznym, gdyby nie zniszczono ziemskich imperiów.

Parskam śmiechem.

– O co chodzi?

– Po prostu... – Śmieję się cicho. – Próbuję wyobrazić sobie wielkiego arcygubernatora Augustusa, którego roboty przypominają o koszmarach senne. – Łapie mnie głośniejszy atak śmiechu. – Podejrzewał, że co? Chcą więcej smaru? Dłuższych wakacji?

Patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Śmiech gaśnie. Łapie się za brzuch. – Nic mi nie jest. – Nie mogę przestać szczerzyć zębów. – Kosmitów też się boi?

– Nigdy go o to nie pytałam. – Stuka palcem w zbroję. – Ale oni gdzieś tam są, wiesz?

Wpatruję się w nią.

– Nie ma o tym słowa w archiwach.

– O, nie, nie. Wiem, żadnych obcych jeszcze nie znaleźliśmy, ale zgodnie z równaniem Drake’a-Roddenberry’ego matematyczne prawdopodobieństwo wynosi  $N = R^* \times fp \times ne \times fl \times fi \times fc \times L$ . Gdzie  $R^*$  to średni czas powstawania gwiazdy w naszej galaktyce,  $fp$  to odsetek gwiazd, które mają planety... Już mnie nie słuchasz.

– Jak myślisz, co by o nas pomyśleli? – pytam. – O ludziach?

– Pewnie uznaliby, że jesteśmy piękni, dziwni i w niewytłumaczalny sposób okropni dla siebie nawzajem. – Wskazuje dalej w głąb korytarza. – Sala treningowa?

Zrzuca kaptcie i idzie marmurowym korytarzem, oglądając się na mnie przez ramię.

Ruszam za nią. Przyciemnione światła ożywają, kiedy je mijamy. Mustang sunie naprzód szybciej, niż mam ochotę iść. Chwilę potem zastaję ją pośrodku okrągłego pokoju treningowego. Miękka biała mata pod stopami. Płaskorzeźby zdobiące zakrzywione ściany.

– Dom Grimmus jest stary – mówi, wskazując fryz z człowiekiem w zbroi.  
– Oto pierwszy przodek Pana Popiołów. Seneca au Grimmus, pierwszy Złoty, jaki dotknął ziemi podczas Żelaznego Deszczu, który zajął wschodnie wybrzeże Ameryki po tym, jak jeden z przodków Cassiusa, nie pamiętam jego imienia, przełamał szyki Floty Atlantyckiej. Potem jest Vitalia au Grimmus, Wielka Wiedźma, o tam. – Odwraca się do mnie. – Znasz chociaż historię rzeczy, które próbujesz zniszczyć?

– To Scripio au Bellona pokonał Flotę Atlantycką.

– Tak?

– Studiowałam historię – odpowiadam. – Równie dokładnie jak ty.

– Ale się od niej odcinasz, prawda? – Krąży wokół mnie. – Jak zawsze. Jakbyś był obcym, który patrzy na nas z zewnątrz. To kwestia dorastania z dala od wszystkiego na kopalnianej asteroidzie rodziców? To dlatego potrafisz zadać pytanie w rodzaju „Co pomyśleliby o nas kosmici?”.

– Jesteś tak samo wyrzutkiem jak ja. Czytałem twoje rozprawy.

– Tak? – Jest zaskoczona.

– Możesz wierzyć lub nie, ale potrafię też czytać. – Kręcę głową. – Jakby wszyscy zapominali, że w teście ze slangLogiki w Instytucie nie odpowiedziałem tylko na jedno pytanie.

– Ojej, nie odpowiedziałeś na jedno pytanie? – Marszczy nos, podnosząc z ławki ćwiczebną brzytwę. – Pewnie dlatego nie trafiłeś do Minerwy.

– Nawiasem mówiąc, jakim cudem Pax został wybrany do Domu Minerwy? Zawsze się zastanawiałem... Nie był typem uczonego.

– A jak Roque wylądował w Domu Marsa? – odpowiada ze wzruszeniem ramion. – Każdy z nas ma ukryte głębie. Pax nie był tak bystry jak Daxo, ale mądrość znajduje się w sercu, nie w głowie. Pax mnie tego nauczył. – Uśmiecha się z zadumą. – Jedyna łaską, jaką mi wyświadczył ojciec po śmierci matki, to zezwolenie na wizytę w posiadłości Telemanusów. Trzymał mnie i Adriusa osobno, żeby utrudnić zamach na swoich następców. Miałam szczęście, że wylądowałam blisko Telemanusów. Chociaż może gdybym nie wylądowała, to Pax nie byłby aż tak lojalny. Może nie poprosiłby, żeby wzięto go do Minerwy. Może nadal by żył. Wybacz... – Otrząsa się ze smutku, patrzy na mnie z wymuszonym uśmiechem. – Co pomyślałeś o moich rozprawach?

– O której konkretnie?

– Zaskocz mnie.

– Specjalizacja wśród owadów. – Trzask. Obrywam w rękę brzytwą treningową, aż mnie skóra piecze. – Co jest, u diabła?!

Mustang stoi z miną niewiniątka, wymachując ostrzem w tę i z powrotem.

– Sprawdzalam, czy uważasz.

– Uważam? Odpowiadałem na twoje pytanie!

Wzrusza ramionami.

– W porządku. Może po prostu chciałam cię uderzyć.

Znowu atakuje. Robię unik.

– Dlaczego?

– Bez szczególnego powodu. – Bierze zamach, ja się uchylam. – Mówi się jednak, że nawet głupiec jest mądry po szkodzie <sup>2</sup>.

– Nie cytuj mi tu... – ona uderza, a ja obracam się w bok – ...Homera.

– Dlaczego to jest twoja ulubiona dysertacja? – pyta chłodno i znów uderza brzytwą.

Nie jest ostra, ale za to twarda jak drewniana laska. Nie przesuwam stóp, tylko wychylam się w bok jak lykoski akrobata.

– Ponieważ... – Unikam kolejnego uderzenia.

– Kiedy stoisz na piętach, kłamiesz. Kiedy stajesz na palcach, wyrzucasz z siebie prawdę. – Wymachuje brzytwą. – Wyrzucić z siebie prawdę.

Trafia mnie w rzepkę. Koziołkuje, próbując złapać drugą brzytwę treningową, ale Mustang uniemożliwia mi to gradem ciosów.

– Gadaj!

– Podobała mi się... – odskakuję do tyłu – ...ponieważ napisałaś „specjalizacja nas ogranicza, zamienia w proste owady. To prawda... która dotyczy... także Złotych”.

Przestała wymachiwać brzytwą i patrzy na mnie oskarżycielsko, a ja zdaję sobie sprawę, że wpadłem w pułapkę.

– Skoro się z tym zgadzasz, to czemu upierasz się, że będziesz tylko wojownikiem?

– Bo nim jestem.

– Tym właśnie jesteś? – Śmieje się. – Ty, który ufasz Victrze. Victrze z rodu Julii. Ty, który zaufałeś Tactusowi. Ty, który pozwalasz Pomarańczowemu udzielać strategicznych rad. Ty, który oddajesz dowodzenie statku dokerce i otaczasz się Tombakami. – Grozi mi palcem. – Nie bądź hipokrytą. Skoro zamierzasz mówić wszystkim, że mogą sami decydować o swoim przeznaczeniu, to równie dobrze możesz sam to zrobić.

Jest za bystra, żeby ją okłamać. To dlatego jestem przy niej taki skrupowany, kiedy zadaje mi pytania, kiedy dopytuje się o rzeczy, których nie mogę wyjaśnić. Nie ma sensownego wytłumaczenia dla wielu moich działań, jeżeli naprawdę jestem Andromedusem, który dorastał na kopalnianej asteroidzie moich Złotych rodziców. Moja historia jest dla niej pusta. Moja motywacja wzbudza jej konsternację... o ile urodziłem się Złotym. To musi wyglądać na ambicję, na żądzę krwi. I bez Eo tym właśnie by było.

– Ta mina – mówi, odsuwając się o krok. – Dokąd się udajesz, kiedy masz ten wyraz twarzy? – Blednie, wycofuje się w głąb siebie. Jej uśmiech rzadnie.  
– To Victra?

– Victra? – Prawie się śmieję. – Nie.

– Czyli tamta. Dziewczyna, którą straciłeś.

Nie odpowiadam.

Nigdy o to nie dopytywała. Nigdy nie pytała o Eo, ani razu, w czasie, który spędziliśmy razem po Instytucie, gdy zaczynałem jako lansjer. Ani kiedy jeździliśmy konno po jej rodzinnej posiadłości, ani kiedy spacerowaliśmy po ogrodach czy nurkowaliśmy wśród raf koralowych. Myślałem, że musiała zapomnieć, jak szeptałem imię innej dziewczyny, kiedy leżeliśmy razem wśród śniegów Instytutu. Jakie to głupie z mojej strony. Jak mogłaby zapomnieć? Jak to wspomnienie mogło w niej nie pozostać, nie zmuszać jej do zastanawiania się, kiedy leżała z głową na mojej piersi i słuchała bicia mojego serca, czy nie należy ono do innej dziewczyny? Nieżyjącej dziewczyny.

– Milczenie nie jest w tej chwili odpowiedzią, Darrow.

Po chwili zostawia mnie samego w pokoju. Odgłosy jej stóp cichną. Znika Mozart.

Biegnę za nią i łapię ją, zanim dociera do drzwi wejściowych. Łapię ją za nadgarstek. Wrywa mi się.

– Przestań!

Cofam się zaskoczony.

– Czemu to robisz? – pyta. – Dlaczego przyciągasz mnie z powrotem, jeśli znowu mnie potem odepchniesz? – Zaciska ręce w pięści, jakby chciała mnie uderzyć. – To nie jest w porządku. Rozumiesz? Nie jestem taka jak ty... Nie potrafię po prostu... nie potrafię odciąć się tak jak ty.

– Nie odcinam się.

– Odcinasz się ode mnie. Po tej przemowie o Victrze... o wadze przyjaźni... – Pstryka mi palcami przed twarzą. – Nadal potrafisz odciąć się ode mnie, ot tak. Zależy ci, a potem już nie. Może dlatego tak cię lubi.

– Kto?

– Mój ojciec.

– Wcale mnie nie lubi.

– Jak mógłby nie lubić? Jesteś taki jak on.

Cofam się i natrafiam na brzeg łóżka.

– Nie jestem taki jak twój ojciec.

– Wiem – przyznaje, kiedy część gniewu z niej uchodzi. – To nie w porządku wobec ciebie. Ale staniesz się nim, jeżeli pójdziesz tą ścieżką

sam. – Kładzie rękę na panelu sterowniczym przy drzwiach. – Więc poproś, żebym została.

Jak mógłbym jej na to pozwolić? Jeśli odda mi serce, złamię je. Moje kłamstwo jest zbyt wielkie, żeby budować na nim miłość. Kiedy odkryje, czym jestem, odrzuci mnie. Nawet gdyby ona to przetrwała, ja nie przetrwam. Patrzę na moje ręce, jakby tam kryła się odpowiedź.

– Darrow. Poproś, żebym została.

Kiedy podnoszę wzrok, jej już nie ma.



## Bracia krwi

Zwiadowcy Lorna przechwytyją wielbłąda – statek przewożący jedzenie dla floty Pliniusza zebranej wokół Stacji Hilda, ośrodka handlu i komunikacji na obrzeżach pasa asteroid między orbitami Marsa i Jowisza, zbudowanego w kształcie gwiazdy. Przez piętnaście godzin chowamy się z Roque'em, Victrą, Sevro, Wyjcami, Telemamusami, Lornem, Mustang i Ragnarem wśród pudeł i skrzynek z zapakowanymi próżniowo posiłkami z protobłonnikiem. Ragnar zmiażdżył pierwsze pudło, na którym usiadł, i paczki rozsypały się wszędzie, zanim wyszedł z wilgotnej ładowni do chłodni, gdzie temperatura spada poniżej zera.

Sevro rozcina pół tuzina opakowań i pojada przez całą podróż, dzieląc się z Telemamusami i swoimi Wyjcami. Roque siedzi w kącie i rozmawia z Victrą. Mustang opiera się o Daxo, dzieląc się z Kavaxem historiami o Paksie. Unika mojego wzroku.

Próbowałem przeprosić przed wejściem na statek, ale natychmiast weszła mi w słowo.

– Nie ma za co przepraszać. Jesteśmy dorośli. Nie dąsajmy się i nie kłóćmy jak dzieci. Mamy sprawy do załatwienia.

Te słowa wydają się coraz zimniejsze, w miarę jak powtarzam je w głowie.

Lorn szturcha mnie butem.

– Postaraj się być mniej oczywisty, chłopcze. Gapisz się.

– To skomplikowane.

– Miłość i wojna. Ta sama moneta. Różne strony. Jestem za stary na obie.

– Może wojna tchnie trochę życia w te twoje stare kości.

– Cóż, miłości próbowałem w zeszłym miesiącu. – Pochyla się blisko. – To już nie działa tak jak kiedyś.

– Za dużo tej szczerości, Lorn – wytykam mu, ale nie mogę się nie roześmiać.

Mruczy coś i poprawia się na pudłach. Stęka głośno, kiedy coś strzela mu w plecach.

– Czyli to o to w tym wszystkim chodzi. Dostarczasz biednemu staremu Lornowi potrzebnej mu dawki wojny. – Jego gniew jeszcze nie minął, zresztą nie spodziewałem się tego. – Pozwól, że odwzajemnię ci się przysługą.

Kluczowy dzisiaj będzie takt. Pretorzy, legaci i hołdownicy, których spróbujesz uwieść, nie są głupcami. I nie ścierpią głupców. Pliniusz przedstawił im rozsądny argument. Zadbaj o to, żeby jego własne interesy były zgodne z ich interesami. Musisz dać im to samo.

– Pliniusz to pijawka – mówię. – Kłamca w takim stopniu, w jakim ty jesteś uczciwym człowiekiem.

– I to czyni go niebezpiecznym. Kłamcy składają najlepsze obietnice.

Lorn bawi się herbowym sygnetem. Myśli pewnie o swoim gryfie i wnukach lecących na statkach w naszej flocie. Zabrał całe domostwo z Europy, trzy miliony ludzi ze wszystkich Kolorów. „Nie mogę ich zostawić”, powiedział mi, kiedy zwróciłem uwagę na rozmiar jego floty podczas odlotu z wodnego księżyca. „Octavia przyleciałaby tu pod naszą nieobecność, żeby spalić mój dom”. Dlatego porzucili swoje pływające miasta i wyprawili się do gwiazd. Wkrótce cywile oddzielią się od nas i ukryją w nieskończonej czarnej przestrzeni między planetami. Będą im przewodzić trzy wciąż żyjące synowe Lorna.

– Poza tym Pliniusz ma za sobą potęgę Suwerenki – mówi dalej. – Trudno będzie ich przekonać. A skoro mowa o Suwerence... Zauważyłem, że masz coś, co do niej należy.

– Paxa?

– Nie, coś mniejszego, chociaż niewiele. Tego Splamionego, który tu był.

– Ragnara?

– Jeśli tak to coś się nazywa.

– To jest on i tak właśnie ma na imię. Miał być prezentem dla Julii za zdradzenie Augustusa.

– Widziałem kiedyś takie coś na arenie w Cytadeli. Stwórz równie przerażający jak niektóre z tych, które kryją się w morzach Europy.

– Może i jest Obsydianowy, ale to nadal człowiek.

– Pod względem biologicznym może i tak, ale stworzono go do jednego celu. Nie zapominaj o tym.

– Dobrze traktujesz swoich służących. Oczekuję, że podobnie będziesz traktował moich.

– Traktuję dobrze ludzi. Różowi, Brązowi, Czerwoni to ludzie. A ten twój Ragnar to broń.

– Wybrał mnie. Narzędzia nie wybierają.

– Jak tam sobie uważasz, ale pamiętaj o konsekwencjach. – Lorn wzrusza ramionami i mruczy coś pod nosem.

– Powiedz to, co chcesz powiedzieć.

– Czeka cię zniszczenie, bo wierzysz, że wyjątki od reguł tworzą nowe reguły. Że zły człowiek może odrzucić nikczemność tylko dlatego, że ty tego od niego chcesz. Ludzie się nie zmieniają. Dlatego właśnie zabiłem młodego Ratha. Przyswój tę lekcję teraz, żebyś nie musiał jej przyswoić później, gdy będziesz miał nóż w plecach. Kolory istnieją nie bez powodu. Reputacja istnieje nie bez powodu.

Po raz pierwszy wydaje mi się mały i stary. Nie z powodu zmarszczek, ale z powodu tego, co mówi. Jest reliktem. Myśli takie jak jego należą do epoki, którą próbuję zniszczyć. Nic nie poradzi na to, że w to wierzy. Nie widział tego, co ja. Nie pochodzi stamtąd, skąd ja przyszedłem. Nie miał Eo, żeby go pchnęła, ani Dancera, żeby go poprowadził, ani Mustang, żeby dała mu nadzieję. Dorastał we Wspólnocie, gdzie miłość i zaufanie są tak rzadkie jak trawa na pustkowiach Helionu. Zawsze jednak pragnął obu tych rzeczy. Jest jak człowiek, który sadi nasiona i patrzy, jak wyrastają z nich drzewa, a potem jego sąsiad je ścina. Tym razem będzie inaczej. I jeśli wszystko pójdzie dobrze, zwrócę mu wnuka.

– Uczyłeś mnie kiedyś, Lornie, i dzięki temu jestem lepszym człowiekiem, ale teraz moja kolej nauczyć czegoś ciebie. Ludzie mogą się zmieniać. Czasem muszą upaść. Czasem muszą skoczyć. – Klepię go po kolanie i wstaję. – Ale zanim umrzesz, zdasz sobie sprawę, że popełniłeś błąd, zabijając Tactusa, bo nie dałeś mu szansy, żeby stał się dobrym człowiekiem.

\*\*\*

Zastaję Ragnara leżącego na podłodze w chłodni – siarczysty mróz sprawia, że czuje się tu jak w domu. Zdjął koszulę, więc widzę jego przerażające tatuaże. Wszędzie runy. „Ochrona” na plecach. „Złowrogość” na dłoniach. „Matka” na gardle. „Ojciec” na stopach. „Siostra” za uszami. Tajemniczy rysunek czaszki Splamionego na twarzy.

– Ragnar – mówię, siadając. – Nie przepadasz za towarzystwem, co?

Kręci głowę. Związane w kucyk białe włosy wiją się na podłodze. Oczy jak plamy smoły wpatrują się we mnie bacznie. Drugie oczy – wytatuowane na powiekach – są dziwne, mają źrenice jak u smoka albo węża, więc kiedy mruga, to jego zwierzęca dusza spogląda na świat.

Siedzę, obserwując go i zastanawiając się, jak powiedzieć to, co chcę powiedzieć. Obsydianowi są najbardziej obcym ze wszystkich Kolorów.

– Oferując mi plamy, związałeś się ze mną. Co to dla ciebie znaczy?

– **To znaczy, że jestem posłuszny.**

– Bezwarunkowo? – pytam. Nie odpowiada. – A gdybym kazał ci zabić twoją siostrę albo brata?

– **Każesz mi to zrobić?**

– To tylko hipotetyczne pytanie.

Nie rozumie tego pojęcia, więc mu wyjaśniam.

– **Po co planować?** – pyta. – **Ty planujesz. Ty decydujesz. Ja robię albo nie, nie ma planu.** – Bardzo starannie rozważa następne słowa. – **Śmiertelnicy, którzy planują, umierają tysiąc razy. My, którzy słuchamy, umieramy tylko raz.**

– Tego właśnie chcesz? – pytam. Nie porusza się. – Mówię do ciebie, Splamiony.

– **Chcenie.** – Śmieje się. – **Czym jest chcenie?** – Drwina w jego głosie wyłania się z głębszego miejsca niż nasz pozbawiony boga świat. On tu jest obcy, bo hodujemy jego rodzaj w światach lodu, potworów i starożytnych bogów. – **Nazywasz tę rzecz i myślisz, że ją znam. Chcenie.**

– Nie pogrywaj ze mną, a ja nie będę pogrywał z tobą, Ragnarze. – Czekam długą chwilę. – Czy mam się powtarzać?

– **Złoci planują. Złoci chcą** – dudni powoli. Między zdaniami upływa czas. – **Pragnienie to wasze bicie serca. My, ze Wszechmatki, my nie chcemy. My jesteśmy posłuszni.**

– Na kolanach? – Nie reaguje, więc mówię dalej: – Nosileś kiedyś kajdany, Ragnarze. Teraz kajdany ci nie ciążą. Więc... czego chcesz? – Nie odpowiada. Czyżbym wyczuwał rozdrażnienie? – Na pewno czegoś chcesz.

– **Wyzwoliłeś mnie z kajdan założonych przez innych, a teraz chcesz mnie zakuć w takie, jakie ty nosisz. Kajdany twoich chceń. Twoich marzeń. Ja niczego nie chcę** – powtarza. – **Nie marzę. Jestem Splamiony. Moim przeznaczeniem wyznaczonym przez Wszechmatkę Śmierć jest wypełnić jej obietnicę.** – Jego twarz niczego nie wyraża, ale wyczuwam w nim irytację. – **Nie wiedziałeś?**

Przyglądam mu się z uwagą.

– Udajesz bardziej tępego, niż naprawdę jesteś.

– **I dobrze.** – Siada niespodziewanie, zanim zdążę się odsunąć. Psiajucha, szybki jest. Wyjmuje nóż i błyskawicznie rozcina sobie dłoń. – **Kiedy oferuję plamy, wiąże się z tobą. Na zawsze. Aż po pustkę.**

Wiem, że taki właśnie jest ich zwyczaj. I wiem, ile przeszedł, żeby zdobyć tytuł Splamionego. Nie jest człowiekiem półprzysiąg i półśrodków. Być Obsydianowym to znaczy poznać boleść. Być Splamionym to być boleścią. Dla nich oznacza to jeden cel w życiu: służbę u ich Złotych bogów, takich jak ja, jeśli będę mieli szczęście. Bierzymy najsilniejszych spośród nich,

porzucamy słabych. Wysyłamy Fioletowych techników, żeby urządzali świetlne przedstawienia na zboczach wzgórz. Siejemy głód, a potem przychodzimy z jedzeniem. Zsyłamy plagi, a potem błogosławimy im Żółtymi, żeby leczyli ich chorych i przywracali wzrok ślepcom. Każemy Rzeźbiarzom rozsiewać potwory w ich oceanach, gryfy i smoki w górach. A kiedy jesteśmy niezadowoleni, niszczymy ich miasta, bombardując je z orbity. Czynimy się ich bogami. A potem sprowadzamy ich do swojego świata, żeby służyli naszym chciwym celom. My chcemy. Oni słuchają. Czy Ragnar kiedykolwiek może się stać tym, czego od niego potrzebuję?

– A gdybym chciał, żebyś był wolny?

Cofa się, wzdryga. Jego oczy wyrażają głęboki strach.

– **W wolności się tonie.**

– Więc naucz się pływać. – Kładę rękę na jego potężnym ramieniu. Pod skórą są mięśnie jak skały. – Mówię ci to jak brat bratu.

– **Nie jesteśmy braćmi, Zrodzony ze Słońca.** – Głos mu drży. – **Ty jesteś panem. Nie rozumiesz? Ja słucham. Ty rozkazujesz.**

Tłumaczę mu, że wybrał mnie na swojego pana. Nie wziąłem go sobie, wbrew temu, co myśli. To on wybrał, nie ja. Rozkazałem grupie abordażowej zająć okręt Kellana au Bellona. On tego dokonał. Nie było Złotego, żeby nim kierować. Żaden Złoty nie uczynił go dowódcą. To jednak nie wystarczy. Co powiedziałaaby mu Eo? Co powiedziałaaby Dancer?

– Mamy ten sam Kolor – mówię mu.

Nie rozumie, więc rozcinam palec. Wypływa czerwona krew, którą rozsmarowuję na czarnych Pieczęciach na jego dłoniach, symbolach jego Koloru. A potem biorę jego krew i brudzę nią złoto na moich dłoniach.

– Bracia. Wszyscy z wody. Z ciała. Wszyscy jesteśmy z prochu i w proch się obrócimy.

– **Nie rozumiem** – mówi przestraszony i dosłownie odsuwa się ode mnie, aż przyszpilam go w kącik jak małe dziecko. – **Nie jesteśmy tacy sami. Ty jesteś ze Słońca.**

– Nie jestem. Urodziłem się sześć cali od ziemi. Ragnarze Volarusie, zwalniam cię ze służby, czy ci się to podoba, czy nie. Nie chcę cię wiązać. Nie pozwolę, żebyś był związany. Nie pozwolę, żeby ktoś tobą kierował. Zostaniesz w tej chłodni, aż będziesz miał dość odwagi, żeby zdecydować, czego chcesz. Możesz strzelić sobie w łeb, możesz zamarznąć na śmierć. Śmiało. Cokolwiek jednak zrobisz, sam dokonasz wyboru. Może zdecydujesz się podążać za mną. Może zdecydujesz się mnie zabić. Cokolwiek wybierzesz, musisz sam zdecydować.

Patrzy na mnie oczami wielkimi ze strachu.

– **Dlaczego?** – dudni. – **Dlaczego mnie zawstydzasz? We wszystkich światach żaden człowiek nie odrzucił Splamionego. Zdecydowałem się zaoferować siebie, a ty na mnie plujesz. Co ja takiego zrobiłem?**

– Kiedy zaoferowałeś siebie, zaoferowałeś także swoich braci i siostry. Uczyniłeś swój lud niewolnikami.

– **Nic nie wiesz** – gotuje się Ragnar. – **Żyjemy, żeby służyć. W przeciwnym wypadku Złoci nas zniszczą. Niczym więcej nie będziemy. Widziałem ognisty deszcz padający z nieba.**

Wiele wieków temu podczas Mrocznej Rewolty Złoci zabili ponad dziewięćdziesiąt procent przedstawicieli jego Koloru. Wybili ich, jakby dokonywali odstrzału populacji drapieżników. To jedyna historia, jaką znają. Tę im daliśmy. Strach.

– Złoci ukrywają przed wami historię ludzkości, Ragnarze. Uczą was, że zawsze byliście niewolnikami. Że Obsydianowi żyją po to, by służyć. By zabijać. Był jednak taki czas, przed nadejściem Złotych, kiedy człowiek był wolny.

– **Każdy człowiek?** – pyta.

– Każdy. Każdy mężczyzna i każda kobieta. Nie urodziłeś się po to, żeby służyć Złotym.

– **Nie** – grzmi. – **Kusisz mnie. Nęcisz. Już to widziałem. Widziałem fałszywe słowa, które miały zwieść. Znam prawdziwe słowa. Wszyscy je znamy. Matki nas ich uczą. „Bój się Złotych i służ im, bo inaczej przyjdą z żelazem z nieba. Złoci potraktują cię ogniem Zrodzonych ze Słońca. Bowiem nie wiąże ich miłość ani strach. Nie są związani z ziemią, ale z niebem i słońcem. Lękaj się i służ ludziom Złota”.**

– Ja im nie służę.

– **Bo jesteś jednym z nich.**

– A gdybym ci powiedział, że nie jestem?

Wpatruje się we mnie. Nie odpowiada. Nie rusza się. Nic. Widzę tylko konsternację. Dlatego mu mówię. Opowiadał mi w chłodni to, co powiedział mi w apartamencie Dancer. Oszukano nas.

– Miałem żonę. Zabrali mi ją. Powiesili. Kazali mi pociągnąć ją za nogi i złamać jej kark, żeby się nie męczyła. Zabiłem się potem, grzebiąc jej ciało. Pozwoliłem im wygrać. Dałem im się powiesić. Utonąłem w rozpacz. – Opowiadał, jak przyszli po mnie Synowie Aresa. – Ares dał mi drugą szansę, taką samą, jaką teraz ty dostałeś. Możesz powstać. Przez siedemset lat tkwiliśmy w niewoli, Ragnarze. Twoi ludzie. Moi ludzie. Marnieliśmy w ciemności. Nadejdzie jednak dzień, kiedy będziemy kroczyć w świetle. Nie z ich łaski. Nie z powodu przeznaczenia. Nadejdzie dzień, w którym dzielne

serca powstaną i zdecydują się zerwać łańcuchy, znaleźć coś więcej, coś, dla czego warto żyć. Sam musisz wybrać. Wybierzesz trudną drogę? Zdecydujesz się zostać moim przyjacielem? Powstaniesz razem ze mną? Czy pójdziesz tą drogą, co wszyscy inni przed tobą, i nigdy nie dowiesz się, co mogło się zdarzyć?

Zostawiam go. Nie każę mu przysiąc, że będzie milczał. Nie żądam odpowiedzi. Dancer też jej nie żądał. Kazał mi zdecydować. W przeciwnym razie, gdyby mnie zmuszono do służby, poddałbym się tysiąc razy. Niewolnicy nie mają odwagi wolnych ludzi. Dlatego Złoci okłamują podCzerwonych i każą im myśleć, że są dzielni. Dlatego okłamują Obsydianowych i każą im myśleć, że to zaszczyt, służyć bogom. To łatwiejsze niż prawda. Jednakże wystarczy prawda, żeby obrócić całe to królestwo w gruzy.

Ragnar musi do mnie dołączyć, bo sami Czerwoni nie wystarczą.

## Herbatka

Nikt się nie orientuje, że zakradamy się jako wielbłąd, kiedy zbliżamy się do Stacji Hilda, celując w stronę Invictusa, dawniej okrętu flagowego Augustusa, a obecnie – Pliniusza. Myśliwce mijają nas bezgłośnie, żądając kodów dostępu. Nasz pilot wysyła je, dostajemy eskortę i dołączamy do procesji statków dostawczych, które wpływają do hangaru Invictusa niczym karawana przez wielką bramę jakiejś pustynnej cytadeli na pustyni. Działa śledzą nasze ruchy.

Ładujemy z hukiem. Pilot otwiera wrota rufowej ładowni. Wyskakuję ze swoimi ludźmi na pokład hangaru. Zamiast powitać Brązowych przewoźników, jak się tego spodziewała, Pomarańczowa dokerka podnosi głowę znad terminala i widzi oddział uzbrojonych po zęby ludzi. Bez chwili wahania siada. Nie zamierza mieć z tym nic wspólnego.

Sevro śmieje się i klepie ją po głowie.

– Mądrzejsza od Złotych.

Wypełniony statkami hangar przypomina cyrk. Lampy jarzą się w wysokim suficie. Wszędzie kręcą się Pomarańczowi i Czerwoni. Na kadłubach skwierczą palniki spawalnicze. Ludzie się przekrzykują. Idziemy w stronę wind, skąd zyskamy dostęp do reszty statku.

Cisza rozprzestrzenia się wokół nas jak pożga. Palniki milkną. Ludzie już nie pokrzykują. Po prostu patrzą. Idę z Lornem na czele, po bokach mamy Mustang i Kavaxa au Telemarus. Za nami maszerują Roque, Sevro i Daxo, dalej Victra z Wyjcami. A za nimi jak olbrzymi bladokóry pasterz idzie Ragnar.

Zdecydował się wyjść z chłodni i do nas dołączyć. Spojrzeliśmy na siebie i wystarczyło jedno skinienie głową, żebym miał nowego generała w tej rebelii. Nabieram większej pewności.

Ani jedna dusza nie protestuje, gdy idziemy przez hangar, chociaż po naszych strojach widać, że nie przyszliśmy negocjować. Mam czarną zbroję ozdobioną ryczącymi lwami. Na jej powierzchni migocze cieniutka tarcza impulsowa. Na lewej ręce aktywuję egidę, jej matowa niebieska powierzchnia pochłania światło. Białą brzytwę mam owiniętą na ręce. Nasze buty grzmia



o metalowy pokład jak uderzenia gradu. Odsyłam Pestkę, żeby razem ze swoim oddziałem Zielonych dobrała się do systemu łączności statku.

Jakiś Miedziany na nasz widok ostentacyjnie zaczyna majstrować przy swoim terminalu. Ragnar podchodzi do niego i dotyka jego ramienia z dostateczną siłą, by tamten osunął się na kolana.

– **Nie.**

Wsiadamy do windy i bez jednego wystrzału zanurzamy się w trzewia statku. Jedziemy na pokład powyżej poziomu dowodzenia. Drzwi się otwierają i stajemy twarzą w twarz z oddziałem Szarych żołnierzy piechoty morskiej.

– Kapitanie, zaprowadź Virginie au Augustus do maszynowni – mówię do ich dowódcy.

Ocenia powagę sytuacji i po ledwie chwili wahania saltuje. Jego skonsternowani podwładni ruszają za Mustang i Telemanusami, którzy oddalają się truchtem.

Zaczyna wyć alarm.

Wyjce idą do silników i centrum systemu podtrzymywania życia. Mój oddział udaje się trzy pokłady wyżej, nie na poziom dowodzenia, gdzie Pliniusz będzie podejmował swoich nowych sojuszników, ale do aresztu. Roque, Victra, Lorn, Sevro i Ragnar przemykają przez drzwi i obezwładniają strażników, zanim jeszcze zdążą wejść.

Więźniowie, około czterdziestu Niezrównanych lojalistów Augustusa, są trzymani w małych celach z duroSzkła. Sevro przechodzi wzdłuż cel, uwalniając ich za pomocą karty dostępowej.

– Podziękuj Żniwiarzowi – mówi każdemu po kolei.

Olbrzymiej, wysokiej Niezrównanej musi to powtórzyć cztery razy, zanim wreszcie do niej dotrze, że nie wyjdzie, dopóki nie zagra w jego gierkę. Wszyscy kolejno przewracają oczami. Wszyscy mówią „dziękuję”.

– Jaka z ciebie dobra, nienormalnie wysoka, niedołączna Niezrównana. Doskonale – mówi Sevro i wypuszcza olbrzymkę. – Lorn! Znalazłem ci potencjalną kochankę.

Zatrzymuje się przed szklaną klatką Szakala.

– Cóż to widzi moje małe oczko? – grucha radośnie Sevro. – Czekaj! Teraz znowu mam dwoje oczu!

– Wypuść mnie – odpowiada beznamiętnie Szakal. – Nie będę bawił się w twoje gierki, Goblinie.

– Podziękuj Żniwiarzowi. I nazywam się Sevro. Wiesz przecież.

Szakal przewraca oczami.

– Dziękuję, Żniwiarzu.

– Ukłoń się jak służący.

– Nie.

– Wypuść go wreszcie – gdera Lorn.

– Musi zagrać! – upiera się Sevro. – Dupek nie wyjdzie, jeśli nie będzie się zachowywał, jak należy. Dam mu zamiast tego zagadkę. Co mam w kieszeni?

Mam dość tych zabaw, więc stojąc za nim, pokazuję oko.

– Gałkę oczną – odpowiada Szakal.

– Psiakrew, kto ci powiedział?

Roque wyjmuje kartę z ręki Sevro i skanuje ją w czytniku celi. Szakal dołącza do nas.

– Dorośnij, Sevro – mruczy Roque.

– Co cię, do diabła, ugryzło? – pyta malec. – I tak musimy zabić trochę czasu. Nie mogę się przy okazji nieco zabawić?

Nie śpieszymy się. Chcemy, żeby Pliniusz zaczął się bać tego, co możemy zrobić. Na pewno powątpiewa w lojalność większości załogi – i na wszelki wypadek ma na pokładzie opłaconych żołnierzy. Najprawdopodobniej najemników. Schowa się za nimi jak za tarczą.

– Gdzie twój ojciec? – pytam Szakala.

– Nie wiem. Wątpię, żeby znajdował się na statku. Moja siostra dotarła do ciebie bezpiecznie?

– Znalazła nas.

– Świetnie. – Odwraca się, żeby powitać Lorna. – Miło cię widzieć, Arcos. Mój ojciec zabronił mi czytać o twoich wyczynach, gdy byłem dzieckiem. Ale i tak mi się to udało. Zarywałem noce przy Opowieściach o Starym Kamiennobrzuchym.

– Podobnie jak ja przez twoje wyczyny w Instytucie – odpowiada Lorn, posyłając mi znaczący uśmieszek. – Bałem się zamknąć oczy po tym, jak zobaczyłem twoją kampanię.

Szakal się śmieje.

– Wygląda na to, że twoja misja na Europie się powiodła, Darrow.

– Uruchomili pułapkę, tak jak mieliśmy nadzieję. Aja uciekła.

– W takim razie chodźmy naprawić ten problem i kontynuujmy naszą wojnę.

Roque patrzy na nas, być może zauważa poufalskość w naszym tonie. Kolejna rzecz, o której mu nie powiedziałem. Przepaść rośnie.

Spotykamy się z Mustang w kambuzie dla podKolorów w czasie lunchu. Setki Pomarańczowych pracowników pokładowych i elektryków mieszają się z Czerwonymi robotnikami fabrycznymi i Brązowymi woźnymi. Gwar rozmów i szcęk plastikowych tac na metalowych stołach przycicha, kiedy

tylko Ragnar wchodzi do stołówki. Zapada śmiertelna cisza, tylko jeden nadmiernie podekscytowany Brązowy woźny wrzeszczy na całe gardło. Jego towarzysze szybko zasłaniają mu usta.

Olbrzym wchodzi na środek sali i zbliża się do jednego ze stołów, nie czekając, aż podkolory wstaną. Wrywa mebel z metalowych śrub i wlecze z piskiem po podłodze; podkolory nadal siedzą na połączonych ze stołem ławkach. Wszyscy tkwią nieruchomo, wytrzeszczając oczy ze strachu, kompletnie skonsternowani widokiem mojego pięćdziesięcioosobowego oddziału Żółtych.

Telemanusowie idą za Ragnarem, dźwigając we dwóch okrągłe metalowe urządzenie grube na metr i mające dwa metry średnicy – cel ich wyprawy do maszynowni. Na rękach mają zbroje, ale widać, jak żyły występują im na szyi pod ciężarem maszyny. Mustang kieruje nimi, zerkając na terminal.

– Tutaj – mówi.

Upuszczają urządzenie we wskazanym miejscu. Za nimi idą Szarzy, niosąc wielki akumulator, który stawiają na pobliskim stole.

– Wyjcie, zróbcie trochę hałasu – rozkazuję przez system łączności.

– Przepraszam. Przepraszam bardzo. Przepraszam! – Pestka wymachuje pulchnymi rączkami. Bierze kabel z akumulatora i podłącza do ogromnego walca.

Rozlega się trzask i włączają się głośniki statku.

– Pliniuszu... – woła ktoś słodko.

Rozglądam się za Sevro i widzę go przy głównym terminalu z dwoma Zielonymi.

– Sevro! – warczymy jednocześnie ja i Mustang.

Unosi palec, dając nam znać, żebyśmy zaczekali.

– Podpiął się do systemu łączności – wtrąca się przejęty Zielony. – Proszę dać nam sekundę.

– Drogi Pliniuszu – nuci Sevro.

Gdy serce wali ci jak młot

I mocz ci spływa wzdłuż nóg,

Znaczy to, że przyszedł Żniwiarz,

Aby odebrać swój dług.

Śpiewa to trzy razy, aż Ragnar ciska stołem w konsolę. Sypią się iskry. Sevro podnosi powoli wzrok na stół wiszący nad jego głową. Ominął go o kilka cali.

– Psiakrew, co ci, kurna, odfajczyło, ty nerwowy trollu górski?!

– **Rymowanki... brrr.** – Ragnarowi wrywa się zbolały jęk.

– To twój człowiek – mruczy Mustang, kiedy patrzymy po sobie.

– Który? – pytam.

Sevro przeklina Splamionego, wykorzystując wszelkie kombinacje obelg, jakie zna. I na domiar dorzuca jeszcze krzyżyk.

– **Gdaczysz jak... jak... kurczak** – odpowiada Ragnar.

– On nie może mnie obrażać – odpowiada wstrząśnięty Sevro. Patrzy na mnie. – Zapanuj nad nim.

Umywam od tego ręce.

– Gdybym tak mógł zasugerować kontynuowanie akcji – odzywa się Lorn.

– Jasne – zgadzam się. – Proszę zebranych o powagę.

Hełmy wysuwają się ze zbroi i zasłaniają nam głowy. Widzę odczyty termalne i informacje o poziomach zasilania na cyfrowym wyświetlaczu.

– Włączaj – polecam Mustang.

Aktywuje przyniesiony z pijawki świder termalny. Służy do przewiercania się przez zewnętrzny kadłub jednostki, żeby stworzyć dziurę dość dużą dla grupy abordażowej. Zatem przebicie się przez podłogę statku to dla niego pestka. Znajdujemy się tylko jeden pokład nad salami dowodzenia. Wskakuję na świder.

Rozpęd jest kluczowy dla piekłonurka, dla każdego przedsięwzięcia wojkowego, dla życia. Nie zatrzymuj się – i niech tylko ktoś odważy się wejść ci w drogę.

– Pamiętasz, co ci mówiłem wcześniej? – pyta Lorn.

– O takcie? – pytam.

Uśmiecha się złowrogo.

– Walić takt. Przeraż ich.

Patrzę na Mustang.

– Pal.

Wciska guzik. Świder jarzy się czerwienią. Czuję promieniujące od niego ciepło. Rozlewa się po podłodze. PodKolory rozbiegają się na boki, porzucają jedzenie, uciekają z jadalni, kiedy podłoga ugina się i topi jak piasek przesypujący się w klepsydrze. Świder opada przez spływający pokład do znajdującej się poniżej sali dowodzenia, a ja siedzę na nim. Znowu jestem piekłonurkiem, nawet jeśli tylko przez chwilę.

Uderza prosto w ogromny drewniany stół Augustusa, przechodzi przez niego na wylot i wali w marmurową podłogę jak meteor, cały czas topiąc wszystko na swojej drodze. Przecinam brzytwą kabel zasilający i wstaję pośród dymu, pary i trzaskających płomieni, kiedy stół zaczyna się palić.

Setka Złotych ze Wspólnoty wpatruje się we mnie. Pretorzy, legaci, sędziowie, rycerze potężnych domów stają z wyciągniętymi brzytwami.

Wszyscy niegdyś wierni Augustusowi. Teraz trzyma ich w garści Pliniusz. Są jak chorągiewki na wietrze.

A oto i on, u szczytu długiego stołu, blednie błyskawicznie. Piękny, cwany Pliniusz. Zostało mu jedno oko, w drugim oczodole ma tymczasową bioniczną protezę. Na prawo od niego siedzi jedna z Furii Suwerenki, politikos, Moira. W porównaniu z Ają wygląda jak pulchny pączek. Jednakże jej słodki uśmiech jest nie mniej złowrogi od brzytwy jej siostry. Obok niej zasiada Rycerz Olimpijski – Rycerz Burzy z wysp japońskich na Ziemi.

– Moi łaskawi panowie! – ryczę przez wzmacniacz głosu w hełmie. – Przyszedłem po Pliniusza.

Zeskakuję ze świdra, mój hełm zapada się w zbroję, żeby widzieli moją twarz. Idę w jego stronę. Przez dziurę w suficie zeskakują moi przyjaciele. Pierwszy Arcos. Potem Mustang i Sevro.

– Powiedziałaś, że on nie żyje! – warczy ktoś na lewo ode mnie z na wpół obnażoną brzytwą.

– Lorn au Arcos? – mruczy ktoś inny.

Jego imię przebiega falą przez zgromadzonych, podczas gdy Sevro i Roque zabezpieczają drzwi prowadzące do sali.

– I KAVAX AU TELEMANUS! – ryczy jak szalony Kavax, lądując w sali.

Chyba już wiem, od kogo nauczył się tego Pax.

– Żniwiarz żyje – mówi Mustang, zeskakując ze świdra. – Podobnie jak ja. I mój brat. Przyszliśmy odebrać to, co należy do mojego ojca.

Nieznani nie wiedzą, co robić.

– Kłamcy! – wrzeszczy Pliniusz. – Zdradziliście arcygubernatora. Pojmać zdrajców!

Lorn oznajmia w prostych słowach:

– Jeśli ktokolwiek zbliży się na dwa metry do Darrowa, zabiję wszystkich tu obecnych.

Nie palą się, żeby sprawdzić, czy blefuje. Ludzie, pomiędzy których wchodzę, odskakują jak najdalej. Reputacja Lorna wycina dla mnie przejście prosto do Pliniusza. Nie zwalniam kroku.

– Pliniuszu? Musimy porozmawiać.

– Zabić go! – krzyczy. – Zabić Żniwiarza!

Młody mężczyzna rzuca się do przodu i ginie, kiedy sąsiad, patrzący ze strachem na Lorna, dźga go w plecy.

– Dwa metry i trzydzieści centymetrów – ocenia Lorn. – Niewiele brakowało.

– Zabić go! – wydiera się nadaremnie Pliniusz. – To tylko chłopak!

Odzywam się cicho, ale wszyscy mnie słyszą:

– Pliniuszu au Velocitor, zdradziłeś arcygubernatora Nero au Augustusa. Spiskowałeś, by zniszczyć jego ród, zmusić do małżeństwa jego córkę, zabić jego syna i wydać samego Nero Suwerence, która stanęła przeciwko niemu. Twój pan zbuntował się, a ty próbowałeś go zniszczyć. Zdradziłeś jego zaufanie dla osobistych korzyści, a najgorsze z tego wszystkiego jest to, że ci się nie powiodło.

– Zatrzymać go! – wrzeszczy teraz Pliniusz, wymachując na mnie rękami jak szalony. – Moira!

Moira szepcze do Rycerza Burzy i oboje odsuwają się na bok.

– Miałeś nie żyć – mruczy Pliniusz. – Aja powiedziała, że zabije cię na Europie.

– A znasz kogoś, kto potrafiłby mnie zabić? – odpowiadam i w moim głosie narasta ten idiotyczny gniew Złotego, który może imponować tym wygłodniałym duszom. – Szakalowi się nie udało. Antonii au Severus-Julii się nie udało. Rewizorom Apolla i Jowisza nie udało się. Cassiusowi au Bellona się nie udało. Karnusowi także. I Cagney. Aja au Grimmus i jej pretorianie także zawiedli. – Katu, który mnie powiesił, nie udało się również. Kopalni i jaskiniowym żmijom tak samo. – A teraz nie udaje się tobie.

Wtedy robię krok do przodu, szybciej niż atakująca żmija jaskiniowa, i policzkuję go. Spada z krzesła jak listek zdmuchnięty przez wiatr, wpada na stojącą obok Złotą. Kobieta spluwa na niego i odsuwa się, żeby zrobić mi miejsce.

– Jesteś robakiem, który wyobrażał sobie, że jest węzem tylko dlatego, że potrafi pęłzać. Jednak twoja siła nie jest prawdziwa, Pliniuszu. To tylko sen. A teraz czas się obudzić.

Wstaje i odsuwa się ode mnie. Precyzyjnie uczesane włosy ma teraz potargane, prawy policzek mu czerwienieje. Obracam go i znowu policzkuję, tym razem mocniej. Jest oszołomiony. Nie wie, co robić. Obsydianowi nie wyciągnęli go z łóżka pierwszego dnia w Instytucie i nie pobili. Nie jechał przez ośnieżone plaże na czele uzbrojonej kolumny. Nie głodował. Teraz potrafi tylko pęłzać i krzyczeć.

Łapię go w obie ręce i unoszę wysoko w powietrze. Nie robię mu jednak krzywdy. Nie umniejszę tej chwili okrucieństwem jak Karnus czy Titus. Moją bronią jest protekcjonalność, jaką mu okazuję. Odstawiam go z powrotem na krzesło arcygubernatora. Poleruję jego szpilkę w kształcie ważki. Poprawiam mu włosy jak dobra matka. Poklepuję go po mokrym od łez policzku i wyciągam dłoń, na której noszę sygnet Domu Marsa.

Całuje go; nawet nie muszę o to prosić.

– Do widzenia, Pliniuszu. Zostawię cię twoim przyjaciółm.

Wychodzę. Odprowadzają mnie spojrzenia wszystkich zebranych pretorów, którzy właśnie porzucają Pliniusza. Słyszę odgłos przypominający siorbnięcie i nawet się nie odwracam, bo wiem, jaki dźwięk wydaje brzytwa, gdy zabija. Nawet nie poczekali, aż wyjdę. Pliniusz już poszedł w zapomnienie.

Nieźrównani uderzają się w pierś – to salut dla mnie. Potwory. Są jak chorągiewki na wietrze – idą tam, gdzie jest władza. Nie rozumieją jednak, że siła nie zmienia miejsca. Ona jest niezachwiana. To góra, a nie wiatr. Gdy człowiek tak łatwo zmienia zdanie, traci zaufanie. A to właśnie zaufanie utrzymało mnie przy życiu. Zaufanie, jakim obdarzyłem przyjaciół i jakim oni obdarzyli mnie.

Suwerenka to wie. To dlatego trzyma Furie tak blisko przy sobie. Zginęłyby za nią, tak samo jak moi przyjaciele za mnie. Bo ostatecznie co oznacza cała władza i siła świata, jeśli najbliżsi przyjaciele mogą cię zdradzić? Ojciec Suwerenki przekonał się o tym, kiedy córka ścięła mu głowę. Pliniusz nauczył się tego za cenę własnego życia. Ja zapomniałem o tym, oddaliłem się od moich przyjaciół i prawie wszystko straciłem, bo kiedy Tactus poczuł, że znalazł się w moim cieniu, odsunął się ode mnie, tak jak odsunął się od braci. Dlatego zacząłem na nowo z Victrą, dlatego powiedziałem Ragnarowi prawdę i dlatego muszę wynagrodzić swoje zachowanie Lornowi i Roque'owi.

Czerwoni będą mieli szansę właśnie dzięki zaufaniu. Wiążą nas pieśń i taniec, rodzina i pochodzenie. Ci ludzie są sojusznikami, bo myślą, że muszą nimi być. Tylko dlatego.

Patrzę teraz na nich i wiem, że są tak sztywni i surowi, że połamią się i roztrzaskają o siebie nawzajem nie przeze mnie, ale przez to, czym są.

Unoszę się w grawiButach i zatrzymuję tylko na moment.

– Powiedźcie wszystkim, którzy posłuchają, że Żniwiarz żegluj na Marsa. I wzywa Żelazny Deszcz.

## Pan wojny

– Władza to korona, która pożera głowę – powiedział mi Szakał, kiedy planowaliśmy inwazję.

Miał na myśli Octavię, ale ta prawda sięga znacznie dalej. Złoci mają władzę od bardzo dawna. I patrzcie, jak się zachowują. Zobaczcie, czego chcą. Zrywają się, gdy tylko pojawia się szansa na wojnę. Zjeżdżają się z bliska i z daleka, ich statki ścigają się, żeby dołączyć do mojej armady na wieść, że wzywam do Żelaznego Deszczu, pierwszego od dwudziestu lat. Posłużyłem się Szakalem, żeby rozgłosić wiadomość wraz z nagraniem upadku Pliniusza. Wielu przybyłych to drudzy synowie i córki, którzy nie odziedziczą posiadłości rodziców. Podżegacze wojenni, pojedynkowicze, łowcy chwały. Każdy sprowadza ze sobą asystę Szarych i Obsydianowych. Wspólnota czeka z zapartym tchem, żeby zobaczyć, co się dzisiaj wydarzy. Jeśli przegramy, Suwerenka będzie dalej rządzić. Jeśli wygramy... dojdzie do wojny domowej. Żaden świat nie może stać z boku.

Legiony zbierają się na moim statku, kiedy armada gromadzi się wokół portowego księżyca – Fobosa. Noszę brzytwę zakrzywioną jak sierpak; jest ostra i okrutna. To moje berło. Żelazny sygnet Domu Marsa uciska mi palec, kiedy poruszam dłonią i patrzę przez iluminatory. Pegaz obija mi się o pierś.

Nie widzę wroga – rodu Bellona i znacznej części lokalnej floty Suwerenki – ale na pewno znajdują się gdzieś pomiędzy mną a planetą. Stareńki Pan Popiołów śpieszy z Rdzenia na pomoc ze swoją armadą Berło, ale wciąż jeszcze dzieli go od Marsa tydzień drogi. Nie pomoże dzisiaj domowi Bellona.

Moi Niebiescy obserwują mnie, podobnie jak moi generałowie – ci z prywatnej floty Victry au Julii, która porzuciła siły matki, z domów Arcos i Telemanus, a także hołdownicy Augustusa.

Mars jest zielony i niebieski, poznaczony osłoniętymi miastami. Białe czapy znaczą bieguny. Niebieskie oceany ciągną się wzdłuż równika. Łąki i gęste lasy okrywają całą powierzchnię. Chmury kłębią się nad nią jak strzępki waty skrywające błyszczące, osłonięte tarczami miasta. Jest też broń. Potężne baterie artylerii na pustyniach, wokół miast, celujące w niebo działa elektromagnetyczne zdolne niszczyć całe statki.



Moje myśli sięgają głęboko pod powierzchnię planety. Zastanawiam się, co właśnie robi moja matka. Czy przygotowuje śniadanie? Czy wiedzą, co nadchodzi? Co poczuja, gdy się zjawimy?

Moje palce nie drżą nawet tuż przed bitwą. Oddycham spokojnie. Urodziłem się w rodzinie piekłonurków. Urodziłem się w kurzu i znoju, urodziłem się, żeby służyć Złotym. Urodziłem się dla tej prędkości.

Mimo to jestem przerażony. Mickey wyrzeźbił mnie, żebym został bogiem wojny. Dlaczego więc czuję się jak dzieciak w głupiej zbroi? Dlaczego chciałbym znowu mieć pięć lat, zanim zmarł mój ojciec, dzielić łóżko z Kieranem, słuchać, jak mówi przez sen?

Odwracam się i widzę morze Złotych twarzy.

Ta rasa – co za piękny potwór. Mają w sobie wszystkie atuty ludzkości z wyjątkiem jednego: empatii. Mogą się zmienić. Wiem to. Może nie teraz, może nie w ciągu czterech pokoleń, ale to się zacznie dzisiaj – koniec Złotej Epoki. Zniszczyć dom Bellona, osłabić Złotych. Doprowadzić do wojny domowej z Luną i zniszczyć Suwerenkę. A potem powstanie Ares.

Nie chcę tu być. Chcę być w domu, z nią, z dzieckiem, które nigdy się nie urodziło.

Ale to niemożliwe. Czuję w sobie odpływ, który odsłania stare rany. To dla ciebie, mówię jej. Dla świata, w którym powinnaś była żyć.

Wracam więc do swojej roli i karmię wilki.

– W ostatnich dniach jesieni – mówię głośno i śmiało – Czerwoni, którzy przekopują się przez skałę Marsa, zakładają maski wesołych upiórów, żeby uczcić zmarłych, których odebrała im czerwona ziemia, i w ten sposób uhonorować wspomnienia i obłaskawić duchy. My, Aureusowie, przejęliśmy od nich te maski. Nadaliśmy im kształt twarzy z legend i mitów, żeby nam przypominały, że nie ma zła ani dobra. Nie ma bogów. Nie ma demonów. Jest tylko człowiek. Jest tylko ten świat. Śmierć przychodzi po nas wszystkich. Jak jednak możemy krzyczeć na wiatr? Jak zostaniemy zapamiętani? – Zdejmuję rękawicę i bardzo powoli rozcinam sobie dłoń. Zaciskam pięść, aż krew pokrywa moją skórę, i przyciskam ją do twarzy. – Niech waszą krew wypełni duma na długo przed tym, jak przyjdzie po was śmierć.

Odpowiada mi uderzenie stóp. Tylko jedno.

– Luna to nowa Ziemia. Rządzi i każde nam się kłaniać. Nasza ofiara to jej zysk. Znowu słabi powstrzymują silnych. Po dzisiejszym dniu, kiedy zagarniemy Tysiąc Miast Marsa, nasze szeregi rozrosną się. Panowie Galileuszowych Księżyców dołączą do nas. Gubernatorzy Saturna będą się przed nami kłaniać. Neptun przybędzie ze swoimi statkami i odetniemy pijawkę, jaką jest Octavia au Lune.

I stworzymy króla-tyrana. To ma dla nich sens. Nie pojmuję tego. Tyran zastąpi tyrana. Jak oni znajdują w tym inspirację? Ludzie zawsze ją znajdowali.

Kolejne tupnięcie.

– Każda dzisiejsza chwila zostanie uchwycona przez holoKamery, które wam daliśmy. – Tak jak wcześniej w Instytucie i później, kiedy zagarnąłem Paxa. To pomysł Szakala. – Każda chwila zostanie zapamiętana. Jeśli zdobędziecie chwałę, zostanie nagłośniona przez hP na wszystkich światach. Jeśli okryjecie wstydem siebie lub swoje rodziny, hańba nie zniknie wraz z waszą śmiercią. – Patrzę na Ragnara, jakby był moim katem. Lorn przewraca oczami na to teatralne zagranie. – Zapamiętamy wszystko.

Tupnięcie.

– Miasta zostaną zdobyte. Złoci, którzy się nie ugną, zginą. PodKolory będziemy chronić. Nie zawalimy kopalni. Nie spalimy miast ani nie będziemy grabić zielonych ziem. Mamy zagarnąć łup w postaci całego Marsa. Nie chcemy jego trupa. To dom dla wielu z was, więc krzywdźcie tylko szkodniki, które niszczą go od środka. A kiedy dzień chwały minie, kiedy otrzecie krew ze swoich mieczy i oddacie krwawą szmatkę synom lub córkom, by pamiętali, że braliście udział w jednej z największych bitew od czasu Upadku Ziemi, pamiętajcie, że sami wykuliście swoje przeznaczenie. Nie zostało wam dane przez Suwerenkę. Nie dał go wam gubernator. Sami je sobie wzięliście, tak jak nasi przodkowie brali sobie światy. To Drugi Podbój, a my jesteśmy Zdobywcami.

Teraz rozlega się ryk. Nie cierpię tego, jak ciało mi drży na myśl o chwale. Istnieje w człowieku pewien głęboki głód, który jej pożąda. Uważam to jednak za słabość, nie za siłę, kiedy porzuca się przyzwoitość na rzecz tego dziwniejszego, mroczniejszego ducha.

Patrzę na Szakala, który trzyma się na uboczu. Nie odgrywa dzisiaj ważnej roli. Wykonał swoje zadanie, sprowadzając tutaj tych wszystkich ludzi. Zakłócał łączność i rozsiewał nieprawdziwe informacje, że część mojej armady przekrada się, żeby zaatakować Lunę, przez co znaczna część floty wspierającej Suwerenkę i dom Bellona rozproszyła się w pogoni za fałszywymi plotkami. To był tylko wybieg. Wszystkie moje siły są tutaj.

– Imponująco odgrywasz rolę władcy marionetek – szepcze do mnie.

Czekamy, aż Biali wejdą na mostek zza pleców czekających Żłoty. Sevro podbiega do mnie, jakby chciał przypomnieć Szakalowi, gdzie jest jego miejsce.

– Ty założyłeś większość sznurków. Nigdy ci za to nie podziękowałem – odpowiadam mu półgłosem.

Krzywi brzydką twarz z niesmakiem.

– Musimy popadać w sentymentalizm?

– Pomogłeś Mustang uciec. To dlatego Pliniusz cię złapał. – Nigdy o tym nie wspomniał, nigdy się tym nie przechwalał ani tego nie wykorzystywał. To był prosty odruch, kiedy brat pomaga siostrze. Wzruszam ramionami. – I próbowałeś ze wszystkich sił pomóc Quinn. Może jesteś lepszym człowiekiem, niż myślisz.

Reaguje na to tym swoim podobnym do szczekania śmiechem.

– Wątpię. Jednakże jutro zdrajca zostanie królem, a cesarzowa zdrajczynią, więc może i nikczemni mogą być szlachetni.

Wyglądam przez iluminator.

– Twoje satelity są gotowe?

– Na wirusa? – Kiwa głową. – Na twój sygnał moi Zieloni odetną całą łączność. Przez piętnaście minut dla wszystkich zapadnie śmiertelna cisza. Ich globalna i regionalna obrona nie będzie miała żadnych czujników, żadnego podglądu. To dość czasu, żeby zniszczyć większość pozycji. – Patrzy pod nogi, jakby nagle się zawstydził. – Uratuj mojego ojca, jeśli zdołasz.

Sevro kręci się niespokojnie, poirytowany naszymi szeptami.

– Dobrze.

Wolałbym raczej, żeby Augustus przez wieczność gnił w dziurze w ziemi, ale potrzebuję go, gdy już Mars zostanie odzyskany. Bez względu na to, ile mogę, nie jestem gubernatorem ani królem. Potrzebuję legalności jego pozycji, jak to wczoraj przypomniała mi Theodora. Bez tego będę po prostu jeszcze jedną ręką z brzytwą.

– Jesteś pewien co do Agei? – pyta Szakal. – I zwierzyzny? Bo w przeciwnym wypadku ten plan jest lekkomyślny.

– Na sto procent.

– Dobrze. Dobrze. To życzę ci szczęścia, Żniwiarzu.

Odchodzi.

– Już mnie zastępujesz? – prychna Sevro, patrząc za nim.

– Ma jedną rękę. Ty masz jedno oko. Mam swój fetysz.

Ceremonia trwa. Dwustu Złotych przykłęka, kiedy Biali idą pomiędzy ich szeregami. Staram się myśleć, że to głupi, nadęty rytuał, ta pompacyjna cisza, to przywiązanie ich wszystkich do tradycji. Prawda jest jednak taka, że to historyczna chwila. Ma w sobie coś szlachetnego.

Zbroje błyszczą w sztucznym świetle. Eteryczne Białe idą wśród Złotych – dziewicze, bose dziewczęta w śnieżnobiałych pelerynach, z żelaznymi sztyletami i złotymi wawrzynami. Białe dziecko niesie trójkątne złote

sztandary – berło, miecz i zwój ukoronowany wawrzynem. Czuję ręce na swych ramionach.

Czuję ich ciężar.

Mówi się, że tak właśnie szykowali się do walki dawni Zdobywcy: najpierw dziewicze Białe kapłanki raniły ich żelazem. Dotykają naszych czoł wawrzynami i rozcinają nam lewe dłonie żelazem, szepcząc nam cicho do uszu:

– Mój synu, moja córko, teraz, kiedy krwawisz, nie będziesz znać strachu i porażki, a jedynie zwycięstwo. Tchórzostwo uchodzi z ciebie. Twój gniew płonie jasno. Powstań, Złoty wojowniku. Niech towarzyszy ci moc twego Koloru.

A potem każdy wojownik odciska krwawy ślad na swojej twarzy i na hełmie, który wygląda jak demoniczna maska. Jeden po drugim wstają w milczeniu. Każdy Złoty reprezentuje dziesięć legionów. Oto burza, jaka spadnie na Marsa w potoku metalu. Miliony Złotych, Szarych i Obsydianowych.

– Nie walczymy z planetą. Walczymy z ludźmi. Odcinajcie im głowy i patrzcie, jak ich armie padają – przypomina nam wszystkim Lorn.

Zebrani wojownicy wstają z umazanymi krwią twarzami i razem recytujemy imiona naszych głównych wrogów:

– Karnus au Bellona, Aja au Grimmus, imperator Tiberius au Bellona, Scipia au Falthe, Octavia au Lune, Agrippina au Julii i Cassius au Bellona. Tych chcemy zabić.

Wrogowie w swoich salach będą recytować imiona moje i moich przyjaciół. Tego, kto zabije Żniwiarza, czeka nagroda i sława. Indywidualni myśliwi i grupy uderzeniowe będą skanować naszą komunikację, szukając mnie. Będą spadać gromadami, niektórzy z myślą o bitwie, inni, żeby dosięgnąć mnie podstępną kulą z karabinu snajperskiego. Niektórzy w ogóle nie wezmą udziału w bitwie o Marsa. Szarzy najemnicy. Wyzwoleni Obsydianowi łowcy nagród. Rycerze Wenus i Merkurego, którzy zjawiają się tylko po moją głowę, wykorzystując rodzinne aktywa i rodzinnych żołnierzy, by dopaść mnie dla własnej chwały. Szakał przechwycił przekazy, z których wynika, że jest tu trzech Olimpijskich Rycerzy. Wszyscy będą mnie obserwowali, studiowali moje nagrania, moje zwycięstwa, moje porażki. I poznają moją naturę, naturę moich Wyjców. A ja nie będę ich znał.

Niech przyjdą i się przedstawia.

Bardziej jestem zainteresowany spotkaniem z Cassiusem. Przynajmniej tak powiedziałem Lornowi. On jednak wie, że to nieprawda. Straszliwy wstyd płonie we mnie za to, że wrzeszczałem jak potwór na jego rodzinę. Pokonałem

go uczciwie, ale nie musiało mi się to aż tak bardzo podobać. Czasem zastanawiam się, czy gdyby on wychował się jako Czerwony, a ja jako Żółty, to czy nie stałby się lepszym człowiekiem, niż ja jestem teraz, a ja gorszym, niż on kiedykolwiek mógłby być.

Z jakiegoś powodu myślę, że byłbym zdolny do ogromnego zła. Może to poczucie winy. Może strach przed życiem, w którym nigdy nie poznałbym Eo. Nie wiem. A może to lęk wzbudzony świadomością, jak łatwo ulegam dumie.

Moi wojownicy rozchodzą się na swoje rodowe okręty. Patrzę przez iluminator, jak pół setki promów rozprasza się po naszej wielkiej armadzie. Chociaż nasi wrogowie wiedzą już, że tu jesteśmy, nie spodziewali się, że zjawimy się na Marsie tak szybko.

Skupiam uwagę na pozostałych dowódcach. Orion poprowadzi Paxa, a Roque będzie kierował flotą razem z Victrą. Zaaprobowaliśmy ich plan. Reszta moich najbliższych współpracowników zostaje chwilę dłużej – z wyjątkiem Mustang, która idzie do hangarów.

Sięgam nieco w górę, żeby poklepać obu Telemanusów po ramionach.

– Pax wyglądałby dzisiaj genialnie.

Sofokles zwija się wokół kostek Kavaxa.

– Mój brat zawsze wyglądał genialnie – odpowiada ciepło Daxo. – Niemądry, pokrzykujący, naśladowujący ojca, ale wciąż genialny. Zabijemy Tiberiusa au Bellona, nie martw się.

– A czy ja wyglądam, jakbym się martwił?

Obaj Tytani kiwają głowami. Kavaxa ogarnęło typowe przed walką milczenie. Nie odzywa się, tylko mamrocze, więc Daxo nadal mówi w jego imieniu.

– Uważaj na siebie, Żniwiarzu. – Ogląda się na Szakala. – Wiemy, że to małżeństwo z rozsądku, ale nie ufaj mu.

– Wiesz, że mu nie ufam.

– Nie ufaj mu – powtarza Daxo.

– Ufam tylko przyjaciółom.

Żegnamy się.

Orion marszczy czoło w zamyśleniu. Pytam ją, czy coś jest nie tak, ale ona tylko pochyła się nad ekranem skanera. Dostrojona do statku ocenia rozmieszczenie sił wroga.

– Zauważyli, że wchodzimy na orbitę godzinę temu. Byliśmy wtedy odsłonięci, ale oni pozostali w szyku obronnym nad Ageą.

– To dziwne – przytakuje jej Roque. – Oddają większość planety bez walki. Może lepiej przesunąć wasz zrzut na południe...

– Chcę Agei – oznajmiam chłodno.

– Stolica może poczekać. Zajmij inne miasta, to potem weźmiemy ją bez wysiłku. Skąd ten szaleńczy pośpiech?

– Jeśli zajmiemy stolicę, inna miasta padną.

– I zginie wielu ludzi.

– To wojna, Roque. Zaufaj mi w tej kwestii.

– To twoja wojna. – Roque salutuje. A kiedy Victra piorunuje go wzrokiem, przyciąga mnie do siebie. – Powodzenia, Prymusie. – Całuje mnie w oba policzki, czym mnie zaskakuje.

– To była długa droga – odpowiadam ostrożnie.

– I wiele mil od snu nas dzieli <sup>3</sup>.

– Bracie. – Łapię go za kark i przyciągam tak, żeby nasze czoła się zetknęły. – Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro. – Kręcę głową. – Z powodu Quinn. Z powodu Lei. Z powodu gali. Z powodu tysiąca afrontów, jakie zniosłeś z mojej strony. Jesteś moim najdroższym przyjacielem. – Odsuwam się, nie patrząc mu w oczy. – Powinienem był to wcześniej powiedzieć. Ale bałem się.

– W jakim świecie powinienes się mnie bać?

Kręcę głową.

– Wybacz mi. Wszystko.

– Później będzie czas na zadośćuczynienie. – Ścisną mi ramię. – Powodzenia.

Zostawiam go. Zatrzymujemy się z Lornem tuż za mostkiem, gdzie nasze ścieżki rozchodzą się, prowadząc do różnych korytarzy. Ogolił się na wojnę i włożył starą zbroję Rycerza Gniewu. Wygląda wspaniale, ale pachnie okropnie. Ci starzy rycerze są jak Wyjce: przesądni i niechętni do czyszczenia sprzętu z obawy, że zmyją szczęście, które utrzymało ich do tej pory przy życiu.

– Otrzymałem wieści od wielu starych przyjaciół – mówi. – Sprzymierzają się z rodem Bellona.

– Starzy mężczyźni i kobiety?

– Starzy przeżyli młodych po wielokroć. – W jego oku pojawi się błysk. – Ale pytają mnie o ciebie. Pytają, czy młody watażka naprawdę ma cztery metry wzrostu? Czy naprawdę towarzyszy mu wataha wilków? Czy niszczy światy?

– Co im odpowiadasz?

– Powiedziałem, że masz pięć metrów wzrostu, towarzyszą ci karzeł i olbrzym i jadasz jajecznicę z tłuczonym szkłem. – Śmiejemy się obaj. – Nie podoba mi się, że mnie tu ściągnąłeś. Nie wierzę, żebyś był człowiekiem,

jakim chcesz być. Jeśli ty przeżyjesz, a ja nie, to bądź lepszym człowiekiem niż taki, który zwodzi swoich przyjaciół.

Za oczami narasta mi tępy ból. To przez tę jego prośbę. Nie mówi tego, żebym poczuł wyrzuty sumienia, ale ponieważ naprawdę mu zależy. Powinienem być lepszy. Chcę taki być. I ostatecznie jestem. Jednak jeśli wziąć pod uwagę środki, które doprowadzą mnie do celu... to czy jestem taki jak wszystkie inne stracone dusze? Czy jestem jak Harmony? Jak kolejny Titus?

– Obiecuję – mówię szczerze, chociaż zamierzam go jeszcze nieraz zranić.

– Dobrze. Dobrze. – Rozciąga pomarszczoną szyję, aż mu kręgi strzelają. – Zatem po Agei zajmiesz północną półkulę. Ja wezmę południową. A potem spotkamy się tutaj na whisky. Umowa stoi, łaskawy panie?

Kiwam głową. Lorn nie śpieszy się z odejściem. Wpatruje się we mnie przez chwilę i spuszcza wzrok. Nie potrafi patrzeć mi w oczy. Głos ma chrapliwy z emocji.

– Za każdym razem, gdy wracałem do żony, mówiłem jej, że jej synowie zginęli dobrą śmiercią. – Bawi się pierścieniem. – Nie ma czegoś takiego jak dobra śmierć.

– Achilles zginął dobrą śmiercią.

– Nie. Achilles pozwolił, żeby pożałała go duma i wściekłość, i ostatecznie strzała wystrzelona przez Piksa trafiła go w piętę. Jest mnóstwo rzeczy poza tym, dla których warto żyć. Mam nadzieję, że zestarzejesz się dostatecznie, by zdać sobie sprawę, że Achilles był przeklętym głupcem. Jeszcze większymi głupcami jesteśmy my, nie zdając sobie sprawy, że Achilles nie był bohaterem Homera. Był ostrzeżeniem. Mam wrażenie, że kiedyś ludzie mieli tego świadomość. – Opuszkami palców stuka w brzytwę. – To cykl. Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć. To moje życie. Myślę... Myślę, że nie powinienem był zabijać tego chłopca. Twojego przyjaciela.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo widzę, jak pozostali na ciebie patrzą. Myślę, że zrobiliby dla ciebie wszystko, bo w nich wierysz.

Poruszam się nagle, pochylam się, żeby pocałować go w pomarszczony policzek, jak Czerwoni całują swoich ojców i wujów.

– Tactus nie miałby o to pretensji. Ja też nie mam. Masz jeszcze jednego wnuka do wychowania. Może nauczysz go pokoju, którego mnie nauczyć nie potrafiłeś. Wyświadczyć więc nam tę przysługę i nie umieraj, staruszk.

– Ha! – Siwy lord śmieje się, z początku fałszywie. A potem bardziej gromko, gdy odwraca się na pięcie. – Ha! Jeszcze nie urodził się człowiek, który potrafiłby zabić Starego Kamiennobrzuchego!

Otoczają go jego starzy rycerze, mężczyźni i kobiety. Żaden nie ma mniej niż siedemdziesiąt lat, ale rozpoznają wszystkie twarze z opowieści o Księżycowej Rebelii i innych wielkich wojnach. Ich przyjaciele i dawni towarzysze czekają na nas na Marsie.

Wychodzę do hangaru. Żegnam się szybko z Victrą. Przywołuje mnie z powrotem. Czuję, że Roque nas obserwuje. Dziewczyna sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć. Czerwone słońce na jej czarnej zbroi płacze krwią. Czarna farba wojenna znaczy ukośnymi pasami jej twarz. Oczy jej płoną, a mimo to sprawiają wrażenie łagodnych, gdy szukają w moich odbiciu tego, co sama czuje.

– Po dzisiejszym dniu nazwisko Julii będzie znaczyło coś więcej niż pieniądze – przypominam jej.

Jej plan przechyli szale zwycięstwa w walce w kosmosie.

– Nie obchodzi mnie to. – Dotyka palcami mojego napierśnika. Uśmiecha się szelmowsko. – Jeśli umrzesz, to chcę, żeby twoją ostatnią myślą było to, jak wielki błąd popełniłeś, spędzając te wszystkie noce samotnie w swojej kajucie w Akademii. – Pstryka mnie w zbroję. Słysząc brzęk. – Pięknie byśmy sobie nabałaganili nawzajem w życiu.

Theodora czeka w korytarzu. Patrzy na mnie znacząco.

– Nic nie mów.

– Zjadłaby cię i wypluła, dominus.

– Dlaczego nie siedzisz w prywatnej kajucie, gdzie jest bezpiecznie?

– Nigdzie nie jest bezpiecznie. – Daje mi znać, żebym się pochylił. Wpina mi we włosy spineczkę z czerwonym kwiatem, jaką mogłaby nosić mała dziewczynka. – Wszyscy rycerze potrzebują symbolu – mówi ze łzami w oczach. – Nie bądź za bardzo bohaterem. Jesteś zbyt szybki, żeby zginąć w głupiej bitwie.

Odchodzi, ścisnąwszy po drodze przedramię Ragnara. Nie wiedziałem, że tak dobrze się znają. Olbrzym idzie za mną, trzyma się nieco w tyle, jak niepewny cień, kiedy rozmawiam z Sevro w drodze do hangaru.

– Czyli załatwione? – pytam.

Ten wzrusza ramionami.

– Wysłałem wiadomość.

– A rozmawiałeś z nim?

– To skrzynka w holoSieci – mówi. – Wysłałem wiadomość. Dostaną ją. Miejmy nadzieję.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, czy ją otrzymali?

– A skąd mam wiedzieć? Powiedziałem, że wysłałem. Trzymałem się protokołu.



Klnę cicho. Sevro pogwizduje melodię, którą wyśpiewał Pliniuszowi. Walę go po głowie. Skręcamy za róg i mijamy sześć tuzinów Szarych żołnierzy od operacji specjalnych, którzy truchtem kierują się do wyrzutni. Za nimi idzie sześcioro Obsydianowych. Na widok Ragnara i mnie z szacunkiem rozkładają dłonie.

– Widzisz, co noszą? Sierpaki na zbrojach. – Sevro uśmiecha się do mnie znacząco. – To się szerzy.

– Zastanawiałeś się, co się stanie, jeśli twój ojciec jest tam na dole? – pytam.

– Nie – przyznaje i mina mu rzednie. – Nie zastanawiałem się.

## Wojna

Dziobowy hangar jest ogromny. Ma sześćset metrów długości. W gigantycznej jaskini w brzuchu mojego statku roi się od mężczyzn i kobiet wszystkich Kolorów. Wzdłuż lewej ściany umieszczono setki wyrzutni. Do każdego ich rzędu można się przedostać po sieci ogromnych grobli, którymi mogą przejść ludzie w astroPancerzach. Pogrupowane według legionów tysiące żołnierzy czekają w gotowości.

Rozbrzmiewa alarm: wszyscy na stanowiska bojowe.

W interkomie chrypi głos Orion. Roque, najmłodszy imperator od stu lat, będzie właśnie rozdzielał naszą armadę na floty, które w przestrzeni okołomarsjańskiej przystąpią do walki z domem Bellona. Eskadry myśliwców i os lecą przodem. Niebiescy zmierzają na spotkanie swojej śmierci. Wśród nich są Złoci dowódcy. Ich celem jest wyrąbać dostatecznie szeroką drogę, aby pijawki mogły dopaść do kadłubów okrętów przeciwnika. Niektórzy pretorzy zatrzymują żołnierzy do obrony i odparcia abordażu, inni atakują całą dostępną im siłą. Każde z tych posunięć jest ryzykowne.

Nie mogę o tym myśleć. Victra, Roque i Orion mają swoje obowiązki, a ja swoje.

Zatrzymuję się i rozglądam po hangarze.

– A jeśli Ares wcale nie istnieje? – pytam cicho Sevro.

– Co ty, u diabła, wygadujesz?

– Jeśli to tylko sztuczka Złotych? Może ktoś pociąga za sznurki, żeby Wspólnota szła tam, dokąd powinna? Może to wszystko jest kłamstwem?

Sevro patrzy na mnie przez długą chwilę, a potem wskakuje na poręcz i wyje na całe gardło.

Odpowiada mu chóralny skowyt.

Wyją Szarzy. Wyją Obsydianowi, Pomarańczowi. Wyją Czerwoni pracujący w wyrzutniach. Wyją Złoci, którzy poprosili o transfer na mój okręt.

– To nie jest kłamstwo.

I wtedy widzę, jak sztandary legionów upadają, zastąpione czymś nowym. Zniknęły piramidy Wspólnoty. Przepadły wawrzyn, berło, miecz i zwój. Przepadł lew Augustusa. Zamiast tego wysokie złote sztandary, które legiony poniosą do walki przedstawiają, wilka i sierpak.

Te legiony są moje.

Coś buzuje w otaczających mnie ludziach, jakiś namacalny fanatyzm. U Żółtych to się tak nie przejawiało. Żłoci kochają mnie z powodu zwycięstwa i chwały, jaką ze sobą niosę. Te inne Kolory kochają mnie za coś zdecydowanie innego, coś o wiele potężniejszego. Każdy inny Żółty po zdobyciu okrętu rozhermetyzowałby go, ale ja tego nie zrobiłem, bo wybrali mnie zamiast swoich dawnych panów. Dałem im wybór.

Sevro łapie mnie za rękę.

– Rozumiesz, że dzisiaj musisz walczyć inaczej?

– Rozumiem.

Próbuję strząsnąć jego dłoń.

– Nie rozumiesz. – Przyciąga mnie, żebym spojrzał mu w twarz, i przegania Ragnara, gdy ten podchodzi. – Każdy ruch, jaki dziś wykonasz, zostanie zarejestrowany i nadany do wszystkich zakątków Układu Słonecznego. Ta bitwa służy temu, żeby flota stała się twoja. – Zniża głos do chrapliwego szeptu. – Synowie Aresa rozpowszechnią przekaz. Szakał go rozpowszechni. Dom Augustus też. Zachowuj się jak bóg, a ludzie pójdą za tobą jak za bogiem. Dotarło?

– Bez względu na wynik walki flota należy do Augustusa – odpowiadam.

– Nie będzie do niego należała, jeśli on zginie.

Wyzaczyłem Sevro, żeby przeniknął do Cytadeli w Agei, gdzie jest przetrzymywany arcygubernator. Nie kazałem mu go jednak zabijać.

– Nie zabijesz go – oznajmiam z całym autorytetem. – Zabraniam. To...

– ...jest konieczne. Nie potrzebujesz go, żeby zapewnić sobie legalność. Jeszcze to do ciebie nie dotarło? W tym wypadku dostaniesz to, co weźmiesz, bez względu na prawo. – Spluwa na pokład. – Masz dwadzieścia lat. Jeśli zdobędziesz Marsa, staniesz się żywym bogiem. A kiedy ujawnisz, kim naprawdę jesteś... wykroczysz poza ograniczenia Koloru. Dotarło?

Sevro zmądrzał, odkąd się poznaliśmy. Nie ma co do tego wątpliwości. Niestety obawiam się, że ma zbyt wygórowane zdanie na mój temat. Apollo uważał się za boga. Augustus nadal tak o sobie myśli. Ja nie powinienem być bogiem. Bogu się służy. Boga się czci. Nigdy tego nie chciałem. Eo nigdy by tego nie chciała. Sevro będzie musiał się tego nauczyć. Tu chodzi o wolność. Aczkolwiek mam wrażenie, że wszyscy chcą po prostu mieć za kim podążać.

Mustang nadzoruje dzisiaj operacje militarne. Szybkuje w powietrzu wraz z Milią, Żółtą o końskiej twarzy, którą adoptowaliśmy w Instytucie. Zbliża się do nas nieśpiesznym krokiem bezlitosny Żółty o znajomej twarzy. Śmieję się i wskazuję go Sevro, który klnie siarczyście.

– Rektor Jowisz? – wołam do niego. – Skarbie, to naprawdę ty?

– A któżby inny, ty arogancki smarkaczu?

Jowisz staje przed mną. Jest wysoki. Robi wrażenie beztroskiego. Włosy nosi ciasno związane. Jest o pół stopy wyższy ode mnie. To grzeszna, hedonistyczna bestia, której arogancja sięga stąd na Marsa. Widać, że on i Ragnar są tylko dwa nieporozumienia od rozprucia sobie nawzajem brzuchów. Patrzy na brzytwę, którą noszę na przedramieniu. Widzę, że on też nosi broń zgodnie z nową modą.

– Słyszałem, że ty stoisz za tym nowym stylem. – Podnosi rękę. – Pochwalam. Śmiało jak nagi kutas wsadzony w mrowisko.

– Wciąż kuśtykasz? – pyta Sevro.

– Przymknij się, Goblinie – warczy Jowisz.

– Kochany tatuś miał mały pojedynek z rektorem Jowiszem o stanowisko Rycerza Gniewu. – Sevro się uśmiecha. – Mój staruszek rozciął mu to samo miejsce, co ja. Trafił prosto w tyłek.

– Fitchner to oślizła menda. Jest... podstępny. – Jowisz kiwa niechętnie głową. – Bardzo, bardzo podstępny. Pomagałem damie – dodaje, wskazując Mustang.

– A z jakiej to okazji?

– Większość miast Augustusa nie może komunikować się bezpośrednio. Żadne wieści od nich nie wychodzą ani do nich nie docierają. Jestem emisariuszem tych, którzy pozostali lojalni. Zakradam się do środka i wykradam z powrotem. Zajmuję się tym już od tygodni, przekazuję wieści do zdalnych skrzynek i do innych lojalnych miast. Ty kleciłeś flotę, łaskawy panie, a tutaj agenci Mustang i jej brata toczyli wojnę. Było paskudnie, łaskawy panie.

– Co więc możesz mi powiedzieć?

– Cóż, tatuś Bellona dowodzi rodową flotą przeciwko twoim przyjaciółom. Cassius i Karnus prowadzą działania naziemne w Agei. Zamierzam pomóc ci ich znaleźć i zabić. – Jowisz unosi krzaczaste brwi, jakby chciał dać nam do zrozumienia, że okrutnie nuży go to zadanie. – Rzecz w tym, żeby zabić członków domu Bellona, a wtedy ich sojusznicy zaczną się zastanawiać, po co tak naprawdę walczą, prawda? – Mruga porozumiewawczo do Sevro. – Lepsze byłoby tylko przywalenie w łeb samej Suwerence z Luny.

– Jesteś pewien, że wszyscy z domu Bellona są w Agei?

Jowisz kiwa niechętnie głową.

– Byli tam, kiedy ich ostatnio widzieliśmy. Tyle że to było parę dni temu, po tym jak sprowadzili zakutego w łańcuchy Augustusa. – Unosi nonszalancko palec. – A dziś w nocy wylądowała tam osobliwa eskadra ciężkich promów.

Machnięciem ręki zbywam informację o promach. Jowisz mruży oczy, ale każe mu się zamknąć i iść za mną. Wychodzę na spotkanie Mustang i jej świty.

– Wszystko jest przygotowane – melduje dziewczyna. – Czekamy na rozkaz zrzutu. – Marszczy nos, jakby poczuła smród. – Sevro, pilnuj Jowisza. Lubi srać tam, gdzie je.

Jowisz ziewa.

– Mnie też miło z tobą pracować.

– Milia, miło cię widzieć umytą.

– Witaj, Żniwiarzu. – Dziewczyna kiwa głową i uśmiecha się, co paskudnie wygląda na jej twarzy. – Nadal bawisz się kosami? Aż się robi ciepło na sercu.

– To ty masz serce? – Sevro rechoce.

Milia szacuje jego wzrost.

– I to pełnowymiarowe. Nie dalej jak wczoraj widziałam Polluxa, ale po drugiej stronie. Wymykał się i zakradał z powrotem razem z Jowiszem. Urządziłeś nam tu prawdziwy zjazd szkolny po latach. Słyszałam o Tactusie. To był łajdak.

Nie da się ukryć.

Zerkam na swój terminal. Za pięć minut znajdziemy się nad miejscem zrzutu. Moja drużyna się rozchodzi. Mustang zostaje jeszcze chwilę, zamyślona.

– Co jest grane? – pytam. – Już się o mnie martwisz?

– Trochę – przyznaje, przysuwając się na tyle, żebym poczuł jej zapach. – Ale chodzi o mojego ojca. Co będzie, jeśli zabiją go, zanim wylądujemy?

– Nie zrobią tego. Potrzebują go jako karty przetargowej. A jeśli przegrają, to oszczędzą go w nadziei, że my oszczędzimy członków rodziny Bellona. Nie zabija się tak ważnych ludzi jak on.

Sięgam po jej dłoń, żeby ją pocieszyć, ale Mustang ją zabiera i odwraca się ode mnie.

– Mamy planetę do zdobycia.

Patrzę, jak odchodzi, wykrzykując rozkazy.

## Żelazny Deszcz

Widzę tylko metal. Jestem jednym z tysiąca ludzi w utworzonym przez wyrzutnie plastrze miodu. Na zewnątrz metalowej rury szaleje bitwa. Niczego nie czuję – ani drżenia Paxa, ani uderzeń pocisków, kiedy suną przez kosmos, niosąc cichą śmierć. Tylko dudnienie serca. Mickey powiedział mi, że nie widział silniejszego serca u żadnego Czerwonego, a zawdzięczałem to jadowi zmii jaskiniowej, który popłynął moimi żyłami, gdy byłem młody. Teraz przez ten galop serca w mojej piersi ręce mi się trzęsą. Ogarnia mnie strach. Strach przed mnóstwem rzeczy. Strach, że zawiodę przyjaciół albo że ich stracę. Strach przed powiedzeniem im, czym naprawdę jestem. Strach, że nie sprostam czekającemu mnie zadaniu. Strach spowodowany przez wątpliwości – przez wątpliwości co do siebie i co do moich planów rebelii. Strach przed śmiercią. Strach przed zagubieniem się w ciemności kosmosu poza kadłubem. Strach, że zawiodę Eo, moich ludzi, siebie samego. Jednakże przede wszystkim boję się gorącego metalu.

Z systemu łączności płynie trajkotanie. Nieważne. Plan już jest realizowany i teraz jestem tylko jednym z wielu trybików. Bitwa jest zbyt ogromna, żebym miał udział we wszystkich jej elementach. Chciałem dowodzić Paxem z mostku, żeby patrzeć, jak okręty wroga atakują moją flotę, ale Orion i Roque są w kosmosie lepsi ode mnie.

Chciałem lecieć pijawką, prowadzić grupy abordażowe przez wyłomy w kadłubach wroga. Chciałem atakować mostki, wypierać najeźdźców z własnego okrętu, przeskakiwać od niszczyciela do drednota i wszystkie zagarniać. Ale nie wezmę do niewoli imperatora Bellona. Tym zajmą się Tytani. Ostatecznie to nieprzyjaciół zdecydował, dokąd się udam. Ścigam wielką zdobycz.

Zdobycz, która jest moim celem, odkąd opuściłem Lunę.

Mój prawdziwy wisior z pegazem jest chłodny w dotyku. W środku spoczywa włos Eo. Skup się na tym. Na tym, jak poruszały się jej włosy. Jak falowały, targane wiatrem z kopalni. Skup się na tym. Gdy myślę o niej, dręczą mnie wyrzuty sumienia. Lubię to życie. Bez względu na to, jak niechętnie gram Złotego, bez względu na to, jak żałosne wymówki

przedstawiam, częstka mnie jest taka jak oni. Może urodziłem się, żeby należeć do dwóch Kolorów jednocześnie.

Walić to. Człowiek nie rodzi się w żadnym Kolorze. To nasi władcy postanowili zdegradować nas do roli Kolorów. I pomylili się.

– Audentes fortuna juvat, kochaniutcy – odzywa się Sevro na prywatnym kanale.

Wybucham śmiechem, słysząc łacinę.

– Znowu pieprzenie o tym, że „szczęście sprzyja śmiałym”? Czemu nie po prostu carpe diem?

– Bo zgodnie z tradycją mówi się...

– Czy wy, chłopcy, zawsze tak flirtujecie przed walką? Jakie to słodkie – odzywa się Victra.

– Żałuj, że nie widziałaś ich w Instytucie. Miłość od pierwszego skowytu – śmieje się Mustang.

– Widziałam nagrania! Cudna para.

Słyszę śmiech w głosie Mustang.

– Nawet ubierali się podobnie. Byli stylowi, prawda, Roque? A jak cuchnęli!

– Ja tego na pewno nie zauważyłem.

– Czemu nie?

– Sevro śmiertelnie mnie przerażał. Nie patrzyłem na to, co nosił – odpowiada Roque, wywołując kolejne śmiechy. – Myślałem, że ugryzła go wiewiórka i jakimś cudem złapał wściekliznę.

– Roque? – woła słodko Sevro.

– Sevro.

– Cześć.

– Cześć?

– Kiedy następnym razem cię zobaczę, ugryzę cię.

– Muszę kończyć. – Wesoły śmiech Roque’a gaśnie. – Zaczyna się starcie z głównym trzonem sił wroga.

– Co zamierzasz? Zanudzisz ich na śmierć czytaniem lekkiej poezji? – pyta znowu Sevro.

– Palant z ciebie – oznajmia wesoło Roque. – Niech Furie kierują waszymi mieczami, a Parki sprowadzą was bezpiecznie do domu. Do tego czasu moje serce jest z wami wszystkimi.

Słowa o sercu zaskakują wszystkich Złotych. Roque wyłącza się i słyszymy go teraz na głównej częstotliwości, jak wydaje rozkaz ataku na wrogiego niszczyciela.

– Co za Piks – mruczy Sevro, ale nawet dziecko wychwyciłoby drżenie w jego głosie.

Boi się.

– Hic sunt leones – mówię do przyjaciół. – Bądźcie dzielni. Bądźcie dzielni i widzimy się po drugiej stronie.

– Hic sunt leones – odpowiadają nie ze względu na Augustusa, ale ponieważ chcemy być odważni jak lwy.

Jedno po drugim żegnamy się. Zanim zdołam się powstrzymać, wywołuję Mustang na prywatnym kanale. Mija dwadzieścia sekund, zanim odpowie.

– Co jest? – Słyszę w jej głosie wahanie.

– Nie daj się zabić – mówię.

Pauza. Wzruszenie? Irytacja?

– Ty też.

Kończy połączenie. Wkrótce przekładnie zaczynają wirować i szczekać, kiedy zostają załadowany do mechanizmu wyrzutni.

Zachowywałem się przez cały ten czas tak, jakbym wiedział, co mnie czeka. Jakbym wiedział, czym jest Żelazny Deszcz. On jednak majaczy przede mną jak jakaś mroczna, śliniąca się bestia. To dla mnie tajemnica, chociaż widziałem jego twarz. Doświadczyłem go w wirtualnej rzeczywistości i widziałem nagrania w hP. Wiem, czym jest, tak jak dziecko potrafi latać, bo obserwowało ptaka.

– Dotarliśmy do współrzędnych rozlokowania. – Głos Roque’a wypełnia uszy wszystkich Złotych we flocie. – Niech spadnie Deszcz.

Wypełnia mnie wycie magnetycznego ładunku w wyrzutni. Sunę do komory, przygotowując się na zrzut. Patrzę w dół, pochylam głowę, żeby nie złamać sobie karku. A potem zostaje wystrzelony i zostaje tylko prędkość i bitwa. Żołądek napętnia mi gardło żółcią. Pędzę w magnetycznym strumieniu prosto w skłębiony chaos.

W kosmosie rządzą ogień i błyskawica. Metalowe behemoty wypluwają pociski, bezgłośnie waląc w siebie z wszelkiej broni dostępnej człowiekowi. Towarzysząca temu cisza jest upiorna, dziwaczna. Potężne osłony przeciwrakietowe wybuchają wokół okrętów; wygląda to, jakby kadłuby były otulone przez kłębki waty szarpane na wietrze. Myśliwce i osy prowadzą nieustanny ostrzał, podgryzają i przecinają pancerze z metalu, walcząc w ogromnej, gęstej chmurze. Małe ich stadka wymykają się czasem z chaosu walki i lecą bezgłośnie spiralą w stronę rojów pijawek, kiedy niszczyciele i transportowce wyrzucają z siebie kolejne fale żołnierzy. Tak wygląda gra w abordaż. Pijawki śmigają nad, pod i za zasłonami obrony przeciwrakietowej: szukają miękkich brzuchów kluczowych okrętów, żeby



wpompować w nie swój zabójczy ładunek jak muchy zrzucające larwy do otwartych ran. Wszystkim kierują Niebiescy wychowani specjalnie do takich sytuacji. Jednostki Bellony mijają okręty Augustusa, fale desantu nakładają się, przenikają, roztrzaskują o siebie nawzajem.

Wszystko odbywa się w ciszy.

Pociski lecą ku pijawkom, rozrywają ich kadłuby w potężnych eksplozjach. Nie ma żadnych płomieni z wyjątkiem miejsc, gdzie kadłuby zostają przebite i zapala się uciekający z nich tlen – jęzory ognia wyglądają jak strumienie krwi buchające z wieloryba ranionego harpunem na Starej Ziemi. Ładunki z dział elektromagnetycznych tną przestrzeń, rozpruwają liczne pijawki i mniejsze myśliwce, wydzierają dziury w szeregach wojska. Z rozerwanych statków wylatują ludzie. Jedni i drudzy celują w silniki, mają nadzieję sparaliżować i przejąć okręt, zamiast go zniszczyć. Pośród błękitu i srebra wrogiej floty potężne Dziecię Wojny roztrzaskuje korwety i dewastatory jak cyklop brodzący przez stado owiec i wymachujący pałką powoli jak wahadłem.

Wstrzymuję oddech, kiedy korweta Victry w eskorcie dwóch niszczycieli przemyka w stronę Dziecięcia Wojny. Zostaje ostrzelana przez działa EM, pancerniki zasypują ją gradem pocisków. Bellona musiała chyba uznać, że Victra podeszła zbyt blisko, by przejąć jej statek, bo strzelają salwą prosto w jej miękki brzuch. Korweta pod ostrzałem wypłuwa desperacką salwę czterdziestu pijawek. To blisko dziesięć razy więcej niż jej standardowa pojemność. Praktycznie wypatroszyliśmy okręt, żeby zmieścić tam dodatkowe transportery. To oddziały Telemanusów.

Jednostka Victry oddala się od Dziecięcia Wojny, zuchwale rzuca się na szyki wroga, gdzie flotylla statków jej matki z herbem krwawiącego słońca wspomaga orły Bellony. Victra szykuje im drugą niespodziankę.

Matka przechodzi na naszą stronę, zdradza Bellonę, tak jak Victra obiecała Szakalowi i mnie. Statki Agrippiny wypływają ponad dwieście pijawek w samym środku floty Bellony. Rozpętuje się chaos.

Moi Tytani lądują na kadłubie okrętu flagowego wroga i już wkrótce Dziecię Wojny jest oblepione pijawkami. Powodzenia, Tytani.

Pijawki Bellony zawracają w stronę Dziecięcia Wojny, żeby wspomóc swoich podczas abordażu. Korytarze okrętu wypełniają się dymem i krwią. Myśliwce ostrzeliwują pijawki, próbują je oderwać, zanim te wrzucą swoich ludzi w głąb cielska Dziecięcia Wojny. To elegancki taniec akcji i reakcji, reakcji, reakcji.

Utrzymuję swoją trajektorię, nie jestem w stanie jej zmienić. Po obu moich stronach suną tysiące Złotych i Obsydianowych we wzmacnianych

astroPancerzach. Są też Szarzy, lecą w dwunastoosobowych kapsułach. Deszcz ludzi i metalu. Pośród naszego strumienia lecą potężne bociany wypełnione kolejnymi Obsydianowi i Szarymi. Kiedy już wylądujemy i zabezpieczymy przyczółki, legiony wylecą na promach z drednotów i transportowców, żeby rozlać się nieprzeliczoną masą za naszymi plecami.

Wbrew temu, co myśli rodzina Bellona i jej sojusznicy, nie są w stanie powstrzymać nas przed zrzućciem ludzi – orbita wokół planety jest zbyt wielka. To dlatego utrzymanie miast jest tak ważne. To wyspy-fortece. Jedyna realistyczna opcja ich zajęcia to lądowanie i przemknięcie przez dwustumetrową szczelinę pomiędzy dyskoidalnymi tarczami a ziemią. Do tego są potrzebni ludzie na powierzchni. Miliony ludzi w skoordynowanym ataku.

Ustanowimy setkę przyczółków, a potem bitwa zacznie się na serio. W chaosie walki pociski mkną ku naszym astroPancerzom. Sojusznicze okręty uruchamiają za nami obronę przeciwrakietową, osy osłaniają nasze flanki. Wrogim osom udaje się dopaść nas z boków i ostrzelać. Gina dziesiątki uczestników Deszczu, ich zbroje mną się jak płonący papier. Nienawidzę tego. Chce mi się krzyczeć. Niektórzy krzyczą, więc odcinamy im łączność.

Nic nie mogę zrobić. Modlę się, żeby nie zginąć. Modlę się, żeby moi przyjaciele nie zginęli. Tylko do czego mam się modlić? Złoci nie mają Boga. My, Czerwoni, mamy Starca w Dolinie. On jednak nie pomaga nam w tym życiu. Czeka tylko, żeby strzec nas w następnym.

Serce tłucze mi się w piersi. Nie mogę zapanować nad hiperwentylacją. Wrywam się z własnej skóry. Czuję się jak chłopiec. Chcę się znaleźć w bezpiecznym domu. Chcę zupy mojej matki, dotyku jej surowej ręki, miłości, która rozkwitała we mnie za każdym razem, gdy udawało mi się wywołać u niej uśmiech. Oddałbym wszystko, żeby poczuć znowu tę radość, jaka mnie ogarnęła, kiedy zdałem sobie sprawę, że Eo mnie kocha. Tęsknię za chłodnymi, cichymi nocami przed miłością, kiedy panowała tylko żądza i głód, kiedy całowaliśmy się w tajemnicy z sercami bijącymi jak dwa ptaki, które zdają sobie sprawę, że może jednak wybudują razem gniazdo. Tym właśnie powinno być życie. Rodzina. Pierwsze miłości. Nie spadanie przez atmosferę, gdzie zabójców interesuje tylko to, żeby napęlić nasze ciała gorącym metalem, a potem zabić naszych przyjaciół.

Mój umysł ucieka, chociaż ciało działa.

Planeta wciąż rośnie, puchnie jak kolos, pożera całe moje pole widzenia. Nie wiem, kto żyje, a kto nie. Na moim ekranie za dużo się dzieje. Uderzamy w atmosferę, powraca dźwięk. Jest ogłuszający. Aureole kolorów otaczają moją drżącą formę. Na lewo i prawo ode mnie spadający żołnierze wyglądają

jak zjadłe owadzie błyskawice wydarte z fantazji jakiegoś Rzeźbiarza. Podziwiam takiego po lewej, widzę tylko jego sylwetkę na tle spżowego słońca; unieśmiertelniam go w tej jednej chwili, o której wiem, że nigdy jej nie zapomnę. Wygląda jak anioł Milona spadający w gniewie i chwale. Jego egzozkielet odrzuca osłonę termiczną, tak jak Lucyfer mógłby zrzucać niebiańskie kajdany – odpadają piórami ognia i trzepoczą za nim w tyle. A potem pocisk przecina niebo i znów chrzci go na śmiertelnika.

Ledwie wchodzimy w atmosferę, uderza w nas jazgotliwy ostrzał z powierzchni. Wycina dziury w naszym spadającym mrowiu. Jak rozwścieczony rój pszczoł aktywujemy grawiButy i rozpraszamy się na tysiąc różnych szwadronów. Każdy stara się dotrzeć do swoich współrzędnych. Wrogie myśliwce wlatują za nami w atmosferę, ale tu mamy większą zdolność manewrowania i z łatwością je strącamy. Atakuję jednego od tyłu, mając Wyjców tuż za sobą, i tnę go brzytwą. Odlatuję, kiedy spada spiralą przez chmury do oceanu.

Ogień przeciwlotniczy wrzeszczy na nas przez chmury i zabija Złotego na prawo ode mnie – Wyjca, ale nie wiem którego, dopóki nie spojrzę na terminal. Daria zwana Harpią nie żyje. Tak po prostu. Zginęła, chociaż nie poświęcała się za kogoś. Zginęła bez ostatniego gniewnego skowytu. Bez szlachetnego gestu. Bez emocji. Lojalna dziewczyna, która w Instytucie nosiła pas ze skalpów i która oczarowała Mursza i Brzydala swoimi dziwnymi pomysłami, odeszła.

Ogarnia mnie nagła panika. Nurkuję w chmury wraz z resztą awangardy mojego legionu. Suniemy nisko nad oceanem, skąd dwa okręty plują w nas ogniem. Sevro posyła w ich stronę dwa pociski. Eksplodują i zamieniają się w tuzin mikropocisków, z których każdy rozpada się na kolejny tuzin. Wybuchają jak ziarna kukurydzy na ogniu.

Wojna to chaos. Zawsze tak było. Technika tylko to pogarsza. Zmienia strach. W Instytucie bałem się ludzi. Bałem się, co Titus i Szakał ze mną robią. Ale tam widzisz, jak śmierć nadchodzi, i możesz przynajmniej z nią walczyć. Tutaj nie masz takiego luksusu. Nowoczesna wojna to strach przed powietrzem, przed cieniami, przez ciszą. Śmierć nadejdzie, a ty jej nawet nie zauważysz.

Uderzam w ośnieżoną górę. Chmury pary buchają, gdy mój rozżarzony do czerwoności pancerz wytapia dziurę w białym puchu. Reszta mojej drużyny ląduje wokół mnie, znajdując bezpieczne schronienie na ziemi. Z rykiem spadają ludzkie meteoryty wypłute z metalowych potworów. Bach. Bach. Bach. Podnosi się mgła wojny.

– Lądowanie – warczę.

Sevro osuwa się na kolana, otwiera hełm i wymiotuje w śnieg. Dołączają do niego inni. Paskudny Brzydał dyszy ciężko, ogarnięty smutkiem. Mursz łapie go za ramię. Błazen stoi nad nimi i pilnuje, pomalowany na czerwono irokez przekrzywił mu się na głowie. Harpia już nie istnieje. Nie wiedziałem, że tak to będzie wyglądać. Myślałem, że znam zgrozę. Nieprawda. W ostatniej minucie zginęło więcej ludzi, niż poznałem ich przez całe życie. Strach Lorna przed wojną wstrząsa teraz mną.

To jest właśnie wojna. Chaos. Przypadek. Śmierć.

Sevro kiwa mi głową, ocierając wymiociny z ust. Jowisz pomaga mu wstać. Co dziwne, malec na to pozwala. Szukam sygnatury Mustang na moim wyświetlaczu w hełmie. Żyje, jest z głównym trzonem moich sił, ale zostaliśmy rozdzieleni. Ja mam tuzin Złotych i czterdziestkę Obsydianowych wytrenowanych w korzystaniu z wyrafinowanego technicznie sprzętu wojskowego.

– Zrzucić egzo – warczę na Obsydianowych. – Omega, zabezpieczcie teren.

Pozbywamy się niezgrabnych egzopancerzy termalnych, odsłaniając astroPancerze pod spodem. Zapewniają większą zwinność. Rozkazuję założyć hełmy. Metalowe demony i zwierzęce pyski zastępują twarze przyjaciół.

Jednakże i ta chwila nie jest pozbawiona piękna. W ułamkach sekund, kiedy Złoci i Obsydianowi dodają sobie otuchy skinieniami głów, zanim zajmą się swoimi zadaniami i odnajdą ukojenie w kokonie obowiązków, w bliskości towarzyszy, tak ja odnajdywałem je w kopalni.

Zbieram wokół siebie Sevro i Wyjców. Ragnar, oddzielony od swojego legionu, stoi w moim cieniu. Wylądowaliśmy na dziennej połowie planety. Wygląda to jak deszcz meteorytów, gdy druga fala astroPancerzy przeszywa atmosferę, ciągnąc smugi czarnego dymu na porażonym ogniem błękitnym niebie. Setki naziemnych dział cały czas ostrzeliwują mrowie żołnierzy rozciągniętych od jednego horyzontu po drugi, ale powoli ostrzał rzednie, działa zostają zniszczone z kosmosu albo przez ludzi na ziemi. Moja grupa wylądowała trzysta kilometrów od miejsca, w którym musimy się znaleźć. Jak to się stało?

Wzywam Mustang przez system łączności. Jest pięćdziesiąt kilometrów bliżej wyznaczonego miejsca zrzutu, na zboczach jakiejś innej góry. Ma prawie czterystu ludzi.

– Wyszliśmy na idiotów – stwierdza Sevro.

Schodzimy z góry. Nie lecimy, skaczemy. W Akademii nauczono nas myśleć o tym jak o skakaniu z jednego kamienia na drugi nad powierzchnią wody. Moglibyśmy polecieć w grawiButach, ale wtedy bylibyśmy celem dla

pocisków i artylerii przeciwlotniczej, nie wspominając już o żołnierzach nieprzyjaciela. Wyskakujemy więc pięćdziesiąt metrów w powietrze i wykorzystujemy grawiButy, żeby ściągnęły nas na ziemię.

Z pobliskiego szczytu nadlatują pociski. Sevro i jego oddział zajmują się tym i przeskakując nad tysiącmetrowymi wąwozami, szybują w górę stromej skalnej fasady, podczas gdy ja i Ragnar napieramy do przodu. Głuchy huk niesie się nad pasmem górskim, kiedy wyjce likwidują wieżyczkę z działem. Dołączają do nas na końcu łańcucha gór. Przysiadamy na skraju urwiska, gdzie zbierają się niskie chmury. Na lewo od nas, jakieś dwadzieścia kilometrów dalej, wznoszą się wieże odległych pobielonych Salonik, które przycupnęły na skalistym wybrzeżu przejrzystego Morza Termicznego. Dom Tactusa. Ogarnia mnie smutek.

Napieramy na północ. Patrzę, jak wieże bledną, aż pozostaje z nich tylko błyszczący metal na brzegu tej dziwnie spokojnej wody. Z oddali niesie się huk wybuchów. Mimo pancerza czuję ciężar czyjejś dłoni na ramieniu.

– Zupełnie jak wtedy, gdy zajęliśmy Olimp. – Sevro szczyrzy zęby w uśmiechu, patrząc ze szczytu nowej góry na ląd, który rozciąga się przed nami.

– Tyle że tym razem każdy ma grawiButy.

Sprawdzam współrzędne na wyświetlaczu. Nad nami trwa inwazja. Jednostki nieprzyjaciela coraz rzadziej przelatują nam nad głowami. Jedna z nich nas namierza. Z rykiem wynurza się z chmur i orze ziemię bronią maszynową. Chowamy się w wąwozie. Śnieg wybucha wokół nas. A potem eksploduje pocisk i wielki głaz zwała mi się na nogi. Leżę przyszpilony. Pestka i Błazen stają nade mną, osłaniając mnie.

– Ragnar! – krzyczę. – Zabij to!

Nie widzę tego co on, ale huk jest potężny, gdy wroga maszyna dymi i spada z nieba, pędzi ku ziemi, a potem znika w chmurze metalowych odłamków.

– Jak twoje nogi? – dopytuje się nerwowo Sevro.

Słysząc jęk przekładni, wizg elektryki. Zdejmują ze mnie kamień.

– Nadal działają.

Schodzimy z ośnieżonej góry na marsjańskie równiny. Na lewo od nas maszeruje ciężkozbrojna piechota. Ich transpondery sygnalizują, że to nasi. Jednakże daleko na prawo, jakieś trzydzieści kilometrów od nas, gdzie grunt wznosi się na subtropikalne wyżyny, ciągnie się kolumna wojska Bellona, około trzystu ludzi w kilku grupach.

– Złamali jedną z naszych sygnatur komunikacyjnych – Zielony szef komunikacji w przestrzeni wokół Marsa retransmituje nowy sygnał. – Polują

na was, Ikar.

To mój drugi sygnał wywoławczy.

– Teraz się dowiemy, kto wygrywa na niebie – mówię.

Sevro kieruje laser naprowadzający na oddział wroga w tym samym czasie, kiedy oni namierzają nas. Plamka światła podskakuje na ziemi przed nami jak nerwowa mucha. Rozpierzchamy się, Sevro i ja lecimy razem, a potem deszcz ognia spada na naszego wroga z dwóch trajektorii. W tej samej chwili Sevro identyfikuje dron, który rozrzuca nad nami grad pocisków. Oznacza go i działko elektromagnetyczne z pobliskich Salonik strzela. Widać strumień niebieskiego ognia nad horyzontem i dron znika w rozbłysku czerwieni. Oto megaszaleństwo ultranowoczesnej wojny.

Idziemy do współrzędnych Mustang, własnymi oczami i za pomocą czujników wypatrujemy śmierci, która kryje się w górach. Przekrada po równinach. Chowa w lasach niebosiężnych bogoDrzewów i w wodach młodziutkich mórz.

Po lewej ciągnie się wielkie jezioro. Z prawej mamy uśpiony wulkan, tak płaski, że wydaje się zaledwie ośnieżonym pagórkiem. Wzbijam się wyżej i lecę wzdłuż pasma górskiego, które trawersujemy, żeby mieć lepszy widok na okolicę. Dane topograficzne systematycznie rozbłyskują na moim terminalu, widzę, jak drony informacyjne zostają zestrzelone i zastąpione przez nowe.

Wewnątrz pancerza jest cicho. Nie słyszę wiatru, który gwiżdże wokół mnie na tej znacznej wysokości. Chmura, jedno z dramatycznych burzowych kowadeł typowych dla Marsa, napływa znad odległego jeziora. Kiedy dociera nad las poniżej gór, zaczyna padać i błyskawice przecinają niebo. Na skalistym wierzchołku wiruje śnieg. Topi się na moim pancerzu.

Dostrzegam ruch na pobliskim szczycie. Wstrzymuję się ze strzałem, kiedy widzę, że to nie ktoś od Bellony, ale zwierzę. Dzieło Rzeźbiarza. Powiększam obraz i rozpoznaję gryfa, który czepia się brzegu ogromnego gniazda w wąskim skalnym żlebie i patrzy zdumiony na ludzi latających w dolinie. Jakiż świat stworzyli ci Złoci.

Moi ludzie docierają do mnie na następnej kulminacji i zatrzymują się na chwilę, żeby sprawdzić ogniwa zasilające w astroPancerzach. Nie wytrzymają całego dnia. Grupa Mustang ląduje z impetem wokół nas, wzbijając tumany śniegu. Wzmacnia nas czterystu zabójców w astroPancerzach. Przybijamy z Mustang żółwika.

– Ikar? – trzeszczy głos w moim uchu. – Ikar, czy mnie słyszysz?

– Roque, słyszę cię. Co jest grane?

– Ikar... pilne... na... słyszysz? – Sygnał rwie się, kiedy błyskawice tną niebo nad nami. Urządzenia zakłócające obu stron dręczą fale radiowe. – Dar... słyszysz... mnie... w Agei.

– Roque? Roque? – Znam plan bitwy na górze, ale ton jego głosu mnie niepokoi.

– Komunikacja się sypie – mówię do Mustang. Deszcz rozbryzguje się na jej pancerzu.

– Lokalne kanały są w porządku. To przez zakłócacze i burzę.

Sevro wskazuję w górę.

– Musisz poderwać tyłek, żeby słyszeć.

Nad nami błyskawica trafia w okręt. Jego mechanizmy zawodzą i zaczyna spadać. Zanim nastąpi restart systemu, zderza się z przelatującym obok myśliwcem.

– Psiakrew.

Daję Ragnarowi i Jowiszowi rozkaz, żeby ruszali przodem wzdłuż gór i zabezpieczyli północną dolinę dla naszych głównych sił, legionów Szarych. Co prawda oblegamy inne miasta, żeby odwrócić uwagę Bellony, ale dla mnie liczy się tylko Agea. Milion ludzi zgromadzi się pod jej murami. Splamiony otwiera dłoń w salucie, a potem zeskakuje z góry wraz z Jowiszem i setką Obsydianowych wojowników.

Mustang i Sevro zostają na dole, a ja z kilkoma ochroniarzami przebijam się przez chmury burzowe. Znalazłszy się nad chmurami we względnie spokojnym powietrzu, wzywam Roque'a.

– Ikar! – krzyczy do komunikatora. – Ona tu jest. Nie na Lunie, nie w głównej flocie Wspólnoty! Właśnie się dowiedzieliśmy! Ludzie Kavaxa znaleźli pretorianów na pokładzie Dziecięcia Wojny... Ona tu jest! Przyleciała w tajemnicy bez swojej floty. Złapaliśmy ją.

– Roque, zwolnij. Co ty mówisz?

– Darrow, Suwerenka jest na Marsie. Jej prom utknął za tarczami Agei. Jest tam uwięziona.

– Roque, ja już to wiem. To dlatego zależy mi na tym mieście.

## Na murach

Nie pyta, skąd wiem. Później powiem mu, że pozwoliłem Ai uciec z Europy, żeby dzięki sygnaturze radiacyjnej mojej bomby móc ją śledzić, gdy wróci do Suwerenki. To osobista zabójczyni Octavii, było jasne, że do niej wróci. Nie powiedziałem o tym nikomu poza Mustang, Szakalem i Sevro. Nie mogłem ryzykować, że wieść się rozniesie, zwłaszcza przy tym, jak Roque ostatnio się zachowywał.

Rozłącza się bez słowa, nie kryjąc rozgoryczenia.

Awangarda moich sił, ludzie Ragnara, wylądowali w dolinie przed nami. Widzę opadające pękate statki, które znikają w ziemi – tam, gdzie długimi kilometrami ciągnie się Valles Marineris. Nasi Niebiescy ostrzeliwują Ageę z kosmosu. Nawałnica ognia rozgrzewa tarczę, która pulsuje i staje się nieprzezroczysta. Podejdziemy do niej z poziomu ziemi wzdłuż szerokiego na sto kilometrów kanionu z północy i południa, prosto do dwustumetrowej szpary, którą trzeba zachować pomiędzy tarczą a ziemią, żeby nie wywołać zakłóceń sejsmicznych.

Zeskakuję z górskiego szczytu na czele swoich ochroniarzy. Sevro i Mustang towarzyszą mi, kiedy przeskakujemy na następny szczyt, a potem przemykamy pogórzem, ściągając na siebie ogień.

Suwerenka jest kluczem do tej wojny, kluczem do rozpadu Wspólnoty, dzięki któremu Synowie Aresa będą mogli powstać. Jeśli ją złapiemy, skonsternowana Wspólnota zacznie się zastanawiać, czy w ogóle istnieje bez Octavii na tronie. Senatorowie i gubernatorzy spróbują przejąć władzę. Rozpęta się tuzin lokalnych wojenek, które podzielą ludzi i zniszczą spójność.

Pode mną na dnie rozległego kanionu wyleguje się świat obfitości – jeziora i strumienie, trawa do pasa, kwitnące drzewa i spartańskie sosny wyrastające pod dziwnymi kątami z wysokich na kilometry stromych ścian. Nad tym wszystkim panuje wielka szybująca góra, Olimp. Dostrzegam spokojne zamki, widzę sarny biegające po marsjańskich dolinach. Nie widzę jednak dzieci nad potężnymi rzekami, żadnych chłopców i dziewcząt w zbrojach. Tylko wspomnienia i błoto. Studentów już zabrano. Jakie to musiało być dziwne – walczyć na śmierć i życie średniowieczną bronią, a potem dać się porwać transportowcom, kiedy z kosmosu przybyli najeźdźcy.



Spotykamy się z Jowiszem i Ragnarem na jednej z białych iglic Olimpu. Na zboczach i w korytarzach leżą martwi ludzie.

– Urządzili tu sobie bazę – wyjaśnia wesoło Jowisz. – Twojemu Splamionemu nie spodobała się ich arogancja. Lubię tę bestię!

Nasi ludzie zabezpieczają sekcję Valles Marineris przeznaczoną dla Instytutu, daleko na wschód od Agei, w górnym odgałęzieniu ogromnego kanionu. Wyglądam przez okno i widzę setki sojusznicznych transportowców opadających na ziemię, z których w trzydzieści minut wychodzi ponad trzysta tysięcy ludzi. Złoci wybiegają po spuszcanych rampach, zawsze pierwsi lądują na wrogiej ziemi.

– Żadnego oporu – zauważam półgłosem, gdy mój hełm się otwiera.

Zaniepokojony patrzę na Mustang. Odgarnia włosy z oczu.

– Im dłużej będziemy się okopywać, tym trudniej będzie nas usunąć. Dlaczego czekają?

– Chcą nas zgromadzić jak kiść winogron, zanim zdepczą – domyśla się Sevro. – Atomówki?

– Niemądre dzieci. – Jowisz przeszukuje kieszenie jednego z nieżyjących ludzi. – Po to właśnie mamy Szarych. Niech oni zostaną zdeptani. Nawilżą nam przejście.

– Żadnej broni atomowej – mówi Mustang. – Czujniki wykryłyby ją ze stu kilometrów. – Wodzi wzrokiem po okolicy. – Czekają, bo nie mają dość ludzi, żeby zatrzymać nas podczas przejścia przez dolinę. Albo przyłapaliśmy ich nieprzygotowanych, w co wątpię. Albo wysłali za dużo żołnierzy, żeby powstrzymać Lorna. Albo stworzyli wąskie gardła w dolinie. Albo rozmieścili ludzi wokół Cytadeli. Albo zastawili na nas pułapkę.

Jej umysł pracuje jak maszyna.

– Pułapka – podejmuje po chwili. – Ale za bardzo polegają na tym, że nas zatrzyma, podczas kiedy oni będą przemieszczać ludzi i wyposażenie wojskowe. – Prycha pogardliwie. – Statyczna obrona bez masywnego wsparcia mobilnego nie sprawdziła się od czasu Linii Maginota.

– Wiedzą jednak, że nie chcemy zniszczyć miasta ani jego populacji – odpowiadam.

– Owszem. – Poprawia terminal, sprawdza mapę. – Co ogranicza nasze możliwości taktyczne.

– Wojna totalna jest łatwiejsza – burczy Jowisz. – Posłużmy się Szarymi, żeby otworzyć sobie przejście, a potem zrzućmy bomby na mury pod tarczą. I wejście załatwione.

– Wystarczy jeden dzień, żeby zniszczyć miasto, a potem trzeba pięćdziesięciu lat, żeby je odbudować – warczy Mustang. – Chcesz

nadzorować odbudowę?

– A wyglądam na budowniczego? – pyta Jowisz.

– Podejście do Agei ma średnio osiemdziesiąt kilometrów szerokości, z siedmiokilometrowymi ścianami po obu stronach. Wszędzie rozciągają się pola i uprawy dla miasta. Ludzie Bellony najpewniej zarzucili cały teren minami. O ile mieli na to czas. Nie uprzedziliśmy ich, że nadchodzimy.

Czy mieli czas?

Mustang daje mi znak, żebym odszedł z nią na bok.

Odsuwamy się od mojego dowództwa, którego członkowie przewracają oczami. Napowietrzny pałac powinien przypominać mi o dawnym zwycięstwie, ale ogarnia mnie tutaj tylko przenikliwa melancholia. Tyle wspomnień. Tylu straconych przyjaciół. O tym właśnie myślę, kiedy widzę Szarych lądujących w pobliżu zamku Minerwy, gdzie kiedyś ja i Pax stoczyliśmy pojedynek.

– Stąd do Agei jest osiemdziesiąt kilometrów – mówi Mustang. – Moglibyśmy popędzić od razu do miasta, tak jak planowaliśmy. To, że nie sprzeciwili się naszemu lądowaniu, nie znaczy jeszcze, że szykują coś nikczemnego. – Widzi wahanie w moich oczach. – Jesteśmy tu w równym stopniu z powodu mojego ojca, co Suwerenki. Musimy działać szybko.

– Boisz się, że Lorn go zabije, jeśli pierwszy przedrze się przez południowe mury – domyślam się. – Prawda?

– Znasz ich historię.

– Owszem.

– I wierzysz, że Lorn nie wyrówna starych rachunków?

– Lorn nie jest mordercą.

– Nie. Rani ludzi, którzy na to zasługują, takich jak Tactus. A mój ojciec zasłużył jak mało kto. Musimy więc się pośpieszyć. I musimy powiedzieć pozostałym o Suwerence.

– Roque już się dowiedział. Pretorianie na Dziecięciu Wojny.

Wracamy.

– Wiecie, że przybyliśmy po Augustusa – informuję moją małą radę – ale jest jeszcze drugi powód, dla którego napieramy na Ageę. Tu jest Suwerenka.

– Bez jaj? – mruczy Błazen.

Mursz drapie się po głowie.

– Psiakrew.

– W Cytadeli? – pyta Pestka i podekscytowana szturcha kolaniem niespokojnego Chwasta.

– Najprawdopodobniej. Wyśledziliśmy tu Aję. Poprzez promieniowanie szczątkowe z bomby, którą oberwała na Europie. Inne ataki miały odciągnąć

ludzi z Agei i zwiększyć naszą szansę przebicia się przez mury i pojmania Octavii, zanim Pan Popiołów przybędzie z całą mocą jej armady.

Jeśli Synowie Aresa wykonają swoją część zadania, jak to obiecał, to powinniśmy wejść do miasta bez walki z setką tysięcy uzbrojonych mężczyzn i kobiet.

– Cassius jest w mieście? – pyta Sevro.

Mustang kiwa głową.

– Tak myślimy.

Sevro się uśmiecha.

– Jeśli natraficie na Cassiusa, nie podejmujcie walki – mówię. – To samo dotyczy Karnusa i Ai.

– Kazesz nam uciekać? – pyta urażony Błazen.

– Chcę, żebyście przeżyli. Zwierzyną jest Suwerenka. Nie dajcie się zwieść chęci zemsty ani dumie. Jeśli ją złapiemy, staniemy się nową siłą w Układzie Słonecznym, moi przyjaciele.

Wyjce szczerzą zęby jak wilki. Sevro się prostuje.

– To przestańmy drapać się po tyłkach.

– Sam bym tego lepiej nie wyraził.

Sojusznicze myśliwce ryczą nad naszymi głowami, żeby uprzątnąć nam z drogi siły nieprzyjaciela.

Zebrawszy wszystkie siły, ruszamy zielonym kanionem. Nie skradamy się. Idziemy szybko. Ścigacze są szybsze od astroPancerzy. Szarzy oraz ci na ścigaczach prują przodem, za myśliwcami i ciężko opancerzonymi transportowcami, które dowiozą ludzi jeszcze bliżej murów. Rozbłyśki wskazują, że detonowali miny albo zabójcy min zrobili swoje. Nie sposób tego orzec. Kanion w tym miejscu się zwęża. Jego ogromne zielone ściany wznoszą się w oddali po obu stronach, kolosalne i nierzeczywiste, jakbyśmy szli przez ziemię większej, wspanialszej rasy niż ludzka. W takim terenie nie widzę wszystkich swoich sił, jedynie koniuszek szpicy. Idziemy za szybko poruszającymi Szarymi – skacząca kolumna straszliwych rycerzy w czarnych astroPancerzach. Ulewa się wzmaga. Za nami toczą się czołgi. Piechota jedzie na lekko opancerzonych poduszkowcach, które mogą pomieścić setkę ludzi na platformie. Wysiądą w odległości kilometra od murów. Prowadzony przez Lorna atak od południa będzie wyglądał dość podobnie.

– Drony! – krzyczy Sevro przez system łączności.

Chmura metalu podnosi się w naszą stronę z małej kryjówki w ścianie kanionu na wschodzie. Wyjce rzucają się na spotkanie zagrożenia, ich broń wydiera dziury w powietrzu. Mimo to ostrzał z dronów roznosi na strzępy oddział lecących Obsydianowych. Spadają na ziemię, ich ciał nie da się

rozpoznać. Przemykamy teraz nad budynkami. Małe miasteczka. Kurorty. Posiadłości. Spichlerze. Lądujemy nad jeziorem. Widzę nasze cienie, kiedy błyskawica w górze obrysowuje nasze sylwetki światłem.

Dostrzegam już mur obronny. Opada nad horyzontem jak żelazna kurtyna. Długi na dziewięćdziesiąt kilometrów na tym odcinku wąwozu, wysoki na prawie dwieście metrów, ociera się o dolną krawędź tarczy. Jeziora i rzeki nie kończą się tutaj, ale biegną dalej pod murem przez gęstą sieć duroStalowych prętów, mocnych jak kadłub statku kosmicznego. Potrzeba by setki mężczyzn i dziesięciu godzin pracy, żeby się przez nie przebić.

Mało które miasto ma tak potężne mury. Za dużo kosztują. Agea i Korynt wyróżniają się jakością swoich umocnień. Moglibyśmy przejść tunelami, które prowadzą przez wnętrza Marsa i łączą wszystkie miasta z kopalniami, ale nie chciałem tego robić. Pewne opcje taktyczne muszę zachować na później. I muszę dawać przykład.

Tego typu ataki nie przeciągają się zbyt długo. Znam historię. Szturmy są dzikie, szaleńcze. Technika zawsze wygrywa ze statycznymi obiektami, o ile oblegający nie tracą ducha. Dawno temu zamków z kompetentną obsadą niemal nie dało się zdobyć w bezpośrednim ataku, można było odnieść co najwyżej pyrrusowe zwycięstwo. Dlatego wojska zaczynały oblężenie i brały obrońców głodem. Teraz już nikt nie ma tyle cierpliwości.

Agea to miasto z dwudziestoma milionami dusz, ale ile z nich obchodzi choćby w najmniejszym stopniu, kto dziś zwycięży? Nie ma różnicy między rządami Bellony i Augustusa. Miedziani i Srebrni przejmą się zmianą władzy – ale Czerwoni, Brązowi i Różowi będą tylko patrzeć, jak inny pan łapie w dłoń ich łańcuchy.

Teraz zobaczą statki wypełniające niebo. Bomby rozrywające powietrze. Będą się chować w komunalnych mieszkaniach i bać się pozbawionych twarzy maruderów. Od zarania dziejów zdobywaniu miast towarzyszyły gwałty, kradzieże, pijana zgroza. Niezrównani Naznaczeni nie biorą udziału w takim barbarzyństwie, ono nie przynosi zysków ani nie odpowiada ich gustom. Złoci uważają jednak, że miasto zdobyte siłą staje się własnością zdobywcy wraz ze swoimi mieszkańcami. Jeśli jesteś dostatecznie silny, zasługujesz na łupy. Niektórzy oszczędzają mieszkańców. Inni rzucają ich wilkom, karmią miastami armie Obsydianowych i Szarych w nagrodę za przelaną krew.

Jeśli zdołam ochronić Ageę, pokażę tym ludziom, że istnieje inny, lepszy rodzaj człowieka. Może w ten sposób podbiję serce miasta. Może je zdobędę. Ochronię. Może będę kochany przez mieszkańców, tak jak kocha mnie moja armia. Najpierw jednak muszę się do niego dostać.

Wzdłuż potężnego muru obronnego ogień oblewa stal: maleńkie kwiaty szybko rozkwitające na dziewięćdziesięciokilometrowej pionowej szarej ścianie. Na lewo i prawo od nas prowadzone są dwa szturmy, które jednak mają tylko odwrócić uwagę obrońców. Myśliwce strzelają z działek EM, sunąc wzdłuż muru i pompując w niego amunicję. Bębni w uszach brzęczą mi i dygocą od prowadzonego z wieżyczek ostrzału przeciwlotniczego. Chcę złapać Mustang za rękę. Jej skinięcie głową łagodzi trochę narastający we mnie strach, ale tylko trochę.

Szarzy w zbrojach taktycznych pędzą do przodu jak rój mrówek. Drużyny rakietowe rozlokowują się i wkrótce zaczynają wysyłać podstępna śmierć w stronę obrońców. Za dużo się dzieje, żeby wszystko ogarnąć, tak jak w kosmicznej bitwie na górze, tu również nakładają się kolejne warstwy działań i przeciwdziałań. Tyle że tutaj towarzyszy im dźwięk.

Miny wyrywają dziury w mojej armii. Szwadrony śmierci Bellony wznoszą się z muru na sto metrów i lecą w pełnej chwale – z powiewającymi sztandarami, błyszczący złotem. Ich tarcze migoczą pod naszym ostrzałem. Widzę pośród nich sztandar z orłem i już chcę mu ruszyć na spotkanie, bo spodziewam się, że to musi być Cassius, kiedy Mustang łapie mnie za rękę.

– Plan! – przypomina mi, wskazując rzekę. – Pod tym murem wszyscy zginiemy. Plan.

Trudno o tym pamiętać. Trudno o tym pamiętać pośród tego chaosu, gdy tyle różnych rzeczy przyciąga uwagę. Liczy się rzeka i praca wykonana nocą przez Synów Aresa. O ile ją wykonali. Rzeka przeciska się pod murem. Szeroka na sto metrów i jeszcze głębsza, już niesie trupy do miasta.

Nurkuję do wody. Czuję napięcie, kiedy nurt zwalnia, a potem przyśpiesza. Ryby rozpierzchają się przed nami. Dziwne wrażenie, bo nie czuję chłodu. Wyjce suną obok mnie jak torpedy. A potem pojawia się obok nas Ragnar ze swoją grupą Obsydianowych. I Jowisz. Mustang jest najbliżej. Rozglądam się poprzez zmaconą przez nas wodę i znajduję podarunek od Aresa.

Tam! Widzę go na głębokości stu metrów. Jeśli Czerwoni coś potrafią, to wiercić. A Synowie Aresa przez całą noc przygotowywali nam przejście do miasta. Moi ludzie będą myśleli, że to elitarna grupa lurcherów została tu wysłana zawczasu. Nie będą się zastanawiali, w jaki sposób przecięto wielkie przejście ani jak oszukano czujniki, które powinny wykryć uszkodzenie.

– „Raz jeszcze skoczmy w wyłom, przyjaciele <sup>4</sup>” – mruczę, jakby Roque, Victra albo Tactus mogli mnie usłyszeć. Aktywuję grawiButy i ruszam przed siebie.

Tunel jest wąski, kiedy zakręca pod murem blisko dna rzeki. Płyniemy po dwie osoby obok siebie. Dlatego biorę ze sobą najlepszego wojownika,

Ragnara, i jako pierwsi ruszamy podwodnym przejściem. W słuchawkach trzeszczą nowiny z bitwy toczącej się powyżej. Przegrywamy walkę o mur.

Ragnar i ja razem wypływamy na powierzchnię. Na połę spodziewam się zasadzki, ale nic takiego się nie wydarza. Synowie Aresa spisali się na medal. Czekamy po drugiej stronie muru, cały czas sto metrów pod wodą, na dnie rzeki. Reszta mojej ekipy dołącza do mnie i Ragnara – Mustang, Sevro, pozostałe Wyjce, pięćdziesięciu innych Złotych i trzy razy tyle Obsydianowych i Szarych.

– Znacie swoje rozkazy – przypominam, kiedy zbieramy się wszyscy na dnie rzeki.

Sevro przybija ze mną żółwika. Mustang także, Ragnar salutuje pięścią, którą przykładą do serca, ziewnięcie Jowisza niesie się przez system łączności. Błazen, Pestka i Chwast podburzają Wyjce, aż muł podnosi się z dna rzeki. Sekundy mijają. Mam brzytwę owiniętą wokół ręki, w lewej dłoni – pięść impulsową. Czuję chłodny wisior na piersi, w której serce wali mi jak młot. Słyszę chaos na zewnątrz. Zaciskam w pięści dłonie piekłonurka. Zamykam oczy. Sevro wysyła sondę, żeby sprawdzić, czy brzeg rzeki jest bezpieczny.

Mam znaleźć Suverenkę.

Ragnar otworzy bramę.

Mustang opuści tarczę, żeby Roque mógł przysłać posiłki, i zajmujemy miasto za jednym zamachem. Nie chcę się z nią rozstawać, ale nikomu innemu nie ufam na tyle, żeby powierzyć mu to zadanie.

Zaufanie. Muszę ufać, że przeżyje, ufać, że Obsydianowi będą ją chronić, że ona sama zadba o swoje bezpieczeństwo. Czuję ciężar na sercu, strach, że Mustang nie wróci. Mam wrażenie, że już znika w ciemności. Jeśli ona umrze, umrze, wierząc w kłamstwo. Obiecuję sobie, że powiem jej, jeśli przeżyje. Zasługuje na to.

Nie daj się zabić. Nie daj się zabić. Wy wszyscy – nie dajcie się zabić.

Mustang oddała się w dół rzeki: po pokonaniu kilku kilometrów dotrze do parku w pobliżu generatorów. Patrzę za nią i szukam rozpaczliwie czegoś, czego mógłbym się chwycić, do czego mógłbym się modlić. Jest ze mną mój ojciec, jest i Eo. Czuję ich w biciu mojego serca.

Zamykam oczy.

Sevro odbiera sondę, którą wysłał, i mówi mi, że jest czysto, tylko jakaś dziewczynka bawi się w błocie nad nami.

– Walczcie dla siebie nawzajem – mówię do tych, którzy stoją obok mnie na dnie. – Albo walczcie dla mnie.

Aktywujemy grawiButy i wynurzamy się z wody. Wyskakujemy z rzeki jak atramentowe potwory w ociekających wodą czarnych astroPancerzach.

Podlatujemy do brzegu, błotnistego po deszczu, który spadł, zanim postawiono tarczę chroniącą miasto. Pod nami samotna nieuzbrojona Brązowa dziewczynka stoi po kostki w błocie. Patrzę na nią zza mojego strasznego czarnego hełmu. Powinna się ukryć razem z rodziną, a nie ganiać po obleganym mieście. Coś tu nie gra.

Na nasz widok wyjmuję z koszyka małe urządzenie w kształcie kuli. Błyskawica przecina niebo. Rant najlepszej sukienki dziewczynki, umazany błotem, przyjął odcień jeszcze głębszego brązu.

– Zastrzel ją! – warczy Sevro.

Trącam go w rękę i tylko drzewo eksploduje. Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że wysoko na murze, daleko poza zasięgiem sondy wysłanej przez Sevro i daleko poza zasięgiem impulsu elektromagnetycznego z urządzenia dziewczynki, siedzą rycerze Bellony i ich Obsydianowa świta. Czekają.

Dziewczynka przyciska guzik na urządzeniu.

I wtedy zaczynamy umierać.

## CZĘŚĆ IV

### **Ruina**

Wspiąłeś się tak wysoko, a leżysz w błocie.

Karnus au Bellona



## Błoto

Uderza w nas impuls elektromagnetyczny. Rozlega się dźwięk, jakby olbrzymie dziecko sapnęło ukłute igłą. Cała nasza elektronika umiera. Nasze grawiButy charczą. Synapsy astroPancerzy zawodzą i grawitacja przejmuje władzę nad naszymi potężnymi metalowymi zbrojami. Spadamy gwałtownie. Większość w błoto na brzegu rzeki, ja z pluskiem ląduję w wodzie. Tonę. Tonę. W uszach mi pstryka. Spadam niżej i niżej, aż grzęznę w mule. Uderzam z impetem w dno. Nogi uginają mi się pod ciężarem astroPancerza. Padam na plecy. Nie widzę moich ludzi. Mignęły mi tylko kształty poruszające się nad powierzchnią wody, gdy spadałem. Teraz jestem za głęboko, żeby widzieć coś poza tym, że rzeka ciemnieje od krwi. Czasem błyskawica rozświetla sylwetki szybko tonących ciał.

Nie mogę się ruszyć. Mój astroPancerz jest za ciężki. Leżę jak żółw, tkwię w mule na dnie rzeki. Skonsternowany. Ogarnia mnie strach. To się wydarzyło tak szybko. Nie mogę nawet się rozejrzeć, by zobaczyć, kto jest ze mną. Mój system łączności padł. W przeciwnym wypadku pewnie słyszałbym krzyki, przekleństwa.

Ten astroPancerz sprowadził mnie z kosmosu na ziemię. Tratwa ratunkowa, osobisty zamek pośród zamętu wojny. A teraz moja trumna.

Serce mi wali. Chcę mi się krzyczeć.

Nie panuję nad hiperwentylacją. Zgroza więźnie w mojej piersi, napinam mięśnie, połykam powietrze haustami, pożeram je, jakby mogło dać mi siłę do poruszenia się. Zwolnij. Zwolnij. Myśl. Myśl! Dwa ciała w pancerzach toną w pobliżu mnie. Są ciężkie, spadają szybko, żeby dołączyć do innych. Nie mają wdzięku w śmierci. Ich krew rozlewa się w wodzie. Kiedy mordercy skończą z tymi, którzy ugrzęźli na brzegu, przyjdą po nas na dno. Chociaż wcale nie muszą. Zwalniam oddech. W pancerzu zostało niewiele tlenu. Przetwornik powietrza nie działa.

Cassius znał mój plan. To musiał być on. Czy ktoś zdradził?

Powiedziałem tylko Synom Aresa, Sevro i Mustang. Nikt z nich by nie sypnął. A ten parszywy łajdak wiedział. Gdybym mógł się poddać, zrobiłbym to. Żeby ratować życie tym, którzy są ze mną. Nie mam jednak łączności.

Szarpię się, próbując wyrwać się z błota, jednak tkwię w nim zbyt mocno, a mój pancerz to ponad tona metalu. Nie mogę się go pozbyć. Nie mogę zdjąć astroPancerza. Potrzebuję do tego elektroniki. Napieram rękami. Nic. Błoto mnie połyka. Mustang się wymknęła. Tak myślę. Mam nadzieję. Zorientuje się, że jesteśmy tu, na dole?

Rozglądam się za Sevro, za Ragnarem, za moimi Wyjcami. Ciemne kształty wokół mnie. Kręci mi się w głowie. Psiajucha, nie dysz tak. I myśl! Nie będą nawet zawracali sobie głowy schodzeniem po mnie, żeby mnie zabić. Umrę na dnie rzeki, wpatrując się w jej powierzchnię, a moi przyjaciele jeden za drugim spadną, żeby do mnie dołączyć. Co za samotność. Sevro. Ragnar. Pestka. Chwast. Błazen. Nie żyją. Umierają. Patrzac na to samo co ja. A może są na brzegu, sparaliżowanymi w zbrojach, kiedy ludzie domu Bellona kroczą między nimi i zabijają ich jak chcą. Nieomal płaczę z bezsilności. Przestań. Zrób coś. Porusz się.

„Wspiałeś się tak wysoko, a leżysz w błocie”.

Słowa rozbrzmiewają echem w mojej pamięci.

To już trzeci raz, kiedy zostawiają mnie w błocie na śmierć. Zgrzytam zębami, aż czuję, że kruszy się szkliwo, gdy wkładam całą siłę w poruszenie prawą ręką. Powoli, strasznie powoli ręka rozpoczyna exodus z zasysającego ją blocka. Niestety tylko tyle udaje mi się uzyskać. Nie zdołam wstać. Za głęboko się zapadłem. Jestem za ciężki. I nagle coś do mnie dociera. Impuls elektromagnetyczny wyłączył wszystkie elektryczne synapsy, co oznacza, że pancerz został zamrożony, ale brzytwa wciąż działa i jest owinięta jak pyton wokół mojej ręki.

„Uratuje ci życie – za cenę utraconej kończyny”. To właśnie mi powiedzieli, kiedy włożyli mi sierpak do ręki, gdy byłem chłopcem. Wyzwolenie wymaga ofiary. Brzytwa ma mechanizm chemiczny. Jej przycisk powinien zareagować. Ostrze się wyprostuje. Ale jest owinięte wokół mojej ręki... Będę musiał działać szybko.

Nabieram powietrza, zamykam oczy, wymacuję przełącznik pod kciukiem pancerza. Muszę być szybszy od jęzora ognia. Szybszy od jaskiniowej żmii. Włączam brzytwę.

Prostuje się i przy okazji przecina metal jak nóż pudding.

Wyłączam ją. Zatrzymuje się, gdy nacina mięśnie, ale jeszcze nie kość. Krzyczę. Ból jest potworny. Woda oblewa rozprutą rękę i chłodzi palącą ranę.

A potem ogarnia mnie zgroza. Woda. Właśnie otworzyłem pancerz w wodzie. Idiota. Woda zaraz go wypełni. Już czuję, jak podchodzi mi po szyi od środka. Za minutę, dwie albo trzy utonę. Udaje mi się wydostać zakrwawioną rękę z rozplątanej metalowej skorupy i zsunąć luźną brzytwę.

Unosi się w wodzie jak macka. Wtedy znowu ją aktywuję. Przyjmuje kształt śmiertelnośnego znaku zapytania, a ja kieruję ją ku drugiej pancernej rękawicy.

Pancerz napełnił się wodą już po tors. Brakuje mi powietrza. Przy każdym oddechu więcej gwiazd rozbłyskuje mi za oczami. Pojawia się wrażenie lekkości, kiedy krew wypływa mi z rany. Mogę długo wstrzymać oddech. Niestety pozwoliłem sobie na hiperwentylację i teraz wciągam do płuc dwutlenek węgla. Wreszcie moja druga dłoń uwalnia się od rękawicy. Jest naga i blada w tym dziwnym, ciemnym świetle. Wypływają z niej zwiewne smugi krwi.

Gdybym nie był piekłonurkiem, umarłbym na tym rzeczonym dnie. A tak stopniowo zrzucam pancerz i zbroję, którą miałem pod spodem. Moja zwinność mnie ratuje. Nie mogę poruszyć głową, hełm jest za ciężki. Nie widzę, gdzie tnę. Skóra i odczuwany przez nią ból pełnią rolę moich oczu. Cał po cał uwalniam się od pancerza. Cał po cał przesuwam śmiertelnym ostrzem po ciele. Krwawię, ale zrzucam pancerną skorupę. Rozwieram egzoszkielet. Jestem jak szarańcza wyslizgująca się z wylinki. Bardzo delikatnie zdejmuję hełm, rozcinając go przy szyi. Wstrzymuję oddech i tylko leciutko nacinam skórę.

Zadrapanie. Tak blisko żyły szyjnej.

Nogi uwalniam na końcu. Siadam, połamane kawałki zbroi zadrapują mi skórę, wyrywam prawą nogę z rozciętego metalu. Siedzę żywy i ranny w zimnej, ciemnej rzece. Nie mam już hełmu. Wstrzymuję oddech, aż plamy zaczynają pojawiać się przed moimi oczami. Teraz spostrzegam wokół siebie podwodne pole ludzi na dnie. Podpływam do największego z nich i za przyłbicą hełmu pancerza widzę zamknięte oczy Ragnara. Płyną z nich łzy. Ma wielkie płuca, ale nie mogło mu zostać za dużo tlenu. Dzięki swojej ogromnej sile może swobodnie poruszać się w pancerzu, ale żaden mężczyzna nie zdoła pływać w zbroi.

Nie sądziłem, że może płakać. A jednak teraz szlocha bezgłośnie. Nie są to wielkie, dramatyczne łzy. To inny rodzaj łez: spokojne. Kiedy otwiera oczy, dostrzegam w nich coś innego. Zapala się uśmiech do tej pory cząstka duszy. Był martwy, poddał się swojemu losowi. A tu ja unoszę się przed nim w poszarpanym mundurze taktycznym, zakrwawiony, wyglądam jak obłąkany, ale jestem wolny od pancerza. Jestem jego mroczną nadzieją. Zaczynam ciąć, chociaż moje płuca wrzeszczą. Potrzebuję go. Nie mogę szukać Sevro. Nie ma na to czasu. I nie mogę się wynurzyć, bo natychmiast bym zginął.

Operuję na nim jak prawdziwy Rzeźbiarz, aż w końcu wyrwa się z egzoszkieletu. Inni widzą, co robię. Nie możemy jednak na razie im pomóc.

Muszą wytrzymać.

Płyniemy z Ragnarem przez bystry nurt ku powierzchni. Płuca dopominają się o tlen. Blade, wytatuowane ciało Ragnara porusza się w wodzie z gracją, jakiej nie potrafię dorównać. Nie zdawałem sobie sprawy, że Obsydianowi są tak świetnymi pływakami. Ma to sens, skoro rodzą się wśród kry.

Zbliżamy się do powierzchni, kiedy mój umysł ulega ciału. Dziesięć stóp od powierzchni rzeki wciągam wodę do płuc.

Ciemność.

Czuję błoto między palcami. Coś porusza się w mojej piersi. Woda. Wymiotuję, wykasuję ją w rękę zaciśniętą na moich ustach, żeby mnie uciszyć. Wymiotuję przez cudze palce. A potem czuję eksplozję przyjemności, kiedy wreszcie nabieram powietrza. Cudownego powietrza. Dłoń nadal zakrywa mi usta. Przez chwilę nie ma niczego. Tylko czysty orgazm życia w płucach. A potem napływ tlenu do pustych, zbolących narządów. Nagle narasta dźwięk odległej bitwy. I jęk ludzi. Jesteśmy na polu trupów. Mur wznosi się wysoko nad nami. Rzeka płynie bystro pod naszymi stopami. Minęło kilka minut od impulsu elektromagnetycznego, ale wygląda, jakby minął cały dzień, pozostawiając nas w tyle.

Ragnar wyciągnął mnie w błoto pomiędzy dwóch martwych Obsydianowych. Dwóch Złotych z domu Bellona, sześciu Obsydianowych i sześciu Szarych idzie ciemnym brzegiem, dobijając tych, którzy leżą bezradnie. Mamy szczęście, że reszta porzuciła masakrę i wróciła, żeby walczyć na murze. Cassius ich poprowadzi. Czyli nie miał pojęcia, że to ja tu byłem, chociaż dobrze wiedział o dziurze przygotowanej przez Synów Aresa. Dla mnie by został. Na szczęście nie niosłem sztandaru, który przygotowali dla mnie Błazen i Chwast. A co ważniejsze, nie pozwoliłem im założyć ich wilczych skór.

To błoto to cmentarz. Moi żołnierze leżą na wpół pochowani. Niektórzy próbują się podnieść w ciężkich, martwych zbrojach, ale tylko osuwają się z powrotem w otchłań albo zostają powaleni kopniakiem Złotego i bezlitośnie zarżnięci. Większość leży cicho. Pole uzbrojonych żuków, z których wycieka czerwień.

Szarzy żartują między sobą, kiedy metodycznie wypełniają swoje zadanie. Więcej czasu poświęcają Obsydianowemu, który ugrzązł na plecach. Pikami siłowymi przebijają gruby astroPancerz i przyszpilają go do ziemi jak chłopcy dręczący wyrzuconego na brzeg kraba. Dobijają go w końcu strzałami z karabinów. Mają pociski penetrujące, które przebijają zbroje. Nazywamy je kopaczami.

Ragnar wskazuje błoto. Na wpół nadzy oblepiamy się ciemną, ciężką ziemią. Chłodzi siateczkę nacięć na moim ciele i zasłania tatuaże na ciele Splamionego. Wskazuję na jeden z hełmów Złotych i na migi daję do zrozumienia, że ludziom w rzece kończy się tlen. Ragnar kiwa głową. Wyciągam brzytwę z ciała martwego Złotego. Nie wiem, kto to. Wręczam ją Ragnarowi. Widział tę broń tylko w rękach Złotych. Żaden pretorianin, żaden Obsydianowy, nawet taki z odznaką domu samej Suwerenki, nie dotknął brzytwy od czasu Mrocznej Rewolty. Dotknąć jej to znaczy umrzeć z głodu. Nie ma wtedy możliwości trafić do Walhalli. Zostaje tylko głód i zimno, i koniec. Jednakże nasi wrogowie mają tarcze impulsowe. Żadna inna broń nie wystarczy.

Ragnar wypuszcza ją, jakby była zrobiona z ognia. Wpycham mu ją z powrotem do drżących rąk.

– To nie są bogowie.

Jak cienie wywleczone ze Styksu przemykamy przez cmentarz. Nasi wrogowie nie tworzą oddziałów. Łatwe cele. Podbiegam do przodu na czworakach niby jakiś potworny pająk, prawie nie podnoszę się z ziemi i zabijam dwóch Obsydianowych, zanim się choćby obejrzą. Ragnar łamie następnemu kark i rozcina kolejnego na pół. HiperPancerz po prostu odpada od ciała. Podnoszę się do pionu, podbiegam do najwyższego Obsydianowego, wyskakuję w powietrze i wbijam ostrze w jego ciało. Przy lądowaniu niezręcznie podpieram się ranną ręką. Nawet nie czuję bólu. Za dużo adrenaliny. Widzę oddział Szarych, który się odwraca, więc przypadam do ziemi za ciałem Obsydianowego i turlam się w błocie, leżę w cieniu i brudzie między trupami. Nie mam tarczy ani zbroi, ich hiperKarabiny i broń impulsowa rozniosłyby mnie na strzępy. Ragnar też znika. Nie wiem gdzie.

Czas płynie. Ile jeszcze tlenu mogło im zostać? Polujący na nas Szarzy wykrzykują coś na temat widmoPłaszczy. Pozostali Obsydianowi dołączają do dwóch Złotych. Szarzy idą wśród ciał, dobijają resztki moich ludzi, żeby wypłoszyć z kryjówki mnie i Ragnara dla Złotych i Obsydianowych. Lea zginęła w taki sposób. Leżąc w błocie. Ja tak nie umrę. Nie po raz drugi.

Wstaję, ale bez okrzyku, bez wycia. Cicho. Niech Szarzy spróbują mnie wypatrzyć. Jestem szybki. I prawie ich dopadam, kiedy zaczynają strzelać. Rzucam się na nich, uskakuje, kluczę jak puszczonego balona. Nie ma piękna w moich ruchach. Jest tylko szaleńczy strach. Nie widzę pocisków, czuję tylko ich bliskość, wyczuwam ich żar, kiedy przelatują obok. Obrywam w biceps. Szok w ciele. Skóra pęka, kiedy kula przecina ciało, ścięgną, mięsień i wychodzi drugą stroną, musnąwszy kość. Stękam. A potem już ich dopadam i nie wydają nawet jednego dźwięku.

Stracili swoją szansę.

Dwunastu wrogów pada ofiarą lekcji sztuki kravat udzielonych mi przez Lorna. Dwanaścioro mężczyzn i kobiet.

Złoci i Obsydianowi ruszają teraz na mnie. Złoci korzystają z grawiButów. Ragnar wstaje z błota i ciska brzytwą jak włócznią. Ogromny Obsydianowy pada na ziemię, a Ragnar atakuje dwóch Złotych, podniósłszy z ziemi inną brzytwę.

Podziwiam jego siłę. Łapie jednego Złotego za stopę, kiedy ten przelatuje nad nim. Obrywa szokiem elektrycznym z tarczy impulsowej, który wywołuje przeszywający ból w całym ciele. Jednak Ragnar tylko ryczy i nie puszcza, a potem z krzykiem, który dobywa się nie z gardła, ale z samej duszy, ciska Złotym o ziemię, jakby rąbał drewno. Jakimś cudem udaje mu się zerwać mu but ze stopy. Smukły Złoty turla się po ziemi, krzycząc „Splamiony!” do przyjaciela, który zawraca, żeby mu pomóc. Razem stawia czoło Ragnarowi.

Biegnę go wesprzeć.

– Żniwiarz!

Jeden ze Złotych cofa hełm w głąb zbroi, odsłaniając wyniosłą twarz Niezrównanego. Jest pewien swojego statusu. Swojego dziedzictwa. Swojego miejsca w świecie. Jego twarz wyraża samą radość. A potem krzywi się na widok brzytwy w dłoni Ragnarar.

– Dależ ostrze naszych przodków zwierzęciu? – Patrzy na niego z nienawiścią. A potem patrzy na brzytwę, wściekły i skonsternowany. – Nie masz honoru?

Postanawiam nie odpowiadać.

– Znam twoją twarz, Andromedusie – wścieka się starszy Złoty. – Jestem Gaius au Carthus z gens Carthii. To my wybudowaliśmy Kolumny Wenus. Pierwsi żeglowaliśmy przez szczeliny między wewnętrznymi i zewnętrznymi pierścieniami i eksploatowaliśmy planetoidy z rodziny Helsa.

– To nie jest Iliada. Ragnarze, zabij tego głupca. Potrzebuję jego grawiButów.

Złoty pluje.

– Wysyłasz psa, żeby walczył za ciebie?

– **Jestem człowiekiem!** – ryczy Ragnar głośniejsz niż silnik przelatującego statku.

Aż tryska ślina. Grymas wściekłości wykrzywia mu twarz, żyły występują na szyi. Z wyciem rzuca się do przodu, zanim choćby uniosę ostrze. Podnosi ciało zabitego Obsydianowego, żeby osłonić się przed brzytwami Złotych. Uderza Gaiusa. Nie używa broni. Uderza pięścią w tarczę impulsową z taką siłą, że Złoty przewraca się na plecy. A potem Ragnar zabija drugiego Złotego,

z szaleńczą furią przełamuje jego obronę i przecina go na dwoje. Odrzuca górną część trupa na bok i okłada pięściami leżącego Gaiusa, który zapada się w ciemnym błocie. Ragnar bije bez litości, chociaż jego mięśniami targa wstrząs za każdym razem, gdy dotyka tarczy impulsowej. Kładzie mu brzytwę na gardle.

– **Podдай się mnie, a będziesz żył** – dudni.

Gaius spluwa i podnosi się na kolana.

– **Podдай się, tak jak człowiek poddaje się drugiemu człowiekowi.**

– Nigdy. – Gaius krzywi się z niesmakiem. Wypowiada swoje ostatnie słowa wyraźnie i głośno, z mściwością i odwagą. Wszystko, co dobre i nikczemne w tych nadzwyczajnych ludziach. – Nazywam się Gaius au Carthus i jestem Niezrównanym legatem. Jestem całością rodzaju ludzkiego. Ja się nie poddam. Bo człowiek nie może się poddać psu.

– **To zostanie z ciebie pył.** – Ragnar przeszywa go brzytwą.

Wyciągamy naszych ludzi z dna rzeki najszybciej jak to możliwe, korzystając ze skradzionych grawiButów. Nie jesteśmy jednak dość szybcy. Sevro nie umarł, chociaż niewiele brakowało. Znajduję go zakopanego głową w błocie. Przeklina i pluje, kiedy wyciągam go z pomocą Błazna i Pestki.

– Zginęli? – pyta cicho. – Moje Wyjce?

– Zbyt wielu – odpowiada wątlym głosem Błazen.

– Czy Mustang się przebiła?

Patrz na mnie.

– Tak myślę – odpowiadam – ale nie mogę się z nią skontaktować. Tak czy inaczej, musimy się śpieszyć. Jeśli żyje i wysadzi generatory w powietrze, żeby nasze posiłki mogły wylądować, to tarcza opadnie i Suwerenka będzie miała sporo czasu na ucieczkę. W tej chwili jest nadal uwięziona.

Sevro kiwa głową. Mała Pestka pomaga mu wstać. Drobną Oset, które ledwie sięga Ragnarowi do mostku, widzi go z brzytwą w dłoni, kiedy uwalnia kolejnego Obsydianowego z unieruchomionego astroPancerza.

– Wypuść ją – warczy.

Ragnar wypuszcza ostrze z ręki i patrzy na mnie z dziwną paniką. Daje mu znać, żeby zaczekał.

Kiedy już rozcinamy wszystkie pancerze tych, którzy polegli na brzegu rzeki, i poznajemy liczbę zmarłych, rachunek jest tak przygnębiający, że Sevro odchodzi na bok. Chwast nie żyje. Mursz nie żyje. Harpia zginęła, zanim wylądowaliśmy. Wielu nowych rekrutów nie żyje. Tylko Oset, Błazen, Brzydal i Pestka ocaleli. Przeżyło jedenastu z początkowej pięćdziesiątki Obsydianowych.

Pestka i Błazen dotykają twarzy Chwasta, ich irokezy kleją się płasko do głów, gdy wszyscy mokniemy na deszczu. Pestka uderza go drobnymi piąstkami w pierś, jakby mogła go ożywić. Oset ją odciąga. Błazen poprawia Chwastowi fryzurę. Sevro nie może na to patrzeć. Staję obok niego.

– Myliłem się co do wojny – mówi.

– Bez ciebie nie dam rady. – Po chwili desperacji pytam: – Jesteś ze mną? Sevro?

Odsuwa się i ociera zasmarkany nos, brudząc twarz błotem. Łzy rysują linie w błocie, kiedy patrzy na mnie i głos łamie mu się jak dziecku:

– Zawsze, Darrow. Zawsze.



## Achilles

Nie ma czasu na opłakiwane zmarłych. Moje siły zostały zdziesiątkowane, a teraz musimy jeszcze bardziej się podzielić. Moja armia rzuca się na niezdobyte mury, spodziewając się pomocy od środka. Nic z tego. Moi legaci będą mnie wywoływać przez system łączności, będą się zastanawiać, czy zginąłem. Przez taką plotkę możemy przegrać bitwę.

Wysłałam Ragnara z resztą Obsydianowych, żeby otworzyli bramę dla moich legatów, którzy czekają z tysiącami Szarych i Obsydianowych w odwodzie.

– Nie daję ci żadnych Złotych – zapowiadam Ragnarowi. – Rozumiesz, co to znaczy.

– **Tak.**

– To może być początek – kontynuuję cicho. Pochylam się, podnoszę porzuconą w lepkiem błocie brzytwę. – Obowiązkiem człowieka jest wybrać swoje przeznaczenie. Ty wybierz swoje.

Wyciągam do niego rękę z brzytwą.

Spogląda na Obsydianowych. Ich zbroje są uszkodzone po tym, jak wyciągaliśmy ich z astroPancerzy. Są uwalani błotem. Mniejsi od niego. Niektórzy smukli i cisi, inni ogromni i aż przestępujący z nogi na nogę, tak rwą się do walki. Czarne oczy i białe włosy. Uzbrajają się w broń odebraną Szarym i Obsydianowym, których zabili. Mało jej zostało i na niewiele się zda, jeśli natkną się na Złotych.

Ragnar dokonuje wyboru. Wyciąga rękę. Wyjce szykują się za mną. Oset cały czas mierzy olbrzymia złowrogim spojrzeniem.

– **Moim wyborem jest podążać za tobą** – mówi Ragnar. – **Moim wyborem jest również dowodzić nimi.**

Wkładam mu brzytwę w dłoń.

– Darrow! – wypala Oset. – Co ty wyprawiasz?

– Zamknij się – warczy Sevro.

– Nie może tego zrobić! – Oset podchodzi i próbuje wyrwać brzytwę z ręki Ragnara. On jej nie puszcza. – Oddaj to. Niewolniku! Oddaj mi ostrze. – Wyciąga własną brzytwę. – Oddaj mi to ostrze albo odetnę ci dłoń, w której je trzymasz.

– A wtedy ja zabiję ciebie – zapowiada Sevro.

– Sevro? – Oset odwraca się do niego. Wytrzeszcza oczy. Patrzy na mnie, na pozostałych Wyjców, którzy stoją w milczeniu, niepewni tego, co się właśnie stało. – Oszalałeś? To nie w porządku. To jest nasze. On nie...

– Nie zasługuje na to? – pyta Sevro. – A kto o tym decyduje?

– Jestem Złota! – wrzeszczy Oset. – Błazen, Pestka...

Pestka milczy. Błazen przekrzywia głowę.

– Darrow, co to znaczy?

– To moja armia – mówię. – Pamiętacie Instytut. Pamiętacie, jak krwawiłem za tych, którzy podążali za mną. Nie brałem sobie niewolników. Dlaczego to was zaskakuje? Dlatego, że dzieje się naprawdę?

– To równia pochyła. – Błazen rozgląda się. – Nawet w takich warunkach.

– Masz rację. To jest równia pochyła.

Pochyliam się i znajduję kolejną brzytwę porzuconą w błocie. Rzucam ją następnemu Obsydianowemu, paskudnej kobiecie dwakroć niższej ode mnie. Trzyma broń, jakby to był wąż. Zerka na mnie ze strachem. Wychowano nas w przekonaniu, że jesteśmy bogami. Gdybym dostał młot Thora... jak bym go trzymał?

Sevro przechodzi wśród trupów i znajduje kilka następnych brzytw. Rzuca je kolejnym Obsydianowym.

– Tylko się nie pokaleczcie – przestrzega.

– Liczę na was. Ruszajcie – mówię. Znikają, odbiegają w zapadający zmrok, w stronę kolosalnych murów. Odwracam się do Wyjców. – Mamy problem?

Wszyscy kręcą głowami, wszyscy z wyjątkiem Oset.

– Oset? – pyta Sevro.

Błazen ją szturcha. Ona niechętnie kręci głową.

– Nie ma żadnego problemu.

Przeciwnie. Jest. Po tej walce nie będzie dłużej za mną podążać. Już czuję, jak przyjaciele odwracają się ode mnie. A nie znają nawet ułamka prawdy. Tym jednak będę się martwił kiedy indziej.

Musimy ruszać szybko. Mamy jednak tylko jedną parę sprawnych grawiButów. Oddaję je Sevro. Próbuje przekonać się, czy zdoła nas unieść, tak jak uniósł Wyjców na Olimp. Ale kiedy zaczynamy się na nie łądować, trzeszczą i iskrzą. Są w stanie unieść tylko jego ciężar. Musiały zostać jakoś uszkodzone w trakcie walk i akcji ratunkowej. Psiajucha!

Zatem ruszamy pieszo. Nie możemy pozwolić, żeby cokolwiek nas spowolniało.

Wskazuję hiperPancerze tych szczęśliwców, którzy nadal je mają po amputacji astroPancerzy.

– Zdejmujcie zbroje.

– Co? – wyrzuca się z siebie Oset.

– Zdejmujcie. Zbroje. Zostawcie tylko skarabSkóry.

– Mamy iść bez zbroi przeciwko pretorianom? – zawodzi Oset. – Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli?

– Musimy poruszać się szybko. Jeśli tarcza opadnie, zanim dotrzemy do Cytadeli, Suwerenka nam się wymknie. Jeżeli jej nie złapiemy, będzie mogła przegrupować siły. Połączy się z Panem Popiołów. Wezwie całą Wspólnotę i przybędą tutaj z dziesięciokrotnie większymi siłami, żeby nas zmiażdżyć. Wygramy bitwę, ale przegramy wojnę.

– Ale jeśli ją złapiemy... – warczy Sevro, stając obok mnie.

– Mówimy o Suwerence – odzywa się Błazen. – Będzie miała pretoriańskich Rycerzy Olimpijskich...

– No i? – pytam Sevro. – My mamy nas.

– Całą szóstkę. – Błazen wzrusza nieśmiało ramionami, kiedy patrzymy na niego. – Pomyślałem, że ktoś powinienem to powiedzieć.

– Mamy piętnaście kilometrów do pokonania – mówię. Kiwają głowami. – Pieszo. Ja nadaję tempo. – Patrzą po sobie zaniepokojeni, a potem zaczynają zdejmować zbroje. – Jeśli zostanieie w tyle, znajdźcie sobie kryjówkę.

Jedna trzecia ziemskiej grawitacji. Ciała w doskonałej formie. Mimo to będzie ciężko. Zwłaszcza że mam rękę potwornie rozharataną własną brzytwą.

Sevro podchodzi do mnie, kiedy Wyjce zdejmują zbroje. Słyszę ich przerażenie w szczeku broni i pancerzy zdejmowanych drżącymi rękami, widzę je w gorączkowości, z jaką wcierają sobie błoto w twarz.

– Są z tobą od początku, Darrow. – Sevro rozgląda się po smaganej burzą parku, zerka na odległą Cytadelę i płomienie z dysz przelatujących okrętów. – Została połowa z tych, których zabraliśmy z Luny. Może i zastąpiłeś Paxa Ragnarem, ale ich nikim nie zastąpisz. Mnie też nie.

– Myślałem, że jesteś ze mną.

– Jestem twoim sumieniem. Pójdę za tobą wszędzie, więc nie zachowuj się jak dupek.

– Dotarło. Za mną! – wołam.

Bez zbroi ruszamy bezgłośnie. Mamy tylko brzytwy i skarabSkóry. Nosimy wewnętrzne botki z gumowymi podeszwami zamiast gawiButów. Biegniemy wzdłuż rzeki, zostawiając mury za sobą. Biegniemy przez trawiaste parki i lasy, które oddzielają mur od miasta. Zmechanizowana wojna szaleje w oddali. Od ryku przelatujących okrętów trzęsą się konary drzew i spadają

liście. Naziemne tramwaje migają daleko na prawo od nas, przewożąc żołnierzy na front. W oddali widać smugi dymu z wybuchów. Chmury pożerają niebo za wielką tarczą, która osłania miasto. Eksplozje rozświetlają je od środka.

Mustang pewnie zbliża się już do generatorów, o ile jeszcze żyje.

To męczące – piętnaście kilometrów sprintem. Czuję klucie w boku. Mięśnie dopominają się o tlen. Prawa ręka boli mnie z powodu rany od kuli w bicepsie i rozcięć wzdłuż przedramienia i nadgarstka. Wziąłem pół paczki stymulantów, żeby móc się nią posługiwać. Ból nie oślepia, przeciwnie, pomaga skupić uwagę. Odciąga od myśli o zmarłych.

Kiedy docieramy do skraju lasu, nie zatrzymujemy się na odpoczynek, ale pędzimy brukowanymi ulicami dzielnicy handlowej, przebiegając przez niebotyczne budynki, które wznoszą się nad nami na ponad kilometr. Biegniemy przez opustoszałe podDzielnice i bazar, którego kręte korytarze prowadzą wśród ścian upstrzonych graffiti i podejrzanym uliczek. Od czasu do czasu jakiś Brązowy, Różowy albo Czerwony ucieka nam z drogi albo zerka na nas z okna czy zaułka. Nawet tutaj, w centrum ich władzy, widzę graffiti nawiązujące do śmierci Eo. Jej włosy płoną jak uszkodzone myśliwce, które suną po niebie za przezroczystą tarczą Agei. Ktoś za mną wymiotuje. Nie zatrzymuje się. Smród żółci ciągnie się za nami.

Sevro przylatuje do nas z powrotem i ląduje obok mnie.

– Pluton Szarych przed nami. Przejdźcie jeden kwartał na południe, a potem zawróćcie, żeby ich ominąć.

A potem znowu znika.

Kierujemy się tak, jak nam powiedział.

Nagle coś porusza się na niebie i zwalniamy do truchtu, żeby popatrzeć. Pestka przy tej okazji pada na chodnik, ciężko dysząc. Wysoko nad nami, po drugiej stronie tarczy, horda promów przewozi żołnierzy do mniejszych potyczek na południowym murze, gdzie walczy Lorn, i na północ, dokąd udał się Ragnar ze swoimi Obsydianowymi. Dziesiątki okrętów desantowych wyruszają z hangarów i portów w wysokich na siedem kilometrów skalnych ścianach Valles Marineris na wschodzie i zachodzie. Tam właśnie znajduje się większość budynków koszar, podobnie jak i fabryki, w których nadCzerwoni harują przy wytwarzaniu uzbrojenia i innych towarów. Chowamy się przed statkami. Coś się wydarzyło na północnym murze. Znowu ruszamy, Pestka jęczy. Oset pomaga jej wstać, utrzymać tempo.

Sevro dołącza kilka minut później. Jego lewa ręka zwisa bezwładnie. Przyglądam się jej. On ignoruje moją troskę.

– Ragnar otworzył te przeklęte bramy. – Uśmiecha się. – Dwanaście bram! Nasi chłopcy już się wlewają do środka. I jeszcze... – Stoi przede mną i szczerzy zęby w uśmiechu.

– No?

– Ragnar zabił Rycerza Wiatru i prawie załatwił Cassiusa.

– Zabił Rycerza Olimpijskiego? – Błazna aż zatyka.

– Ściął go na oczach całej armii. Obsydianowi dosłownie oszaleli.

Sevro odlatuje, a my znowu biegniemy. Oddział Szarych policjantów zatrzymuje nas. Chowamy się, kiedy ostrzał dziurawi chodnik, a potem rzucamy się w zaułek, żeby ich ominąć.

Cztery kilometry do celu.

Kaszłąc i dysząc, wpadamy na zewnętrzne tereny Cytadeli. Chowamy się wśród drzew jak obszarpane stado demonów-wyrzutków. Za rzadkim zagajnikiem i wysokim murem wznosi się Cytadela, gęsta sieć iglic – nie złotych, ale białych, przetykanych czerwienią i nadal ozdobionych posągami lwa Augustusa, chociaż niebiesko-srebrne proporce łopoczą nad wiatrowskazem w kształcie lwa. Srebrny orzeł wydaje się taki dumny... dopóki Sevro nie macha do nas z wiatrowskazu i nie odcina jednego z proporców. Nie spodziewali się, że ktokolwiek zapuści się tak głęboko.

Pomijając jej piękno, Cytadela jest fortecą – z którą nie mam ochoty się mierzyć. Zdobywalibyśmy ją pokój po pokoju, po czym – o ile zostali tam jacyś żołnierze – dalibyśmy się w końcu pokonać, przyszpilić do drogich boazerii z czerwonego dębu albo zabić na marmurowych posadzkach. Nie chroni jej tarcza, ale głęboko pod nią ciągnie się płatanina bunkrów. Martwiłem się, że tam właśnie będą trzymali Suverenkę. Gdyby tam została, musielibyśmy rozpocząć oblężenie. Minęłoby wiele dni, zanim byśmy ją wykopali, o ile w ogóle by się nam udało. Dlatego otwieram jej drogę ucieczki. To już zadanie Mustang: tarcza musi opaść we właściwym czasie, żeby wyciągnąć Suverenkę z kryjóWKi.

Ozdobny mur, na który normalnie wystarczyłby raptem jeden podskok w grawiButach, oddziela nas od spokojnych terenów Cytadeli. Wszędzie wokół nas jest park. Drzewa. Fontanny. Białe place, gdzie Złoci i Srebrni tradycyjnie zasiadali by podczas popołudniowej herbatki, teraz są puste. Panuje tu cisza typowa dla oka cyklonu.

Sevro podlatuje do mnie.

– Możesz przenieść nas przez mur? – pytam.

– Moc jest prawie na wykończeniu – narzeka. – Ale spróbujmy.

Obejmujemy się i Sevro unosi mnie w powietrze, krzywiąc się i oszczędzając lewą rękę. Buty charczą i iskrzą. Dwa razy opadamy. A potem

jesteśmy na murze. Ląduję, a Sevro opada po następnego Wyjca. Chwilę później jego głowa pojawia się na chwilę nad murem i zaraz znika. GrawiButy wyją i sypią skrami, a potem z ostatnim mechanicznym trzaskiem wyłączają się i Sevro z Wyjcem spadają z wysokości dziesięciu metrów.

Potężny huk niesie się przez miasto jak grom. Podnosi się dym.

Mustang się udało.

Przezroczysta tarcza, oddzielająca ten świat od świata statków kosmicznych, słabnie. Faluje, zniekształcając ogień w mieście i błyskawice na niebie jak krzywe zwierciadło, rozpada się na pryzmatyczną mgiełkę – a w każdym razie jedna ósma tarczy rozpada się i powstrzymywana dotąd ulewa spada na ten fragment miasta potężnymi, szarymi płachtami.

– Nie udało się! – krzyczy Pestka z drugiej strony muru.

Myli się. W kolejnych węzłach tarczy dochodzi do przeciążenia. To reakcja łańcuchowa. Potężne ściany deszczu wreszcie spadają na Ageę. Roque, o ile wygrywa, przyśle posiłki. Miasto jest na dobrą sprawę zdobyte. I teraz właśnie Suwerenka zostanie wyprowadzona z bunkrów przez swoich ochroniarzy, żeby uciec z utraconej planety. Jednakże lądowiska promów znajdują się dwa kilometry stąd, po drugiej stronie Cytadeli. To miało wyglądać zupełnie inaczej. Ja powinienem być w zbroi, z setką Obsydianowych i tuzinem moich najlepszych Złotych. A zamiast tego prowadzę gromadkę przyjaciół prosto w jatkę. Muszę zmienić paradygmat, ale nie będę ryzykował ich życiem. Zerkam w dół na Sevro, który natychmiast rozpoznaje wyraz moich oczu.

– Nie, Darrow – mówi. – Pomyśl o naszej misji! – Błaga mnie, podskakując i drapiąc mur, kiedy odwracam się do niego plecami. – Nie rób tego, Darrow. Poczekaj! Zabiją cię!

Opadam po drugiej stronie muru do ogrodu Cytadeli.

Linie życia niektórych są tak silne, że strzegią i przerywają linie życia ludzi z ich otoczenia. Dość już przyjaciół zapłaciło za moją wojnę. Za to, co będzie teraz, zapłacę sam.

– DARROW! – krzyczy zrozpaczony Sevro. – NIE!

Biegnę tak szybko jak jeszcze nigdy w życiu. Suwerenka mi nie ucieknie. Zrobiłem to wszystko po to, żeby ją złapać. Pojmać. Zniszczyć Wspólnotę. Jeśli ją schwytam, scena będzie gotowa. Powstaniemy. Będziemy mogli wygrać. Przeskakuję przez rzędy zarośli, obiegam fontanny, przedzieram się przez różane krzewy. Krew ścieka mi z ręki. Nie czuję ciała. Lecę nad ziemią. Mam sierpak w dłoni.

Tam.

Wypadam zza rogu Cytadeli. Za różanym ogrodem ciągnie się biały dziedziniec osmolony przez silniki prywatnych jachtów. Cztery samotne

promy siedzą na lądowisku, na którym zmieściłaby się ich setka. Wszystkie są czarne i mają ogromne złote sierpy księżyca namalowane na szerokich spodach, ale najpotężniejszy z nich, z największymi silnikami i wzmocnionym kadłubem, należy do Suwerenki. Pozostałe to wabiki, niemal tak samo opancerzone i niemal tak samo uzbrojone. W powietrzu nie dałoby się ich odróżnić.

Bez wątpienia wyśledziły mnie czujniki. Szarzy lurcherzy już po mnie idą. Z ukrytych koszar wypuszczono Obsydianowych ochroniarzy, żeby mnie zabili. Ale złapią mnie, tylko jeśli się zatrzymam. Kiedy więc przyglądam się lądowisku, nie zwalniam. Pomarańczowi uwijają się wokół czarnych promów, przygotowując je do startu. Jeszcze się nie spóźniłem. Jednakże drzwi do Cytadeli znajdują się o wiele bliżej statków niż ja.

Wybiegają w pośpiechu. Nie widzę jej, są tylko fioletowe peleryny falujące na wietrze i smagane deszczem. Pochylają się, idąc pod wiatr, patrzą na niebo, gdzie na tle burzy błyszczą smugi Żelaznego Deszczu, znacząc ciemne chmury jak stal rozgrzewająca się powoli w kuźni. Moi Tytani nadchodzą.

Pretorianie śpieszą się, biegną z Suwerenką po długiej pochylni do brzucha promu. Dostrzegam jej twarz, kiedy daje nura do wnętrza. Dostrzegam w jej świetle Aję. I Karnusa. A także Fitchnera, tego paskudnego, zdradliwego sukinsyna. Przyśpieszam. Nogi mam odrętwiałe z wyczerpania. Płuca mnie bolą. Wkładam w tę chwilę wszystko, czym jestem. Moje życie w kopalni, godziny cierpienia z Harmony, zgrozę Instytutu. Pozwalam, żeby zapłonęła we mnie cała miłość, na jaką zapracowałem, jaką straciłem i dla jakiej wciąż pragnę żyć.

Połowa orszaku czeka na chodniku i patrzy na statek, gdy zapalają się jego światła i rozgrzewają silniki. Wabiki naśladują całą procedurę. Złoty od Bellony odwraca się, gdy się zbliżam. Wytrzeszcza oczy, a ja tnę go w biegu. Z piersi wyrywa mu się stłumiony okrzyk. Kolejni się odwracają – kobiety, mężczyźni, wojownicy, politikosowie, Złoci i Srebrni, których rozpoznaję z czasów spędzonych u boku Augustusa.

Świadomość mojej obecności nadchodzi falami. Wróg powinienem być u bram, a nie pośród nich, więc wzdragają się na mój widok. A kiedy odzyskują zdrowy rozsądek, ja już minąłem ich uzbrojone ręce. Robię unik, kiedy Szary wyciąga rękę, i zrywam mu małą sakiewkę z amunicją, którą ma u pasa. Uderzam na odlew. Trafiam w ciało.

Krzyki. Wyciągane po omacku brzytwy. Kule i ładunki impulsowe świszczą mi obok głowy. Pochylnia promu zaczyna się cofać i unosić.

Wrzeszczę i z całej siły wybijam się w powietrze. Uszkodzoną ręką łapię się brzegu rampy. Z wysiłku i bólu oczy wychodzą mi na wierzch. Prom

zaczyna się wznosić. Wypełnia mnie ryk silników, wstrząsane nim serce tłucze mi się o żebra. Pochylnia zamyka się powoli. Stękam desperacko i szarpię się w górę pod niezgrabnym, dziwnym kątem, ale możliwym dzięki niskiej grawitacji. Turlam się do środka, ląduję na kolanach i dyszę, opierając sierpak na podłodze. Dźwięk silników cichnie, kiedy drzwi się zatrząskują i ciśnienie zostaje wyrównane. Słyszę tylko swój urywany oddech i dudnienie uciekającego z miasta śmiercionośnego promu.

Podnoszę wzrok.



## Śmierć Złotego

Obserwuje mnie sześciu pretorianów w pełnych zbrojach. Jest z nimi Karnus. I Aja. I krępy Fitchner, który wytrzeszcza oczy na mój widok. Przed pretorianami stoi Suwerenka; jest wysoka, ale i tak ledwie sięga im do ramion.

Psiajucha. Nie sądziłem, że wciąż będą przy wejściu.

– Darrow? – Fitchner niemal jęczy.

– Co? – Karnus się śmieje, rozglądając się, żeby przekonać się, czy inni zauważyli, jak niedorzeczny prezent właśnie wpadł im w ręce. – Co? Andromedus, a ty skąd się tu wziąłeś? Wygląda na to, że Jowisz właśnie cię wysrał.

Klęczę, dyszę i ociekam krwią, deszczem, potem i błotem.

– Możemy wykorzystać go jako zakładnika – proponuje szybko Fitchner. Prom wznosi się w niebo.

– Nie – odpowiada Suwerenka. – Achilles nigdy nie zostałby zatrzymany dla okupu, bo pojmany, straciłby wszystko, co czyni go Achillesem. – Przygląda mi się chłodno przez chwilę. Sплюwam flegmą na ziemię. – Aju, zetnij mu głowę.

Aja podchodzi do mnie.

– Głupi chłopak. Bez przyjaciół. Bez armii. Bez nadziei.

Śmieję się ponuro.

– Kto potrzebuje nadziei, kiedy ma granat impulsowy?

Pokazuję granat, który oderwałem od pasa Szarego. Wszyscy się wzdragają.

– Czego chcesz, Andromedus? – pyta powoli Suwerenka.

– Dowieść, że nie jesteś niezwyciężona. Statek ma wylądować.

Octavia uśmiecha się i mówi przez system łączności:

– Pilocie, beczka.

Pilot wykręca beczkę. Pozbawiony grawitacji lecę bezwładnie, uderzam o sufit, wypuszczam granat z ręki. Moi wrogowie stoją w miejscu. Aja odkopuje granat przez otwarty właz. Ładunek eksploduje daleko w dole.

Wyglądam w noc, gdzie właśnie zniknął mój plan.

– Duma. – Octavia się uśmiecha. – Chyba z każdego czyni głupca.

Nieśpiesznie oglądam się na nią. Dociera do mnie, jak głupi musiałem być, myśląc, że kontroluję wszystkie zmienne. I teraz się potknąłem.

– Nie uciekniesz – mówię.

– Wiesz, że ucieknę. Dlaczego inaczej ryzykowałbyś wskoczenie do mojego promu?

Kiwa głową na jednego ze swoich Olimpijskich Rycerzy i dziwny, przenikliwy świergot przecina powietrze dwa razy, zanim ucichnie. Widmo Płaszcz. Niewiarygodnie drogi, okrywający cały statek. Przyjaciele nie przybędą mi na ratunek.

Octavia odwraca się do Fitchnera.

– Rycerzu Gniewu, masz nanoKamerę? – Kiwa głową i wyjmuję pierścień.  
– Nagraj, jak Aja zabija Żniwiarza.

Fitchner blednie.

– Pozwól mnie go zabić – błaga Karnus. – Moja Suwerenko, pozwól mi go zabić. Chcę to zrobić dla swojej rodziny. Mam do tego prawo.

– Prawo? – pyta zaskoczona. – Twoja rodzina straciła Marsa. Nie masz żadnych praw.

– Bardziej się nam przyda jako więzień. – Fitchner podchodzi do Suwerenki. – Pozwól mi z nim porozmawiać. To mój uczeń. Już raz był ci gotowy służyć, Octavio. Pozwól mu wyrzec się swoich przekonań i znowu będzie gotowy. To, że potrafisz wybaczyć takiemu małemu wypierdkowi, dowiedzie wielkości twojej władzy.

Suwerenka odwraca się do niego powoli. Przygląda mu się. A do niego dociera wtedy, że popełnił błąd.

– Aju, poczekaj. – Suwerenka się uśmiecha. – Chcę, żeby to Fitchner go zabił.

Brzydal rozdziawia usta. To chyba pierwszy raz, kiedy widzę, jak odjęło mu mowę.

– Zabij swojego ucznia – poleca mu Suwerenka. – Czy może nie jesteś lojalny wobec mnie?

– Oczywiście, że jestem lojalny. Dowiodłem tego.

– Więc dowiedź ponownie. Przynieś mi jego głowę.

– Musi być inny sposób.

– Nastawił twojego syna przeciwko tobie – przypomina Octavia. – A wiesz, że nie trzymam przy sobie czegoś, czemu nie mogę ufać. Zabij go.

– Tak, moja pani.

Fitchner marszczy twarz w skupieniu. W jego spiżowych oczach pojawia się dziwny smutek. Czy to aż tak straszne patrzeć, jak umiera twój najlepszy

uczeń? Czy chodzi o to, że jestem przyjacielem Sevro? A może to właśnie o syna się martwi?

– Sevro żyje – mówię mu. – Przetrwał Deszcz.

Kiwa głową w podzięcie i dotyka brzytwy. A potem zatacza się w bok, kiedy odpycha go Karnus. Wielki syn domu Bellona szarżuje na mnie. Krzywi usta w nienawistnym grymasie. Zbroja, która otula jego wielkie ramiona, ma ukazywać potęgę jego domu. Ryczy moje imię.

Wykonuje wysoką fintę i tnie brzytwą po skosie, szybko jak żmija. Robię unik, wykręcam salto w bok i w przód, skracam dystans i wbijam mu brzytwę w brzuch. Wypuszczam ostrze i okrążam go, kiedy osuwa się na kolana.

– Wspiąłeś się tak wysoko, a leżysz w błocie – szepczę.

Chwytam brzytwę za ostrze, wyciągam ją przez jego plecy i ścinam mu głowę.

Rzuca się na mnie jeden z pretorianów. Ciskam w niego brzytwą. Trafiony w pierś pada na pokład. Wyciągam oręż i cofam się, chwiejnie patrząc na pozostałych.

– Idioci – mruczy Suwerenka.

– Mam to dalej nagrywać? – Fitchner drapie się po głowie.

Prom znowu dygoce i przechyla się ostro, zanim ponownie wyprostuje lot. Świat faluje mi przed oczami, osuwam się na kolano. Opieram rękę o pokład. Odzyskuję równowagę. Czuję nowe ciepło spływające po plecach i brzuchu. Nie uklęknię. Nie przed nią. Nie przed tyranem. Wstaję chwiejnie. Karnus prawie mnie nie trafił. Prawie. Krew płynie z miejsca między szyją a lewym ramieniem, gdzie sięgnęła jego brzytwa. Przeciął mi obojczyk. Nogi się pode mną uginają.

– Co za stworzenie. – Octavia de Lune chłodnym wzrokiem przygląda się mojej ranie na szyi. – Wyobraź sobie tego chłopca ukształtowanego w moim domu, Aju.

Kręci głową i gapi się na mnie z całkowitym brakiem zrozumienia. Zauważa inne rany. Krew. Wyczerpanie. Młodość. A mimo to tak wiele dokonałem. Dwa ciała leżą u moich stóp. Za moimi plecami upada miasto. Kolejne marsjańskie miasta są właśnie podbijane. Moja flota miażdży flotę Bellony. Wspólnota jest na krawędzi rozpadu. A ona nie rozumie i nigdy nie zrozumie.

Co innego Fitchner. Ma szkliste oczy. Zaciśnięte dłonie.

– Nie mogłabyś mnie ukształtować – mamroczę.

Tylko Czerwoni mogli to zrobić. Tylko rodzina, tylko miłość dały mi tę siłę. Jednakże tej siły teraz ubywa. I wtedy Aja rzuca się naprzód.

Wymieniamy po trzy ciosy, zanim wytrąca mi brzytwę i uderza mnie pięścią w pierś tak mocno, że wydaje mi się, jakbym umarł. Uderza mną o sufit jak szmacianą lalką. Kiedy kończy, dołącza do Suwerenki, a ja jęczę i zatapiam się w bólu.

– Przynieś mi jego głowę, Fitchner – rozkazuje Suwerenka.

Fitchner patrzy na mnie bezradnie, wyciąga rękę, prawie dotyka Suwerenki.

– Powinniśmy nagrać jego egzekucję dla hP. Propaganda. Prawdziwe powieszenie. Kara wymierzona przez państwo.

– Fitchner... – Suwerenka unosi brwi tak wysoko, że ten w końcu cofa rękę. – Dość tego. – Mięśnie żuchwy jej pracują, kiedy się namyśla. – Chcę się go pozbyć. Żadnych więcej zmiennych. Zrób to teraz. Zachowaj głowę do zatknięcia na pice. Nagramy to.

W paciorkowatych oczkach Fitchnera wzbiera smutek. Urodził się wśród najgorszych Żółtych i tylko dzięki własnym zasługom wspiął się na sam szczyt. Co za człowiek. I pomyśleć, że uważałem go za słabego.

Tutaj nadejdzie koniec wszystkiego. Wiem, że zdobędziemy Marsa. Augustus zostanie uwolniony. Wojna będzie trwała. Złoci osłabną. Czerwoni się zbuntują. I może, być może, powstaną i znajdą wolność. Zrobiłem to, o co prosił Ares. Rozpętałem chaos. Resztą zajmą się inni. Eo byłaby zadowolona.

Uśmiecham się lekko i czuję słabość w nogach. Jestem zmęczony. Klęczę. Kiedy uklęknąłem? Nic mnie to nie obchodzi. Jak miło będzie odpocząć w Dolinie, gdy inni poniosą dalej marzenie Eo. Ja tylko żałuję, że nie zobaczyłem Mustang przed końcem. Nie powiedziałem jej, czym jestem, żeby w końcu zrozumiała.

– Twój chłopak płonął jasno. I szybko – mówi Aja do Fitchnera gdzieś w cieniach zawężających moje pole widzenia. – Zachowaj głowę, ale ciało możesz oddać ziemi, zgodnie z marsjańskim obyczajem.

Ponownie otwiera rampę. Metal jęczy. Czuję na twarzy wiatr wiejący z Doliny. Czuję chłód mgły. Zapach deszczu. Zasnę. Wkrótce obudzę się przy Eo. Obudzę się w naszym ciepłym łóżku, z ręką zaplątaną w jej włosach. Obudzę się, żeby kochać i wiedzieć, że w poprzednim świecie zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

Będzie mi cię jednak brakowało, Mustang. Bardziej, niż byłem gotów przyznać aż do tej chwili.

Mgła i cienie wypełniają mi pole widzenia. Przez chwilę czuję zapach rdzy i myślę, że jestem w kopalni. Śpię? Słyszę metalowe buty. Jakiś mężczyzna podchodzi do mnie we mgle. Nie widzę jego twarzy. Jednak coś się we mnie budzi. Ojciec? Nie, to nie ojciec. Mrużę oczy.

– Stryj Narol.

– Nie. Fitchner, młody.

Jego głos ściąga mnie gwałtownie z powrotem do ładowni promu. Jak haczyk na ryby, który rozdziera jedwab w kierunku, w którym on nie chce pękać.

– Och, cieszę się, że to ty – mówię cicho.

Znajduję dość siły, aby podnieść ciężką głowę i spojrzeć mu w oczy. Są pełne łez. Prycha śmiechem. Wiatr gwizdże za mną. To nie Dolina. To tylko Mars. Nie mgła. To tylko chmury. Spuścili rampę, żeby wypchnąć moje ciało. Powiedziałem Arcosowi, że nie jest mi pisane osiwieć.

Głowa mi opada. Wypluwam trochę krwi. Mdli mnie i słabnę.

– Powiedz Mustang... Eo... że je kocham. – Ziewam rozdzierająco.

– Ty parszywy głupcze – mówi cichym szeptem Fitchner, kręcąc głową. – Miałem wszystko pod kontrolą.

– Ja nie... – Mrugam. Nie widzę dobrze we mgle. – Co?!

– To ja – mówi. – To zawsze byłem ja, młody.

Mgła znika. Podnoszę na niego wzrok. Patrzę na Aresa, jak zakłada hełm Rycerza Gniewu i strzela z pięści impulsowej w pretorianów. Przewracają się. Rzuca soniczny granat.

– Fitchner! – ryczy Suwerenka. – ZDRAJCA!

Eksplozja. Coś trafia mnie w pierś. Upadam. Turlam się. Lecę? Czuję chłód. Szarpie mną porywisty wiatr. Żołądek podchodzi mi do gardła. Wiruję. A potem czuję pod sobą sztywne ramię. Wznoszę się. Wiatr świszczuje mi w uszach. Rozlega się kolejny dźwięk, zanim połknie mnie ciemność. Fitchner, Ares, władca terrorystycznego półświatka wyje jak wilk, kiedy niesie mnie w bezpieczne miejsce.

## Morze

Budzi mnie zapach morza, słonej wody i wodorostów niesiony przez chłodny jesienny wiatr. Krzyk mew. Jedna z nich zakręca i przysiada na białym kamiennym parapecie przy otwartym oknie. Przechyla głowę i odlatuje w światło poranka. Chmury przesuwają się w oddali nad horyzontem, obiecując deszcz. Z otwartego świetlika skapuje poranna rosa.

Ona porusza się obok mnie. Jej smukłe ciało leży na okryciach owinięte wokół mojej połamanej sylwetki. Jest ubrana. Ja nie mam koszuli. Moje ciało znaczą świeże przeszczepy skórne. Błyszczące, różowe i wrażliwe na dotyk. Mustang znowu się porusza i jej ruch sprawia, że wracam do swojego ciała. Czuję ból i przyjemność z jej bliskości. Pozwalam powiekom opaść i wzdycham głęboko, nurzając się w delikatnej przyjemności bycia człowiekiem. Czuję jej oddech na szyi. Bicie drugiego serca przy mojej piersi. Jej złote włosy łaskoczą mnie w nos, kiedy zimny wiatr zdmuchuje je na moją twarz. Poranne powietrze jest młode, ożywcze.

Oddycham głęboko i wracam w sen.

Wspomnienie metalu druzgocze spokój.

Krzyki niosą się echem w ciemności. Umierają przyjaciele.

Otwieram gwałtownie oczy na światło, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć, gdzie jestem. Mówią mi, że jestem bezpieczny. Jest mi ciepło. Nie ma tu metalu. Tylko bawełniana pościel. Łóżko. Dziewczyna. Lecz wspomnienia są tak blisko. Jak przeżyłem?

Spadłem z Fitchnerem z nieba.

Ares. Prawda, która zawsze istniała, ale wydaje się tak nowa, że nie mogę jej nawet ogarnąć. Budzę się z narzędziami Żółtego wewnątrz mojej piersi, kiedy pobudzają mi serce do bicia. Potem budzę się znowu ze skalpelem Rzeźbiarza przy skórze. Ból i mdłości towarzyszą mi w łóżku. Obrazy napływają i odpływają. Goście przychodzą i wychodzą. Wolę budzić się w taki sposób.

Boję się ponownie zamknąć oczy. Boję się, co zobaczę, co znajdę po przebudzeniu. Jako Czerwone dziecko dzieliłem małe łóżko z Kieranem. Każdego ranka budziłem się przed nim, leżałem cicho i słuchałem głosów rodziców przesączaających się pod cieniutkimi drzwiami, kiedy zaczynali

dzień. Słyszałem szuranie stóp ojca, jego poranne odchrząkiwanie, gdy zimną wodą zmywał sen z twarzy. Matka parzyła mu kawę, mieląc kostki, które wymieniała u Szarych za jaja żmij jaskiniowych albo szpulki jedwabiu skradzionego z Pajęczarni.

Chciałbym, żeby co rano budził mnie ten sam dźwięk. Mielenie, zapach. Chciałbym móc powiedzieć, że to dzięki nim moje ciało wiedziało, kiedy powraca ze snu. Ale to nie był zapach matczynej kawy ani herbaty. To nie było poranne westchnienie wody płynącej rurami ani artretyczne skrzypienie sznurowych drabin, kiedy mężczyźni i kobiety z nocnej zmiany wracali z kopalni i Pajęczarni do swoich domów w Lykos. To nie był znużony pomruk tych z dziennej zmiany, którzy wychodzili do pracy.

Budziła mnie zgroza towarzysząca zamykaniu się drzwi.

Codziennie kończyło się to tak samo. Najpierw gliniane naczynia szczękały w metalowym zlewie. Potem plastikowe krzesło ojca skrzypiało przesuwane po kamiennej podłodze. Stawali razem w drzwiach, szepcząc. Cisza. Zawsze wyobrażałem sobie, że trwa wtedy ich długi pocałunek. A potem wreszcie się żegnali. Drzwi wejściowe otwierały się, skrzypiały na zardzewiałych zawiasach. I w końcu, mimo wszystkich moich modlitw, zamykały się.

Przysuwam się do Mustang i całuję ją w czoło. Mocniej, niż chciałem. Budzi się, przeciąga jak kot po letniej drzemce. Nie otwiera oczu, ale wtula się w mój bok.

– Nie śpisz – mruczy. Jej rzęsy trzepoczą i natychmiast podrywa się i odsuwa ode mnie. – Przepraszam. Musiałam zasnąć. – Patrzy na krzesło, na którym wcześniej siedziała. – Na łóżku.

– W porządku. Zostań. Proszę. – Zapomniałem, że powinniśmy być wobec siebie chłodni. – Ile czasu minęło?

– Od ataku? Tydzień. – Odgarnia luźne pasma włosów z oczu. – Cieszę się, że do nas wróciłeś.

– Kogo straciliśmy? – pytam ostrożnie.

– Straciliśmy?

Niezręcznie, nerwowo porusza rękami, wymieniając ofiary. Milczenie się przeciąga. Liczby przygniatają mnie do łóżka. Potem przypominam sobie, że trzeba oddychać.

– A Suwerenka?

– Uciekła. Ale nie bez paskudnej rany, którą zawdzięcza uprzejmości Fitchnera.

– Twój ojciec?

– Nie wiesz? – Uśmiecha się niezręcznie i wzdycha trochę zbyt niezobowiązująco, próbując zmniejszyć własne napięcie. Przysuwa się bliżej

na łóżku, nadal uważając, żeby mnie nie dotknąć. – To będzie nudne, tak ci opowiadać, co się wydarzyło.

– Dasz sobie radę, jestem tego pewien.

– Ojciec żyje. Kiedy tarcza opadła, kilku Złotych, którzy już byli w Cytadeli, poprowadziło oddział lurcherów i go uratowało. Okazuje się, że wpływy mojego brata sięgają daleko. Kiedy więc Olimpijscy Rycerze przyszli, żeby go zabrać razem z Octavią, wrócili z pustymi rękami. Kanały w hP nazywają Roque'a „reinkarnacją Nelsona”. Zdobył ponad osiemdziesiąt procent floty domu Bellona. – Mustang poważnieje. – Co oznacza, że jako dowódca ma prawo do co najmniej trzydziestu procent okrętów. Reszta trafi do domu Augustus.

– Czyli teoretycznie ma większą flotę niż ja.

– Eksperci zastanawiają się, jak długo pozostanie lojalny w obecnej sytuacji...

– Szakał prowadzi swoje gierki – przerywam jej ze śmiechem.

– Nigdy nie przestaje.

– Wątpię, żeby Roque stanął do walki ze mną. A ty?

Wzrusza ramionami.

– Siła stwarza okazję. Mówiłam, żebyś naprawił wasze stosunki.

– Roque to nasz sojusznik. Zawsze nim będzie. Przecież go znasz.

– Bywał tu równie często jak Sevro. – Uśmiecha się powoli. – Dziś w nocy tu zasnął. Wcześniej go stąd pogoniłam. Nie wykonywałabym jednak swojego zadania, gdybym udawała, że nie stanowi dla nas potencjalnego zagrożenia.

„Dla nas”, zauważam.

– Zadania? – pytam. – A mianowicie...?

– Mianowałam się twoim naczelnym politikosem.

– Doprawdy?

– Tak. Dworskie rozgrywki potrafią być paskudne, a ludzie dwulicowi. Masz na to zdecydowanie za dużo szczerości w sobie. Jak jagnię, które uznaje, że to zaszczyt zostać zaproszonym na bankiet wyprawiony na cześć wilków.

– A jeśli to właśnie przed tobą należy mnie chronić?

– Cóż. – Unosi lewą brew. – W takim razie już przegrałeś.

Śmieję się i pytam o Sevro.

Udaje, że się rozgląda.

– Nie śpi w nogach łóżka? Chyba wyszedł gdzieś z ojcem. Dopiero co wróciłam z wieczornej wizyty u Kavaxa na orbicie, ale Theodora mówi, że Sevro wyjechał z Fitchnerem zaraz po kolacji. Myślałam, że go nienawidził.

– Owszem.

– Co się zmieniło?



Wzruszam ramionami i zastanawiam się, od jak dawna Sevro znał prawdziwą tożsamość ojca. Wydaje się niemożliwe, żeby był równie ślepy jak ja. Czy dla odmiany ktoś okłamywał mnie?

– A Lorn?

– Jest z tą harpią, Victrą.

– Co jest nie tak z Victrą?

– Poza tym, że flirtuje ze wszystkim, co się rusza? Nic.

– Czekaj. Flirtuje z Lornem? Opowiedz mi o tym.

– Przymknij się. – Mustang trzepie mnie po głowie. Jednak jej uśmiech szybko gaśnie. Zabiera rękę. – Lorn wziął Victrę pod swoje skrzydła. Najwyraźniej chętnie sprzymierzy się z rodziną Julii. Matka Victry zgodziła się na pakt. Trzy najpotężniejsze rody na Marsie zjednoczyły się pod auspicjami mojej rodziny. Triumwirat przeciwko Suwerence. Gubernatorzy Gazowych Olbrzymów lecą do Agei na szczyt. Podobnie jak Reformatorzy. Miałeś rację. Jeśli zajmiemy Marsa, mamy szansę z Octavią. To już nie jest bitwa. To wojna domowa. I wygląda na to, że wcale nie bezsensowna. Ojciec mówi, że chce dać szansę Reformatorom przy stole. To... to naprawdę coś.

Przypominam sobie rozmowę z jej ojcem.

– I wierzysz mu?

– Tak. – Uśmiecha się z nadzieją. – Po raz pierwszy od długiego czasu naprawdę mu wierzę.

Ja nie jestem taki przekonany.

– A co z...?

– Cassiusem? – domyśla się cicho. – Jego ojciec został zabity przez Telemanusów, a on sam walczył z Ragnarem na murze. Według raportów wszyscy jego bracia i siostry nie żyją. On i jego matka zaginęli.

Zauważam, że przycichła.

– Martwisz się, że nie żyje?

– To nasz wróg – odpowiada beznamiętnie. – Nie troszczę się o niego. – Patrzy mi bacznie w oczy. – A ty się martwisz?

– Sam nie wiem – odpowiadam po chwili zastanowienia.

– Psiakrew, czasem naprawdę jesteś strasznie czuły. Żałujesz też, że obciąłeś mu rękę?

– Żałuję, że zabiłem Juliana.

– Wszyscy jesteście splamieni przez przeszłość. – Zastanawia się. – Zapominasz, że ja też musiałam kogoś zabić podczas Próby. Każdy Niezrównany Naznaczony, jakiego kiedykolwiek poznałeś: Lorn, Sevro, Pestka, Tactus, Octavia, Daxo zaczęli od tego. Często myślę, że jest zbyt wiele rzeczy, których można żałować.

Mówi o nas? Czy ja jestem czymś, czego żałuje?

– Chcę nienawidzić Cassiusa – mówię powoli. – Naprawdę tego chcę. Na samą myśl o nim mam ochotę coś zmiażdżyć. Stłuc okno. Albo najchętniej jego paskudną, zadowoloną z siebie gębę.

– Paskudną? – pyta z niedowierzaniem.

– Jest taki śliczny, że aż brzydki.

Mustang reaguje śmiechem.

– Ale trudno jest podtrzymywać tę nienawiść, co?

Kiwam głową. To nienawiść sprawiła, że rodzina Cassiusa rzuciła się na rodzinę Augustusa. I patrzcie, co im to dało.

– Współczuję mu. Gdziekolwiek jest.

– Powiedziałaś ci wcześniej, żebyś nie ufał mojemu bratu – przypomina, zmieniając temat. – Mówiłam serio. Wiem, że pozostałeś z nim w sojuszu. Jego filmy przedstawiają cię jak boga. To jednak musi się skończyć. Nie jesteś mu nic winien. Bądź serdeczny. Bądź uprzejmy. Nie okazuj mu publicznie braku szacunku, ale koniec ze spotkaniami. Żadnych więcej obietnic. Odetnij się od niego. Już go nie potrzebujesz. Masz mnie.

Co za dziewczyna. Gdybym tylko mógł ją przedstawić matce, Kieranowi i Leannie. Polubiliby jej ogień. Ścisza mnie lekko w gardle. Eo też by ją polubiła.

– Nie mam ciebie.

– Darrow...

Coś dziwnego skręca się we mnie. Jakby ciasno nakręcona sprężyna emocji zaczęła się rozwijać.

– Kiedy leżałem na dnie rzeki... wiedziałem, że więcej cię nie zobaczę.

Waha się, chce do mnie sięgnąć, ale opiera się pokusie ze względu na wszystko, co powiedzieliśmy sobie wcześniej.

– Wiesz, że nie masz mojego pozwolenia na umieranie – żartuje w końcu. – Poza tym Sevro i Wyjce nigdy by ci nie wybaczyli, gdybyś spróbował umrzeć. Żadne z nich. Masz wielu przyjaciół, Darrow. Wielu poszłoby za tobą w ogień.

I wielu już się sparzyło. Drzę, biorę długi wdech i zamykam oczy, starając się nie dać pochłonąć wyrzutom sumienia. Łzy nadchodzą cicho, spływają mi z kącików oczu.

– Darrow. Nie płacz – szepcze Mustang. Teraz wyciąga do mnie rękę. Przysuwa się i obejmuje mnie. – Już dobrze. To już się skończyło. Jesteśmy bezpieczni.

Nadchodzi szloch, szarpie mi pierś.

Mustang się myli. To jeszcze nie koniec. Pod powiekami widzę tylko świat wojny. Nie ma dla mnie innej przyszłości. Nie ma jej dla nas. Jednakże ile

razy już zostałem złożony z powrotem w całość? Jak długo jeszcze wytrzymają te wszystkie szwy? Czy pod koniec zostaną ze mnie choćby strzępki? Nie mogę przestać płakać. Nie mogę nawet nabrać powietrza. Serce wali mi jak młotem. Ręce się trzęsą. Wszystko ze mnie uchodzi. Mustang, która waży ledwie połowę tego co ja, trzyma mnie w delikatnych objęciach, aż jestem tak wycieńczony, że mogę tylko opaść z powrotem na łóżko. Z czasem serce mi zwalnia i odnajduje rytm zgodny z jej pulsem.

Siedzimy tak chyba przez godzinę. W końcu całuje mnie w ramię, w szyję. Usta zatrzymują się na tętnicy szyjnej, gdzie czuć puls. Przesuwam ręce, żeby ją odepchnąć, ale ona odsuwa je na bok i ujmuje moją twarz w dłoń.

– Wpuść mnie.

Pozwalam, żeby ręce opadły mi na łóżko. Jej usta wytyczają ciepłą ścieżkę ku moim. Tam dzielimy się smakiem łez, kiedy jej górna warga wsuwa się między moje wargi, a jej język ogrzewa wnętrze moich ust. Przesuwa dłonią po mojej szyi, muska paznokciami skórę, wsuwa palce w moje splątane włosy i pociąga lekko. Dreszcze przebiegają mi po całym ciele.

Przepadło wszystko, co choćby przypominało opór. Całe poczucie winy, jakie powstrzymywało mnie przez zdradzeniem Eo z Mustang, zniknęło w chaosie, który rozpełtał się we mnie. Całe poczucie winy wynikające z wiedzy, że ona jest Żółta, a ja Czerwony, znika. Jestem mężczyzną, a ona jest kobietą, której pragnę.

Moje ręce odnajdują ją, przyciągają jej ciało, przesuwają się po jej nogach ku talii. Budzi się we mnie od dawna tłumiony głód. Wypełnia mnie żarem, bolesnym wręcz pragnieniem. Pragnę jej, jej całej. Zapominam o hamowaniu się, zapominam o smutku. To jest wszystko, czego potrzebuję. Nie ucieknę. Nie tym razem. Nie teraz, gdy wiem, jak niewiele brakowało, żebym nigdy więcej jej nie ujrzał.

Z nieśpieszną siłą zrywam z niej ubranie. W moich rękach materiał jest jak mokry papier. Skórę ma gładką jak gorący marmur wygrzany w słońcu. Mięśnie napinają się i falują, kiedy wygina plecy w łuk. Jej ciało jest stworzone do ruchu, oplata się wokół mojego. Przesuwam palcami po łuku jej krzyża. Napiera na mnie, pulsując oddechem, biodrami przypiera mnie do łóżka.

Dla niej mógł minąć tydzień, jednak dla mnie minęły minuty, sekundy, odkąd klęczałem na chłodnej stali rozgrzewany własną krwią i czekałem, aż ktoś zetnie mi głowę. Takiej chwili nigdy w życiu nie spodziewałem się już zaznać, gdy własnymi drżącymi rękami wykopywałem grób dla Eo. Chwila z kobietą, którą kocham i której pragnę. I jaki ma sens przetrwanie w tym

parszywym, zimnym świecie, jeśli uciekam od jedyne go ciepła, jakie może mi  
on zaoferować?

## Poeta

Idziemy z Mustang powoli kamiennym korytarzem. Za oknami strażnicy patrolują posiadłość. Są tu w równym stopniu po to, żeby nas chronić, co zatrzymać wewnątrz. Deszcz kropi. Śmiech napływa przez otwarte drzwi razem z zapachem kawy i bekonu.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie potrafię być zabawny? – pyta urażony Roque.

– Po prostu jestem pewien, że możesz próbować – odpowiada gładko Daxo – ale jest w tobie za dużo... uczonego.

– W porządku, więc kto był pierwszym stolarzem?

– To żart? – pyta Daxo.

– Taki jest plan.

– Jezus z Nazaretu? – próbuje Daxo. – To historyczny żart, tak?

– Noe? – ryzykuje Pestka.

Mustang i ja zatrzymujemy się w drzwiach, uśmiechając się do siebie.

– Jezus z Nazaretu? – śmieje się Roque. – Stać cię na więcej.

– Gdybym wiedział, że będziesz kpł z moich prób, to w ogóle bym nie zgadywał.

– Pax mówił, że to ty jesteś ten bystry – mówi Oset. – Rozczarowałeś mnie, Daxo. Naprawdę.

– Może przez porównanie... – zaczyna Błazen, zanim Pestka wali go po głowie. – Auć!

– Nie mów źle o Paksie – warczy Pestka. – Wielkolud był ko-chany.

– Nikogo nie obchodzi odpowiedź? – pyta śpiewnie Roque. – Dobrze, dobrze, rozumiem. Wszyscy uważacie mnie za nudziarza.

– Umieramy z niecierpliwości – warczy Oset. – Koniecznie nam powiedz.

– Kto był pierwszym na świecie stolarzem? – pyta ponownie Roque.

– Nie zaczynaj od początku! – jęczy Pestka.

– Tak to działa najlepiej. – Roque wzdycha. – Ewa.

– Ewa? – pyta Daxo.

– Bo... – naprowadza ich Roque. – Wypolerowała Adamowi gałkę?

Rozlega się zbiorowy jęk.

– To było żenujące – orzeka z westchnieniem Pestka. – Nigdy nie pomyślałabym, że zatęsknię za Tactusem.

I nagle rozlega się piskliwy śmiech Daxo. Śmieje się tak samo jak Pax.

– Ewa! Powiedział Ewa! Wypolerowała mu gałkę! Aaach!

Jakby olbrzymi mieli w sobie małe, idiotyczne elfiki, które tylko czekają, żeby wyskoczyć i zarechotać. Tylko trzeba je wytrwale prowokować.

– Roque chyba popsuł Daxo – chichocze Pestka.

– Ktoś czuje ten zapach? – pyta Błazen.

– Ja czuję bekon. – Daxo wgryza się w kawałek mięsa.

– Nie – odpowiada Błazen. – Jedzie wariatem o skłonnościach samobójczych, który dopiero co wstał z grobu po podbiciu planety i porzuceniu przyjaciół, żeby dać się pociąć na przekłete kawałeczki jak skończony głupek.

Daxo pociąga nosem.

– To bardzo specyficzny zapach.

– Och, Darrow, kochanie! – woła Błazen. – Czaisz się w progu?

Mustang popycha mnie niezręcznie.

– Ty podsłuchujący Piksie! – Daxo podnosi się i zamyka mnie w zdumiewająco delikatnych objęciach. Złote anioły na jego łysej głowie błyszczą w porannym świetle. – Cieszę się, że cię widzę, przyjacielu.

Witają mnie po kolei. Kolejne uściski od Złotych. Roque ściska mnie machinalnie. Powierzchowny gest. Muszę jeszcze popracować nad naszymi stosunkami.

Pożeram śniadanie, słuchając przekomarzania przyjaciół. Cały dzień spędzamy w posiadłości na rozmowach i grach. Minęło tak wiele czasu, odkąd robiłem choćby jedną z tych rzeczy, że prawie zapomniałem, jak to jest nic nie robić. Mustang musi trzy razy pocałować mnie w ucho i powiedzieć, żebym się zrelaksował, zanim wreszcie to do mnie dociera. Siedzimy w bibliotece i słuchamy muzyki, kiedy przez okno widzi Roque’a na trawniku. Szturcha mnie.

– Idź.

Znajduję go, jak patrzy na dwie sarny jedzące z pańnika pod starym wiązem. Nie odwraca się, żeby spojrzeć na mnie, kiedy stoję obok. Powietrze pachnie świeżo skoszoną trawą. I morzem, które jest gdzieś za wzgórzem.

– To ma sens, że tu dorastała Mustang – mówię. – Jest tu dziko i spokojnie zarazem.

– Mój dom miał być w mieście – odpowiada Roque. – Ale wymykałem się na prowincję z nauczycielami, kiedy tylko matka wyjeżdżała. Czyli często.

Najwyraźniej uważała, że nie ma tu niczego ciekawego. Że sprawy w mieście są ważniejsze. Jednak właśnie o to walczymy, prawda?

– O ziemię?

– O pokój, gdziekolwiek go znajdziemy. – Odwraca się do mnie. – Nie o to walczysz?

– Niektórzy z nas nie urodzili się obdarzeni pokojem. – Wskazuję sarny i ziemię. – Dorastając, nie miałem czegoś takiego. Cokolwiek mam teraz albo będę miał w przyszłości, muszę na to zapracować. Masz jednak rację. Po to walczę, żeby znaleźć coś takiego dla siebie i dla ludzi, na których mi zależy.

Przygląda mi się badawczo.

– Rozumiem.

– Chcę cię przeprosić, Roque.

– Znowu?

– Od czasu Akademii trzymałem cię na dystans. Nie doceniałem cię. Nie powinienem był tego robić. Zwłaszcza że zawsze byłeś dla mnie taki dobry.

– Nie miałem nic przeciwko temu, że zawsze chodziło o ciebie, Darrow. To bolało Tactusa, ale nie mnie. Nie kocham cię tak jak Mustang. Nie wielbię tak jak Sevro i Wyjce. Byłem prawdziwym przyjacielem. Widziałem w tobie światło i ciemność i akceptowałem obie te rzeczy bez osądzania, bez własnych ukrytych interesów. A co ty zrobiłeś ze mną? Posłużyłeś mną tak, jak człowiek posługuje się koniem. Nie zasługuję na to. Tak samo jak Quinn zasługiwała na coś więcej.

– I zasługujesz na coś więcej niż taka przyjaźń? – pytam cicho, bojąc się odpowiedzi.

– Myślę, że jestem lepszy od ciebie.

Cofam się zraniony. Roque patrzy, jak sarny pogryzają ziarno z paśnika.

– W tym roku siedziałem przy łóżku trojga przyjaciół. Quinn, Tactusa i twoim. Za każdym razem wiedziałem, że z radością zamieniłbym się miejscami z każdym z was. Czy ty chciałbyś tego samego?

– Oddałbym życie, żeby oni mogli wrócić – mówię i wiem, że to kłamstwo.

Chociaż kocham tych Złotych, ciążą na mnie większe obowiązki. Dopóki to się nie skończy, nie mam życia, które mógłbym ofiarować.

Odwraca się od saren, żeby spojrzeć na mnie. Jego oczy są ciepłe, smutne, a w jego spojrzeniu kryje się o wiele większy ciężar, niż powinien. Różni się ode mnie, od Cassiusa. Nazywaliśmy go bratem, ale żaden z nas nie był dość dobry, by na niego zasługiwać.

– Zastanawiałeś się kiedykolwiek, czemu trafiłem do domu Marsa? Nie jestem typowym poborowym. Większość umieściłaby mnie pewnie w domu Apolla albo Junony.

– Quinn zawsze mówiła, że ma rywalizację we krwi, ale ty... Owszem, zastanawiałem się nad tym.

– Darrow. – Odwracam się i widzę stojącego za nami Sevro w mundurze. – To pilne.

– Nie teraz, Sevro.

– Żniwiarzu, nie robię sobie jaj.

Patrzę na Roque'a.

– Idź – mówi i odchodzi w stronę saren, wydając z kieszeni jagody.

– Roque! – wołam prosząco.

– Przyjaźnie nawiązuje się w kilka minut, niszczy w kilka chwil i naprawia całymi latami – odpowiada, zerkając przez ramię. – Niedługo znowu porozmawiamy.

Patrzę za nim, czując w sobie ciepłą iskierkę nadziei.

Odwracam się do Sevro i klepię go po plecach.

– Dobrze cię widzieć, wybacz, że...

– Odpieprz się. Nie jestem marudną suką jak ten poeta. Przychodzę od Aresa. Twoi przyjaciele – Czerwona, Różowa i Fioletowy – dali się złapać.

– Komu?

– A jak myślisz? Szakalowi.



## Podarki

Mój statek ląduje wśród porannej śnieżycy w Attyce, mieście w południowych górach, które wzniesiono na siedmiu szczytach. Spiczaste budynki ze stali i szkła, które porastają szczyty jak lodowe cierniowe korony, są teraz przyprószone świeżym puchem. Czerwone poranne słońce wynurza się zza górskiego pasma na wschodzie. Mosty łączą siedem szczytów, a mniej ważne dzielnice miasta rozlewają się u podnóża gór. Mój prom przelatuje nad nimi. Pługi wytapiają ścieżki w śniegu pulsującymi pomarańczowymi ostrzami. Wkrótce naziemne pojazdy wśród Kolorów popłyną ulicami. Promy nad Kolorów zaczną przewozić Srebrnych i Złotych do ich biur na górskich wierzchołkach. Położona na odludziu i znana ze swoich banków Attyka to główna siedziba władzy. Teraz należy do Szakala.

W ciężkozbrojnej eskorcie myśliwców ląduje na platformie otoczonej przez wieczniezielone drzewa. Czeka tam kilku lurcherów w białych zbrojach taktycznych. Jest z nimi jeden przedstawiciel Złotych. Victra ściska mnie na powitanie. Jej ramiona ciasno otula białe futro. Jej nefrytowe kolczyki pobrzękują na wietrze. Szarzy sprawdzają kadłub mojego statku.

– Victra – mówię.

Odsuwam ją, żeby jej się przyjrzeć. Uśmiecha się szelmowsko i całuje mnie w policzek, łapiąc przy okazji za pośladek. Aż podskakuję zaskoczony. Śmieje się wesoło.

– Tylko się upewniam, że wszystkie kawałki są na swoim miejscu. Martwiliśmy się o ciebie, kochanie. Roque informował mnie o twoim stanie, kiedy spędzałam czas u Lorna.

– Słyszę, że negocjujesz kolejny sojusz.

– Kto by pomyślał: Victra au Julii rozjemczynią.

Szarzy dają mi znać, że mają rozkaz przeszukać mój statek.

– Ragnar! – wołam.

Obsydianowy wychodzi na zewnątrz; jest prawie dwa razy większy od najwyższego Szarego.

– Niech myszy przeszukają statek. Szukają...

Szary zerka na Ragnara, przełyka ślinę.

– Bomb, dominus.

Victra odprowadza mnie do nowego domu Szakala – fortecy na najwyższym szczycie Attyki. Miasto rozciąga się daleko pod nami. Drzewa rosną wzdłuż ścieżki prowadzącej z lądowiska.

– Adrius zajął cytadelę zaraz po tym, jak statki rodziny Bellona się wycofały. Przybył z tysiącem lurcherów i usunął sojuszników Bellony, którzy byli właścicielami tego miejsca. Zagarnął wszystko, co mieli. Opróżnił ich konta bankowe. Kradzież na całego. Ale taka jest wojna. – Kiwa głową na zachód. – Cudowne stoki raptem parę kilometrów stąd. Wybierzemy się tam na parę dni, kiedy już wszystko się uspokoi. Przywieziesz Virginie, a ja znajdę sobie faceta. – Victra jest prawie mojego wzrostu; zerka na mnie z ukosa. – Jeździsz chyba na nartach, co?

Parskam śmiechem.

– Nigdy nie miałem czasu.

\*\*\*

Zastajemy Szakala w salonie. Ściany i podłoga pomieszczenia są zrobione ze szkła. Ogień kłębi się pod podłogą, liżąc kolumny koło okna. Kilka minimalistycznych krzeseł ze stali i skóry stoi na rozrzuconych futrzanych dywanach. Szakal garbi się nad holoEkraniem, rozmawia z kimś cicho. Daje nam znać, żebyśmy siadali. Na holo widzę Harmony w ciemnym pokoju otoczoną przez Szarych. Jeden pochyła się nad nią, majstrując przy urządzeniu, którego do końca nie widzę.

Siadamy przy ogniu, ale ogarnia mnie zimno, którego żadne płomienie nie przegonią.

Szakal kończy i podaje infoNośnik Sun-hwa, która zaraz wychodzi, a on dosiada się do nas, pocierając kark.

– Tyle ruchomych części... – Krzywi się. – Do diabła, samo zorganizowanie dostaw jedzenia wymaga setki Miedzianych. A te wstrętne wypierdki cały dzień spędzają na wyklócaniu się, czy w kambuzie należy podawać muesli czy granolę. Jedno i drugie, to też jest opcja. Jedno i drugie! Tak trudno na to wpaść? Jakby arkusze kalkulacyjne i bezproduktywność sprawiały im frajdę. W głowie się nie mieści.

– Cały czas mu powtarzam, że powinien bardziej efektywnie delegować obowiązki.

Czyli ta dwójka też współpracuje. Mam zaległości.

– Deleguję – odpowiada Szakal. Drapie się po głowie. – Przynajmniej w kwestii liczb i szczegółów. Wy dwoje możecie sobie podbijać wszystkie

przeklęte planety, które zechcecie. Biurokrację zostawcie mnie, bardzo was proszę.

– Jakie to miłe z twojej strony. – Śmieję się. – Tylko nie każ mi zamawiać zaopatrzenia. – Pochyliam się do przodu. – Podobno flota będzie gotowa wyruszyć do Rdzenia za dwa tygodnie. Nawiasem mówiąc, masz śliczny nowy domek.

– Mi także się podoba. – Wzdycha. – Ojciec jest oczywiście wściekły, że wziąłem go dla siebie, bo chciał go oddać w prezencie jednemu z gubernatorów Gazowych Olbrzymów.

– Myślę, że na niego zasłużyłeś – odpowiadam. – Zresztą nie tylko na niego.

– Właśnie. – Szakał ze znużeniem macha jedyną ręką. – Jako dzieciak przyjechałem tu z matką na narty. Zawsze patrzyłem na ten dom i powtarzałem, że będzie mój. Ojciec powiedział, że nie można mieć wszystkiego, czego się chce.

– A ty zapytałeś „Czemu nie?” – mówi Victra. Słyszała już tę historię.

– „Czemu nie?” – powtarza z rozczerwieniem Szakał. – Jeśli więc ojciec chce odzyskać ten dom, to niech sam pilnuje zaopatrzenia.

Wszyscy wiemy, że to nie zaopatrzenie wypełniało mu czas. Nie całkowicie.

Przyjmuję filiżankę herbaty od Różowej. Dostaję skromne śniadanie. Jestem siedem godzin do tyłu w stosunku do tej strefy czasowej, ale nie mogę zdradzić, jak bardzo się denerwuję.

Szakał patrzy, jak nadziewam kawałek melona na widelec. Kto wie, jakie myśli snują się za tymi brudnozłotymi oczami?

– Oto Darrow, w porę wyleczony i połatany przed wielką bitwą.

– Wciąż dochodzę do siebie. Chociaż nie dzięki twoim mediom. Według wszystkich programów hP stałem się nieśmiertelny, odkąd Karnus mnie rozkroił.

– To część gry, mój łaskawy panie. Percepcja, podstęp, media! – Klepie się po udzie, ale w jego oczach nie ma wesołości. – Daj znać, a oficjalnie ogłosimy, że odzyskałeś zdrowie. Urządzimy konferencję prasową. Ubierzemy cię w zbroję, moi Fioletowi budują ci już coś naprawdę porządnego. Współpracują z Zielonymi, żeby stworzyć dla ciebie prawdziwy cud formy i techniki.

– Wiesz, że nienawidzę kamer.

– Oj, przestań jójczyć. To dzięki nim zyskałszy połowę naszych sojuszników. To dlatego Suwerenka miota się jak pajak na lodzie. Jej koalicja jest... zestresowana.

– W takim razie załatwimy to dzisiaj – oznajmiam. Wyglądam przez okno, przypominam sobie słowa Roque’a. – Chciałem chwili pokoju, ale... – Oni też zaczynają wyglądać na padający śnieg i odległe miasto w dole. – Pewnie jeszcze na to nie zasłużyliśmy. I w ten sposób dochodzę do powodu, dla którego zwołałem to spotkanie.

– Przyznaję, że jestem zaniepokojony.

– Umiera wręcz z ciekawości – poprawia Szakala Victra.

Kiwam głową Ragnarowi, który wszedł za mną i Victrą do pokoju. Podchodzi bliżej, niosąc dwa pudełka z mojego statku.

– Chciałem wam coś dać. Nasz sojusz miał... ciekawy początek. Chcę jednak, żebyście oboje wiedzieli, jak zależy mi na nim i na was obojgu. Mam nadzieję, że uznacie to za przejaw mojego zaufania.

– Zawsze ufaj Splamionemu, który przynosi dary – rechoce Victra, patrząc na Ragnara. – Psiakrew, odejdz stąd, jesteś jak drzewo, które zasłania całe światło, Ragnarze.

– Ragnarze, poczekaj na zewnątrz – mówię.

Szakal nawet nie patrzy na Obsydianowego. Siła fizyczna go nudzi.

Victra pstryka palcami, żebym znowu skupił się na niej, i rozpakowuje pudełko, w którym znajduje małą kryształową buteleczkę, którą Theodora zamówiła w moim imieniu u Rzeźbiarzy na Paksie jeszcze przed oblężeniem Marsa.

– Petrichor – mówię, kiedy otwiera buteleczkę.

Pokój wypełnia się zapachem kamienia po pierwszych kroplach deszczu. Victra dziękuje mi, kładzie poblżnioną rękę na moim przedramieniu i przyciska buteleczkę do piersi.

– Nikt nie pamięta takich rzeczy. Dziękuję, Darrow. – Siedzi przez chwilę, a potem szybko wstaje i całuje mnie w usta.

Wolałbym w policzek.

– Moja kolej. – Szakal rozwija prezent jedyną ręką. Rozrywa papier, uśmiechając się szeroko. Otwiera skórzane etui i milknie na dłuższą chwilę. – Darrow, nie powinienś być...

Urywa nagle, bo ze ścian wokół emanuje przenikliwy dźwięk alarmu.

Szara lurcherka wpada do salonu z wyciągniętą bronią, towarzyszy jej czterech kompanów.

– Dominus, mamy wyłom na niższym poziomie. Musimy odeskortować cię do bezpieczniejszego pokoju.

– Kto? – chrypi Szakal.

Victra i ja wyciągamy brzytwy. Szara już ma odpowiedzieć, kiedy alarm urywa się nagle i zostaje zastąpiony przez pozbawiony wesołości śmiech.

Śmiech niesie się z głośników, rozbrzmiewa echem. Światła przygasają. Podbiegamy do drzwi. Mały metalowy pajak z brzękiem przyciska się do okna. Szkło się topi. Mój wzrok i słuch znikają, zostaje tylko wysoki, przenikliwy skowyt. Potykam się, oszołomiony przez granat rozbłyaskowy.

Ciemne kształty wpadają do pokoju. Mrugając, spostrzegam maski kakodemonów. W potwornych obliczach żarzą się czerwone oczy. Nadeszli Synowie Aresa. Zabijają strzałami Szarych i kopniakami obalają nas na ziemię. Ragnar wpada z korytarza i obrywa trzy razy energoPięścią. Pada jak ścięte drzewo. Jeden z zamaskowanych intruzów pochyla się nad Szakalem. Kiedy odzyskuję słuch, orientuję się, że z wrzaskiem domaga się kodu wejściowego do mainframe'u całego obiektu. Wpycha Szakalowi lufę miotacza do ust. W końcu Szakal podaje kod.

– Niezły z niego Złoty – chrypi zniekształcony głos.

Wiem, że Sevro ukryty za maską niczego tak by nie chciał, jak pociągnąć za spust, przez chwilę myślę nawet, że to robi. Jednak czeka na mnie, tak jak się umówiliśmy. Wstaję więc niemrawo, otrząsając się ze skutków granatu rozbłyaskowego, wyrywam broń jednemu z intruzów i strzelam do nich. Oni strzelają do mnie. Obie strony pudłują. A potem wszyscy znikają – wycofują się przez okno. Szarzy leżą martwi na ziemi. Victra krwawi z płytkiej rany głowy, podnosi się. Szakal próbuje wstać, krew kapie mu z nosa.

Bez słowa sprawdzamy drzwi do pokoju. Są zamknięte. Synowie Aresa mają teraz kontrolę nad mainframe'em. Szakal opiera czoło o drzwi. A potem cofa głowę i uderza w metal raz za razem, aż krew zalewa mu twarz. Muszę go odciągnąć, zanim roztrzaska sobie czaszkę. Śmieje się ponuro przez chwilę, zanim się otrząśnie.

– Dwa razy – gotuje się. – Dwa razy podnieśli na mnie rękę. – Zwierzęcy dreszcz przebiega mu ciało. – Byłem o krok od złamania ich. Jeszcze dzień, może dwa i rozgryzłbym ich.

– Kogo? – pyta Victra.

Szakal nie odpowiada.

– Kogo, Adriusie? – dopytuje się. – Kto to, u diabła, był?

– Terroryści. Przyszli po złapanych Synów Aresa – odpowiada niecierpliwie. – Jednym z nich była ta Różowa dziwka, która próbowała nas zabić na Lunie, Darrow. Wtedy to jednak nie była robota Pliniusza. To byli Synowie Aresa. Drugą była jego prawa ręka, nazywają ją Harmony. Był z nimi jeszcze Fioletowy. Rzeźbił dla nich żołnierzy.

– Trzymałeś tu złapanych Synów Aresa? Kiedy zamierzałeś nam o tym powiedzieć? – warczy Victra, podnosząc się po tym, jak sprawdziła puls martwego Szarego.

– Wcale. Dopóki nie dowiedziałbym się, kim jest Ares.

– Co jeszcze przed nami ukrywasz? – pytam. – To miało być partnerstwo. – Przewracam kopniakiem stół. – Po co masz mnie, psiakrew, jeśli nie po to, żebym chronił cię przed takimi rzeczami?

– Moja wina, moja wina – kaja się Szakał. Przełyka krew i podchodzi do pustego miejsca po szybie, łapiąc mnie po drodze za ramię. Wiatr wyje w salonie. – Obroniłeś mnie. Znowu. Dziękuję.

Krzywię się i chmurzę w stosownie teatralny sposób.

– To nie mogli być Czerwoni – rzucam z goryczą. – To nie mogli być Synowie Aresa. Nie daliby rady tego zrobić, nie mnie. Nie Ragnarowi. – Pomagam Splamionemu wstać. – Byli za dobrze zorganizowani. Mieli grawiButy.

– Nie doceniasz ich, przyjacielu – mówi Szakał. – Oni też potrafią pociągać za spusty. I pociągnęliby za nie, przyciskając lufy do naszych głów, gdybyś ich nie powstrzymał.

– Psiakrew, jak przeniknęli tu mimo twojej ochrony? – pyta Victra. – Mieli lokalizatory? Zakłócacze? Znali sygnatury grawiButów?

– Nie wiem – przyznaje Szakał.

Synowie Aresa w widmoPłaszczach przywarli do kadłuba mojego statku jak pąkle.

– Kto jeszcze ostatnio tu był?

Szakał się rozgląda, tak jak miałem nadzieję. Wzywa swoich ludzi przez system łączności na biurku. Po chwili ogląda się na nas.

– Sun-hwa – szepcze. – Jej ludzie nie żyją, a ona przepadła bez śladu. Ostatni atak też przeżyła. – A potem się śmieje. – Zdradziła mnie.

Kiedy zobaczy pieniądze przesłane na jej konta, będzie miał wszystkie dowody, jakich potrzebuje, żeby przypisać winę szefowej swojej ochrony. Tyle że Sun-hwa jest wierna jak pies i leży martwa w ładowni promu, który w tej chwili odlatuje z zimowej cytadeli Szakała razem z Fitchnerem, Sevro i moimi przyjaciółmi – niedawnymi więźniami Szakała.

Podchodzę do niego, kiedy Victra znowu sprawdza drzwi. Razem patrzymy, jak statek odlatuje i znika za górami. Mówię cichym, groźnym tonem:

– Zabijemy te szczury razem, obiecuję. Wybijemy je wszystkie, co do jednego.

– Najpierw Suwerenka – odpowiada Szakał, klepiąc mnie po plecach. – Najpierw Suwerenka.

## Braterstwo

Ściskam Dancera tak mocno, że coś mu strzela w plecach. Przepraszam i odsuwam się, czując się przy nim jak Telemanus. Stoimy w dawnym warsztacie, mieszczącym teraz biuro. Na zewnątrz, w magazynie Synów Aresa, praca wre. Wprowadzono mnie tutaj bocznymi drzwiami i kazano mi czekać na Dancera wśród starych silników i zardzewiałych pojazdów latających.

Dancer odsuwa się ode mnie i podnosi wzrok, w jego rdzawych oczach błyszczą łzy. To zdumiewające: pomyśleć, że kiedyś uważałem go za przystojnego. Jest po czterdziestce; stary jak na Czerwonego. Włosy mu siwieją. Ma twarz pomarszczoną z powodu wieku i trudów życia. Prawa ręka zwisa mu bezwładnie. Nadal powłóczy jedną stopą. Jego uśmiech jest dostatecznie szeroki, żeby odsłonić nierówne, nieidealne zęby.

– Mój chłopcze – mówi, łapiąc mnie za ramię lewą ręką. Jest silniejsza niż cała jego reszta razem wzięta. Pachnie tytoniem. Ma żółte paznokcie. – Mój cudny, parszywy łajdak. Psiajucha, wyglądasz wspaniale! – Śmieje się, nie może przestać. Potrząsa głową. – Brak mi słów. Przykro mi, że nie mogłem się z tobą skontaktować. Przepraszam, że pozwoliłem Harmony, żeby tak się tobą posłużyła. Wielu rzeczy żałuję, Darrow.

– Przestań. – Łapię go za kark. – Jesteśmy braćmi. Nie ma potrzeby przepraszać. Wiąże nas krew i przeszłość. Proszę jednak, proszę, nie pozwól, żeby to się powtórzyło. – Kiwa głową. – Wiesz, jak się miewa moja rodzina?

– Żyją. Nadal pozostają w kopalniach. Wiem, wiem, ale to dla nich najbezpieczniejsze miejsce w czasie wojny. Nikt nie chce wysadzić w powietrze marsjańskiego przemysłu. Dotarło? – Macha ręką, żebym siadał. – Nie znam wielu Złotych, ale ten Sevro to paskudny wypierdek. Kiedy poleciałem na Obrzeże, żeby dostarczyć mu rozkazy od ojca, myślałem, że rozpląta mnie od gęby po dupę. – Zapala szluga i mruga do mnie porozumiewawczo. – Nigdy nie poznałem nikogo takiego jak on.

– Jest skrajnie lojalny – odpowiadam. – Tak jak ty.

– Nie! Mam na myśli, że przeklina lepiej od parszywego Czerwonego.

– Sevro przeklina? – Uśmiecham się. – Chyba człowiek się przyzwyczaja. Chociaż rzeczywiście ostatnio często mówi „parszywy”.

– To świetnie słowo. Samo wypływa z ust. Badałem tę kwestię. – Wypina dumnie pierś. – Towarzyszy nam od czasów pierwszych przodków, wiesz? Pierwsi Złoci, ci z normalnymi oczami i w złotych mundurach, zebrali większość pierwszych rekrutów na wyspach irlandzkich, po tym, jak promieniowanie z Londynu zamieniło je w pustkowia. Zgarnęli wysoce wyspecjalizowaną koczowniczą siłę roboczą i zrobili z nich Pionierów. Ich slang przetrwał, trochę tylko zniekształcony. Historia jest fascynująca, nie?

– Harmony wymyślała własną.

– Zgadza się. Ja nie żyję!

Kręci głową i zapala następnego szluga; poprzedniego rzuca na podłogę. Podnoszę go i wkładam do kosza.

– Poszła swoją drogą mniej więcej rok po tym, jak odszedłeś – ciągnie Dancer. – Odkryliśmy, że paru senatorów będzie spędzało wakacje nad Morzem Gorgon. Wpadliśmy tam, żeby podłożyć pluskwy w willi, w nadziei, że poznamy jakieś sekrety. Nic z tego. Usłyszeliśmy tylko mnóstwo... gówna wartych bezceństw. I myśleliśmy, że na tym się skończy. Ale Hormony miała inne plany. Ostatniej nocy weszła tam i zabiła senatorów oraz ich gości. A potem odeszła od nas.

– Czyli nie było żadnego ataku lurcherów na waszą kwaterę główną?

Kręci głową.

– Pojawili się z jej powodu. Zabili około czterdziestu Synów Aresa. Ona jednak już wtedy poleciała na Lunę. Ares nas uratował. Uderzył ostro, prowadząc mieszaną drużyną Szarych i Obsydianowych. Załatwił tych lurcherów, a potem wymknął się przed przybyciem posiłków. Całe szczęście, że zabił wszystkich. Z pewnością zorientowaliby się, że jest Złotym. To był pierwszy raz, kiedy spotkaliśmy się twarzą w twarz. Psiajucha, to przerażający facet.

– Nie tego słowa bym użył. – Chociaż może jest trafne, zważywszy, jak mnie zwiódł. – Nie przeszkadza ci, że jest Złotym?

– Jemu nie przeszkadza, że jesteśmy Czerwoni. Ares umarłby dla sprawy, Darrow. W mordę, przecież to on to wszystko zaczął! Wiesz dlaczego?

Kręcę głową.

– To jego historia. – Dancer przesuwając dłoń po śladach po ukąszeniach żmii jaskiniowej na szyi. – Każdy człowiek ma prawo do własnej historii. Ale ta jego nie była szczęśliwa. Równie smutna jak twoja. I jak moja. Odrzyj człowieka z tego, co kocha, i co zostanie? Tylko nienawiść. Tylko gniew. On jednak pierwszy zrozumiał, że może istnieć coś więcej. Znalazł mnie. Znalazł ciebie. Kim, psiajucha, jesteśmy, żeby w niego wątpić?



Drzwi otwierają się nagle. Odwracamy się obaj, kiedy wchodzi utykający na jedną nogę Mickey. Wygląda jak na wpół martwy, jest chudy jak patyk, bledszy niż wcześniej. Bez słowa kuśtyka do mnie i całuje mnie prosto w usta; rozpaczliwy i szczery wyraz uczuć. A potem zaczyna płakać jak dziecko. Obaj z Dancerem nie wiemy, co robić, więc obejmuję go ramieniem i pozwalam mu się wypłakać. Szepcze „dziękuję” kilkanaście razy.

Co oni mu zrobili? Nieważne. Wiem, czego uczy się Szarych, żeby umieli wydobywać informacje. Mówi, że nic im nie powiedział. Mimo to muszę się przekonać, czego Szakał się dowiedział. I co wydedukował na podstawie tego, co znalazł w laboratorium Mickeya.

Patrzę ponad jego głowę i widzę, że w drzwiach stoi Fitchner. Uśmiecha się smutno. Po długiej chwili Mickey się odsuwa.

– Próbowałem cię ostrzec, kiedy przyszedłeś do nas na Lunie – tłumaczy przepraszającym tonem. – Chciałem powiedzieć, żebyś uciekał. Zabiłaby mnie jednak, gdybym powiedział coś więcej. Bałem się, że prędzej uwierzysz jej niż mnie.

– Uwierzyłbym ci, Mickey.

– Tak? – Pociąga nosem. – Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz. Powiedziałem, że mój kochany chłopak ma za dobre serce, żeby zapomnieć o Mickeyu, ale ona splunęła na mnie. Powiedziała, że jestem handlarzem niewolników. – Zwiesza głowę i znów pociąga nosem. Jest taki bezbronny, taki wycieńczony. Prawie oszalał po tym, co zrobili mu w sali tortur Szakała. – Miała rację, jestem nim. Jestem nikczemny. Krzywdzę chłopców i dziewczęta. Sprzedaję ich, nawet kiedy ich kocham. Oczywiście, że miała rację. Po co miałbyś przychodzić? Dlaczego zechciałbyś mieć coś wspólnego z podłym, nędznym Mickeyem?

– Bo jesteś moim przyjacielem. – Unoszę jego ręce do ust, całuję je delikatnie, kiedy on podnosi na mnie pełne nadziei oczy. – Mimo że jesteś dziwny, mimo że jesteś nikczemny. Wiem, że chcesz być lepszy; że chcesz znaleźć w życiu coś więcej. Jak my wszyscy. I nie ma takiego miejsca, do którego można by zabrać jednego z moich przyjaciół, żebym po niego nie przyszedł.

Dobrze jest mówić prawdę.

– Dziękuję, mój książę – odpowiada cicho.

Prostuje się potem i znajduje dość sił, żeby odwrócić się i wyjść z biura. Fitchner zamyka drzwi.

– To było wzruszające.

Kiwam głową. Takim człowiekiem wolę być. Nie takim, który nieustannie się pilnuje. Który kłamie w żywe oczy. Pewnie nawet nie wiedziałem aż do tej

chwili, jak bardzo polubiłem Mickeya. Nie dlatego, że pomógł mnie stworzyć, ale dlatego, że zawsze tak bardzo mnie kochał. Nawet jeśli była to dziwna miłość, to była to miłość prawdziwa. Naprawdę wierzę, że chce się stać człowiekiem, którego w jego mniemaniu bym szanował. Tak jak ja chciałem być mężczyzną, jakiego Eo i Mustang by szanowały. To dobry rodzaj miłości.

– Musimy porozmawiać, Fitchner – odzywam się.

Wcześniej nie mieliśmy okazji. Sevro przyszedł do mnie z planem Dancera: mam zwołać spotkanie, przewieźć Synów Aresa uczeplonych mojego statku, pomóc im przeniknąć do wnętrza budynku. Ja tylko zasugerowałem, żeby zrobić kozła ofiarnego z Sun-hwa, i dałem im znać, że Victrze nie może stać się krzywda.

– Zostawię was – mówi Dancer, odsuwając się na metalowym krześle, żeby wstać.

– Nie, chcę, żebyś został – powstrzymuję go. – Mam zbyt wiele sekretów przed zbyt wieloma ludźmi. Nie chcę, żeby pojawiły się kolejne w naszej trójce.

– Naucz się liczyć, dupku – odzywa się Sevro, wychodząc zza zardzewiałego bloku silnika.

Tanie metalowe drzwi prowadzące na zewnątrz zatraskują się za nim. Nawet w brudnej od smarów fabrycznej dzielnicy Agei pachnie jesienią. Sevro wskakuje na zardzewiałe podwozie starego myśliwca, siada i zwiesza nogi.

– Ej, popatrzcie, chociaż raz zebrały się same kutasy. Poopowiadajmy sobie seksistowskie dowcipy.

Odwracam się ze śmiechem do Fitchnera.

– Zatem to ty jesteś Aressem.

– Facet wychodzi ze śpiączki i od razu jest geniuszem! – warczy Fitchner. Klaszcze w ręce, ale ma śmiertelnie poważnie oczy. – Większość mówi mi Tombak. Uczniowie nazywają mnie rewizorem. Niektórzy nazywają mnie Rycerzem Gniewu. Suwerenka zdrajcą. Mój syn dupkiem...

– Bo jesteś dupkiem – wtrąca Sevro.

– ...a moja żona nazywała mnie Fitchner. Jednak Złoci zrobili ze mnie Aresa.

Wcześniej nie wiedziałbym, co ma na myśli. Przecież jest Złotym. Jak Złoci mogliby mu cokolwiek narzucić? Teraz jednak zerknąłem za kurtynę.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś mi, kim jesteś?

– Żeby moje życie zależało od zdolności aktorskich nastolatka? – Rechoce.

– Nie sądzę. Gdyby cię zdemaskowali i poddali torturom... byłoby źle. Miałem alternatywne plany, kułem już inne żelaza. Tak się składało, że byłeś moim ulubieńcem. Nie możemy jednak być stronnicy.

- Kim była twoja żona? – pytam, chociaż domyślam się odpowiedzi.
- Chcesz usłyszeć całą historię, czy tylko skrót?
- Całą.

– Pracowałem jako łącznik dla firmy terraformującej na Trytonie – zaczyna szorstko. – Nie miałem prestiżowej pracy jak ty. Żadnych brzytw. Żadnej zbroi. Tylko zarząd budowy. Kontrakt dzierżawił Srebrny. Kierowałem pracą jednego z ostatnich silników Lovelocka na biegunie północnym, kiedy erupcja jednego z tamtejszych przeklętych gejzerów spowodowała trzęsienie ziemi. Skorupa lodowa popękała, cały silnik wpadł do podziemnego morza. Utonęły trzy tysiące ludzi. Wyłowili mnie z morza i przez kilka miesięcy dochodziłem do siebie w arktycznym szpitalu. Przebywałem w skrzydle dla nadKolorów. Dawali nam dobre jedzenie. Mielśmy lepsze prysznice. Nowsze łóżka. Ale podKolory miały okno, z którego było widać zorzę polarną. A ona miała łóżko koło tego okna.

Podnosi wzrok na Sevro.

– To była najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem. W dodatku z twarzy też niebrzydka. Straciła nogę w wypadku. Nie chcieli jej dać nowej. A mogli. Zwykłą bioniczną. Miedziani uznali, że to nieopłacalne. To najbardziej zasrany Kolor, jaki stworzono, przysięgam na...

Sevro odchrząka.

– Wiemy.

Fitchner rzuca w niego jakimś śmieciem i opowiada dalej:

– Kiedy wychodziłem, zabrałem ją ze sobą. Zaoszczędziłem dość pieniędzy, żebyśmy mogli opuścić Trytona. Nie stać nas było na życie w Rdzeniu. Dlatego wybrałem Marsa. Przez rok mieszkaliśmy pod Nowymi Tebami. Rozpaczliwie pragnęliśmy mieć dziecko, ale nasze DNA nie były kompatybilne. Dlatego poszliśmy do Rzeźbiarza, żeby przekonać się, czy nie damy rady czegoś wyczarować. I udało nam się. Wydałem na to prawie wszystko, co miałem, ale dziewięć miesięcy później pojawił się ten oto mały Goblin.

Sevro macha do nas ze swojej grędy. Przygląda się śmieciom, jakby mógł tam znaleźć coś do jedzenia.

– Dwa lata później Komisja Kontroli Jakości dopadła tamtego Rzeźbiarza za jakąś robotę, którą wykonał na Obsydianowym gladiatorze. Od razu nas wsypał, żeby zmniejszili mu wyrok. Przyszli do naszego domu, kiedy wyjechałem z Sevro. Zastali moją żonę, zabrali ją na przesłuchanie. Ich lekarze zauważyli, że ma zmodyfikowane jajowody, żeby mogła mieć dziecko ze Złotym. Została usunięta. Dokładnie tak to ujęto w protokole: „usunięta”. Zagazowali ją achlys-9, wsadzili ciało do pieca i wyrzucili popioły do morza.

Nie nadali jej nawet imienia, tylko numer. Nie dlatego, że była złodziejką, morderczynią albo pogwałciła prawa innego człowieka, ale tylko dlatego, że była Czerwoną, która ośmieliła się pokochać Złotego. Zabiła ją moja egoistyczna miłość. Było inaczej niż z tobą i twoją żoną, Darrow. Nie patrzyłem, jak umiera. Nie widziałem, jak Złoci zjawili się w moim świecie i go zniszczyli. Zamiast tego poczułem zimno systemu, który połknął jedyną rzecz, dla jakiej żyłem. Miedziany przyciskający guziki, wypełniający arkusze kalkulacyjne. Brązowy obracający gałkę, żeby wpuścić gaz. Zabili moją żonę, ale nigdy w ten sposób o niej nie pomyślą. Nie jest dla nich wspomnieniem. Jest elementem statystyki. Jakby nigdy nie istniała. Duch, którego kochałem, ale którego nikt inny nie spostrzegał. Oto, co robi Wspólnota: rozkłada winę tak, że nie ma złoczyńcy, przez co próby odnalezienia go i domaganie się sprawiedliwości stają się bezowocne. To po prostu maszynaria. Proces. I trwa, trwa nieubłagane, aż powstanie całe pokolenie, które rzuci się w jego tryby.

– Jak się nazywała?

– Jak się nazywała? Dlaczego to ma znaczenie? – pyta ostrożnie.

– Bo chcę ją zapamiętać.

– Bryn – odpowiada siedzący wysoko Sevro. – Moja matka miała na imię Bryn. Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy ją zabili.

Raptem rok więcej, niż ja mam teraz.

– Bryn – powtarzam słowo i widzę, że Fitchner kołysze się lekko na stopach. Płycej oddycha.

– Czyli jesteś półkrwi Czerwonym – mówię do Sevro.

Kiwa głową.

– Dowiedziałem się dwa dni temu. Cholernie dziwne, wporzo mówię?

– Cholernie dziwne. Będzie z ciebie dobry Rdzawy.

– Lubię myśleć, że jestem gatunkiem zagrożonym.

Dancer obraca zapalną w palcach.

– Jak my wszyscy.

– Wiedziałeś o Titusie – znów zwracam się do Fitchnera.

– Ale Dancer nie wiedział. Nie miej do niego pretensji. Myślałem, że będziecie braćmi w Instytucie. Naturalna sympatia dla własnej rasy. Niestety on poszedł w mrok i nie dało się go już stamtąd wyciągnąć. Spotkałem się z nim: zakłócaacz, widmoPłaszcz, tak jak spotkałem się z tobą. Tyle że jego umysł rozpadł się pod naciskiem. Nie chciałem widzieć, jak to samo dzieje się z tobą.

– Ja też się rozpadłem. – Patrzę na Sevro, na Dancera. – Po prostu miałem przyjaciół, którzy poskładali mnie z powrotem. Dlaczego nie powiedziałeś Titusowi i mnie, że jest nas dwóch?

– Wtedy jego błędy stałyby się twoimi, a twoje jego. Podczas sztormu nie zwiążujesz ze sobą dwóch łodzi, bo zatopią się wzajemnie. – Fitchner odchrząkuje. – Zawsze wiedziałem, że Złoty nie może poprowadzić tej rebelii. To musi być ktoś z dna, młody. Dla Czerwonych najważniejsza jest rodzina. Bardziej niż dla jakiegokolwiek innego Koloru. Dla nich liczy się miłość pośród całej zgrozy świata. Jeśli Czerwoni powstaną, mają szansę powiązać ze sobą różne światy. ŚródKolory nie zdołają tego zrobić. Różowi czy Brązowi tego nie potrafią. Obsydianowi już raz zawiedli. A gdyby udało im się dokonać tego samotnie, zniszczyliby światy, zamiast je wyzwolić.

– Na czym zatem polega plan? – pytam. – Schrzaniłem to, czego dokonałeś, straciłeś przeze mnie pozycję obok Suwerenki.

– Trudno się tobą manipuluje, Darrow, więc przejdę do rzeczy. Augustus cię adoptuje. Nie jesteś zaskoczony...

– To ma sens. Chce związać mój los ze swoją rodziną. Pewnie każe mi poślubić Mustang. Namaści mnie na swojego następcę, ale w ten sposób zniszczy mój sojusz z Szakalem.

– Myślisz, że Szakal w ogóle się tym przejmie? – pyta Sevro. – Sprawia wrażenie, jakby porzucił wszelką nadzieję na zdobycie aprobaty ojca. Parszywy łajdak buduje własne imperium.

– Przekonam się.

– Pozbądź się Szakala – mówi dalej Fitchner – albo spraw, żeby stał się częścią planu, nieważne. Augustus adoptuje cię jako swojego dziedzica. Posłuży się tobą w roli pretora swojej armady. Jeśli pokonasz Suwerenkę, nie wystarczy mu pozycja króla Marsa. Będzie chciał zostać Suwerenem. Pomóż mu. Po roku jego rządów Sevro go zabije i zwali winę na rywala, może na Szakala...

Terasz ja zaczynam kołysać się na stopach.

– Chcesz, żebym odziedziczył imperium – domyślam się. – Całą Wspólnotę.

Gapię się na niego i na Dancera jak głupek. Jak mogą być tacy poważni?

– Tak – potwierdza Fitchner. – Po jego śmierci wszyscy zwrócą się ku najsilniejszemu. Bądź najsilniejszy. Wygraj w grze o sukcesję, a będziesz mógł zostać Suwerenem, tak jak byłeś Prymusem. Tak jak jesteś pretorem. To wszystko są gry. Tyle że tym razem pomagamy ci oszukiwać. Będziemy podsuwali ci informacje, chronili cię przed próbami zamachu. Mając mnie po swojej stronie, zyskasz siatkę szpiegów, z jaką nie mogą rywalizować nawet Szakal i Suwerenka. Przekupimy, kogo trzeba. Zabijemy, kogo trzeba.

Znowu odruchowo spoglądam na swoje ręce.

– Myślałem, że to już prawie koniec kłamstw. Chcę ogłosić, kim jestem. Chcę wypowiedzieć wojnę.

– Jeszcze nie możemy. Sam przecież o tym wiesz.

Wiem, ale nie chcę porzucić tych ludzi.

– Nie chcę, żebyście znowu wszystko przede mną ukrywali. Będziemy się komunikować. Będziemy planować. Koniec z szarą strefą. Rozumiecie? Nie mogę zostać sam, jak to było do tej pory.

– Zgódź się, Fitchner – odzywa się Sevro. – Bo inaczej ja też się wycofam.

– Będziemy się kontaktować codziennie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie mogę polecić z tobą. Toczy się pewna widmowa wojna, którą muszę się zająć, ale przyślę paru moich najlepszych agentów w zastępstwie. Będziesz miał klikę, której będziesz mógł zaufać. Szpiegów. Zabójców. Kurtyzany. Hakerów. Wszyscy z idealnymi przykrywkami. Wszyscy gotowi zginąć, byle tylko zerwać kajdany. Już nie będziesz sam.

Ogarnia mnie ulga. Jest jednak coś, czego wiem, że nie mogę zrobić.

– Muszę wrócić.

– Tak, będą się zastanawiali, gdzie jesteś – przytakuje mi Fitchner.

– Nie. Muszę wrócić do domu.

– Do domu? – pyta Dancer. – Do Lykos?

– Po co? – zdumiewa się Fitchner. – Czy coś tam na ciebie czeka?

– Moja rodzina. Minęły cztery lata. Muszę ich zobaczyć, zanim to się zacznie. – Patrę im w oczy, każdy z nich jest na swój sposób poraniony i pobliźniony. – Musicie zrozumieć. Świat rozpadnie się wkrótce w sposób, którego nie da się przewidzieć. Udajemy, że wiemy, co robimy, popychając Złotych do wojny. Snujemy własne plany, jakbyśmy kontrolowali sytuację. Ale to nieprawda. Jesteśmy tylko śmiertelnikami, którzy otwierają puszkę Pandory. I nim wszystko wywróci się do góry nogami, muszę przypomnieć sobie, o co walczę. Muszę wiedzieć, że warto.

– Chcesz otrzymać ich błogosławieństwo – domyśla się Dancer. – Jej błogosławieństwo.

Zna moje serce lepiej niż Fitchner. Jeśli mam pozwolić, żeby Augustus mnie adoptował, to najpierw muszę wrócić do domu.

– Nie możesz im powiedzieć, kim jesteś. Nie zrozumieją. – Fitchner robi krok do przodu, nagle zaniepokojony moim stanem. – Przecież wiesz.

– O ile łatwiejsze byłoby to wszystko, gdybyśmy od początku razem konspirowali... Kłamstwo rodzi kłamstwo. Musimy sobie ufać. – Patrę na Sevro. – Zabiorę ją do Lykos.

– Ją? – powtarza Dancer.

– Mustang – mruczy Sevro.

– Nie! – Fitchner prawie krzyczy. – W żadnym razie. Nie. To nie jest warte ryzyka. Teraz jesteś ustawiony. Ona cię kocha! Nie strać tego punktu oparcia z powodu wyrzutów sumienia.

– A jeśli ja ją też kocham?

– Niech to szlag! – przeklina Fitchner. – Szlag, szlag, szlag. Mówisz serio? Myślałem, że to część twojej przeklętej zagrywki. W mordę, młody. Wszystko zniszczysz. Przeklęty idiota. Szlag.

– Wszystko? Właśnie to jest wszystkim. Ona mnie kocha. Nie mogę dłużej się nią posługiwać. Nie wykorzystam tego przeciwko niej. Jeśli nie mogę jej zaufać, Złoci się nie zmienią, a Titus i Harmony mieli rację. Do diabła, Wspólnota ma rację. Ty i ja wiemy, że nie chodzi o nasz Kolor; chodzi o nasze serca. Poddajmy to próbnie.

– A jeśli się myślisz? Jeśli cię odrzuci?

Nie znajduję na to odpowiedzi.

Sevro zeskakuje ze swojej grzędy.

– To wpakuję jej kulkę w łeb – zapowiada.

## Wolny

Garniec to prawdziwe szambo – głębokie na trzysta metrów parne gniazdo z metalu i betonu, cuchnące gorzałą i środkami czystości. Kiedyś wydawał się wieżą nad Błoniami Lykos, jak jakiś wyniosły zamek. Jednak kiedy mój statek opada, Garniec jest tylko pęcherzem z matowego metalu w południowej marsjańskiej tajdze, oddalonym od wspaniałych miast, gdzie ludzie gromadzą się do walki z Octavią au Lune.

Szarzy w środku nie nadają się do niczego więcej niż zastraszanie Czerwonych za pieniądze. I pomyśleć, że kiedyś uważałem takich Szarych jak Dan Paskuda za świetnych żołnierzy. To żalosne ujrzeć, jak słabe i małosłowne były tak naprawdę demony mojej młodości. Jakbym wywodził się z jakiejś pustej, zmyślonej przeszłości.

Nie wiedzieli, że mój statek nadlatuje. Nie wiedzą, dlaczego się tu pojawiam, a ja nie muszę im tego mówić. Rozpierzchają się jak końskie muchy, kiedy wysuwam rampę statku na poczerńnię od silników lądowisko. Obsydianowi ochroniarze wysypują się przede mną. Ragnar góruje za moimi plecami, kiedy idę wśród metalowych kratownic. Każdy z Szarych wiedziałby, jak się dostać tam, dokąd chcę pójść, ale szukam znajomej twarzy.

– Dan? – pytam jednego z Brązowych woźnych. – Gdzie jest?

Wpadam do jednej ze świetlic, gdzie tuzin Szarych gra w karty i pali cygara. Jedna z kobiet zauważa mnie i odrywa się od programu w hP, w którym gadające głowy – Srebrna, Fioletowa i dwie Zielone – dyskutuje o politycznych konsekwencjach podboju Marsa na tle montażu scenek z moich wyczynów. Cygaro wypada jej z ust. Siedzący obok niej mężczyzna strąca je w panice dłonią, kiedy spada mu na nogawkę spodni i przypala materiał.

– Carly, ty tępą dzido. – Podrywa się od stołu. – Niech to szlag. Do diabła, gdzie twoje...

Brzydki Dan obraca się i widzi mnie pierwszy raz od czterech lat. Wyczuwam, jak dostaje gęsiej skórki, kiedy dyscyplina ukryta w jego gnuśnym ciele nagle się budzi i Dan staje na baczność. Nie ma w jego oczach rozpoznania ani strachu, jedynie posłuszeństwo.



To mi nie daje satysfakcji. Dan powinien mieć bezczelny uśmiezek na ustach i pysk paskudny jak hiena. A nie ma. Jest łagodny. Posłuszny. Ma twarz dziobatą po trądziku młodzieńczym. Przetłuszczone włosy, z których nabijaliśmy się z Loranem za jego plecami, zniknęły. Zastąpił je krater łysiny obrębiony kępkami zwieńczonej siwizny. Dan jest tak samo przerażający jak mokry pies. I ja pozwoliłem komuś takiemu zabić Eo.

Jak to możliwe, że go nie powstrzymałem? Byłem aż tak słaby?

– Ogród pod kopułą – mówię. Mój głos wypełnia metalową świetlicę. – Zabierz mnie tam.

I odwracam się na pięcie. Ragnar poklepuje się po udzie.

– **Do nogi, psie.**

\*\*\*

Minęły cztery lata, odkąd ostatni raz tam stałem. Gwiazdy mrugają w szarości nad moją głową, noc naciąga swój kaptur. Ogród jest mniejszy, niż go zapamiętałem. Mniej wypełniony kolorami, dźwiękami. Tego pewnie należało się spodziewać. Jest w nim więcej śmieci. Więcej śladów tego, że Szarzy wykorzystują to miejsce, żeby się rznąć i chlać. Czubkiem buta odkopuję pustą puszkę po piwie. Opakowanie po batoniku znaczy miejsce, gdzie po raz ostatni leżeliśmy z Eo.

Zapamiętałem posłanie z miękkiej trawy. Teraz rosną tu chwasty. Może i wtedy to były chwasty, ale po prostu ich nie zauważyłem. Kwiaty są przywiedle i nędzne. Dotykam jednego z nich palcem i ogarnia mnie smutek, kiedy zerkam w górę przez kopułę na spadające gwiazdy. Prycham. Kiedyś to może i były gwiazdy. Myślałem tak, gdy byłem młodszy. Teraz jednak wiem, że to okręty wojenne, które przygotowują się do ataku na Lunę. Nie wiem, czego się spodziewałem. Nie pozostała tu ani odrobina magii.

Powinienem był zachować to miejsce we wspomnieniach. Byłoby idealne. Zastanawiam się, czy Eo jest w nich bezpieczniejsza właśnie dlatego, że jej nie widzę. Gdybym ją teraz zobaczył, gdybym wrócił, czy byłbym równie zakochany jak wtedy? Czy nadal wydawałaby mi się taka doskonała?

Idę przez ogród. Naprawdę jest niewiele większy od mojej kwatery na Paksie. Jestem szerszy od pni drzew, pod którymi przechodzę. Trawa rzadnie u ich podnóży, gdzie korzenie wynurzają się z ziemi.

Znajduję miejsce, o które mi chodziło. Na grobie Eo rosną kwiaty hemantusa. Dziesiątki. Można by to uznać za cud, gdybym nie pamiętał, że razem z nią złożyłem do grobu pączek hemantusa. Już jej tam nie ma. Wiem

to. Szarzy na pewno ją wykopali i powiesili na Błoniach, żeby gniła tam po tym, jak i mnie powieszono.

Dopiero teraz dociera do mnie mroczna ironia sytuacji. Przyszedłem prosić ją o błogosławieństwo, a jej tu nie ma. Uciekła z tej klatki do Doliny.

Siadam więc ze skrzyżowanymi nogami i czekam na zachód słońca tam, gdzie kiedyś czekałem na wschód. Kiedy słońce zachodzi, gasnące światło wypełnia kopułę krwistym blaskiem. A kiedy znika za horyzontem, zapada gwiaździsta noc nad Marsem.

Śmieję się do siebie.

Ragnar przemyka ze swojego miejsca obok drzwi.

– Nic mi nie jest – mówię, nie odwracając się do niego. – Wyśmiałyby mnie za to, że tu przeszedłem.

– **Śmiech to dar.**

– Czasem tak.

Wstaję, otrzepuję spodnie i zerkam na to miejsce po raz ostatni.

Ogród nie wygląda tak idealne, jak go zapamiętałem. Tak samo ona nie była idealna. Była niecierpliwa. Potrafiła być złośliwa z głupich powodów. Była jednak zaledwie dzieckiem. Nie skończyła nawet siedemnastu lat. Dała z siebie tyle, ile mogła; robiła, co mogła, dysponując tylko tym, co miała. Dlatego zawsze będę ją kochał i dlatego wiem, czy pobłogosławiłaby temu, co muszę zrobić, czy nie. Moje serce nie może zostać w tej klatce, z której ona sama uciekła. Muszę iść dalej.

## Zarządca

Zarządca kopalni, Timony cu Podginus, czeka na mnie w otoczeniu Szarych strażników, ubranych teraz w najlepsze galowe mundury. Jeden trzyma tacę z serem, daktylami i najlepszym kawiozem od Podginusa. Albo może jedynym, jakim dysponuje. Brzydki Dan zniknął.

– Lord Andromedus, nieprawdaż? – grucha Podginus, siląc się na wyniosłą wymowę, którą tak lubią zadzierający nosa Miedziani. Przytył. Włosy mu się przerzedziły. I poci się jak świnia w skwarze, wachlując się upierścienioną ręką. Zgina się przede mną w dziwacznym ukłonie popularnym w politycznych dramatach pokazywanych w hP. – Właśnie sprawdzałem ośrodki sprężania urobku... – pewnie tak naprawdę siedział w burdelu w okolicy Yorkton, na obrzeżach tajgi – ...kiedy doszły mnie wieści o pańskiej wizycie. Przybyłem najszybciej, jak mogłem, ale i tak proszę o wybaczenie. Zastanawiam się jednak, czy mogę mieć śmiałość zapytać, jaki jest cel pańskiego przybycia? – Żeby mógł sprzedać tę informację ludziom takim jak Pliniusz. Miedziani rzadko mówią to, co mają na myśli. – Nie spodziewamy się inspekcji aż do...

– W uprzejmym towarzystwie grzeczność wymaga, żeby się przedstawić, Miedziany – mówię jak Niezrównany, a nie jak Piks, którego tak ochoczo naśladowę.

– Proszę o wybaczenie! – jęka się zaniepokojony i kłania tak nisko, że chyba uderzyłby nosem o podłogę, gdyby nie solidna poducha w postaci brzucha. – Jestem zarządcą kopalni Timony cu Podginus, sługa uniżony. Czy wolno mi zauważyć, o ile to nie nazbyt śmiałe... – nadal się kłania – ...że prezentuje się pan wspanialej, niż mógłbym się spodziewać? Nie chcę przez to powiedzieć, że nie spodziewałem się, iż będzie pan wysoki i potężnie zbudowany, arcygubernator zatrudnia najlepszych spośród najlepszych, rzecz jasna, ale hP nie oddaje panu sprawiedliwości.

– Możesz przestać się kłaniać.

Prostuje się zawstydzony i zerka na ogród za moimi plecami, gorączkowo szukając powodu, dla którego ktoś taki jak ja zjawiłby się niezapowiedziany w jego kopalni.

– Jak niewątpliwie słyszał pan od innych, zarządcy kopalni nie posiadają się z radości na wieść o tym, że planeta została wyzwolona spod władzy rodziny Bellona. Może i ten ród zna się na wojnie, ale na górnictwie? Phi! Amatorzy.

– Na wojnie najwyraźniej też się nie znają.

Przełykając ślinę, zerka na moją brzytwę, a potem znowu na ogród.

– Piękne miejsce, prawda? – pyta. – Przypomina mi czas spędzony nad rzeką Pyrrus. Tamtejsze tulipany, ach, te kolory! Nie ma niczego piękniejszego, na pewno pan to wie. A czy drzewa nie przypominają brzóz ze stoków Olympus Mons? Zatrzymałem się w tamtejszym Château le Breu. – Wykonuje dziwnie szeroki ruch rękami. – Wiem, wiem, czasem człowiek musi sprawić sobie przyjemność. To właśnie tam odkryłem najoryginalniejszy ser sottocenere. – Uśmiecha się z dumą. – Przyjaciele nazywają mnie Marco Polo, bo uwielbiam podróże. Szukam kultury. Wyrafinowanego towarzystwa, jak niewątpliwie się pan domyśla, a tu za nic się takowego nie znajdzie...

Nie wiem, jak długo próbowałby mi zaimponować, gdybym nie spojrzał na odświętne mundury Szarych, a potem na jego najpiękniejsze pierścienie i nie zmarszczyłbym czoła.

– Coś się stało? – pyta.

– Masz rację.

Zerka oczkami jak paciorki na swoich najlepszych Szarych, szukając czegoś niewłaściwego, co ja zauważyłem. Jego desperacka chęć przypodobania mi się budzi we mnie odrazę. Ten człowiek okradał moją rodzinę. Kazał mnie wybatożyć. Patrzył, jak zabito Eo. Powiesił mojego ojca. Nie jest nikczemny. Jest tylko żałosny w swojej chciwości.

– W czym? – pyta, mrugając powiekami.

– Że nie sposób znaleźć w takim miejscu wyrafinowane towarzystwo.

Zatrzymuję na nim wzrok. Boję się, że zaraz się rozpłacze. Jego widok, tak jak widok Dana, nie działa na mnie w żaden sposób poza tym, że budzi we mnie przedziwny dystans. Chciałem, żeby okazali się straszliwymi, okropnymi potworami, ale nimi nie są. To małostkowi ludzie, którzy niszczą ci życie i nawet tego nie zauważają. Ilu jeszcze takich istnieje?

W panice Podginus wskazuje tacę z serem.

– Sottocenere, mój panie. Pochodzi z Włoch, wyróżniają go nuty lukrecji z domieszką gałki muszkatołowej, odrobiną kolendry, żdziebełkiem goździków i szelmowskim, acz tajemniczym dodatkiem cynamonu i fenkułu na skórce. Jestem pewien, że przypadnie...

– Nie przyleciałem tu po ser.

– Nie, nie, oczywiście. – Rozgląda się nerwowo. – Jeśli mogę zapytać, po co właściwie pan tu przyleciał?

Zaczynam iść. Podginus próbuje dotrzymać mi kroku.

– Ragnarze.

Kiwam głową na tytana, który wyjmuje z kieszeni mały terminal. Pestka potrzebowała niecałej godziny, żeby nauczyć go obsługi tego urządzenia.

– **W ostatnim kwartale wasza produkcja helu-3 spadła o czternaście procent. Wasze przewidywania wykazują deficyt wynoszący trzynaście tysięcy pięćset kilogramów w bieżącym kwartale budżetowym. Pretor Andromedus chce, żebyś mu to wyjaśnił.**

Podginus nie wie, co robić. Patrzy to na mnie, to na Obsydianowego, to na terminal. Jąka się w odpowiedzi.

– Ja... ja... my... mieliśmy problemy z populacją. Graffiti, nielegalne ulotki. – Zwraca się do mnie. – Wie pan, że byliśmy w samym jądrze ruchu Persefony...

Ragnar stuka go w ramię ciężką dłonią.

– **Pretor Andromedus jest zajęty.**

– Ja... ja... – Podginus obraca się do niego. Znalazł się w koszmarze, którego nie rozumie i z którego nie może uciec. – Zapomniałem, co mówiłem...

– **Wykręcałeś się.**

– Wykręcałem się. Wykręcałem się? Jak śmiesz?! – Prostuje się. – Na Marsie trwa właśnie rebelia. Nie ma kopalni, której nie dotknęłyby niepokoje. Moja nie stanowi wyjątku. Doszło do zabójstw, sabotaży. I to nie tylko ze strony Synów Aresa. Brali w tym udział sami górnicy! – Znowu odwraca się do mnie, rozpaczliwie wyczuwając, że jego upadek zbliża się szybkimi krokami. Z trudem za mną nadąża. – Mój panie, wychodziłem z siebie, żeby zastosować należyte metody dławienia niepokoju, tak jak to ujęto w ustępie trzecim, paragrafie A Przewodnika Zarządu Kopalni wydanego przez Departament Energii. Zmniejszyłem racje, surowo karałem za pogwałcenia przepisów i zdyskredytowałem głównych dysydentów, prowokując sytuacje sprzyjające kontaktom homoseksualnym. Wprowadzałem nawet scenariusze rekomendowane w Jak zażegnać zagrożenie rebelią. W ciągu ostatni sześciu lat wprowadziłem Zarazę i lekarstwo, Rebelię i jej stłumienie, Katastrofę naturalną, Migrację żmij jaskiniowych, a nawet rozważałem pakiet Wstrząsy w rządzie pozaplanetarnym! – Zadyszany macha na mnie błagalnie, żebym się zatrzymał. – Żaden człowiek nie sprawiłby się lepiej ode mnie.

– Twoja pozycja nie jest zagrożona.

Drży z ulgi. I nagle podnosi gwałtownie głowę.

– Nie sugeruje pan... – Pochyla się do przodu. – Rozważa pan kwarantannę! Prawda?

– Dlaczego nie miałbym poddać tej kopalni kwarantannie? – Idę korytarzem do lądowiska, na którym czeka mój statek. Tam się zatrzymuję. – Tak jak powiedziałeś, populacja nie zareagowała dobrze na strategii zatwierdzone przez Departament Energii i Komisję Kontroli Jakości. Czemu nie wpuścić tu achlys-9 i nie zastąpić nieposłusznych Czerwonych klanami z bardziej uległych kopalni w pobliżu równika?

– Nie!

Naprawdę łapie mnie za rękę. Ragnar nawet nie zwraca sobie głowy grożeniem grubasowi.

– Zastanów się dobrze, co mówisz – ostrzegam zarządcę.

– Mój panie, nie rób tego. – Łzy rozbłyskują w chciwych, spanikowanych oczkach. – Możliwe, że dochody z mojej kopalni spadły, ale nadal jest cenna, nadal funkcjonuje. To wzór tego, jak należy znosić burze.

– Jesteś prawdziwym wybawcą tego miejsca – odpowiadam kpiąco.

– Tutejsi Czerwoni są dobrymi górnikami. Najlepszymi na świecie. To dlatego są tacy dzicy. Ale już się uspokoiłi. Zwiększyłem rację alkoholu i cyrkulację feromonów w jednostkach napowietrzających. Rozmnażają się jak króliki. Poza tym kazałem moim Gammom pomajstrować przy ich maszynach i mapach. Myślą, że złoża się kończą. Będą trząść portkami w obawie, że nie wyrobią normy. Kiedy naprawimy maszyny, odzyskają dawną determinację. Mogę im nawet powiedzieć, że terraformowanie się zakończyło i za dziesięć lat zacznie się migracja; że Ziemia zaczęła przysyłać imigrantów. Nadal istnieje wiele opcji, zanim przystąpimy do kwarantanny.

Patrzę, jak w końcu milknie, garbi się, wiotczeje, pozbawiony życia jak mokra koszula na wieszaku. To wszystko z powodu jego próżności, czy naprawdę zależy mu na Czerwonych? To była próba, a ja nie potrafię jej rozstrzygnąć. Może na swój sposób naprawdę o nich dba. Kolejny potwór z mojej przeszłości okazał się człowiekiem pod batem Wspólnoty.

– Kopalnia na razie jest bezpieczna. Zatrzymaj swoją siłę roboczą. Zwiększ im rację, zaczynając od dzisiaj. Chcę szczęśliwych pracowników i pełnych szkatuł. Na moim statku znajdziesz zaopatrzenie. Jedzenie i napitki. Masz wyprowadzić Czerwonym ucztę.

– Mój panie... ucztę? Dlaczego?

– Bo ja tak mówię.

\*\*\*

Siedzę sam w pokoju obserwacyjnym i przyglądam się uczcie przez szkło pod nogami. Tysiące Czerwonych piją i jedzą, a młodzież tańczy wokół szubienic do dźwięków Ballady o Staruszkach Hickory. Stoły są zastawione jedzeniem, jakiego ci Czerwoni nigdy nie próbowali, napojami, jakich nigdy nie pili. I chociaż się śmieją, chociaż tańczą, nie mogę odnaleźć w sobie ani krzty radości. Żyją w koszmarze, ale jest to koszmar, który znają. Mogą od niego uciec. Schronić się przed nim. Czy pozostanie im jakieś schronienie, kiedy Synowie Aresa ujawnią wielkie kłamstwo? To zniszczy ich sposób życia. Zagubią się w ogromie światów. Zostaną przez nie skażeni. Tak jak ja.

Rozpoznaję prawie wszystkich. Chłopcy, z którymi się bawiłem, dorośli. Dziewczeta, które kiedyś całowałem, dziś mają dzieci. Siostrzenice, bratanków. Nawet mój brat, Kieran. Ocieram łzy z oczu, żeby nikt ich nie zauważył.

Chłopak porywa dziewczynę do tańca po tym, jak pocałował ją w policzek. Już nigdy nie będę taki jak on. Moja niewinność przepadła na zawsze. Czerwoni nigdy nie zaakceptują mnie jak swojego, bez względu na przyszłość, jaką im dam. Nie jestem zdobywcą, bohaterem. Jestem złem koniecznym. Nie ma tu dla mnie miejsca, ale nie potrafię stąd odejść. Pewne rzeczy trzeba powiedzieć. Pewne sekrety trzeba ujawnić.

– Nadal próbujesz stworzyć kult? – pyta, stając w progu.

Odwracam się i widzę Mustang opartą o metalową framugę, z włosami związanymi w kucyk. Mundur politikosa ze stójką ma rozpięty niefrasobliwie pod szyją.

– Pewnie w następnej kolejności powinienem zamówić posągi, co?

– Ragnar straszy tutejszych Szarych prowincjuszy.

– I dobrze.

– Strasznie jesteś podły wobec nich. – Śmieje się. – Czegoś w nich nie lubisz? – Przeczesuje mi włosy palcami, przysiadłszy na podłokietniku mojego krzesła.

– Są zbyt posłuszni.

– Ach, to dlatego tak bardzo lubisz mnie. – Wbija mi lekko paznokcie w skórę głowy. Droczy się ze mną. – Posągi to kiepski pomysł. Za łatwo je zniszczyć. Wandale z nudów domalowywaliby ci wąsy albo piersi. Piersi to ryzykowna propozycja.

– Mogłoby być gorzej.

– Nie ma niczego gorszego od wąsów. Daxo próbuje je sobie zapuścić. To chyba ma być ironiczne? Nie jestem pewna. – Mustang śmieje się lekko, siadając na metalowym krześle obok mnie. – Jego siostry się tym zajmą. – Rozgląda się po kopalni i Garncu. – Co za okropne miejsce. Napisałam

ustawę, którą Reformatoryści zamierzają przepchnąć, gdy już będzie po wszystkim. Wypatroszy Departament Energii, przekształci Komisję Kontroli Jakości... – Wodzi wzrokiem dookoła. – Zmienię sposób, w jaki się zarządza tą jatką. Widziałeś tutejsze magazyny? Jedzenia wystarczy na siedem lat, a mimo to wciąż składają maksymalne zamówienia. Zerknęłam do ich dokumentacji. Zarządca kopalni napycha sobie kieszenie. Najpewniej nadwyżkę sprzedaje na czarnym rynku. Kłamliwy Miedziany myślał, że nie zauważymy. Pewnie dlatego, że jakiś Złoty albo Srebrny powiedział mu, że dadzą we właściwą łapę i nikt nigdy się nie przyczepił. A populacja przez cały czas była przez niego niedożywiona. Na każdym kroku korupcja.

Marszczy nos i zrzuca płatek odłóżącej farby z krzesła.

– Co tu robimy? – pyta. – To ma coś wspólnego z moim bratem?

– To jest kopalnia, w której tamta dziewczyna zaśpiewała Zakazaną Pieśń – odpowiadam po chwili.

Mustang otwiera szerzej oczy. Patrzy na tłum w dole.

– Biedacy...

Spogląda na mnie, niecierpliwi się, czekając, co jeszcze mam jej do powiedzenia. Mnie jednak nie zostały już żadne słowa. Muszę tylko jej coś pokazać. Biorę ją za rękę.

– Chodź ze mną.



## Dlaczego śpiewamy

Nigdy w życiu nie bałem się tak jak teraz.

W Lykos nocą jest ciemno. Wszystkie światła się wyłącza, żeby Czerwoni nie powariowali z powodu wiecznego dnia. Gdzieś tam nocna zmiana tka jedwabie, wydobywa surowce. Jednakże w tym szerokim tunelu nic się nie rusza, nie niesie się żaden dźwięk z wyjątkiem pomruku hP, w której lecą stare holo o terraformowaniu, i szumu odległej maszynerii. Jest tu chłodno, a mimo to się pocę.

Mustang obok mnie milczy. Nie odezwała się słowem, odkąd zlecieliśmy w grawiButach na poziom Błoni, ubrani w widmoPłaszcz, prawie niewidzialni dla pijaków, którzy osunęli się na stoły i chrapią na stopniach szubienic. Wyczuwam napięcie w jej milczeniu i zastanawiam się, co sobie myśli.

Serce bije mi w piersi jak szalone, jest tak głośnie, że Mustang musi je słyszeć, kiedy wchodzimy do miasteczka Lambd, gdzie z chłopca wyrosłem na mężczyznę. Zmalało. Sufit jest niżej. Mosty sznurowe i systemy bloczków wyglądają jak zabawki dla dzieci. HP, w której kiedyś jaśniała twarz Octavii au Lune, to starość z brakującymi pikselami. Mustang rozgląda się, wyłącza płaszcz. Jej wzrok przesuwają się z mostu na most, z domu na dom, jakby widziała coś cudownego. Nie przyszło mi do głowy, że Złoty mógłby uznać tak proste miejsce za ciekawe.

Wchodzę po kamiennych stopniach na most, który prowadzi do mojego dawnego domu, tak jak to robiłem jako chłopiec. Tyle że teraz moje kończyny są większe. Zapominam, że mam grawiButy. Mustang też nie korzysta ze swoich. Idzie za mną i otrzepuje ręce, kiedy lądujemy w miejscu, gdzie wstawione w mur tkwią cienkie metalowe drzwi do mojego dawnego rodzinnego domu.

– Darrow? – odzywa się bardzo cicho. – Skąd wiesz, dokąd idziesz?

Ręce mi się trzęsą.

– Chciałaś, żebym cię wpuścił.

Patrzę na nią.

– Tak, ale...

– Jak daleko chcesz wejść?

Wiem, że przeczuwa, co ją czeka. Zastanawiam się, od jak dawna to czuła. Moją osobliwość. Moje dziwactwa. Moją odległą duszę.

Spuszcza wzrok na swoje dłonie, poczerwieniałe od kurzu na kamiennych schodach.

– Do końca.

Wręczam jej holoKostkę.

– Jeśli mówisz serio, to odtwórz nagranie i wejdź, kiedy skończysz. Jeżeli odejdiesz, zrozumiem.

– Darrow...

Całuję ją po raz ostatni, mocno. Chwyta mnie za włosy, bo wyczuwa, że kiedy się rozstaniemy, coś się zmieni. Łapię się na tym, że się odsuwam. Ujmuję ją za żuchwę. Ma zamknięte oczy. Otwiera je, kiedy odsuwam się i odwracam do drzwi.

Popycham je.

Muszę się pochylić, żeby wejść do środka. Dom jest ciasny. Cichy. Parter wygląda tak, jak go zapamiętałem. Mały metalowy stół nie zmienił się. Tak jak plastikowe krzesła, mały zlew, schnące gliniane naczynia ani należący do matki bezcenny czajnik grzejący się na piecu. Nowy dywan przykrywa podłogę. Robota nowicjusza. Inne buty stoją u stóp schodów, w miejscu, gdzie zwykł odstawiać swoje buty ojciec i gdzie ja stawiałem swoje. Chwileczkę... To moje buty. Tyle że znacznie bardziej zniszczone niż za moich czasów. Naprawdę miałem aż tak małe stopy?

Cisza strzeże domu. Wszyscy śpią, tylko ona jedna czuwa.

Czajnik syczy, woda zaczyna się gotować. Zaraz zacznie bulgotać. Stopy szurają na kamiennych schodach. Prawie wybiegam z pomieszczenia. Strach jednak sprawia, że zamieram w miejscu, kiedy ona podchodzi. Coraz bliżej, aż znajduje się w pomieszczeniu razem ze mną, zatrzymuje się na ostatnim stopniu z uniesioną nogą, zapomina ją opuścić. Patrzy mi w oczy. Tylko w oczy. Nie patrzy na resztę mojej sylwetki Złotego. Panikuję, kiedy się nie odzywa. Wdech. Trzy wdechy. Dziesięć. Nie poznaje mnie. Jestem zabójcą w jej domu. Nie powinienem był przychodzić. Nie poznaje mnie. Jestem zagubionym Złotym, który zajrzał tu z ciekawości. Mogę wyjść. Uciec. Moja matka nie musi się dowiedzieć, czym stał się jej syn.

Wtedy kończy ten zaczęty krok i podchodzi do mnie. Sunie płynnie. Minęły cztery lata; wygląda, jakby postarzała się o dwadzieścia. Ma wąskie wargi, obwisłą skórę poznaczoną siateczką zmarszczek, włosy poprzetykane siwizną, dłonie szorstkie jak kora dębowa i sękate jak korzeń imbiru. Kiedy sięga prawą ręką do mojej twarzy, muszę uklęknąć. Nadal patrzy mi w oczy. Płacze. Czajnik wrzeszczy na piecu. Podnosi drugą rękę, ale nie jest w stanie

jej otworzyć i mnie dotknąć. Dłoń pozostaje wykręcona i zaciśnięta jak moje serce.

– To ty – mówi cicho, jakbym mógł zniknąć niczym zjawą senna, jeśli przemówi zbyt głośno. – To ty.

Jej głos się zmienił, jest bardziej niewyraźny.

– Poznajesz mnie? – udaje mi się desperacko wykrztusić.

– Jak mogłabym cię nie poznać? – Jej uśmiech jest krzywy, lewa powieka jej opada. Życie obeszło się z nią mniej łaskawie niż ze mną. Miała udar. Smuci mnie, gdy widzę, jak ciało ją zawodzi. Nie było mnie przy niej. Serce jej pękło. – Poznałabym cię... wszędzie. – Całuje mnie w czoło. – Mój syn. Ty jesteś mój Darrow.

Łzy zostawiają ciepłą ścieżkę na moich policzkach. Nie ścieram ich.

– Mamo.

Obejmuję ją na klęczkach i pozwalam, żeby łzy płynęły w ciszy. Milczymy przez nieskończenie długą chwilę. Pachnie smarem, rdzą, stęchłym aromatem hemantusa. Całuje mnie we włosy, tak jak kiedyś. Głaszcze mnie po plecach, jakby zawsze były dla niej tak szerokie jak są teraz, tak silne.

– Muszę zdjąć czajnik – mówi. – Zanim ktoś się obudzi i cię zobaczy...

– Oczywiście.

– Musisz mnie puścić.

– Przepraszam. – Ze śmiechem wypuszczam ją z objęć.

– Jak...? – pyta, stojąc i patrząc na Pieczęcie na moich dłoniach. Kręci głową. – Jak to możliwe? Twój... twój akcent. Wszystko.

– To dzieło Rzeźbiarza. Stryj Narol mnie uratował. Mogę ci wszystko wyjaśnić.

Kręci głową, trzęsąc się nieco – pewnie myśli, że tego nie zauważam. Czajnik wrzeszczy coraz głośniejsze.

– Usiądź.

Odwraca się do mnie plecami i zdejmuje czajnik z pieca. Stawia drugi kubek. Taki z wyższej półki. Pamiętam, że należał do ojca. Kurz okrywa glinę. Matka zamiera, nic nie mówi, przyciskając go do piersi, powraca do chwili, która nie jest przeznaczona dla mnie, przypomina sobie poranki, gdy razem szykowali się do kolejnego dnia. Bierze głęboki wdech i wrzuca listki herbaty do imbryka i zalewa je wrzątkiem.

– Masz na coś ochotę? Mamy te ciasteczka, które tak lubiłeś.

– Nie, dziękuję.

– I wzięłam swoją porcję z dzisiejszej uczyty. To przysmaki Złotych. Uczta to twoja sprawa?

– Nie jestem Złotym.

– Mam fasolę. Prosto z ogrodu Leory. Pamiętasz ją?

Zerkam na swój terminal. Mustang sobie poszła, obejrzała holoKostkę i wraca na statek. Obawiałem się tego. Czytam wiadomość od Sevro: „Zatrzymać ją?” – pyta. Mam dwie możliwości. Pozwolić Sevro i Ragnarowi ją złapać i zatrzymać, aż będę mógł z nią porozmawiać, albo zaufać jej, że sama podejmie decyzję. Jeśli jednak jej zaufam, może odejść, powiedzieć ojcu, czym jestem, a wtedy to będzie koniec. Może po prostu potrzebuje czasu. Dałem jej sporo do przetrwania. Jeśli Ragnar i Sevro złapią ją przedwcześnie, może zwrócić się przeciwko mnie. Mogą też podjąć decyzję na własną rękę i ją zabić.

Przeklinam cicho i odpisuję szybko.

– Wszystkich pamiętam – mówię do matki, znowu na nią patrząc. – Nadal jestem sobą.

Zatrzymuje się wtedy, wciąż zwrócona do pieca. Kiedy się odwraca, krzywy uśmiech przebiega przez jej zniekształconą udarem twarz. Przez chwilę niezręcznie łapie za kubek, ale zaraz odzyskuje panowanie nad sobą.

– Masz coś przeciwko krzesłom? – pyta ostrym tonem, zauważając niezręczność swojej ręki.

– Obawiam się, że jest raczej odwrotnie...

Podnoszę krzesło. Bardziej nadaje się dla Złotego dziecka niż dla Niezrównanego Naznaczonego, który ma ponad siedem stóp wzrostu i waży tyle co trzech Czerwonych razem wziętych. Matka śmieje się, trochę mrocznie, jak to ona – jako dziecko zawsze wtedy myślałem, że dopuściła się czegoś szczególnie złowieszczonego. Wdzięcznie krzyżuje nogi i siada na ziemi. Idę za jej przykładem, siadając niezręcznie obok niej. Stawia między nami parujące kubki.

– Nie robisz wrażenia bardzo zaskoczonej moim widokiem – mówię.

– Zabawnie teraz mówisz. – Milknie na tak długo, że zastanawiam się, czy powie coś więcej. – Narol powiedział mi, że żyjesz. Nie wspomniał jednak, że odszedłeś, żeby unurzać się w Złocie. – Wypija łyczek herbaty. – Na pewno masz wiele pytań.

Śmieję się.

– Myślałem, że ty będziesz miała ich więcej.

– Miałabym, ale znam mojego syna. – Patrzy na moje Pieczęcie. – Jestem cierpliwsza. Pytaj.

– Narol... czy on...?

– Nie żyje? Tak, nie żyje.

Powietrze ze mnie uchodzi.

– Od jak dawna?

– Dwa lata. – Śmieje się. – Spadł do szybu razem z Loranem. Ciało nie znaleziono.

– Dlaczego się śmiesz?

– Brat twojego ojca zawsze był czarną owcą. – Popija herbatę. Dla mnie wciąż jest za gorąca. – Pewnie ma to sens, że równie trudno go zabić jak karalucha. Więc uwierzę, że nie żyje, kiedy go zobaczę w Dolinie. Szemrany palant. – Mówi powoli, jak większość Czerwonych. Seplenienie spowodowane udarem jest subtelne, ale niewątpliwe. – Myślę, że odszedł stąd i zabrał ze sobą Lorana.

Po jej sposobie mówienia orientuję się, że rozumie, że istnieje coś więcej niż kopalnie. Może nie zna całej prawdy, ale jej część z pewnością. Może mój stryj i kuzyn wcale nie zginęli. Może odeszli, żeby dołączyć do Synów Aresa.

– A co z Kieranem? Leanną? Dio?

– Twoja siostra wyszła ponownie za męża. Mieszkają z mężem w miasteczku Gamma w domu jego rodziny.

– Gamma?! – szydę. – Pozwoliłaś jej...

Gryzę się w język, kiedy tylko widzę, jak matka się krzywi. Mogę wyglądać jak Złoty, ale lepiej, żebym nie ważył się nic mówić o jej córce.

– Ma dwie córki, które bardziej przypominają cię niż ją czy jakiegokolwiek Gammę. A Kieran ma się dobrze. – Uśmiecha się do siebie. – Byłbyś z niego dumny. Nie jest pochlipującym dzieciakiem, jakiego możesz pamiętać, który chrzani wszystko, czego się tknie, i gada przez sen. To teraz pan domu. Brygadzysta nowej ekipy, po tym jak Narol wpadł do szybu. Kora, jego żona, umarła niestety przy porodzie. Parę miesięcy temu ożenił się ponownie.

Mój biedny brat.

– A Dio? Rodzice Eo?

– Jej ojciec nie żyje. Zabił się niedługo po tym, jak ty spróbowałeś się zabić.

Zwieszam głowę.

– Tyle śmierci...

– Tak to już jest – odpowiada, dotykając mojego kolana.

– Ale to nie w porządku.

– Było ciężko po tym, jak ty i Eo nas opuściliście. Dio jednak ma się dobrze. Właściwie to jest tutaj, na górze.

– Na górze? Co ty... Wyszła za Kierana?

– Aha. I jest w ciąży. Mam nadzieję na córkę, ale przy moim szczęściu to będzie chłopak, który będzie chciał ganiać za żmijami jaskiniowymi i zbierać oparzenia od pary. O ile w ogóle będzie miał taką możliwość.

– Co masz na myśli?

– Jest ciężko. Wiele się zmieniło. Kopalnia nie daje tego, co powinna. Niektórzy szepczą, że w tym zakątku świata złoża się już kończą. Ludzie zaczynają się bać. Co się stanie z górnikami, kiedy nie będzie już czego wydobywać? Mają nadzieję, że terraformowanie rozhula się na dobre, zanim skończą nam się złoża helu.

– Nic się wam nie stanie. Obiecuję, że będę chronił tę kopalnię. Bez względu na wszystko.

– Jak?

– Zaufaj mi.

– Moja kolej. – Patrzy na mnie nad herbatą. – Gdzie byłeś?

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Myślę, że od śmierci Eo.

Wzdragam się. Matka zawsze waliła prosto z mostu. Przez nią Kieran przepłakał dzieciństwo. Jednak jej szczerość sprawiała, że pęcherze zamieniały się w odciski. Dlatego jestem jej winien równie szczerą odpowiedź. Opowiadam jej wszystko, zaczynając od chwili zaraz po śmierci Eo, a skończywszy na obietnicy złożonej arcygubernatorowi.

Kiedy kończę, jest już po herbacie.

– To ci historia – mówi.

– Historia? To szczerą prawdą.

– Reszta ci nie uwierzy.

– Ale ty wierzysz?

– Jestem twoją matką. – Bierze moją rękę i przesuwając zakrzywionymi palcami po Pieczęciach, które sięgają od grzbietów dłoni po przedramię. Uśmiecha się krzywo, kiedy dotyka metalowych skrzydeł po obu stronach przedramion. – Nigdy nie lubiłam Eo – mówi cicho.

Obracam głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Nie była dla ciebie dobra. Była manipulatką. Ukrywała przed tobą pewne rzeczy...

– Wiem o dziecku. Wiem, co powiedziała Dio na szubienicy.

Matka przysuwa się, łapie mnie za rękę i podnosi je do ust. Prawie nigdy mnie nie pocieszała. I teraz jest w tym niezręczna. Mnie to jednak nie przeszkadza. Ojciec kochał ją z tego samego powodu co ja. Cokolwiek robi, robi to szczerze. Nie ma w niej cienia fałszu. Żadnego kłamstwa. Kiedy więc mówi mi, że mnie kocha, to wiem, że kocha mnie całym sercem.

– Eo nie była okrutną dziewczyną, sam wiesz – dodaje. Odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy. – Kochała cię całą sobą. I za to ja kochałam ją. Ale

zawsze bałam się, że każe ci walczyć w swoich bitwach. Zawsze bałam się tego, jak bardzo kochała walkę.

To nie jest Eo, jaką zapamiętałem. Nie kłóczę się jednak ze słowami matki. Nie potrafię. Każdy widzi świat własnymi oczami.

– Ale ostatecznie miała rację. Miała rację co do Złotych.

– Jestem twoją matką, nie obchodzi mnie racja. Ty mnie obchodzisz.

– Ktoś musi to wszystko naprawić – upieram się. – Ktoś musi zerwać okowy.

– I tym kimś jesteś ty?

Dlaczego we mnie wątpi?

– Tak. To ja. Nie jestem niemądry. Mogę nas stąd wyprowadzić. Ze zniewolenia.

– Dokąd? Na powierzchnię? – Mówi o tym swobodnie, jakby znała prawdę na temat Marsa od lat, a nie od paru minut. Może tak było. – I co będziemy tam robić? Znamy tylko kopalnie. Potrafimy tylko kopać, pozyskiwać jedwab. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, i na Marsie żyją setki milionów Czerwonych, to czy znajdzie się tam dość domów dla wszystkich? Jak ma wystarczyć pracy? Większość nie opuści kopalń, nawet gdy poznają prawdę. Ich dzieci będą górnikami. I dzieci ich dzieci. Stracimy tylko szlachetność celu. Myślisz w ogóle o takich rzeczach?

– Oczywiście.

– I znasz odpowiedź.

– Nie.

– Mężczyźni! – Pociera prawą skroń. – Twój ojciec był z tych, co skaczą, nie patrząc. – Jej mina jasno mi mówi, co myśli na ten temat. – Piekłonurkowie myślą, że to oni utrzymują klany. Nieprawda. To kobiety utrzymują klany. – Wskazuje swoje otoczenie. – Wszystko, co widzisz, zrobiły kobiety. Ty jednak wiesz, jak ukształtować świat, tak? Wiesz, jak powinien wyglądać?

– Nie, nie wiem. Nie znam odpowiedzi. – Mustang je zna. Eo je znała. Moja matka je zna. – Żaden człowiek nie zna wszystkich odpowiedzi. Tysiąc, milion bystrych umysłów będzie potrzebnych, żeby odpowiedzieć na pytania, które mi zadałaś. W tym właśnie rzecz. To, co potrafię, w czym jestem dobry, to obalanie mężczyzn i kobiet, którzy pętają takie bystre umysły. Po to tu jestem. Po to istnieję.

– Zmieniłeś się.

– Wiem. – Rozcieram w dłoniach brud z podłogi. Dziwnie wygląda na tych rękach. – Myślisz... że można kochać dwie osoby?

Zanim zdąży odpowiedzieć, słyszę kroki na schodach. Odwraca się w ich stronę.

– Babciu? – pyta zaspany głosik. – Babciu, Dunlowa nie ma w łóżku.

Na schodach stoi małe dziecko w koszuli nocnej sięgającej ziemi. Córka Kierana. Ma trzy, może cztery latka. Urodziła się wkrótce po moim odejściu. Ma twarz w kształcie serca. Gęste rude włosy w kolorze rdzy, jak u mojej żony. Matka patrzy na mnie zaniepokojona, nie wie, jak wyjaśnić moją obecność. Ja jednak aktywowałem widmoPłaszcz, gdy tylko usłyszałem hałas.

– Och, pewnie wymknął się gdzieś, żeby narozrabiać – mówi moja matka.

Ściskam jej dłoń, zanim przemykam ku drzwiom. Mój czas się skończył, a jednak się waham. Mała dziewczynka ostrożnie schodzi, noga za nogą, pocierając zaspane oczy.

– Z kim rozmawiałaś?

– Modliłam się, dziecko.

– O co?

– Modliłam się za duszę człowieka, który bardzo cię kocha. – Matka przytyka palec do jej noska.

– Za tatę?

– Nie, za twojego stryja.

– Stryja Darrowa? Ale on nie żyje.

Matka bierze dziewczynkę na ręce.

– Umarli zawsze nas słyszą, kochanie. Jak myślisz, dlaczego śpiewamy? Chcemy, żeby wiedzieli, że nawet kiedy odeszli, wciąż potrafimy znaleźć radość. – Tuląc moją bratanicę, odwraca się do mnie i stawia pierwszy krok na schodach. – Tylko tego dla nas chcą.



## Głęбина

Mustang zniknęła. Miałem nadzieję, że wejdzie. Podejrzewałem jednak, że proszę o zbyt wiele. Oczywiście, że prosiłem o zbyt wiele. Idiota ze mnie. Pamiętam, jak myślałem, że wydam jej się bardziej ludzki. Że poznawszy moją matkę, zapłacze i zda sobie sprawę, że wszyscy jesteśmy tacy sami.

Ogarnia mnie raptownie poczucie winy. Dałem Mustang nagranie z mojego rzeźbienia, spodziewając się... czego właściwie? Że wejdzie do środka? Ona, córka arcygubernatora Marsa, miałyby usiąść na podłodze razem ze mną i moją matką? Jestem tchórzem, że tu przyszedłem. Jak tchórz pozwoliłem, żeby nagranie mówiło za mnie. Nie chciałem patrzeć, jak Mustang przetrawia informacje na temat tego, kim naprawdę jestem. Nie chciałem spostrzec poczucia zdrady w jej oczach. Cztery lata kłamstwa. Cztery lata oszukiwania dziewczyny, która nigdy nie potrafiła nikomu zaufać. Cztery lata, a ja mówię jej prawdę, nie przebywając nawet z nią w tym samym parszywym pomieszczeniu. Jestem tchórzem.

Odeszła.

Sprawdzam terminal. Lokalizator promieniowania, który Sevro założył jej, zanim przyszła zobaczyć się ze mną w pokoju obserwacyjnym w Garncu, informuje mnie, że znajduje się trzysta kilometrów stąd i oddala się szybko. Statek Sevro leci za nią, czekając na rozkazy.

Ragnar i Sevro wywołują mnie.

Nie odpowiadam. Będą chcieli, żebym kazał im zestrzelić Mustang. Nie zrobię tego. Nie mogę. Żaden z nich nie zrozumie.

Jaki to wszystko ma sens bez niej?

Wychodzę z miasteczka, wędruję w dół, w głąb mojej starej kopalni, próbując zapomnieć o teraźniejszości i odnaleźć przeszłość. Staję tam samotnie i nasłuchuję zewu głębin. Wiatr wyje, płynąc z ziemi, śpiewa żalospisną piosenkę. Zamykam oczy na czerń, wbijam pięty w luźną ziemię, pochylam głowę ku paszczy ciemności, która sięga głęboko w trzewia mojego świata. Tak sprawdzaliśmy swoją odwagę jako młodziki. Staliśmy i czekaliśmy w głębokich pustkach, wykutych dawno temu przez naszych przodków.

Obracam lewą rękę, żeby zerknąć na wewnętrzną stronę przedramienia, gdzie mam terminal. Z wahaniem wywołuję Mustang.

Sygnal rozlega się tuż za mną.

Zamieram. A potem z jękiem odzywa się bateria włączanego miotacza i rozkwita za mną żółte światło, ukazując połać ogromnego tunelu.

– Trzymaj ręce na widoku. – Jej głos jest tak zimny, że ledwie go poznaję, dopóki nie wróci do mnie echem, odbity od ściany tunelu. Powoli unoszę ręce. – Odwróć się.

Odwracam się.

Jej oczy jarzą się w świetle lampy jak ślepie sowy. Stoi dziesięć metrów ode mnie, wyżej niż ja, zapierając się stopami na sypkiej, osuwającej się ziemi. W jednej ręce trzyma światło. W drugiej miotacz. Celuje w moją głowę, palec opiera na spuście. Kostki dłoni ma białe. Jej twarz jest jak beznamietna maska, za którą widać oczy wypełnione niezmierzonym smutkiem.

Sevro miał rację.

– Strzeli ci prosto w łeb, ty parszywy głupku – szydził na promie.

Czasem myślę, że dołączył do mojej małej krucjaty, żeby mieć pretekst do przeklinania jak Czerwony. Ragnar zachował milczenie, kiedy przedstawiłem mu swój plan.

– To dlaczego poparłeś mnie, gdy rozmawiałem z twoim ojcem? – zapytałem wtedy Sevro.

– Bo to właśnie robimy. Wspieramy się.

– Ona musi sama podjąć decyzję.

– I nie wybierze własnej rasy?

– Ty tak zrobiłeś.

– Och, daj spokój. Nie jestem parszywą królową Żółtych, nie? – Uniósł wysoko rękę. – Ona siedziała na szczycie całe życie. Powietrze tam jest przyjemne i słodkie. – Obniżył rękę. – A ja babrałem się w gównie, mały i paskudny, od kiedy się urodziłem mojemu ojcu spaślakowi. Twoja dziewczyna... nie ma powodów, żeby żywić pretensje do całego świata. Może ci wciskać śliczne komunały, bo świat jej nie dowala, ale kiedy stanie twarzą w twarz z masami, które ukradłyby jej pałac i stratowały ogrody... wtedy zobaczysz całkiem inną osobę.

– Jesteś Czerwony – mówi teraz do mnie Mustang.

– Myślałem, że odleciałaś.

– Lokalizator odleciał. – Zaciska zęby. – Sevro był podstępny. Nawet nie zauważyłam, kiedy to zrobił. Ty to co innego. Nigdy nie powiedziałbyś mi czegoś takiego, nie mając jakiegoś zabezpieczenia. Zostawiłam ubranie na promie.

– Dlaczego wróciłaś?

– Nie. Nie! – Gwałtownym machnięciem ręki przecina powietrze. – Teraz to ty odpowiadasz na moje pytania, Darrow. Czy to w ogóle jest twoje imię?

– Matka nadała mi je po swoim ojcu.

– I jesteś Czerwony.

– Urodziłem się w domu, przed którym stałaś. Szesnaście lat przed tym, jak zobaczyłem niebo. Zatem tak. Jestem Czerwony.

– Rozumiem. – Waha się. – A mój ojciec zabił twoją żonę.

– Tak. Wydał rozkaz zabicia Eo.

– Kiedy śpiewałeś mi pieśń w jaskini... wszystko to kłębiło się w twojej głowie? To miejsce, rzeźbienie, plan, to wszystko było w tobie, w twojej pamięci. Cały ten inny świat. Cała ta inna... osoba. – Kręci głową, nie chce, żebym odpowiadał. – A potem co się stało? Mąż Eo został powieszony. Ty zostałeś powieszony. Jak uciekłeś?

– Wiesz, za co mnie powiesili?

Czeka, aż wyjaśnię.

– Kiedy Czerwony zostanie powieszony za zdradę, ciała nie wolno pochować. Ma się rozkładać i gnić na oczach wszystkich jako przypomnienie tego, co czeka odszczepieńców. – Dźgam się kciukiem w pierś. – Pochowałem moją żonę, więc mnie też powiesili. Tyle że stryj napoił mnie wcześniej olejem z hemantusa. Spowalnia pracę serca i wydaje się, że człowiek umarł. Potem mnie odciął. Oddał Synom Aresa.

– A oni... – podnosi holoKostkę, jej twarz jest blada w świetle urządzenia – ...cię przerobili.

– Byłem bledszy od Niebieskiego. O głowę niższy od Sevro. Słabszy niż Szary. Wiedziałem o świecie mniej niż Różowy uczący się sztuk w Ogrodzie. Wzięli więc to, co we mnie najlepsze, najlepsze w moim ludzie, i przetopili na to, co najlepsze u was.

– Ale... to niemożliwe. Komisja Kontroli Jakości ma testy – mówi, zapominając o chłodnym przesłuchaniu. – Wykrywacze kłamstw, analizę DNA. Sprawdza pochodzenie. – Śmieje się, gdy coś do niej dociera. – To dlatego wywodzisz się z rodu Andromedus. Urodziłeś się Złotym rodzicom, którzy uciekli przed długami, żeby wzbogacić się na górnictwie w asteroidach.

– Ich statek zaginął, kiedy wracali, po tym, jak Żywe Srebro wykupił ich kopalnie.

– Czyli Synowie Aresa zniszczyli statek, zmienili zapiski w archiwach i kupili kopalnie, żeby stworzyć ci historię.

– Być może. – Nie zastanawiałem się zbyt, jak Dancer to załatwił. – Moi przyjaciele są zaradni.

– Jak przeżyłeś rzeźbienie? – mruczy. – To wbrew fizjologii. To, co Rzeźbiarz ci zrobił... nikt nie mógłby tego przeżyć. Nikt. Pieczęcie są połączone z centralnym układem nerwowym. A implantów w płacie czołowym nie da się usunąć bez wywołania katatonii.

– Mój Rzeźbiarz był wyjątkowo utalentowany. Zdołał znaleźć sposób usunięcia dwóch implantów. Inny Rzeźbiarz powtórzył to na kimś innym.

– Dwóch. Jest was dwóch. Sevro? – zgaduje. – To dlatego tak się zbliżyliście?

– Nie. To był Titus.

– Titus? Ten rzeźnik? Byłeś z nim sprzymierzony?

– Nigdy. Nie wiedziałem, kim jest, dopóki cię nie pokonałem. Ares myślał, że będziemy współpracować...

– Ale Titus był potworem.

– Złoci go nim uczynili.

– I to usprawiedliwia to, co zrobił?

– Nie zachowuj się, jakbyś wiedziała, przez co przeszedł – warczę.

– Wiem, Darrow, nie odwracam oczu. Znam politykę. Wiem, jakie warunki muszą znosić twoi ludzie, ale to nie usprawiedliwia morderstw, gwałtów, tortur, jakich dopuścił się Titus.

– To są rzeczy, które znosimy na co dzień. Titus zrobił to, co zrobił, z nienawiści. Ze źle pojętej nadziei na zemstę. W innym życiu ja mógłbym znaleźć się na jego miejscu.

Mustang patrzy mi w oczy.

– A dlaczego nie jesteś taki w tym życiu?

– Dzięki mojej żonie. – Patrzę na nią. – I dzięki tobie.

– Nie mów tak. – Głos ma chrapliwy z żalu. Cofa się o krok, kręcąc głową.

– Nie masz prawa tak mówić.

– Dlaczego? Zawsze zastanawiałaś się, co kryje się pod moją powierzchnią. Jak głęboko sięga nurt.

– Darrow...

– Titus cierpiał. Miał tylko ból. Ja miałem coś więcej: marzenie Eo o świecie, w którym nasze dzieci mogłyby być wolne. Straciłbym jednak to z oczu, gdybym nie spotkał ciebie. – Robię krok naprzód. – Powstrzymałaś mnie przed staniem się potworem. Nie widzisz tego? – Macham ręką, próbując jednym gestem objąć całą swoją rozpacz. – Otaczali mnie ludzie, którzy zniewalali kopalnie od setek lat. Uważałem, że Złoci są okrutnymi, egoistycznymi mordercami. Skupiłbym się na zemście. Ale potem ty się pojawiłaś... i pokazałaś mi, że w Złotych istnieje też dobroć. Roque, Sevro, Quinn, Pax i Wyjce mi tego dowiedli.

– Czego właściwie?

– Tu nie chodzi o moich ludzi przeciwko twoim. Nie jesteś Złota. My nie jesteśmy Czerwoni. Jesteśmy ludźmi, Mustang. Każdy z nas może się zmienić. Każdy może być taki jak my. Przez setki lat próbowali nam wmówić coś przeciwnego. Próbowali nas złamać. Ale to niemożliwe. Jesteś tego dowodem. Nie jesteś córką swojego ojca. Widzę w tobie miłość. Widzę radość, dobroć, niecierpliwość, niedoskonałości. Są i we mnie. Były w mojej żonie. Są w nas wszystkich, bo jesteśmy istotami ludzkimi. Twój ojciec chciałby, żebyśmy o tym zapomnieli. Wspólnota kazałaby nam żyć według swoich reguł. – Robię kolejny krok w jej stronę. – Powiedziałaś mi, że dałem ci nadzieję, że moglibyśmy znaleźć w życiu coś więcej po tym, jak wygraliśmy w Instytucie na swój sposób. A potem powiedziałaś, że odwróciłem się plecami do tej idei, kiedy przyjąłem patronat twojego ojca i poszedłem do Akademii. Tylko że ja wcale się od niej nie odwróciłem. Ani na chwilę.

Kolejny krok.

– Zniszczysz moją rodzinę.

– To możliwe.

– To moja rodzina! – krzyczy, a rozpacz wykrzywia jej twarz. – Mój ojciec powiesił twoją żonę. Powiesił ją. Jak możesz choćby na mnie patrzeć? – Z drżeniem wypuszcza powietrze z płuc. – Czego chcesz, Darrow? Powiedz mi. Chcesz, żebym ci pomogła ich zabić? Chcesz, żeby pomogła ci zniszczyć moich ludzi?

– Nie tego chcę.

– Nie wiesz, czego chcesz.

– Nie chcę ludobójstwa.

– Chcesz! Właściwie czemu nie? Po tym, co zrobiliśmy twojemu ludowi. Po tym, co mój ojciec zrobił tobie. – Rozpina kolejny zatrzask kurtki, jakby dzięki temu łatwiej mogła oddychać. Broń drży w jej ręce. Palec napina się na spuście. – Jak mogłabym z tym żyć? Jeśli nie pociągnę za spust, zginą miliony ludzi.

– Jeżeli pociągniesz, zgodzisz się z tym, że miliardy powinny żyć jak niewolnicy. Wyobraź sobie tych, którzy jeszcze się nie urodzili. Jeśli nie ja, to powstanie ktoś inny. Za dziesięć lat. Za pięćdziesiąt. Za tysiąc. Zerwiemy kajdany bez względu na cenę. Nie możesz nas powstrzymać. Jesteśmy falą przypływu. Możesz tylko się modlić, żeby na moje miejsce nie przyszedł ktoś taki jak Titus.

Celuje z miotacza w moje prawe oko.

– **Naciśnij spust, a zginiesz** – odzywa się Ragnar niczym ucieleśniona ciemność.

– Ragnarze, nie! – warczę. Nie widzę go nawet w mrokach tunelu. – Nie! Nie rób jej krzywdy.

Pewnie wcale nie ruszył za sygnałem lokalizatora. Od jak dawna słuchał?

– Cofnij się. – Mustang przesuwa się w bok, plecami do ściany. – Czy on wie? Wiesz, czym on jest, Ragnarze?

– **Żniwiarz mi ufa.**

Mustang odrzuca światło na ziemię i wyciąga brzytwę.

– Nie przyszedł tu po to, żeby cię zabić, Mustang.

– A czym innym zajmują się Splamieni?

Podnoszę rękę.

– Ragnar nic ci nie robi. Prawda, Ragnarze?

Nie odpowiada. Z trudem przełykam ślinę. Wszystko się sypie.

– Ragnarze, posłuchaj mnie...

– **Nie możesz umrzeć, Żniwiarzu. Jesteś zbyt ważny dla Ludzi. Lady Augustus, zostało ci dziesięć oddechów.**

– Ragnarze, błagam! Zaufaj mi, proszę.

Dziewięć.

– **Zaufałem ci na rzece, bracie. Nie zawsze masz rację. To cena śmiertelności.**

Głos płynie z góry. Tym razem gdzieś z okolic sklepienia kopalni. Ragnar się nie myli. Zaufał mi podczas oblężenia Agei, a ja poprowadziłem go w pułapkę. Tylko szczęście mnie uratowało.

Śmiejąc się gorzko, Mustang szykuje się do ataku.

– Widzisz, Darrow? Jeśli zaczniesz tę wojnę, to bestie takie jak on ją skończą i wywrą swoją zemstę.

Siedem.

– Nie chodzi o zemstę! – Próbuję się uspokoić. – Chodzi o sprawiedliwość. Chodzi o miłość przeciwko imperium zbudowanym na chciwości i okrucieństwie. Przypomnij sobie Instytut. Uwalnialiśmy tych, którzy mieli być niewolnikami. Ufaliśmy im. Oto lekcja. Zaufanie.

Pięć.

– Darrow – mówi proszącym tonem. – Jak możesz być tak niemądry?

Podjęła decyzję.

Cztery.

– Nadzieja nigdy nie jest niemądra. – Odpinam brzytwę, terminal, rzucam je na ziemię i klękam. – Jeśli jednak ty nie możesz się zmienić, nikt nie zdoła tego zrobić. Zastrzel mnie i niech światy trwają tak jak trwały.

Trzy.

– Masz o mnie za wysokie wyobrażenie.

– **Dwa.**

– Darujmy sobie wstępy, Ragnarze. – Mustang obraca brzytwę. Jej potworny brzęk wypełnia tunel. – Podejdź, psie, i pokaż Darrowowi, po co żyje twój rodzaj.

Cisza się przeciąga.

– Jeden – warczy Mustang i kopniakiem gasi lampę.

Nie ma światła, nie ma koloru, jest tylko ciemność. Cisza jest głębsza od tunelu. Wije się meandrami przez serce Marsa, rozciąga w wieczność, niesie się echem do miejsc, gdzie trafiają tylko zagubieni.

Ragnar roztrzaskuje ją swoim głosem:

– **Żyję dla swoich sióstr.**

Nie rozbłyskuje miotacz. Nie słyszać jazgotu brzytwy. Nic się nie porusza. Tylko z góry płyną słowa przemieszane z urywkami ciszy.

– **Żyję dla mojego brata.**

Ragnar rozkwita światłem. Wychodzi naprzód jak zbłąkany pielgrzym, spojenia jego zbroi jarzą się białym blaskiem. Nie widzę broni. Skonsternowana Mustang zamiera bez ruchu.

– **Jestem i zawsze byłem synem ludu z Wieżyc Walkirii. Urodziłem się wolny z Alii Śnieżnej Wróblicy na dzikim biegunie Marsa, na północ od Smoczego Grzbietu, na południe od Upadłego Miasta.**

Ragnar mija Mustang, nie poruszając nawet rękami.

– **Zarobiłem czterdzieści cztery blizny w służbie Złotych, odkąd handlarze niewolników Płaczącego Słońca przylecieli z gwiazd, żeby zabrać moją rodzinę na Wyspy Łańcuchów. Siedem blizn otrzymałem od innych mojego rodzaju, kiedy umieszczono mnie w nagoge, gdzie trenowałem.**

Kłęka obok mnie.

– **Jedną otrzymałem od mojej matki. Pięć zadały mi pazurami potwory, które strzegą Wiedźmiej Przełęczy. Sześć zadała mi kobieta, która nauczyła mnie kochać. Jedną mam od mojego pierwszego mistrza. Piętnaście od mężczyzn i zwierząt, z którymi walczyłem na arenie ku uciesze Pana Popiołów i jego gości. Dziewięć zarobiłem w służbie Żniwiarza.**

Ziemia wzdycha pod ciężarem jego kolan.

– **Dla Złotych pochowałem trzy siostry. Jednego brata. Dwóch ojców. –** Milknie ze smutku. – **Ale... przez nich nigdy nie otrzymałem ani jednej blizny.**

W jasnym blasku zbroi jego czarne oczy płoną jak błędne ogniki.

– **Teraz szukam w życiu czegoś więcej.**

Zamyka oczy, zdając się na łaskę Złotej. Wierzy, tak jak ja wierzę. Tak jak Eo we mnie wierzyła. Tak jak Sevro i Dancer, i pozostali.

Patrzę w oczy Mustang, być może po raz ostatni, i wyobrażam sobie, że czuje to samo co moi przodkowie, pierwsi pionierzy na Marsie, kiedy poprzez ciemność spojrzeli na Ziemię. W niej miałem swój dom. Miłość. A potem ją zatrąłem. Wiem, że zawsze taki koniec był nam pisany. Jednak nadal żywię nadzieję jak zdesperowane dziecko.

– A po co ty żyjesz? – pytam.



## Złoty syn

Dzisiaj jest mój Triumf.

Dzień jest rześki, niebo modre jak jajko rudzika, gwiazdy przebłyskują przez atmosferę. Stoję, ociekając złotem, z purpurową szarfą przewieszoną przez pierś, i z odkrytą głową czekam na wieniec laurowy na końcu pochodu. Przed upływem dnia otrzymam Maskę Triumfu stworzoną przez Fioletowych dla uczczenia mojego zwycięstwa.

Rydwan turkocze pode mną. Drewniane koła toczą się po chodniku. Po płatkach róż. Kwiatkach hemantusa. Ponad sto tysięcy kwiatów rzucono przez otwarte okna drapaczy chmur, które stoją jak strażnicy po obu stronach szerokiej alei. Dłonie machają, ręce się wyciągają. Twarze spoglądają z góry, promienieją. Tak wiele Kolorów. Ludzie są też na ulicach, otaczają trasę parady, wiwatują na cześć tego, co przejechało przede mną – wspaniałych platform. Połykaczy ognia. Tancerek. Gryfów, smoków i zebrokor. Ostatnich ocalałych więźniów z domu Bellony. Głównym imperatora Bellony i jego braci i sióstr zdobiących piki. Chociaż Augustus osobiście ceni sobie prostotę, to rozumie wagę wielkich gestów. Myśliwce śmigają w górze. Bociany bzyczą w powietrzu.

Augustus zna też wagę okrucieństwa. Muchy latają wokół odciętych głów. Kąsają czwórki białych koni, które ciągną mój rydwan szerokim bulwarem na wybrukowane białym kamieniem Pola Marsowe, rozlegające się przed terenami Cytadeli.

Macham do tłumu, unosząc wysoko mój sierpak. Ludzi ogarnia szaleństwo. Ojcowie podnoszą dzieci, wskazują mnie i mówią im, że będą mogły chwalić się własnym dzieciom, jak to na własne oczy widziały mój Triumf. Rzucają liście figowe i wiwatują jak wariaci, wspinają się na wojskowe posągi na Polach i marmurowe obeliski, żeby lepiej mnie widzieć.

– Jesteś tylko śmiertelnikiem – szepcze mi do ucha Roque, który zgodnie z tradycją jedzie konno obok rydwanu.

– I kurwim pierdem – dodaje Sevro, jadący z drugiej strony.

– Tak – przytakuje z powagą Roque. – Tym także.

Żałuję, że nie ma przy mnie Mustang. Dzięki jej cichej sile łatwiej byłoby znieść te wszystkie spojrzenia, wiwaty nie obciążałyby mi tak żołądka.

Czerwoni klaszczą w tłumie. Krzyczą i wiwatują, i śmieją się, doskonale ofiary działów rozrywki Wspólnoty. Wierzą w kłamstwo chwalebnej walki i chwalebnych Złotych. Miliony będą przeżywały holoDoświadczenie z mojego lotu w Żelaznym Deszczu – przynajmniej do chwili, w której impuls elektromagnetyczny załatwił kamerę. Fitchner zachował jednak nagranie, na którym zabijam Karnusa.

Ta parada to sen. Wyczarowana iluzja. Płynę przez nią i wiem, jak niewiele znaczy. Otaczają mnie przyjaciele, ci wszyscy, których nazywam przybocznymi. Uśmiechają się do mnie szeroko. Kochają mnie. Co się jednak stanie, kiedy polecimy walczyć na Lunę? Kolejne kłamstwa. Kolejne śmierci. Kolejne niewykonalne plany.

Co robi Mustang? Nie wróciła do Agei, odkąd określiła się na pięcie i wyszła z kopalni. Fitchner nie posiada się z niepokoju. Mustang jest toporem zawieszonym nad moją głową. W każdej chwili może skazać mnie na śmierć. Może już to zrobiła. Może to wszystko jest jakimś wielkim podstępem. Może jej ojciec już wie.

Szakał zauważył jej nieobecność w Cytadeli, kiedy wczoraj wieczorem wrócił na mój Triumf. Powiedziałem, że pokłóciliśmy się o jej ojca.

– Nic dziwnego – powiedział z westchnieniem. – Nie pozwól, żeby wszedł między was dwoje, tak jak wszedł między mnie i ją, gdy byliśmy dziećmi.

Poklepał mnie poufale po ramieniu i nalał nam dość do picia, żeby zafundować mi tępy ból głowy, który teraz pulsuje mi za lewym okiem. Przysięgam sobie, że nigdy więcej się nie napiję.

Victra jedzie obok Roque'a i Lorna, rozgląda się leniwie, napawając się słońcem i świętem. Ściągnęła matkę z powrotem pod skrzydła Augustusa, wraz z Antonią, która podobno pomogła odbić Saloniki z rąk Bellony. Trudno nadażyć za tym, kto po czyjej stronie stoi. Jednakże sama Victra pozostała lojalna jak mało kto. Posyła mi całusa.

Za mną jadą Wyjce; została ich tylko połowa, chociaż Telemanusowie obiecali, że sprowadzą świeżych rekrutów. Za moimi przybocznymi jadą dziesiątki pretorów i legatów, którzy dowodzili armią. Dalej maszerują tysiące Szarych, którzy – żenujący w swojej uczuciowości – wyśpiewują sprośne piosenki na mój temat. Za nimi idą legiony Obsydianowych. To potwornie wielka impreza, urządzona nie tylko dla mnie; sygnalizuje także początek nowej ery – w której to Mars, a nie Luna będzie kierować Układem Słonecznym.

Fitchnera tu nie ma. Powinien być. Szukam go na szczycie kolosalnych białych schodów prowadzących na teren Cytadeli. Arcygubernator i jego świta

stoją tam z dziesiątkami naszych sojuszników i chudą jak szkielet łysą Białą, która trzyma moją wawrzynową koronę.

Zostawiam rydwan i wspinam się po schodach w otoczeniu moich przybocznych. Na placu zapada cisza. Purpurowa peleryna powiewa za mną na wietrze. W mieście pachnie różami i końskim nawozem.

Augustus wychodzi mi naprzeciw.

– Ogłoszono wezwanie do Żelaznego Deszczu – oznajmia.

– Wezwanie nie pozostało bez odpowiedzi – odpowiadam. Wzmocnione przez system nagłośnienia słowa niosą się nad miastem jak grzmot.

Ci, którzy spadli w Deszczu, podnoszą wielki tumult. Biała wychodzi naprzód. Ma twarz wymizerowaną wieloma latami wydawania wyroków na kryminalistów. Mleczne oczy zagubione w dawnych historiach mrugają z wielką ostrożnością.

– Synu Marsa. – Jej głos faluje melodyjnie. – Dzisiaj nosisz purpurę tak jak dawni etruscy królowie. Dołączasz do nich w kronikach. Dołączasz do mężczyzn, którzy zniszczyli Cesarstwo Wschodzącego Słońca. Do kobiet, które zepchnęły Przymierze Atlantyckie do morza. Jesteś Zdobywcą. Przyjmij ten wawrzyn jako nasze świadectwo twojej chwały.

Nakłada mi go na głowę. Obok mnie Sevro parska śmiechem.

Biała mówi dalej, snując kwieciste ścieżki ze słów, wypełnia swoją przemową większą część popołudnia. Zapada zmierzch, kiedy zbliża się do końca. Zaczynam rozumieć, po co urządza się te przedstawienia. Po co są te wszystkie przemowy i pomniki. Tradycja to korona tyrana. Przyglądam się Złotym z ich odznakami, Pieczęciami i sztandarami, z którymi obnoszą się, żeby zalegalizować skorumpowane rządy i wyalienować moich ludzi, którzy czują się tak, jakby patrzyli na gatunek przerastający ich pojmowanie. Szakał jakby czytał w moich myślach, bo przewraca oczami na tę farsę. Wkrótce padają ostatnie słowa:

– Per aspera... – zawodzi Biała i całe jej ciało trzęsie się z wysiłku.

Augustus podnosi rękę. Zamówiony na pamiątkę oblężenia Marsa kryształowy obelisk staje na Polach dzięki wspornikom antygrawitacyjnym zamontowanym u jego podstawy. Z jękiem trafia na swoje miejsce, gdzie unosi się pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Będzie tak wisiał w powietrzu, dopóki kolejny Triumf nie zajmie jego miejsca. Wtedy dołączy do pozostałych stojących na ziemi. Wyniosłe nagrobki miliona poległych.

– ...ad astra! – ryczy tłum.

Stoję na stopniach schodów, kiedy pode mną na Polach Marsowych rozpoczyna się świętowanie. Złoci rozpraszają się na terenach Cytadeli, idą na prywatną ucztę. Augustus patrzy, stojąc obok mnie. Za nami spżizowe słońce

zachodzi nad jego miastem, cienie rozciągają się i padają na zebrane w dole podKolory.

– Przejdźmy się – rozkazuje.

Idziemy otoczeni przez ochroniarzy. Ogarnia mnie niepokój, gdy widzę, jak ciasno się wokół nas gromadzą. Rozmawiał z córką. Wie. Oczywiście, że wie. Mam brzytwę, ale nie mam grawiButów. Noszę tylko ceremonialną zbroję. Ilu Obsydianowych zdołam zabić, zanim mnie obezwładnią? Niewielu.

A potem zdaję sobie sprawę, dokąd mnie zabiera, i prawie śmieję się z własnej głupoty.

Sala tronowa płonie słonecznym światłem. Sklepienie jest szklane, marmurowe kolumny ciągną się na setkę metrów w górę. Hałas wypełnia rozległą przestrzeń. JonoPiły, młotki, ciche buczenie siedmiu jonoSkalpeli przy kawale onyksu dwa razy większym ode mnie.

– Wyjść – rozkazuje Augustus.

Fioletowi zsuwają się ze swoich siedzeń przy onyksie i znikają wraz z Pomarańczowymi kamieniarzami i Czerwonymi robotnikami. Ochroniarze Augustusa też wychodzą. Nasze buty stukają metalicznie o posadzkę: samotny dźwięk w tak wielkim pomieszczeniu.

Czyli jednak mnie nie zabije.

– Robią dla ciebie tron – mówię.

Podchodzę, by dotknąć onyksu. Napięcie opuszcza mnie z każdym kolejnym wydechem. Lwie łapy nabierają kształtu u podnóża tronu. Po lewej stronie widać wygięty ku przodowi ogon.

– Złamałeś prawo, Darrow – odzywa się Augustus, stając za mną. – Dałeś Obsydianowym brzytwy. Broń naszych przodków w rękach jedyne Koloru, jaki kiedykolwiek powstał przeciwko nam.

– To wszystko? – pytam z ulgą. – Zrobiłem to, co było konieczne.

– Olimpijski Rycerz zginął z ręki twojego ochroniarza. To sprawa publiczna.

– Gdyby Ragnar nie zajął muru, przegralibyśmy, a ty, mój panie, dalej tkwiłbyś w kajdanach albo zostałbyś stracony. Wiesz to lepiej ode mnie. Ragnar miał moje pozwolenie.

– Ojciec nauczył mnie, że wyrazem słabości jest pytać innych, co o tobie myślą. – Splata ręce za plecami. – Ja jednak muszę to zrobić. Czy uważasz mnie za zimnego potwora?

Odwracam się, żeby mu się przyjrzeć.

– Bez wątplenia.

– Szczerść. – Podnosi wzrok na sklepienie. – Można by się spodziewać, że poniesie się innym echem niż cała reszta tego pieprzenia. Jestem

koniecznością, Darrow. Jestem siłą, która nawraca błędzących. Powiedz mi, dlaczego dałeś Obsydianowemu brzytwę? Dlaczego zachęcasz podKolory do powstania? Dlaczego pozwalasz Niebieskiej kierować statkiem, kiedy powinna tylko przyjmować rozkazy?

– Ponieważ potrafią robić rzeczy, których ja nie umiem.

Kiwa głową, jakbym czegoś dowiódł.

– I po to właśnie ja istnieję. Wiem, że Niebiescy potrafią dowodzić flotami. Wiem, że Obsydianowi umieją posługiwać się techniką, dowodzić ludźmi. Najbystrzejszy Pomarańczowy, gdyby dać mu szansę, mógłby być świetnym pilotem. Czerwoni mogliby być żołnierzami, muzykami, księgowymi. Niektórzy, bardzo nieliczni Srebrni na pewno potrafiliby pisać powieści. Wiem jednak, ile to by nas kosztowało. Porządek jest nadrzędny dla naszego przetrwania. Ludzkość wynurzyła się z piekła. Złoci nie pojawili się przypadkiem. Zaistnieliśmy z konieczności. Z chaosu. Narodziliśmy się z gatunku, który pożerał swoją planetę, zamiast inwestować w przyszłość. Przyjemność nade wszystko i niech diabli wezmą konsekwencje. Najlepsze umysły zniewolone przez gospodarkę, która domagała się zabawek zamiast badania kosmosu albo rozwiązań technicznych, które zrewolucjonizowałyby naszą rasę. Tworzyli roboty, pozbawiając ludzkość etyki pracy i tworząc pokolenia uprzywilejowanej szarańczy. Jedne kraje gromadziły zasoby i traktowały inne z podejrzliwością. Wyrosło z tego dwadzieścia różnych frakcji dysponujących bronią nuklearną. Dwadzieścia. A każdą z nich rządziła chciwość albo fanatyzm. Dlatego kiedy podbiliśmy ludzkość, nie zrobiliśmy tego z chciwości. Nie zrobiliśmy tego dla chwały. Chodziło o ratowanie naszej rasy, żeby położyć kres chaosowi, zaprowadzić porządek, przygotować ludzkość do jednego celu: zapewnienia mu przyszłości. Kolory są fundamentem koniecznym dla realizacji tego celu. Jeśli dopuścisz do zmiany hierarchii, porządek zacznie się walić. Ludzkość jako całość przestanie aspirować do wielkości. Tylko pojedynczy ludzie będą mieli takie ambicje.

– Złoci aspirują do wielkości. Dlatego zmuszamy Kolory do wojny – odpowiadam, przysiadając na łapie czarnego lwa.

Augustus wciąż stoi pośrodku sali.

– Są jednak ludzie tacy jak ja – mówi tak szczerze, że prawie mu wierzę. – Tak naprawdę nie walczę wcale o to, żeby być królem, cesarzem czy jakie tam słowo dołożysz do mojego imienia w podręcznikach historii. Wszechświat nas nie zauważy, Darrow. Nie ma nadrzędnej istoty, która czeka, żeby zakończyć istnienie, kiedy ostatni człowiek wyda ostatnie tchnienie. Człowiek się skończy. To akceptowany fakt, ale nigdy się o nim nie mówi. A wszechświat nadal będzie trwał nieporuszony. Nie pozwolę, żeby tak się stało, bo wierzę

w człowieka. Sprawię, że będziemy istnieć wiecznie. Wyprowadzę nas z naszego Układu Słonecznego i poprowadzę do innych, nieznanych, abyśmy w nich szukali nowego życia. Jako gatunek jesteśmy ledwie dziećmi. Ja jednak sprawię, że człowiek stanie się trwałym elementem wszechświata, nie raptem ulotną bakterią, która pojawi się i zniknie przez nikogo nie zapamiętana. Dlatego wiem, że to właściwy sposób życia. Dlatego uważam, że twoje młodzieńcze ideały są niebezpieczne.

Jakże daleko sięga jego umysł. Całe światy dalej niż mój. I może po raz pierwszy naprawdę rozumiem, w jaki sposób ten człowiek robi to, co robi. Nie ma w nim moralności. Nie ma dobroci. Nie miał złych zamiarów, gdy zabił Eo. Wierzy, że stoi poza wszelką moralnością. Jego aspiracje są tak wielkie, że stał się nieludzki w swoim rozpaczliwym pragnieniu ocalenia rodzaju ludzkiego. Dziwnie jest patrzeć na jego sztywną, zimną postać i wiedzieć, jak szalone sny płoną w jego głowie i sercu.

– A co z tym wszystkim, co powiedziałaś? Ze wszystkim, co zrobiłaś? – pytam, myśląc o jego pierwszej żonie, której napchał winogron do ust. – Słuchasz rad takich kreatur jak Pliniusz. Zrzucasz bomby na niewinnych obywateli, którzy nie złamali żadnego prawa. Zgadzasz się na wojnę domową... i twierdzisz, że próbujesz ocalić ludzkość?

– Robię to, co konieczne w imię większego dobra.

Broni siebie. Czerpie osobiste korzyści.

– Żeby chronić ludzkość – powtarzam.

– Tak.

– W tym imperium żyje osiemnaście miliardów ludzi. Ilu zabiłbyś, żeby ochronić ludzkość? Miliard? Dziesięć miliardów?

– Liczby nie negują konieczności.

– Piętnaście miliardów? – nie ustępuję. Czerwona, Żłota, każda cząstka mnie jest wstrząśnięta.

– Ktoś musi podejmować takie decyzje – odpowiada. – Reszta naszej rasy z każdym dniem pogrąża się w coraz głębszej chorobie. Piksy szukają przyjemności, zamiast osiągnąć, podczas gdy Niezrównani tak pożądają władzy, że naszą Suwerenką jest kobieta, która ścięła głowę własnemu ojcu, aby zająć jego tron. Ktoś musi nimi rządzić.

– Ty.

– My. – Nawet nie mrugnie okiem, gdy na mnie patrzy. – My musimy nimi rządzić – powtarza. – Źle cię traktowałem, bo obawiałem się twojej arogancji i bezczelności. Obiecałem jednak, że to naprawię i zrobię to, bo pokazałeś, że potrafisz się rozwijać, uczyć. Zostań moim dziedzicem. Nie pretorem. Mam wystarczająco dużo wojowników. Potrzebuję... Nie: pragnę mieć syna.

– Masz syna.

– Mam pasożyta, który pożąda mojej władzy. To wszystko. Do niczego jej nie potrzebuje. Nie ma planów, co z nią zrobi, gdy już ją zdobędzie. Po prostu pragnie jej, bo tak nauczyła go jej pragnąć nasza Wspólnota. – Na jego twarzy pojawia się isierka zaciekawienia. – Jednakże, co niezwykle, to był jego pomysł. Masz jego błogosławieństwo.

Nie wątpię. Znając mojego sojusznika, zastanawiam się tylko, ile to mnie będzie kosztowało. Szakał jest biznesmenem. Będzie oczekiwał zysków ze swojej inwestycji. Zwłaszcza z tej inwestycji. Powinien był mi powiedzieć.

– A co Virginia? Twój następca nie musi być mężczyzną.

– Ale ja chcę, żeby nim był. Chcę ciebie dla niej. Chcę męża stosownego dla jej umysłu.

– Posługujesz się mną – mówię nagle, przenikając jego plan – żeby związać ją ze sobą. Zwłaszcza jeśli się pobierzemy. Oboje wiemy, że nie chcesz żadnych reform.

W tej właśnie chwili Reformatorzy z całej Wspólnoty zlatują się na Marsa, żeby zgromadzić się wokół człowieka, który powiedział, że odda im senat, kiedy pokona Octavię au Lune i jej sojuszników.

– Reformatorzy to rak – oznajmia.

– Ale obiecałeś im, że...

– Obietnice były konieczne, żeby zyskać ich poparcie. Kiedy pokonamy Octavię, wrzucę ich do więzienia albo każę ich stracić za zdradę.

– Mustang nigdy ci tego nie wybaczy. Wierzy, że się zmieniasz. O czymkolwiek z nią rozmawiałeś, cokolwiek jej obiecałeś, nabrała nadziei względem ciebie.

Mnie też może nie wybaczyć.

– Zmusisz ją, żeby zrozumiała, kiedy już będziesz częścią rodziny, Darrow. Do tego czasu podejrzewam, że będziecie już małżeństwem i nie porzuci cię, nawet jeśli mnie znienawidzi. Nasza rodzina pozostanie silna, bo musi. Ty jednak musisz należeć do mnie. Odpowiadać przede mną. Nie przed moimi dziećmi. – Robi krok w moją stronę. – Octavia kieruje ludzkość ku powolnemu upadkowi. Reformatorzy tacy jak Synowie Aresa roztrzaskają nas o ziemię z prędkością tysiąca kilometrów na sekundę. Musimy chronić nasz gatunek. Pomóż mi.

To szlachetny człowiek, który robi to, co jego zdaniem jest najlepsze dla ludzkości.

Niech go szlag.

Nie prosiliśmy się o poniżenie. Kim jest, żeby mówić, że Czerwoni i Brązowi, którzy zaharowują się na śmierć, robią to w imię jakiegoś

większego dobra? Kim jest, by twierdzić, że szykowanie dzieci Różowych na gwałt, a Obsydianowych i Szarych do walki to rzecz konieczna? Jak może siedzieć tutaj i utrzymywać, że tylko on jeden wie, co jest najlepsze dla mnie, dla mojej rodziny? Nie ma do tego prawa. Tak jak nie miał prawa przyjść do mojego świata i zabrać Eo. Jeśli myśli, że siła daje mu taką moc, to ja mam moc, by tu i teraz ściąć mu ten parszywy łeb.

Zamiast tego wstaję i pokonuję dzielącą nas odległość. Klękam. Biorę jego rękę i całuję jego parszywy sygnet.

– Jak sobie życzysz, mój panie.

Wykrzywia harde usta w uśmiechu drapieżnika.

– Mów mi „ojcze”.

\*\*\*

– Postaraj się nie być taki zadowolony z siebie – mówi do mnie Lorn.

Stoimy pośród białych ścieżek Cytadeli. Wietrzyk porusza dzwonkami zawieszonymi na drzewach. To prosta uroczystość, niepodobna do wulgarnego widowiska na Lunie. Pod porośniętymi bluszczem konarami drzew rozstawiono małe stoliki. Różowi służący uprzątają z nich pozostałości uczyty. Na zielonej trawie i białych ścieżkach Niezrównani stoją z kieliszkami szampana, śmieją się i próbują zaimponować sobie nawzajem. Czuć w tym rękę Szakala, skromnej istoty o wielkim smaku.

Więcej dygnitarzy przyszło na kolację niż na ceremonię. Musimy więc z Augustusem powitać bardzo wielu z nich. Przychodzą do nas po kolei, zgodnie z hierarchią, rzecz jasna. Wkrótce mam dość serdecznych uścisków dłoni i szukam Lorna, który stoi pod drzewem o smukłym, białym pniu. Skrzyżował ręce na piersi, ma pochmurną twarz i krzywi się na szampana, którego trzyma. Wyrzuca kieliszek w krzaki.

– Ja też nienawidzę takich imprez – zagajam. – Kiedy tylko dostanę Maskę, Augustus chce, żebym przymilił się do paru Władców Księżyców. Potem pójdę do łóżka.

Bez Mustang, więc nie czeka mnie nic miłego.

– Musisz się czuć samotny. Gdzie twoje dziewczyna? – Rozgląda się, mrużąc oczy. – Wszędzie jej szukałem.

– Nie wiem.

Wszyscy zauważyli jej brak?

– Ach tak. Sprzeczką kochanków? Cóż, nie będę ci doradzał, powiem tylko, żebyś przełknął dumę. Ta dziewczyna to prawdziwy klejnot, o ile tylko



zdołasz ją utrzymać.

O ile zdołam.

– Cieszę się, że przyszedłeś – mówię. – Nawet jeśli twoje rady są do dupy.

Śmieje się szorstko i kiwa głową na Szakala, który rozmawia z Roque'em i paroma politikosami z Ganimedesa.

– Twój przyjaciel mi to umożliwił. Augustus jakimś cudem zapomniał mnie zaprosić, chociaż moi ludzie zdobyli mu planetę. Dobre wychowanie jest ostatnio obwarowane wieloma zastrzeżeniami. A skoro już o tym mowa, jak długo powinienem zostać, zanim będę mógł wyjść i nikogo przy tym nie obrazić?

– Nie ma nawet jeszcze dziewiątej. Nie wręczasz mi Maski za kilka minut?

– Miałem to zrobić, ale to nudna pompa. Poprosiłem twojego przyjaciela Roque'a, żeby mnie wyręczył, jeśli nie masz nic przeciwko temu. A właściwie to on poprosił mnie. Na jedno wychodzi.

– Nie. Tak będzie nawet lepiej.

Roque'owi dobrze robi, jeśli weźmie w tym wszystkim jak największy udział. Mam sporo do naprawienia. Publiczne okazywanie przyjaźni to dobry początek.

Lorn opiera się plecami o pień.

– Moje stare kości skrzypią nocami. Sprawdzę ochronę, żeby nie musieć rozmawiać z tymi oślizgłymi typami. – Patrzy na myśliwiec przelatujący wysoko w górze.

– Niech ktoś inny się tym zajmie. – Różowa podaje mu szklaneczkę whisky, którą wcześniej zamówił. Jego ulubiona marka. Pociąga nosem, nieco przygaszony. – Zawsze widzę cię w zbroi. Zachowaj się jak prawdziwy mentor i zostań ze mną. Mamy dla ciebie dwie butelki Lagavulin.

– Wracasz do starych sztuczek. Dwie butelki za dodatkowe dwie godziny treningu, nie taką mieliśmy umowę? Powinienem był zażądać więcej. Ha!

Zabiera whisky i odchodzi, utykając, żeby pobawić się w berka z wnukami wśród drzew. Patrzę na Różową, która podała mu drinka. Znika w tłumie. Jej sposób poruszania się wydaje mi się skądś znajomy.

Jakaś kobieta łapie mnie pod rękę. Odwracam się podekscytowany, ale widzę Victrę. Nie zauważa mojego rozczarowania.

– Mam nadzieję, że Fioletowi umieścili na twojej Masce lwy zamiast pegazów. – Śmieje się na widok mojej miny. – Tak, plotki już krążą. Darrow au Augustus. – Dygoce przesadnie. – Kobiety będą walić drzwiami i oknami.

Przewracam oczami.

– Och, zamknij się.

– Zmuś mnie! – Przesuwa rękę na mój krzyż. – Szkoda, że już się ustatkowałeś. – Ruchem głowy wskazuje grupkę młodych Niezrównanych z Gazowych Olbrzymów, a potem przysuwa się do mnie. – Ale to nie znaczy, że nie możesz się bawić?

– Lubisz sprawiać, że się rumienię?

Zdejmuje wawrzyn z mojej głowy i zakłada go sobie, dygając przy tym niemądrze.

– Zdemaskowałeś mnie. Nawiasem mówiąc, gdzie twoja mała Mustang?

– Dlaczego wszyscy są, kurna, tacy ciekawscy?

– Darrow. – Roque dołącza do nas, trzymając szkatułę z kości słoniowej dostatecznie dużą, żeby zmieściła się w niej Maska Triumfu. Wygląda elegancko w czarnym mundurze pretora, włosy ma zaczesane gładko do tyłu. – Wydaje mi się, że powinniśmy zebrać się na wręczenie Maski. Wiesz gdzie? Trochę pogubiłem się w kwestiach organizacyjnych.

Victra marszczy czoło.

– Obsługa Cytadeli jest nadal osłupiała. Dom Bellona mieszkał tu przez miesiąc. Adrius musiał sprawdzić wszystkich Różowych, żeby odcedzić szpiegów. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w Attyce. Ma tu dzisiaj wszędzie swoich ludzi. Och, do diabła, zaczyna się.

Odkłada mi wawrzyn na głowę i ciągnie mnie w stronę polany, gdzie zbierają się Złoci.

Sevro przecina nam drogę.

– Darrow – rzuca szybko i zerka na Victrę. – Idź stąd.

Victra krzywi się i odchodzi.

– Lubisz ją – drocę się z nim. – Ja to widzę.

Ignoruje mnie.

– Nadal go tu nie ma.

– Fitchnera? Łączyłeś się z jego terminalem?

– Nie mogę się połączyć. Łajdak powiedział, że przyjdzie. Więc jeśli go tu nie ma, musiało wydarzyć się coś ważnego. Powinienem to sprawdzić.

– Sprawdź. – Łapię go za rękę. – Ale wezwij Ragnara. I bądź ostrożny.

– Zawsze jestem.

To dziwne uczucie patrzeć, jak odchodzi. Jakbym patrzył na własny oddalający się cień i zdał sobie sprawę, że może go czekać inne przeznaczenie niż moje. Może ostatecznie jest ważniejszy ode mnie. To prawdziwe dziecko dwóch światów.

Idę za tłumem między drzewami. Małe latarenki zapalają się na gałęziach, zalewając polanę ciepłym białym blaskiem. Nie ma tu Białych. Nie ma miejsca na oficjalność. To chwila równie skromna, jak Triumf był wspaniały.

Tłum rozstępuje się przede mną. Wchodzę na biały bruk, gdzie Lorn ze swoimi wnukami siedzi na krawędzi fontanny z delfinem. Augustus daje znać, żebym stanął obok niego koło posągu ślepej dziewczicy trzymającej wagę i miecz. Rzeźba tonie w bluszczu. Dołącza do nas Szakal.

– Słyszałem, że mamy zostać braćmi – mówię do niego.

– Kto mówi, że nie można wybrać sobie rodziny? – Zerka z roztargnieniem na terminal. – Lepiej ty niż ten łajdak Cassius.

– Coś się stało?

– Cały czas te kłopoty z tym przeklętym zaopatrzeniem. – Podnosi wzrok znad terminala. – Przepraszam. Na Marsie wszystko układa się pierwszorzędnie. Żałuję tylko, że nie ma tu mojej siostry. Nadal nie wiesz, gdzie się podziewa, co?

Kręcę głową. Za każdym razem, gdy ktoś wspomina Mustang, wydaje mi się nieco bardziej odległa. Miałem nadzieję, że się pojawi, zrobi wielkie wejście i będę wiedział, że wszystko jest dobrze. Jednakże niektóre marzenia się nie spełniają.

– Wybaczcie proszę! Moi łaskawi panowie! – woła Augustus, przerywając gwar rozmów. – Dziękuję. – Odchrząkuje i wita na Marsie licznych gości. Skinieniem głowy pozdrawia arcygubernatora Trytona. – Chociaż wino w kieliszkach musuje, a nasze brzuchy są pełne, ta noc jeszcze się nie kończy. – Patrzy po swoich gościach i mówi głosem oschłym i stanowczym. W parnym powietrzu wśród drzew latają świetliki. – Wiemy, że to dopiero początek. Wojna będzie od nas wiele wymagała. Nie pomijajmy jednak w pośpiechu zwycięstwa, jakie widzieliśmy raptem kilka tygodni temu. Triumfu woli, lojalności i siły. Wszystkie wspaniałości parady były dla nich. Ciche chwile jak ta są dla nas. – Dotyka blizny na twarzy. – To wtedy, mimo dzielących nas różnic, możemy skinąć sobie głowami i wznieść kielichy na cześć jedyne go w swoim rodzaju osiągnięcia, niepowtarzalnego zwycięstwa woli. To nie jest dokonanie pojedynczego człowieka, ale do Deszczu wezwał tylko jeden. Zatem, Darrowie au Andromedus, pozdrawiamy cię.

– Niech żyje Żniwiarz! – woła Lorn, tylko odrobinę sobie ze mnie drwiąc.

Na polanie wszyscy wznoszą toast, niesie się zgodny pomruk. Wszyscy piją. Czuję pustkę, gdy zerkam w lewo i widzę Szakala zamiast Mustang. Gdybym się uśmiechnął, wypadłoby to fałszywie, skoro wiem, że wkrótce to wszystko się rozpadnie. Victra najwyraźniej wyczuwa mój nastrój, bo mruga do mnie porozumiewawczo znad kieliszka.

Augustus daje znać Roque'owi, który wychodzi naprzód z dużą kościaną szkatułą w rękach. Wkłada mi ją do rąk i kładzie dłoń na wieku, żebym jej jeszcze nie otwierał.

– Wiele razem widzieliśmy – mówi spokojnie i pewnie. – W noc, kiedy pierwszy raz cię spotkałem, siedziałeś na podłodze w zamku Marsa i patrzyłaś na krew na swoich rękach. Pamiętasz, co wtedy powiedziałem?

Drugą ręką dotyka mojego nadgarstka; ten delikatny gest jest czymś z przeszłości, kiedy nasze ręce były mniej stwardniałe, mniej pobliżnione.

– Oczywiście. „Jeśli zostaniesz rzucony na głębinę i nie zaczniesz pływać, utoniesz. Dlatego musisz pływać” – recytuję. – Nigdy tego nie zapomniałem.

– Jakże daleko zaszliśmy. – Przygląda się mojej twarzy, odnotowując jej rysy, niedoskonałości. Przechyla głowę, zastanawiając się, czego szuka. – Zapłaciłbym sto razy więcej, niż jest wart twój kontrakt, żeby cię chronić.

– Wiem, Roque.

– Umarłbym za ciebie tysiąc razy, bo byłeś moim przyjacielem.

Byłeś. Coś w jego głosie każe mi się rozejrzeć. Ponad jego ramieniem widzę Victrę, szepczącą coś wesołego do Antonii i jej chudej jak szkielet matki. Lorn podaje wnukom talerzyki z tortem przyniesionym przez niskiego Różowego. Jednakże po ich podaniu Różowy odwraca się, a ja zamieram. Odwraca się z wyższością. Z bezwzględnością. Żaden Różowy tak się nie porusza. Na pół sekundy wypadł z roli. Znam ten obrót. Znam tego człowieka. To Vixus. To musi być on. Zerkam na Różową, którą przyniosła Lornowi whisky. Lilath. Dziewczyna Szakala, która nosiła kości we włosach. Która sprzymierzyła się z domem Bellona. Przebrali się za Różowych. Złoci w dermoMaskach. Ze szklami kontaktowymi.

Wilki udające jagnięta.

Odsuwam się od Roque’a, już mam krzyknąć, kiedy czuję, że przytrzymuje mnie mocniej, i zdaję sobie sprawę, że się ze mną żegna. Igła z jego pierścienia kłuje mnie w nadgarstek. Delikatnie, jak pocałunek, który składa mi na policzku.

– I tak odchodzą kłamcy, z parszywym pocałunkiem na pożegnanie.

Jedno słowo niszczy tysiąc kłamstw.

Z twarzą zimniejszą od marmurowego posągu za naszymi plecami Roque cofa się i otwiera wieko kościanej szkatuły. Wraz z cichym skrzypieniem srebrnych zawiasów mój świat się kończy. Na widok zawartości szkatuły Augustusowi wyrywa się z piersi okrzyk zgrozy. A krok dalej Szakal z oczami pełnymi długo uśpionej nienawiści uśmiecha się do mnie i odchyła głowę jak zwierzę, żeby wydać z siebie szaleńcze, kpiące wycie.

Sygnal końca.

Victra sięga po brzytwę. Antonia się odsuwa. Zdejmuje miotacz z tacy kelnera i dwa razy strzela Victrze w kręgosłup. Dwa kolejne strzały oddaje w szyję matki, zanim ktokolwiek zdąży się ruszyć.

– ARCOS! – krzyczy Augustus, wyciągając brzytwę. – DO BRONI!

– WYJCE, DO MNIE! – ryczy Lorn, odpychając wnuki. – Chronicie Żniwiarza!

Za późno. Kiedy Lorn wstaje, Lilath wyciąga sztylet impulsowy spod tacy, żeby poderżnąć mu gardło. Lorn zdąża wsunąć dłoń pomiędzy gardło i ostrze. Cztery palce spadają na ziemię. Pochyla się, napiera na dziewczynę, łapie ją za nadgarstek zakrwawioną ręką. Buczenie ostrza. Jęk. Zgroza, kiedy na polanie rozpętuje się chaos.

Zalewa mnie trucizna.

Osuwam się na ziemię z pudłem na kolanach.

Oparty plecami o ślepy posąg.

Sparaliżowany.

Szakał sunie wśród walczących jak gad po lodzie. Patrzy na dżganie i zarzynanie, aż znajduje Lorna siłującego się z Lilath, która próbuje poderżnąć mu gardło. Lornowi udało się podnieść odłamek szkła z ziemi i dźgnąć ją w nogę, kiedy Szakał pochyla się, przygląda się chwilę starcowi i powoli wbija mu ostrze w brzuch.

– Mylili się. Wcale nie jesteś z kamienia.

Twarz Lorna jest wykrzywiona ze strachu, kiedy Szakał przesuwając ostrze w górę. Spojrzenie mojego mistrza pada na mnie, na wnuki. Próbuje wstać, szuka ostatniej odrobiny furii. Usiłuje coś powiedzieć. Jednak ciało go zdradza. Nigdy więcej nie ujrzy swojej wyspy. Nie pogłaszcze gryfa. Nie usłyszy śmiechu wnuków ani nie zobaczy Lysandra, którego mu obiecałem. To moja wina. To ja go ściągnąłem z powrotem z miejsca, gdzie znalazł pokój, którego pragnął ponad wszystko, choć wiedział, że na niego nie zasłużył. Wkrótce już nie patrzy na nic, a Szakał wyciąga ostrze i Lilath kończy swoją robotę powolnym ruchem, jakby coś piłowała.

Jęczę przeciągle. Tylko na tyle mnie stać. Ślina spływa mi do gardła. Victra pełźnie do mnie, krew się z niej leje. Pośród tego wszystkiego Roque stoi na uboczu jak posąg.

W oddali świergocze broń impulsowa. Grzmot rozrywa niebo, ciemne kształty przełamują barierę dźwięku, spadają z zamaskowanego statku. Coś się prześliznęło. Gdzie są patrole?

Obsydianowi i pretorianie lądują z hukiem na kamieniu pośrodku polany. Ścigają tych, którzy uciekli z miejsca jatki do ogrodów, polują na nich z cichą skutecznością. Antonia kieruje rzezią, dobija spadkobierców, przecina na pół rody trwające tysiąc lat. Bierze zakładników. Lilath śmieje się wraz z Vixusem. Ściągają elektroniczne dermoMaski, potrząsają głowami i uwalniają złote włosy. Za nimi Aja ląduje w całym swoim splendorze, jej

zbroja lśni w świetle latarni. Wodzi wzrokiem po jacie, twarz ma mroczną i zadowoloną. Ledwie ją zauważam, bo obok niej ląduje stary przyjaciel. Cassius.

– Virginia? – pyta.

– Niestety nieobecna – odpowiada Szakal.

– Ostrzeżona?

– Rozgniewana. Kłótnia kochanków.

Victrze udaje się doczołgać do mojej kostki. Śliska krew znaczy jej ścieżkę z miejsca, w którym ją postrzelono, do tego, w którym teraz zwija się w kłębek. Czerwień na jej ustach. Nie czuję jej dotyku.

– Nie wiedziałam – szepcze. – Darrow, nie wiedziałam.

Aja pochyla się nad ciałem Lorna, zabiera mu brzytwę, którą nosił u pasa, i na zawsze zamyka oczy swojego mentora. Nie zdążył nawet dobyć broni. Cassius podchodzi, zatrzymuje się przede mną, przykłada i przygląda mi się.

– Może się ruszać, poeto? – pyta Roque’a.

– Nie, ale słyszy.

– Zabiłeś moją rodzinę, Darrow. Wszystkich moich bliskich. Ja, Julian, to jedno, ale dzieci? Jak mogłeś? – Nie wiem, o czym mówi. – Znajdę Sevro. Znajdę Mustang. Nie będzie litości.

Nową ręką dotyka emaliowanej rękojeści swojej brzytwy.

– Nie możesz go zabić – odzywa się stojący za nim Roque. – Wiesz, czym jest. – Kładzie mu rękę na ramieniu. – Cassiusie, rozkazy Suwerenki były jasne.

– Dysekcja – mruczy Cassius.

Obserwuje mnie. Wydaje się, że nie było takiego czasu, kiedy ten człowiek nazywał mnie bratem. Jakby nigdy nie było nadziei, że staniemy się czymś innym, niż jesteśmy teraz. Łapie mnie szorstko za rękę. Przez chwilę myślę, że ją ściska, ale nie, on tylko kradnie pierścień, na który zapracowałem. Żelaznego wilka, za którego zabiłem jego brata. Mój palec jest nagi bez niego.

Prostuje się i staje nade mną, bardziej jak piękny sęp niż orzeł.

– Julian. Lea. Pax. Quinn. Chwast. Harpia. Mursz. Tactus. Lorn. Victra. Zasłużyli na coś więcej, niż by umrzeć za niewolnika.

I to powiedziawszy, zostawia mnie z Roque’em.

Świat jest cichy, jeśli pominąć szloch i wycie syren. Victra obok mnie patrzy, jak Cassius odchodzi, życie z niej wycieka. Skonsternowana spogląda na mnie bystrzymi oczami.

– Musimy się pośpieszyć – rzuca przeciągle Aja, stojąc pośród tej całej masakry. – Wiedzą, że tu jesteśmy. Przyprowadź ojca i lećmy.

Szakal kiwa głową.

– Chwileczkę, za pozwoleniem.

Kilka metrów dalej Augustus leży przyszpilony do ziemi przez trzech kelnerów. Podnoszą go, gdy Szakal podchodzi, przestępując nad sprofanowanym ciałem Lorna.

– Maski ci się nie podoba, Darrow? – woła do mnie. – Zrobiłem ją specjalnie dla ciebie po tym, jak w Attyce ujawniłeś mi swoje prawdziwe oblicze. – Odwraca się do ojca. – Co myślisz, ojcze? Czy ten wybieg jest godny twojego nazwiska?

– Ty potworze. – Augustus pluje mu w twarz. – Coś ty zrobił?

– Nie jesteś dumny? – Szakal ociera ślinę i patrzy na nią. – Szlag.

– Przestań. Synu, zniszczyłeś nas.

– Adriusie... – ponagla Szakala zniecierpliwiona Aja. – Musimy iść.

Szakal robi krok naprzód.

– Teraz nazywasz mnie synem? – Cmoka z niesmakiem i poprawia ojcu kurtkę munduru. – A byłem twoim synem, kiedy zostawiłeś mnie na skale na pastwę żywiołów? Trzy dni. Byłem dzieckiem. Komisja nawet nie chciała Ekspozycji. Ale ty myślałeś, że byłem taki słaby, a Claudius taki silny. Był silny, kiedy kazałem Karnusowi posłać go do ziemi?

Jego ojcu drżą wargi.

– Co?

– Zapłaciłem Karnusowi au Bellona siedem milionów kredytów i sześć Różowych, żeby skalał dziewczynę Claudiusa. Honor mego brata zaprowadził go na arenę. Najzabawniejsze jest to... że to były twoje pieniądze. Poprosiłem cię o nie, żeby zainwestować w swoją przyszłość. I tak zrobiłem. – Szakal marszczy brwi. – Ojcze, naprawdę myślałeś, że dziesięcioletniego chłopca interesuje rynek Srebrnych? Powinieneś być bardziej uważać.

– Zabiłeś Claudiusa. – Augustusowi głos się łamie z napięcia, on sam osuwa się, obwisając na rękach tych, którzy go trzymają. Trzęsie się ze smutku. – Zabiłeś mojego syna.

To złamałoby Mustang serce.

– Ja jestem twoim synem – szydzi Szakal. – I byłem dobrym synem. Czcilem się. Bałem się ciebie. Byłem posłuszny. Nauczyłem się tego, czego chciałeś, żebym się nauczył. Szedłem tam, dokąd kazałeś mi iść. Robiłem tylko to, co zgodne z twoją wolą. A jednak to nie wystarczało.

Augustus kręci głową, znowu napęnia go gniew, kiedy pretorianie skuwają mu ręce magnetycznymi kajdanami. Patrzy na potwora, którego stworzył.

– Powinienem był cię udusić w kołysce.

– Daj spokój, ojcze...

– Nie jesteś moim synem.

Adrius się wzdryga. Tymi kilkoma słowami Augustus coś uwalnia. I drobna cząstka Adriusa, która miała nadzieję na miłość, znika. Odrzuca resztki człowieczeństwa i zostaje tylko Szakal.

– „Żegnaj, nadziejo, więc, a wraz z nadzieją żegnaj, mój lęku, żegnajcie, wyrzuty: dobro wszelakie jest dla mnie stracone” – szepcze do jakiejś odległej, gasnącej cząstki siebie. Leniwym gestem przystawia miotacz do czoła ojca. – „Zło, będziesz moim dobrem”<sup>5</sup>.

– Stój! – Aja podchodzi. – Adrius! W imię Suwerenki...

Szakal strzela ojcu w głowę.

Zabójca Eo pada na ziemię, a ja czuję pustkę rozlewającą się w moim sercu. Śmierć rodzi śmierć, która rodzi śmierć. Przed tym właśnie ostrzegał mnie Dancer. Dlatego Mustang powiedziała, żeby nie ufać jej bratu. To dlatego moi przyjaciele umrą. Dlatego ja umrę. Bo nie dorównuję temu złu.

Kto by zdołał mu dorównać?

– Ty tępą małą zmij! – wrzeszczy Aja. – Suwerenka potrzebowała go, żeby uspokoić Obrzeże! Psiakrew.

Patrzy na niebo, gdzie w mroku rysuje się ognisty ślad. Ktoś pędzi przez górną atmosferę. Broń impulsowa rozbłyskuje na terenach Cytadeli, kiedy pretorianie natrafiają na pierwszy opór ludzi Augustusa i Lorna.

– Dałem ci tę zdobycz – odpowiada Szakal, kiwając na mnie głową. – Nie jojcz teraz. – Zerka na terminal i wskazuje płomienne smugi na niebie. – Nadlatują Telemarusowie. O ile nie chcesz się z nimi zabawić, proponuję się zbierać.

Cassius mu przytakuje.

– Lorn i Augustus nie żyją. Ta armia się rozpadnie.

Aja rozkazuje pretorianom wracać na prom. Podchodzą, żeby mnie podnieść. Dłoń Victry słabnie na mojej nodze. Oczy jej się zamykają.

– Roque... – mruczę mimo trucizny. – Bracie...

– Nie. Nie! – odpowiada. Nie jest potworem, wciąż jest sobą, cichy i spokojny, nawet jeśli przerażający w swoim smutku. – Jesteś synem Czerwonych, a ja synem Żółtych. Ten świat, w którym byliśmy braćmi, przepadł. – Podchodzi jednak, pochyla się i sięga delikatnymi dłońmi po szkatułę z kości słoniowej, która leży na moich kolanach, odchylając ją ku mojej twarzy. – A w tym świecie siła Żółtych nigdy nie osłabnie.

Patrzę do środka i serce mi pęka.

Wszystko co było, co miało być, wali się w gruzy. Marzenie przepada w ciemności. Gdziekolwiek jesteście, Sevro, Mustang, Ragnarze, nie wracajcie do tego świata. Tu jest za dużo bólu. Za dużo smutku, żeby go naprawić.



Patrzę do skrzynki i widzę głowę Fitchnera patrzącą na mnie, bezoką, z ustami wypchanymi winogronami. Ares, jedyna nadzieja, jaką kiedykolwiek mieliśmy, człowiek, który poskładał mnie, gdy się rozpadłem, i dał mi szansę na coś więcej niż zemsta, został zamordowany. I już wiem, że jesteśmy zgubieni.

## Podziękowania

Moja ulubiona kwestia z Władcy pierścieni pada w scenie, kiedy Frodo załamuje się, a Samwise mówi do niego: „Nie mogę przejąć pańskiego brzemienia, ale pana mogę przecież nieść z nim razem! <sup>6</sup>”.

Pisanie bywa bardzo samotną misją. Gubisz drogę. Wybierasz przełęcz górską tylko po to, żeby odkryć, że się pomyliłeś i musisz zawrócić, idąc o wiele bardziej zdradziecką ścieżką. I często nie ma czarodzieja, który by tobą pokierował. Nie ma żadnych drogowskazów poza tymi, które sam wymyślisz. Wszystko zależy od ciebie, a to bywa zniechęcające, przynajmniej dla mnie. I nawet jeśli moi przyjaciele i rodzina nie są w stanie pokierować historią, którą piszę, to mogą mnie ponieść swoją miłością i przyjaźnią. Mam wielkie szczęście.

Mam też szczęście, że znalazłem takie wydawnictwo jak Del Rey. Ani razu nie czułem, żeby ograniczali moją kreatywność. Ani razu nie podejrzewałem, żeby życzyli sobie czegoś innego niż najlepsza możliwa historia, jaką jesteśmy w stanie przelać na papier. David Moench, Joe Scalora, Keith Clayton, Tricia Narwani, Scott Shannon, Dave Stevenson – dla mnie jesteście parszywymi świętymi.

A jeśli idzie o mojego redaktora, Mike’a Braffa – w żadnych świecie nie znajdziecie lepszego wykrywacza kitu i większego Obsydianowego fanatyka. Możecie podziękować mu za szaleńcze tempo opowieści, niepohamowaną liczbę ofiar i za Sofoklesa, lisa Kavaxa. Dziękuję także Hannah Bowman, która wraz z Lizą Dawson i Havisem Dawsonem zaryzykowali i zdecydowali się mnie reprezentować. Dziękuję też Jonowi Cassirowi za jego cierpliwość i genialne pokierowanie kwestiami praw do ekranizacji.

Dziękuję Joelowi Phillipsowi za piękne mapy i noce przy whisky, Nathanowi Phillipsowi za bycie młodszym bratem, jakiego nigdy nie miałem, Tamarze Fernandez za mądrość, która przekraczała jej wiek, i Jarretowi Pirce’owi za to, że poczułem się w Los Angeles jak w domu. Terry’emu Brooksowi dziękuję za poświęcenie czasu na lekturę debiutanckiej książki młodego autora, Scottowi Siglerowi za hojne pochwały, Joshowi Crookowi za wszystkie planowane przy śniadaniu psoty.

Dziękuję rodzicom. Zawdzięczam wam wszystko. Włożyliście mi do rąk łopatę zamiast pada do gier wideo. Kopanie w lesie było najlepszą edukacją, jaką kiedykolwiek odebrałem. Nigdy nie poznałem uczciwszych, życzliwych ludzi. Chcę być takim człowiekiem jak wy. Dziękuję mojej siostrze Blair – uczyniłaś mnie mądrzejszym, ucząc, jakie jedyne w swoim rodzaju niebezpieczeństwa mężczyzna ściąga na siebie, kiedy naraża się cierpliwej kobiecie. Oczywiście dziękuję ci też za to, że byłaś moim zabójcą-ninja.

Na końcu muszę podziękować Aaronowi Phillipsowi. Bez niego nie byłoby Czerwonego świtu ani Złotego syna. Był prawdziwym przyjacielem, odkąd poznaliśmy się na studiach w Niemczech. Patrzył, jak zaczynam piętnaście ksiązek naraz, kończę sześć i słyszę od agentów odmowę po raz setny w ciągu siedmiu lat. Kiedy robiło się ponuro, podnosił mnie na duchu i zachęcał do kontynuowania. Błogosławieństwem było patrzeć, jak dorasta, żeni się, staje się prawdziwym głębokim człowiekiem niczym Samwise Gamgee.

To dziwne pomyśleć, że napisałem Czerwony świt cztery lata temu w pokoju nad garażem rodziców w Seattle. Jeszcze dziwniejsza jest myśl, że podejrzewałem, że tylko moi przyjaciele przeczytają tę książkę. Dlatego dziękuję wam, czytelnicy. Dziękuję, że podjęliście ze mną tę podróż. Dziękuję, że pozwoliliście mi wieść życie tkacza snów, bo to jedyna rzecz, jaką chciałem robić, odkąd ojciec przeczytał mi Hobbita, gdy byłem dzieckiem, i zdałem sobie sprawę, że w słowach, w opowieściach, w legendach – tych zagubionych i tych, które dopiero się pojawiają – kryje się prawdziwa magia.

# Przypisy

1. Przeł. Franciszek Ksawery Dmochowski (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Na podstawie tłumaczenia Ignacego Wieniewskiego (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. Na podstawie przekładu Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Przełożył Maciej Słomczyński (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
5. Przełożył Maciej Słomczyński (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
6. Przełożyła Maria Skibniewska (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)